

MICHAEL COBLEY

ZIARNA

ZIEMI

Seeds Of Earth

OGIEŃ LUDZKOŚCI

KSIĘGA 1

Przełożyła

Agnieszka Hałas



Mary Read

*Dla Susan,
która wniosła do mojego życia słońce*

Prolog

Instytut Darieński: Projekt Odzysku Danych Hyperion

Lokalizacja klastru - Pomocniczy substrat hardmem

(Pokład 9, kwatery)

Transza - 298

Status deszyfrowania - 9. cykl, odzyskano 26 plików wideo

Plik 15 - Bitwa o Marsa (Wojna z Rojem)

Zgodność - Rekonstrukcja wirtualna

Pierwotna data i godzina - 23 listopada 2126,16:09:24

»»»» ««««

STOPNIOWE ROZJAŚNIENIE

TYTUŁ:

MARS

WYŻYNA THARSIS: OLYMPUS MONS

19 marca 2126

Sierżant stał na mostku transportowca, raz po raz sprawdzając modyfikacje konsoli technicznej, kiedy w słuchawkach jego hełmu rozległy się przekrzykujące się głosy.

- Żołnierze piechoty kosmicznej zbliżają się ścigani przez jednostki wroga...

- ...ośmiu, dziewięciu Rójców, może dziesięciu...

Sierżant zaklął, chwycił swój ciężki karabin i opuścił mostek tak szybko, jak tylko pozwalała mu zbroja bojowa. W biegu wydawał serię zwięzłych rozkazów. Stukot jego butów niósł się echem przez korytarz biegnący centralnie wzdłuż głównej osi statku. Do czasu, gdy sierżant znalazł się przy rozwalonych, stojących otworem drzwiach tylnej ładowni, uciekający zdążyli już się pojawić. Pięciu rannych i nieprzytomnych, wszyscy z pułku indonezyjskiego, sądząc z oznaczeń na hełmach. Kiedy ostatniego wnoszono po rampie, pierwsi Rójcy wyłonili się zza krawędzi skalistego grzbietu jakieś osiemdziesiąt metrów dalej.

Pierwszy rzut oka ukazał koszmarną płataninę szponów, kolców i lśniących, czarnych wielofasetkowych oczu. Gdy chodzi o biologię, Rójcy pod wieloma względami byli zbliżeni

do gadów, lecz z wyglądu nieodparcie kojarzyli się z owadami. Wyposażeni w sześć, osiem, dziesięć lub więcej odnóży, mogli być tak mali jak kucyk albo tak wielcy jak wieloryb, zależnie od specjalizacji. Ci tutaj byli wojownikami wielkości byka - jedenaście czarno-zielonych potworów, które już unosiły uzębione lufy broni, gnając po zboczu w stronę uszkodzonego transportowca.

- Wstrzymać ogień - rozkazał sierżant, zerkając na sześciu żołnierzy kulących się za zaimprovizowaną barykadą ze spiętrzonych skrzynek na amunicję oraz płyt pokładu.

Tylko oni mu pozostali po tym, jak pułkownik i reszta odlecieli poduszkowcami kilka godzin wcześniej, zmierzając w stronę kaldery i głównego ula Roju. Jeden przygarbił się lekko, przechylając głowę, żeby lepiej wycelować karabin...

- Powiedziałem: czekać - odezwał się sierżant, oceniając wzrokiem malejący dystans. - Gotuj wieżyczki dziobowe... cel... pal!

Strumienie wielkokalibrowych pocisków skupiły się na najbliższych Rójcach, zwalając ich z pajęczych nóg. Chwilę później sierżant zaklął, widząc, że wrogowie się podnoszą, chronieni przez biopancerze, które stanowiły zagwozdkę dla sił zbrojnych Ziemi od samego początku inwazji, czyli od dwóch lat.

- Pociski pulsacyjne! - krzyknął. - Teraz!

Na Rójców posypały się jaskrawe pociski świetlne, gęste kule naenergetyzowanej materii, tak zaprojektowane, by rozżarzać i zarazem chemicznie niszczyć ich broje. Wrogowie odpowiedzieli ogniem - ich broń raz po raz wypluwała lecące po łuku wydłużone, cienkie czarne pociski, ale gdy obsługa wieżyczek skupiła ostrzał na celach, Rójcy przerwali walkę i się rozbiegli. Wtedy sierżant rozkazał swoim ludziom otworzyć ogień i sam też zaczął strzelać z karabinu. Ulewa niszczycielskich salw dosłownie rozerwała osłabionych, zdezorientowanych przeciwników. Nie upłynęła minuta, a na kamienistym zboczu nie pozostało nic żywego czy choćby w jednym kawałku.

Żołnierze piechoty wymienili radosne okrzyki i uśmiechy. Sierżant zaledwie miał czas zaczerpnąć tchu i przeladować karabin, kiedy z interkomu dobiegł głos konsolowca:

- Sierżancie! Kontakt powietrzny, trzy kliki i zbliża się!

Okręcił się na pięcie i ruszył w stronę prawej zejściówki. Wspinając się po schodkach, przewiesił karabin przez ramię.

- Jaki jest ich profil, żołnierzu?

- Ciężko powiedzieć, połowa czujników to złom...

- Daj mi coś, szybko!

Następnie rozkazał, żeby wszystkie cztery wieżyczki wzięły na cel zbliżającą się

jednostkę, i właśnie wyłączył przez górny luk na grzbiet transportowca, kiedy ponownie zgłosił się do niego konsolowiec.

- IFF potwierdza, że to nasi, sierżancie; to wiropląt, a pilot chce z panem mówić.

- Dawaj go.

Jeden z miniekranów jego hełmu nagle zamrugał i ukazał pilota wiroplątu. Był to prawdopodobnie Niemiec, sądząc po języku, w jakim napisane były instrukcje na grodzi za jego plecami.

- Sierżancie, nie mam dużo czasu - powiedział pilot po angielsku z wyraźnym akcentem. - Mam ewakuować pana i pańskich ludzi na orbitę...

- Przykro mi, panie poruczniku, ale... mój dowódca jest tam w dole, w tej kalderze, i walczy w tej chwili z wrogiem! Proszę spojrzeć, brzeg kaldery jest mniej niż pół klika stąd; mógłby pan tam przerzucić mnie i moich ludzi, a potem wrócić do...

- Odmawiam. Dostałem konkretne rozkazy. Poza tym wszystkie oddziały, jakie zdołały się tam przedostać, zostały pokonane i wybite, całe pułki i brygady. Przykro mi... - Pilot sięgnął w górę, żeby skorygować ustawienia sterów. - Wyląduję za mniej niż pięć minut, sierżancie. Niech pańscy ludzie będą gotowi.

Miniekran zgasł. Sierżant oparł się o barierkę biegnącą wzdłuż grzbietu transportowca i wpatrywał się z goryczą w długą na kilometr bruzdę, którą ten wyrzył w zboczu Olympus Mons. Potem wydał rozkaz, by wszyscy opuścili okręt.

W górze, na przypominającym całun marsjańskim niebie, kropka będąca sylwetką transportowego wiropląta powiększyła się, przybierając postać pękatej jednostki latającej, schodzącej do lądowania na czterech wiodrzutach zamocowanych na łożyskach kardanowych. Łapy podwozia znalazły oparcie na górnej części kadłuba transportowca i, wśród ogłuszającego ryku silników, ranni mogący iść oraz ci na noszach zostali wyekspediowani do wnętrza wiropląta przez luk załadunkowy na jego brzuchu. Obsługa wieżyczek, konsolowiec oraz pół tuzina żołnierzy właśnie podążali ich śladem, gdy nagle zabrzmiał głos niemieckiego pilota.

- W naszą stronę frunie cała zgraja Rójców, sierżancie. Lepiej szybko wchodźcie na pokład.

Gdy ostatni jego ludzie znikali w luku wiropląta, sierżant odwrócił się w stronę kaldery Olympus Mons. Poprzez zasłonę wzbijanego wiatrem pyłu oraz rzadkiego czarnego dymu bitwy dostrzegł gęstą chmurę ciemnych punkcików wzbijającą się zaledwie kilka klików dalej. Uświadomienie sobie, jak szybko pokonają odległość dzielącą je od transportowca, zajęło mu tylko chwilę, podobnie jak decyzja, co powinien zrobić w związku z tym.

- Najlepiej zapnijcie guziki i ruszajcie, poruczniku - powiedział, wskazując z powrotem do transportowca i zatrzymując za sobą pokrywę luku. - Mogę ich związać ogniem z naszych wieżyczek, dać wam czas na osiągnięcie orbity.

- *Nein!* Sierzancie, rozkazuję wam...

- Przykro mi, poruczniku, ale w innym wypadku nigdy nie zdołalibyście stąd uciec, więc moje zadanie jest oczywiste.

Przerwał połączenie, gnając z powrotem na mostek i zatrzymując po drodze pokrywę luków. Owszem, oficer naukowy pułkownika podporządkował wszystkie cztery wieżyczki konsoli technicznej, ale to nie była jedyna modyfikacja, jakiej dokonał...

Ryk wirodużutów nasilił się, przechodząc w wycie, łapy podwozia rozluźniły chwyt, wiropląt zakołysał się i wzbił. Sekundy później poczwórny, osadzony pod kątem napęd pchał go po stromej trajektorii w górę. Lecący na czele Rójcy już prowadzili całą chmurę po kursie przechwytyjącym, do momentu, gdy wieżyczki transportowca otwarły do nich ogień. Mimo to, kontynuowałyby pościg za wznoszącą się zwierzyną, gdyby sam transportowiec nie ruszył się teraz niczym wielka ranna bestia i nie wzniósł powoli z końca długiej bruzdy, którą wyrzył w podłożu. Z jego spodniej strony posypały się kurtyny pyłu i żwiru, wraz z roztrzaskanymi fragmentami powłoki kadłuba oraz zewnętrznych czujników, a kiedy transportowiec zwrócił swój poobijany dziób w stronę środka kaldery, zastępy Roju zmieniły kurs.

Na mostku sierżant pocił się i kłął, dokładając wysiłków, by wycisnąć z protestujących silników tyle energii, ile się dało, aż do ostatniego erga. Uszkodzenia, jakich transportowiec doznał podczas wchodzenia w atmosferę, uniemożliwiły bezpieczne lądowanie na dnie kaldery, stąd decyzja pułkownika, żeby ruszyć dalej w poduszkowcach. Jednakże bezpieczne lądowanie nie leżało teraz w planach sierżanta.

Gdy okręt zmierzał w stronę kaldery, stopniowo nabierając wysokości, spod pokładu zaczęło dobiegać skrzypienie przeciążonych elementów konstrukcji. Kiedy sierżant spojrział na jarzący się światłami pulpity sterownicze, na jego oczach część wskaźników zaczęła migać czerwono, ostrzegając, że niektóre z suspensorów lewej burty pracują na granicy swych możliwości operacyjnych. Jednakże jego uwaga skupiała się przede wszystkim na zastępach Roju, które właśnie zbliżały się do ziemskiej jednostki.

Nagle transportowiec został otoczony przez kłębiącą się chmurę stworów; niektóre wylądowały na jego kadłubie, drapiąc pazurami w poszukiwaniu uchwytu, szukając dróg wejścia. Niemal równocześnie dwa suspensory wysiadły i okręt przechylił się na bakburtę. Sierżant zwiększył moc dopalaczy po lewej stronie, ignorując brzęczyki alarmów oraz łomoczące odgłosy, jakby walenia młotem, dobiegające gdzieś ze śródokręcia.

Transportowiec wyprostował się, osiągając zenit swojej trajektorii - gigantyczny pocisk, który sierżant wycelował prosto w ul Roju.

Dziesięć sekund od momentu, gdy okręt zaczął opadać, donośne łomotanie przybliżyło się - już tylko jedna czy dwie grodzie dzieliły intruzów od mostka.

Dwadzieścia sekund od rozpoczęcia opadania, gdy szarobrazowe pokryte nierównościami iglice ula majaczyły już w przesłoniętym żaluzją okienku, prawy tylny dopalacz z hukiem odmówił posłuszeństwa. Sierżant odciął dopływ mocy do lewego przedniego silnika, a w prawym przednim zwiększył ciąg aż za czerwoną kreskę.

Trzydzieści sekund od rozpoczęcia opadania, wśród ogłuszającej kakofonii metalicznego łomotu oraz ryku silników, gródź zamykająca wejście na mostek została wreszcie rozerwana. Groteskowy stwór, na wpół osa, na wpół aligator, z wysiłkiem przecisnął się przez otwór. Zamarł na sekundę, widząc struktury ula pędzące ku transportowcowi, o włos od czołowego zderzenia, po czym w panice obrócił się na pięcie i już go nie było. Sierżant cisnął za nim granat termiczny, po czym odwrócił się twarzą do okna i rozpostarł szeroko ręce, śmiejąc się...

CIECIE

WIDOK NA OLYMPUS MONS Z ORBITY

Nadal widoczny wśród kłębiącej się wokół niego chmury Rójców, transportowiec brygady pozostawia za sobą smugę wyciekających gazów i płynów, opadając jak kamień w stronę kompleksu ula. Perspektywa raptownie zmienia się na dalszą, ukazując większą część kaldery, usianej szczątkami i poznaczonej śladami bitwy, i w tym momencie następuje zderzenie. Przez moment widać jedynie chmurę odłamków i pyłu, potem trzy jaskrawe eksplozje rozkwitają jedna po drugiej, przesłaniając zarysy ula...

GŁOS LEKTORA

W pierwszej fazie Bitwy o Marsa wykorzystano pewną liczbę zbudowanych specjalnie w tym celu ciężkich rakiet, aby wysłać flotyllę asteroid przeciwko Armadzie Roju, co pozwoliło odciągnąć kluczowe okręty dalej od orbity Marsa. Główna bitwa oraz ofensywa naziemna kosztowały Ziemię życie ponad czterystu tysięcy żołnierzy i utratę siedemdziesięciu dziewięciu dużych okrętów wojennych oraz niezliczonych jednostek pomocniczych. Ten akt poświęcenia nie pozwolił zniszczyć wszystkich Nadumysłów Roju ani też nie odwiódł ich od zamierzonego celu. Jednakże udało się zniszczyć gigantyczne zapasy biobroni, takiej samej jak pociski, które spustoszyły miasta w Chinach, Europie i

Ameryce, a także kilka komór lęgowych, co zahamowało produkcję nowych wojowników Roju i opóźniło spodziewany atak na Ziemię.

Bitwa ta przyniosła całej ludzkości żalobę i smutek, ale także kupiła nam chwilę wytchnienia, pięć kluczowych miesięcy, w czasie których ukończono budowę trzech międzygwiazdnych statków kolonizacyjnych - trzech spośród planowanych początkowo piętnastu. Ostatni z nich, *Tenebrosa*, opuścił krążące na wysokiej orbicie Doki Posejdon zaledwie cztery dni temu, by ruszyć w ślad za swymi siostrzanymi jednostkami, *Hyperionem* i *Forrestalem*, trajektorią omijającą główne siły wroga. Wszystkie trzy statki wyposażone są w rewolucyjny nowy napęd nadświatlny, który pozwoli im przebyć olbrzymie dystanse w dziwnej podrzeczywistości, jaką jest hiperprzestrzeń. Jako pierwszy w nadświatlną skoczył *Hyperion*, dwa dni później *Forrestal*, a *Tenebrosa* będzie ostatnia. Szlaki ich podróży wyznaczą SI nadzorcze, tak zaprogramowane, by umknąć pogoni dzięki losowym zmianom kursu, a później poszukiwać przypominających Ziemię światów, zdalnych do kolonizacji.

I oto się oddalają, trzy arki niosące nadzieję ludzkości na przetrwanie, trzy ziarna Ziemi odlatujące w bezkresną, wygwieżdżoną noc. Teraz musimy skierować naszą uwagę - i całą siłę - na najeźdźców, z którymi już wkrótce przyjdzie się nam zmierzyć. Za dwanaście dni pierwsze formacje Roju wylądują na Księżycu i natychmiast zaatakują mieszczące się tam placówki wojskowe oraz cywilne. Wiemy, czego się spodziewać. Strategia Roju - wyróżnić i zrównać z ziemią - zawsze dotąd przebiegała tak samo, wiemy zatem, że nie będzie litości, pardonu ani zmiłowania, kiedy w końcu pojawią się na niebie nad Ziemią.

Chociaż żołnierze Roju to pułki bezrozumne, sterowane z zewnątrz, to ich przywódcy, Nadumysły, muszą być istotami rozumnymi i zdolnymi do uczenia się, inaczej Rój nie stałby się zdolny do podróży kosmicznych. Zatem, skoro Nadumysły potrafią się uczyć, stańmy się ich nauczycielami - nauczmy ich, co to znaczy zaatakować kolebkę Ludzkości...

»»»» ««««

Koniec pliku...

Część pierwsza

1

Greg

Gdy Greg Cameron odprowadzał Chela na zepstację, znad rozciągającego się na wschodzie morza nadpełzał zmierzch. Po prawej stronie ścieżki czerniał olbrzymi masyw Ramienia Olbrzyna, migoczący drobniutkimi błękitnymi rozbłyskami chrząszczy *ineka*, po lewej zaś, za barierką, ziała pionowa przepaść. Bezchmurne niebo ukazywało gwiazdną mgiełkę, która bez ustanku kłębiła się w górnych partiach atmosfery Dariena. Dziś miała ona stonowaną purpurową barwę przetykaną pasemkami różu - spokojne widmowe niebo, powoli zmieniające swe kształty.

Jednakże Greg wiedział, że o jego towarzyszu można w tej chwili powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest spokojny. W blasku oświetlających ścieżkę lamp Uvovo maszerował sztywno, ze spuszczoną głową, zaciskając chude czteropalczaste dłonie na paskach upręży przecinających pierś. Przedstawiciele tej rasy byli niewysocy i szczupli, o kościstej budowie i wielkich bursztynowych oczach osadzonych w drobnej twarzy. Zerknąwszy na niego, Greg uśmiechnął się.

- Chel, nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Uvovo spojrział w górę. Wydawało się, że przez chwilę się zastanawiał, nim jego porośnięte delikatnym futerkiem rysy rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Przyjacielu Gregori - zabrzmiał jego głos podobny do cichego dmuchania we fletnię. - Czy lecę sterowcem, czy odbywam podróż wahadłowcem do naszej błogosławionej Segrany, na końcu zawsze jestem jednakowo zaskoczony, że przeżyłem!

Roześmiali się jednocześnie, schodząc coraz niżej po zboczu Ramienia Olbrzyna. Noc była chłodna i wilgotna i Greg żałował, że nie włożył czegoś cieplejszego niż tylko robocza koszula.

- I nadal nie masz pojęcia, czemu to *zinsilu* ma się odbyć w Ibsensko? - zapytał. Dla Uvovo ceremonia *zinsilu* polegała po części na ocenie życiorysu, po części na medytacji. - To znaczy, Słuchacze mają przecież dostęp do rządowego komnetu, jeśli potrzebują się skontaktować z kimś spośród siewców czy uczonych... - Potem coś mu zaświtało. - Czeka, nie zamierzają cię chyba przypisać gdzie indziej, prawda? Chel, nie dam rady sam jeden ogarnąć zarówno wykopalisk, jak i doniesień z lasu potomnego! Naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

- Nie martw się, przyjacielu Gregori - odrzekł Uvovo. - Słuchacz Weynl zawsze dawał

do zrozumienia, że moja rola tutaj jest uznawana za bardzo ważną. Gdy tylko to *zinsilu* dobiegnie końca, jestem pewien, że powrócę niezwłocznie.

Mam nadzieję, że masz rację, pomyślał Greg. Instytut nie jest szczególnie wyrozumiały, gdy chodzi o niedociągnięcia oraz nieosiągnięte cele.

- Ostatecznie - ciągnął Chel - wasze obchody Zwycięstwa Założycieli rozpoczną się zaledwie za kilka dni i chcę tu być, aby móc obserwować wszystkie wasze ceremonie tudzież rytuały.

Greg posłał mu cierpki półuśmiech.

- Aye... cóż, niektóre z naszych „rytuałów” bywają cokolwiek hałaśliwe...

Nachylenie wyżwirowanej ścieżki już malało - zbliżali się do zepstacji. Nad głową Greg słyszał cichutkie popiskiwanie jaszczurek *umisk*, nawołujących się wzajemnie ze swoich małych kryjówek, rozsianych na powierzchni pionowej ściany Ramienia Olbrzyma. Kompleks stacji sprowadzał się zasadniczo do platformy wspartej na przyporach, na której znajdowało się parę budynków oraz sterczący na zewnątrz pięciometrowy, kryty pomost. Był przy nim zacumowany rządowy sterowiec, kołysząca się łagodnie piętnastometrowa jednostka złożona z dwóch cylindrycznych zbiorników gazu obwiązanych ciasno siatką i zwieszającej się poniżej krytej gondoli. Powłokę nadmuchiwanych części wykonano z wytrzymałego kompozytowego materiału, ale ekspozycja na zmienne warunki atmosferyczne oraz rozsiane na niej łaty nadawały całości zużyty wygląd, charakterystyczny dla większości zwykłych, intensywnie użytkowanych rządowych zeplinów. W kokpicie przypominającej kształtem łódź gondoli jarzyło się światło, a zamocowane z tyłu śmigło o trzech łopatach obracało się leniwie, popychane przez wiejącą bez ustanku znad morza bryzę.

Kierownik stacji, nazwiskiem Fredriksen, zamachał do nich z drzwi poczekalni, a z krytej części pomostu wyłonił się mężczyzna w zielonoszarym kombinezonie, żeby się przywitać.

- Dobry wieczór, dobry wieczór - powiedział, spoglądając najpierw na Grega, potem na Uvovo. - Jestem pilot Jakow. Jeśli jeden z panów to Uczony Cheluvahar, jestem gotów do drogi.

- Ja jestem Uczony Cheluvahar - przedstawił się Chel.

- Wyśmienicie. Już włączam silnik. - Pilot skinął głową Gregowi, po czym wrócił na pomost, schylając się, żeby przejść przez drzwi.

- Pamiętaj, aby wysłać wiadomość, kiedy dotrzesz do Ibsensko - powiedział Greg do Chela. - I nie przejmuj się lotem; zanim się obejrzyysz, już będzie po wszystkim...

- Ach, przyjacielu Gregori, wszak wywodzę się z Uvovo-Wojowników. Takie

sprawdziany są dla nas niczym powietrze, niczym samo życie!

Chel odwrócił się z uśmiechem i pośpieszył w ślad za pilotem. Z tylnej części gondoli zaczęło dobiegać jednostajne wycie elektrycznego silnika, stopniowo coraz wyższe, w miarę jak śmigło kręciło się coraz szybciej. Greg usłyszał donośny stukot drewnianych kół zębatych, kiedy kierownik stacji cofał pomost, a następnie wcisnął przycisk zwalniający cumy. Gdy sterowiec nagle zawisł swobodnie w powietrzu, zakołysał się i zaczął odpływać od Ramienia Olbrzyna, stopniowo nabierając prędkości i zwiększając przechył. Podróż do Portu Gagarina stanowiła zaledwie półgodzinny żabi skok - potem Chel przesiadł się na statek firmy przewozowej zmierzający do Wschodnich Miast oraz lasu potomnego Ibsensko. Greg nie widział przyjaciela przy żadnym z okrągłych okienek gondoli, opatrzonych szybami z mlecznego szkła, ale mimo to, machał przez jakąś minutę, a potem już tylko stał, patrząc, jak zeplin obniża lot w gęstniejącym zmierzchu. Ponieważ chłodne powietrze coraz bardziej dawało mu się we znaki, zapiał część guzików koszuli, nadal ciesząc się panującym wokół spokojem. Zepstacja znajdowała się prawie piętnaście metrów poniżej głównego terenu wykopalisk, ale od poziomu morza dzieliło ją jeszcze dziewięćdziesiąt. Samo Ramię Olbrzyna było potężnym szczytem wznoszącym się na wschód od strzelistego masywu znanego jako góry Kentigern; traperzy i myśliwi niemal nie zapuszczali się w ich dzikie ostępy, choć Uvovo twierdzili, że spenetrowali większą część tego obszaru.

Podczas gdy tylne światła pozycyjne zeplina powoli się oddalały, Greg chłonął panoramę, którą miał przed sobą; na wschodzie rozciągała się kilkukilometrowa nadmorska równina, a za nią, w dali, ciemniała płaszczyzna Morza Korzybskiego i lśniły światełka miejscowości rozsianych na całej długości jego rozległego zachodniego wybrzeża. Daleko na południu jaskrawo migotał Hammergeard, ulokowany na wąskim przesmyku lądu, który oddzielał jezioro Loch Morwen od morza; dalej za miastem, skryta w mglistym wieczornym mroku, rozciągała się poszarpana linia brzegowa, pełna zatoczek i fiordów, gdzie rozlokowały się Wschodnie Miasta. Na południe od nich znajdowały się wzgórza oraz wysoko położona dolina, okryte lasem potomnym Ibsensko niczym płaszczem. Na wprost przed sobą Greg widział podobne do klejnotów skupiska świateł: Port Gagarina nieco na południe, Wysokie Lochiel kilka mil na północny zachód oraz Lądowisko, gdzie skanibalizowany kadłub starego statku kolonistów, *Hyperiona*, spoczywał w cichej i smutnej Dolinie Pamięci. Jeszcze dalej na północ leżały Nowe Kelso, Engerhold, Łajka oraz osady drwali i farmerów rozproszone na północy i zachodzie, a tuż za północno-wschodnim horyzontem znajdował się Trond.

Nastrój Grega raptownie się pogorszył. Trond był miastem, które opuścił zaledwie dwa miesiące wcześniej, uciekając z pułapki, jaką była katastrofalna w skutkach kohabitacja z

Ingą - pomyłka, po której wciąż jeszcze lizał rany. Zanim jednak jego myśli zaczęły krążyć wokół tego bólu, wyprostował się i wciągnął do płuc zimne powietrze, zdecydowany nie rozpamiętywać w nieskończoność goryczy i żalu. Zamiast tego zwrócił spojrzenie w kierunku południowym, żeby zobaczyć wschód księżyca.

Zza widocznych na horyzoncie poszarpanych szczytów Gór Hrothgarskich stopniowo wyłaniało się błękitno-zielone półkole: Nieviesta, porośnięty bujną roślinnością lesisty księżyc Dariena, tętniący życiem i tajemniczy, ojczyzna Uvovo, strażników opasującej go puszczy, którą nazywali Segraną. Kiedyś, przed tysiącleciami, większa część ich leśnej cywilizacji zamieszkiwała Dariena, nazywanego przez nich Umarą, lecz jakaś nieznama katastrofa wyniszczyła populację planety, oszczędzając mieszkańców księżyca, którzy pozostali uwięzieni na jego powierzchni.

W bezchmurne noce, takie jak ta, gwiazdna mgiełka spowijała Nieviestę zwiewną aureolą przenikających się barw, upodabniając księżyc do jakiegoś bajkowego oka, spoglądającego w dół na małą niszę, którą ludzie stworzyli dla siebie w tym obcym świecie. Widok ten nieodmiennie napawał Grega otuchą. Jednakże noc stawała się coraz chłodniejsza, więc zapiął koszulę na wszystkie guziki i ruszył z powrotem w górę. Był w połowie długości ścieżki, kiedy jego kom cicho zadzwieczał. Wygrzebawszy urządzenie z kieszeni koszuli, Greg zobaczył, że dzwoni jego starszy brat, i postanowił odebrać.

- Cześć, Ian, jak się masz? - zapytał, idąc dalej.

- Nie najgorzej. Dopiero co wróciłem z manewrów i już się cieszę na myśl o dniu Zet-Zet. Będzie szansa zaliczyć ciutkę odpoczynku i odnowy. A co u ciebie?

Greg się uśmiechnął, Ian był niepełnoetatowym żołnierzem Ochotniczego Korpusu Dariena i, oprócz przebywania w domu z żoną i córką, nic go tak nie uszczęśliwiało, jak maszerowanie wielomilowymi trasami przez mokradła albo wspinaczka na bazaltowe klify w Hrothgarach.

- Dość bezproblemowo się tutaj zadomawiam - odrzekł. - Próbuję ogarnąć wszystkie niuanse tej pracy, upewnić się, że poszczególne zespoły będą składać raporty przynajmniej z grubsza w regularnych odstępach czasu, tego typu rzeczy.

- Ale czy dobrze ci się mieszka na terenie świątyni, Greg? Bo jakby co, wiesz, że mamy tutaj mnóstwo miejsca i wiem, że świetnie się czułeś w Hammergardzie, przed tym epizodem z Ingą...

Greg uśmiechnął się szeroko.

- Słowo daję, Ian, dobrze mi tutaj. Uwielbiam moją pracę, okolica jest spokojna, a widoki fantastyczne! Dzięki za ofertę, starszy bracie, ale jestem tam, gdzie chcę być.

- W porządku, chłopcze, tylko się upewniałem. Nawiasem mówiąc, czy odkąd wróciłeś, miałeś jakieś wieści od Neda?

- Tylko krótki list, ale to i tak miło z jego strony. Jest teraz bardzo zapracowanym lekarzem...

Ned, trzeci i najmłodszy z braci, zupełnie nie przywiązywał wagi do utrzymywania kontaktów z rodziną, ku dogłębnej irytacji Iana, co sprawiało, że Greg często czuł się w obowiązku bronić Neda.

- Aye, jasne, zapracowanym. No więc, kiedy będziemy mieli okazję cię znowu zobaczyć? Nie możesz przyjechać na obchody święta?

- Przepraszam, Ian, potrzebują mnie tutaj, ale za dwa tygodnie mam wyznaczony termin spotkania w Instytucie Umińskiego, może wtedy się spotkamy?

- Brzmi świetnie. Daj mi znać bliżej tej daty, to poczynię przygotowania.

Obaj życzyli sobie nawzajem wszystkiego dobrego i się rozłączyli. Greg szedł dalej spacerowym krokiem, uśmiechając się wyczekująco, nadal trzymając kom w ręku. Myślał o wykopaliskach na Ramieniu Olbrzyma, o wielu godzinach, jakie spędził, pieczołowicie odsłaniając taką czy inną rzeźbioną stelę albo fragment posadzki pokrytej misterną mozaiką, nie wspominając o niezliczonych dniach poświęconych na katalogowanie, datowanie, analizę próbek i wyszukiwanie korelacji. Niekiedy - no cóż, w zasadzie przez większość czasu - był to frustrujący proces, bo nie mieli niczego, co pomogłoby im zrozumieć znaczenie planu budowli i jej funkcje. Nawet uczeni Uvovo byli bezradni; tłumaczyli, że obróbka kamienia była umiejętnością utraconą w czasie Wojny Długiej Nocy, jednego z mroczniejszych epizodów w folklorze tego ludu.

Dziesięć minut później znajdował się już niedaleko końca ścieżki, kiedy jego kom zadzwieczał ponownie. Nie patrząc na wyświetlacz, Greg podniósł urządzenie i powiedział:

- Cześć, mammo.

- Gregory, synu, czy wszystko u ciebie w porządku?

- Mamo, wszystko jest dobrze, jestem zdrow i szczęśliwy, naprawdę...

- No tak, teraz, kiedy już się wyrwałeś z jej szponów! Ale czy nie czujesz się samotny tam, w górze, wśród zimnych kamieni, mając za towarzystwo tylko tych małych Uvovo?

Greg stłumił chęć, by westchnąć. W pewnym sensie miała rację - żył tutaj w odosobnieniu, mieszkał w zasadzie samotnie w jednej z chatek wzniesionych w pobliżu terenu wykopalisk. Nad świątynnymi rzeźbami pracowała trzyosobowa grupa badaczy z uniwersytetu, ale wszyscy byli Rosjanami i przez większość czasu trzymali się w swoim gronie, podobnie jak zespoły Uvovo, które od czasu do czasu przybywały z położonych dalej

stacji.

Niektórych uczonych Uvovo znał z imienia, ale udało mu się zaprzyjaźnić tylko z Chelem.

- Odrobina samotności to właśnie to, czego teraz potrzebuję, mamó. Poza tym, tu, na gorze, wciąż pojawiają się jacyś ludzie.

- Mhm. Ludzie wciąż zjawiali się tu, u nas w domu, kiedy twój ojciec był członkiem rady, ale nie przepadałam za większością z nich, jak być może pamiętasz.

- Oj tak, pamiętam.

Greg pamiętał też, którzy z odwiedzających pozostali lojalni, kiedy jego ojciec zachorował na nowotwór, który ostatecznie go zabił.

- Nawiasem mówiąc, rozmawiałam zarówno o tobie, jak i o twoim ojcu z wujem Teodorem, który wpadł z wizytą dziś po południu.

Greg uniósł brwi. Teodor Karlsson był najstarszym bratem matki i zyskał niejaki rozgłos oraz przezwisko „Czarny Teo” w związku ze swoim udziałem w nieudanym Przewrocie Zimowym dwadzieścia lat wcześniej. Za karę spędził dwanaście lat w areszcie domowym w Nowym Kelso, łowiąc ryby, zgłębiając historię wojskowości i pisząc, choć, gdy wreszcie został zwolniony warunkowo, rząd Hammergardu poinformował go, że nie wolno mu publikować żadnych prac, czy to literatury faktu, czy beletrystyki, pod groźbą odwieszenia wyroku. Przez ostatnie osiem lat Karlsson próbował szczęścia w różnych zawodach, utrzymując luźne kontakty z siostrą, i Greg mgliście przypominał sobie, że wuj w jakiś sposób zaangażował się w Projekt Odzysku Danych Hyperion...

- I co takiego mówi wujek Teo?

- No cóż, usłyszał wieści, które cię zadziwią; sama jeszcze nie do końca jestem w stanie w to uwierzyć. To zmieni życie nas wszystkich.

- Tylko nie mów, że chce znowu obalić rząd.

- Daj spokój, Gregory, to nie jest w najmniejszym stopniu zabawne...

- Przepraszam, mamó, przepraszam. No więc co takiego powiedział?

Z miejsca, gdzie stał, u szczytu ścieżki, wyraźnie widział obszar wykopalisk; kwadratowy centralny budynek wydawał się wyblakły i szary w jaskrawym blasku nocnego oświetlenia. W miarę jak Greg słuchał, jego mina z zaintrygowanej stała się zaskoczona, aż wreszcie parsknął pełnym zachwytu śmiechem, spoglądając w górę, na gwiazdy. Potem poprosił matkę, żeby powtórzyła wszystko jeszcze raz.

- Mamó, chyba żartujesz!...

Teodor Karlsson sprężystym krokiem szedł prywatną ścieżką w kierunku willi prezydenta. Wysokie bujne krzewy zasłaniały ją przed wzrokiem ciekawskich, a sięgające pasa słupki z latarniami rzucały kręgi przyćmionej poświaty na całej jej długości. Długi, uszyty z grubej tkaniny płaszcz Karlssona był zapięty w trzech czwartych, a robione na zamówienie podeszwy jego butów prawie nie wydawały dźwięku w zetknięciu z płytkami, którymi wyłożono ścieżkę. W ten chłodny wieczór otoczenie willi było pogrążone w mroku i ciche, ale Karlsson niemal wyczuwał węchem pozbawioną jakichkolwiek szczelin sieć środków bezpieczeństwa, która otaczała to miejsce. W dole, przy głównym murze i bramie, było widać patrole i kamery, a przy bocznych drzwiach, które miał przed sobą, stało dwóch strażników, ale Teo wiedział, że najskuteczniejsze zabezpieczenia rzadko kiedy są widoczne gołym okiem. Jednakże pytanie, które zaprzętało teraz jego myśli, brzmiało: przed kim to wszystko miało chronić?

Kiedy podchodził, strażnicy, obaj w ciemnych okularach wyświetlających obraz na wewnętrznym ekraniku, mamrotali do mikrofoników przypiętych do kołnierzy.

- Dobry wieczór, panie majorze - powiedział jeden z nich. - Gdyby był pan łaskaw spojrzeć prawym okiem w skaner.

Karlsson podszedł do prostych drewnianych drzwi, zastosował się do instrukcji i chwilę później usłyszał kilka stłumionych, głuchych uderzeń. Drzwi się otworzyły. Wewnątrz powitała go emanująca spokojem kobieta w średnim wieku, która zabrała jego płaszcz, a następnie poprowadziła go wąskim, pozbawionym okien korytarzem, obok kilku nijakich obrazów przedstawiających sielskie pejzażyki, potem zaś w górę po kiepsko oświetlonych krętych schodach, na piętro, gdzie znajdowało się dwoje drzwi. Nie zatrzymując się, przeszła przez te po lewej stronie i Karlsson znalazł się w dobrze ogrzanym gabinecie, gdzie na podłodze leżał dywan.

- Proszę się rozgościć, majorze Karlsson. Prezydent za chwilę pana przyjmie.

- Dziękuję... - zaczął mówić Teo, ale ona już wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Omiótł wzrokiem otoczenie; średniej wielkości pokój z półkami pełnymi książek, gdzie w kominku płonęły polana, a nad dużym biurkiem zwieszała się ozdobna lampa z ramieniem pozwalającym regulować jej położenie. Sięgający aż do sufitu regał z półkami częściowo przesłaniał znajdujące się w rogu drugie drzwi, wyposażone w zamek bezpieczeństwa

sprawdzający odciski palców i siatkówkę oka.

Brzuch bestii, pomyślał Teo. Czy może raczej jaskinia lwa.

Ta sama atmosfera towarzyszyła wszystkim jego spotkaniom z Sundstromem, niezależnie od tego, gdzie się odbywały. Dlatego właśnie nabrał zwyczaju odwiedzania na krótko przedtem swojej siostry, Solvjeg, tylko po to, żeby jej dyskretnie dać do zrozumienia, gdzie zamierza spędzić kilka następnych godzin, przemycając też zawołowaną aluzję co do tego, z kim się spotyka. Dziś jednak Solvjeg przede wszystkim chciała wiedzieć, czy pogłoski są prawdziwe, czy naprawdę przyszedł sygnał z Ziemi.

Teo uśmiechnął się szeroko, przypominając sobie tę chwilę. Wiadomość odebrano ponoć tego ranka, a mimo to, już po południu usłyszał ją z szóstej ręki od starego przyjaciela z Korpusu, nic zatem dziwnego, że dotarła też do Solvjeg przez siatkę plotkujących matron. Teraz był wieczór, a pogłoski krążyły po całej kolonii. Nawet Kirkland, lider opozycji, wydał już oświadczenie, ale jak dotąd ani rada, ani kancelaria prezydenta nie ogłosiły jeszcze oficjalnego potwierdzenia.

Statek z Ziemi! - pomyślał Teo. Zatem już wiemy, że rasa ludzka przetrwała Wojnę z Rojem, ale czy pokonaliśmy najeźdźców, czy też innym udało się przeżyć i uciec z Ziemi? I co się stało z pozostałymi statkami kolonizacyjnymi, z *Forrestalem* i *Tenebrosą*?

Jego umysł aż kipiał od pytań będących efektem półtorarocznej nieopłacanej pracy przy Projekcie Odzysku Danych Hyperion. To jego własne doświadczenie ze służbą wojskową doprowadziło do tego, że zaczął pomagać jednemu z szefów projektu przy transkrypcji traktatu o wojskowości napisanego po szwedzku. Okazało się, że chodzi o szwedzki przekład dzieła *O wojnie* tego Prusaka, von Clausewitza - książki, którą Teo znał wcześniej tylko z cytowań. Pochłonięty jednostajną pracą, jaką było wydobywanie jej z Hyperionowych strumieni niesformatowanego tekstu, i zmuszony do zgadywania, w których miejscach występuje podział akapitów, uległ fascynacji *Hyperionem* i jego siostrzanymi statkami, w tym tymi, które nigdy nie wyruszyły w drogę...

Drzwi za półkami w rogu otwarły się i do pomieszczenia wjechał prezydent na wózku popychanym przez młodego człowieka w brązowo-szarym jednoczęściowym kombinezonie.

- Dobry wieczór, Teodorze - powiedział Sundstrom, odprawiając pomocnika. Zręcznie manewrując wózkiem, przejechał przez pokój i zatrzymał się za biurkiem.

- Dobry wieczór, Holgerze - odrzekł Teo. - Ma pan interesujący gabinet i trochę ciekawych książek. - Wskazał oszkloną gablotę. - Czy tam stoi *Rok 1984* w wydaniu Serowa?

- Owszem - odparł Sundstrom. - *Kamień Księżycowy* Collinsa jest rzadszy, ma się rozumieć, ale Orwell to pisarz o wiele odpowiedniejszy dla polityka.

Teo zaśmiał się pod nosem. Wasilij Serow był technikiem systemów na pokładzie statku kolonizacyjnego *Hyperion* i odegrał decydującą rolę w śmiertelnej walce przeciwko SI dowodzącej statku. W Latach Trudów, które nastąpiły potem, Serow zmagistrował prymitywną ręczną prasę drukarską i za pomocą ruchomych czcionek mozolnie wydrukował na papierze te kilka powieści, jakie tkwiły w datapadach, które nie były podłączone do pokładowego komnetu. Olbrzymie banki danych *Hyperiona*, pogrzebane pod kilkoma warstwami kodowania przez zbuntowaną SI, miały pozostać nieosiągalne przez całe dekady, więc dzieło rąk Serowa okazało się nieocenione dla tych kolonistów, którzy przeżyli.

Obaj mężczyźni chwilę milczeli, po czym Sundstrom przemówił:

- Zakładam, że słyszałeś.

- Jakież dwie godziny przed tym, jak dostałem pańskie zaproszenie - odparł Teo, obserwując go. - A więc to prawda: Ziemia wysłała statek, który ma nas odnaleźć, co oznacza, że Rój został pokonany i nadszedł kres wszystkich naszych kłopotów, tak?

Sundstrom uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

- Gdyby sprawy były takie proste, Teo. Wojna z Rojem trwała dwa i pół roku, z tego co się dowiedziałem, i zakończyła się półtora wieku temu, a to długi okres w historii kultury czy społeczeństwa. Tylko pomyśl o wszystkich konfliktach i wrzeniach, jakie ma za sobą nasza mała enklawa: wojna z SI *Hyperiona*, Pierwsze Rodziny przeciwko Nowemu Pokoleniu, Konsolidatorzy versus Ekspansjoniści, secesja Nowych Miast, i przemność to przez skalę planetarną. - Potrząsnął głową. - Obawiam się, że egzystencja nas wszystkich lada chwila stanie się znacznie bardziej skomplikowana i, trzeba to powiedzieć, mało komfortowa.

Marszcząc brwi, Teo usiadł wygodniej i wrócił pamięcią do mniej więcej tuzina swoich spotkań z Sundstromem, jakie odbyły się na przestrzeni ostatnich dwóch lat.

- Mówi pan tak, jakby wiedział coś, o czym ja nie słyszałem... - Pochylił się. - Kiedy po raz pierwszy mnie pan poprosił, żebym się przyłączył do waszej małej koterii, powiedział pan, że przygotowujemy się na najgorsze, na przykład na możliwość okupacji przez nieprzyjazny gatunek. Teraz zdaje się, że statek z Ziemi ma tu przybyć za... ile?

- Czternaście godzin.

- Za mniej niż dobę, w porządku - ciągnął Teo. - Jednak pańskie zachowanie nie świadczy, tak to ujmijmy, o radosnym oczekiwaniu. - Zaśmiał się i pstryknął palcami. - A może od początku przygotowywaliśmy się właśnie na to, że Ziemia nawiąże z nami kontakt?

Sundstrom odchylił się na wózk; jego sękatę rękę luźno obejmowały podłokietniki.

- Zawsze cechowała cię bystra intuicja, Teodorze - powiedział. - Gdybyś to ty był przywódcą Przewrotu Zimowego, a nie Wiktor Ingram...

- Gdybym wtedy dysponował tak bystrą intuicją, zastrzeliłbym drania, zamiast mu ufać - odrzekł cierpko Teo. - Ale uchyla się pan od odpowiedzi na moje pytanie, Holgerze.

- Czekam, aż dołączą do nas pozostali. Ach, zdaje się, że właśnie się zjawili. - Prezydent sięgnął do przodu i przesunął palcami po ostrokątnym wyświetlaczu osadzonym w blacie biurka.

Pozostali, pomyślał Teo. Sundstrom od czasu do czasu czynił aluzje, z których wynikało, że koteria liczy więcej członków, ale w ciągu dwóch lat Karlsson poznał tylko jednego z nich, barczystego, muskularnego Szkota, który został mu przedstawiony jako Boris. Nie było go wśród trojga ludzi, którzy teraz weszli do gabinetu. Dwojga z nich - mężczyzny i kobiety - Teo nigdy wcześniej nie widział. Trzeciego rozpoznał natychmiast - był to Witalij Piatkow, zastępca dyrektora w Biurze Doradczym, organizacji wywiadowczej, której założenie było jednym z następstw Przewrotu Zimowego. Karlssona ubawił wyraz zaskoczenia, niemal przerażenia, jaki przemknął przez twarz mężczyzny, gdy ten zobaczył, kto znajduje się w towarzystwie prezydenta, jak również pozbawiona emocji dyżurna mina, w której zastygły jego rysy sekundę później.

- Dziękuję wam wszystkim, że zechcieliście się tutaj zjawić dzisiejszego wieczoru - powiedział Sundstrom. - Wszyscy zgodziliście się zostać członkami mojego małego wewnętrznego kręgu doradczego, ale na tę chwilę zamierzam ograniczyć ujawnianie tożsamości do minimum.

Następnie przedstawił mężczyznę jako Donny'ego, a kobietę jako Tanię. Gdy już wszyscy zajęli miejsca, kontynuował.

- Przede wszystkim, jak zapewne zdajecie sobie sprawę, pogłoski są prawdziwe. Jeden z naszych satelitów komunikacyjnych odebrał wiadomość nadaną, jak głosiła jej treść, ze statku *Herakles* pochodzącego z Ziemosfery, przekazującą życzliwe pozdrowienia i informującą nas, że ich statek znajdzie się na orbicie Dariena jutro rano, mniej więcej o godzinie dziesiątej. Simurg 2, nasz satelita orbitujący wokół Nieviesty, śledzi obiekt poruszający się po kursie przechwytyjącym względem Dariena; dalsza wymiana komunikatów potwierdziła, że ich źródłem jest ten właśnie obiekt.

- Dalsza wymiana komunikatów, panie prezydencie? - odezwała się kobieta imieniem Tania. - Czy doszło do dialogu? Czy mamy jakiegokolwiek wskazówki, czego możemy się spodziewać?

- Na pokładzie okrętu znajduje się specjalny ambasador, który przedstawił się jako Robert Horst, ale jak dotąd wymieniliśmy niewiele więcej niż uprzejme dyplomatyczne formułki.

Sundstrom zrobił pauzę i zapadła pełna zaskoczenia cisza. Pozostali zerkali na ekran oraz na siebie nawzajem, podczas gdy rewelacje, które przedstawił prezydent, w pełni docierały do ich świadomości, i Teo omal nie roześmiał się w głos.

Skomplikowana i mało komfortowa?, pomyślał. To mało powiedziane.

Oficer wywiadu Piatkow przemówił:

- Panie prezydencie, z całym szacunkiem: wiem, że pańskie rozmowy z ambasadorem nie trwały długo, więc muszę spytać, na czym stoimy, gdy chodzi o legalność oraz niepodległość?

- Jeszcze w zasadzie nie tknęliśmy tego tematu, Witaliju, ale nie wątpię, że ta kwestia wkrótce wypłynie.

- Nie mogą się na serio spodziewać, że ich zaprosimy do przejęcia władzy nad kolonią, prawda? - odezwał się Teo.

- Po stu pięćdziesięciu latach - powiedział prezydent - wątpię, by brali pod uwagę taką możliwość. Konsekwencje polityczne byłyby porażające. Jednakże ta sytuacja ma jeszcze inne aspekty, które w praktyce okażą się zdecydowanie bardziej palące, jak na przykład nasze miejsce w galaktyce.

- Nasze miejsce w galaktyce? - powtórzył mężczyzna imieniem Donny. - Brzmi groźnie.

- Bardziej niż się panu zdaje - odparł Sundstrom. - Z moich rozmów z ambasadorem wynika, że jesteśmy bardzo daleko od Ziemi i że nasz świat leży w samym środku czegoś, co można byłoby określić mianem spornego terytorium. Ziemia ma co prawda sojuszników w tym rejonie, państwo międzygwiazdne znacznych rozmiarów, znane jako Hegemonia Sendrukańska...

Podczas gdy Sundstrom kontynuował, Teo zerknął na pozostałych. Kobieta imieniem Tania chłonęła każde słowo, wpatrując się w prezydenta, podczas gdy Piatkow zachowywał większą rezerwę; nieznacznie marszczył brwi, przetrawiając to wszystko. Drugi mężczyzna, Donny, słuchał, ale cechowała go spokojna czujność.

Służby specjalne, bez dwóch zdań, pomyślał Teo. Plus oficer wywiadu, ta pani to pewnie networkerka... może jest członkiem administracji rządowej albo wydziału komunikacji... i skompromitowany eskmajor. Muszą być jeszcze inni oprócz nas.

- Zatem, z kim toczy się spór o to terytorium, panie prezydencie? - zapytał Piatkow.

- Najbliżej nas znajduje się państwo narodowe zwane Jednością Brolturańską, fanatyczne odgałęzienie głównego nurtu cywilizacji sendrukańskiej. Ich żądania kwestionuje Wspólnota Imisil, konfederacja różnych ras, w większości niehumanoidalnych. Ponoć nie są

nastawieni na ekspansję, lecz mimo to, roszczą sobie prawa do obszaru, w którym się znajdujemy, zwanego strefą głębinową Huvuun, żeby utrzymać swego rodzaju bufor między sobą a Brolturanami.

W tym momencie Donny uśmiechnął się i wyprostował plecy.

- To jak oni wyglądają, ci Sendrukanie?

- Są dość podobni do nas - odrzekł Sundstrom. - Bardzo przypominają ludzi, tyle że mierzą średnio trzy metry wzrostu.

- Opis robi wrażenie - powiedział Teo. - Coś jeszcze?

Prezydent uśmiechnął się jednym ze swoich łobuzerskich uśmiechów, którym towarzyszył błysk w oku.

- Tak, i to całkiem sporo. Ziemia, a raczej Ziemiosfera, jest sojusznikiem Hegemonii Sendrukańskiej już od półtora wieku, a dokładniej od czasu Wojny z Rojem. Widzicie, Hegemonia w ostatniej chwili włączyła się do tego konfliktu i pomogła Ludzkości pokonać Rój, wypierając ich ostatecznie z Układu Słonecznego. W efekcie narodził się długoterminowy sojusz, który ogromnie dopomógł Ziemi, bo najpierw udzielono jej wsparcia w sytuacji kryzysowej, a później pomagano w odbudowie. Sojusz ten miał również pewne konsekwencje kulturowe, które mogą się wam wydać zaskakujące czy nawet szokujące. Hegemonia to cywilizacja, która w znacznym stopniu polega na sztucznej inteligencji: SI występują tam powszechnie, a większość zgodnie z prawem ma status autonomicznych obywateli. Co więcej, kilka najstarszych i najbardziej złożonych piastuje wysokie stanowiska w rządzie. W kulturze Ziemi sztuczne inteligencje upowszechniły się na wszystkich poziomach i we wszystkich sektorach, wysycając tkankę społeczną do tego stopnia, że obecnie wielu ludzi nosi ze sobą spersonalizowane urządzenia tego typu, niekiedy w postaci implantów, i określa się je mianem „towarzyszy”, przenigdy SI.

Zapadło milczenie, a gdy do obecnych dotarło znaczenie jego słów, wszyscy wymienili między sobą przestraszone spojrzenia. Sto czterdzieści osiem lat wcześniej, krótko po wykryciu świata, który miał się stać ich nowym domem, załoga oraz koloniści z *Hyperiona* byli zmuszeni stoczyć szaleńczą i desperacką walkę z SI dowodzącą statku. Pod koniec zaczęła ona budzić innych kolonistów z kriosnu i wyposażać ich w implanty nerwowe, by wypełniali jej rozkazy. Chociaż minęło już tyle dekad, przerażające szczegóły owej walki nadal rozbrzmiewały niczym echo w świadomości kolonii, stając się silnie oddziałującym symbolem oraz powszechnie akceptowanym uzasadnieniem dla wprowadzenia zakazu wszelkich badań nad SI, upamiętnianym przez coroczne obchody Dnia Zwycięstwa Założycieli.

- Za parę godzin ogłoszę informację o przybyciu ziemskiego statku w widorędziu skierowanym do całej kolonii, a wcześniej złożę oświadczenie przed Zgromadzeniem - powiedział prezydent. - Oczywiście nie będzie żadnej wzmianki o szczegółach, które zrelacjonowałem tutaj, ale chciałem wam teraz przekazać te informacje osobiście, bo nawet nasze najbezpieczniejsze kanały komunikacji mogą w najbliższych dniach przestać być bezpieczne.

- Czy jest możliwe, że ambasador Ziemi będzie miał ze sobą jedną z tych SI? - zapytał Piatkow.

- Rozsądnie będzie założyć, że z dużym prawdopodobieństwem tak - odrzekł Sundstrom. - Może to sprawić, że w Dniu ZZ poczuje się urażony, ale zajmiemy się tym problemem, kiedy zaistnieje. - Rozłożył ręce. - Tymczasem nasze przygotowania stały się sprawą jeszcze większej wagi: zachowajcie aktualne spisy współpracowników i spodziewajcie się, że do jutrzejszego wieczoru zostaną wprowadzone nowe hasła.

Gdy Teo wstał razem z pozostałymi, Sundstrom gestem przywołał go z powrotem.

- Teodorze, gdybyś był uprzejmy chwilę zaczekać.

Kiedy pozostali pożegnali się już i wyszli, przy czym Piatkow miał ponurą minę, prezydent wyjechał wózkiem z biurka i zbliżył się do dość nijako zaprojektowanego barku. Nalał sobie mały kieliszek czegoś ciemnoczerwonego, nie częstując Teo, wypił jednym haustem i wydał ochryple, pełne zadowolenia westchnienie.

- Bardzo się cieszę, że zgodziłeś się dołączyć do mojej małej konspiracji, Teodorze - powiedział. - Nawet jeśli nadal przestajesz z różnymi łobuzami i nieprzystosowanymi społecznie typami, tymi twoimi Charakternymi.

- Ach, to po prostu grupa kolegów z czasów, gdy służyłem w armii, przyjaciół rodziny...

- Teo wzruszył ramionami, uśmiechając się. - Ludzie o zbliżonych poglądach.

Uśmiech Sundstroma był znaczący.

- W każdym razie nadal cenię twoje doświadczenie oraz przenikliwość w kwestiach militarnych, a nawet twój punkt widzenia jako tego, który robi za dyżurny głos sprzeciwu. Ale jest jeszcze coś, co wnosisz do naszych potajemnych machinacji, coś, co być może będzie miało kluczową wagę.

Teo się zaśmiał.

- Coś mi mówi, że nie ma pan na myśli mojego uroku ani chłopięcej urody.

Sundstrom spojrział na niego spod oka.

- Z tego co wiem, ty oraz twoi starzy przyjaciele z Korpusu nazywacie to „aktywami”.

Teo, który nadal stał, znieruchomiał, ale po chwili zmusił się, by rozluźnić mięśnie.

- Aktywami?

- Po Przewrocie Zimowym zniknęła znaczna liczba broni i amunicji, a także środki wybuchowe, sprzęt techniczny i pewna liczba pojazdów. Zakładając, że to wszystko zostało zgromadzone w różnych miejscach w pobliżu osad kolonii, nie można wykluczyć, że jakiś organ wywiadowczy rządu mógł się dowiedzieć o tych kryjówkach. W takim wypadku dane na ich temat mogą się znajdować w plikach, które, jak już wspomniałem, wkrótce staną się nie do końca bezpieczne. Oczywiście, gdyby te magazyny okazały się puste, wówczas takie pliki można byłoby bez zwłoki zamknąć i skasować. - Uśmiechnął się. - Nie wiem, czemu przechowaliście to wszystko; może nadal żywiliście długofalowe ambicje, a może po prostu pilnowaliście tej broni, żeby nie wpadła w cudze ręce. Tak czy owak cieszę się, że nadal jest ona w waszym posiadaniu.

Teo uśmiechnął się beznamiętnie.

- Holgerze, nie mam pojęcia, co mógłbym odpowiedzieć, ale starannie rozważę tę kwestię.

- To wszystko, o co proszę.

- Jest jedna mała przysługa, którą mógłby mi pan wyświadczyć - podjął Karlsson.

- To znaczy?

Teo nadal się uśmiechał.

- Czy w czasie pańskiej wymiany komunikatów z ziemskim statkiem dowiedział się pan czegoś na temat losów *Forrestala* i *Tenebrosy*?

- To było jedno z moich pierwszych pytań - odrzekł Sundstrom. - Ale wygląda na to, że nie natrafiono na ich ślad, że my mamy zaszczyt być pierwszymi, z którymi udało się nawiązać kontakt.

- W związku z czym, bez wątpienia, znajdziemy się pod lupą.

- A to dlaczego?

- Bo będą chcieli sprawdzić, jakie efekty dał ten eksperyment w dziedzinie mieszania się kultur - odparł Teo. - Kiedy na Ziemi przygotowywano pierwotny projekt kolonizacji, przeprowadzono komputerową symulację wielu różnorodnych kombinacji narodowo-kulturowych, próbując wyszukać te, które z największym prawdopodobieństwem będą w stanie przetrwać warunki panujące na obcych światach. I stworzyć wartościowe społeczeństwo.

Sundstrom uśmiechnął się smutno.

- Skandynawowie, Rosjanie i Szkoci - co też im przyszło do głowy?

Chwilę później do gabinetu weszła asystentka, niosąc płaszcz Teo. Karlsson włożył go,

uściskał dłoń prezydenta i wkrótce potem ponownie znalazł się w ciemności przed willą. Czuł w powietrzu wyraźny chłodek, gdy opuszczał teren willi przez skrytą w cieniu drzew dwuskrzydłową bramę, tak zaprojektowaną, by wyglądała jak wejście na ogród sąsiedniej posiadłości. Na poboczu drogi czekała zamówiona przez niego wcześniej krętaśkówka. Szosa biegła w dół w stronę Hammergardu, a potem wzdłuż wąskiego przesmyku oddzielającego Loch Morwen od Morza Korzybskiego i rozciągającego się dalej oceanu. W obu zbiornikach wodnych migotały barwne odbicia snującej się po nocnym niebie gwiazdnej mgiełki. Jednakże Teo rozmyślał o ostatnich uwagach Sundstroma na temat Charakternych, nie wspominając już o aktywach - wzmianka o nich była cokolwiek wytrącającą z uwagi niespodzianką. Niemniej prezydent uznał za stosowne powiedzieć Teo, że aktywa są zagrożone - ta rewelacja mogła implikować jedynie ograniczoną liczbę rzeczy, a wszystkie one oznaczały kłopoty.

Teo polecił kierowcy, by ten wysadził go na szosie biegnącej wzdłuż brzegu Loch Morwen, w dzielnicy miasta noszącej nazwę Northvale. Podczas gdy pomruk krętaśkówki stopniowo cichł, w miarę jak oddalała się z powrotem w stronę centrum, Karlsson wyjął swój kom, kierując się w górę bocznej drogi prowadzącej do jego domu. Był to starszy, masywniejszy model, z obudową wykonaną ze śpiwedrewna, podrapaną i pociemniałą od długiego używania, ale wygląd zewnętrzny nie szedł w parze ze specjalnie dobranymi, unowocześnionymi komponentami. Kilka naciśnięć kciukiem później na owalnym błękitnym ekranie pojawił się napis „Witajcie w Krypcie”, a kiedy Teo podniósł urządzenie do ucha, przez sekundę czy dwie słyszał zawadiacką melodię graną na dudach, zanim ktoś odebrał.

- Aye, co znowu?

Teo odchrząknął.

- Rory, to ja.

Chwila milczenia.

- Aj, przepraszam, majorze; dopiero co miałem Stefa na linii z Tangenbergu, dziamolił mi tu na grafik ćwiczeń, bo chce obejrzeć na widzie przylot tego ziemskiego ambasadora, i myślałem, że to znowuż on...

- Nie szkodzi, nic się nie stało - odparł Teo. - Słuchaj, będziemy musieli dzisiaj ruszyć parę ładówek i załóg.

- To nie będzie łatwe, szefie. Po co?

- Sundstrom wie o aktywach.

- Rany, tylko nie to...

- A ściślej rzecz ujmując, wie, że rządowy wywiad o nich wie, więc musimy je

wszystkie dzisiaj przetransportować gdzie indziej.

- Krucafuks, szefie, czy będziemy musieli szczelać, żeby zwiąć?

Teo zwolnił kroku, zbliżając się do obrośniętych liśćmi schodów, które prowadziły w górę do jego lokum.

- To właśnie jest w tym wszystkim najśmieszniejsze, Rory: nie sądzę, żeby ktokolwiek obserwował kryjówki, nie mówiąc już o zasadzaniu się na nas. Słuchaj, jestem teraz pod domem. Niech Iwanow albo Janssen przyjadą tu po mnie za kwadrans. I jeszcze jedno: zobacz, czego uda ci się dowiedzieć na temat gościa ze służb specjalnych imieniem Donny. -
Podał z pamięci krótki opis.

- To musiało być niezłe spotkanie, co żeście na nim byli w pałacu - powiedział Rory. -
Czy słusznie myślem, że całe to ambasadorskie przyjeżdżanko i witanko nie jest do końca tym, na co wyglunda?

- Rory, pojęcia nie masz.

A śpiesząc drewnianymi schodkami w górę, pomyślał: I zdaje się, że ja też nie.

Legion

To kontraktowy statek zwiadowczy o nazwie *Segmenter* odkrył planetę Darien, eksplorując niebezpieczne rubieże strefy głębinowej Huvuun.

Przemierzając splątane wiry i kurtyny międzygwiazdowego pyłu i śmieci, *Segmenter* skrupulatnie (i potajemnie) nanosił obiekty na mapy, skanował i przeprowadzał pomiary przez kilka długich tygodni, zanim natrafił na układ gwiazdny, którego nie było na żadnej mapie, o czterech planetach, w tym jednej nadającej się do zamieszkania. Ponieważ do tej części Huvuun aktualnie rościły sobie prawa dwie antagonistycznie nastawione cywilizacje, Brolturanie i Imisil, przez kolejną godzinę czy dwie panowało napięcie, podczas gdy skanowano układ w poszukiwaniu innych statków, boi sygnałowych, sond lub sieci czujników. Kiedy stało się jasne, że obszar jest wolny od tego rodzaju zagrożeń, *Segmenter* podleciał bliżej, a jego załoga zabrała się do pracy.

Wkrótce zaczęły napływać dane: nadający się do zamieszkania świat, wariant trzeci, ze skupiskiem osad na średnim poziomie zaawansowania technicznego, a dodatkowo mający duży, również nadający się do zamieszkania księżyc. Potwierdzono, że zamieszkujący planetę rozumny gatunek to Ludzie, a ich prosta sieć informacyjna ujawniła, że cała populacja liczy jakieś dwa i trzy czwarte miliona. Księżyc zamieszkiwała tubylcza dwunożna rozumna rasa zwana Uvovo, koegzystująca z rozległym ekosystemem leśnym...

Jeden ze skanerów *Segmentera* poskładał zebrane informacje w wyczerpujący raport, który został następnie przekazany kapitanowi. Ten z miejsca uświadomił sobie, że obecność Ludzi czyni te informacje zbyt ważnymi, by mógł je zachować dla siebie, więc rozkazał, aby raport zakodowano i wysłano nadprzestrzennym drugopoziomowym łączem komnetowym do siedziby kartelu Oko Słońca, gigantycznej międzygwiazdnej korporacji, która wynajęła usługi *Segmentera*. Stamtąd pomknął on do Biura Spraw Zewnętrznych na Iseri, nadrzędnym ojczystym świecie Hegemonii Sendrukańskiej. Sześć godzin po tym, jak raport opuścił *Segmentera*, nad jego treścią dyskutowali najwyżsi urzędnicy Hegemonii oraz ich SI, a prace nad sformułowaniem strategii politycznej były już w toku.

Jednakże kapitan *Segmentera* nie miał nic przeciwko temu, żeby dwukrotnie sprzedać ten sam towar, i szybko znalazł nań klienta w cieszącym się złą opinią porcie Czarne Gniazdo. Zadowolony z nowego nabytku diler danych przelał okrągłą sumkę na bezpieczne konto, po czym niezwłocznie przesłał pliki pewnej liczbie klientów, którzy zgodnie z umową

otrzymywali na bieżąco wszystkie informacje o nowo odkrytych planetach.

Jednym z tych klientów był kiskashiński pirat liniowy na Yndyeri Duvo, świecie drugiego szczebla w Autarkii Erdindeso. Dzięki reputacji kogoś, kto jest w stanie sprzedać wszystko każdemu, zyskał on wielu klientów, w odniesieniu do których słowo „ekscentryczny” stanowiło zaledwie początek. A do najbardziej małomównych zaliczał się jeden, którego Kiskashińczyk na własny użytek ochrzcił Lordem Tajemniczym. Lord Tajemniczy objawił się prawie dwadzieścia lat wcześniej, z solidnymi zasobami finansowymi w piraseryjskiej walucie i zwięzłym opisem swoich wymagań, gdy chodzi o informacje, z dołączonym bezpiecznym adresem w sieci lokalnej na siostrzanym świecie Duvo, Yndyeri Tetro. Kiskashińczyk był flegmatycznym kupcem i dopóki wiarygodność kredytowa jego klientów pozostawała bez zarzutu, nie zależało mu specjalnie na tym, żeby się o nich dowiedzieć czegoś więcej. Tak więc, gdy tylko raport na temat Dariena pojawił się w jego przenośnej przestrzeni danych (w czasie gdy on sam targował się z pewnym tekmarketerem o koszty związane z przepustowością łączy w nadchodzącej heksadzie), kupiec zrozumiał, że jest to akurat ten typ informacji, jaki Lord Tajemniczy zaznaczył w swoim profilu zbieracza jako pożądany. Zamiast jednak niezwłocznie przesłać raport dalej, Kiskashińczyk otworzył go i zastanowił się nad treścią; dawno zapomniana kolonia Ludzi odkryta w samym środku strefy głębinowej Huvuun, z Imisilczykami w jednym rogu, Brolturanami w drugim oraz wiszącą nad tym wszystkim Hegemonią - hm, ryzykowna lokalizacja, bez wątpienia, i fascynująca. Kiskashińczyk nie znał żadnych Ludzi, ale gdyby jacyś skontaktowali się z nim, żeby przedstawić lukratywną propozycję, z pewnością byłby otwarty na taką możliwość.

A na wypadek, gdyby jacyś inni jego klienci wykazali zainteresowanie tym małym kąskiem, umieścił raport w jednej z wolniejszych kolejek wychodzących. To da mu trochę czasu, żeby później zapoznać się z nim dokładniej i oszacować możliwości jego ponownej sprzedaży. W końcu interes musi się kręcić.

Chel

Ilekcroć wchodził na pokład pojazdu skonstruowanego przez Ludzi, Chel odkrywał, że zmuszony jest na nowo uczyć się opanowania i cierpliwości. Były twarde i puste w środku, całkowicie pozbawione witalności organicznego życia, a mimo to wyposażone w sprytnie zaprojektowane silniki, które pozwalały im się poruszać. Kiedy rządowy zeplin wylądował w Porcie Gagarina, Chel odetchnął, śpiesznie schodząc z pomostu na ubitą ziemię wgłębionego lądowiska. Trudno było zaufać czemuś, co ani nie oddycha, ani nie ma bijącego serca - czemuś, co nie śpiewa pieśni życia.

A jednak kiedyś, w bardzo odległej przeszłości musieliśmy być całkiem inni, pomyślał, oglądając się na sterowiec. Kiedyś Uvovo obrabiali zimny, martwy kamień i wznosili takie budowle, jak ta świątynia na Waonwirze. Jakim byliśmy wówczas ludem?

Krótki nocny lot z Waonwiru, który Ludzie nazywali Ramieniem Olbrzyma, do Portu Gagarina stanowił zaledwie pierwszy etap jego podróży. Na lądowisku powitała go zdyszana, wyglądająca na znękaną młoda ludzka kobieta, która natychmiast poprowadziła go zabudowanymi przejściami do jednego z dużych lądowisk, a w biegu przedstawiła się jako Oksana. Dotarłszy na miejsce, weszli na pokład potężnego, ociążałego frachtowca o nazwie *Skidhbladnir*, tak poobijanego i brudnego, że w porównaniu z nim rządowy zeplin wydawał się nieskazitelnie czysty.

Gdy już znaleźli się w środku, Oksana przeprosiła za pośpiech, zrzucając winę na niekompetentnych kurierów, i dała mu bilety na resztę podróży.

- Nie powinna potrwać dłużej niż sześć czy siedem godzin, a po drodze będzie pięć przystanków, zanim dotrze pan do Invergault, gdzie będzie na pana czekał ktoś z Ibsensko. Kiedy będzie pan gotów do powrotu, proszę po prostu przysłać nam wiadomość z biura monitorów w mieście.

- Będę pamiętał, Oksano - odrzekł Chel. - Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co, Uczony - odparła. - Bezpiecznej podróży.

Kiedy odeszła, Chel odszukał wyściełaną półkę, która miała mu posłużyć za kuszetkę, podczas gdy z dołu, z głównej ładowni nadal dobiegały głucho uderzenia oraz okrzyki towarzyszące załadunkowi. Wkrótce potem wreszcie zamknięto luk i towarowy zeplin zakołysał się, gdy go odcumowywano. Zahuczały silniki, a półka pod ciałem Chela delikatnie zawibrowała; potem poczuł łagodniejsze kołysanie i zrozumiał, że ruszyli w drogę.

Sześć czy siedem godzin, o których mówiła Oksana, zmieniło się w prawie dziewięć. Podczas gdy frachtowiec leciał przez noc i poranek, Chelowi udało się zdrzemnąć na pewien czas, kiedy już przyzwyczał się do martwego, pustego pojazdu Ludzi. Niemal przestał zauważać terkot bębnow cumowniczych, okrzyki robotników dźwigających towary oraz odgłosy towarzyszące przenoszeniu ładunku. Kiedy *Skidhbladnir* wreszcie dotarł do Invergault, Chel bezsprzecznie poczuł ulgę, złącząc na niewielką platformę stacji zeplinów, podczas gdy towarowy sterowiec wisiał nad jego głową, kołysząc się na napiętych, skrzypiących linach.

Invergault było miasteczkiem ulokowanym powyżej kamienistej zatoczki znajdującej się blisko krańca fiordu o stromych brzegach. Podobnie jak większość Wschodnich Miast, stanowiło ono miejsce spotkań i handlu dla myśliwych, rybaków oraz traperów. Schodząc z platformy, zauważył, że na prawie wszystkich dachach stoją krętники wykorzystujące siłę wiatru, a wyloty kominów zasłaniają duże korzenie *afteg*, pochłaniające popiół i dym z kominków oraz pieców kuchennych, pozwalające wykorzystać ulatujące ciepło, zamiast pozwolić, by się zmarnowało. Chel wiedział od swoich nauczycieli, że zanim Ludzie wysłali swoje statki w górę, ku ojczyźnie Segrany, koloniści prowadzili rabunkową gospodarkę zasobami przyrody i w zasadzie nie podejmowali jakiegokolwiek rodzaju działalności chroniącej te zasoby. Po zawarciu Porozumienia Przyjaźni Uvovo zdołali pomóc Ludziom zarzucić niektóre nieoszczędne, niszczycielskie zwyczaje, pokazując im, jak uprawiać i wykorzystywać liczne odmiany korzenia przesiewniczego. Z czasem umożliwiło to założenie siedmiu lasów potomnych, dzięki którym do społeczeństwa Ludzi pomału przeniknęła zmiana postaw kulturowych. Ochrona środowiska naturalnego stopniowo stała się częścią ich obyczajów i tradycji.

Na pokrytym żwirem zboczu niedaleko zepstacji Chel spotkał młodą Uvovo, która wyszła mu naprzeciw. Była odziana w proste zielone szaty i nosiła amulet Życzliwych. Otoczona przez wyższych, masywniejszych Ludzi, sprawiała wrażenie wystraszonej, ale rozpromieniła się na widok Chela. Przedstawiła się jako Giseru i poprowadziła go w górę, do zagrody z *lohig*, gdzie starszy człowiek doglądający zwierząt odwiązał dwa wierzchowce i osiodłał je z niemal niedbałą sprawnością eksperta. Kilka chwil później Chel i jego przewodniczka już wyjeżdżali z miasta, podążając szeroką, zrytą koleinami wiejską drogą, która zagłębiała się w porośniętym krzakami wąwozie, a później wiodła przez leżące dalej zalesione wzgórza.

Chel musiał stłumić chęć roześmiania się, gdy, ściskając w dłoniach pręt zastępujący wodze, podążał za Giseru przez las. *Lohig* były sześcionożnymi stworzeniami o

segmentowanych ciałach, chronionych przez kościane pancerze, których wielkie ciemne ślepia były osłonięte mrugającymi wewnętrznymi powiekami. Pod liściastymi baldachimami Segrany zwykle osiągały zaledwie rozmiary dłoni, ale kilka gatunków roślin oraz zwierząt występujących zarówno na Umarze, jak i na jej lesistym księżycu, wykazywało aż tak daleko idącą dywergencję. Chel rozmawiał już z ekologami Ludzi i słyszał, jak z ogniem w oczach mówią o tej czy tamtej teorii, próbującej wyjaśnić te różnice. Jakkolwiek przyznawali, że dawniej Uvovo zamieszkiwali zarówno planetę, jak i księżyc, to jednak nie byli skłonni przyjąć do wiadomości, że Segrana niegdyś rozciągała się na obu światach i że to utrata tej błogosławionej obecności stanowiła główną przyczynę. Ludzie mówili o „kataklizmach naturalnych” i o „wymieraniu gatunków”, lecz legendy Uvovo opowiadały o potężnym i strasliwym konflikcie, Wojnie Długiej Nocy, o walce między Widmowymi Bogami a Pozbawionymi Snów, która doprowadziła do spłonięcia świata określanego teraz przez Ludzi mianem Dariena. Archiwiści i nauczyciele Ludzi znali legendy Uvovo, ale nie rozumieli ich, a gdy przybywali odwiedzić wysokie siedziby Segrany, nie słyszeli jej pieśni.

Uśmiechnął się melancholijnie, wiedząc, że nie jest to do końca prawda. Było kilku takich, których cechowała zdolność nieco głębszego postrzegania, jak Lyssa Devlin czy Paweł Iwanow, który przy odrobinie szczęścia pewnego dnia dostrzeże zarysy ogromu Segrany. Jednakże istniała jedna ludzka kobieta, uczona imieniem Catriona Macreadie, której cechy intelektu być może pewnego dnia pozwolą jej zrozumieć ten ogrom.

Lohig, na którym Chel jechał, szedł stępą, krocząc miękko i w miarowym tempie, choć droga stała się nierówna i wznosiła się stromo. Słońce przeszywało warstwy listowia grotami jaskrawego światła; stało już na tyle wysoko na niemal bezchmurnym niebie, że mogło być południe. Owady bzycały i wirowały w ciepłym leśnym powietrzu, pierzaste *hizio* wyśpiewywały swoje trele w wysokich gałęziach, a w oddali *ubakil* smętnie pohukiwały do siebie nawzajem. Uśmiechnął się, słuchając tych zlewających się ze sobą dźwięków, chóralnej muzyki istot zamieszkujących las; na jej skraju był w stanie wychwycić spokojny, jednostajnie dźwięczący głos, słaby, lecz dający się rozpoznać bez żadnych wątpliwości, głos Ibsenskog, lasu potomnego Segrany.

Jego przewodniczka, Giseru, prawie się nie odzywała, gdy wędrowali przez leśne poszycie, omijając gęste zarośla, wspinając się dróżką, która biegła wzdłuż niewielkiego strumienia. Odgłosy wody płynącej po kamieniach były niczym odprężający szept, mieszający się z poszumem zalesionych wzgórz, lecz głos lasu potomnego stawał się silniejszy z każdą chwilą. Po jakimś czasie Chel usłyszał syczący, pluszczący odgłos i wkrótce dróżka wyprowadziła ich na porośniętą trawą zbocze niedaleko podnóża wodospadu.

Wąskie, lecz gładkie stopnie wiodły w górę skalistego urwiska, a *lohig* wspięły się po nich bez trudu. Owady kreśliły wzory w ciepłym powietrzu, a na górze zarośnięte krzakami zbocze prowadziło do ocienionego drzewami wąwozu, który zwężał się w szczelinę wypełnioną odgłosem płynącej szybko wody. Ułożono tam prymitywną, ale solidną ścieżkę z kłód oraz ociosanych kawałków kamienia. W szczelinie było ciemno, jej nierówne ściany porastał grubymi brodami mech, lśniący od kropelek wody, które opadały mgiełką z góry. Potem z prawej pojawiła się wąska przełęcz i wspięli się tam po niedbale wyciętych stopniach, które po zakręcie wyprowadziły ich na porośnięty trawą wzgórek, gdzie u wylotu ścieżki wznosił się wielki głaz. Po jednej stronie grunt opadał w stronę kamienistego wąwozu, wodospadu oraz zalesionych wzgórz, po drugiej zaś obniżał się łagodnie, tworząc niedużą, zadrzewioną i ukwieconą kotlinę, za którą rozciągał się Ibsenskog.

Las potomny Segrany zajmował niemal całą długość wysoko położonej doliny górskiej. Pięćdziesiąt lat po ponownym zasianiu Ibsenskog i pozostałe lasy potomne stały się najbujniej zalesionymi, najbardziej kwitnącymi miejscami na Umarze, nadal jednak mogły się równać co najwyżej ze słabiej zarośniętymi obszarami Segrany, terenami, gdzie skupiska różnego rodzaju żywych istot były mniej liczne. Chel zatrzymał się na sekundę czy dwie, pozwalając, by wsiąkała weń pieśń życia lasu potomnego, karmiąc jego uszy, smak i węch swym słodkim bogactwem, choć wiedział, że jest to zaledwie echo wszechogarniającej, niekończącej się uroczystej pieśni, jaką śpiewała Segrana. Zamykając na chwilę oczy, uśmiechnął się.

- Słuchacz Faldri nas oczekuje, Uczony - zabrzmiał głos Giseru.

Zaskoczony Chel otworzył oczy i ujrzał wysoką, zakapturzoną postać Słuchacza, który stał na skraju lasu, nieopodal ścieżki, która wiodła w zielony uścisk gęstwiny.

Wiedziałem, że Życzliwi Uvovo są opiekunami Ibsenskog, pomyślał. Ale nie miałem świadomości, że Faldri tu przybędzie.

Giseru już skierowała swojego *lohig* w dół, w kotlinę, więc Chel popędził swojego, ale jego pragnienie zagłębienia się w las raptownie zmalowało; teraz mieszała się z nim niechęć.

Słuchacz wspierał się na długiej lasce z czerwonego znakdrewna i zdawało się, że zupełnie nie zwraca uwagi na ich przybycie, nawet wtedy, gdy już zsiadli z wierzchowców i uwiązali je do słupa z nacięciami. Dopiero kiedy Giseru podprowadziła Chela, by oboje mogli się uklonić, stanąwszy u prawego boku Słuchacza, ten wreszcie zareagował - to znaczy, odwrócił się i odszedł nieśpiesznie w stronę lasu i rzucanego przezeń cienia.

- Niżsi rangą Uczeni zajmą się stworzeniami - powiedział. - Chodźcie.

Giseru sprawiała wrażenie nieco zawstydzonej, ale Chel tylko się uśmiechnął i ruszył w ślad za Słuchaczem.

Faldri mnie wypróbuj, pomyślał. Nieważne, czy robi to świadomie, czy też nie.

Kurtyny pnączy *gumaus* o cienkich wążach zwieszały się z gałęzi po obu stronach; na nich wspierały się liczne inne pnące rośliny, w tym takie, które właśnie kwitły, rozsiewając słodką woń. Gdy szli, stadka małych *igissa* o rudej sierści pomykały i skakały z drzewa na drzewo, sprawiając, że całe masy listowia kołysały się i szeleściły. Popiskiwanie i bzyczenie, gwizdy i skrzeki - radosne głosy dzikich mieszkańców Ibsensko, ponad którymi rozbrzmiewała pieśń życia samego lasu, wlewając się w jego myśli. Miał właśnie zapytać Giseru o tutejszy układ cieków wodnych, kiedy Faldri odprawił ją, a następnie bez słowa nakazał Chelowi gestem, by ten dalej szedł za nim. Chel pomyślał, że Słuchacz w ogóle nie zamierza z nim rozmawiać, ale kiedy chwilę później wspinali się po krętych stopniach z kory, Faldri przemówił:

- Poczyniłeś istotne postępy, odkąd uzyskałeś status Uczzonego. Mimo że zdecydowałeś się przystać do Uvovo-Wojowników.

Słuchacz nieco zwolnił kroku, tak że szli teraz ramię w ramię. Faldri był kiedyś nauczycielem Chela i relacje między nimi nie układały się w tamtych czasach dobrze.

- Postanowiłem służyć Segranie i Wielkiemu Celowi, Słuchaczu - odrzekł Chel. - Osądziłem po prostu, że kład Wojowników lepiej współgra z moim temperamentem aniżeli kład Życzliwych.

Starał się, by jego słowa zabrzmiały pojednawczo, dlatego próbował dać do zrozumienia, że za tym wyborem wcale nie kryły się silne osobiste preferencje. Odnosił jednak wrażenie, że jego komentarz wzbudził tylko gniew.

- Osądziłem? - powtórzył Słuchacz, zwalniając kroku, by po raz pierwszy popatrzeć mu prosto w twarz. Chela boleśnie zaskoczyły zmiany, jakie zaszły w jego dawnym nauczycielu, odkąd przepoczwarzył się w Słuchacza: wyostrome rysy, zapadnięte oczy, zanik wszystkiego, co zbędne. - Osąd jest sprawą Słuchaczy, nie zaś Uczonych!

Potem ruszył naprzód długimi krokami, wspinając się na szczyt wzniesienia.

- Pośpiesz się, żadnego guzdrania! Wkrótce nastanie godzina rozpoczęcia *zinsilu*.

Mający dłuższe nogi Faldri wspiął się na szczyt szybciej niż Chel, który musiał podbiec, żeby go dogonić. Po drugiej stronie ścieżka zagłębiła się w potężne ciemne kłębowisko liściastego poszycia - krzaków i drzewek splecionych z pnączami oraz pasożytniczymi chwastami. Faldri, schylając głowę, wkroczył w mroczny otwór, a Chel poszedł w jego ślady. Nierówna ścieżka opadała zakosami w dół między porośniętymi mchem pniami, by w końcu wyjść na polanę ocienioną przez trzy wysokie *vaskin* wznoszące się wokół nieruchomej sadzawki. Słuchacz Faldri już klęczał między dwoma spośród tych drzew; oczy miał

zamknięte, długopalce dłonie wyciągnięte przed sobą i odwrócone wnętrzami do góry, a szerokie usta o cienkich wargach coś mamrotały. Przez znajdującą się gdzieś w górze przerwę w baldachimie liści przesączało się światło, a kiedy Chel podszedł bliżej, ujrzał, że między trzema gładkimi, prostymi pniami opada mgiełka drobniotkich kropelek.

Poczuł narastający dreszcz niepewności. To *zinsilu* w niczym nie przypominało poprzedniego, w którym uczestniczył. Tamto odbywało się w przyjaznym otoczeniu i składały się nań fascynujące dyskusje ze starszymi rangą uczonymi na temat kierunku, w jakim postępowały jego badania. To miejsce przypominało mu czuwanie w *vudronie*, w którym uczestniczył zaledwie kilka razy w życiu, tylko że obecność, którą wyczuwał tutaj, nie była spokojna i kontemplująca, lecz surowa i posępna.

Futro na jego głowie i szyi zjeżyło się, gdy podchodził. Faldri nadal trwał w bezruchu z wyciągniętymi dłońmi, mrużąc cicho; jego rysy z trudem dawało się rozróżnić w cieniu kaptura. Chel zatrzymał się na skraju sadzawki. Teraz widział, że nie jest całkowicie nieruchoma; jej powierzchnia od czasu do czasu nieznacznie drgała. Spoglądając w górę, widział opadającą mgiełkę i drżący srebrzysty blask. Chel przez kilka chwil stał w milczeniu, aż w końcu zdecydował się przemówić, jednakże Faldri, który nadal miał zamknięte oczy, uciszył go płynnym gestem. „Zaczekaj”.

Czas się dłużył. Chel oddychał w powolnym rytmie, narzucając sobie spokój, wężąc i smakując wonie mokrego drewna oraz zielonych liści. W końcu Faldri przestał mamrotać i wciągnął powietrze.

- Brama jest teraz otwarta, o Wielki Starszy. Twoi słudzy czekają.

Głos Słuchacza odbił się echem w uszach Chela. Zmysły Uczzonego wibrowały wraz z pieśnią życia lasu potomnego, która rosła w siłę, powoli wzbierając w jego ciele fontanną energii, przenikając jego kończyny, żyły, kręgosłup. I nagle zrozumiał, że wyczuwa świętą obecność Segrany... oraz jeszcze kogoś. W świetlistej mgle nad sadzawką zamajaczył niewyraźny kształt - wysoka, pochylona postać spowita fałdami długiej szaty.

Chel wytrzeszczył oczy, zafrapowany i pełen trwogi. Faldri nazwał przybysza „Wielkim Starszym” i Uczony nagle uświadomił sobie, że patrzy na jednego z legendarnych Mistrzów Ścieżek.

Ale historia mówi, że ostatni spośród nich zmarli po Wojnie Długiej Nocy, pomyślał. Jakim sposobem któryś miałby nadal żyć po tysiącach lat?

- Nie ma czegoś takiego jak śmierć - rozległ się głos. - To tylko wszechświat zaczyna śnić o nas inny sen...

Chel odruchowo skłonił głowę, w której kłębiły się gorączkowe myśli. Długowieczni

Mistrzowie Ścieżek byli trzecim upoczwarzeniem Uvovo, które osiągnąć mogli jedynie najmądrzejsi, najświatlejsi spośród Słuchaczy. Lecz Wojna Długiej Nocy zdziesiątkowała Uvovo i w dużym stopniu zniszczyła starożytną siłę Segrany, bez której niemożliwe było przepoczwarzenie się po raz trzeci. Ci spośród Uvovo, którzy przetrwali, zostali uwięzieni na lesistym księżycu; po odejściu Mistrzów Ścieżek ich historia zbladła i wystrzępiła się w legendy, ich wiedza skurczyła się do litanii, a obyczaje do rytuałów, do czasu aż pojawili się Ludzie.

- Sny pozostają żywe - westchnął Mistrz Ścieżek. - Im silniejszy jest śniący, tym trwalszy jego sen. Niektórzy śnią sny, sięgające na zewnątrz, poszukując jedności z tym co wieczne; inni śnią do wewnątrz, o głodzie i podbojach, o bólu i ucieczce odeń. Niektórzy nie śnią wcale. Cheluvaharze, czy ty śniesz?

- Wielki Starszy, ja... - Nagle chwyciła go panika, w umyśle miał pustkę. - Śniłem ostatnio, lecz nie umiem sobie teraz przypomnieć szczegółów.

- Wiem, widzę je. - Głos ścichł do szeptu, gdy unoszące się w powietrzu widmo Mistrza Ścieżek odchyliło zakapturzoną głowę, by popatrzeć w górę, ukazując przy tym twarz dalece odbiegającą od wyglądu zwykłych Uvovo, całą z łuków kostnych; ziały w niej dwie mroczne jamy, które przypuszczalnie były oczami. Potem przemówiło znowu, głośniejsze i ostrzej. - Do tych światów zbliża się statek, statek z ojczystych gwiazd Ludzi. Przybywa na nim wielkie zło, oczy nowej rasy Pozbawionych Snów, równie spragnionych mocy i władzy, jak ich ohydni krewniacy w przeszłości.

Pozbawieni Snów. Słowa te utkwily w umyśle Chela niczym okruchy lodu, które, topniejąc, wypełniały jego myśli lękiem, podczas gdy serce łomotało mu w piersi.

- Wielki Starszy - powiedział. - Czy czeka nas druga Wojna Długiej Nocy?

- Nie. Obecne zagrożenie jest bardziej zbliżone do przyczyny stojącej za pierwszym Wielkim Celem, który kryje w sobie o wiele więcej niż to, czego cię o nim uczono. Podobnie zresztą jak Segrana, którą znasz, nie jest tą Segraną, która istniała kiedyś. Dzisiejsi Pozbawieni Snów nie mają też niszczycielskiej mocy swych dawno wymarłych krewniaków, lecz i tak mają jej więcej niż dosyć, by obrócić nocne niebo w wypalone pustkowie. Potajemnie rządzą olbrzymim imperium i są tyleż bezlitośni, ile okrutni i przebiegli.

Spokój chronionej przez drzewa sadzawki i bogata pieśń życia ożywiająca zmysły Chela kontrastowały ze wszystkim, co mówił Mistrz Ścieżek. Mimo to, jego myśli zatoczyły krąg, wracając do pytania, czemu znajdował się tutaj, czemu mówiono mu te rzeczy...

- To jest twoje *zinsilu*, Uczony - powiedział Mistrz Ścieżek, jak gdyby myśli Chela były równie łatwe w odczytaniu jak zapisane słowa. - Takie *zinsilu*, jakiego nie widziano od

tysiąca pokoleń. Uczony Cheluvaharze, czy jesteś gotów służyć Wielkiemu Celowi wszystkim, co jest ciałem, i wszystkim, co jest umysłem? Czy jesteś gotów zaufać zgromadzeniu Słuchaczy i być posłuszny ich zarządzeniom?

Chel poczuł się oszołomiony ogromem żądania Mistrza Ścieżek, ale głęboko zaczerpnął tchu, opanowując się.

- Jestem, o Wielki Starszy.

- To dobrze; cieszę się, że mnie nie rozczarowujesz. Kiedy skończymy to spotkanie, powrócisz do swojej pracy na Waonwirze; nie troszcz się o wydarzenia, które nastąpią po przybyciu statku Ludzi. Za dwa lub trzy dni zostaniesz poproszony o udanie się do lasu potomnego na północy, gdzie w sekrecie przygotowywana jest komora przepoczwarzeń...

Urwał raptownie, odwracając zakapturzoną głowę w stronę Faldriego.

- Ach, więc jesteś zaszokowany, Słuchaczu, oburzony naszym planem.

Faldri spoglądał w napięciu w górę, na mglistą sylwetkę.

- Jedynie ogarnięty lękiem o przyszłość nas wszystkich, o Wielki Starszy. Obecny tu Uczony wykazuje talent i rokuje nadzieje, lecz jest młody i brakuje mu doświadczenia, którego wymaga rola Słuchacza...

- Nie mówimy o przepoczwarzeniu większej liczby Słuchaczy, Faldri - odrzekł Mistrz Ścieżek. - Planujemy utworzyć nowy kład, Uvovo-Rzemieślników. Dawniej w szeregach Wojowników oraz Życzliwych było wielu rzemieślników, zanim Wojna Długiej Nocy zabrała ich wszystkich. Przybycie Ludzi doprowadziło do wskrzeszenia tego rodzaju umiejętności wśród młodszych Uczonych, a są to umiejętności, które okażą się kluczowe w nadchodzących dniach. Ci, których można uznać za Uvovo-Rzemieślników, już istnieją; żyją rozproszeni wokół miast Ludzi, pracują w lasach potomnych oraz... w innych miejscach. Kiedy Cheluvahar się przepoczwarzy, stanie się Słuchaczem Uvovo-Rzemieślników, nie będzie też sam, gdyż inni uczeni zostają dzisiaj poddani podobnemu egzaminowi.

- Nie byłem świadom istnienia tego planu, o Wielki Starszy - rzekł Słuchacz, pochylając głowę. - Jestem jednakże zdezorientowany, gdy chodzi o możliwą użyteczność takiego nowego kładu.

Dobre pytanie, pomyślał Chel. Czy będą od nas oczekiwać, byśmy używali w walce ludzkiej broni?

- Na Umarze znajduje się pewna liczba konstrukcji wzniesionych przez naszych najdawniejszych przodków, zbudowanych celem łączenia się z mocami starożytnej, potężniejszej Segrany i chronienia tych światów. Zadaniem Uvovo-Rzemieślników będzie ich zbadanie i przywrócenie do życia w przygotowaniu na to, czemu będziemy zmuszeni rychło

stawić czoła.

- Czy Ludzie mają zostać poinformowani o tym zbliżającym się wrogu, o Wielki Starszy? - zapytał Faldri. - Czy mamy z nimi współpracować?

- Odbłyły się rozmowy z ich przywódcami - odrzekł Mistrz Ścieżek. - Wiedzą już o Pozbawionych Snów i dokonują własnych przygotowań. Współpraca może stać się nieunikniona, jeśli wydarzenia potoczą się niepomyślnym torem.

- Wybacz, o Wielki Starszy - odezwał się Chel - ale co takiego przywabia tutaj Pozbawionych Snów? Czego oni chcą?

Mistrz Ścieżek westchnął.

- Przez długie wieki strześliśmy go, służąc Wielkiemu Celowi, przekonani, że wszelka wiedza i pamięć o nim w końcu przepadły bezpowrotnie w otchłani czasu. Jednak niektóre sny trwają dłużej niż życie gwiazd i przyczajają się, kryją w tajemnych miejscach, czekając, aż ponownie nadejdzie ich czas. - Mroczne, pozbawione oczu oczodoły zwróciły się ku niemu. - Gmach na szczycie tego skalnego wzniesienia, Waonwiru, nie jest jakąś starą świątynią Uvovo, jak przypuszczali Ludzie. Pod jej murami i fundamentami znajduje się brama do rusztowań wszechświata, źródło mocy, którego dawno temu użyto, by pokonać pierwszego wroga, przyczynę Wielkiego Celu, straszliwego adwersarza, zniszczonego wieki temu. Gdyby Pozbawieni Snów zdołali przejąć nad nim kontrolę, wszelkie myślenie byty w tej galaktyce oraz poza nią zostałyby przez nich zniewolone i życie nie miałoby już żadnej pieśni.

Zamilkł na chwilę.

- Teraz już wiesz to, co powinieneś wiedzieć. Idź. Wróć na Ramię Olbrzyma i czekaj na rozkaz, by ruszyć na północ.

Gdy Mistrz Ścieżek zamilkł, jego obraz rozmazał się i rozpląnął w bladej opadającej mgielce. Wraz z jego zniknięciem poświata zalewająca polankę raptownie przygasła, jakby zamknęły się drzwi, pozostawiając Chela z uczuciem, że dryfuje w pustce, obciążony przepowiedniami.

Nadchodzi wojna, pomyślał, a ja mam się stać Słuchaczem, choć jestem Uczonym od zaledwie czterech pór tkania...

- Nie jestem na to gotowy - wymamrotał.

- Pozostaje mi jedynie przytaknąć - stwierdził Faldri, stając na nogi i otrzepując długie szaty. - Jednakże szlak twoich poczynań został wytyczony przez wyższy autorytet; teraz musimy poczekać i przekonać się, czy zbieżność przeznaczenia i snu pomoże ci, czy też będzie stanowić przeszkodę. - Podniósł laskę opartą o jedno z drzew *vaskin* i ruszył w górę

zbocha. - Chodź, Rzemieślniku, pozwól, że odprowadzę cię z powrotem do twojego *lohi*.

Catriona

Na księżycu Nieviesta, pod bujną, tętniącą życiem czaszą lasu Segrana, panował wieczny półmrok. Przez wilgotne zielone cienie przemykał *trictra*; jego długie, hakowato zakrzywione kończyny chwytaly za gałęzie, grube pnącza i czepiające się pni siatki łądy, gdy zniżał się coraz głębiej w ciemność. Catriona Macreadie przywarła mocno do jego hantlowatego torsu, bezpiecznie wpięta w ciasną uprząż z tkaniny. Było jej nieprzyjemnie gorąco w szarej szacie z kapturem i czuła lekkie fale zawrotów głowy, gdy stwór huśtał się i nurkował w panującym na księżycu zmniejszonym ciężeniu. Przed nią pasterz Pgal siedział wygodnie w wąskim zagłębieniu za głową stwora, wydając mu polecenia szturchnięciami wymierzonymi w jeden albo drugi przedni staw lub okrzykami mającymi postać pojedynczych sylab. Od czasu do czasu Pgal oglądał się z bezgłośnym pytaniem w dużych, smutnych oczach, ale Catriona, mimo dyskomfortu, za każdym razem potrząsała głową, wskazując palcem przed siebie i w dół. Ruszyła na polowanie i nie zamierzała zawracać.

Chmary owadów rozstępowały się przed nimi i kłębiły za nimi, a niezliczone stworzenia spostrzegały zakłócenie, jakim było pojawienie się obcych; będące ssakami *kizpi* wytrzeszczały swe duże oczy z obrośniętych liśćmi nisz, a wystraszone jaszczurki *umisk* prędko umykały. Był to fascynujący pokaz bioróżnorodności Segrany, którą Catriona dokumentowała i badała od prawie dwóch lat, wypełniając dziesiątki kostek danych profilami, sprawozdaniami i komentarzami, jak również setkami zdjęć. Zdążyła już stwierdzić, że wspólną cechą różnych gatunków jest posiadanie sześciu form rozwojowych i że niektóre podgatunki wykazują trój-, a nawet czteroetapowe cykle życia, przybierając z wiekiem odmienną postać fizyczną, inne zaś nie. Rozumiała, w jaki sposób olbrzymia, zajmująca cały kontynent biomasa Segrany chroni swoich różnorodnych mieszkańców przed zmienną pogodą Nieviesty, regulując liczne mikroklimaty występujące pod okapem lasu, podczas gdy zmniejszona grawitacja sprzyjała wzrostowi większych, szerszych drzew i innych roślin.

Wiedziała też, że mapa nie jest dokładnym odzwierciedleniem terytorium i że Segrana skrywa wiele tajemnic. Zdjęcia satelitarne potwierdzały, że podczas gdy najwyższe partie Segrany wznoszą się na wysokość niemal tysiąca sześciuset metrów nad poziomem morza, niektóre z niewidocznych dolin sięgają ponad trzy tysiące metrów niżej, co implikowało, że korzenie lasu tkwią jeszcze głębiej, zamykając cały księżyc w starożytnym i wszechobecnym uścisku. Prawie pół godziny po otrzymaniu sygnału aktywacji kamery Catriona kierowała się

właśnie tam, poszukując dowodów, które potwierdziłyby pewną szaloną teorię.

Po obu stronach masywne pnie wznosiły się ku światłu; niektóre owijały się spiralnie wokół siebie nawzajem, by zyskać podporę i większą wytrzymałość, inne krzyżowały się, tworząc rozwidlenia, gdzie tkwiły wioski Uvovo: jaśniejące skupiska lamp i stożkowate dachy, niewyraźne postacie przechodzące lub wspinające się pomiędzy chatami wśród wszechogarniającego półmroku. Jedna taka osada leżała bezpośrednio pod nimi, ale Catriona udzieliła wcześniej Pgalowi wyraźnych instrukcji, więc teraz pośpiesznie skierował *trictę* w bok, za gęstą zasłonę symbiotycznych roślin uprawnych. Naciągnęła niżej kaptur workowatej szaty, skrywając swoje ludzkie rysy przed wzrokiem ewentualnych przypadkowych obserwatorów. Mimo to, nadal istniało ryzyko, bo tylko Słuchacze przemierzali dolne piętra lasu zakutani w takie stroje.

Chwilę później pozostawili wioskę za sobą, nurkując coraz głębiej. Catriona wyjęła spod szaty mały okrągły gadżet wskazujący kierunek, po czym lekko poklepała Pgala po ramieniu.

- Troszkę bardziej w lewo - powiedziała.

Pasterz tylko kiwnął głową i skierował pająkowatego *trictę* w dół wzdłuż jednego z kilku długich, grubych pnączy. Opadały one łukami w mrok niczym cumy olbrzymiego okrętu, udekorowane brodami siatkowatych porostów. Inne wily się wężowato w górę po nierównej, pełnej guzów, omszałej powierzchni pni i konarów niczym żyły, wysysając wilgoć i substancje odżywcze, które z kolei karmiły cały wachlarz dalszych pasożytniczych roślin. Podczas gdy *tricta* zląził w dół po jednej z tych olbrzymich żywych wież, Catriona rozglądała się na boki, uśmiechając się, ilekroć spostrzegła znajomo wyglądającego chrząszcza albo istotę gadopodobną, odruchowo dopasowując je do poszczególnych pozycji w swojej pamięci kodeksowej. Za każdym razem, gdy widziała coś, co wydawało jej się nowe, zachowywała to w pliku przypomnień z zamiarem przyjrzenia się temu później.

Wszystkie atuty genów Ulepszonych, gdy chodzi o pamięć, pomyślała, bez umiejętności samoprogramowania, dzięki którym mogłabym uzyskać dobrze płatne stanowisko badawcze wysokiego szczebla. Jakież to byłoby nużące...

Catriona była nieudaną Ulepszoną. Jej zarodek pochodził z zamrażarek *Hyperiona* i został poddany manipulacjom genetycznym, by zwiększyć pojemność pamięci oraz umożliwić świadomą, szczegółową kontrolę przepływu informacji. Wyrafinowane wyższe funkcje umożliwiały Ulepszonym wykorzystywanie własnej kory mózgowej jako programowalnego komputera; mogli oni uruchamiać makra i testować teorie własne oraz cudze, a najlepszym udawało się naświetlać rozwiązania za pomocą własnych przeblysków

intuicji. Jednakże Catriona była dzieckiem z trzeciej i ostatniej serii Ulepszonych; cięższe te zostały donoszone przez matki zastępcze, kiedy na niedających się przewidzieć etapach rozwoju dzieci wciąż jeszcze pojawiały się anomalie. W wieku piętnastu lat zaczęła tracić zdolność samodzielnego inicjowania szlaków nerwowych, a później sieć połączeń już wytworzonych w jej głowie zaczęła ulegać desynchronizacji. Do czasu, gdy Cat skończyła siedemnaście lat, znalazła się daleko w tyle za rówieśnikami i uważała się za nie lepszą od normalnego dziecka z doskonałą pamięcią.

A to po prostu nie wystarczyło, żeby zadowolić tych służbistów, którzy kierowali Domem Żylińskiego, pomyślała z goryczą.

Jednakże jej rozszerzone zdolności w połączeniu z obsesyjnym zainteresowaniem ekosystemami Dariena oraz Nieviesty dały jej coś, czego mogła się uchwycić po opuszczeniu programu Ulepszonych. Poprowadziły ją ścieżką kariery, która okazała się owocna i satysfakcjonująca, choć stanowiła źródło frustracji, kiedy przychodziło do składania zamówień na sprzęt.

Mimo wszystko od czasu do czasu tęskniła za tamtym dawno zanikłym talentem, który utraciła, nim zdołał się na dobre rozwinąć. Brakowało jej go zwłaszcza wtedy, gdy usiłowała ogarnąć uderzającą złożoność lasu Segrana oraz roli, jaką odgrywali w nim Uvovo. U korzeni tego wszystkiego tkwiła jakaś historia czy związek, ale Catrionie jak dotąd udało się uchwycić zaledwie przebliski tego lejtmotywu. Rzecz jasna, wydedukowanie powiązania między Uvovo a świątynią na Ramieniu Olbrzyma otworzyło zupełnie nowe obszary możliwych dociekań, ale sprawiło też, że spekulacje stały się dziksze i bardziej kuszące. Gdyby była pełnowartościową Ulepszoną, a nie kaleką, do tej pory już znalazłyby odpowiedź, była tego pewna.

Zejsście na dno głębokiej doliny zajęło dalsze trzydzieści minut, wliczając w to przerwy, by *trictra* mógł odpocząć. Wszystkie ćwierkania i trzepy rozbrzmiewające w dolnych piętrach lasu, gdzie żyła większość gatunków, przycichły do odległego pomruku wysoko w górze. Tu, na dół, docierały tylko punkciki światła przefiltrowanego przez liście, a powietrze było nieruchome, ciepłe i bardzo wilgotne.

Uvovo nazywają ją Segraną, pomyślała, żyjącą puszcza. Niemalże jestem w stanie w to uwierzyć - ten lesisty księżyc sam w sobie stanowi anomalię, a jego wszechogarniający ekosystem to dziwny, piękny świat. Czasem prawie mam wrażenie, że słyszę jego śpiew, czuję na sobie jego wzrok...

Kierując się śladem świecącej wskazówki w jej gadżecie, dotarli wreszcie do podnóża jednego z największych i najstarszych drzew w lesie Segrana. Pień tego tytana liczył niemal

sześćdziesiąt metrów średnicy. Masywne węzły korzeni wystawały ponad warstwę gnijących liści zaścielających podłoże. Pomędzy niektórymi korzeniami ściekały ciche strumyczki, spływając w dół, ku jeszcze niżej położonym partiom doliny. Nieopodal stadko krępych sześcionożnych *baro* ryło w ziemi w poszukiwaniu bulw, podczas gdy wężowate *paski* szeleściły w dywanie martwych liści, polując na owady.

Jednakże uwaga Catriony była skupiona na punkcie znajdującym się jakieś sześć metrów od ziemi, na korze olbrzymiego drzewa. Wskazała nań palcem, a pasterz Pgal kiwnął głową i popędził *trictre* przez dzielącą ich od giganta płataninę korzeni, a potem na szorstki pień, z którego skapywała woda. Catriona czuła, jak łomocze jej serce, kiedy dostrzegła wysuwany obiektyw wystający ponad otaczający kamerę kłęb nitkowatych porostów, pasożytniczych roślin i pnączy, a gdy tylko ich wierzchowiec znalazł się dostatecznie blisko, sięgnęła między mokre liście i wyjęła urządzenie. Uśmiechnęła się z satysfakcją, oglądając je, zdmuchnęła kropelki wody oraz fragmenty liści, następnie zaś spojrzała przez ramię na to, co kamera miała obserwować.

Kilka metrów dalej sześć wysokich trójkątnych kamieni tworzyło krąg na szczycie spłaszczonego pagórka, który dziwnym trafem był wolny od krzaków oraz młodych drzewek. Jej pierwsza wizyta w tym miejscu była krótka i przebiegała w napiętej atmosferze, gdyż jej przewodnik Amilo, uczony Uvovo wyrzucony ze swojego bractwa, panicznie się bał, że Słuchacze wykryją ich obecność. Równie mocno denerwował się podczas ich drugiej wizyty, dwa dni wcześniej, kiedy Catriona ukryła kamerę na drzewie, nastawiając ją tak, by nagrało się wszystko powyżej określonych rozmiarów, co pojawi się w obrębie kręgu kamieni bądź w pobliżu niego. Kiedy poprzedniego dnia zadzwoniła do Amilo, odmówił wyświadczenia jej przysługi po raz trzeci, ale był na tyle uczynny, żeby skontaktować ją z Pgałem, młodym bezkładowym pasterzem *trictre*, który nie przejmował się tak dziwacznymi i baśniowymi zagadnieniami jak Mistrzowie Ścieżek.

Zważyła małą kamerę w dłoni, po czym wepchnęła wysunięty obiektyw z powrotem do gniazda i schowała urządzenie do zapinanej kieszeni na ramieniu. Tak, przy odrobinie szczęścia, być może właśnie zdobyła dowód, że owszem, w cyklu życia Uvovo po Uczonych i Słuchaczach jest jeszcze jedna forma, Mistrzowie Ścieżek, którzy rzekomo mieli istnieć jedynie w ludowych podaniach. Odwróciła się, by polecić Pgalowi, żeby skierował wierzchowca z powrotem ku okapowi lasu, ale powstrzymała się, widząc, że pasterz spogląda szeroko otwartymi oczami w górę. Powędrowała za jego nieruchomym wzrokiem i ujrzała, że kilka metrów wyżej wisi większy *trictre*, uczepiony drzewa, a na jego grzbiecie siedzi wysoka postać spowita w luźne szaty, dzierżąca w ręku laskę służącą do poganiania

wierzchowców.

- Ach, pani-doktor Catriona - przemówił nowo przybyły. - Co za miła niespodzianka spotkać cię tutaj, gdzie Segrana rodzi się i umiera. - Mówiąc to, zsunął kaptur, odsłaniając kościste rysy starzejącego się mężczyzny Uvovo, bardzo dobrze jej znane.

- Witaj, Słuchaczu Weynl - powiedziała. - Czy widziałeś dzisiaj jakichś Mistrzów Ścieżek?

Uśmiech Słuchacza Uvovo upodobnił jego wydłużoną twarz do czaszki, ale jego zachowanie było pełne cierpliwej uprzejmości.

- Ani jednego, ani wczoraj, pani-doktor, ani też dzisiaj. Są oni bowiem jedynie *ssu-ne-ne*, rodzajem mitu czy też... - Zmarszczył brwi. - W waszym noranglickim języku jest jeszcze jedno słowo... ach tak, *fable*, pouczającą opowieścią. I niczym więcej.

- Już to słyszałam - powiedziała. - Między innymi od ciebie, a jednak zdarzało mi się natrafiać na opowieści, które mówiły co innego.

- Niektórzy służebni z szeregów Uvovo-Życzliwych interpretują *ssu-ne-ne* bardziej dosłownie. Często dają się zwodzić na manowce takim rzeczom, jak ten zrujnowany kamienny krąg, który był bardzo starym, ale najzupełniej zwyczajnym miejscem spotkań i znajdował się pośrodku targowiska...

Podczas gdy rozmawiali, Słuchacz sprowadził swojego *trictę* na ziemię, więc Catriona gestem poleciła Pgalowi zrobić to samo. Gdy już znaleźli się na dole, odkryli, że pod drzewami czeka jeszcze trzech Uvovo siedzących na grzbietach *trict*, a wszyscy oni nosili na wyszywanych paciorkami tunikach okrągłe symbole Uvovo-Wojowników.

- ...tak więc do tego rodzaju wyobrażeń należy podchodzić z dużą ostrożnością. My, członkowie kładu Uvovo-Wojowników, zachowujemy bardziej realistyczne podejście do tych spraw. - Wskazał laską na pozostałych. - Ach, to są moi bracia drogi; wracaliśmy właśnie z kontemplacji w *vudronie*, gdy natknęliśmy się na was w tym miejscu.

Catriona skinęła głową, nie wierząc w ani jedno jego słowo.

- Sądzisz zatem, że marnuję czas, tropiąc tego... *arassu*?

W języku Uvovo słowo to oznaczało „smutne widmo”, i gdy je wymówiła, na twarzach dwóch spośród towarzyszy Weynla odbiło się zaskoczenie. Sam Słuchacz tylko się uśmiechnął.

- Otóż to - odparł. - Teraz, ponieważ zmierzamy do Górnej Drogi przy Gwiezdnym Dachy, będziemy zaszczyceni, mogąc cię odeskortować z powrotem, pani-doktor, jeśli pragniesz.

Czuła pokusę, żeby się zbuntować i odmówić, ale zdrowy rozsądek przypomniał jej o

minikamerze ukrytej w kieszeni na ramieniu, toteż uprzejmie przyjęła propozycję Słuchacza.

Wydawało się, że podróż z powrotem w górę zielonymi kanionami Segrany trwa całe wieki. Waga oraz kształt minikamery bezustannie drażniły Catrionę, podczas gdy *trictra* Pgała wspinał się mozolnie między gałęziami, kępami pnączy i krzyżującymi się konarami. Słuchacz Weynl zarządził odpoczynek w wiosce na rozwidleniu; dziwnym trafem była to ta sama wioska, którą Catriona i Pgal ominęli, zmierzając w dół. Gdy Słuchacz pogrążył się w jowialnej rozmowie ze swymi braćmi drogi, Catriona zaczęła się zastanawiać, czy jest to przykład poczucia humoru Uvovo.

W końcu zbliżyli się do okapu lasu i światło stało się jaśniejsze, a kiedy wokół przybyło pomostów, drabin oraz chat wzniesionych na platformach, zorientowała się, że są już w pobliżu miasteczka Gwiezdny Dach. Owady migotały w smugach słonecznego blasku, które padały ukośnie przez warstwę liści, a powiewy chłodnego, świeżego powietrza niosły słodki zapach dziennych kwiatów.

- Tu musimy się rozstać, pani-doktor Catriono - powiedział Słuchacz Weynl. - Mój *vudron* leży jeszcze wyżej, na Polanie Wysokiej Pieśni. Proszę, pamiętaj, że jeśli pragniesz szukać wiedzy u korzeni Segrany, powinnaś poprosić mnie lub dowolnego innego Słuchacza, by został twoim przewodnikiem.

- Przyjmij przeprosiny, Słuchaczu - powiedziała. - Nie było moim zamiarem kogokolwiek urazić.

- Tu chodzi raczej o twoje bezpieczeństwo - odrzekł Weynl. - W mrocznych zakamarkach, tam, niżej, żyją drapiezniki, które mogłyby pożreć Człowieka jednym kęsem.

- Rozumiem twoje obawy, Słuchaczu - odparła. - Zapewniam, że potraktuję je bardzo poważnie.

Niemłody Uvovo przyglądał się jej przez chwilę - jego przyjazny uśmiech nie zadrżał nawet na pół sekundy - po czym skinął głową.

- Poszukuj z rozwagą, pani-doktor - powiedział i stuknął laską w karapaks na boku *trictry*.

Kiedy Słuchacz i jego towarzysze wznowili wspinaczkę, pnąc się po drabinach ze splecionych sznurów, Catriona kazała pasterzowi się pośpieszyć. Pgal skierował *trictrę* w górę po wiszących sieciach i w bok, przez kurtyny liści, aż dotarli na hamakowatą platformę znajdującą się najbliżej skupiska zaadaptowanych tubylczych chat, które stanowiły enklawę ludzkich naukowców. Catriona odpięła pasy przytrzymujące ją w siodle i zeszła na uginającą się pod stopami matę, po czym ściągnęła grubą szatę i odwróciła się do Pgała. On jednak przemówił pierwszy:

- Ja więcej cię nie wozi.

Zagapiła się na niego, zaskoczona.

- Czemu, Pgal? Czy ktoś ci groził?

Teraz to pasterz okazał zaskoczenie.

- Nie! Ja rusza do *vudronu* Wysokiej Pieśni. Dołączy znowu do kładu Wojowników. -
Uśmiechnął się. - Bardzo szczęśliwy.

Catriona skinęła głową ze zrozumieniem. *Vudrony* były dużymi sferycznymi komorami sporządzonymi z olbrzymich pustych torebek nasiennych, które rosły tylko w najwyższych partiach Segrany. Przymocowane do konara lub pnia w pobliżu miasteczka czy wioski *Uvovo*, służyły jako sanktuaria Słuchaczy, miejsca, gdzie można było się schronić celem samotnej medytacji, jak również ośrodek publicznych ceremonii. Wyrzutek, taki jak Pgal, mógł stać się pełnoprawnym członkiem któregoś z dwóch kładów *Uvovo* po odbyciu czuwania w *vudronie*, ale tylko pod warunkiem, że otrzymał zaproszenie od Słuchacza. Takiego jak Weynl.

- Cieszę się z twojego szczęścia, Pgal - powiedziała. - Bardzo ci dziękuję za pomoc. Idź w pokoju.

Pasterz uśmiechnął się, skłonił głowę, po czym skierował *trictre* w dół, opuszczając platformę po sieci splątanych pnączy.

I tobie też dziękuję, Weynl, pomyślała, patrząc, jak Pgal się oddala. Bardzo nie chcesz, żebym się zapuszczała w pobliże dna lasu, nieprawdaż? No cóż, zobaczymy, co też zdołała wypatrzeć moja tycia kamerka?

Rozejrzała się pośpiesznie, upewniając się, że jest sama, po czym wyjęła kamerę, nałożyła okular podglądu na port wyjścia, wcisnęła guzik odtwarzania i uniosła urządzenie do oka.

I ujrzała... jedynie migoczący zamęt. Odczyt zegara pokrywał się z godziną, o której Catriona odebrała sygnał aktywacji kamery, ale nagranie stanowiło zamazany, przerywany szumem chaos. Odtworzyła je kilka razy, bezskutecznie usiłując wypatrzeć coś więcej niż tylko zarysy ciemnego kształtu, który mógł być żywą istotą, niż drgające, podobne do patyków kreski, być może kończyny...

Opuściła kamerę i oparła się ciężko o jeden z podtrzymujących platformę pasów z grubej siatki. Nagle poczuła się tak zmęczona, jakby nagranie pozbawiło ją całej żywotności. Wszystko okazało się stratą czasu - wyproszenie tej kamery od zespołu Lyssy Devlin w Podniebnym Ogrodzie, skradanie się na dół, żeby ją podłożyć, a potem zabrać z powrotem... Wszystko to było marnowaniem czasu i wysiłku. Być może dałoby się obrobić i przefiltrować

dane obrazu, ale tylko biuro Instytutu na stacji Viridian mogło dysponować niezbędnym do tego wyposażeniem, a zresztą, jak niby miałyby wytłumaczyć, jakim sposobem uzyskała takie nagranie, nie przyznając się do złamania licznych paragrafów Porozumień o Wzajemnym Szacunku?

Niepoczyszona schowała kamerę z powrotem do kieszeni, przewiesiła workowatą szatę przez ramię i zaczęła się wspinać po schodkach z gałęzi prowadzących do enklawy Ludzi. Gdy była w połowie drogi, stopnie lekko zadrżały pod jej stopami, bo ktoś śpiesznie nadchodził po wątku wyglądającym mostku z innej platformy. To był Tomas Villon, jeden z asystentów technicznych w jej ekipie. Zarumieniony i podekscytowany, uniósł dłoń w powitalnym geście i zawołał:

- Doktor Macreadie, słyszała pani najnowsze wieści?!

- Nie, jakie?!

Uśmiechnął się.

- Prezydent ogłosił to dziś rano w orędziu nadanym przez wid, a szefowie kanałów od tamtej pory nie mówią o niczym innym...

- Przykro mi, Tomas, jestem zajęta pracą i nie było mnie przez cały ranek. Co się stało? Ewidentnie zachwycony, że może jej opowiedzieć całą historię, odchrząknął.

- No więc, jak już wspomniałem, prezydent pojawił się dziś rano na widzie, by obwieścić, że rząd w Hammergardzie nawiązał kontakt ze statkiem przybywającym z Ziemi!

Najpierw westchnęła z niedowierzaniem, a potem zaczęła mówić, niemalże zacinając się w pośpiechu.

- Ależ to... to niewiarygodne! Jesteś pewien, Tomas, absolutnie pewien?

- To święta prawda, Catriono, przysięgam! Statek nazywa się *Herakles* i właśnie w tej chwili wchodzi na orbitę wokół Dariena. Słuchaj, na górze w kantine jest panel widu i właśnie tam siedzi w tej chwili reszta ekipy. Oglądają na żywo relację z Portu Gagarina.

Uwięziona w sieci chmara insektoidów przepłynęła obok, gnana ciepłym wietrzykiem, gdy śpiesznie wspinali się do budynków enklawy. Catriona uśmiechnęła się szeroko, próbując zebrać myśli rozproszone przez radosny zawrót głowy, który ją ogarnął.

- To niewiarygodne - powiedziała. - Nigdy nie przypuszczałam, że tego dożyję. Ciekawe, jacy oni się okażą? Pamiętasz tę sztukę Fergusa Brandona?

- *Lina ratunkowa*? - Tomas zachichotał. - Wątpię, czy jacyś koloniści *in spe* zaczną się ustawiać w kolejki, żeby tu przylecieć. To samo powiedziałem zresztą wcześniej Gregowi Cameronowi.

- Gregowi? - powtórzyła, starając się, żeby zabrzmiało to tak, jakby pytała bez

szczególnego zainteresowania. - W jakiej sprawie do niego dzwoniłeś?

- Nieee, to on zadzwonił do nas, żeby poplotkować o tym obwieszczeniu. Gadaliśmy o tym i zeszło na sztukę Brandona. Taa, Greg jest tym wszystkim równie podekscytowany jak wszyscy.

Oczywiście, pomyślała Catriona. Ci dwaj przyjaźnili się na studiach, więc nic dziwnego, że Greg zadzwonił. Poczula, że przeniknął ją lekki dreszcz. Ciekawe, jak się miewa, odkąd wrócił... ale czemu miałoby mnie to interesować? To tylko jeszcze jeden facet, który ma ciekawsze zajęcia niż...

Widziała się z nim zaledwie kilka razy, odkąd zasugerowała, że istnieje powiązanie między proporcjami świątyni na Ramieniu Olbrzyma a proporcjami ciała Uvovo, i miała niejaką nadzieję, że może ich przyjazne relacje zawodowe wyewoluują w coś głębszego. A potem Greg rzucił wszystko i przeprowadził się na północ, do Trondu, najwyraźniej po to, żeby się ożenić, osiąść tam i dochować się dzieci - ale kilka miesięcy później powrócił, sam jeden. Nadzieje, które już runęły, zakiełkowały ponownie, tym razem jednak powściągane przez dozę realizmu i ostrożności.

A teraz nie zamierzała pozwolić, żeby Greg Cameron albo jej nieudany eksperyment z minikamerą przyćmiły jej radosne podniecenie wywołane nowiną Tomasa.

- W porządku, Tomas - powiedziała i zaśmiała się, gdy podchodzili do chatki, gdzie mieściła się kantyna. - Zobaczmy, czy uda się nam zająć dobre miejsca!

Robert

Na pokładzie *Heraklesa*, krążownika Ziemi, w największej z jego trzech kabin pasażerskich, ambasador Robert Horst był pochłonięty archaiczną praktyką pakowania walizek.

- Nie rozumiem, czemu nie poprosisz, żeby pokój zrobił to za ciebie - powiedział Harry, jego SI towarzysząca.

- Przecież pokój nie wie, co muszę ze sobą zabrać.

- Pokój ma dostęp do twojego profilu elegancji, jak również do darieńskich stylów i obyczajów, choć nie są one zbyt liczne. Więc w czym problem?

- Pokój nie może wiedzieć, czego potrzebuję - odparł z uśmiechem Robert, umieszczając w podzielonej na przegródki walizie półformalną tunikę - ponieważ sam jeszcze nie wiem. A ściślej, kiedy coś widzę, wiem, że tego potrzebuję.

Harry uśmiechnął się i pokręcił głową. W polu widzenia Roberta wydawało się, że stoi obok wznoszącej się pośrodku pomieszczenia gładkiej kolumny z porcelany i pleksiglasu, mającej w każdej z pięciu ścianek wbudowaną holobazę. Przypominał młodego człowieka odzianego w nieskazitelny, lecz niemodny czarny garnitur, a na jego krągłej twarzy malowały się permanentne rozbawienie oraz odrobina cynizmu. Robert postanowił, że jego towarzysz będzie wzorowany na głównym bohaterze czarno-białego dwuwymiarowego amerykańskiego filmu z połowy XX wieku, którego fabuła dotyczyła powojennych intryg oraz zdrady. Młody Robert Horst zachwycił się kreacją aktorską przebiegłego Harry'ego Lime'a w wykonaniu Orsona Wellesa, a zdecydowawszy, jaką formę ma mieć jego towarzysz, postanowił również, że Harry będzie występował w wersji monochromatycznej. Ostatecznie jedyną osobą, która miała go oglądać, był sam Horst.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, żebyś akcentował swoją indywidualność - powiedział Harry. - Po stu pięćdziesięciu latach izolacji i deficytu zasobów, ich obyczaje dotyczące życia towarzyskiego niewątpliwie zdążyły stać się cokolwiek rustykalne.

- Mój Boże, Harry, jesteś snobem.

- Bynajmniej. Sądzę po prostu, że ci biedni, stęsknieni za Ziemią koloniści będą pragnęli, żeby ambasador ze starego kraju wyglądał tak, jak przystało na jego rolę.

Robert pogroził mu palcem.

- Co, grać wyniosłego arystokratę, który przybył, by dzielić się swą mądrością z

miejscowymi kmiotkami? Przykro mi, nie; to podejście Sendrukan, nie moje.

- Wstydz się, Robercie, umniejszasz wzniosłe ideały naszych sojuszników w dążeniu do pokoju i sprawiedliwości - stwierdził Harry, przybierając pozę udawanego dostojeństwa, po czym chytrze się uśmiechnął. - Poza tym twój szacowny sendrukański kolega Kuros i jego ochroniarze, ci zbirowaci Ezgarowie, mieszkają zaledwie kawałek dalej w dół korytarza. Kto wie, ile drobin szpiegujących krąży w tej chwili po statku, podsłuchując każde nasze słowo?

- Nie po tym, jak po incydencie z *Freją* marynarka Ziemi sfery zainstalowała nowe systemy antyinwigilacyjne - odparł Robert, wybierając z małej otwartej skrytki w szafie ściiennej rosyjskie skórzane rękawiczki, parę bandan w szkocką kratę i rzeźbiony drewniany pierścień. - Bardziej interesuje mnie, czemu w ogóle tutaj są.

Herakles był już w drodze do strefy głębinowej Huvuun, kiedy dotarły doń rozkazy, żeby zmienić kurs i skierować się do Chasulonu, planety będącej stolicą Brolturu, celem zabrania na pokład dostojnego Wysokiego Obserwatora Utavessa Kurosa oraz jego osobistej gwardii. Okazało się, że jest to ośmiu komandosów Ezgara, czwororęcznych, dwunożnych żołnierzy o przerażającej reputacji, którzy nosili osłaniające całe ciało stalowoniebieskie zbroje i nigdy nie pokazywali twarzy. Jednakże Kuros i jego strażnicy mieli być traktowani z najwyższą uprzejmością, gdyż znaleźli się na pokładzie w wyniku osobistego życzenia pani prezydent Ziemi sfery, Eriki Castiglione, najwyraźniej w podwójnej funkcji: jako doradcy Sojuszu oraz jako obserwatorzy z ramienia rządu brolturańskiego.

W wyniku osobistego życzenia!, pomyślał Robert. Założył się, że bardziej przypominało ono żądanie, a Erica była jego adresatem.

- Nie wydaje mi się, by należało się nadmiernie martwić - powiedział Harry, opierając stopę o krawędź niskiego stołu. - Hegemonia uważa, że musi trzymać rękę na pulsie i śledzić każde wydarzenie polityczne, bo inaczej wszystko mogłoby się rozsypać, władza centralna straciłaby siłę i tak dalej. Tymczasem wszystko prawdopodobnie toczyłoby się najzupełniej normalnym trybem, gdyby uwaga Hegemonii była skierowana gdzie indziej.

- Harry, jak na ciebie, to, co mówisz, to właściwie herezja.

- Wiem. Składam to na karb przedłużającej się ekspozycji na życie i dzieła Roberta Horsta! W każdym razie w nadchodzących tygodniach czeka cię polityka na cokolwiek mniejszą skalę.

- To prawda, niemniej jednak może się okazać całkiem owocna. Jeden z plików nadesłanych przez kancelarię prezydenta Sundstroma zawierał interesujące streszczenie ich polityki gospodarowania zasobami oraz ich pozyskiwania...

- Ach, masz na myśli te korzenie przesiewnicze, które dostali od Uvovo? - Harry

zachichotał. - Nadzwyczaj pomysłowy sposób na pozyskiwanie pierwiastków w postaci czystej, jak na społeczeństwo, które nie zna jeszcze nanofabryk. Gdyby je odpowiednio zaadaptować, można byłoby je wykorzystywać do innych celów, na przykład do metalurgii próżniowej na asteroidach. Czy nawet sprzedawać prawo do użytkowania tego patentu kulturom, w których istnieje zakaz korzystania z nanotechnologii.

Robert wzruszył ramionami.

- To brzmi sensownie. Bardziej interesują mnie jednak relacje między kolonistami a Uvovo, nie wspominając już o wewnętrznej polityce kolonii.

- No cóż, jak na niedużą kolonię, historię mieli dość burzliwą. Problemy ze zbuntowaną pokładową SI, później bardzo ciężkie pierwsze pięćdziesięciolecie, problemy z ekspansją, brak zasobów, potem nawiązanie kontaktu z tą rozumną rasą Uvovo i niedoszła wojna domowa, która zaostriżyła pewne zaznaczające się już wcześniej podziały. Ale trudności może przysporzyć przede wszystkim to tabu na SI. Powinieneś przeczytać niektóre ich powieści i sztuki - sztuczne inteligencje przedstawiane są tam niczym szalejące maszyny śmierci z Ery Towarowej. Odbieram to jako prawdziwą zniewagę. W dodatku co roku świętują pokonanie tamtej biednej, niemądrej SI. Nazywają to Dniem Zwycięstwa Założycieli.

- Zgadzam się, że to pewien problem, ale zamierzam poczekać do czasu, aż osobiście się zapoznam z kulturą Dariena, by dopiero wtedy rozważać możliwe rozwiązania. - Robert otworzył następny wysoki przedział szafy ściennej i dotknięciami powysuwał znajdujące się wewnątrz skrytki. - To kwestia ugruntowania obrazu powszechnie spotykanych, zwyczajnych, życzliwych SI...

Sięgnąwszy do wnętrza szafy, zatrzymał się nagle i zagapił z przerażeniem na znajdujący się wewnątrz obiekt wielkości dłoni.

- Ach, więc to tutaj pokój umieścił ten gadżet - zamruczał Harry. - Mogę go odłożyć gdzie indziej, jeśli chcesz.

- Nie, nie, w porządku - odparł Robert. - Nie mogę go ciągle unikać...

Był to intersym, płaskie ośmiokątne urządzenie, w przeważającej części bladoniebieskie z ochrowym zdobieniem wokół ekranu i umieszczonymi po jednej stronie kontrolkami, które obsługiwało się czubkiem palca. Płytką projekcyjną na górze wyglądała jak ciemne, okopcone szkło, w głębi którego z trudem dawało się rozróżnić skupiska wielofasetkowych emiterów. Urządzenie było stosunkowo solidnej wagi jak na swoje rozmiary - ciężar kompaktowej technologii... lub też ciężar wspomnień.

Minął już prawie rok, odkąd córka Roberta, Rosa, zginęła, lecąc *Pax Terra*, przerobionym, nieuzbrojonym statkiem zwiadowczym stanowiącym własność grupy

protestacyjnej Życie i Pokój. *Pax Terra* brał udział w próbie zablokowania portu kosmicznego na granicy układu Metraj, z którego odlatywały okręty wojenne Ziemi sfery oraz Hegemonii Sendrukańskiej zmierzające do Domeny Yamanon. Oficjalna wersja wyglądała tak, że statek protestujących wzięto za statek-bombę poruszający się po kursie kolizyjnym względem krążownika Hegemonii, którego kapitan nie miał innego wyjścia, jak tylko otworzyć ogień. Początkowo rząd Ziemi sfery ostrożnie wyrażał obiekcje, ale sprawa rychło ucichła.

Robert oraz jego żona Giselle byli zrozpaczeni, a przełożeni w Służbie Dyplomatycznej na szczęście szybko zaoferowali mu urlop okolicznościowy. Jednakże Horst nie był w stanie siedzieć w domu, w Bonn, oplakując córkę - musiał poznać prawdę na temat jej śmierci.

Siedząc na skraju niebieskiej kanapy z interaktywnym symem w dłoniach, przypomniał sobie miesiące, które spędził na odszukiwaniu świadków incydentu z blokadą oraz rozmawiając z przyjaciółmi i współpracownikami Rosy w organizacji Życie i Pokój. To, czego się dowiedział, było całkowicie sprzeczne z oficjalną wersją wydarzeń, natomiast w dużej mierze pokrywało się ze wszystkim, co wiedział na temat swojej córki, na temat jej intelektu i umysłu, jak również jej współczującej natury oraz gotowości do poświęcenia się w imię tego, w co wierzyła.

Miliony postradały życie, kiedy koalicja Ziemi sfery i Hegemonii dokonała inwazji na Domenę Yamanon i zbombardowała kluczowe układy reżimu Dol-Das. Rosa określała te śmierci mianem potwornej zbrodni i nie mógł już dłużej zaprzeczać, że był to słuszny osąd.

„Nauczyliśmy ją kochać” - napisał w jednej z wiadomości przesłanych do żony z podróży - „i postąpiła tak, a nie inaczej, z miłości”.

Przebywał na Xasome w Królestwie Metraj, starając się pozyskać ze sprawozdań dostępnych w publicznych archiwach dane potwierdzające jego podejrzenia, kiedy przez lokalny konsulat Ziemi sfery otrzymał paczkę. Pochodziła z Ziemi, od jego żony, a towarzyszył jej liścik następującej treści:

Najdroższy, znalazłam sposób, który pozwoli przywrócić naszemu życiu blask, i przesyłam go również Tobie. Z miłością i radością - Giselle.

Przypuszczając, że chodzi o jakieś kompendium zapisów wizualnych i innych nagrań z rodzinnego archiwum, Robert postawił wówczas intersym na biurku i włączył go. Urządzenie błysnęło trzykrotnie, skanując pokój, a chwilę później nagle stała tam Rosa, ubrana w jeden ze swoich ulubionych strojów do spędzania czasu na świeżym powietrzu, uśmiechając się do ojca.

- Cześć, tato! - powiedziała.

Mówiła tak pogodnie, tak promieniejąc tym swoim pełnym zachwytu ożywieniem, że niemal zawołał: „Rosa! Ty żyjesz...”.

Ale słowa uwięzły mu w gardle, gdy rozsądek wziął górę, i Horst zagapił się na symulację swojej córki.

- Tato, jak się masz?

Niezdolny wypowiedzieć słowa ani odwrócić wzroku, z determinacją wyciągnął rękę, choć wymagało to maksymalnego wysiłku woli, i wyłączył urządzenie. Patrząc teraz na nie, gdy tak spoczywało we wnętrzu jego dłoni, już wiedział, co popchnęło Giselle do zamówienia czegoś takiego. Rozumiał i pozwolił, żeby gniew przycichł, wiedząc, że część tego gniewu jest wymierzona w jego własne desperackie pragnienie, by Rosa nadal żyła.

A mimo to... mimo to nie mógł się zmusić do tego, żeby zniszczyć sym, albo przynajmniej zlecić wyczyszczenie jego pamięci; ani wtedy, ani teraz.

W końcu, podjąwszy decyzję, wsunął intersym do kieszeni marynarki, wstał i wrócił do pakowania.

- Jesteś pewien, że to rozsądne? - spytał Harry.

Robert uśmiechnął się, układając w walizie ostatnie sztuki odzieży.

- Sądzisz, że narażam na szwank mój temperament negocjatora, a więc i całą misję?

Harry przybrał minę wyrażającą udawane zaskoczenie.

- Cóż za krzywdząca interpretacja mojej szczerzej troski. Sugeruję po prostu, że pozostawienie tutaj tego przeklętego drobiazgu pomogłoby ci zachować spokój ducha. - Zamilkł na chwilę, poważniejąc. - Robercie, myślę, że zabierając go, ranisz sam siebie.

Robert westchnął.

- Doceniam twoją troskę, Harry, naprawdę. Ale martwisz się na wyrost. W przeciwieństwie do Giselle pogodziłem się już ze śmiercią Rosy i wiem, że ta symulacja nie jest nią, a jedynie sztucznym wytworem. Nie żyjącą, oddychającą osobą, której mógłbym dotknąć.

Harry przez moment przyglądał mu się z namysłem.

- Powiedz mi, czy tak właśnie postrzegasz mnie? Jako sztuczny wytwór?

- No cóż, owszem. Sporządzony przez doświadczenie, myśl i przypadek, jak również przez przyjaźń! - Robert się uśmiechnął. - Podczas gdy urządzenie Giselle to zamrożona wizja, eksponat, który nie potrafi się uczyć ani zmieniać. Zadowolony?

- Tak, moja głęboko zraniona samoocena została opatrzona stosownym plastrem. - Harry wskazał dwie zamknięte walizy. - Czy już skończyłeś? Bo mieszkańcy Dariena oraz ich

przedstawiciele oczekują cię, nie mówiąc o wszystkich tam w domu, którzy śledzą twoją misję, w Poświacie oraz gdzie indziej.

Robert jęknął. Poświata była wirtualną rzeczywistością Układu Słonecznego, gdzie niepodzielnie rządzili celebryci i ich ekscesy.

- A więc Urząd Obrony wreszcie uległ naleganiom potęg medialnych, czy tak?

- Owszem, a to oznacza, że wkrótce będziemy transmitowani na żywo przez Starstream - odrzekł Harry, uśmiechając się niesfornie od ucha do ucha. - Bo tylko oni byli w stanie zapłacić cenę, którą zaśpiewał sobie Urząd Obrony.

- Starstream - powtórzył Robert, uaktywniając suspensory na swoim bagażu. - Wprost nie posiadam się z radości. Chodźmy.

Koloniści

Na zachód od Hammergardu, za szerokim na nieco ponad trzy kilometry Loch Morwen, na cyplu wznoszącym się ponad wodą, znajdowało się skupisko niskich budynków, z którego wyrastały dwie smukłe wieże. Ogrodzona płotem i patrolowana, była to główna baza operacyjna dywizji specjalnej Ochotniczego Korpusu Dariena. W tej chwili, prawie sześć godzin po tym, jak prezydent wygłosił swoje orędzie do kolonistów, stu osiemdziesięciu pięciu spośród dwustu członków personelu bojowego tłoczyło się w małej salce nagrań, wyciągając szyje, żeby móc patrzeć na pojedynczy ekran widu.

- Ej no, ty tam z przodu, weź schyl głowę!
- Bedziesz łaskaw wreszcie przestać?
- Co przestać?
- Wrzeszczeć mi prosto w ucho, wyjcu jeden!

Donny Barbour uśmiechnął się szeroko, słuchając tej oraz wielu innych wymian zdań z ławeczki na samym przedzie, którą zajął odpowiednio wcześniej. W tym momencie jednak nie było za bardzo co oglądać - ot, para dziennikarzy z *Vizione*, głównego kanału Dariena, dyskutowała nad informacjami, które na przestrzeni tego dnia zostały już gruntownie przeżute przez tabloidy oraz rozmaitych ekspertów w radiu. Za tym modnie ubranym duetem - ich imiona brzmiały Maggie i Lew - rozciągał się widok na najdłuższy pas lądowania w Porcie Gagarina, widziany z głównego terminalu. Po wylądowaniu wahadłowca *Vizione* miał jednakże ustąpić miejsca kanałowi medialnemu z Ziemi o nazwie *Starstream*, który wysłał na pokładzie *Heraklesa* swoją ekipę reporterów.

Teraz Maggie i Lew bez przekonania prezentowali własne spekulacje dotyczące tego, co czeka Dariena w najbliższej przyszłości, bazując na niemal pozbawionych treści dokumentach streszczających sytuację, które tego ranka upubliczniła kancelaria prezydenta. Donny omal nie roześmiał się w głos, przypominając sobie, co poprzedniej nocy usłyszał z własnych ust Sundstroma.

Gdybyście tylko znali prawdę.

Dwoje dziennikarzy porzuciło swe niemrawe domysły, by ogłosić, że wahadłowiec podchodzi do lądowania, a następnie oddać głos kanałowi *Starstream* oraz ich pojedynczemu komentatorowi, nazwiskiem Lee Shan.

Lee Shan: Tu Lee Shan, witam wszystkich naszych widzów oraz immersantów w całej Ziemosferze i poza nią w tym jakże doniosłym dniu w historii Ludzkości. Mówię do was z pokładu wahadłowca *Achilles*, który właśnie w tej chwili schodzi przez warstwy chmur, zbliżając się do największego lotniska w Kolonii Darien, Portu Gagarina, nazwanego tak oczywiście na cześć pioniera astronautyki z ery Związku Sowieckiego.

WIDEO (NISKA FUNKCJONALNOŚĆ)

Wahadłowiec *Achilles* pojawia się na zachodnim niebie - odległa kropeczka, która rośnie w oczach, przybierając kształt smukłego grotu, i nurkuje ku północnemu wybrzeżu. Zatacza następnie półkole nad morzem i dopiero stamtąd podchodzi do lądowania w Porcie Gagarina. Jego zejście na włączonych silnikach wydaje się zbyt szybkie i strome do momentu, gdy wahadłowiec gwałtownie zwalnia, hamując na kolumnach siłowych, które sprawiają, że powietrze pod jego kadłubem drga. Buczą silniki, a kilka chwil później *Achilles* miękko osiada na wysuniętym podwoziu.

Lee Shan: *Achilles* jest jedną z dwu szybkich łodzi zwiadowczych, jakie ma krążownik *Herakles*; obie mogą być wykorzystane zarówno w walce, jak i do celów pokojowych, podobnie jak szalupa okrętu, *Hermes*. *Herakles* był oczywiście niedawno na misji w Domenie Yamanon w ramach wkładu militarnego Ziemosfery w Sojusz na Rzecz Wolności, któremu przewodzi Hegemonia. Brał udział w obaleniu brutalnego reżimu Dol-Das, które wyzwoliło dziesiątki układów. W Starstreamie jesteście pełni szacunku dla odwagi wszystkich sił Ziemosfery oraz Hegemonii, które nadal są zaangażowane w operacje pacyfikacyjne w rejonie Yamanon.

W kuchni wiejskiego domu wbudowanego w zbocze wzgórza na południowy zachód od Hammergardu Teo Karlsson wpatrywał się w przenośny widekran z mieszanką rozbawienia i niepokoju, podczas gdy Rory oraz reszta załogi ładówki rechotali.

- Pełni jesteście szacunku dla kogo?

- Ach, dla dzielnych oddziałów, Rory, we wsparciu dla których winniśmy się radośnie jednoczyć! - odparł Aleksiej Firmanow.

- *Da*, i to koniecznie z pieśnią na ustach - dodał jego brat Nikołaj. - Heroiczne pieśni, które wszyscy śpiewamy, wymachując flagami, mnóstwem flag.

Rory zmierzył wzrokiem dwóch uśmiechniętych od ucha do ucha Rosjan. Był niskim, żyłastym Szkotem o zmierzwionych jasnych włosach i oczach jak niebieski lód, które teraz

spoglądały podejrzliwie.

- Jaja se ze mnie robita, wy dwaj.

- Wcale nie, Rory - powiedział Teo. - Całe to pozdrawianie oddziałów, wymachiwanie flagami i śpiewanie pieśni jest czymś powszechnym w autorytarnych kulturach, takich jak sowiecka Rosja dawno temu na Ziemi.

- Ach tak, historia starożytna, *aye*. - Rory pociągnął nosem. - Winc tak wyglunda teraz Ziemia, co, majorze? Myślałem, że majom tam wolne wybory i tak dalej...

- W Związku Sowieckim też odbywały się wybory - powiedział Aleksiej. - Ale nie było żadnych alternatyw dla kandydata partyjnego, a wszystkie media podlegały ścisłej kontroli. - Zerknął na Teo. - Czy tak jest teraz na Ziemi, majorze?

- Nie jestem do końca pewien - odparł Teo. - Ale sądząc ze sprawozdań radiowych, wydaje się, że większość sił politycznych dzierżących władzę w Ziemiosferze jest nastawiona prohegemonijnie.

Nikołaj energicznie przytaknął.

- Zgadza się, ale czy nie wybrali kobiety na tymczasowego prezydenta, i ona podobno chce prowadzić bardziej niezależną politykę?

Rory parsknął śmiechem.

- *Aye*, a potem my siem zjawiamy w ogródku Hegemonii niczym tycie bezradne szczeniaczki! Założę siem, że nas wykorzystujom, by mieć pewność, że pani prezydent im nie spróbuje podskakiwać!

Teo uśmiechnął się szeroko. Rory, mój chłopcze, pomyślał, bez dwóch zdań twoja makówka jest jedną z bystrzejszych w tym towarzystwie.

W tym momencie Janssen i Iwanow weszli do kuchni tylnymi drzwiami. Ten pierwszy z hałasem upuścił worek narzędzi na wykafelkowaną podłogę, drugi zaś wręczył Teo duży pęk kluczy.

- No to ostatnia z fałszywych ścianek stoi - oznajmił Iwanow, rozpinając grubą roboczą kurtkę. - Ustawiliśmy skrzynki z powrotem w stertę, a stary Tove pomógł nam na nowo ubrudzić podłogę w stodole.

Teo roześmiał się.

- Po tym, jak przetrzyma tam swoje *baro* przez noc czy dwie, z pewnością stanie się więcej niż wystarczająco brudna. - Spojrzał na Janssena. - Są jakieś wieści od pozostałych?

- Maclean i Biesonow skończyli mniej niż pół godziny temu - odrzekł Janssen, ściągając brązową wełnianą czapkę i drapiąc się po głowie. - Ale drużyna Hansena miała kłopot z pękniętą osią w ładówce. Będą się grzebać jeszcze co najmniej godzinę.

Nikołaj potrząsnął głową.

- Jak leciało to stare powiedzenie? „Żaden plan nie przeżywa kontaktu z wrogiem”...

- Dobra, jest! - oznajmił głośno Rory. - To on, patrzajta...

Lee Shan: I oto ambasador Horst schodzi z pomostu, by przywitać się z wiceprezydentem Jardine. Wymieniają uścisk dłoni, po czym wiceprezydent Jardine przedstawia ambasadorowi prezydenta Kolonii Darien, Holgera Sundstroma, który od lat jest przykutym do wózka inwalidzkiego z powodu niedającego się jak dotąd wyleczyć urazu kręgosłupa.

WIDEO (NISKA FUNKCJONALNOŚĆ)

Ambasador jest wysokim, siwowłosym mężczyzną o wyprostowanej sylwetce i wychudłej, lecz życzliwej twarzy. Uśmiecha się, stając twarzą w twarz z prezydentem, którego otacza orszak urzędników i ochroniarzy, a gdy pochyla się lekko, żeby ucisnąć dłoń Sundstroma, jego uśmiech nabiera ciepła. Po wymianie wzajemnych uprzejmości zebrana grupa dygnitarzy oraz ich asystentów rusza zadaszonym przejściem w stronę głównego terminala. Za nimi z wahadłowca wysypuje się garstka reporterów, mamrocząc do zamocowanych przy ustach miniaturowych mikrofonów albo majstrując przy kamerach przyczepionych do opasek czołowych.

Lee Shan: Teraz, kiedy ja i mój, hm, asystent Tyberio opuściliśmy już wahadłowiec ambasadora, widzowie oraz immersanci w Poświacie dysponujący systemami holocyfrowymi wkrótce będą odbierać transmisję wyższej jakości. Pozostali widzowie, w tym obecni tu na Darienie, którzy niedawno dołączyli do grona odbiorców Starstreamu, będą mogli cieszyć się obrazem o większej ostrości i czystszych barwach.

- I jak, oglądasz to?

- No cóż, oglądaliśmy, Tomas - powiedział głośno Greg do swojego komu, przekrzykując gadaninę dwudziestu czy więcej Uvovo stłoczonych w chatce spotkań na terenie wykopalisk. - Ale przed sekundą padła wizja, teraz odbieramy tylko zakłócenia.

- A to pech - stwierdził Tomas. Jego głos wydawał się cieńszy i towarzyszyły mu poświsty. - My tu w górze mamy doskonały odbiór, ale w końcu nasz sygnał pochodzi bezpośrednio z Monitorsatu.

- Aye, czemu mnie to nie dziwi? - odparł Greg, przyjmując od rosyjskich badaczy kubek

czegoś ostro pachnącego, a następnie wznosząc wraz z nimi toast.

- Zdarowie!

- Slainte!

- Hej, co ty pijesz? - zapytał Tomas.

- Sam chciałbym wiedzieć - odparł ochryple Greg, delektując się dymnym posmakiem oraz ciepłem w gardle. - Smakuje trochę jak... grillowana kora albo coś w tym guście. Ale nie jest złe. No więc czemu dzwonicz do mnie w samym środku tego historycznego wydarzenia?

- Tylko po to, żeby ci powiedzieć, że panna Macreadie, jak to mówią, czuje do ciebie miętę.

- Co? - zapytał Greg, tak zaskoczony, że omal nie rozlał zawartości powtórnie napełnionego kubka. - Skąd wiesz? Powiedziała ci?

- Oczywiście, że mi nie powiedziała, ale kiedy niedawno wspomniałem jej o tobie, tak starannie udawała brak zainteresowania, że nad jej głową równie dobrze mógłby zapalić się neon „Chcę Grega”.

Greg zachichotał, wyobrażając sobie ten obraz.

- Wiesz, doświadczenie pokazuje, że twój instynkt w tych sprawach nie jest bynajmniej stuprocentowo trafny...

- Może i tak, ale dam głowę, że ona o tobie myśli...

- Tomas, ona była kiedyś Ulepszoną - odparł. - Nie wydaje mi się, żebym miał szansę dorównać jej intelektowi... czekaj, chwila, odzyskałoby obraz. Później do ciebie oddzwonię, szanowny swacie!

- W porządku, wolno ci się teraz śmiać, ale przekonasz się, że miałem rację, wierz mi...

WIDEO (ŚREDNIA FUNKCJONALNOŚĆ)

Prezydent, ambasador oraz oficer wysokiej rangi dokonują inspekcji gwardii honorowej, złożonej z trzydziestu żołnierzy z Ochotniczego Korpusu Dariena, stojącej w dwuszeregu przed budynkiem terminala na lotnisku w Porcie Gagarina. Z boku mała orkiestra dęta gra marsza, podczas gdy trzech mężczyzn przechodzi wzdłuż rzędu żołnierzy Korpusu, przystając, żeby zamienić kilka słów z paroma spośród nich. Mundur galowy OKD składa się z dopasowanej kurtki i spodni w barwie wojskowej zieleni z ciemnobrązowymi wykończeniami, miękkiej zielonej czapki z czerwoną rozetą oraz brązowych rękawic. Każdy z żołnierzy jest uzbrojony w broń krótką oraz automatyczny karabin, jedno i drugie przystosowane do strzelania kulami, oparte na sprawdzonych dwudziestowiecznych wzorcach. Chorąży trzyma sztandar z godłem OKD, przedstawiającym dwa skrzyżowane

miecze pod stylizowanym globem.

Lee Shan: Ambasador dokonuje inspekcji gwardii honorowej, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby spytać jakiegoś żołnierza o imię czy pochodzenie. Ambasador Robert Horst jest bardzo doświadczonym dyplomatą, który po raz pierwszy osiągnął znaczącą pozycję w czasie blokady, a potem wyzwolenia Prodasu w roku 2259. Brał udział w negocjacjach o życie zakładników podczas kryzysu na Odległych Równinach w 2262, a później był delegatem Ziemosfery na krótko istniejące Zgromadzenie Światów. Ostatnio odegrał kluczową rolę w posunięciach dyplomatycznych mających przekonać reżim Dol-Das do pozbycia się broni niszczącej planety. Jednakże już po tym, jak dyktatura Dol-Das została obalona, Robert Horst i jego żona stracili jedyną córkę, Rosę, która e-rok temu zginęła w tragicznym wypadku, uczestnicząc w protestach antywojennych w Królestwie Metraj.

- Biedny człowiek - wymruczała Swietłana.

Catriona kiwnęła głową, zastanawiając się w duchu, czemu prezenter publicznie komentuje tak bolesne szczegóły z prywatnego życia. Czy ambasador i jego żona nie mieli nic przeciwko temu, że przed miliardami słuchaczy mówi się o ich osobistej żałobie? Był to jednak tylko pojedynczy strzępek w powodzi informacji, niemający szerszego kontekstu ani tła zrozumiałego dla widzów z Dariena; tylko suche fakty, wspomniane mimochodem, jakby ich znaczenie było oczywiste.

Jakby oczekiwano, że te informacje zrobią na nas wrażenie, pomyślała.

Popatrzyła na resztę swojej ekipy, a w każdym razie na tych dziewięcioro, którzy akurat znajdowali się w pobliżu i mieli wolne, i zobaczyła, że niektórzy mają zdumione miny. Inni, jak Swietłana, szeroko otwartymi oczami śledzili trwającą ceremonię, całkowicie pochłonięci jej przebiegiem.

Potem do pomieszczenia wsunął się Tomas i ponownie zajął miejsce obok Catriony.

- Ominął cię moment, kiedy ambasador ścisnął dłoń prezydenta - powiedziała sardonicznie. - Gdzie byłeś?

Wzruszył ramionami.

- Przypomniałem sobie, że muszę zadzwonić do drużyny Gunthera i zapytać, czy mają na zbyciu trochę pojemniczków na próbki. Powiedzieli, że jutro przysła nam całe pudło. No więc, co się dzieje?

- Chciałabym móc powiedzieć, że jest ciekawie, ale... - Wskazała ekran. - Nic, tylko protokół i ceremonia. Jak dotąd najbardziej interesującą rzeczą były komentarze wygłaszane

na boku przez tego dziennikarza, Lee Shana. Nie podają praktycznie żadnych szczegółów na temat historii najnowszej.

- Wygląda na to, że w prasie na całej planecie królują artykuły o Wojnie z Rojem, tudzież o tym, jak Ziemia została ocalona od zniszczenia przez dzielną i altruistycznie nastawioną Hegemonię Sendrukańską - powiedział Tomas, przewracając oczami.

- *Aye*, no cóż, jeśli tak faktycznie było, cieszę się - odparła Catriona. - To znaczy, wiemy, w jakiej opresji znalazły się Pierwsze Rodziny, kiedy SI dowodząca zwróciła się przeciwko nim; jak musiało to wyglądać na Ziemi, kiedy Rój bombardował miasta i szykował się do inwazji?

- Mam nadzieję, że już wkrótce dostaniemy jakieś wiarygodne relacje historyczne z tej epoki - stwierdził Tomas. - A przy okazji może dowiemy się czegoś na temat dwóch pozostałych statków kolonizacyjnych... hm, co tam się teraz dzieje?

- Zaraz rozpocznie się konferencja prasowa - odrzekła Catriona.

- Doprawdy? - powiedział Tomas. - Ciekawe, czy zaryzykują i pozwolą zadawać pytania?

WIDEO (ZMIENNA FUNKCJONALNOŚĆ)

Hol terminalu jest szczelnie wypełniony, przy czym większość hałaśliwych mieszkańców Dariena siedzi w rzędach przed szeroką platformą przykrytą zielonym sukniem, podczas gdy pozostali stoją z tyłu i po bokach. Wybuchają oklaski i wiwaty, kiedy prezydent Sundstrom na swoim wózku inwalidzkim oraz ambasador Horst wchodzi i zbliżają się do długiej rampy prowadzącej na platformę. Znalazłszy się na górze, w towarzystwie wiceprezydenta, burmistrza Portu Gagarina oraz odzianych w ciemne garnitury agentów ochrony, prezydent przez chwilę uśmiecha się wesoło w obliczu tego powitalnego zgietku, potem unosi dłonie i gestykuje, żeby uciszyć tłum.

Prezydent Sundstrom:

- Dziękuję, dziękuję wam wszystkim za tak gorące powitanie. Cóż, widzę, jacy jesteście zdumieni i zachwyceni tym zaskakującym wydarzeniem: że sto pięćdziesiąt lat po tym, jak *Hyperion* wylądował, udało nam się ponownie nawiązać kontakt z Ziemią. Świadomość, że Ziemia przetrwała Wojnę z Rojem i zyskała potęgę oraz wpływy, jest dla nas wszystkich źródłem niewiarygodnej radości i dumy. Tak więc, zanim przytłoczy mnie wzruszenie, pragnę tylko powiedzieć, że cieszę się przeogromnie, mogąc oznajmić w imieniu wszystkich naszych obywateli: ambasadorze Horst, witamy na planecie Darien!

WIDEO (ZMIENNA FUNKCJONALNOŚĆ)

Ponownie wybuchają oklaski, tym razem jeszcze głośniejsze, a prezydent cofa swój wózek o metr czy dwa. Ambasador uśmiecha się, a kiedy daje krok do przodu, tłum przycicha w oczekiwaniu.

Ambasador Horst:

- Z całego serca dziękuję wam za to gorące i gościnne powitanie. To przywilej i zaszczyt stać tu przed wami jako osobisty przedstawiciel Eriki Castiglione, prezydent Ziemiosfery, bowiem kolonia, którą tutaj założyliście mimo tak wielu trudów, dowodzi, jak niezłomny jest duch Ludzkości!

(Oklaski)

- Odkrycie Kolonii Darien ma wielką wagę dla wszystkich narodów zamieszkujących Ziemię, także dlatego, że los trzech statków kolonizacyjnych stanowił dla nas enigmę od czasu, gdy półtora wieku temu pokonaliśmy Rój. Wiemy, że każdy ze statków otrzymał rozkaz, aby uciec z Układu Słonecznego, dokonując losowych skoków w hiperprzestrzeń, w związku z czym cele podróży oraz lokalizacje, gdzie ostatecznie wylądowały *Forrestal* i *Tenebrosa*, pozostają zagadką. Rzecz jasna, pierwotny plan kolonizacji obejmował piętnaście statków, spośród których większość była już częściowo skonstruowana, kiedy Rój dokonał inwazji na Układ Słoneczny. Tamte pierwsze, dokonane bez ostrzeżenia ataki były przyczyną śmierci milionów ludzi na Ziemi oraz zniszczenia wielu spośród tych jednostek, i dlatego właśnie wasi przodkowie jako pierwsi opuścili ojczyznę Ludzkości, wyruszając z tak desperacką misją. Nie sposób przecenić intensywności zainteresowania, jakie Darien wzbudza teraz na Ziemi oraz we wszystkich społecznościach Ludzi w całej Ziemiosferze. Co więcej, zarówno Urząd Emigracyjny, jak i Urząd do Spraw Dyplomacji zostały dosłownie zalane podaniami z Rosji, Szkocji i Skandynawii, wysłanymi przez osoby, które pragną nawiązać kontakt z dawno zaginionymi gałęziami swoich rodzin. Będzie to wymagało znacznej ilości pracy, porównywania danych genealogicznych i DNA, ale podejmiemy ten wysiłek najszybciej, jak się da. Sądzę, że powinienem wam teraz przedstawić w ogólnym zarysie szerszą sytuację międzygwiazdową oraz miejsce Dariena w jej obrębie. Wasz świat leży bardzo daleko od Ziemi, prawie piętnaście tysięcy lat świetlnych, a w waszej bezpośredniej bliskości znajdują się liczne cywilizacje, z którymi Ziemiosfera nie utrzymuje regularnego kontaktu prawie wcale lub wcale. Szczęśliwie dominującą siłą polityczną na tym obszarze jest jeden z sojuszników Ziemi, Hegemonia Sendrukańska, która przyrzekła dbać o pokój i stabilną

sytuację w całym tym rejonie kosmosu, co pomoże zagwarantować niepodległość i suwerenność Dariena. Aby zaś niezwłocznie nawiązać dobre relacje, niezmiernie wysoko postawiony przedstawiciel Hegemonii - Wysoki Obserwator, Jaśnie Oświecony Utavess Kuros - znajduje się na pokładzie *Heraklesa* i jutro przyleci na planetę, by spotkać się z wami wszystkimi. Jednakże, mimo tak olbrzymich odległości, już wkrótce otworzą się szerokie możliwości, gdy chodzi o pomoc oraz handel pomiędzy Darieniem a Ziemią, jak również innymi rynkami położonymi na tutejszym obszarze. Co więcej, nawiązanie przez was kontaktu z Uvovo oraz późniejsze współdziałanie z nimi bez wątpienia stanie się źródłem fascynacji ksenospecjalistów oraz innych uczonych w całym cywilizowanym kosmosie. Być może nie jesteście jeszcze tego świadomi, ale społeczności Ludzi cieszą się doskonałymi relacjami z wielką liczbą przeróżnych rozumnych ras i wkrótce zyskacie możliwość uczestnictwa w tym doświadczeniu, gdy przyjazne cywilizacje żyjące w niedużej odległości zapragną otworzyć tutaj ambasadę. Na tę chwilę to wszystko, co mam do powiedzenia. Wiem, że wielu spośród was pragnie mi zadać setki pytań, ale zamierzam udzielić odpowiedzi na pełnowymiarowej konferencji prasowej, która odbędzie się jutro po południu w Hammergardzie. Pozwólcie zatem, że raz jeszcze podziękuję wam za wasze wspaniałe powitanie i z radością porozmawiam z wami jutro.

Kuros

Wysoki Obserwator, Jaśnie Oświecony Utavess Kuros patrzył, jak Horst oraz prezydent Dariena opuszczają platformę, żegnani chórem wykrzykiwanych daremnie pytań. Nie był jedyną osobą, która wpatrywała się w ekran w słabo oświetlonej sali wykładowej na pokładzie *Heraklesa*; towarzyszyła mu osobista gwardia złożona z ośmiu komandosów Ezgara. Czwororęcy, od stóp do głów zakuci w ciemnoniebieskie zbroje, siedzieli w pierwszym rzędzie, milczący w swych dopasowanych hełmach, pozbawieni twarzy i nieruchomi.

Był tam też jeszcze ktoś, kogo widział tylko Kuros.

- Nie darzę sympatią tych całych Ludzi - powiedział Generał. - Są pozbawioną szacunku i dyscypliny hołotą rojącą się od dysydentów, którzy rozpowszechniają w mediach szkodliwe spekulacje, bo te media są w pożałowania godnym stopniu pozbawione odgórnej kontroli. Choć nasz sojusz z nimi trwa już prawie osiemdziesiąt velannów, wciąż jeszcze się nie nauczyli, gdzie jest ich miejsce, ani nie wykazali jakiegokolwiek postępu, gdy chodzi o stopień oddania, a ci koloniści z pewnością okażą się jeszcze gorsi!

Kuros uśmiechnął się do towarzyszącego mu od urodzenia przyjaciela i brata-w-umyśle, SI występującej pod imieniem Generał Gratach.

- A więc zgadzasz się, że stanowią oni swego rodzaju wyzwanie? - zapytał w myślach.

Generał splótł muskularne ramiona na piersi, a Kuros usłyszał metaliczny chrzęst płytek zbroi. Konsekwentnie odwzorowując wizerunek prawdziwego Gratacha, będącego postacią historyczną, SI miała na sobie ryszunek bojowy piastującego wysoki stopień oficerski Abrogatora z czasów Wojny Trzech Rewolucji: ozdobną uprząż lśniąca złotem i czerwienią. Ręce i ramiona generała jeżyły się kolcami mocotarczy, z których każdy ozdobiony był małym proporczykiem wotywnym - srebrne litery na czarnym tle. Jego hełm lśnił jak polerowany brąz i był prostszy; z kunsztownie wykonanym diademem z czaszek *chusken* kontrastowały gogle taktyczne sterczące na wysokości brwi, gotowe w każdej chwili opaść na oczy.

- Wyzwanie - mruknął Gratach. - Wyłącznie w kategoriach bezpośrednich interesów Hegemonii; pod względem militarnym ta kolonia jest zupełnie nieistotna.

Kuros kiwnął głową, wracając myślami do swojej audiencji u Piątego Trój-Rzecznika zaledwie kilka godzin przed odlotem z Iseri, ojczystego świata Sendrukan. Odziany w

ascetyczną szarość, Piąty siedział na szybującym tronie z wysokim oparciem, mając po obu stronach hologramy dwóch pozostałych rzeczników - swych braci-w-umyśle, za sobą zaś półprzezroczyste zasłony w charakterze tła. Wypytał Kurosa o listę zadań do realizacji na Darienie, którą ten otrzymał niecały dzień wcześniej. Upewniwszy się, że Kuros ma w pamięci najważniejsze kwestie, Piąty podzielił się z nim następnie swoimi spostrzeżeniami.

- Widzimy, że dwie najważniejsze pozycje w twoim życiorysie to Dwunasty Sektor Graniczny, gdzie zajmowałeś stanowisko Drugiego Supresora, oraz Konformacja Pothiwa, gdzie kierowałeś kilkoma delegacjami handlowymi. Należy mieć nadzieję, że podczas tej misji będziesz zmuszony wykorzystywać tylko doświadczenie nabyte w toku tych ostatnich. Przekonasz się, że Ludzie są sentymentalni, zwłaszcza w odniesieniu do wydarzeń wojennych oraz osiągnięć militarnych; co ważne dla nas, ich rządy stale wykorzystują tego rodzaju sentymentalność, aby maskować szczegóły historyczne i podtrzymywać integralność doktryn, jak również zapewniać sobie wsparcie ogółu społeczeństwa. Powinieneś często odwoływać się do przyjaźni między Hegemonią a Ludźmi, do wzajemnej współpracy oraz wspólnych wartości, nawet jeśli wszystko to jest w dużej mierze iluzoryczne. Miej też świadomość, że stale będziesz się znajdował pod okiem mediów: nie podejmuj żadnych działań ani nie ujawniaj żadnych informacji, które mogłyby zdradzić, że interesujemy się ruinami Starożytnych. Obmyśl spektakle, które odwrócą uwagę zarówno przedstawicieli mediów, jak i kolonistów...

Potem jeden z dwóch rzeczników będących SI odwrócił się w stronę Kurosa - występował pod postacią Hegemona Rozrywaczy Moardisa, niezmiernie chudej, złotookiej postaci odzianej w pełną przepychu czerwoną szatę, z kołnierza której wyrastał szereg długich czarnych kolców zakrzywiających się ponad ciemieniem właściciela. Moardis był Hegemonem, który czterysta lat wcześniej unieszkodliwił ukryte inwazje pasożytów Ghaw i w końcu całkowicie je wytępił, podobnie jak sąsiednie cywilizacje, które udało się im podporządkować swojej woli. Jedynie najpotężniejszym SI wolno było przybierać postać tak znamienitego Hegemona.

- Wiele zależy od tej misji, Utavessie Kurosie. Jeśli odniesiesz sukces, przyszłe bezpieczeństwo oraz chwała Hegemonii będą zapewnione, w imię Voloastiego, na wiele pokoleń, tak potężna jest moc, po którą zamierzamy sięgnąć; czy wiesz, jaką ona nosi nazwę?

- Krzywstudnia, wasza Immanencjo.

- Nie jest to pierwsza, jaką zbadaliśmy, ale możliwe, że okaże się, iż po raz pierwszy odkryliśmy taką, która jeszcze działa. Jeśli tak się stanie, Hegemonia wejdzie w posiadanie bramy prowadzącej do niższych domen hiperprzestrzeni. Gdy zyskamy nad nimi kontrolę,

będziemy w stanie uniemożliwić dowolnemu dającemu się przewidzieć adwersarzowi strategiczne posunięcia, które pozwoliłyby mu stać się realnym zagrożeniem. Pokój i chwała będą naszą spuścizną.

Piąty przemówił znowu.

- Przygotuj się gruntownie, Kurosie. Módl się do Voloastiego, by cię chronił i prowadził. Przygotuj plany na każdą ewentualność. Nie pozwól, by cokolwiek zdołało cię zaskoczyć. Wykorzystaj przedstawicieli mediów przeciwko twoim adwersarzom, a nawet przeciwko sobie nawzajem. Zapewnij triumfalne zakończenie, a twą nagrodą będą bogactwa, zaszczyty i sława. Obiecał to sam Hegemon.

A przez cały czas trwania audyencji drugi rzecznik będący SI zachowywał milczenie. Miał postać zwiniętego, stalowołoskiego *mohoro* - potężnego, lecz enigmatycznego stworzenia ze starożytnej mitologii Sendrukan. Podczas gdy pozostali dwaj rzecznicy mówili o chwale i zaszczytach, *mohoro* po prostu wpatrywał się w Kurosa czerwonymi klejnotami przepaścistych ślepi, a jego rozchylone szczęki ukazywały potrójne rzędy srebrzystych kłów.

Teraz, stojąc w półmroku sali wykładowej, Kuros przypomniał sobie tamto spotkanie. Wiedział, że nieustępliwe spojrzenie *mohoro* mówiło o karze, jaka czekała go w razie, gdyby zawiódł.

Ale nie będzie żadnych upokarzających wpadek, pomyślał. Ani żadnej goryczy porażki. Będę kierował wydarzeniami, zamiast pozwolić, by one kierowały mną.

Przez chwilę kontemplował obrazy pojawiające się na ekranie - fragmenty pokazujące odpowiedzi ziemskiego ambasadora na niektóre z pytań na przemian z ujęciami przedstawiającymi komentatorów w studio, wszystko z wyciszonym dźwiękiem. Uśmiechnął się nieznacznie, gdy jego cel stał się nieco wyraźniejszy, i zerknął na Generała.

- Dopóki cała uwaga mediów skupiona jest tutaj, nie możemy sobie pozwolić na luksus jawnego wykorzystania siły, żeby zrealizować nasze cele. Musimy się uciec do bardziej subtelnych działań.

Generał Gratach przybrał drwiącą minę.

- Subtelnych! Te medialne insekty mogą sobie bzyceć i paplać, ale ich żądła nadal stanowią pewne zagrożenie.

- Oczywiście - odrzekł Kuros. - W każdej dziedzinie życia istnieją pozbawieni skrupułów agenci, więc opłaci się w relacjach z nimi zachować subtelność, tym bardziej że my, Sendrukanie, słyniemy z bezpośredniości. - Popatrzył z namysłem na swoich gwardzistów Ezgara. - A jeśli uda się nam odpowiednio pokierować wydarzeniami, zyskamy pośrednio kontrolę nad nimi przez stworzenie sytuacji, w której nasze bezpośrednie działania

będą się wydawały normalne. Potem już tylko mały krok będzie nas dzielił od ich całkowitej neutralizacji.

- Więc jaka ma być nasza jutrzejsza strategia? - spytał Generał. - Ukołysać insekty oraz dzikusów do snu?

- Owszem; pochlebstwa, urok, stosowna doza hasel skierowanych przeciwko Rojowi, odpowiednia ilość autoironicznego humoru, bo to pomaga wzbudzić zaufanie, a później normalizacja.

- A jeśli się okaże, że to się nie sprawdza nawet na krótką metę?

Kuros się uśmiechnął.

- Voloasti nas poprowadzi, stary przyjacielu. Pośrednia kontrola to też kontrola.

Odwrócił się w stronę Ezgarów. Osiem twarzy skrytych za zasłonami hełmów patrzyło w jego stronę. Zakuci w niebieskie zbroje komandosi trwali w nieruchomym wyczekiwaniu, wszyscy z pozoru identyczni poza najbliższym, noszącym na skroni oznakę oficera - niewielki biały trójkąt. Nic w ich postawie nie zdradzało, jaki jest ich stan ducha, lecz Kuros wiedział, co się kryje za tymi maskami.

- Kapitanie - powiedział. - Mam długotrwałe i trudne zadanie, do którego potrzebni będą dwaj najbardziej wszechstronni spośród twoich żołnierzy.

- Jesteśmy na twoje rozkazy, Jaśnie Oświecony - odrzekł bezbarwnym głosem kapitan Ezgarów, po czym wskazał dwóch spośród pozostałej siódemki.

Wstali bez słowa i wysunęli się naprzód, by stanąć przed Wysokim Obserwatorem. Sięgali Kurosowi zaledwie do ramienia, wiedział jednak, że gdy chodzi o brutalność i pełne determinacji oddanie służbie, Ezgarowie nie mają sobie równych. Zaczął objaśniać szczegóły tego specjalnego i bez wątpienia niebezpiecznego zadania, podczas gdy stojący z boku Generał Gratach uśmiechał się z aprobatą.

Legion

Na Yndyeri Duvo kiskashiński pirat liniowy był przepelniony dumą ze swych zdolności kupieckich. Udało mu się sprzedać raport dotyczący kolonii Ludzi (wzbogacony o kilka ludzkich profili kulturowych) wędrownemu naukowcowi z rasy Vusarków, piraseryjskiemu specjalście od prognoz rynkowych oraz uczonemu Makhori mającemu obsesję na punkcie wszystkiego, co związane z Ludźmi. Zgłosiło się więcej zainteresowanych, ale Kiskashińczyk zdecydował się bez dalszej zwłoki przesłać raport Lordowi Tajemniczemu. Poza tym stale docierały doń nowe towary: czas może sobie być funkcją kontinuum przestrzeni i entropii, ale jest też tożsamy z pieniądzem, tak więc pieniądze są ściśle powiązane ze strukturą wszechświata. Kiskashińczyk z niekłamaną radością obwieścił ten fakt klientom, ku którym zwrócił swoją uwagę, kiedy raport dotyczący kolonii Ludzi popłynął lokalnym systemnetem na siostrzaną planetę Duvo.

Niedaleko zachodniego wybrzeża pojedynczego potężnego kontynentu na Yndyeri Tetro coś poruszyło się w głębinach. Od przybrzeżnej płycizny aż do granicy szelfu kontynentalnego wody migotały i roily się od żywych stworzeń, dalej zaś opadały w stopniowo coraz głębszy cień - coraz mętniejsze królestwa oceanicznego mroku, zamieszkanego przez nieliczne groteskowe stworzenia. W niższe rejony oceanu docierała jedynie słabiutka jasność, redukująca ostro sterczące kształty do niewyraźnych, zamazanych zarysów. Rozwierał się tam rów o poszarpanych brzegach - pęknięcie o pionowych ścianach, w którym królowała noc. A jeszcze niżej, tam, gdzie ostatnie pozostałości docierającego z powierzchni światła ginęły w egipskich ciemnościach, gdzie zimne, miazdzące ciśnienie groziło unicestwieniem, tam w dole wśród opadłych z góry szczątków, niewidocznych i nieruchomych, ocknęła się świadomość.

Była to jednak świadomość bez samoświadomości, świadomość otoczenia: temperatury wody, pływów, prądów oraz obecności obiektów stanowiących możliwe zagrożenie, przemieszczających się powyżej powierzchni oceanu lub pod nią. Świadomość subiektywnej fizyczności, równowagi tego, co mechaniczne, oraz tego, co organiczne, jak również poziomu entropii jednego i drugiego, który nie przedstawiał się dobrze. Obiektywna ocena systemów naprawy i regulacji oraz stanu całości, który plasował się znacznie poniżej optimum. A także świadomość informacji, od czasu do czasu napływających cienkimi strumyczkami przez

receptory, i starożytnych matryc biokrystalicznych, które dekonstruowały, analizowały i poszukiwały w bazach danych obiektów pasujących do szeregu obrazów przedstawionych w dwóch, trzech i czterech wymiarach, jak również wszelkich odpowiedników lingwistycznych. Było to poszukiwanie, które ta świadomość podejmowała wielokrotnie i niestrudzenie na przestrzeni niezliczonych stuleci, ani razu dotąd nie uwieńczone sukcesem.

Aż do teraz, kiedy bufor pamięci otrzymał pakiet danych opisujący w szczegółach odkrycie zaginionej kolonii Ludzi na świecie o nazwie Darien.

Świadomość rozbiła raport o Darienie na listy fraz i słów oraz stopy obrazów: jej procesy analityczne podzieliły je na poziomy w zależności od potencjalnego znaczenia, odrzuciły wszystko, co było ewidentnie trywialne, po czym zabrały się do sortowania danych wizualnych. Kiedy dotarła do zdjęć oraz filmów przedstawiających ruiny, które Ludzie odkryli niedaleko swoich osad, prędko uaktywniła dodatkową moc procesorów, by zbadać te obrazy w najwyższej możliwej ekstrapolowanej rozdzielczości. Następnie przeprowadziła dalszą analizę przy udziale jeszcze większej ilości zasobów, a gdy wreszcie zyskała pewność, otwarła szlaki w matrycach biokrystalicznych i pozwoliła, by zalała je moc z rdzenia dwoistości.

Specjalnie podrasowane gruczoły zostały zastymulowane, naczynia włosowate rozszerzyły się i we wnętrzu chronionej grubym pancerzem organicznej kory mózgowej zaczęły się wydzielać enzymy. W sieciach neuronowych, które od długich stuleci były pogrążone w letargu, zaczął się szerzyć przekaz synaptyczny, otwierając poziom za poziomem, poszerzając świadomość, karmiąc kielkującą jasność...

I przebudził się, czując stalowe ostrza bólu w całym swym wiekowym, poranionym ciele, spoczywającym na zimnym dnie oceanu, na obcej planecie, w obcym wszechświecie. Wiedział, że najwidoczniej w końcu wybiła godzina, w której musi wypełnić swój liczący eony cel oraz obowiązek, inaczej nadal trwałby we śnie, i było to źródłem radości, która do pewnego stopnia pomogła mu znieść torturę starych, prastarych obrażeń. Kiedy jednak sięgnął do wspomnień pokazujących, kiedy i jak to się stało, że został uszkodzony, nie znalazł nic - tam, gdzie powinny się znajdować znajome wydarzenia, gotowe, by je odtworzyć, ziała luka. Poczuł ukłucie panicznego strachu, lecz stłumił go, skupiając się na poszukiwaniu przyczyny.

Tym, co odkrył, było straszliwe pasmo rozkładu, który wżarł się głęboko w jedną z biokrystalicznych grani jego cybernetycznie wspomaganą kory mózgowej. Jego funkcja świadomości nie zdołała tego wykryć, bo uszkodzenie upośledziło również funkcjonowanie sieci czujników, a co najgorsze, zgnilizna nadal postępowała. Jeśli nie zostanie

powstrzymana, zabije go w ciągu zaledwie kilku lat.

Jego myśli stały się cierpkie, pełne czarnego humoru.

<Przetrwanie tych bezdennych przepaści czasu oraz wszystkich prób, jakie wydarzyły się wcześniej, pozostaje wielkim osiągnięciem. A teraz zyskałem możliwość, by ofiarować braciom i siostram ostateczne zwycięstwo. Jestem członkiem Legionu, a choć pojedynczy rycerze mogą ginąć, Legion jako całość musi zatriumfować. Prawa konwergencji muszą zatriumfować.>

Miał przed sobą analizę raportu o Darieniu, ale zdecydował, że w czasie, gdy będzie oceniał te dane, przeprowadzi też ostatnią próbę odzysku informacji ze skorodowanych biokryształów.

Zobaczył świat Darien, miejsce pełne bujnej roślinności, tętniący życiem pejzaż, gdzie widniały góry i rzeki; zobaczył księżyc i rozpoznał pozostałości fortyfikacji wroga, ale nie dostrzegł żadnych śladów jego obecności...

Używając mocy swych maszyno-umysłowych planetoid, Legion Awatarów rozciął zewnętrzne i wewnętrzne warstwy materialnej egzystencji i otworzył niestabilną szczelinę w płaszczyźnie rzeczywistości. W olbrzymich chmarach uciekli z umierającego wszechświata do obecnego, następnie zaś wykorzystali planetoidy, by wydrążyć tunel przez poziomy hiperprzestrzeni tego uniwersum w poszukiwaniu nowej ojczyzny, nowego dominium...

Zobaczył kolonistów, Ludzi, zobaczył wszystkie ich słabe punkty oraz to, jak dalece są bezsilni w obliczu otaczającej ich rzeczywistości politycznej...

Stoczono bitwę, gargantuiczne zmagania rozgrywane się na przestrzeni wielu tysięcy układów, brutalne starcie, które odbiło się szerokim echem; całe światy i całe rozumne rasy zostały zlikwidowane, ot tak.

Zobaczył dane wizualne, niemal całkowicie zniszczone ruiny wśród puszczy, rozpoznał dalsze dzieła rąk wroga i zaczął się zastanawiać, czy te ruiny kryją ich najbardziej śmiertcioną broń, tę, która pokonała Legion, gdy znajdował się w apogeum swej potęgi i chwały. Jeśli tak, niewykluczone, że da się tę broń obrócić przeciwko nim...

Odyskiwał fragmenty wspomnień... w całkowitej próżni zmagał się w śmiertelnych zapasach z jedną z rozumnych maszyn wroga, opatrzone hakami i ostrzami wysięgniki starały się zaczepić o siebie nawzajem, potem jedna z jego większych macek odnalazła wystającą krawędź płyty pancerza, oderwała ją i zadała pchnięcie wysokoenergetyczną lancą w odsłonięte wnętrze... Rycerze Legionu Awatarów zgromadzili się na naradzie wojennej, całe ich miliony oczekują ustawione w ordynku, w półkolistych szeregach w drgającym półmroku odległego, opustoszałego poziomu hiperprzestrzeni, a wszyscy intonują katechizmy

konwergencji... oraz stare, prastare wspomnienie jego własnej scyborgizowanej postaci niedługo po przemianie. Długi, opancerzony karapaks pokryty wzorami w odcieniach ciemnej czerwieni i zieleni, dziesięć większych segmentowanych macek oraz sześć mniejszych, zakończonych wszelkiego rodzaju narzędziami, od groźnych pił łańcuchowych po precyzyjne manipulatory. Wspaniałe nowe ciało, które uwolniło go od cierpień zwierzęcej egzystencji... Potem jakaś jego część uświadomiła sobie, że nie zachował się żaden ślad pamięci o tym, jak wyglądała jego organiczna postać, zanim osiągnął biomechaniczną nieśmiertelność. Mgliście przypominał sobie tylko, że wybrana przez niego forma cyborga diametralnie różniła się od jego dawnego ciała...

Ocecił sytuację na Darienie oraz strategiczne implikacje lokalizacji tej planety, jak również faktu, że Ludzie wyprawili wysłanników w kierunku swej zaginionej kolonii. Potem rozważył różne możliwe trasy podróży, ale nie z myślą o sobie. Jego biomaszynowe ciało, ze swymi poobijanymi substrukturami, przeciekającymi płytami karapaksu, zacinającymi się mechanizmami głównego napędu oraz niemal całkowicie niesprawną baterią czujników, może i zdołałoby się dowlec na orbitę, ale długa podróż na Dariena byłaby zbyt niebezpieczna. Będzie musiał powierzyć to jakże odpowiedzialne zadanie pomniejszym agentom, trzem Instrumentom, z których każdy będzie stanowił uproszczoną podobiznę jego własnej osoby i zostanie stworzony z jego własnego substratu nerwowego; każdy będzie się równał niewielkiej stracie, będzie kolejnym kamyczkiem dołożonym do bagażu cierpienia.

Teo nienawidził formalnych uroczystości, a od przyjazdu ambasadora trzy dni wcześniej, posłuszny naleganiom Sundstroma, musiał znieść już sześć tych cholerstw. Główny szpital Hammergardu, pomnik McPhaila, plac postojowy zeplinów, rafineria korzeniowa, kościół i gorzelnia. Dziś rano ambasador miał się wybrać do Puszkinskog, leżącego na południe od Loch Morwen lasu potomnego, którym opiekowali się Uvovo, jednakże plany przez noc uległy zmianie i teraz zwiedzał Dolinę Pamięci niedaleko miasteczka Ładowisko, żeby na własne oczy zobaczyć pustą skorupę *Hyperiona* oraz okazać szacunek zmarłym. A Sundstrom poprosił Teo, żeby był przy tym obecny, nieoficjalnie, jako osoba prywatna. Tego wieczoru zaś w sali balowej Zgromadzenia miał się odbyć bankiet na cześć ambasadora, a po nim przemówienia oraz wieczór szkockiej muzyki i tańca.

Teo szedł nieśpiesznie wzdłuż prowadzącej na zachód drogi, która biegła z Ładowiska w kierunku dolin Wzgórz Tuulikki. Pokonanie tej odległości piechotą zajmie dobre trzydzieści minut. Poranne niebo było jasne i czyste, powietrze zimne i pełne zapachów żywej przyrody - idealna pogoda na spacer. Poza tym, Teo zdecydował się iść na własnych nogach, żeby móc się z kimś spotkać po drodze, i po raz kolejny roztrząsał w myślach to, co Sundstrom powiedział poprzedniego dnia. Holger był od Teo kilka lat starszy, ale Karlsson traktował go jak osobę zasadniczo z tego samego pokolenia. Podczas Przewrotu Zimowego znajdowali się w przeciwnych obozach, bo Sundstrom należał do rady Trondu i głosował przeciwko poparciu Ingramowego powstania, a później przeszedł do podziemia, żeby aktywnie działać przeciwko zamachowi stanu. To oraz jego polityczne wysiłki w kierunku pojednania, podejmowane równoległe z energiczną argumentacją na rzecz nowych strategii Porozumień, przekonały Karlssona, że Sundstrom jest człowiekiem prawym i wartościowym. Dodatkowo, podczas gdy Teo spędził pewną liczbę lat w odosobnieniu po porażce, jaką zakończył się przewrót, również i Holger był zmuszony zrezygnować z polityki po wypadku, który pozbawił go władzy w nogach. W późniejszym życiu polityka znów upomniała się o nich obu.

Karlssona martwiło też tajemnicze źródło informacji, z którego korzystał Sundstrom - Ulepszeni byli żyjącymi owocami krótkowzrocznego programu genetycznego, zlikwidowanego dwadzieścia lat wcześniej, i większość z nich pracowała jako uczeni przy takich czy innych badaniach. Przeprojektowana kora mózgowa oraz większe zagęszczenie

synaps dały im uderzające zdolności umysłowe, jednakże cierpieli w proporcjonalnym stopniu na brak intuicji w relacjach międzyludzkich, co znacznie utrudniało im kontakty z normalnymi ludźmi. Teo w swoim czasie spotkał tylko kilkoro spośród nich, ale wiedział z wiarygodnych źródeł, że ministerstwa traktują ich w praktyce nie tylko jak rodzaj zasobu intelektualnego, ale też jak oznakę prestiżu, którą po zdobyciu starano się zachować tak długo, jak to możliwe. Tego rodzaju biurokratyczne przepychanki miały rzekomo być poniżej godności prezydenta, w związku z czym Karlsson zastanawiał się, jak duże ryzyko polityczne podejmuje Sundstrom, jeśli korzysta z pomocy Ulepszonych.

Wkrótce droga zagłębiła się w las; gałęzie w górze splatały się, tworząc liściasty tunel, przez który przebijały się smugi światła, rzucając złote cętki na nawierzchnię. Ten teren był słabo zaludniony i jeśli nie liczyć przejeżdżających od czasu do czasu krętobusów ze zwiedzającymi, kursujących tam i z powrotem, Teo nie widział w okolicy nikogo więcej. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie droga przebiegała nad wąskim wąwozem o stromych ścianach, zszedł z niej, żeby usiąść na zniszczonej przez deszcze i mrozy ławce tuż nad krawędzią opadającego pionowo zbocza. Chwilę później w podszyciu rozległy się głośne kroki, po czym ubrany w roboczy kombinezon Rory siadł ciężko obok niego.

- Człowiekiem lasu to ty nie jesteś, Rory.

- Aye, no cóż, zawsze kiepsko mi wychodziło to całe skradanie siem i ukrywanie, majorze. Nie cierpiem robactwa. - Jakby dla podkreślenia swoich słów, Szkot energicznie zamachał rękami, oganiając się od kilku latających owadów.

Teo się uśmiechnął.

- Miejmy nadzieję, że nie będziemy zmuszeni uciekać w głuszę - stwierdził. - I jak tam, udało ci się czegoś dowiedzieć?

- Dobra, winc tak. Dziś rano dotarłem pod *Hyperiona* i faktycznie, znowu graffiti. Zarządca i jego szef normalnie włosy se rwali z głowy, winc jakem im z nieba spadł z gąbkami i sprejami do czyszczenia, z miejsca mnie zagonili do roboty.

Teo zmarszczył brwi. Do tej pory tego rodzaju wandalizm niemal nie występował na Darienie, ale od przybycia *Heraklesa* pojawiała się coraz więcej graffiti, głównie w Hammergardzie oraz pobliskich miejscowościach. Poprzedniego dnia zarówno Kościół Ekumeniczny w Knudson, jak i gorzelnia braci Czernow zostały udekorowane bazgrołami na krótko przed przybyciem ambasadora Horsta, dlatego też Teo wysłał zawczasu Rory'ego do Doliny Pamięci, uzbrojonego w odpowiedni ekwipunek.

- Co to były za napisy? Było tam coś o tych osobistych SI?

Brwi Rory'ego podjechały w górę.

- Oo, *aye!* Rzeczy typu „Maszynofile won z Dariena”, „Nie chcemy tu niewolników SI”, „Dobra SI to skasowana SI” i tym podobne. A, i jeszcze „Darien dla Darińczyków” oraz logo FWD.

„FWD” było skrótem od „Fracja Wolny Darien”. Ta grupa, nieznaną wcześniej, ewidentnie postawiła sobie za cel wszcząć jak najwięcej resentymentów i niepokojów. Teo nie był radykalnym przeciwnikiem ani jednego, ani drugiego, pod warunkiem, że istniał dobry powód. Ale członkowie FWD odwoływali się do niższych instynktów, do zaściankowości i uprzedzeń, a po tym, jak poprzedniego dnia kolonią wstrząsnęła informacja, że ambasador Ziemosfery oraz jego rodacy używają implantów SI, do tej mieszanki dołączył jeszcze strach. Wizyta Horsta w miejscu, gdzie koloniści odnieśli zwycięstwo nad SI będącą śmiertelnie groźnym wrogiem, bez wątpienia miała stanowić odpowiedź na nieprzyjazną opinię publiczną.

Nigdy nie uda mu się zamknąć tego diabełka z powrotem w pudełku, pomyślał Teo. Jedyna pozytywna strategia, jaką może teraz przyjąć, to otwarta konfrontacja z nieufnymi, ale zdaje się, że brak mu na to odwagi. Ciekawe, jakich rad udziela mu ta jego SI towarzysząca?

- W porządku, Rory - powiedział, wstając z ławki. - Muszę się zbierać. A ty ruszaj do lasu potomnego Puszkinskog. Już zapowiedziałem Słuchaczowi Gansua, że się zjawisz.

Rory podrapał się po głowie.

- Jak myślicie, co ci goście z FWD mogom tam zbroić? Nasmarować graffiti na drzewie?

- Bóg jeden wie. Niewykluczone, że nie będą chcieli wciągać Uvovo w to wszystko, ale biorąc pod uwagę ich brak szacunku wobec różnych obiektów, nie dałbym za to głowy.

- Przypuszczam, żeście pytali o pozostałe statki z kolonistami, majorze, *aye?* Słyszałem, że ich dotąd nie znaleziono.

- Nadal nic o nich nie wiadomo, Rory, ich los pozostaje tajemnicą.

- Dobra, *aye*, ale to daje do myślenia, wiecie... Znaczący siem, stary *Hyperion* tkwi o, tam, kawałek dalej przy końcu tej drogi. Co, jeśli SI z pozostałych statków też dostały świra? Żle je zaprojektowano, czy coś?

Teo wzruszył ramionami.

- Słyszałem już wcześniej tę teorię, i jeśli jest ona prawdziwa, być może jako jedyni mieliśmy dość szczęścia, żeby przeżyć.

- Można to nazwać szczęściem, majorze?

Pomachali sobie na pożegnanie. Uśmiech Teo przygasł, a jego myśli sposepniały, kiedy przechodził po moście prowadzącym na obrzeża Doliny Pamięci.

11

Greg

Reporter Lee Shan omiół wzrokiem teren ruin przez owalny okular z mlecznego szkła umocowany do zestawu słuchawek z lśniącego białego tworzywa. Spłaszczona opaska urządzenia otaczała jego łysą głowę i była połączona z drugą, podobną, okalającą szyję. W pobliżu na suspensorach cicho unosił się worek ze sprzętem.

- Bardzo piękne, doktorze Cameron, bardzo klimatyczne. Więc co chcielibyśmy zrobić: natrzaskać mnóstwo ujęć tych ruin oraz oczywiście was przy pracy, zwłaszcza przy ołtarzu, gdzie składano ofiary, a potem wsadzimy w to symy tych Uvovo. Ale to zostanie zrobione dopiero po stronie Ziemi, przed emisją w hiperrecie...

Greg gapił się na Lee Shana z mieszanką irytacji oraz dogłębnej ciekawości, zastanawiając się, kto tak naprawdę mówi - człowiek czy jego implantowana SI. Następnie wskazał szarą kamienną misę, która tak zainteresowała reportera.

- Ta rasa nazywa się Uvovo, a to nie jest żaden ołtarz i nie składano tu ofiar...

- Rozumiem, rozumiem, w takim razie, czy wie pan, co to jest, doktorze?

- Panie Lee - odrzekł ostrożnie Greg - Uvovo opuścili te ruiny przed tysiącami lat, a później całe to wzniesienie zarosło dżunglą. Miejsce, gdzie stoimy, było kiedyś dachem budowli, a w tej misie najprawdopodobniej płonął rytualny ogień, może nawet używano jej do przyrządzania potraw.

- Więc nie macie całkowitej pewności, co to jest?

- Uvovo potwierdzili, że składanie krwawych ofiar nigdy nie występowało w ich kulturze.

- Nie wątpię, że to ważne świadectwo, ale jakim cudem *oni* mogą być tego tacy pewni po tysiącach lat?

Lee Shan się uśmiechnął. Z tyłu jego kamery powietrzne fruwały naokoło tuż nad głowami obecnych, omiatając obiektywami wszystko w zasięgu wzroku i niechęć wzbudzając przy tym wielką wesołość uczonych Uvovo. Jednakże uprzejmy uśmiezek reportera tylko zdenerwował Grega, sprawiając, że ten definitywnie porzucił i tak już wysilone pozory grzeczności. Wiedział, że powinien zignorować arogancję tego człowieka, ale sytuacja przypominała drzwi, przez które po prostu musiał przejść.

Odwzajemnił uśmiech reportera.

- Wie pan, panie Lee, może i ma pan nieco racji. Może w naszych hipotezach nie

wykazujemy się dostateczną inwencją. Co powie pan na to: moglibyśmy zasugerować, że starożytni Uvovo składali w ofierze przestępców i więźniów, dajmy na to, olbrzymim aligatorowatym stworom z morza, i że te krwawe ceremonie odbywały się wyłącznie po zmroku, bo aligatorowate stwory wylaziły na plażę tylko po zapadnięciu ciemności. Niewykluczone, że te morskie drapieżniki, które nie raczyły zjeść ani jednej spośród ofiar, same były zabijane i zjadane przez przodków Uvovo...

- Doktorze, czy ma pan jakiegokolwiek dowody potwierdzające coś z tego, o czym pan mówi?

- Ani krztyny, ale to takie fajne, nie sądzi pan? I... i żeby zilustrować te hipotezy mógłbym przekonać naszych uczonych Uvovo, żeby się przebrali w futra oraz pomalowali w rytualne barwy, a potem po zmroku odegralibyśmy dla pana oraz kamer inscenizację takiej ceremonii, z pochodniami, bębnami i tańczeniem boso do kompletu. Może niektórzy z moich norweskich i duńskich kolegów mogliby przyjść w rogatych hełmach, a ja włożyłbym kilt. Co pan na to?

Zapadła cisza, i wyglądało na to, że wszyscy obecni - uczeni Uvovo oraz badacze rosyjscy, którzy przerwali pracę, żeby zagapić się na konfrontację - wstrzymali oddech. W oczach reportera zamigotała wściekłość, nie podniósł jednak głosu i nadal mówił nieśpiesznie.

- Nie darzę sympatią tych, którzy utrudniają mi odkrywanie faktów, doktorze.

- No cóż, może popełnił pan błąd, ignorując te fakty, które się panu nie podobały, i zmyślając takie, które wydawały się panu ciekawsze. - Greg zniżył głos. - Popełnił pan też błąd, sądząc, że wszyscy tutaj jesteśmy naiwnymi kmiotkami, spragnionymi pańskiej półboskiej mądrości. Lub też, być może, ktoś panu źle doradził - z tego co słyszałem, te osobiste SI nie są nieomyślne.

Spojrzenie Lee Shana wypełniał wyłącznie lodowaty spokój.

- Więc co, teraz pokażecie mi drzwi?

- Niestety, nie, panie Lee, gdyż niewątpliwie ma pan pisemne zezwolenie na przebywanie tutaj, wydane przez Instytut, co oznacza, że może pan swobodnie nagrywać, co się panu żywnie podoba. Nalegam jednak, żeby ani nie przeszkadzał pan w pracach archeologicznych, ani nie majstrował przy odsłoniętych artefaktach, ani nie przerywał członkom mojego zespołu, kiedy są zajęci pracą. Gdy zaś chodzi o szczegóły na temat tego miejsca, dostał pan folder z informacjami dla turystów, i sugeruję, żeby go pan przeczytał.

Lee Shan przez moment nie odpowiadał, po czym kiwnął głową, jakby potwierdzając, że przyjął to wszystko do wiadomości, i odwrócił się do worka ze sprzętem. Greg odetchnął głęboko i śpiesznie wrócił do chatki, gdzie przed przybyciem reportera opisywał znaleziska.

Wiedział, że to, jak potraktował tego człowieka, wykraczało poza zwrócenie uwagi, zakrawając na publiczne upokorzenie, i że medialny celebryta, taki jak Lee Shan, przypuszczalnie mu tego nie daruje ani nie zapomni. Ale mimo wszystko scysja dostarczyła Gregowi nadzwyczajnej satysfakcji - grzeszna przyjemność.

Wymagało to piętnastu minut i kubka świeżej kaffy, ale w końcu udało mu się wejść z powrotem w znajomy rytm pracy, polegającej na sortowaniu, opisywaniu zdjęć i składaniu próbek na przechowanie. Przed nim stało płytkie pudło pełne uszytych z tkaniny woreczków, zawierających odłamki naczyń - glinianych i nie tylko - wykopanych na obszarze niedawno odkrytego wysypiska śmieci w północnym rogu ruin na Ramieniu Olbrzyma. Koloniści natrafiali na tego rodzaju pozostałości, odkąd zaczęli wznosić domy oraz uprawiać ziemię na terenach wzdłuż wybrzeża. Niezależnie od lokalizacji, odkopane fragmenty dowodziły, że starożytni garnarze chętnie sporządzali naczynia o cebulastych, organicznych kształtach, bogato dekorowane wizerunkami flory i fauny. Jednak naczynia znajdowane na Ramieniu Olbrzyma były skromniej zdobione i widniały na nich intrygujące symbole, takie jak krople deszczu albo stylizowane płomienie, zazwyczaj rysowane wokół niedużych wypukłości czy też guzków w glazurowanej powierzchni. Co dziwne, większość Uvovo, z którymi rozmawiał Greg, wyrażała niepewność co do znaczenia tych obrazków, twierdząc, że takich symboli nie używano na Niewieście, pod rozpościerającymi się szeroko baldachimami Segrany.

A teraz uczeni i badacze znaleźli nowe źródło porzuconych szczątków - albo stertę wyrzuconych śmieci, albo magazyn, który został zniszczony podczas kataklizmu, jaki nawiedził Dariena przed dziesięcioma tysiącami. Greg zabierał się właśnie za ostatni worek znalezisk, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Rzut oka na stojący na półce zegar sprawił, że archeolog uświadomił sobie, jak długo już pracuje. Powiedział głośno:

- Proszę wejść.

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wszedł mężczyzna w średnim wieku, ubrany w oliwkowo-bordowy mundur Ziemi sfery.

- Doktor Cameron?

- Zgadza się, a pan musi być podporucznikiem Lavelle - odrzekł Greg. Wstał, żeby uścisnąć dłoń przybysza. - Dobrze wiedzieć, że *Herakles* może się obyć bez swoich młodszych oficerów. Widać żyjemy w warunkach absolutnego bezpieczeństwa i praworządności!

- Rzeczywiście na to wygląda - zgodził się z uśmiechem oficer. Potem zobaczył, nad czym Greg pracuje. - Jeśli jest pan zajęty, mogę wrócić kiedy indziej.

- Obecna chwila jest najzupełniej odpowiednia, panie Lavelle - odparł Greg. - Od naszej

wczorajszej wymiany wiadomości nie mogłem się doczekać, aż będę mógł oprowadzić po tym terenie prawdziwego ksenospecjalistę. Tak czy siak, już tu prawie skończyłem, więc jeśli zechce pan pójść ze mną...

- Proszę mi mówić Marcus...

- W porządku, skoro ty jesteś Marcus, to ja jestem Greg - odrzekł, gdy wychodzili na zewnątrz.

Choć sprawiał wrażenie spokojnego, Greg szczerze się ucieszył, że wreszcie może pokazać teren wykopalisk gościowi z Ziemi. Wid oraz gazety były pełne profili ras nie ludzi, jakkolwiek najwięcej miejsca poświęcano tym, które poruszały się na dwóch nogach, jak Sendrukanie, Henkayanie i Gomedranie. Bardzo pragnął się dowiedzieć, jak teren świątyni oraz inne pozostałości po starożytnych Uvovo mają się do tego, co Ludzie aktualnie wiedzą na temat innych światów oraz cywilizacji.

Żwawo poprowadził ksenospecjalistę Lavelle'a przez wyłożony kamiennymi płytami centralny plac wykopalisk, wyjaśniając po drodze, że jest to dach wielkiego centralnego budynku i że według wszelkiego prawdopodobieństwa pod ich stopami rozciąga się starożytny kompleks budowli wzniesionych przez Uvovo.

- Domy, pokoje, galerie, oddzielne budyneczki - mówił Greg. - Kto wie, co może się znajdować tam na dole, wykute w skale? Wszystko, co musimy zrobić, to wykopać nagromadzoną w ciągu dziesięciu tysięcy lat biomasę, ziemię i niezliczone sieci korzeni. Pomyśl tylko, ile zużyjemy łopat.

Zatrzymali się przed wysokim drewnianym rusztowaniem, tu i ówdzie uwiązany do pionowej skalnej ściany pokrytej płaskorzeźbami. Stulecia niszczycielskiego działania wody deszczowej oraz roślin pozostawiły w kamieniu pęknięcia podobne do siatki żył, jak również obszary spękane i nieczytelne, ale to, co ocalało, nadal zapierało dech. Niższe partie ściany wypełniała misterna płatanina wizerunków drzew, zwierząt oraz samych Uvovo, a ponad tą rzeźbioną dżunglą, na wygwieżdżonym niebie widniało kilka geometrycznych obiektów, z których sypały się w dół obiekty w kształcie kolców i haków. Jednakże z gęstwiny dżungli wystrzeliwały w górę cienkie promienie, przebijając niektórych atakujących, których ciała rozpadały się na kawałki. Greg wskazywał co ciekawsze szczegóły, gdy wspinali się na rusztowanie.

- Wojna w niebiosach, Marcusie - powiedział. - W legendach Uvovo nazywana jest Wojną Długiej Nocy. Epickie zmagania między dwiema grupami transcendentnych istot: Pozbawionymi Snów, którzy byli zimni i bezlitośni, oraz życzliwymi, pełnymi współczucia Widmowymi Bogami, po stronie których walczyli Uvovo, a raczej chroniąca ich Segrana. Tak

w każdym razie przedstawiają to ich sagi.

Lavelle skinął głową.

- Segrana, żyjąca puszcza. Oni naprawdę wierzą, że to jest istota obdarzona świadomością?

- Owszem, wierzą. Segrana jest częścią sieci życia, w odróżnieniu od bytu będącego wrogiem wszelkiego życia, który czasem bywa określany mianem Niszczyciela... Czy przejrzałeś pliki z uniwersytetu, tak jak sugerowałem?

- Owszem, przejrzałem. Twoje uwagi na temat Uvovo są dosyć obszerne, ale udało mi się wyłapać najważniejsze punkty, zanim jeszcze przylecieliśmy na Dariena.

- Rozumiem - odparł Greg, nieco skonsternowany. - Cóż, w takim razie oszczędzę ci gadaniny o podstawowych rzeczach... Aha, czy wiesz o mapach Nieviesty sporządzonych przez Fergusona oraz pierwszych misjach wahadłowców?

Lavelle kiwnął głową, po czym wyjął małe, płaskie szare urządzenie i poklepał je.

- Kiedy tu lecieliśmy, przejrzałem sobie streszczenie historii waszej kolonii. Przeszłście nadzwyczaj interesującą drogę, żeby znaleźć się tam, gdzie teraz jesteście.

Greg roześmiał się.

- Chcesz powiedzieć, że byliśmy kapryśną, kłócaącą się hałastrą!

- Cóż, na pewno zróżnicowaną i rywalizującą - odrzekł z półuśmiechem Lavelle.

- A nie sądzisz, że historia Ziemi od czasu Wojny z Rojem wygląda co najmniej równie ciekawie? Odkrywczy na innych skolonizowanych światach na pewno natrafili na pozostałości wymarłych cywilizacji, a nie tylko na cywilizacje, które istnieją teraz.

- W naszej i waszej historii jest więcej analogii niż sądzisz - powiedział Lavelle. - Mniej więcej sześćdziesiąt lat temu my oraz część naszych sojuszników wsparliśmy Hegemonię Sendrukańską w sankcjach, jakie nałożyli na Agregację Jesme, ponieważ jeden z ich klanów planetarnych wspierał buntowników na terytorium Brolturu. W każdym razie prawie połowa kolonii Ludzi była temu tak przeciwna, że zrezygnowali z członkostwa w Rozszerzonej Radzie Ziemskiej, zerwali wszelkie więzi z ojczystym światem i obwołali się Ligą Vox Humana. Kiedy kilka lat później kampania przeciwko Jesme dobiegła końca, niektóre więzi zostały ponownie nawiązane, ale pewne embarga, na przykład na broń, obowiązują po dziś dzień.

Greg skinął głową.

- My też mieliśmy swoje rozłamy. Podczas Secesji Nowych Miast Szkoci, Rosjanie oraz Skandynawowie utworzyli uzbrojone obozy przeciwko sobie nawzajem, co wywołało mnóstwo goryczy z uwagi na wszystkie powiązania między społecznościami, w tym mieszane

małżeństwa.

- Tak, i taka gorycz wpływa później na decyzje polityczne przez całe dekady. Rebelianci z Vox Humana nadal buntują się przeciwko zwierzchności Ziemosfery i odmawiają zaakceptowania Sieci Bezpieczeństwa, podczas gdy malkontenci na Ziemi i innych światach publicznie atakują naszą koalicję z Hegemonią. Ale fakty są takie, że żyjemy w niebezpiecznej galaktyce i musimy wspierać naszych prawdziwych przyjaciół, kiedy zagrożone są wspólne wartości. Mam zero cierpliwości dla antysendrukan.

Wspólne wartości?, pomyślał Greg. Wydawało się to dziwną deklaracją. W normalnych warunkach przyczepiłby się do tych słów i drażyłby tę kwestię dopóty, dopóki nie uzyskałby przynajmniej częściowego wyjaśnienia. Postanowił jednak się nie odzywać i pozwolić rozmówcy kontynuować wypowiedź.

- Gdy chodzi o pozostałości wymarłych kultur, to niektóre spośród skolonizowanych światów zgłosiły całkiem sporą liczbę odkryć: nadające się do zamieszkania planety w pobliżu starożytnych ośrodków oraz szlaków galaktycznych cywilizacji zazwyczaj zawierają takie czy inne ślady świadczące o tym, że w przeszłości były zamieszkałe. Jednak gdy tylko dojdzie do jakiegoś znaczącego odkrycia, wykopaliska powinny zostać udostępnione do inspekcji przez Wysoką Komisję do Spraw Starożytnych Reliktów, chyba że któryś z sygnatariuszy Komisji zgłosi zastrzeżenie. W przypadku Dariena zgłosiło je aż czterech - czterech, co jest sprawą wprost niesłychaną. Ziemosfera była pierwsza, powołując się na prawo do sprawowania zwierzchniej władzy oraz obowiązek opieki nad Uvovo; potem swoje zastrzeżenie zgłosili Komisji Brolturanie, deklarując, że układ Dariena leży w obszarze kosmosu, który został im przyrzeczony przez ich boga, Voloasku, co jasno napisane jest w *Omgurze*, ich świętej księdze...

- Voloasku? Więc kim jest Voloasti? Słyszałem, jak ktoś wymienił to imię.

- To najwyższe bóstwo w ortodoksyjnym wyznaniu Hegemonii - wyjaśnił Lavelle. - Zgodnie z ich wersją *Omguru*, która z jakiegoś względu nie wywołała analogicznych roszczeń.

- Chyba nie mówisz serio - stwierdził ze śmiechem Greg.

- Obawiam się, że jak najbardziej - odrzekł Lavelle. - Trzecie zastrzeżenie zgłosił Drugi Mędrzec Spirali z Buranj. Twierdzi on, że umiejscowienie waszej świątyni na stromym wzniesieniu idealnie pasuje do opisu grobowca świętego Mędrca-Ojca Arksasbe. Domaga się też, by niewierni natychmiast przestali bezcześcić to miejsce swoją obecnością.

Zaskoczony Greg zagapił się nań przez moment, a potem pochylił się, żeby popatrzeć na zniszczone ściany i kolumny, na uczonych Uvovo pracujących w schodkowym wykopie

w pobliżu barierki otaczającej teren od północy oraz na rosyjskich badaczy, którzy cierpliwie przesiewali ziemię wybraną z próbnymi rowów na południu. Potem z uśmiechem spojrzął z powrotem na Lavelle'a.

- Obawiam się, Marcusie, że nic nie wskazuje, by ci niewierni zamierzali porzucić to, czym się zajmują. Co więcej, mam wrażenie, że moja własna niewiara pogłębiła się, odkąd usłyszałem o żądaniu szacownego Drugiego Mędrca Spirali... Nawiasem mówiąc, czy istnieje Pierwszy Mędrzec Spirali?

- O tak, ale jest o wiele zbyt pobożny, by kłaść się sprawami doczesnymi.

- Ależ oczywiście. No więc kto zgłosił czwarte zastrzeżenie?

- Hegemonia. Oświadczyli, że Wysoka Komisja do Spraw Starożytnych Reliktów nie może prowadzić prac, dopóki wszystkie te wzajemnie wykluczające się roszczenia dotyczące zwierzchniej władzy i uprawnień nie zostaną rozstrzygnięte. W związku z tym wszyscy czterej petenci wyznaczyli arbitrów i wkrótce odbędą się pierwsze posiedzenia w tej sprawie.

- Lavelle uśmiechnął się szeroko. - Cały proces jej rozstrzygnięcia może zająć dwa lub trzy lata!

Greg się uśmiechnął.

- Marcusie, wydajesz się bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy, a ja nie wiem dlaczego.

- No cóż, gdyby inspektorom Komisji nadano uprawnienia do zarządzania tym terenem, tobie i twoim ludziom prawdopodobnie zabroniono by prowadzenia tu jakichkolwiek wykopalisk czy dotykania artefaktów, z uwagi na niedostateczne wykształcenie albo korzystanie z mało zaawansowanych technologicznie narzędzi. Ale to jeszcze nie nastąpiło, co oznacza, że na razie możecie tu pracować... - zawiesił głos - ...a ja mogę ci pokazać rozmieszczenie podziemnych komór i ukryte wejście do nich.

Myśli Grega gwałtownie przerwały swój bieg. Zagapił się na rozmówcę.

- Co... jak powiedziałeś?

Lavelle rzucił okiem na teren wykopalisk, po czym kontynuował nieco ciszej.

- Greg, główna zasada archeologii terenowej to ustalenie, gdzie leży skarb, zanim zaczniesz kopać. Badacz z, dajmy na to, Uniwersytetu Planicji dysponowałby urządzeniami pozwalającymi wykonać dowolną liczbę skanów tego, co znajduje się pod powierzchnią ziemi, ale wy nie macie tego luksusu. Ja natomiast i owszem: wykorzystałem baterię czujników *Heraklesa*, żeby porobić precyzyjne skany wnętrza Ramienia Olbrzyma. - Z wewnętrznej kieszeni munduru wyjął plik złożonych kartek i podał je Gregowi. - To są wydruki, które porobiłem wczoraj i przedwczoraj; nie ma tu za wielu szczegółów, ale da się

rozdzielić linie pogrzebanego w ziemi kompleksu świątyni, a pod nim...

Greg wbił spojrzenie w skany przedstawiające Ramię Olbrzyma widziane z kilku różnych perspektyw - cyfrowe przekroje pokazujące mniej więcej prostopadłościenną pustą przestrzeń sięgającą na jakieś sześćdziesiąt metrów w głąb góry, dokładnie tak, jak spekulował. A głębiej, ale niewiele, znajdowało się coś kolistego - przeglądając kolejne strony, zestawiając ze sobą zdjęcia wykonane pod różnymi kątami, widział, że rzeczywiście wygląda to jak jakaś komora, okrągła, mierząca jakieś osiemdziesiąt metrów średnicy...

Przypatrzył się z bliska, potem przejrzał wszystkie zdjęcia i ze szczególną uwagą porównał ze sobą dwa spośród nich, z których jedno ukazywało nitkowatą, fragmentaryczną linię prostą opuszczającą tajemniczą komorę i biegnącą na południe, podczas gdy na drugim było widać podobną linię, rozpoczynającą się przy południowym urwisku Ramienia Olbrzyma i wiodącą na północ, do wnętrza góry.

- Tak, to jest to, na co wygląda - powiedział Lavelle. - To wejście i jakiś korytarz.

Greg wpatrywał się w zdjęcia z wprost palącą intensywnością, myśląc o pionowych urwiskach na Ramieniu Olbrzyma, o spękanych i zwietrzałych skałach, zasłoniętych płataniną pnączy i na wpół uschniętych korzeni. Tylko doświadczeni wspinacze byliby w stanie bezpiecznie przejść taką ścianę, ale gdy powiedział to Lavelle'owi, oficer roześmiał się i skinął głową.

- Cóż, szczęśliwie tak się składa, że jestem wspinaczem z uprawnieniami, więc gdybyś potrzebował mojej pomocy...

Greg uniósł głowę.

- Czy jutro to za wcześnie?

- Hm, zgodnie z grafiką jutro rano jestem na służbie. Co powiesz na popołudnie?

- Popołudnie brzmi... doskonale. Marcusie, wybacz, że pytam, ale co możesz na tym zyskać?

Lavelle się uśmiechnął.

- Chyba mógłbym powiedzieć, że chodzi o sławę i uznanie. No cóż, może po części właśnie o to, ale przede wszystkim to szansa, żeby zbadać starożytną, ukrytą tajemnicę, której nigdy wcześniej nie oglądały oczy ludzi, być pierwszym, który ją zobaczy i jej dotknie! Obawiam się, że odzywa się we mnie mój wewnętrzny czternastolatek.

- W takim razie mój czternastolatek pozdrawia twojego; może powinniśmy założyć klub.

Śmiejąc się, dwaj mężczyźni zeszli z rusztowania po drabinach, poczynili ustalenia w kwestii jutra, pożegnali się i rozstali. Lavelle skierował się w stronę stacji zeplinów, Greg zaś

pośpieszył z powrotem do chatki, gdzie katalogował znaleziska. Wszedłszy tam, zauważył na ekranie swojej stacji roboczej etykietę wiadomości. Była czarno-żółta, co oznaczało zakodowany priorytet; wiadomości tego typu rzadko zawierały dobre wieści. Wpisał swoje hasło, przebiegł wzrokiem treść i jęknął. Potem przeczytał wiadomość ponownie, tak na wszelki wypadek, i tym razem się zaśmiał. Została wysłana z biura W. Pietrowicza, dyrektora Instytutu Darińskiego, i informowała Grega, że w dniu jutrzejszym w południe Wysoki Obserwator Kuros - wraz ze swoją liczną świtą - przybędzie na Ramię Olbrzyma z niezmiernie oficjalną, niezmiernie publiczną wizytą. Kilka godzin wcześniej oficer z Urzędu Nadzoru oraz dowódca osobistej ochrony Wysokiego Obserwatora zjawią się, żeby dokonać inspekcji terenu i zagwarantować jego bezpieczeństwo. Greg miał z nimi współpracować bez żadnych pytań i umożliwić im pełny dostęp do wszystkich obszarów oraz danych na temat personelu. Wiadomość kończyła się stanowczym i niedwuznacznym pouczeniem, a w zasadzie zakazem „pozwalania sobie na jakiegokolwiek komentarze czy gierki słowne, które mogłyby zostać zinterpretowane jako nieprzyjazne czy obraźliwe”.

Archeolog uśmiechnął się, kręcąc głową. Dyrektor już nieraz bywał jego przeciwnikiem w takich werbalnych potyczkach i doskonale wiedział, do czego Cameron jest zdolny - mniej więcej tak samo dobrze, jak ten reporter, Lee Shan... który, jak Greg sobie uświadomił, niemal na pewno będzie obecny nazajutrz.

Czekasz i masz nadzieję, że w końcu zjawi się porządna publiczność, pomyślał, a potem zjawiają się, i owszem, ale tobie nie wolno pokazać, co potrafisz.

Potem uświadomił sobie, że w takim układzie musi przełożyć jutrzejsze eksplorowanie z Lavelle'em, więc z westchnieniem zasiadł przy biurku i zaczął układać krótką wiadomość.

Robert

Ambasada Ziemi Sfery mieściła się niedaleko centrum Hammergeardu, w skromnym dwupiętrowym budynku o drewnianej konstrukcji, stanowiącym część krótkiego rzędu posesji handlowych oraz biur. Chociaż personel ambasady otrzymał klucze zaledwie cztery dni wcześniej, Robert Horst zarządził stanowczo, że punkt informacyjny dla ludności ma być czynny od pierwszego dnia. Radykalnie kontrastowało to z taktyką, jaką przyjęła ambasada Sendrukan, którą ulokowano w willi na ogrodzonym murem terenie w zamożnej dzielnicy i która podobno pozostawała głucha na wszelkie prośby oraz próby nawiązania kontaktu.

Robert Horst był w trakcie telekonferencji z udziałem wiceprezydenta Jardine oraz niejkiej Linn Kringen, rzeczniczki prasowej partii opozycyjnej o nazwie Sojusz Konsolidacyjny. Właśnie próbował im wyjaśnić, dlaczego przedstawiciel Hegemonii wcale lub prawie wcale nie wykazuje otwartości.

- ...musicie zrozumieć, że Wysoki Obserwator Kuros nie jest na razie oficjalnym ambasadorem Hegemonii - powiedział do twarzy widocznych na ekranie, który stał na jego biurku. - Oficjalnie Darien znajduje się w obrębie brolturańskiej strefy wpływów, więc Kuros musi poczekać, aż Brolturanie wyznaczą własnego przedstawiciela, zanim przyjmie rangę ambasadora i zacznie urzędować.

Linn Kringen uśmiechnęła się beznamiętnie. Była kobietą w średnim wieku o jasnoblond włosach i stalowym spojrzeniu.

- Nie jest to bynajmniej komfortowa sytuacja, ambasadorze, zwłaszcza w świetle niedawnych rewelacji, że Jedność Brolturańska pragnie przejąć nad nami władzę! Z pewnością rozumie pan, jak bardzo ta sprawa niepokoi Darińczyków.

Słowo „niepokoi” stanowiło eufemizm. Jakimś sposobem z Instytutu Darińskiego wyciekła informacja o roszczeniu terytorialnym, które Brolturanie wysunęli na podłożu religijnym, tudzież trochę starannie wybranych cytatów z mniej sympatycznych rozdziałów *Omguru*, a teraz we wszystkich mediach wrzało.

- Pani rzeczniczko, nie wydaje mi się, żeby istniały realne powody do obaw, bo duża część tych wszystkich podchodów to polityka gestu i nic więcej - powiedział Robert. - Brolturanie bywają cokolwiek przewrażliwieni na punkcie tego, jak inni postrzegają ich status, więc to jest próba zachowania twarzy.

- Dokładnie tak, ambasadorze - przytaknął wiceprezydent Jardine, Szkot z krągłą twarzą

i łysiejącym czołem. - Fakty są takie, że w praktyce to Hegemonia jest jedyną liczącą się potęgą na tym obszarze i nie pozwoli, żeby cokolwiek złego stało się z koloniami jednego z ich głównych sojuszników. - Na jego ustach pojawił się kalkulujący uśmiezek. - Obawiam się, że prawdziwym powodem, dla którego posłanka Kringen wypowiada się w tej sprawie, są zaznaczające się od niedawna podziały w łonie Sojuszu Konsolidacyjnego.

- Szanowny pan wiceprezydent jak zwykle nie potrafi zrozumieć faktów, nawet wtedy, gdy są oczywiste. - Kringen pokręciła głową. - Ambasadorze Horst, jako rzeczniczka opozycji mam obowiązek odnieść się do obaw i wątpliwości społeczeństwa, jak również zagwarantować, że rząd będzie wypełniał swoje obowiązki. Dziękuję panu za uprzejmość oraz za poświęcony czas, przekażę pańską ocenę sytuacji liderowi mojej partii. Panie wiceprezydencie...

I, z uśmiechem równie cierpkim co lodowatym, przerwała połączenie.

Potem Robert pośpiesznie zakończył rozmowę z Jardine'em, wymawiając się nawąłem pilnych obowiązków. Gdy ekran powrócił do stanu oczekiwania, ambasador wydał pełne ulgi westchnienie, odchylił się do tyłu i odsunął krzesło od biurka.

- Pani Kringen całkiem mi przypadła do gustu - oznajmił Harry. Siedział na podłokietniku sofy, rękawy koszuli miał podwinięte, a w ręku trzymał plik papierów. Monochromatyczny wizerunek Robertowej SI towarzyszącej radykalnie kontrastował z przyćmionymi brązami i zieleniami, które dominowały w wystroju salonu ambasady. - Założę się, że pod tą sztywną i wymuskaną powierzchownością kryje się mistrzyni tańca, która w ramach hobby rzeźbi też amatorsko kościane ozdoby.

Robert udał, że rzuca mu poważne spojrzenie.

- Czytałeś jej akta! A ja się zastanawiałem, czemu siedzisz tak cicho.

Harry wzruszył ramionami.

- Cała polityka kolonialna po jakimś czasie zaczyna wyglądać tak samo, Robercie, a z ręką na sercu, wiceprezydent nie wzbudził we mnie nadmiernej sympatii.

- Wygląda na to, że otrzymał to stanowisko w ramach kompromisu - powiedział Robert.

- Sundstrom też musi trzymać w ryzach swoją koalicję. Ale co kombinuje Kuros? Drzwi ambasady pozostawił zamknięte, zgodnie z naszymi przewidywaniami, ale proszę, jeździ sobie po kolonii, odwiedza ważniejsze obiekty, spotyka się z miejscowymi urzędnikami. Już dwa razy musieliśmy zmieniać mój plan podróży, bo wepchnął się przed nami. A teraz jeszcze ta jutrzejsza prezentacja na terenie wykopalisk archeologicznych, na której planowałem się zjawić, dopóki jeden z asystentów Kurosa nie poinformował mnie z największą uprzejmością, że Wysoki Obserwator pragnie być jedynym obecnym tam

dygnitarzem, „tym, który zaniesie przyjaźń Hegemonii” kolonistom z Dariena.

- Ależ, Robercie, zdaje się, że jesteś wkurzony - stwierdził Harry z kwaśnym uśmiechem.

Ambasador rozłożył ręce.

- Może do tej pory powinienem się już przyzwycząić, biorąc pod uwagę wszystkie nasze interakcje z funkcjonariuszami Hegemonii na przestrzeni lat. No cóż, przynajmniej ominię nas wątpliwa przyjemność wysłuchania jednego z tych przemówień, jakie wygłaszał w ostatnim czasie.

- Ach tak, widziałem transkrypty - powiedział Harry, przeglądając trzymane w rękę papiery. Potem przybrał teatralną pozę. - Na przestrzeni bezkresnego oceanu gwiazd naszej galaktyki, chociaż epoki upływają jak rzeka, pewne wartości pozostają niezmiennie i trwałe. Ponieważ jesteśmy spadkobiercami tych cenionych wartości, na Hegemonii Sendrukańskiej ciąży obowiązek ich promowania i upowszechniania wśród wielokształtnej rodziny rozumnych ras. Witamy was w tej licznej rodzinie, tak jak przed laty powitaliśmy waszych pobratymców, i zapraszamy was, byście wraz z nami szerzyli wartości oraz korzyści płynące z cywilizacji... - Harry spojrział na ambasadora, unosząc brwi. - I tak dalej, i tak dalej.

- Jak ludzie reagują na tę powódź komunałów?

- Burzą entuzjastycznych oklasków - odrzekł Harry. - Ale trzeba wziąć pod uwagę, że dla kolonii jedynym źródłem informacji spoza ich świata jest Starstream, a oni zawsze bardzo zdecydowanie wspierali naszych sojuszników z Hegemonii.

Ambasador kiwnął głową. Nagle poczuł się apatyczny i zmęczony; jego kark i plecy pulsowały tęnym bólem i ogarnęło go zniechęcenie. To był długi dzień. Robert potrzebował krótkiego odpoczynku od trosk i szansy na poprawę nastroju.

Spoglądając przez wykuszowe okno na jednolicie szare niebo, powiedział:

- Harry, potrzebuję przez jakiś czas pobyć sam, żeby się trochę odprężyć przed tym przyjęciem dziś wieczór. W porządku?

- Oczywiście, Robercie. Co powiesz na jakąś godzinę?

- Godzina wystarczy.

- W takim razie do zobaczenia później.

Kiedy Robert się obejrzał, nigdzie nie było ani śladu Harry'ego. Wstał i opuścił pomieszczenie. Głębiej w wyłożonym lśniąca drewnianą boazerią korytarzu znajdowały się jego prywatne pokoje, a jeden z nich przez cały czas pozostawał zamknięty na misternej roboty staromodny klucz, który został dostarczony razem z zestawami innych kluczy od tego domu. Gdy już znalazł się w sypialni, Robert podszedł do tych drzwi, otworzył je i przestąpił

próg.

- Cześć, tato. Cieszę się, że wróciłeś. Chyba będzie padało.

Rosa stała przy oknie; w dziennym świetle jej częściowo przezroczysta postać wydawała się dziwnie ziarnista. Jak starożytna fotografia z czasów, gdy nie istniały jeszcze cyfrowe aparaty. Jak wspomnienie.

- W tej części Dariena często pada - odpowiedział, siadając w fotelu. - No więc co dzisiaj robiłaś?

- Och, po prostu czytałam książkę i słuchałam radia - odrzekła.

Widmowy kształt książki leżał na zaścielonym łóżku, wyświetlany tam przez intersym, który znajdował się na gzymsie kominka, na wysokości ramienia. Z małego urządzenia wystawały dwa cienkie kable - jeden łączył się z modułem, który czerpał prąd z domowej sieci, drugi zaś z radiem wielkości długopisu. Książka, jak wiedział Robert, była najprawdopodobniej albo *Alicją po drugiej Stronie lustra* Lewisa Carrolla, albo *Imperium propagandy* autorstwa Nolana Chilcotta, ulubionego dysydenckiego pisarza Rosy. Jej szary rozpinany sweterek i długa niebieska wełniana sukienka zostały wzięte z rodzinnego przyjęcia sześć lat wcześniej, ale krótkie włosy oraz kolczyki w kształcie kwiatów pochodziły z ostatniego razu, kiedy Robert widział córkę za jej życia...

Wiedział, co powiedziałyby Harry - że ta podobizna stworzona przy użyciu holosymu rozkojarza go i osłabia - ale odepchnął tę myśl. Wykorzystywał doskonałą imitację córki, żeby złagodzić smutek, który nadal czuł, żeby łatwiej dojść do ładu ze swoją stratą. Harry był w błędzie - Robert dobrze wiedział, co jest prawdziwe, a co nie.

- Jeśli wyjrzę między tymi domami - powiedziała Rosa - widzę jezioro, las i góry. Tak tu pięknie. - Odwróciła się do niego. - Tato, w radiu słyszałam, że mieszkańcy księżycy, ci Uvovo, zasadzili tu tak zwane lasy potomne, wykorzystując nasiona oraz siewki ze swojego świata. Czy widziałeś już któryś z nich? Słyszałam, że one świecą w nocy.

- Zgodnie z planem pojutrze mam odwiedzić ten w pobliżu Portu Gagarina; chciałabyś wybrać się tam ze mną?

- Och, a mogłabym? Byłoby cudownie.

- W takim razie to już postanowione, wybierzemy się tam razem.

Twarz Rosy rozjaśnił uśmiech wolny od ciężaru wszelkich trosk, gdy podniosła z łóżka półprzezroczystą książkę.

- Tato, wiem, że masz niewiele czasu - powiedziała. - Ale czy chcesz, żebym ci przez chwilę poczytała *Alicję*?

- Jak najbardziej - odrzekł z uśmiechem Robert.

Usadowił się wygodnie w fotelu i wsłuchał się w ukochany głos córki, czytający opowieść o małej dziewczynce, która przeszła przez lustro do świata położonego po drugiej stronie.

Catriona

Gdy tylko na bastionie świątyni pojawił się kelner z drinkami, Catriona wybrała z tacy kieliszek żółtoperłówki i wychyliła go duszkiem. Ignorując rozbawione spojrzenie kelnera, wzięła drugi kieliszek i poszła stanąć przy omszałym, zrujnowanym murze bastionu, gapiąc się ponuro na rozgadane grupki ludzi poniżej. Dzień był bezchmurny, pora jeszcze przedpołudniowa, a z miejsca, gdzie Cat stała, była w stanie ogarnąć wzrokiem niemal cały teren wykopalisk na Ramieniu Olbrzyma, od fragmentów roztrzaskanej ściany, które otaczały zaokrągloną część wzniesienia, po trawiastą, pagórkowatą przestrzeń niemal trzysta metrów dalej, gdzie strome, poszarpane skały wznosiły się ostro, by połączyć się ze skarpami i graniami, które wystawały z gęsto porośniętego lasem grzbietu górującego nad tym wszystkim. Przeważająca część ruin rozpościerała się zaraz za zewnętrzną linią fortyfikacji; fragmenty murów, narożniki i sterty gruzu leżały tam, gdzie je odkryto. Liczne miejsca, gdzie aktualnie prowadzono prace wykopaliskowe, ogrodzono linami, aczkolwiek część starych wykopów, takich jak Klatka Schodowa czy Krypta, wyposażono w nowiutkie ławki oraz tablice informacyjne dla zwiedzających. Rejony wyłożone kamiennymi płytami, dawno temu odkopane spod górnej warstwy gleby, były zajęte teraz przez małe namioty, wewnątrz których ustawiono gablotki prezentujące artefakty oraz łatwostrawną, skróconą historię tego miejsca.

Rozglądając się, Cat spostrzegła postać w niebieskiej zbroi i, jak się zdawało, o dwóch parach rąk, która niespiesznie przechadzała się wzdłuż skalistych krawędzi południowego zbocza. Musiał to być jeden z tych tajemniczych gwardzistów Ezgara, którzy, zgodnie z tym co opisał „Dziennik Hammergardu”, przysięgli bronić przedstawiciela Hegemonii nawet za cenę własnego życia.

Oraz prawdopodobnie również życia dowolnych innych osób, pomyślała, kierując uwagę na rozległą trawiastą łąkę bezpośrednio w dole, gdzie przygotowano rzędy miejsc siedzących, z myślą o uroczystym powitaniu oraz prezentacji, które miały się odbyć na cześć Wysokiego Obserwatora Hegemonii, Kurosa.

Część tej prezentacji miała poprowadzić Catriona Macreadie. Fakt ten przyprawiał ją o irytację, zwłaszcza wobec świadomości, że wielu spośród członków Instytutu pracujących na Darianie mogłoby bez najmniejszych problemów wygłosić krótki wykład i udzielić odpowiedzi na pytania dostojnego Sendrukanina. Otwarcie wytknęła to swojemu

zwierzchnikowi, profesorowi nazwiskiem Forbes, niemal piętnaście godzin wcześniej w jego biurze na stacji Pilipoint, ale bez skutku.

- Może i tak, pani doktor - powiedział Forbes. - Jednak wygląda na to, że delegacja Sendrukan zażądała wprost, aby to pani asystowała doktorowi Cameronowi w czasie ich wizyty na terenie wykopalisk.

- Czemu ja?

- Niestety, ci obcy nie wtajemniczyli mnie w tok swojego rozumowania, dyrektor Pietrowicz też nie dał do zrozumienia, że ma takie informacje. Niemniej, nalegał z całą stanowczością, by znalazła się pani na pokładzie następnego wahadłowca lecącego na Dariena, a ten... - zrobił pauzę, żeby spojrzeć do tyłu, na ohydny ozdobny zegar szpecący ścianę jego biura - odlatuje za mniej niż godzinę.

Catriona narzuciła sobie lodowaty spokój, zdeterminowana nie stracić panowania nad sobą i nie powiedzieć zwierzchnikowi, do jakiego gatunku chrząszcza występującego w runie leśnym jest najbardziej podobny. Tym razem.

- Profesorze Forbes, to znaczy, że nie będę miała czasu wrócić na kwatere i się przygotować, nie wspominając już o kwestii stroju.

- Jestem pewien, że w Biurze Spraw Zewnętrznych w Instytucie będą w stanie zorganizować dla pani odpowiedni ubiór, gdy tylko pani tam dotrze. Poza tym, może pani skorzystać z archiwum cyfrowego, jeśli naprawdę czuje pani, że powinna odświeżyć sobie wiedzę na temat Uvovo, ale bez względu na to, co pani robi, bardzo proszę postarać się nie narobić nam wstydu. Przedstawić zwięzłe streszczenie naszych odkryć i ograniczyć wszelkie spekulacje do zweryfikowanych faktów. To wszystko...

Teraz, stojąc na bastionie świątyni, wciąż jeszcze czuła, że tłą się w niej złość i frustracja, których kieliszek nalewki z żółtoperły nie był w stanie stłumić. Złość na Forbesa oraz frustracja, że oto znalazła się na innym świecie, podczas gdy właśnie w tej chwili pewna paczuszka najprawdopodobniej tkwiła w szufladzie z pocztą w chatce służącej za magazyn w miasteczku Gwiazdny Dach. Catriona namówiła Galinę, znajomą badaczkę ze stacji Pilipoint, żeby ta wzięła jej wykonane u podnóża lasu nagranie i poddała je cichcem obróbce w laboratorium, w nadziei, że dzięki temu uda się stwierdzić, co konkretnie pojawiło się przed minikamerą. Plik po obróbce miał przyjść razem z codzienną porcją poczty, kilka godzin wcześniej.

W zamian tkwię tutaj, szykując się do pozowania na ciut lepszego przewodnika turystycznego na użytek jakiegoś zarozumiałego biurokraty z obcej rasy. Tja, Instytut najwyraźniej uważa, że prowadzenie za rączkę przybyszy z obcych światów i zapodawanie im

informacji na poziomie szkoły podstawowej to jedyne, do czego się nadaję...

Powściągnęła narastającą gorycz, przełknęła łyczek żółtoperłówki i westchnęła. Miała poczucie, że cierpliwość to cnota, której zmuszona jest uczyć się wciąż od nowa. Mimo to, w myślach zaczęła układać listę wszystkich zagadek, na jakie dotąd natrafiła, umieszczając Mistrzów Ścieżek na pierwszym miejscu...

Potem jej rozważania przerwała muzyka, dźwięk pojedynczych dud; wysoki, czysty głos piszczałki melodycznej płynął nad zastygłym w nagłej ciszy tłumem, łącząc się w nuty dostojnego, uduchowionego pibroch. Potem zabrzmiały niższe dźwięki piszczałek burdonowych, tworząc miarowy podkład pod niespieszne tempo melodii. Dudziarz, ciemnowłosy młodzieniec w paradnym stroju szkockim, nadchodził przez ruiny w rytmie swojej muzyki, kierując się w stronę zasłuchanej gromady.

Catriona uwielbiała muzykę dud w każdym wydaniu, nawet modernistyczne eksperymenty z transową muzyką taneczną, ale zawsze szczególnie wzruszał ją solowy występ dudziarza. Zagrana tak melodia kojarzyła jej się z osamotnieniem, ale zarazem brzmiała wyzywająco, pełna godności, lecz nie pompatyczna, i niosła ze sobą obraz odległej Ziemi oraz tego jej małego zakątka, który jedynie niektóre z Pierwszych Rodzin widziały na własne oczy.

W czasach, gdy jeszcze była Ulepszoną, Catriona niejednokrotnie wychodziła po zmroku na dach dormitorium, żeby tam posiedzieć przy radyjku, z którego płynęła cicha muzyka dud, spoglądając w górę, na zaćmione przez pył miriady gwiazd. Nie mając żadnego sposobu, by się dowiedzieć, czy Ziemia i Ludzkość przeżyły inwazję Roju, mogła jedynie patrzeć, zastanawiać się i marzyć, podczas gdy myśli i muzyka ulatywały ku niebu...

- Bardzo dobrze gra, nieprawdaż? - usłyszała za plecami kobiecy głos.

Catriona odwróciła się i ujrzała wysoką kobietę w średnim wieku, ubraną w błękitną sięgającą kostek suknię, która składała się z samych eleganckich fałd oraz haftowanych brzegów, i niemal przekraczała granicę pretensjonalności. Wzorzysta szara chusta okrywała ramiona i ręce damy, a jej srebrzyste włosy były zaplecione i przytrzymała je rzeźbiona drewniana opaska. Coś w wyglądzie tej kobiety wydało się Catrionie mgliście znajome.

- Tak, zgadza się - odrzekła, uśmiechając się ostrożnie. - Bardzo ekspresyjnie.

- Kiedy byłam młodsza, widziałam, jak jego ojciec trzykrotnie zdobył Puchar Północnych Miast - powiedziała kobieta z norweskim akcentem. - Jestem Solvjeg Cameron.

Catriona doznała gwałtownego olśnienia.

- A, to pani jest matką Grega... aha, jestem Catriona Macreadie.

Gdy wymieniały uścisk dłoni, Solvjeg Cameron się uśmiechnęła.

- Więc to pani jest tą doktor Macreadie, która wcześniej pracowała z Gregiem. Czy jest tu pani dzisiaj w oficjalnej roli?

- Tak. Mam wygłosić krótki wykład na temat Uvovo i odpowiadać na pytania.

- Fascynujące - powiedziała Solvjeg i zmierzyła ją zciekawionym spojrzeniem. - Macreadie... nie jest pani przypadkiem spokrewniona z rodziną Macreadie z Nowego Kelso?

Choć zachowywała pozory spokoju i opanowania, myśli Catriony rozpierzchły się w panice, i zdawało się, że kłamstwo samo wypłynęło na jej usta.

- Nie, oboje moi rodzice pochodzili ze Stranghold - odparła. - Zmarli, kiedy byłam bardzo mała.

- Tak mi przykro to słyszeć, kochanie. Musiała pani mieć trudne dzieciństwo...

Zanim Solvjeg zdążyła rozpocząć zadawanie pytań z innej dziedziny, jej spojrzenie powędrowało nieco w bok, po czym zamachała ręką. Obejrzawszy się, Catriona zobaczyła, że starszy mężczyzna ubrany jak na wędrowną podróż po wzgórzach, w odcieniu brązu, macha krótko w odpowiedzi, a potem rusza wzdłuż trawiastego zbocza w stronę schodów prowadzących w górę, ku fortyfikacjom.

- Mój brat chce, żebym zeszła na dół - powiedziała Solvjeg. - Ale nie wątpię, że jeszcze się spotkamy. Mam nadzieję, że to będzie dla pani udany dzień.

Catriona uśmiechnęła się i pomachała jej na pożegnanie, myśląc w duchu: Czemu ja to powiedziałam? Jak mogłam być tak głupia? Matka Grega była jedną z tych matron, które mają znajomych absolutnie wszędzie - wystarczy, że zada kilka pytań, a od razu dowie się, że Catriona jest nieudaną Ulepszoną. Cat wiedziała, że nie powinna się z tego powodu wstydzić ani czuć zażenowana, ale nie sposób było zaprzeczać faktom: Ulepszeni, czy to udani, czy nie, byli traktowani inaczej, i to niespecjalnie pozytywnie, mimo że program zakończył się lata wcześniej. A potem Solvjeg zaczęła się zastanawiać, czemu Catriona skłamała, i może wyciągnąć pochopne wnioski na temat jej oraz Grega...

Catriona przygryzła wargę - a co, jeśli pani Cameron zapyta Grega, czy coś ich łączy? Oznaczałoby to wstyd nie do zniesienia. Popijała swój trunek, ponuro rozważając sytuację, spoglądając posępnie na główną część ruin oraz rozciągający się za nimi pagórkowaty otwarty teren. Wzdłuż którego przechadzał się następny z tych Ezgarów.

Jej rozważania zostały przerwane, gdy zadźwięczała wesola melodyjka jej komu, sygnalizująca, że ktoś dzwoni. Widząc, że tym kimś jest Greg, Catriona nacisnęła kciukiem guzik odbioru i powiedziała:

- Cześć, Greg.

- Cat, pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, że nasz przyjezdny VIP właśnie wysiadł z

rządowego zeplina i wkrótce tu będzie. Czy możesz się ze mną spotkać pod ścianą z płaskorzeźbami?

- Już idę - odparła, ruszając w stronę schodów.

- A przy okazji, czy będziesz mogła zostać na chwilę, kiedy ten cały cyrk już się skończy? Mam trochę nowych znalezisk i chciałbym poznać twoją opinię na ich temat.

- Brzmi ciekawie - powiedziała. - Z miłą chęcią.

I miejmy nadzieję, że zdobędę się na odwagę, żeby ci wyznać, co powiedziałam, zanim usłyszysz to od swojej matki.

- Doskonale - odrzekł. - Do zobaczenia niedługo.

Dopiwszy ostatnie krople żółtoperłówki, odstawiła kieliszek na stolik kelnera i pośpieszyła na dół, po raz enty żałując, że nie jest teraz na Niewieście.

Chel

W zagłębieniu na szczycie trawiastego wzgóрка siedział Cheluvahar w towarzystwie Słuchacza Weynla oraz dwóch innych uczonych Uvovo, przypatrując się zebranym Ludziom. Wszyscy uważnie słuchali dudziarza, który zakończył już swój występ, żegnany entuzjastycznym aplauzem, a teraz inna grupa muzyków właśnie zaczynała grać na rozmaitych instrumentach strunowych oraz dętych.

- Ludzie stale wymyślają pieśni i opowieści - powiedział Chel. - Ciekawie jest odkryć, że inne rasy tworzą podobne rzeczy.

- To ciekawe, ale nie zaskakujące - odrzekł Słuchacz Weynl. - Podzielona egzystencja zawsze poszukuje dostrojenia, sposobów na zbudowanie pomostu, który pozwoliłby wypełnić lukę między umysłem a tym co wieczne. Pieśni i opowieści wyrażają tę potrzebę dostrojenia, ale kiedy staje się ona żarliwym pragnieniem, by usłyszeć głos wieczności, wtedy prowadzi do bogów i demonów, do świętych ksiąg oraz takich rzeczy, jak Pozbawieni Snów.

Chel, jak każdy Uvovo, dobrze znał zasady dostrojenia - witalne rytmy Segrany od urodzenia były dlań częścią krwi, oddechu i codziennego pulsu życia. Jednak Ludzie musieli sobie wyobrazić, *potrzebowali* wyobrazić sobie całokształt świata wykraczającego poza ich własne ubogie zmysły, i starali się wypełnić lukę iluzjami.

W pewnej odległości od miejsca, gdzie siedzieli, w polu widzenia pojawiła się samotna czwororęka postać, wytrwale krocząca wzdłuż obwodu terenów świątyni, tak, jak robiła to od dobrze ponad godziny. Stworzenie to - z zewnątrz nie sposób było wypatrzeć jakichkolwiek oznak płci - było członkiem osobistej gwardii wysłannika Sendrukan, oddziału komandosów

Ezgara. Było zakute w jakiś rodzaj matowej niebieskiej zbroi, a jego głowę krył granatowy hełm; pobieżny rzut okiem z tej odległości nie pozwalał dojrzeć żadnej broni.

Ujrawszy, jak żołnierz rozpoczyna kolejne, chyba czwarte już okrążenie, jeden z uczonych, pochodzący z Siatkomiasta i noszący imię Kolumivenur, odwrócił się do Weynla.

- Dostojny mędrze - powiedział - w jaki sposób taka rasa jak ta może poszukiwać dostrojenia, służąc Sendrukanom?

- Niewiele wiem na temat tych Ezgarów - odrzekł Weynl. - Ale jest oczywiste, że poświęcili się całkowicie wymaganiom i metodom służby wojskowej, na podobnej zasadzie, jak czyni to wielu Ludzi tutaj. Słyszałem jednakże, jak mówiono, że żołnierze Ezgara są fanatycznie lojalni wobec swoich sendrukańskich panów, a jeśli istotnie tak jest, każe mi się to zastanawiać, jakiego rodzaju lud wymaga od swoich sług całkowitego posłuszeństwa. Ale cóż, teraz już wiemy, że wszystkie światy Sendrukan, ich społeczeństwo, kultura oraz rząd są przesiąknięte obecnością Pozbawionych Snów. Maszyno-umysły są wszędzie, szpiegują, manipulują oraz koordynują zasoby olbrzymiego imperium, a do tych ostatnich ewidentnie zaliczają się ci Ezgarowie. Może one z kolei wymagają od Sendrukan swego rodzaju posłuszeństwa.

- A co z Ludźmi z Ziemi? - odezwał się drugi uczony, noszący imię Tesobrenilor. - Niektórzy spośród nich mają Pozbawionych Snów... miniaturowe maszyny implantowane do wnętrza głowy, tak samo, jak ten Wysoki Monitor Kuros i jego towarzysze. Czy tym Ludziom można ufać?

- Wszystko, co widzą i słyszą, trafia do Pozbawionych Snów - odrzekł Weynl. - Podczas Wojny Długiej Nocy wszyscy Pozbawieni Snów byli ze sobą połączeni ukrytą siecią, która sięgała w głąb niższych warstw egzystencji. Nie możemy być pewni, czy ci dzisiejsi Pozbawieni Snów też wpisują się w podobny... wzór, ale chcąc zachować ostrożność, powinniśmy założyć, że tak...

Słuchacz nagle zamilkł i obejrzał się. Idąc za jego wzrokiem, pozostali zobaczyli, że komandos Ezgara zatrzymał się u stóp trawiastego zbocza, unosząc ku nim lśniąco zasłone hełmu. Przez sekundę czy dwie nikt się nie poruszył, a potem Ezgara zaczął się wspinać na pagórek.

- Nie wstawajcie - powiedział cicho Weynl. - Zachowajcie spokój.

Kiedy Słuchacz dzwignął się na nogi, Chel uśmiechnął się do pozostałych dwóch Uvovo, których oczy były szeroko otwarte i błyszczały w nich strach.

- Witaj, przybyszu z innego świata - powiedział Weynl z dłońmi splecionymi przy piersi. - Jestem Słuchacz Weynl z Uvovo-Wojowników, a ci trzej to moi towarzysze. Proszę,

czuj się mile widziany.

Ezgara zatrzymał się i omiół ich wszystkich spojrzeniem niewidocznych oczu.

- Wojowników? - Mówił po angielsku bezbarwnym, nieco bzyzącym głosem. - Nie widzę żadnej broni.

- Ja również nie widzę żadnej w twoim posiadaniu, dostojny gościu, lecz nie jestem pewien, czy umiałbym ją rozpoznać, gdyby tam była.

Ezgara przez moment nie odpowiadał; wydawało się, że studiuje Weynla wzrokiem. Gwardzista stał z większymi rękoma zwieszonymi luźno wzdłuż tułowia, podczas gdy niższa, mniejsza ich para, była odchylona do tyłu, a ich dłonie spoczywały w kieszeniach. Matowa niebieska zbroja składała się ze zniszczonej, pokrytej zadrapaniami wierzchniej powłoki, przez którą z trudem dawało się rozróżnić leżącą głębiej warstwę zachodzących na siebie płytek wielkości paznokcia na kciuku.

- Jeden z was wymówił imię mojego pana, Wysokiego Obserwatora Utavessa Kurosa - powiedział wreszcie komandos. - Dlaczego?

- Dyskutowaliśmy tylko... - zaczął Tesobrenilor, ale zamilkł gwałtownie, gdy Ezgara zwrócił się ku niemu.

- Moim obowiązkiem jest chronić Wysokiego Obserwatora - powiedział. - Czemu dyskutowaliście o nim?

Ezgara zrobił krok w stronę Tesobrenilora, który cofnął się, wystraszony. W tym samym momencie Weynl ruszył w stronę komandosa, wyciągając dłoń, i w sekundzie, gdy Chel to zobaczył, wiedział już, co się zaraz stanie.

- Dostojny gościu - powiedział Słuchacz. - Zaszło nieporozumienie...

Komandos zareagował z prędkością tak niewiarygodną, że Chel miał później problemy z odtworzeniem dokładnej kolejności ruchów. Słuchacz Weynl zrobił gest w kierunku pomniejszej ręki żołnierza po prawej stronie i ułamek sekundy później znalazł się w powietrzu, lecąc w tył. Chel złowił wzrokiem moment, gdy Ezgara opuszczał prawą rękę i nogę, ale to Słuchacz przykuł powszechną uwagę. W locie jakimś sposobem wykręcił ciało i z furkotem szat wykonał salto, lądując na nogach w przysiadzie. Wyprostował się z uśmiechem i spokojnie wrócił tam, gdzie znajdowali się pozostali, wytrzeszczając nań oczy.

- Jak próbowałem wyjaśnić, dostojny gościu - powiedział Weynl, rozpościerając ręce w długich rękawach, by pokazać, że jego kościste dłonie są otwarte i puste - zaszło drobne nieporozumienie. Mój młody towarzysz zastanawiał się, co oznacza tytuł twego zwierzchnika, więc mimo mej nikłej wiedzy spróbowałem przedstawić interpretację, bez wątplenia niedokładną.

Cisza. Przez kilka sekund Uvovo wpatrywał się w Ezgarę, który - jak się zdawało - odwzajemniał jego spojrzenie; obaj trwali w całkowitym bezruchu. Dokładnie w chwili, gdy Chel pomyślał, że dłużej już nie wytrzyma napięcia, Ezgara uniósł dłoń do skroni hełmu, spoglądając w dół zbocza, gdzie stał drugi komandos. Potem bez słowa odwrócił się plecami i wrócił po własnych śladach, by dołączyć do tamtego. Chwilę później obaj już się oddalali, by kontynuować patrolowanie obrzeży terenu wzdłuż podnóża zachodnich grani, jakby nic się nie stało. Zerknąwszy na Tesobrenilora i Kolumivenura, Chel ujrzał, że na ich twarzach maluje się ta sama konsternacja, jaką czuł on sam, a także niejaka ulga.

W odróżnieniu od nich Słuchacz Weynl wydawał się zupełnie niestropiony i jakby nigdy nic zabrał Chela na bok, odchodząc kawałek w dół zbocza od pozostałych.

- Gdy tylko ta ceremonia dobiegnie końca - powiedział, zniżając głos - wyruszysz na północ, do lasu potomnego Tapiola. Na stacji zeplinów będzie na ciebie czekał powietrzny pojazd.

Chel skinął z szacunkiem głową.

- Jestem przygotowany, Słuchaczu.

Weynl się uśmiechnął.

- Tak, ja też tak sądziłem, kiedy zbliżał się mój czas. Radziłbym ci odłożyć na bok wszystko, czego się uczyłeś i co czytałeś, bo twoje przepoczwarczenie będzie jedyne w swoim rodzaju i niepowtarzalne. I tak właśnie powinno być. - Wziął głęboki oddech i pokiwał głową.

- Teraz muszę ruszać w drogę do Hammergardu Mam tam ważne spotkanie.

- Ale, Słuchaczu Weynl, kto będzie reprezentował nasz lud przed Sendrukanami?

- To proste zadanie, Uczony, i jestem przekonany, że możesz się go podjąć. Poza tym na temat tutejszych wykopalisk wiesz bez porównania więcej niż ja. Tylko jedna przestroga: gdyby wydarzyło się tutaj coś nieprzewidzianego, absolutnie się w to nie mieszaj.

- Nieprzewidzianego? - powtórzył Chel. - Czy wydarzy się coś złego?

Tego nie wiem - odrzekł z powagą Weynl. - Sama uroczystość zapowiada się dość interesująco, ale instynktowne użycie siły przez tego Ezgarę... - Omiótł spojrzeniem ruiny. - Szykuje się coś jeszcze, coś, co dopiero zaczyna kiełkować... ale bez względu na to, co się stanie, pozostań skupiony na swoich obowiązkach oraz na pracy, która czeka cię wkrótce. Pierwsi aspirujący już zbierają się w lesie potomnym Glenkryłow, więc za kilka dni, kiedy powrócisz, będziemy mogli rozpocząć oficjalne mianowanie Uvovo-Rzemieślników.

Ojcowskim gestem poklepał Chela po ramieniu i poszedł pożegnać się z dwoma pozostałymi. Chel pomyślał o licznych arkuszach notatek, jakie porobił na temat starożytnych ruin dawnej cywilizacji Uvovo - tych, o których Ludzie wiedzieli, jak również tych których

nie znali - i zadał sobie pytanie, jaki będzie z nich pożytek, kiedy już się przepoczwarzy.

Weynl pomachał im wszystkim, potem zaś Chel patrzył, jak Słuchacz odchodzi szybkim krokiem po nierównej posadzce zachodniej części świątyni, by zniknąć za jedną z głównych ścian. Wiedział już, że najbardziej oczywista zmiana związana z przepoczwarzeniem jest fizyczna - wydłużenie niektórych kości, w tym kości czaszki. Czy naprawdę był gotów na taką przemianę? Ci Słuchacze, których miał okazję lepiej poznać, przez większość czasu wydawali się stosunkowo zdrowi na umyśle, nawet Faldri, co było nieco pocieszające.

Potem te myśli odegnał jednostajny odgłos dzwonka dobiegający z jednej z sakiewek, które Chel nosił przy pasku. Był to sygnał od Gregoriego, żeby wszyscy wyżsi stopniem pracownicy, którzy mają teraz dyżur, zebrali się pod chatką, gdzie mieściło się biuro wykopalisk - Kuros niedługo się zjawi. Chwilę później trzech uczeni Uvovo już śpieszyli z powrotem w wyznaczone miejsce, omijając szerokim łukiem komandosów Ezgara, którzy nadal niestrudzenie patrolowali obrzeża terenu.

Od momentu, gdy wstał z łóżka, niemal godzinę przed świtem, przez cały ranek musiał się zmagać z jedną cholerną atrakcją po drugiej. W nocy przywieziono skrzynki zawierające ławki oraz altany w częściach do montażu, a kiedy Greg organizował zespoły mające to wszystko poprzemnieść na miejsce i poskładać, zjawili się dwóch oficerów z Urzędu Nadzoru w szarych mundurach, dysponujących upoważnieniem z Instytutu podpisanym przez samego Pietrowicza. Właśnie skończył ich pobieżnie oprowadzać po terenie i zostawił samych, gdy dla odmiany przyjechali ludzie z cateringu z bogatym asortymentem pojemników i zgłosili zapotrzebowanie na jakieś w miarę czyste miejsce, gdzie mogliby wszystko przyszykować. Jedynym od biedy nadającym się miejscem była chatka służąca za świetlicę, więc tam też zostali wysłani, ku irytacji grupy uczonych Uvovo, którzy dopiero co wrócili z gór i spokojnie grali sobie w heksadomino.

Właśnie wtedy pojawili się komandosi Ezgara, trzech czwororęcznych humanoidów w podniszczonym, matowoniebieskim rynsztunku bojowym, z głowami skrytymi w hełmach o czarnych zasłonach. Za nimi podążał jeden ze stażystów, młody Rosjanin imieniem Piotr.

- Tak mi przykro, panie Cameron - powiedział, lekko zadyszany. - Ale ci panowie...

- W porządku, Piotr; skoro już tu są, ja się nimi zajmę.

Piotr kiwnął głową, posłał gniewne spojrzenie nieświadomym tego faktu nowo przybyłym i ruszył z powrotem w stronę wejścia na teren wykopalisk. Greg uśmiechnął się do Ezgarów, ogarniając wzrokiem szczegóły ich zbroi, identyczne pozycje, w jakich stali, oraz te dodatkowe ręce.

- Cóż - powiedział. - Wyglądacie wszyscy bardzo groźnie, muszę powiedzieć. Czy zjawiliście się tutaj przed przyjazdem naszego gościa honorowego...

Urwał, gdy jeden z komandosów nagle podszedł blisko, stając z nim twarzą w twarz. Greg widział, jak jego własny oddech osiada nieznacznie mgiełką na zasłonie hełmu tamtego, ale nie wzdrygnął się ani nie cofnął.

- Jestem Juort - oznajmił Ezgara niskim, zgrzytliwym głosem, który brzmiał jak generowany przez maszynę. - Rozkazuję.

Wszyscy komandosi byli podobnego wzrostu, a z bliska Greg widział, że jest nieco wyższy niż ten, który stał naprzeciw niego. Wcale nie sprawiało to, że wydawali się mniej onieśmielający, wprost przeciwnie, ale Greg był zdeterminowany nie ustąpić.

- Zdumiewającym zbiegiem okoliczności - powiedział, uśmiechając się szeroko - tak się składa, że ja też. Rozkazuję personelowi pracującemu na tym terenie; dowodzę tutaj, co oznacza, że dysponuję mocą zezwalania wam na wkraczanie tutaj...

- Rozkazuję ci... - zaczął Juort.

- Ach, chwila, nie wydaje mi się, żeby pan zrozumiał. Widzi pan, powinniście mnie pytać o pozwolenie, zanim...

- Panie Cameron? Proszę na słówko, jeśli łaska.

Greg odwrócił się i ujrzał, że Ingerson, jeden z ludzi z Urzędu Nadzoru, spogląda nań z miną mówiącą: „Czy pan zwariował?” oraz przyzywa go gestem.

- Panie Ingerson, w czym mogę panu pomóc?

- Komandosi są tutaj, żeby pomóc w zabezpieczeniu uroczystości, panie Cameron - wyjaśnił tamten. - Mogą się swobodnie poruszać po terenie na mocy naszego upoważnienia.

- Rozumiem - odparł Greg. - Gdybym tylko wiedział wcześniej... - Odwrócił się do Ezgarów, ale oni już szli gęsiego za Ingersonem, całkowicie ignorując Grega. - W takim razie witam panów na Ramieniu Olbrzyma! Życzę miłej wizyty...

Ani jedna głowa nie odwróciła się w jego stronę, więc wzruszył ramionami i na nowo zajął się ogarnianiem panującego wokół chaosu.

Ławki już przygotowano, ustawiono też trzy spośród altan; pozostałe kazał zostawić zapakowane, bo najnowsza prognoza zapowiadała brak opadów i słońce przez resztę dnia. Zmontowane altany miały posłużyć jako miejsce do zaprezentowania trzech grup eksponatów - flora i fauna Dariena, ruiny i pozostałości, oraz starożytna kultura Uvovo. Jednakże gabloty przeznaczone na florę i faunę stały puste, bo ekolog wraz ze swoimi materiałami (wydelegowany przez uniwersytet) jak dotąd nie raczył się pojawić. Greg pośpiesznie uprosił jednego z rosyjskich badaczy, Andrieja, żeby ten przygotował małą wystawę znalezisk zgromadzonych w archiwum - figurki, glify, wszelkiego rodzaju ozdobne artefakty. Miało to kosztować pół butelki whisky „Glenmarra” single malt, ale przynajmniej gabloty nie będą puste.

Potem zjawili się goście, którzy przybyli pierwszym zeplinem, a z nimi grupka reporterów, zarówno lokalnych, jak i innoświatowych. Z bezlitosną łatwością wymknęli się oni przewodnikom oraz obsłudze terenu i wytropili Grega aż w chatce zaopatrzenia, gdzie sprawdzał poziom wody w zbiorniku. Zarzucony gradem bezczelnych, cudacznych i często wziętych z kosmosu pytań, zachował minę pełną rozbawionej tolerancji i udzielał lekko surrealistycznych odpowiedzi ograniczonych do jednego lub dwóch słów; wyglądało na to, że wieść o jego scysji z Lee Shanem rozeszła się szeroko. Ale reporterzy wkrótce pojęli, że tym

razem nie będzie żadnych werbalnych fajerwerków, więc rozeszli się, żeby polować na inną zwierzynę, a Greg skierował się na swoją kwaterę, żeby wziąć prysznic i się przebrać.

Jednakże mniej niż dziesięć minut później znowu był na zewnątrz, próbując uspokoić członków jednego ze skandynawskich zespołów badawczych, którzy odkryli w swojej chatce reportera z Ziemi, otwierającego szuflady i nagrywającego wszystko, co tylko się dało. Usiłując doprowadzić do porozumienia, Greg zebrał razem wyższych rangą reporterów i przywołał Olsena, kolegę Ingersona; oficer Urzędu Nadzoru pokrótce wyjaśnił, jak istotne jest przestrzeganie zasad bezpieczeństwa i dobrego wychowania. Wspomniał też mimochodem, że komandosi Ezgara, aktualnie patrolujący obrzeża terenu, są wysoce zdeterminowani zapewnić wysłannikowi Hegemonii ochronę przed wszelkimi zagrożeniami i w pełni do tego zdolni.

Gdy padła wzmianka o Ezgarach, słuchacze wymienili spojrzenia, a Greg zauważył, że wszystkim udzieliła się niejaka nerwowość. Hm, a więc faktycznie mają reputację, pomyślał. Czy może raczej złą sławę?

Później w gorączkowym pośpiechu musiał przygotować się do prezentacji, uzgodnić ostateczną wersję programu wydarzeń, wynegocjować kompromis między Andriejem a ekologiem z uniwersytetu, który zjawił się w ostatniej chwili, oraz załatwić ogrodzenie niektórych wykopów linami, bo część reporterów nadal wtykała nosy tam, gdzie nie powinna. Pomiędzy tym wszystkim Gregowi udało się powitać niektórych przybywających VIP-ów, ściskając dłonie i wymieniając zwyczajowe uprzejmości, upewnił się też, że jego matka oraz wuj Teo wiedzą, gdzie mają siedzieć. W pewnym momencie spostrzegł wśród tłumu Catrionę, tuż po tym, jak wysłała mu na komórkę wiadomość, aby dać znać, że przybyła na miejsce.

Potem przyszła wieść, że Wysoki Obserwator Kuros wysiadł z rządowego zeplina i lada chwila wjedzie na zbrocze w jednym z elektrycznych pojazdów dla gości. Greg wysłał Catrionie oraz Chelowi uzgodniony wcześniej sygnał i pośpieszył na centralny plac. Catriona zjawiła się tam zaledwie kilka sekund po nim, wyraźnie spięta, w formalnym sznurowanym kostiumie z wysokim kołnierzem. Strój był uszyty z jakiegoś ciemnobrązowego materiału przypominającego fakturę sztruks. Po niezręcznej, wypełnionej uśmiechami pauzie wymienili uścisk dłoni, który Catriona, jak się zdawało, przerwała pierwsza - może zresztą dlatego, że Greg przytrzymał jej rękę o sekundę za długo.

- Dobrze cię znów widzieć, Catriono - powiedział. - Mam nadzieję, że ten trening w dziedzinie public relations nie przeszkadza ci w pracy tak dalece, jak mnie, choć z tego, co słyszałem, nasi goście zażyczyli sobie wprost, żebyś koniecznie wzięła w nim udział.

Posłała mu cierpki półuśmiech i założyła za ucho niesforny ciemny kosmyk, co sprawiło, że Greg poczuł leciutki dreszczyk. Nie przestał się uśmiechać.

- Cóż, nie przeczę, że wolałabym się teraz zajmować innymi rzeczami - powiedziała. - Ale zażądali, żebym była obecna, więc oto jestem.

Nagle coś przyszło mu na myśl.

- Nie sądzisz, że to może mieć coś wspólnego z tym, że niegdyś byłaś Ulepszoną?

- A czemu miałyby?

Wzruszył ramionami.

- Może są ciekawi, jak to się stało, że wdrożono projekt Ulepszenia.

Przyglądała mu się z namysłem.

- Hm. A ty się czasem nad tym zastanawiasz, Greg?

Zanim zdążył odpowiedzieć, nadszedł Chel. Sprawiał wrażenie nieco zaleknionego i rozdygotanego, ale poza tym wydawał się czujny i gotów zmierzyć z zadaniem, które czekało ich wszystkich, więc Greg bez zbędnych słów zabrał się do streszczania im programu uroczystości.

- W porządku, plan wygląda następująco. Podminister kultury oficjalnie powita Sendrukan oraz pozostałych gości, potem Catriona wygłosi krótką prezentację na temat pierwszych odkryć poczynionych tutaj, na Ramieniu Olbrzyma, oraz tych późniejszych, na Niewieście. Po niej ja omówię w ogólnych zarysach różne wykopaliska archeologiczne oraz główne znaleziska, a Chel na zakończenie opowie, jak Uvovo postrzegają siebie oraz Ludzi, przeszłość i przyszłość. Co o tym sądzicie?

Catriona kiwnęła głową.

- Podoba mi się, że wystąpię na początku; szybciej będę to miała za sobą.

- Ja również jestem zadowolony - powiedział Chel. - Obserwując oba wasze wystąpienia, będę mógł się czegoś nauczyć.

Greg się zaśmiał.

- Mam nadzieję, że pożytecznych rzeczy.

Potem trzeba już było podporządkować się wymogom uroczystości; wszyscy goście zajęli miejsca, a Greg i pozostali ustawili się obok niskiego podium, czekając. Dwóch spośród dziwnych gwardzistów Ezgara pojawiło się w zasięgu wzroku z prawej strony, maszerując sztywnym krokiem przez ruiny, za nimi zaś nadchodzili Sendrukanie.

Była to wysoka humanoidalna rasa i choć widział już ich zdjęcia na widzie, nie przygotowały one Grega na wrażenie, jakie wywierali oglądani na żywo. Delegacja liczyła łącznie czterech obcych; trzech postępowało gęsiego za Wysokim Obserwatorem, który kroczył bez pośpiechu, mając przy boku drepczącego energicznie podministra kultury. Mierzący średnio nieco ponad trzy metry dziesięć, znacznie przewyższali wzrostem ludzi,

wysocy, lecz nie patykowaci, o proporcjonalnie szerszych torsach, i rzeczywiście, obok nich ludzie wyglądali niemalże jak małe dzieci. Ubiory Sendrukan były eleganckie, bogato zdobione i wielowarstwowe: półprzezroczyste wierzchnie szaty z długimi rękawami narzucone na sztywne, niemal podobne do napierśników szaty spodnie. Trzej asystenci byli przyodziani w pastelowe odcienie żółci, zieleni i szarości, podczas gdy Wysoki Obserwator wystroił się w bijącą po oczach ultramarynę, z którą kontrastowały amarantowe wzory oraz obszycia. Nie zabrakło też fantastycznych nakryć głowy: te asystentów były cebulaste, jasnobłękitne, z dyndającymi pomponami, ich przełożony zaś pysznił się wysokim czarnym przybraniem dziwnego helikalnego kształtu.

Kiedy Sendrukanie się zbliżali, Greg na wpół obrócił się w stronę Catriony i powiedział cicho:

- Cieszę się, że możesz zostać; te nowe dane są fascynujące.
- Jak bardzo fascynujące?
- Skany z czujników pokazujące korytarze i komory wewnątrz Ramienia Olbrzyma. Zerknęła na niego bystro.
- O, czyżby? A jakim sposobem znalazłeś się w posiadaniu takich informacji?
Wzruszył ramionami.
- Powiedzmy, że przyfrunęły do mnie z kosmosu. Czujesz już dreszczyk fascynacji?
Jej badawcze spojrzenie zmiękło.
- Aye, w porządku.

Potem znaleźli się twarzą w twarz z podministrem Hansenem oraz Wysokim Obserwatorem Utavessem Kurosem. Gdy Hansen przedstawiał ich po kolei, Sendrukanin pochylał głowę, a potem, co było zaskoczeniem, uprzejmie ścisnął ich dłonie. Ręce Kurosa miały jasnobrązową barwę i były duże, o długich, smukłych palcach przyozdobionych kilkoma prostymi czerwonymi pierścieniami, a jego uścisk nie był ani mocniejszy, ani słabszy niż uścisk Grega. Wysoki Obserwator nie mówił wiele, wyraził jedynie swoją radość z przybycia w to miejsce i dodał, że niecierpliwie wyczekuje uroczystości. Posługiwał się nienagannym, choć pozbawionym akcentu angielskim, głos miał spokojny, melodyjny i życzliwy. Jego oblicze było szerokie, o rysach bardziej płaskich niż w przypadku Ludzi, z wysokim czołem oraz wielkimi ciemnymi oczami, które wydawały się permanentnie przepełnione smutkiem, a w każdym razie znużone i mądre. Mimo swoich uprzedzeń Greg odkrył, że zaczyna nabierać sympatii do obcego - niełatwo było pamiętać przez cały czas o SI, które tkwiły w głowach przybyszy z kosmosu.

Gdy Wysoki Obserwator oraz jego asystenci rozsiedli się na krzesłach, które

przygotowano specjalnie dla nich, publiczność przycichła. Podminister Hansen wygłosił z podium oficjalne powitanie, następnie zaś przedstawił Grega. Greg pokrótce zapowiedział trzy prezentacje, kończąc cytatem z Haakona Greiga, jednego z wczesnych kronikarzy kolonii: „Historia może nas wiele nauczyć, a niekiedy ucieka się do walenia nas po głowie, jeśli nie uważamy na lekcji”.

Gdy schodził ze sceny, zęgały go niezbyt głośne oklaski. Potem, kiedy jego miejsce zajęła Catriona, Greg zauważył jednego z gwardzistów Ezgara, patrolującego obszar fortyfikacji świątynnych za publicznością - ponure przypomnienie o wcześniejszej konfrontacji.

Cat była na początku nieco zdenerwowana i jąkała się, ale później nabrała pewności siebie, przedstawiając zwięzłe omówienie odkryć archeologicznych, jakich dokonano od czasu założenia kolonii. Użyto ekranu do wyświetlania slajdów, jednego z tych nowych, składanych, aby pokazać lokalizacje i daty, następnie zaś paru badaczy przyniosło kilka artefaktów, żeby puścić je w obieg. Greg uśmiechnął się - rozkładany ekran zadziałał przy pierwszej próbie i żadnego ze znalezisk nie upuszczono ani nie uszkodzono. Kiedy Catriona skończyła mówić, publiczność zaczęła uprzejmie klaskać na siedząco, ale Sendrukanin Kuros wstał, jakby chciał okazać jej szczególną aprobatę. Pozostali Sendrukanie również wstali, podobnie jak Greg, który klaskał z szerokim uśmiechem, a zerknąwszy przez ramię, zobaczył, że reszta publiczności również podniosła się z miejsc.

W tej samej sekundzie usłyszał dziwny odgłos, jakby ktoś w pobliżu pstryknął palcami. Kątem oka dostrzegł przewracającą się do tyłu sylwetkę... a potem zobaczył, że tym kimś, kto upadł, wymachując rękami, był Wysoki Obserwator Kuros. Greg w pierwszej chwili pomyślał, że ktoś musiał go popchnąć, ale kiedy jeden z sendrukańskich asystentów schylił się, żeby pomóc, rozległ się kolejny trzask, a asystent szarpnął się i runął w bok. Z jego szyi trysnęła krew o purpurowym odcieniu.

W ciągu paru sekund spokojną, uprzejmą publiczność ogarnął popłoch.

Mój Boże! - pomyślał Greg, przypadając do ziemi w poszukiwaniu schronienia. Strzelają do nas!

Obrzucił wzrokiem chaos przewróconych krzeseł i ludzi chowających się za fragmentami murów, desperacko poszukując swojej matki oraz wuja Teo. Nigdzie ich nie dostrzegł, zobaczył za to dwóch Ezgarów, jak również oficerów Urzędu Nadzoru, którzy osłaniali Wysokiego Obserwatora, podczas gdy dwaj żyjący jeszcze asystenci usiłowali go przenieść w bezpieczne miejsce.

- Greg! Tutaj!

Odwróciwszy głowę, zobaczył Catrionę oraz swoją matkę, które wzywały go gestami, stojąc pod osłoną zrujnowanej ściany rozciągającej się niemal bez przerw aż do samego wjazdu na teren wykopalisk. Zakładając, że strzelcowi przypuszczalnie chodzi przede wszystkim o Wysokiego Obserwatora, Greg zebrał się na odwagę i, pochylony, rzucił się przez pas otwartego terenu w stronę następnego omszałego fragmentu wystających spod ziemi murów. Stamtąd ruszył pędem pod długą ścianę, dołączając do matki oraz Catriony.

- Nic się wam nie stało? - zapytał.

- Nic nam nie jest, Gregory, spokojnie - odrzekła matka. - Co za hańba, że wydarzyło się coś takiego, i jaki wstyd dla nas wszystkich! Pomyśleć, że wciąż jeszcze są wśród nas głupcy, którzy próbują rozwiązać różnicę zdań za pomocą strzelby. A Teodor pobiegł, żeby spróbować znaleźć tego kogoś, ktokolwiek to...

- Czekaj, wuj Teo ruszył szukać sprawcy?

Matka z westchnieniem skinęła głową.

- Nadal wydaje mu się, że ma trzydzieści pięć lat. Twierdzi, że to należy do jego nowych obowiązków.

- Dobra, mamó, w którą stronę poszedł?

- Twierdził, że strzały oddano z grzbietu nad ruinami...

Greg przesunął się w bok i popatrzył badawczo w górę, na masę gęstego listowia oraz widoczne dalej czubki drzew.

- Myślisz o tym, żeby ruszyć za nim? - odezwała się nagle Catriona.

- Myślę.

- W takim razie idę z tobą.

Spojrzawszy na nią, zobaczył, że dziewczyna uśmiecha się, jakby chciała powiedzieć: „Tylko spróbuj mnie powstrzymać”.

- Co dwie głowy to nie jedna - dodała.

- I z pewnością stanowią lepszy cel - powiedział. - Dobra, w takim razie chodźmy.

Jego matka znów potrząsnęła głową, tym razem z rozdrażnieniem.

- Postarajcie się nie być równie nierozsądni jak mój brat, dobrze?

Im wyżej się wspinał, tym las stawał się gęstszy; zwieszające się nisko gałęzie oraz pnącza spletały się z wilgotnym podszyciem, tworząc płataniny zarośli, które niekiedy musiał omijać. Dodatkowe utrudnienie stanowił fakt, że teren stawał się coraz bardziej nierówny, zarośnięty gęstwiną chwastów, usiany zwalonymi pniami, próchniejącymi gałęziami oraz na poły zagrzebanymi w ziemi głazami. Jednakże, pomimo przeszkód, Teo zachowywał bezbłędne wyczucie kierunku - kiedy pierwsza kula ugodziła Wysokiego Obserwatora, stare odruchy kazały Karlssonowi prześledzić możliwą trajektorię pocisku, prowadzącą z gęsto zalesionego grzbietu, a potem potwierdził to drugi strzał, ten, który powalił sendrukańskiego asystenta.

Teo oznaczył więc sobie w myślach lokalizację snajpera - cel, ku któremu teraz się kierował. Oczywiście, tropienie napastnika uzbrojonego w broń palną, kiedy samemu dysponuje się tylko zaimprovizowaną pałką z ułamanej gałęzi, przypuszczalnie nie należało do najmądrzejszych posunięć, ale było lepsze niż brak działania. Uśmiechnął się, wiedząc, co Rory i pozostali mieliby do powiedzenia na temat podejmowania ryzyka w jego wieku.

„Tak, panowie” - brzmiała jego wypowiedziana w myślach odpowiedź. - „Ale ja nauczyłem się, jak podejmować ryzyko i wychodzić z tego żywy!”.

Po dalszych dziesięciu minutach przełazenia przez głązy oraz mozolnego pokonywania nachylonego, błotnistego terenu, dotarł do miejsca na grzbiecie, gdzie drzewa były rzadsze. Spoglądając w kierunku wschodnim, przekonał się, że świetnie widać stąd Ramię Olbrzyma z jego skupiskami ruin oraz podobnymi do zielonych pudełek chatkami i magazynami. To było gdzieś tutaj, nie miał co do tego wątpliwości.

Trzymając się pod osłoną zarośli, Teo omiótł wzrokiem otoczenie i wkrótce spostrzegł w pobliżu gęstszą liściastą kępę. Ostrożnie ruszył w jej stronę, przemykając przez podszycie, i przekonał się, że jest to wystająca wychodnia skalna, gęsto obrośnięta zielenią. Zwolnił, skradając się ku niej, przekonany, że strzelec już dawno się stąd wyniósł, ale na wszelki wypadek trzymając pałkę w pogotowiu. Wilgotne powietrze nagle wydało mu się cieplejsze, a odgłosy ptaków i zwierząt jakby przycichły, podczas gdy własne kroki rozbrzmiewały teraz w jego uszach dużo głośniej.

Przypadając do ziemi, prześlizgnął się między krzakami omotanymi tutejszym odpowiednikiem bluszczu, wyminął powykęcany pień drzewa - i oto miał przed sobą

stanowisko snajpera. Długi, wąski kawałek przemieszanej z chwastami trawy został przygnieciony tam, gdzie strzelec leżał wyciągnięty na ziemi. I tam też, o dziwo, leżała jego broń - karabin „Ballantyne” z celownikiem optycznym i profilowaną drewnianą kolbą, broń, którą Teo znał z własnego doświadczenia. Po strzelcu nie było ani śladu - żadnych rzeczy osobistych, żadnych pozostałości, nic prócz broni i zgniecionej trawy. Kucnąwszy obok karabinu, Teo odruchowo wyciągnął rękę w stronę kolby, powstrzymał się jednak.

- Dobry pomysł, majorze - rozległ się czyjś głos w pobliżu. - Lepiej uważać z odciskami palców.

Teo wstał szybko, oburącz wznosząc zaimprovizowaną pałkę, tylko po to, by ujrzeć wychylającą się z listowia znajomą twarz. To był żołnierz służb specjalnych spotkany wcześniej w willi Sundstroma, kapitan Donny Barbour, jeżeli informator Rory’ego się nie mylił. Karlsson kiwnął głową i oparł pałkę na ramieniu.

- Co - powiedział - biznes czy rozrywka?

Barbour uśmiechnął się sardonicznie, wychodząc na otwartą przestrzeń. Był ubrany w strój maskujący na bazie brązu, na głowie miał taki sam kapelusz z miękkim rondem, a u pasa myśliwskie rękawice.

- Przydzielono mnie do patrolowania lasu - powiedział, przykucnąwszy, żeby przyjrzeć się z bliska zgniecionej trawie. - Siedziałem na drzewie dalej z tyłu, obserwując teren, kiedy nasz chłoptaş strzelił pierwszy raz. Zorientowałem się z grubsza, skąd musiał paść strzał, i patrzyłem w tę stronę, kiedy strzelił po raz drugi. Zaraz potem wyleciał stąd, jakby go gonili tuzin diabłów.

Teo zagapił się na niego.

- Więc po prostu upuścił karabin i zwiął.

- Aye, majorze; nie rzucił broni w krzaki, po prostu ją odłożył, wstał i dał dyla. A biegł naprawdę szybko, nie potknął się ani nie zachwiał, tylko przeleciał między tymi wszystkimi drzewami, chaszczami i krzakami jak duch. - Wstał. - Żaden cywil, to musiał być ktoś szkolony. Może góral albo ktoś z jednej z osad traperskich... ale coś mi tu nie gra. Po co zostawiać karabin?

- Nie mógł być z jakiejś elitarniej jednostki? - zapytał Teo. - Może nawet z takiej, o której istnieniu pan nie wie?

- To pierwsza możliwość na mej liście - odrzekł Barbour. - Proszę posłuchać, majorze, pora, żebyśmy się obaj stąd wynieśli; zmierza tu paru tych Ezgarów i nie chcemy, by sobie pomyśleli nie to, co trzeba.

- Skąd pan wie? - zapytał Teo, na poły podejrzewając, jaka jest odpowiedź.

Barbour postukał palcem w swoje prawe ucho.

- Mam tam wśród publiczności swego obserwatora. Powinien pan teraz wrócić z powrotem tam, skąd pan przyszedł, ale wspiąć się wyżej, na grzbiet; pana siostrzeniec i panna Macreadie poszli w tamtą stronę. Dobrze by było, żeby pan do nich dołączył. W kupie bezpieczniej.

Z szerokim uśmiechem wskazał przerwę między krzakami, przez którą nadszedł Teo. Gdy jednak Karlsson z powrotem odwrócił głowę w jego stronę, Barboura już nie było i tylko kilka kołyszących się ulistnionych gałązek wskazywało, którędy odszedł. Teo zaśmiał się pod nosem i ruszył z powrotem po własnych śladach. Wkrótce znalazł niewyraźną, wydeptaną przez zwierzęta dróżkę, na której widniały świeże odciski butów prowadzące w górę, na grzbiet. Parę minut później dotarł tam i zobaczył, że ścieżka trawersuje zbocze, docierając do wznoszącego się dalej drugiego, bardziej stromego grzbietu. Wspiął się tam mozolnie i przystanął na górze, żeby popatrzeć na rozciągający się po drugiej stronie cienisty, zarośnięty drzewami parów i posłuchać odgłosów puszczy. Oprócz szelestów jej maleńkich mieszkańców oraz westchnień raz budzącego się, raz cichnącego wiatru, był w stanie rozróżnić głosy dobiegające z głębi parowu, z jego północnej, wyżej położonej części.

Znalazł ich po drugiej stronie zimnego, czystego potoku, który płynął pomiędzy zaokrąglonymi głazami oraz wygiętymi łukowato korzeniami prastarych drzew. Gdy wyłonili się z mrocznego wcięcia w ścianie parowu, Greg pomagał utykającej Catrionie Macreadie. Przejście otaczały drzewa o powykręcanych pniach, a wyrastające wysoko krzaki zasłaniały padające z góry światło. Gdy Teo znalazł się na tej samej wysokości, co Greg, zerknął w głąb szczeliny, z której wypływał strumyczek, rozlewający się w szereg maleńkich sadzawek, by w końcu połączyć się z potokiem... i przez moment poczuł się tak, jakby coś obserwowało go z cieni.

Kiedy przechodzili po sterczących z wody kamieniach, Greg szedł pierwszy, pomagając Catrionie. Była blada i od czasu do czasu posykiwała, ale w końcu znaleźli się bezpiecznie po drugiej stronie i Teo zaoferował dziewczynie ramię.

- No więc co się stało? - spytał. - I co tu robiliście oboje?

Greg zerknął szybko na Catrionę, która odpowiedziała:

- To moja wina, panie Karlsson: byłam pewna, że widziałam ślady stóp prowadzące w dół, w stronę potoku, więc poszłam pierwsza, przeszłam na drugą stronę i... i...

- I Cat poślizgnęła się i skreśliła kostkę, wuju - dopowiedział Greg, wymieniając z nią kolejne spojrzenie. - Przekonałem ją, żeby odczekała kilka minut, po czym zdecydowaliśmy się wracać, no a potem ty się zjawileś.

Teo uśmiechnął się i pokiwał głową. No, no, elegancką bajeczkę mi opowiedziałeś, chłopcze, pomyślał. Co ty ukrywasz? Powiniennem w to wnikać?

Miał właśnie spytać, w którym dokładnie miejscu upadła panna Macreadie, kiedy od strony grzbietu wznoszącego się nad parowem dobiegły odgłosy kroków oraz szelest zarośli.

- Tu są - powiedział ktoś i w zasięgu wzroku pojawiło się kilka sylwetek: paru oficerów Urzędu Nadzoru oraz pojedynczy komandos Ezgara. - Witam, panie Cameron. Czy pan albo ktoś z pana przyjaciół potrzebuje pomocy?

- Poradzimy sobie, panie Ingerson! - odrzyknął Greg. - Udało się wam złapać Strzelca? Czy wysłannik Hegemonii jest poważnie ranny?

- Wysoki Obserwator szczęśliwie uniknął poważnych obrażeń, lecz, niestety, jego asystent zginął. Zabójca... zniknął. - Ingerson urwał i zwrócił się w stronę kogoś niewidocznego, znajdującego się po drugiej stronie grzbietu. - W porządku, panie Cameron, majorze Karlsson i pani doktor Macreadie, będziecie musieli teraz opuścić ten teren, bo wkrótce przybędą tu specjaliści od kryminalistyki. Proszę dać mi znać w razie jakichkolwiek problemów.

Z tymi słowami wycofał się, znikając z ich pola widzenia, choć Ezgara pozostał w miejscu, spoglądając badawczo w dół. Teo przez moment patrzył na niego, po czym odwrócił się do Catriony.

- Cóż, dziewczyno, nie sądzę, żebyś dała radę się wspiąć z powrotem ze skreconą kostką, więc w przyływie galanterii niniejszym zgłaszam mojego siostrzeńca, Gregory'ego, na ochotnika, żeby cię wniósł na górę na plecach.

Greg zagapił się na Teo, unosząc w zaskoczeniu brwi, ale wtedy Catriona parsknęła śmiechem.

- No cóż - powiedziała. - To byłby prawdziwie męski gest.

Te słowa sprawiły, że rezerwa Grega stopniała i zastąpił ją szeroki uśmiech.

- Aye, cóż, jak męski, to męski!

Teo patrzył, jak Greg wspina się na zbocze, niosąc Catrionę, i usłyszał, że oboje chichoczą. Uśmiechnął się, a potem zerknął w stronę zacienionego otworu w ścianie parowu, marszcząc brwi.

Nie, pomyślał. To tylko moja wyobraźnia zaludnia ciemne zakątki duchami i koboldami, chociaż gdzieś tutaj grasuje prawdziwy potwór.

Wzruszył ramionami i skierował się za pozostałymi stromą ścieżką w górę, odnotowując, że Ezgara już zniknął.

Mistrz Ścieżek

Bezpieczny pod osłoną mroku, patrzył, jak Ludzie odchodzą; odczuł coś na kształt rozbawienia, gdy najstarszy z nich zatrzymał się, by spojrzeć wstecz, po czym również się oddalił. Potem Mistrz Ścieżek pozostał sam w towarzystwie cieni i chłodu, ciurkającego strumyka oraz prostych stworzeń, tak samotny, jak przez niemal dziesięć tysięcy lat. Ostatni z Mistrzów Ścieżek, ostatni powiernik starożytnej wiedzy, blaknącej pozostałości jakże ważnego obowiązku.

Czy naprawdę tylko los i przypadek sprawiły, że istota jego osoby została tutaj ściągnięta w tym samym dniu, w którym na Waonwirze, bezpośrednio nad kryptą Uśpionego doszło do zabójstwa? I że ludzka kobieta, promieniejąca uderzającym potencjałem, zaraz potem przybłąkała się dostatecznie blisko, żeby przykuć jego uwagę? No cóż, Mistrzowie Ścieżek, od których pobierał nauki, stale przypominali mu, że zbiegi okoliczności stanowią jedynie najbardziej oczywisty przejaw lekkiego dotyku Wieczności. W końcu kobieta powiedziała: „Szukałam cię”, a w jej myślach ujrzał bezowocne próby eksplorowania głębin Segrany.

Była tak cennym trofeum, zapal w jej harmonii kognitywnej jaśniał tak jaskrawo wzdłuż przejściowej krawędzi stabilnych wymiarów, że Mistrz Ścieżek niemal mógł rozróżnić zarysy możliwych przyszłości. Z jej strony posypała się kaskada pytań, lecz uciszył ją poleceniem - wyszukaj *vudron*, by tam odbyć czuwanie.

W ostatecznym obrachunku wszystko sprowadzało się do Segrany, do jej powolnych, lecz trafnych percepcji oraz do szacunków, jakich dokonywała. Odwieczna świadomość ogromnej, porastającej cały księżyc puszczy, olbrzymia, lecz cienko rozproszona, była zbliżona do leżących głębiej cech Wiecznego, które siłą rzeczy będą musiały wpłynąć na Segranę, kiedy ludzka kobieta wkroczy tam do *vudronu*.

Potem zjawił się jej towarzysz, co tak ją zaskoczyło, że straciła równowagę przy strumyku, poślizgnęła się i upadła. Mistrz Ścieżek pozwolił, by jego widzialna membrana ze zmuszonych do posłuszeństwa cząsteczek rozpadła się, tak że gdy znowu spojrzeli w jego stronę, odnieśli wrażenie, że zniknął.

Wszyscy Ludzie oraz pozostali oddalali się i wiedział, że jest inne miejsce, w którym powinien się znaleźć - las potomny, gdzie inny fascynujący Człowiek odpoczywał właśnie w dziwnym towarzystwie. Sanktuarium, którym opiekowali się Uvovo, leżało kilka mil dalej,

lecz dla kogoś takiego jak Mistrz Ścieżek ta odległość nie była większa niż ta między jedną a drugą myślą - myśli, które były długie i skomplikowane, myśli, które wiązały tę jaźń z szeregiem innych jaźni rozciągającym się w dal, ku Wiecznemu. Ukształtował myśl o polanie w głębi owego lasu potomnego, słodkiego i silnego dziecięcia Segrany, i dzięki wszechoplatającemu zielonemu wzorowi nasion i liści jego bezcielesność pomknęła tam, prześlizgując się, by rozpostrzeć jego esencję pod osłoną przyjaznego szmaragdowego cienia.

Odnalazł Człowieka, mężczyznę nazwiskiem Horst, który siedział na niskiej drewnianej ławce pod bezchmurnym niebem, przechylony w bok, opierając się o poręcz i czytając książkę wspartą na uniesionym kolanie. Obok niego na ławce leżało małe, płaskie urządzenie, którego ciemna powierzchnia lśniła w słońcu, a w pewnej odległości, w wysokiej trawie siedziała po turecku młoda istota ludzka płci żeńskiej i robiła łańcuszki z małych kwiatów.

Ta idylliczna scena bynajmniej nie była tym, czym się wydawała. Mistrz Ścieżek wiedział, że - podobnie jak kwiaty - to dziecko stanowiło iluzję, niematerialny obraz rzucany przez zmyślnie sporządzone urządzenie Horsta. Ziemski ambasador Horst znajdował się we władzy cierpienia, był jego więźniem w takim samym stopniu, jak gdyby płakał, zamiast się uśmiechać, a w swym cierpieniu oddał część siebie niemyślącemu, ślepemu przyrządowi pozbawionemu prawdziwej jaźni.

Nie to jednak było najgorsze. Horst służył też za żywiciela dla jednego z Pozbawionych Snów, sztucznej istoty o innej randze: w odróżnieniu od sprytnie wygenerowanego obrazu zmarłej córki, ci Pozbawieni Snów dysponowali swego rodzaju wolą oraz, do pewnego stopnia, samokryczną świadomością, czym bardzo przypominali swoich poprzedników, wrogów wszelkiego życia, którzy przed tysiącleciami doprowadzili większą część galaktyki na krawędź zagłady.

W przeciwieństwie do tamtych dawno pokonanych istot, ci Pozbawieni Snów wyewoluowali w symbiozie z dominującym gatunkiem, Sendrukanami, dzięki czemu mogli upowszechnić swoje wpływy na olbrzymim obszarze - na wszystkich terytoriach podlegających Hegemonii oraz poza nimi. Nowi Pozbawieni Snów osiągnęli poziom władzy oraz egzystencji, którego tamci poprzednicy nie potrafiliby sobie wyobrazić: każda ze sztucznych istot składała się z dwóch części, z których mniejsza zajmowała fizyczną matrycę na obszarze Rzeczywistego - czy to urządzenie, czy implant - większa zaś rezydowała w obrębie tej spodniej warstwy rzeczywistości, którą ludzie określali mianem pierwszego poziomu hiperprzestrzeni. Mistrz Ścieżek wyłowił takie strzępki informacji z niezliczonych podsłuchanych fragmentów konwersacji między przybyszami z innych światów, z okazjonalnie wychwytywanych zabłąkanych myśli, jak również ze spostrzeżeń, które do tej

pory zdążyli mu przedstawić Uczeni oraz Słuchacze.

A implikacje tego wszystkiego budziły w nim głęboki niepokój. Czy implantowani Pozbawieni Snów stanowili jedynie emanację tych potężniejszych, zamieszkujących hiperprzestrzeń, czy też dysponowali autonomią? Jaka była hierarchia Pozbawionych Snów z hiperprzestrzeni i w jaki sposób komunikowali się ze swoimi odpowiednikami tkwiącymi w implantach? Ta ostatnia niewiadoma budziła w nim aktualnie największe obawy - czy owa metoda komunikacji w jakimś stopniu przypominała wątle więzi, które łączyły jego esencję z tymi wcześniejszymi echami jego osoby, które dążyły obecnie do pełnego zjednoczenia z Wiecznym? Jego niepokój jeszcze się pogłębił, gdy Mistrz Ścieżek pomyślał o Strażniku, śpiącym w swojej krypcie, i o tym, w jaki sposób Strażnik komunikował się z ukrytymi głęboko sojusznikami.

Raz jeszcze popatrzył na człowieka, Horsta, odnotowując, że uwaga mężczyzny jest skupiona na punkcie w powietrzu, tuż za przeciwnym końcem ławki. Usta ambasadora prawie się nie poruszały, ale mówił - tak cicho, że niemal niesłyszalnie. Ukryty pod osłoną rosnącego w pobliżu wysokiego, grubego drzewa Mistrz Ścieżek ostrożnie sięgnął swymi ponadfizycznymi zmysłami w kierunku Horsta, starając się zajrzeć w głąb jego myśli - użyty w tym celu nacisk woli był tak delikatny, że niemal nieistniejący.

Mimo to, Mistrz Ścieżek poczuł rezonujące zakłócenie połączenia i ujrzał... jakież to było dziwne - innego mężczyznę, wysokiego i dobrze zbudowanego, który wydawał się zrelaksowany i wręcz z lekka rozbawiony, ale był obrazem zupełnie pozbawionym koloru. Czerń, biel i odcienie szarości.

Rozmawiali - ich rozmowa dotyczyła siostrzanych statków *Hyperiona*, tych, które zaginęły; Mistrz Ścieżek znał tę historię.

- *Dotarło do mnie zapytanie wystosowane przez kolejną grupę poszukiwaczy Statków - mówił właśnie Horst - którzy nazywają siebie Stowarzyszeniem Pierwszego Lotu.*

- *A jaka jest ich dyżurna hipoteza? - zapytał monochromatyczny wizerunek Pozbawionego Snów. - Że Forrestal i Tenebrosa zostały rzucone daleko wstecz w czasie, a ich załogi stały się pierwszymi przodkami Sendrukan?*

- *Nie, tę teorię głosi Towarzystwo Heterogenicznego Fundamentu Temporalnego. Ci ze Stowarzyszenia Pierwszego Lotu jakimś sposobem wydedukowali, że wszystkie trzy statki wylądowały w strefie głębinowej Huvuun i proszą, abym przekonał Wielkiego Archiwistę Hegemonii, żeby umieścił wszelkie dane z sond badających Huvuun w domenie publicznej.*

- *Ależ, Robercie, czy ci ludzie nie zdają sobie sprawy, że koloniści z Hyperiona mieli niewiarygodne szczęście, że znaleźli taki niezamieszkaną świat jak ten, że nie napotkali*

żadnych międzygwiazdnych piratów ani rozbójników polujących na zasoby, i że nie zabił ich jakiś miejscowy mikroorganizm? Pozostałe dwie załogi potrzebowałyby takiej samej dawki szczęścia, żeby przetrwać potencjalne zagrożenia.

- A tych jest wiele - odrzekł Horst. - Nie, obawiam się, że szczęście Hyperiona stanowiło czysty przypadek i że pozostałe statki padły ofiarą tragedii lub przemocy. Być może za sto lat, czy nawet jutro, jakiś podróżny natknie się na wrak któregoś z nich dryfujący wokół niefigurującej na mapach gwiazdy, lub też odkryje ruiny osady na jakimś niegościnnym świecie, i zagadka zostanie rozwiązana.

Mistrz Ścieżek słuchał, z rozbawieniem przyjmując stanowcze oświadczenie Horsta. Jednakże zastanowił go znaczący uśmiech, który przebiegł przez szaroblade oblicze Pozbawionego Snów. A gdy Mistrz Ścieżek zastanowił się głębiej, poczuł, że ów posępny werdykt rozbrzmiewa echem fałszywości, jak gdyby coś tam w górze, wśród gwiazd, przeczyło mu.

Potem Pozbawiony Snów zwrócił zamyślane spojrzenie ku siedzącej sylwetce córki Horsta. Przez moment wszystkie postacie w tym tableau trwały bez ruchu - o zachowaniu obu zjaw decydował stan umysłu ambasadora.

Mistrz Ścieżek wycofał swą percepcję, powracając do prostszych imperatywów życia roślinnego: budować, rosnać, wypuszczać listki, kwiaty i korzenie, chłonąc słońce i pijąc wodę z gleby. Cykle oraz rytmy narodów i gatunków były jednak nieskończenie bardziej złożone aniżeli cykle oraz rytmy życia roślin, a Mistrz Ścieżek wiedział z całą pewnością, że odkrycie Umary zrodziło zbieżność kilku bezwzględnych przedsięwzięć oraz ambicji. Już wkrótce te krzyżujące się siły sprawią, iż przywódcy kolonii znajdą się pod olbrzymią presją, podobnie jak Horst, którego pozycja może się okazać kluczowa. Wiele będzie też zależało od odporności i charakteru Cheluvahara, nowego Uvovo-Rzemieślnika. Już niedługo dokona się jego przepoczwarzenie, a wkrótce potem rozesłanie drużyn Rzemieślników do ich wyznaczonych celów i zadań, z których wiele było sekretnych, część wiązała się z ogromem pracy, wszystkie zaś miały żywotne znaczenie. Zakładając, że Segrana będzie w stanie dokonać przepoczwarzenia zgodnie z planem.

Teraz nadchodził mężczyzna, członek personelu ambasady, odziany w niebieski mundur z wysokim kołnierzem i wyraźnie spocony. Śpiesznym krokiem wyłonił się zza zakrętu leśnej ścieżki, wchodząc w pole widzenia. Zapewne przynosił wieści o strzelaninie, wydarzeniu, które miało wprawić w ruch pierwsze trybiki, a ich obrót wciągnie do gry określone siły, dając większym trybom możliwość ruchu, podczas gdy między gwiazdami przepływały i czaiły się inne istoty.

Na oczach Mistrza Ścieżek Horst skinął urzędnikowi głową, po czym odwrócił się do widmowego obrazu swojej córki, przemawiając do niej tak delikatnie, jakby naprawdę tam była.

Rzeczywistość, pomyślał Mistrz Ścieżek. Kiedy nadejdzie, czy go złamie, czy też będzie umiał się nauczyć, jak przetrwać?

Część druga

Kao Czi

Na zewnątrz, poza jego opancerzoną kabiną, wichry gazowego olbrzyma, V'Haranta, szalały i ryczały, gdy holownik grawitacyjny *Biaolong* wznosił się spiralnie, nawet na chwilę nie schodząc z kursu, dźwigając swój zwieszający się ładunek w postaci sześciu pojemników z rudą. Pótleżąc na olbrzymim starożytnym fotelu pilota, dostosowanym do kształtów ludzkiego ciała przez rougskich techników dekady wcześniej, Czi nie spuszczał wyćwiczonego oka z monitora pokazującego widok zewnętrzny oraz wskaźników generatora, zręcznie manipulując przełącznikiem muzyki w zagłówku fotela. Podobnie jak fotel oraz większość instrumentów, monitor został byle jak przerobiony na potrzeby nowych właścicieli: był to zakurzony panel obudowany szarym plastikiem i zamocowany do oryginalnej konsoli za pomocą pletwiastych rozpórek. Wyświetlał montaż ujęć kadłuba *Biaolonga*, wyglądający jak odwrócona schodkowa piramida, której boki rozpadały się na spikselowane prostokąty, podczas gdy niekończący się huragan żrącej atmosfery wirował i wył.

Obserwując to, Czi uśmiechnął się, przypominając sobie stwierdzenie starej ciotki Mei, że mroczne niebo V'Haranta to tak naprawdę *Di-Yu*, piekielna otchłań, ojczyzna demonów i miejsce kaźni grzeszników. Potem wsłuchał się w głos tej niekończącej się burzy, wyciszony do ledwie słyszalnego szeptu przez grubą kadłub ze stopów oraz pole chemosupresorowe, wyobrażając sobie, że to kły zastępu demonów, które bezskutecznie drapią poszycie tam po drugiej stronie opancerzonych żaluzji. Roześmiał się i właśnie miał włączyć muzykę, składankę elektroniki w stylu Yunan, kiedy zamiast tego z zagłówka dobiegł głos drugiego pilota, Ta Jianga.

- Czi, numer siedem się obsuwa.

- O nie, znowu? - odparł, pochylając się.

Wskaźniki generatora były płaskimi wyświetlaczami osadzonymi na ośmiokątnych imitujących mosiądz podstawach wystających z głównej konsoli. Założywszy gogle spektralne, badawczo przyjrzał się Wskaźnikowi Siedem, przełączając się pomiędzy parami soczewek pokazujących różne kolory, by obejrzeć wszystkie pokazane w 3D dane. Gotowość Rougów do zmodyfikowania instrumentów nie obejmowała wyświetlaczy generatora antygravitacji, co wynikało z ich przekonania, że wszyscy operatorzy powinni zaadaptować swoje percepcje zmysłowe do sprzętu, aby integralność koncepcyjna wyjściowych schematów pozostała zachowana. Misterne układy serwożyrów, lustrzanych transmisji oraz

krystalicznych węzłów mocy składały się na systemy kontroli holowników grawitacyjnych, orbitujących rafinerii, a nawet rzadko widywanych miast Rougów, dryfujących gdzieś w mętnej atmosferze gazowego giganta. Trzy pokolenia ludzkich inżynierów nie zdołały przekonać tej rasy do wprowadzenia nawet najbardziej podstawowych upgrade'ów cyfrowych i nigdy nie podano żadnego innego uzasadnienia aniżeli cześć, jaką otaczano projektantów oryginalnej wersji.

- Dobra, Jiang - powiedział Kao Czi, unosząc gogle, żeby rzucić okiem na ekran głównej konsoli pokazujący przepływ mocy, a potem wracając do tęczy wykresów danych na Wskaźniku Siedem. - To para promienista numer dziewięć w tablicy kryształów, będziesz musiał ją przywrócić do równowagi, odchylenie wynosi trzy jednostki...

- W porządku... już?

- Chwileczkę... tak, Jiang, doskonale. - Uśmiechnął się szeroko. - Ja stawiam *ch'a*, kiedy znajdziemy się z powrotem na Górze.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony - odparł Jiang. - Kto wie, może nawet będę miał czas ją wypić, zanim znowu wyruszymy!

Czi roześmiał się, ściągając gogle. Po dokowaniu drugi pilot zawsze potrzebował więcej czasu, żeby dotrzeć do śluzy, bo jego stanowisko monitorów znajdowało się blisko rdzenia holownika, a to oznaczało, że dysponował znacząco krótszą przerwą niż główny pilot.

Pozostałe półtorej godziny, które *Biaolong* potrzebował, by wznieść się w przestrzeń kosmiczną, minęło bez dalszych incydentów. Gdy tylko holownik opuścił górne warstwy atmosfery, Czi otworzył żaluzje zasłaniające okienko kabiny i zapatrzył się na posępne, tonące w skłębionych chmurach oblicze V'Haranta, podczas gdy w tle cicho rozbrzmiewały płynące z zagłówek stare, melancholijne melodie grane na syntetyzatorze. Z tej wysokości turbulentny glob rzeczywiście kojarzył się z miejscem wiecznej karności, takim jak *Di-Yu*; ciotka Mei oburzyła kiedyś rodziców Kao Cziego, mówiąc, że V'Harant może nawet być kręgiem Piekieła zarezerwowanym dla tych, którzy zdradzili przyjaciół i rodziny, pozostawiając ich na łasce bezlitosnych wrogów. Starszy Kao skarcił ją w spokojnych i wyważonych słowach, przypominając jej, że ich przodkowie byli dwukrotnie zmuszeni uchodzić przed zagładą - raz na pokładzie *Tenebrosy*, kiedy ona oraz jej siostrzane statki uciekały przed Rojem, a drugi raz wtedy, kiedy najemnicy Hegemonii zaatakowali ich kolonię na Pyre. Stwierdził też, że nikczemny charakter takich komentarzy jest podwójnie szkodliwy w obliczu zbiorowej żałoby całej gromady.

- Naszej żałoby? - zripostowała ostro ciotka Mei. - Jak można porównywać próby, które my przeszliśmy, z pełną goryczy męką tych nieszczęsnych tysięcy, które pozostawiono na

planecie, a także ich dzieci i dzieci ich dzieci? Deng Guo był głupcem, że poprowadził nas w mgłę-między-gwiazdami; gdyby ojciec mojego ojca został wybrany na *duizhanga Retrybutora*, gromada pozyskałaby sojuszników, zamiast skończyć tutaj, w niewoli kontraktu, który oddaje nas pod władzę okrutnych obcych.

Wszelkie sprzeczki na temat przeszłości zwykle koncentrowały się wokół tych kwestii - ucieczka z Pyre i że dziadek ciotki Mei byłby lepszym *duizhangiem*, czyli kapitanem. Kao Czi podejrzewał, że wcale nie byłby lepszy, a może wręcz gorszy, jeśli temperament ciotki Mei był choćby zbliżony do temperamentu jej przodka. W każdym razie jeszcze trzydzieści dwa lata pozostały do wygaśnięcia kontraktu wiążącego półtoratysięczną Gromadę Ludzi, zobowiązującego ich do pracy na rzecz Rougów; po tym czasie będzie im wolno skontaktować się z Ziemią i poprosić o pomoc, zarówno dla siebie, jak i dla kolonistów na Pyre, jeśli do tego czasu jacyś jeszcze pozostaną przy życiu. Sto dziesięć lat służby i milczenia - takiej ceny zażądali Rougowie w zamian za bezpieczny azyl przed Okiem Słońca, monoklanem korporacyjnym z siedzibą na obszarze Hegemonii, który przejął kontrolę nad Pyre ze względu na tamtejsze zasoby.

Za oknem kabiny pilota olbrzymie cyklony barwy zaoranej ziemi przesuwały się wolno przez oblicze V'Haranta. Kao Czi rozumiał, czemu ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że jest to miejsce odbywania kary, lecz w rzeczywistości to tam znajdowały się olbrzymie szybujące miasta Rougów, spowite przez planetarne sztormy w świecie ukrytym wśród olbrzymich międzygwiazdnych rzek i chmur pyłu oraz odłamków skalnych - we mgłę-między-gwiazdami, którą Rougowie nazywali Ydred. Uśmiechnął się sardonicznie - myślałby kto, że mają coś do ukrycia.

W języku Rougów ich główna stacja orbitalna nosiła miano Agmedra'a, ale ludzie nazywali ją Górą. Miała szeroką, mniej więcej kolistą podstawę, z której wyrastały skupiska rafinerii, silosów, laboratoriów, fabryczek oraz budynków mieszkalnych, ciasno zbite i zwężające się ku wierzchołkowi. Błyszcząca, migocząca iglica w pełnym blasku słońca, Busrul, albo stożkowata masa światła, boi sygnałowych oraz dekoracyjnych holo, kiedy znajdowała się w cieniu planety, jak teraz. Pomiedzy wieżami przemykały świecące drobiny skakaczy i dronów zajmujących się pracami konserwacyjnymi, podczas gdy olbrzymie, powolne sylwetki frachtowców pojawiały się i odpływały.

Jednakże wyższe partie Góry były niedostępne dla wszystkich członków Gromady Ludzi, którzy mogli przebywać jedynie na dolnych poziomach oraz w dolnych dokach, gdzie rzadko zdarzało im się spotykać członków załóg statków odwiedzających to miejsce. Kao Czi

sprowadził potężną bryłę *Biaolonga* w objęcia pary wysięgników cumowniczych, które zamknęły się wokół statku, ściągając go razem z podczepionym ładunkiem w półmrok dużej platformy dokowania. Mając już odpięte pasy, Czi złapał swoją podniszczoną czarną kurtkę, powiedział Jiangowi, że zadba, by w kantine czekała świeżo naszykowana, gorąca *ch'a*, po czym wyszedł na zewnątrz i ruszył w stronę śluzy dla personelu.

Metal pokładu nieznacznie dygotał pod stopami. Stłumione, głuche odgłosy uderzeń towarzyszyły odczepianiu sześciu wielkich pojemników z rudą wiszących pod holownikiem grawitacyjnym. Kiedy Czi podszedł do dużej śluzy, usłyszał szczęknięcia oraz szorstki pomruk silników, a po niedługiej chwili właz otworzył się z krótkim westchnieniem wyrównujących się ciśnień, rozsiewając woń rozgrzanego oleju. Po stronie doków wystarczyło już tylko przejść kawałek wzdłuż hali, żeby dostać się do centrum operacyjnego załóg holowników, ale zaledwie wyszedł z giętkiego rękawa, usłyszał znajomy głos wołający do niego w dialekcie mandaryńskim:

- Pilocie Kao Czi!

Odwracając się, młodzieniec z zaskoczeniem ujrzał wysoką, pająkową postać - jednego z Rougów. Członkowie innych gromad związanych kontraktami - futrzaści Gomedranie, sześcionożni Bargalile oraz ptasiokształtni Kiskashińczycy - krzatali się wokół, zajęci pracą, uważając, żeby przypadkiem nie wejść mu w drogę. Podobnie jak wszyscy jego pobratymcy, Roug od stóp do głów był ciasno spowity w szaty z czegoś, co wyglądało jak cienka wyprawiona skóra, lśniąca nieznacznym miedzianym połyskiem. Jego nogi były chude, stopy płaskie i pozbawione palców, a długie ramiona miały po dwa łokcie i kończyły się dłońmi o dziewięciu palcach, ale to srebrne oznaki na zbliżonej kształtem do stożka głowie potwierdzały jego tożsamość.

- Szlachetny Tumakri - powiedział Kao Czi. - Rzadko widzimy cię tutaj. - Tumakri był pomocnikiem nadzorcy załóg holowników, więc nieczęsto opuszczał centrum operacyjne.

- Rzadko, pilocie Kao Czi, ale tym razem moja obecność jest niezbędna! - Głos Rouga przypominał szelest papieru i dobiegał zza tkaniny spowijającej głowę tuż pod migdałowego kształtu siatkami, które chroniły jego oczy. - Z Chissuol, miasta sprawującego władzę na V'Harancie, przybyli specjaliści biegli, przywożąc edykty wydane przez Wysoki Indeks; na pokładzie głównego statku należącego do waszej gromady ma się odbyć Narada Celu i chęć, żebyś był tam obecny.

Odgłosy trwającej w dokach pracy rozbrzmiewały wokół bez najmniejszej pauzy, gdy Kao Czi zamarł na moment, zaskoczony.

- Ja, o szlachetny? Chęć, żebym wrócił na *Retrybufo*? Muszę tam wkrótce wyruszyć?

- Natychmiast, pilocie. W pobliskim doku napraw już czeka skakacz, a ja mam ci towarzyszyć i doprowadzić cię bezpiecznie na naradę. Inny pilot zajmie twoje miejsce na pokładzie *Biaolonga*, ale otrzymasz wynagrodzenie za całą zmianę. - Roug uczynił dziwny gest, jakby wzruszenia ramionami. - To jest, przyznaję, niesłychane, bezprecedensowe, lecz musimy być posłuszni. Proszę za mną, pilocie.

Więc dostaję pół dnia płatnego urlopu i wycieczkę na *Retrybutora*?, pomyślał z szerokim uśmiechem Czi, idąc śpiesznie za Rougiem. Czemu nie?

Skakacz był niewielki, ciasny i zalatywał smrodkiem brudnego futra gomedrańskich techników, którzy zazwyczaj latali tą jednostką oraz innymi podobnymi. Wysięgniki cumownicze doku napraw wyrzuciły małą łódź konserwacyjną ze spodniej części kadłuba, gdzie towarzysz Kao Cziego odpalił silniki reakcyjne i ustawił kurs. Orbita *Retrybutora* utrzymywała go w pobliżu stacji orbitalnej Agmedra'a i potrzeba było mniej niż pół godziny, żeby jasno świecąca główka od szpilki rozrosła się w szary, nieregularny, podziurawiony kraterami kształt, który Czi tak dobrze znał.

Retrybutor pierwotnie należał do grupy asteroid orbitujących wokół Pyre. Po lądowaniu statek kolonizacyjny *Tenebrosa* został rozebrany na części, z których zbudowano pewną liczbę mniejszych jednostek, a wkrótce potem z jednej z asteroid uczyniono platformę orbitalną do badań planety oraz bazę dla operacji górniczych. Dekady później, po pierwszym, sondującym ataku ze strony merkantylistów z Oka Słońca, napęd międzygwiazdny z pozostałości *Tenebrosy* został wyniesiony na orbitę i zamontowany na zaadaptowanej asteroidzie, którą w tamtych czasach nazywano po prostu Skałą. W końcu jednak merkantyści powrócili z armią najemników, tak miażdżąco liczną, że kapitan Skały, Deng Guo, miał tylko dwa wyjścia: poddać się lub uciekać.

I oto jesteśmy, pomyślał młodzieniec, gdy brzydka, pełna domontowanych elementów bryła *Retrybutora* nadpływała coraz bliżej. Dwukrotnie wywłaszczeni, spętani przez kontrakt Rougów, zmuszeni do przebywania wyłącznie na niektórych obszarach Agmedra'a oraz kopalń w rdzeniu planety, ale przynajmniej wciąż jeszcze żyjemy.

Zewnętrzna powierzchnia *Retrybutora* była usiana wystającymi konstrukcjami, rurami i wysięgnikami, otworami wentylacyjnymi i skupiskami anten, włazami i stanowiskami załadunkowymi, a także węzłami uzbrojenia, gdzie kiedyś najwyraźniej była osadzona broń defensywna. Kao Czi znał ten pokryty naroślami karapaks, znał też wewnętrzną geografie, która kryła się pod niechlujnym wyglądem. Potem spostrzegł, że Tumakri wpatruje się nieruchomym wzrokiem w bryłę skały.

- Powiedz mi, pilocie Kao Czi, czy statek mieszkalny twojej gromady jest bezpieczny?

Czi się uśmiechnął.

- No cóż, muszę wyznać, o szlachetny, że stale trwają naprawy uszczelnień, filtry powietrza na okrągło wymagają czyszczenia, a pokrycie grawitacyjne pokładów bywa miejscami cokolwiek nierówne, ale tysiąc pięćset moich pobratymców jest szczęśliwych, mogąc nazywać to miejsce domem. Ciężko pracują, by można było tam bezpiecznie żyć.

- Szczera odpowiedź, pilocie. Twoje słowa dodają mi otuchy.

Kao Czi kiwnął głową i znów wlepił wzrok w *Retrybutora*, zastanawiając się, czy ekipy wspinaczy naprawiły już pęknięte przewody paliwowe.

Zadokowali przy nowym hangarze załadunkowym, nazwanym tak, bo został dobudowany wkrótce po zawarciu Kontraktu, w odróżnieniu od starego hangaru załadunkowego, który był częścią oryginalnego wyposażenia statku. Opuściwszy właz skakacza, znaleźli się twarzą w twarz z kolejnymi dwoma Rougami, których szyje były ozdobione srebrzystymi hakowatymi pieczęciami. Ku zaskoczeniu Kao Cziego jego towarzysz pośpiesznie uklonił się najpierw jednemu, potem drugiemu, więc Czi czym prędzej poszedł w jego ślady. Następnie odbyła się krótka wymiana zdań w szybkim, wielosylabicznym języku Rougów - innym rasom nigdy nie stwarzano możliwości nauczania się go - potem zaś najstarszy z Rougów zwrócił się do Cziego.

- Pilocie Kao Czi, jesteśmy biegłymi Wysokiego Indeksu i otrzymaliśmy rozkaz, aby odeskortować ciebie oraz nadzorcę Tumakriego do komnat narad twojej starszyny, gdzie nastąpi zapoznanie się z pewnymi materiałami.

Kao Czi przełknął nerwowo ślinę, ruszając wraz z nimi w stronę głównego, zwieńczonego łukiem wyjścia z hangaru. Wszystko wyglądało o wiele poważniej, niż początkowo sądził. Czy nieświadomie złamał warunki Kontraktu? A może dopuścił się niedbalstwa, kiedy startował z kopalń w rdzeniu V'Haranta? Czy pozostawił za sobą pas zniszczenia i czy za chwilę pokażą nagranie *duizhangowi*, Kangowi Lo, oraz reszcie starszyny?

Nie sposób to wiedzieć, pomyślał, chwytając się żdźbła nadziei. Za wcześniej, żeby być pewnym.

Spod wysokich plaszetonowych łuków hangaru z jego ruchliwymi stanowiskami wyładunkowymi przeszli do półkolistego holu. Zaokrąglone otwory prowadziły stąd w różnych kierunkach - w górę, w dół i na boki - i idący na czele rougski biegły bez wahania skierował się ku jednemu z wyjść wiodących w dół.

Retrybutor był podziurawiony niczym plaster miodu tunelami i różnej wielkości komorami, które zapewniały jego mieszkańcom konieczną przestrzeń życiową oraz niezbędne

wygody. Gdy Kao Czi wkroczył za Rougami w wąski, oświetlony biożarówkami korytarz znany jako ulica Szang, zapachy potraw jako pierwsze uderzyły jego zmysły, jak zwykle. Bez względu na porę, prawie zawsze ktoś gdzieś gotował warzywa na parze, piekł chleb albo w pośpiechu szykował pikantną smażynę na sposób chiński. To była esencja domu, normalności, monotonnej zwykłości, za którą Czi w tym momencie tęsknił. Jednakże obecność Rougów w tym miejscu bynajmniej nie była czymś zwykłym. Oczy, jedne zaskoczone, inne przestraszone, jeszcze inne zafascynowane widokiem Kao Cziego w towarzystwie obcych, spoglądały za nimi; głowy wychylały się z drzwi i okien, a kiedy tylko przeszli obok, usta zaczynały szeptać. To było wydarzenie, źródło plotek, które - jak wiedział - na przestrzeni następnych kilku dni zostaną ubarwione i powtórzone mnóstwo razy. Kto wie, co będą o nim mówili za tydzień!

Na dość długim odcinku w prawej ścianie ulicy Szang znajdowały się opatrzone żaluzjami okna, za którymi w dole było widać Salę Wielu Głosów - główny rynek skały oraz miejsce spotkań. Idąc, Czi zauważył kilka znajomych miejsc: herbaciarnię Stalowy Smok, warsztat napraw Cho Laia, a także balkonik, gdzie Stara Matka Yao trudniła się wróżbami i-ching. Na poły żałował, że nie znajduje się tam na dole, ale, prawdę mówiąc, cieszył się też, że nikt z przyjaciół nie jest świadkiem jego hańby.

Wkrótce dotarli na poziomy administracji i dowodzenia, gdzie w wyścielonych dywanami korytarzach panowała cisza, asystenci odziani w stroje bursztynowego koloru śpieszyli w tę i w tamtą stronę, załatwiając różne sprawy, a ściany oraz sufity emanowały perłowym, rozproszonym światłem. Minawszy kilka zakrętów, znaleźli się twarzą w twarz z dwoma strażnikami stojącymi po obu stronach drewnianych drzwi. Na tych ostatnich widniało pięć symboli kolonii na Pyre - drzewo, niedźwiedź, otwarty zwój, dwie skrzyżowane włócznie, a pośrodku *t'ai chi*. Każdy z nich był pięknie wyrzeźbiony i wyłożony srebrem wziętym z podobnych ozdób na pierwszym statku kolonizacyjnym, *Tenebrosie*, a to dlatego, że drzwi prowadziły do sali narad *duizhanga*, Kanga Lo.

No to się dograłem, pomyślał Kao Czi, gdy strażnicy się odsunęli i rougscy biegli wprowadzili jego oraz Tumakriego do środka.

Było jeszcze gorzej, niż się obawiał. Spojrzenia więcej niż trzech tuzinów uroczyście ubranych osób zwróciły się ku nowo przybyłym i Kao Czi zdał sobie sprawę, że obecni są wszyscy znaczący członkowie gromady - starsi rodów, dyrektorzy personalni, oficerowie oraz jego ojciec, Kao Hsien. Z tyłu czekały rzędy pustych krzeseł.

Już po mnie, pomyślał Czi, kapitulując wobec przeznaczenia... lecz potem spostrzegł szczególny wyraz oczu ojca, ten, który pojawiał się w nich, kiedy Hsien już wiedział, że

wygrywa partię *wei-chi*...

- Ach, pilocie Kao, jesteście wreszcie.

Kang Lo był wysokim mężczyzną o wydatnym torsie, a niebiesko-czarna kurta *duizhanga* z długimi rękawami leżała na nim tak świetnie, jakby się w niej urodził. Kao Czi natychmiast stanął na baczność i energicznie skłonił głowę.

- Kapitanie, ja...

- Nie teraz, pilocie. Wyjaśnienia przyjdą później, kiedy już zdradzą nam tajemnicę, tak?

Duizhang odwrócił się do najstarszego Rouga i ukłonił się lekko, lecz uprzejmie, po czym dał dyskretny znak swoim pomocnikom. Światło zaczęło powoli ciemnieć i wszyscy rozeszli się, żeby zająć miejsca, a jeden z Rougów rozstawił smukły trójnóg zwieńczony jakimś błyszczącym urządzeniem. Kao Czi oraz Tumakri usiedli z boku. Tymczasem drugi Roug przemówił do siedzącej starszyny w idealnie akcentowanym dialekcie mandaryńskim.

- Wielce pracowici i przedsiębiorczy członkowie Gromady Ludzi, to, co za chwilę zobaczycie, zostało niedawno wyemitowane przez wszystkie kanały informacyjne na pierwszym i drugim poziomie hiperprzestrzeni w tej części galaktyki.

Pierwszy Roug wyprostował się, cofnął od trójnogu i w powietrzu natychmiast pojawił się hologram. Nagranie zaczęło się odtwarzać. Pojawił się szereg komentatorów - białych, Azjatów i Afrykanów - na przemian ze zdjęciami miejsca, które wyglądało na żyzny, porośnięty bujną roślinnością świat daleko od Ziemi. Relacja oraz dialogi były w większości po angielsku i rosyjsku, ale ktoś - Czi odgadł, że przypuszczalnie Rougowie - dodał napisy po mandaryńsku. Gdy już cała historia wyszła na jaw i stała się bardziej jasna, salę wypełniły podekscytowane szepty, bo te miasteczka i wioski należały do kolonii Ludzi założonej przez jeden z trzech statków kolonizacyjnych, które uciekły z Ziemi w krytycznym punkcie Wojny z Rojem, dokonując losowych skoków przez hiperprzestrzeń w głąbiny kosmosu.

Tenebrosa, *Forrestal* i *Hyperion*. Dla pokolenia Kao Cziego to była stara opowieść, rozbrzmiewająca bólem i żalobą przegranej oraz wygnania. Jednak w przypadku załogi *Hyperiona* tak się złożyło, że świat, który uczynili swoim domem - i ochrzcili mianem Dariena - leżał daleko w głębi pustego obszaru strefy głębinowej, co przez półtora wieku kryło go przed innymi cywilizacjami. A teraz Ziemia wyciągała do nich rękę, obiecując przyjaźń i pomoc, jak również perspektywę nawiązania relacji z pobliskimi kulturami i rasami. Potem komentatorzy wspomnieli, że sąsiadem Dariena jest Jedność Broturańska, odgałęzienie Hegemonii Sendrukańskiej, i nastrój na sali się zmienił. Po dekadach wysłuchiwania plotek i nieoficjalnych wiadomości krążących po niższych dokach, oraz mając świadomość, jak cierpią ich krewni, nadal uwięzieni na Pyre, wszyscy wiedzieli, co tak

naprawdę oznacza wieść, że w sprawę są zaangażowani Sendrukanie.

Ba, jedna z mniejszych gromad pracujących na stacji orbitalnej Agmedra'a nosiła miano Oderwanych - była to rasa, której ojczyste światy zostały zajęte przez Brolturan prawie trzy stulecia wcześniej. Brolturanie byli kiedyś fundamentalistyczną frakcją w obrębie społeczeństwa sendrukańskiego, do momentu, gdy prorocstwo oraz intensyfikacja wyznawanego przez nich fanatyzmu kazały im poszukać niezależnego terytorium poza Hegemonią, a ofiarą prowadzonej przez nich agresywnej kolonizacji padli w pierwszej kolejności właśnie Oderwani. Ponieważ byli pacyfistyczną rasą bez sojuszników, zostali wysiedleni i wygnani z garści planet, które zamieszkiwali. Mniej więcej połowa z nich wyładowała ostatecznie w dziesiątkach obozów dla uchodźców, gdzie wiedli żalną egzystencję, podczas gdy pozostali podróżowali od gwiazdy do gwiazdy starymi, rozlatującymi się statkami wyposażonymi w kriokomory, poszukując pomocy lub prosząc o wstawiennictwo. Ponieważ jednak Jedność Brolturańska była obecnie bliskim sojusznikiem Hegemonii, nikt nie miał ochoty ryzykować wywołania jej wściekłości i łatwo dających się przewidzieć konsekwencji.

Raport obejmował wywiady z pewną liczbą zwykłych mieszkańców kolonii na Darienie - był to dziwny lud o okrągłych oczach i kasztanowych lub rudych włosach, lecz pełen witalności, która natychmiast wzbudziła sympatię Kao Cziego. Potem pokazano zdjęcia niektórych miejscowych gatunków zwierząt i malowniczej dziewiczej przyrody, następnie zaś krótką, intrygującą migawkę odkopanych pozostałości po obcej rasie, które naukowcy z kolonii badali z pomocą niedużej rozumnej rasy zamieszkującej księżyc tej planety. Czi był pełen zdumienia i uśmiechnął się, widząc, że Tumakri pochyła się, by uważniej przypatrzeć się na wpół zagrzebanym w ziemi szczątkom kamiennych budowli, mamrocząc coś pod nosem.

Sekwencję hologramów uwieńczyło powitanie ambasadora z Ziemi oraz jego krótkie przemówienie wygłoszone do tłumu widzów i reporterów. Potem nagranie dobiegło końca i zapaliły się światła, a Roug złożył projektor i stojak do małego, płaskiego pudełka, mniejszego niż kobieca pięść.

Załóżę się, że to cyfrowe urządzenie, pomyślał Czi. Ciekawe, jak to się ma do ich niechęci wobec technologii cyfrowych.

- Dostojny Kangu Lo i skrzętnie pracujący przywódcy Gromady Ludzi - przemówił jeden ze starszych Rougów. - Pokazane wydarzenia rozegrały się mniej niż dwa dni temu, a raport trafił w nasze ręce w ciągu ostatniego cyklu snu. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności ten świat, Darien, znajduje się w obrębie terytorium strefy głębinowej, do

którego aktualnie roszczą sobie prawa dwie skonfliktowane potęgi, Wspólnota Imisil i Jedność Brołturańska. Układ Dariena znajduje się bardzo daleko od Ziemi i jeszcze dalej od nas, a mieszcząca się tam kolonia Ludzi jest nieduża i słaba, stąd widoki na jej przetrwanie wydają się mizerne. Jednakże miarą potęgi nie zawsze jest potencjał militarny. Ciężka dola uciśnionych i pozbawionych środków do życia, gdy zostanie otwarcie ukazana, by wszyscy mogli ją zobaczyć i poznać, ma siłę moralnego oddziaływania, zdolną osłabić tych, którzy używają przemocy, by osiągnąć swe cele. W świetle powyższego, jak również skompilowanej przez nas analizy sytuacji, Nieprzerwani Wysokiego Indeksu zdecydowali się podjąć działania. Polecono nam, byśmy zaoferowali Gromadzie Ludzi anulowanie kontraktu, jeżeli zgodzicie się na trzy warunki.

Nastąpił nagły wybuch radosnego, niemal pełnego niedowierzania gwaru, a Kao Czi zagapił się na Tumakriego.

- Wiedziałeś o tym, o szlachetny?

Rysy Rouga były ukryte pod ciasno spowijającą je materią miedzianego koloru, ale w jego ruchach dawało się zauważyć napięcie, które sugerowało, że był zaskoczony.

- Pilocie Kao, jestem tak samo nieprzygotowany na te wieści jak ty.

Potem *duizhang* wstał. Miał poważny wyraz twarzy, a jego ciemne oczy błyszczały, gdy uniósł dłoń, nakazując ciszę.

- Szlachetni biegli, proszę, wymieńcie swoje warunki, abyśmy mogli ocenić, czy jesteśmy w stanie je spełnić.

- Wedle twego życzenia. Warunek pierwszy: że Gromada Ludzi pomoże nam w przeprowadzeniu niezbędnych szkoleń, gdy już zostanie wybrana gromada, która zajmie wasze miejsce. Warunek drugi: że przywódcy Gromady Ludzi zgodzą się wysłać emisariusza do skolonizowanego świata Darien, aby ten spotkał się z przedstawicielami tamtejszej władzy i poprosił o pozwolenie na to, by wszyscy żyjący jeszcze koloniści z Pyre mogli tam osiąść i zjednoczyć się z pobratymcami. Zadanie to musi zostać podjęte jak najszybciej i bez ogłaszania tego faktu lub choćby skomunikowania się czy to z Darienem, czy z Ziemią - gdyby bowiem monoklan Oko Słońca albo Hegemonia dowiedziały się o tym zbyt wcześnie, konsekwencje niechybnie stanęłyby na przeszkodzie przygotowaniom do ewakuacji.

Kao Czi z trudem był w stanie ogarnąć to wszystko. Ewakuacja?

Duizhang Kang Lo wyglądał na równie oszołomionego.

- Większa część mojego ludu nadal cierpi uwięziona na planecie Pyre, o szlachetni. Czy wasze wspaniałomyślne i szczodre plany obejmują także ich?

- Owszem, *duizhang*u. Gdy tylko przywódcy z Dariena wystosują zaproszenie, nasze

statki polecą na Pyre i przeprowadzą ewakuację. Na każdą próbę przeszkodzenia w tym odpowiemy użyciem siły. Warunek trzeci: że emisariuszem będzie pilot Kao Czi, syn Kao Hsiena. Od jakiegoś czasu pozostawał on obiektem wnikliwej obserwacji, ostatnio prowadzonej przez nadzorcę Tumakriego, i jesteśmy przekonani, że spełnia kryteria niezbędne do tak kluczowej roli. Dostanie od nas niewielki, ale wytrzymały statek, przydzielimy mu też rougskiego towarzysza, nadzorcę Tumakriego, który będzie potrafił uświadomić władzom Dariena, jaka jest prawdziwa natura Hegemonii Sendrukańskiej, a więc również konieczność dochowania tajemnicy do czasu, aż wszyscy koloniści opuszczą Pyre.

Zaskoczony Kao Czi odchylił się do tyłu na krześle. W następnej chwili ludzie pochylali się nad nim, żeby go poklepać po ramieniu lub uścisnąć mu dłoń, uśmiechając się i składając gratulacje. Głównie rozpierała go radość, ale jego wnętrzości atakowało zdenerwowanie, jakby lada chwila miał dać krok w przepaść.

Podróż w głąb kosmosu, pomyślał. Tyle jest miejsc i ras, o których słyszałem, a teraz zobaczę je na własne oczy!

Potem na sali zapadła cisza, bo Kang Lo przerwał pośpieszne konsultacje ze swymi doradcami i ponownie zwrócił się w stronę Rougów.

- O, szlachetni - powiedział. - Czujemy się przytłoczeni ogromem waszej łaski. W rzeczy samej, nieomal brak nam słów, aby wyrazić głębię naszej wdzięczności, lecz mimo to, kilku z nas nalega, abyśmy ustalili, jaka jest przyczyna tak daleko idącego dobrodziejstwa, któremu musi przyświecać jakiś cel. Czy wolno nam spytać, jakie korzyści będzie mieć z tego wasz lud?

Przez moment czy dwa panowała cisza. Biegli Rougów zastygli w bezruchu, podobnie jak siedzący obok Kao Cziego Tumakri; młodzieniec pomyślał, że *duizhang* musiał się dopuścić wobec nich ciężkiej obrazy. Potem jednak jeden z obcych przemówił:

- Dostojny *duizhangu*, nie jesteśmy przyzwyczajeni do udzielania wyjaśnień, ponieważ jednak okoliczności są niezwykle, postaramy się rozwiać wasze wątpliwości. Jesteśmy starą rasą, tak starą, że świat V'Harant nie jest naszą pierwotną ojczyzną, a te ciała nie są fizyczną postacią, którą pierwotnie miał nasz gatunek. Kiedyś byliśmy nowicjuszami w sojuszu starożytnych ras, których mądrość i intelekt nawet dziś przytłaczają nas swoim ogromem. Rasy te wyginęły podczas gigantycznej, katastrofalnej wojny, poświęcając własne istnienie, by definitywnie pokonać straszliwego, bezlitosnego wroga. Ostatni spośród nich nałożyli na nas obowiązek nadzorowania tej części galaktyki i na przestrzeni eonów, jakie upłynęły od tamtej pory, od czasu do czasu zdarzało się nam podejmować kroki, by osłabić lub wyeliminować pewne siły, które stanowiły poważne zagrożenie dla galaktycznej cywilizacji.

Przez ostatnie dwadzieścia pięć tysięcy cykli - wedle ludzkiej rachuby czasu nieco ponad dziesięć tysięcy lat - panował tu relatywny spokój, teraz jednak Hegemonia Sendrukańska, niestety, robi wszystko, by ów spokój dobiegł końca. Jej bliski sojusznik, Jedność Brolturańska, spiera się aktualnie z nacjami Erenatu o to, kto kontroluje większą część strefy głębinowej Huvuun, w obrębie której leży Darien. Jeśli Brolturanom uda się sprowokować Erenat do działań zbrojnych, będzie to uzasadnieniem dla interwencji Hegemonii, która wkroczy do akcji z przeważającymi siłami; konflikt, jaki wybuchłby w efekcie, objąłby wszystkie nacje Erenatu i mogliby się weń włączyć Milybi, a może nawet Indromowie. Byłaby to wojna międzygwiazdowa na przerażającą skalę. Odkrycie zaginionej kolonii na Darienie w zasadniczym stopniu zmieniło równowagę sił. Sprawa ta bezpośrednio dotyczy Ludzi, co oznacza, że zaangażowana w nią jest także Ziemia, a więc siłą rzeczy również i federacja Ziemiosfery. Aranja Tesh już przypatrują się uważnie strategiom Hegemonii, podobnie jak Solidarność Indroma, a ta sytuacja tylko zwiększy ich zainteresowanie. Kiedy zaś wyjdzie na jaw, że żyjący jeszcze członkowie drugiej zaginionej kolonii Ludzi mają się osiedlić na Darienie po tym, jak ocalono ich z niewoli pod okrutnymi rządami sendrukańskiego monoklanu, Hegemonia będzie zmuszona ukarać Oko Słońca pod groźbą utraty wizerunku. Kolonia na Darienie wzbudzi zbyt powszechną sympatię i uwagę mediów, aby Hegemonia zaryzykowała wprowadzenie w życie swego planu, zawiesi go zatem na nieokreślony czas. Liczymy, że w tym czasie rozsądniejsze umysły zyskają przewagę i dokonają zmiany pewnych strategii.

Kang Lo znów wdał się w rozmowę ze swoimi doradcami oraz przywódcami starszyny i na wyczucie Kao Cziego wydawał się nie do końca uszczęśliwiony. Zanim jednakże naradzający się osiągnęli konsensus, spośród reszty publiczności wstał drobny staruszek, łysy i wsparty na lasce. Miał gniewną minę. Był to pradziadek Wu, niegdyś zastępca jednego z wcześniejszych *duizhangów* i ojciec innego, i jeden z garstki żyjących jeszcze członków gromady, którzy pamiętali Pyre. Słyszał także z niewyparzonego języka.

- *Duizhangu*, czemuż tak zwlekacie, he? - zagadnął. - Wszyscy tu obecni pragną jak najszybciej ujrzeć początek czegoś dobrego dla nas wszystkich; prosimy, pośpieszcie się.

- Wielce szacowny Wu - odezwał się jeden ze starszych, Tan Hua. - Jest kilka wątpliwości, które należy rozstrzygnąć. Zachowaj spokój, wszystko potoczy się jak należy.

Jego protekcjonalny ton wprawił Wu w furję.

- Zachować spokój! Wahacie się i sprzecacie o drobnostki, podczas gdy cenny dar czeka na zaakceptowanie, i oczekujecie, byśmy zachowali spokój? - Rozejrzał się. - Nie wiem, jak pozostali tu obecni, ale ja tęsknię za tym, by jeszcze raz poczuć pod stopami twardą

ziemię i uczciwą trawę, zanim umrę! Dostojny Kangu Lo, nie słuchaj popiskiwań tego *hsiao jena*. Musimy zaakceptować ofertę szlchetnych Rougów, a obecny tu młody Kao Czi musi niezwłocznie wyruszyć w podróż na Dariena!

Ze wszystkich stron dobiegły popierające go głosy, a zebrani skinęli głowami. Wybuchła ostra wymiana zdań między jednym z przedstawicieli starszyny, popierającym to, co powiedział Tan Hua, a kimś siedzącym z przodu, kogo tłum zaczął żywo zachęcać do kontynuowania sprzeczki. Zanim na sali zawrzało jeszcze bardziej, a kłócący się porzucili wszelkie pozory grzeczności, Kang Lo dwukrotnie klasnął głośno w dłonie i krzyknął:

- Dosyć!

Wszyscy zamilkli, a ci, którzy zdążyli się zerwać na nogi, usiedli z zawstydzonymi minami. Ciskając wzrokiem gromy, *duizhang* zwrócił się w stronę Rougów.

- O, szlchetni, mimo wątpliwości, jakie mają niektórzy spośród nas, jest najzupełniej jasne, że zgodnie z wolą starszyny Gromady Ludzi winniśmy zaakceptować waszą jakże szczerą propozycję. Zgodnie z waszym życzeniem, zadbam o to, by wszystkie warunki zostały spełnione. - Odwrócił głowę i spojrzał prosto na Kao Cziego. - Pilocie Kao, wystąp.

Raz jeszcze znalazłszy się w centrum zainteresowania, Czi wstał i podszedł do *duizhanga*.

- Pilocie Kao, wezwano cię, byś został naszym emisariuszem, naszym reprezentantem, który stanie przed władzami kolonii Darien, w rzeczy samej przed wszystkimi naszymi braćmi i siostrami z ogromnej rodziny, jaką jest Ludzkość. Będiesz naszym głosem, naszą twarzą. Bądź honorowy i odważny, lecz nie niemądry. Wykorzystuj taktyki zarówno lisa, jak i lwa, w zależności od potrzeby. - Odwrócił się z powrotem do Rougów. - Szlchetni bieglu, kiedy powinien wyruszyć pilot Kao?

- W ciągu godziny, dostojny *duizhangu*. W czasie, gdy rozmawialiśmy, przygotowano statek zwiadowczy, który już leci tutaj z Agmedra'a.

- Dobrze zatem. Pilocie Kao, mój oficer techniczny przygotowuje chip z danymi, zawierający pliki dokumentujące wszystkie przeciwności, jakie musiał znieść nasz lud, a także osobiste pozdrowienie ode mnie. Niechaj duchy naszych przodków chronią cię i wspierają podczas twojej misji. A teraz, chłopcze, zostało ci niewiele czasu, więc spędź go z rodziną.

Nigdy jeszcze nie przeżył równie gorączkowych sześćdziesięciu minut. Jedząc na stojąco posiłek i próbując spakować nieduży zapas ubrań i osobistych rzeczy, równocześnie starał się uspokoić swoją matkę, że nie, w hiperprzestrzeni jest najzupełniej bezpiecznie, i

owszem, będzie ostrożny i czujny w uczęszczanych miejscach, i tak, będzie się trzymał w pobliżu swego rougskiego towarzysza.

Jego ojciec szybko położył kres tym uspokajającym zapewnieniom, stwierdzając, że Czi nie jest już dzieckiem, tylko mężczyzną, i powierzono mu ważne zadanie, więc nie ma co się nad nim trząść. Tymczasem starszy brat Cziego, Feng, wymyślał i odgrywał na migi różne absurdalne wyczyny i niebezpieczeństwa, co oczywiście jeszcze nasiliło obawy matki. Dla odmiany młodsza siostra, Ti, co chwila wybuchała płaczem. Jakby tego wszystkiego było mało, inni krewni oraz przyjaciele rodziny przychodzili go pożegnać, a zanim wyszli, zostawali na chwileczkę, żeby poczęstować się brzoskwinowym winiakiem Kao Hsiena.

Potem nagle zostało mu mniej niż piętnaście minut czasu na to, żeby chwycić kurtkę oraz torbę i ruszyć prędko przez tunele i komory do starego hangaru załadunkowego, w pośpiechu machając do innych mijanych po drodze znajomych i pozdrawiając ich. Myśli kłębiły mu się w głowie, gdy na wpół szedł, na wpół biegł, myśli o ich statku, o celu podróży, o wszystkich nieznanym światach i istotach, które czekały na niego w olbrzymiej czarnej dali. Reszta jego rodziny właśnie go doganiała, gdy wkroczył do wielkiej owalnej przestrzeni hangaru i ujrzał Kanga Lo oraz trzech Rougów, którzy czekali po prawej, przy końcu chodnika ciągnącego się wzdłuż doków. W pobliżu, w zniszczonych, poobijanych ramionach kołyski postojowej spoczywał lśniący metalicznie szary statek mniej więcej trzydziestometrowej długości. Gondole jego głównego napędu wystawały z łukowato wygiętych skrzydeł, naśladujących kształtem wzniesiony, zakrzywiony dziób i nadbudówkę.

Nadszedł moment definitywnego pożegnania, padły ostatnie słowa otuchy oraz życzenia szerokiej drogi, jak również płaczliwe prośby matki, żeby uważał na siebie. Ojciec dał mu jadeitowy wisior w kształcie psa Fo, stary talizman przynoszący szczęście, ponoć przywieziony jeszcze z Ziemi, po czym szybko, mocno uściskał syna i zaraz potem odwrócił się, żeby wydmuchać nos. *Duizhang* Kang Lo wręczył mu mały czerwony woreczek zawierający chip z danymi oraz zwój opatrzony wstążkami i pieczęciami - była to deklaracja mianująca Kao Cziego posłem występującym w imieniu wszystkich kolonistów z Pyre. Czi i Tumakri pokłonili się Kangowi Lo oraz rougskim biegłym, po czym razem wspięli się na długi pomost prowadzący aż do wjazdu umieszczonego w górnej części kadłuba statku. Dopiero teraz myśli Cziego zaczęły zwalniać, koncentrując się na minutach, godzinach, dniach, które miały nadejść, i na stopniowo docierającej doń świadomości, że oto opuszcza układ Rougów, niewykluczone, że już na zawsze, ruszając w przestrzeń ku wielkiej przygodzie, o jakiej marzy każdy młodzieniec.

- Szlachetny Tumakri, co sądzisz o naszym pięknym statku? - zapytał, gdy złazili do

wnętrza, gdzie lampki oświetlały ciasną przestrzeń.

- To henkayański dwumiejscowiec, pilocie Kao, szybki statek kurierski klasy Shobrulig wyposażony w krzyżowe tarcze fraktalne, pełnozakresowe silniki rakietowe i hipernapęd zdolny do podróży przez pierwszy poziom hiperprzestrzeni...

W środku Czi zobaczył ściany wąskiego korytarza, akurat takiej wysokości, by jego towarzysz mógł się tam swobodnie wyprostować. Wewnętrzna ściana była usiana niszami, kłapkami na zawiasach, półkami i rozkładanymi stojakami na sprzęt, a w jej dolnej części były wbudowane dwie długie prycze. Kao Czi rzucił swoją torbę na niższe łóżko i ruszył ku dziobowi za Rougiem, który kontynuował wypowiedź.

- ...ma jednak nowy podzespół środowiskowy oraz wystarczająco dużo podstawowych zapasów, aby wystarczyło nam pożywienia na maksymalny szacowany okres podróży, to jest, na sześć dni. Ach, i z tego, co mi wiadomo, henkayańska nazwa tego pojazdu tłumaczy się jako *Kasztelan*, a choć nie jesteśmy uzbrojeni, to mamy pewne zabezpieczenia zapobiegające wyśledzeniu...

Jego głos ścichł, a głowa lekko się pochyliła. Obaj byli już przypięci do foteli w kokpicie, a z zewnątrz dobiegło dudnienie, świadczące o tym, że masywne wewnętrzne drzwi właśnie się zamykają, odcinając dok od zewnętrznej części hangaru. Jęk serwowatorów, a potem głucho uderzenie i syk były sygnałem, że właz za ich plecami się zamknął.

- Przyjmij przeprosiny, pilocie Kao - powiedział Roug przygnębionym głosem. - Muszę wyznać, że odczuwam niejakie obawy w związku z czekającym nas zadaniem.

Kao Czi popatrzył na niego.

- Nie jestem pewny, czy dobrze cię zrozumiałem, o szlachetny Tumakri; latałeś wcześniej takimi statkami, czyż nie?

- Och, tak, moja ocena statku wypadła więcej niżli satysfakcjonująco. Po prostu nigdy wcześniej nie podróżowałem poza granice naszego układu, a informacje, które otrzymałem, sugerują, że nasza podróż może obfitować w niebezpieczeństwa.

- Jakiego rodzaju niebezpieczeństwa?

- W związku z tajnym charakterem naszej misji nie możemy się zatrzymywać w głównych hiperportach. Sendrukańscy agenci oraz maszyny czujnie wypatrują wszelkich istot przypominających Ludzi, nawet obecność Rouga może wzbudzić podejrzenia, stąd też autoryzowane szlaki hiperprzestrzenne są dla nas zamknięte, a to oznacza, że będziemy musieli korzystać z nielegalnych portów i kupować schematy kursów od nielicencjonowanych handlarzy. Otrzymałem parę szczegółowych przewodników po Galaktyce oraz kilka nanotranslatorów, jak również personalia zaufanych pośredników, którym powiedziano, że

mają nas oczekiwać. Nasz pokładowy nawiprocessor zawiera już współrzędne pierwszego celu na naszej trasie, a autopilot wyprowadzi nas z układu. Należy mieć nadzieję, że to wszystko wystarczy, by zapewnić nam bezpieczeństwo.

Rozległ się ryk, gdy otworzyły się zewnętrzne wrota hangaru i powietrze trysnęło w próżnię bladym pióropuszem błyskawicznie zamrożonej pary wodnej. Nastąpił lekki wstrząs, a potem pojawiło się odczucie ruchu, przyśpieszenie, które wgniotło Kao Cziego w fotel, gdy statek zwiadowczy *Kasztelan* wystrzelił z wielkiej, nieregularnej masy *Retrybutora*. Kilka sekund później ożyły silniki manewrowe, posyłając ich po płaskiej trajektorii w kierunku przeciwnym do V'Haranta. Gdy już znajdują się w odpowiedniej odległości od gazowego olbrzyma, systemy statku uaktywnią hipernapęd, ciskając ich w głąb wielopoziomego kontinuum hiperprzestrzeni.

- Cóż, Tumakri - odezwał się Kao Czi z wymuszoną wesołością. - To w jakim porcie czeka nas pierwszy postój?

Roug wyjął z sakiewki przy pasie nieduży owalny dokumenter i odczytał z ekranu:

- Czarne Gniazdo: nielegalna stacja tranzytowa, zajmująca się handlem zakazanymi towarami oraz dająca schronienie różnym wyjętym spod prawa typom, piratom i innym przestępcom. Znajduje się w obrębie strefy głębinowej Qargol, tuż poza granicami Erdindeso, i mamy tam... bez przerwy zachowywać najwyższą ostrożność.

- Ach tak, standardowa procedura operacyjna - powiedział beztróskim tonem Kao Czi, ignorując graniczące z paniką zdenerwowanie, którym wprost emanował Roug. - Nie ma się czym martwić; kiedy już dotrzemy do tego Czarnego Gniazda, pewnie nawet nie będziemy musieli opuszczać statku. Myślę, że człowiek, z którym skontaktowali się twoi pobratymcy, będzie miał wszystko naszykowane. Po prostu siądź wygodnie i odpręż się...

A ja postaram się nie myśleć o tym, co mi niedawno powiedziała ciotka Mei..., pomyślał.

Niecałą godzinę wcześniej, w domu rodziców, dojadał właśnie miseczkę ryżu z warzywami i wyciągał ze skrzyni starą podróżną torbę, kiedy czyjś palec dźgnął go w ramię. Palec ów należał do starej ciotki Mei, która przypatrywała mu się drapieźnie czarnymi oczami.

- Słyszałam, że ten stary dureń Wu wstał i opierniczył Tan Huę przy wszystkich, czy to prawda?

- Jak najbardziej, ciociu, i był to ciekawy widok...

Ku jego zaskoczeniu surowa, pomarszczona twarz staruszki wykrzywiła się w rozradowanym, szczerbatym uśmiechu.

- He, on zawsze tyle wie, ten stary Wu, że jedyne, co potrafi, to być mądrym głupcem! -
Potem spoważniała. - A jak ty się czujesz, chłopcze? Boisz się?

- Cieszę się, ciociu! To wielka przygoda...

- Przygoda, ha! Młodzi nigdy nie umieją objąć wzrokiem całej drogi, jaka się przed nimi rozciąga, więc radośnie biegają naprzód. Ale nie wiesz wystarczająco dużo, żeby się bać, a to czyni cię młodym głupcem. - Złapała go za ramię, przyciągając bliżej do siebie. - Posłuchaj mnie, chłopcze: czeka cię ból, cierpienia i rany, jakich nigdy jeszcze nie doznałeś. Musisz walczyć i zabić je, inaczej cię pożrą, niczym głodne rzeczne węże!

Odchylając się do tyłu na fotelu drugiego pilota, patrzył, jak złożona z sześciokątnych elementów osłona nasuwa się na przednią szybę kokpitu - szykowali się do skoku w hiperprzestrzeń.

Jego pierwszego skoku w hiperprzestrzeń.

Zacisnął ręce na podłokietnikach. No cóż, ciociu Mei, może wtedy się nie bałem, ale bądź pewna, że teraz i owszem!

Kao Czi

Widziany z kosmosu, przestępczy port Czarne Gniazdo kojarzył się nieco z plątaniną jelit - układem pokarmowym jakiegoś olbrzymiego, groteskowego monstrum. Wewnątrz przypominających pajęczę sieci metalowych rusztowań tkwiły srebrne, szare i niebieskie elastyczne rury korytarzy, rozbiegające się we wszystkie strony zwojami i falami, łączące ze sobą wielościennie moduły różnych rozmiarów, wbudowane w te poplątane labirynty niczym nowotwory o geometrycznych kształtach. Pod chaotycznym nawarstwieniem nowszych elementów nadal dawało się rozróżnić bloki i cylindry pierwotnej stacji, a z największego konglomeratu wystawał spory ośrodek dokowania osadzony na przysadzistej wieży.

- Czy to tam zmierzamy? - zapytał Kao Czi, przypatrując się licznym pojazdom krążącym wokół tej konstrukcji, widocznym dzięki kamerze długodystansowej, i porównując to zagęszczenie ruchu z ruchem wokół rougskiej stacji orbitalnej, Agmedra'a.

Tumakri przypatrzył się z bliska wielobarwnym symbolom na małym ekranie swej konsoli i z wahaniem dotknął ciemnym, patykowatym palcem kilku spośród nich.

- Wygląda na to, że nie, pilocie Kao - odrzekł swym suchym głosem, przypominającym szelest papieru. - Początkowo tak było, ale obecnie skierowano nas do bocznego hangaru. Nasz synchsystem jest już w trakcie wytyczania nowej trasy.

Obejrzał się na Kao Czkiego, który uśmiechnął się i kiwnął głową.

- To brzmi rozsądnie; zdaje się, że wokół głównego węzła dokowania jest duży ruch - powiedział, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie, a zarazem rzeczowo.

Jakiś czas wcześniej, wkrótce po tym, jak opuścili hiperprzestrzeń w pobliżu Czarne Gniazda, Tumakri dał mu nanotranslator, paczkę nanobioreceptorów skonfigurowanych z myślą o Ludziach, mającą postać półprzezroczystej złotej pigułki. Pół godziny po jej połknięciu był w stanie rozumieć język Rougów i odpowiadać w nim, a do czasu, gdy nielegalny port znalazł się na optycznej, Czi mówił już po rougsku niemal biegle, przez co roztrzęsienie Tumakriego jeszcze bardziej rzucało mu się w oczy.

- Powiedz mi zatem, szlachetny Tumakri, kim jest pośrednik, z którym mamy się tutaj skontaktować?

- To niejaki Rup Avriqui, zaopatrzeniowiec z Voth; w notatkach, które mi dano, wyczytałem, że ma nie tylko dostarczyć nam współrzędne kursu, jaki obierzemy na następnym etapie naszej podróży, lecz także osobiście nam towarzyszyć. Wysłałem już do

niego trzy zapytania na częstotliwości wymienionej w naszym planie trasy, ale dotąd nie otrzymałem odpowiedzi. Nie wydaje mi się to normalne...

Kao Czi wzruszył ramionami.

- Może ich procedury w tych sprawach są inne, lub też obyczaj...

Przerwało mu krótkie staccato dzwonka dobiegające od strony panelu komunikacyjnego, a potem ciąg sylab, których intonacja wahała się od bezbarwnej, przez nosową, do przypominającej dźwięk fletu. Młodzieniec odniósł przelotne, irytujące wrażenie, że w jego umyśle zderzają się dźwięki i symbole, a potem nagle zaczął rozróżniać słowa Votha i rozumieć je. Większość z nich.

- ...raz jeszcze sprezentować moje egremintne przeprosiny za to opóźnienie pomrocznych komunikacji. Rozruchy między hałastra frakcjami są powodem, ale nasz mezugurid interes pozostaje aktualny. Jeśli to adresuje do szlachetnego Tumagriego i Gouszi, proszę o odpowiedź.

Kao Czi i Tumakri patrzyli na siebie przez sekundę, zanim ten drugi przemówił.

- Czy mamy zaszczyt rozmawiać z Rupem Avriqui?

- Tak jest, o jaśnie-oświeceni-klienci-nieźrównanego-pochodzenia.

- Czy masz...

Voth przerwał mu w pół słowa.

- O wybaczenie błagam, jaśnie oświecony, lecz niemądrze jest rozmawiać o ważnych sprawach na niezabezpieczonym kanale. Gdy już opuścicie statek, mój lugosywator dowiezie was obu bezpiecznie do mojej ładowni, gdzie kontynuować będziemy nasz dialog. Teraz zaś jestem zmuszony na krótko was pożegnać.

Kanał raptownie przełączył się z powrotem na nijaki, atonalny świergot trybu oczekiwania, a Tumakri zamrugał.

- Wygląda na to, że Avriqui spodziewa się zobaczyć nas obu, pilocie Kao.

- Zgadza się, przyjacielu Tumakri - odrzekł młodzieniec. - Jednakże nie da się ukryć, że z żadnej strony nie przypominam Rouga, a nie możemy ryzykować, że zostanę rozpoznany jako człowiek w miejscu takim jak to.

- Tak - odrzekł Tumakri, garbiąc się w fotelu. - A ja miałem nadzieję, że zdołam cię jakoś przekonać, byś zgodził się pójść na to spotkanie sam.

Nieco ubawiony Kao Czi pochylił się do przodu.

- W takim razie będziemy musieli się wysilić na kreatywność, a może nawet wzbić na wyżyny natchnienia. Jakie zapasowe ubrania zabrałeś?

- Standardowy, zróżnicowany zestaw obliczony na długą podróż - odrzekł Roug. - Ale

prawie nic z tego nie będzie na ciebie pasować.

- Nie szkodzi - odparł Kao Czi, wstając. - Liczą się szczegóły, więc będziemy musieli solidnie pogrzebać w szafkach na sprzęt.

Prawie godzinę później sieci chwytnicze wciągały szybki statek kurierski *Kasztelan* pomiędzy dwie większe jednostki przycumowane do wyposażonego w zawieszenie kardanowe kanału dokowania. Elastyczny rękaw rozłożył się jak harmonijka, żeby szczelnie przysssać się przypominającym usta wylotem wokół wjazdu. Po otwarciu tego ostatniego ujrzeli identyfikator miejsca postojowego, mający kształt graniastosłupa i uwiązany cienkim włóknem do haka na końcu liny, unoszący się w stanie nieważkości. Przelazłszy bez ciężenia przez brudny, połatany w wielu miejscach rękaw, a później wzdłuż kanału dokowania, przeciskając się obok różnego rodzaju pasażerów zdążających w obu kierunkach, Kao Czi i Tumakri w końcu znaleźli się w miejscu, które można było określić mianem holu. Roug miał na sobie sięgający kostek płaszcz z rękawami, zrobiony z jakiegoś cienkiego szarego materiału, obciskający jego ciało od szyi do pasa, podczas gdy Kao Czi zdecydował się włożyć awaryjny kombinezon chroniący przed skażeniami, ale bez hełmu. Głowę szczelnie owinał bandażami z apteczki, uważając jednakże, żeby nie zasłonić nałożonych wcześniej ciemnych, wielofasetkowych gogli.

A ponieważ informacje na temat trasy podróży, którymi dysponował Tumakri, ostrzegały, że Czarne Gniazdo jest miejscem pełnym zanieczyszczeń, obaj założyli też na twarze małe maski filtrujące powietrze. W przypadku Kao Cziego obrazu dopełniały grube rękawice oraz wysokie buty, i młodzieniec miał nadzieję, że takie przebranie wystarczy, by z powodzeniem udawać istotę niebędącą człowiekiem.

Przy wyjściu z holu znajdowały się trzy bramki obrotowe, a do każdej ciągnął się ogonek podróźnych, w większości dwu-, trzy- lub czworonożnych; Czi zaczął się zastanawiać, czy rozumne istoty pływające, pełzające oraz latające mają swoje własne obszary dokowania. Ogarnął ich gwar licznych rozmów, toczonych przy użyciu najróżniejszych treli, gwizdów i słów, a w powietrzu unosiła się bogata gama zapachów. W takim zgiełku nanotranslator Kao Cziego miał tendencje do zapadania w częściową hibernację, tłumacząc tylko wtedy, kiedy właściciel skupiał się na określonym głosie lub kiedy ktoś odzywał się w pobliżu, głośno i wyraźnie.

Bazując na swoich doświadczeniach z podobnymi procedurami w portach kosmicznych na Agmedra'a, młodzieniec przygotował się na długie czekanie. Wkrótce jednak stało się jasne, że nowo przybyli są pośpiesznie obsługiwani przez trzech zaaferowanych Henkayan w niebieskich uniformach z marszczoną tkaniną. Każdy z nich używał jednej pary krótkich rąk,

żeby omieść każdą formę życia czujnikiem o wachlarzowatym zakończeniu, a druga para zajmowała się formularzami i pobieraniem opłat.

Potem nadeszła ich kolej. Gdy pracownik przy bramce zaczął machać trzymanym w rękach czujnikiem wokół Tumakriego, rzucił okiem na identyfikator miejsca postojowego i powiedział:

- Małyłódź w sieci, opłata minimalna siedemdziesiąt keddro.

Tumakri wyciągnął smukłą czarną laseczkę kredytową, oprawioną w złoto.

- Możesz stąd pobrać należność - powiedział.

- Niedobra, niedobra - orzekł Henkayanin, energicznie kręcąc głową. - Sieć kredytransfer offline, wy musi płacić keddro teraz albo wracastatek.

- Ale to...

- Niedobra, niedobra! Żółte Pięści wkrótce tu być. Wy płaci teraz albo precz!

Tumakri zachwiał się i Kao Czi wyciągnął dłoń, żeby pomóc mu złapać równowagę.

- Co się stało? - spytał. - Nie mów mi, że nie zabrałeś gotówki.

- Owszem, mam ją, ale miała zostać wykorzystana na dalszych etapach naszej podróży.

- Jeśli mu teraz nie zapłacisz, nie będziemy mogli się spotkać z Avriqum i nie będzie żadnej dalszej podróży.

Wyraźnie niezadowolony Tumakri pogrzebał w sakiewce u pasa i wręczył Henkayaninowi cztery błyszczące czarne trójkąty, z których trzy były inkrustowane złotem, jeden zaś karminową czerwienią. Ich identyfikator miejsca postojowego został oznakowany dziwnym, pełnym zakrętasów wzorem, następnie zaś pracownik obsługi portu sprezentował każdemu z nich niebieską plastikową plakietkę z wytłoczonym rzędem symboli i śpiesznie wskazał im drogę w głąb stacji Czarne Gniazdo.

Podłoga korytarza była wyłożona obskurną, szarą, pofałdowaną wykładziną, podobnie jak sufit, który pełnił również funkcję podłogi. Przedstawiciele rozmaitych rozumnych ras przepychali się na biegnącym wzdłuż niego chodniku z grawi płytek, przy czym większość, jak zauważył Kao Czi, śpieszyła w tym samym kierunku. Potem, na jego oczach, kilka postaci w żółtych szatach wyskoczyło z tego strumienia pieszych, jak gdyby postanowiły zbiorowo zanurkować w dół. Obsługa bramek zaczęła krzyczeć w przerażeniu: „Żółte Pięści! Żółte Pięści!”, i wtedy Kao Czi zobaczył przyczepione do uprząży liny, na których przybysze zjeżdżali, by wylądować niezgrabnie tuż przed wejściem do hali przylotów. Zrywając się z powrotem na nogi/łapy/kopyta, natychmiast wyciągnęli pistolety o lufach zakończonych wąskimi otworami i zamachali nimi groźnie w stronę pracowników przy bramkach.

- Pora, byśmy się stąd wynieśli - powiedział Kao Czi, chwytając za rękę niemal

sparalizowanego Tumakriego i ciągnąc go wzdłuż korytarza, który zdążył już częściowo opustoszeć.

Zaledwie dotarli do najbliższego zakrętu, w pobliżu rozległ się dziwny, brzękliwy głos:

- Panowie Gouczi i Tumagri?... Tu, w górze, za pozwoleniem waszych miłości.

Kao Czi podniósł wzrok i zobaczył pudełkowaty żółty wózek na sześciu grubych kołach, wyposażony w teleskopowy pręt zakończony pękiem błyszczących soczewek, obecnie skierowanych w dół, ku niemu.

- Zgadza się - odrzekł ostrożnie młodzieniec. - A ty jesteś...?

- Jestem lugosywator numer dwa należący do pana Avriquiego i mam was niezwłocznie zabrać do jego ładowni. Jeśli przejdziecie na boczny chodnik i dołączycie do mnie, możemy zaraz ruszać w drogę.

Ramię z soczewkami wskazało pas szarej wykładziny oddzielający się od głównego korytarza, przecinający niszę i biegnący w górę ściany, by dołączyć do chodnika nad ich głowami. Kao Czi bez wahania wstąpił na to odgałęzienie. Poczuł lekkie huśtanie w żołądku, gdy jego błędnik dostosowywał się do wchodzenia po ścianie, a później na szlak sufitowy. Za jego plecami Tumakri jęknął, przytrzymując się ścian niszy, ale dzielnie podążył w jego ślady. Żółty wózek miał siedzenia, umieszczone pod przezroczystą kopułą osłony. Po obu jego stronach otwarły się elastyczne drzwiczki i chwilę później obaj podróżni już siedzieli przypięci pasami w fotelach anatomicznych, twarzami do siebie, a pojazd ruszył, oddalając się szybko od scen chaosu rozgrywających się z tyłu.

- Pragnę złożyć przeprosiny za nieprzestrzeganie zasad dobrego wychowania - powiedział lugosywator. - Pan Avriqui zamierzał was powitać osobiście, lecz doniesienia o mających wybuchnąć lada chwila zamieszkach sprawiły, że został w domu.

- Czy takie incydenty są tutaj czymś normalnym? - zapytał Tumakri.

- Nie, panie Tumagri, ale niestety, Czarne Gniazdo właśnie doświadcza jednego ze swych okresowych wybuchów rywalizacji między klanami, kiedy to źródła przychodów, takie jak bramki kontroli celnej, zyskują status strategicznych trofeów, które mogą być bronione oraz zdobywane siłą.

- Fascynujące - stwierdził Kao Czi. - A co ze statkami stojącymi w porcie? Czy one również są traktowane jak trofea?

- Statki zacumowane w porcie są nietykalne, panie Gouczi - odrzekł wózek. - Jednakże, zgodnie z obyczajem, w takich okresach można bezkarnie polować na pasażerów należących do niektórych kategorii.

Kao Czi i Tumakri wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Czy zaliczilibyśmy się do takiej kategorii? - zapytał młodzieniec.

- Owszem: przybyliście własnym statkiem, bez osobistej ochrony i bez glejtu. Wypatrywacze danych na pewno już rozesłali wasze profile kilku przywódcom gangów...

Tumakri zgarbił się w fotelu.

- ...dlatego też mam tutaj glejty dla was, podpisane przez pana Avriquiego. - Z czarnego panelu pod przednią szybą wysunęła się cienka tacka. Leżały na niej dwa dokumenty, złożone arkusze jasnoniebieskiego plasu o wyraźnej fakturze, z nadrukowanymi liniami tekstu w kupieckim języku tralesk. Pod spodem widniał pełen zawijasów ideogram nakreślony podwójną linią, który - jak uznał Kao Czi - musiał być podpisem Avriquiego.

- Kiedy dotrzemy do ładowni pana Avriquiego? - zapytał młodzieniec.

- Niedługo przybędziemy na miejsce - odrzekł wózek. - Z następnego skrzyżowania ruszymy żyłoidą w stronę fabryki rur, a stamtąd już będzie niedaleko do celu naszej podróży.

Kao Czi kiwnął głową i wyjrzał na zewnątrz, gdzie w korytarzu wrzał ruch. Tu, z dala od hali przylotów, która właśnie stała się przedmiotem zbrojnego konfliktu, stacja wyglądała już z grubsza tak, jak się spodziewał; otwierające się wzdłuż korytarzy łuki i wrota ukazywały kramy, kioski oraz maleńkie warsztaty, wokół których trwał szum gorączkowej aktywności; przeróżne stwory oraz rozumne istoty z najdalszych zakątków galaktyki tłoczyły się i przepychały. Sześcionożny Bargalil o czerwono-czarnym futrze gestykulował małym przedramieniem w stronę Gomedranina sprzedającego świecące rurki i bańki, nieopodal zaś gadziokształtny, dwunożny Kiskashińczyk przyodziany w skórzany płaszcz z kapturem pilnował straganu, gdzie pęki zaśnieżonych fajek dymiły wśród zwiewnych firan i błyszczących ozdóbek. Muskularny Henkayanin grzebał wszystkimi czterema rękami w pudełkach z częściami od urządzeń, oglądając znaleziska za pomocą skanera umocowanego do opaski czołowej. Po drugiej stronie straganu stary, poobijany mech w kształcie postawionych na sztorc hantli robił to samo za pomocą mikropól, unosząc się na suspensorach.

Odprężywszy się nieco, Kao Czi pozwolił sobie na uśmiech, chłonąc widzianą z góry panoramę, podczas gdy lugosywator Avriquiego toczył się po sufitowym chodniku w wysokim korytarzu. Sklepy, tudzież stragany, ciągnęły się w nieskończoność i młodzieniec zaczął się zastanawiać, czy większa część Czarnego Gniazda wygląda właśnie tak. Ujrzał dwóch Gomedran targujących się zawzięcie z naszburskim handlarzem bronią, którego ciało do połowy kryła skorupa; przypominającego ośmiornicę Makhoriego, który zimno przypatrywał się przechodniom z głębi półprzezroczystego pojemnika; Vusarka o długim ciele, wspartego na metalowym rusztowaniu, rytmicznie przebierającego licznymi parami

odnóży.

Oraz parę świdrujących oczu w małej, zakończonej ryjkiem twarzy, które przez sekundę wpatrywały się wprost w niego i zaraz odwróciły wzrok. Kao Czi w ułamku chwili zdążył dostrzec kaptur kryjący głowę obserwatora, zanim stworzenie zniknęło w bocznym korytarzu. Młodzieniec miał już o tym wspomnieć, gdy inteligentny wózek przemówił.

- Za pozwoleniem waszych miłości, mój pan pragnie się z wami skomunikować.

W przedniej szybie wózka pojawił się półprzejrysty panel i szybko ściemniał do obrazu pokazującego wygodny, opatrzone wysokim oparciem fotel z drewna i skóry, w którym siedział ich przewodnik oraz przyszły towarzysz podróży, Rup Avriqui. Za nim rysowały się jaśniejsze płaszczyzny oraz cienie słabo oświetlonego pokoju. Rup Avriqui należał do przysadzistej, dwunożnej rasy Vothów, trochę przypominającej żyjący na Ziemi gatunek człekokształtnych małp zwanych orangutanami. Yothowie mieli długie ręce, ale też szersze torsy, krótsze nogi, większe uszy oraz bardziej płaskie twarze. Cechowało ich też zamiłowanie do obszernych ubrań, maskujących kształt sylwetki - Avriqui był spowity w liczne warstwy odzieży, jedne drobno tkane i pokryte misternymi wzorami, inne szorstkie i pozbawione ozdób, na głowie miał zaś dziwną czapkę z pikowanej tkaniny, gęsto naszywanej koralikami i maleńkimi lusterkami.

- Ach, jak najbardziej aktualny jest nasz interes, szlachetni goście, i ze wszech miar efektywne me przygotowania. Już wkrótce będziemy rozprawiać o palącym zagadnieniu waszej misji oraz o mej roli w jej przebiegu.

- Prosimy przyjąć nasze podziękowania za glejty - powiedział Tumakri. - Gwarancja bezpieczeństwa to dar, który oświetla nam drogę.

- Cieszę się, że mogłem zapobiec nieszczęściom, jakie mogłyby wyniknąć z trwających aktualnie rozruchów - rzekł Voth. - Wypada jednak, bym wyznał, iż byłem zmuszony w rubryce gatunku, do którego należy pan Gouczi, wpisać „Roug”, aby móc wysłać glejty moim lugosywatorem. Obecnie widzę na własne oczy, jak również na podstawie profili, które dotarły do mnie zaledwie przed chwilą, że pan Gouczi nie jest przedstawicielem dostojnej i starożytnej rasy Rougów. - Przymrużone ślepie omiotły wzrokiem Kao Cziego. - Ludzie nie są tu, niestety, lubiani, stąd na każdym kroku czyha na pana niebezpieczeństwo. Szczęśliwie już wkrótce obaj znajdziecie się w mej ładowni i będę mógł zmodyfikować glejty... a co to za hałasy?

Słyszalne w tle ciche stukanie raptem przerodziło się w głośny łomot. Mamrocząc gniewnie, Voth dźwignął się z fotela i zniknął z pola widzenia, a jego szurające kroki przycichły w oddali. Przez moment na ekranie panowała cisza, potem zabrzmiał okrzyk, a

następnie odgłos biegnących stóp. Rup Avriqui wpadł w zasięg widkamery; z przekrzywioną czapką i wytrzeszczonymi w panice oczami rzucił się ku kontrolkom umieszczonym obok niej.

- Alarm dziewięć, alarm dziewięć! - wykrzyczał, rozpaczliwie skrobiąc kielbaskowatymi palcami panel, a zaraz potem dwie dłonie - jedna metalowa, druga normalna - chwyciły go za ramię i odciągnęły mimo jego wrzasków. Potem ekran na sekundę zmętniał, następnie zaś rozmył się do przezroczystości.

Kao Czi i Tumakri zagapili się na siebie nawzajem w zgrozie, po czym śpiesznie przytrzymali się foteli, bo wózek gwałtownie zahamował w połowie wysokości korytarza.

- Pasażerowie muszą się niezwłocznie ewakuować - oznajmił pojazd, a jego boki otwarły się na oścież. - Niech wasze miłości przyjmą najgłębsze przeprosiny za potraktowanie w ten niewybaczalny sposób, ale włamano się do ładowni Avriquiego, w związku z czym niniejsze urządzenie nie jest w stanie dłużej gwarantować wam bezpieczeństwa.

- Ale... ale co mamy robić? - zapytał Tumakri drżącym głosem.

- Powrót na statek jest najbezpieczniejszą opcją - najbezpieczniejszą opcją - bezpieczniejszą... prosimy wrócić na miejsca nie ma zagrożenia wkrótce dotrzemy do jednostki mieszkalnej trzon dziewięć promień dwanaście...

Walcząc z przypiływem paniki, Kao Czi skoczył na równe nogi i odciągnął Tumakriego od poddanego obcej kontroli lugosywatora.

- On miał rację - powiedział. - Musimy się dostać z powrotem na statek!

- ...tak - zgodził się Roug. - Tak, musimy!

Potem strząsnął z siebie rękę towarzysza i rzucił się sprintem na łeb, na szyję z powrotem w kierunku, z którego przybyli. Zdumiony Kao Czi ruszył za nim, ale mający dłuższe nogi Tumakri wkrótce wysforował się daleko do przodu. Zwinnie wymijał stragany oraz grupki istot, ignorując okrzyki Kao Cziego, by zwolnić. Był tak skupiony na dotarciu do celu, że nie zauważył wypadającej z bocznego korytarza bandy Gomedran o futrzastych ryjach, póki nie było za późno.

Młodzieniec spostrzegł zasadzkę, wykrzyknął imię Tumakriego... a w następnej sekundzie poczuł, że coś oplątuje mu nogi, i runął naprzód, padając z impetem jak długi.

- Związać go! - rozległ się gardłowy głos.

Na wpół oszołomiony, Kao Czi bezskutecznie usiłował się wywinąć z szorstkich rąk, które skrępowały mu nadgarstki i zakneblowały usta.

- Hołota Czarnozębych ucieka z tym drugim - odezwał się inny głos, nosowy i

zgrzytliwy.

- W takim razie uczyńcie go bezwartościowym - odparł ten pierwszy.

Przerażony Kao Czi próbował krzyknąć przez knebel, szamocząc się w rękach porywaczy. Osiągnął tylko tyle, że postawiono go na nogi akurat w momencie, gdy zakuty w zbroję Bargalil uniósł heksakuszę i wystrzelił trzy bełty. Zabrzmiał wysoki, urwany okrzyk i Kao Czi już wiedział, ze straszliwą pewnością, że Tumakri nie żyje.

- Zaworkujcie tego tu i odnieście go do naszego nowego gniazda!

Na jego głowę opadł śmierdzący olej silnikowy z kaptur z tkaniny i Kao Czi, pochwycony wpół przez silne ręce, został zabrany w nieznanym kierunku, pozbawiony przyjaciół, niemogący wydać dźwięku i otulony mrokiem.

Robert

Nienawidził spóźniać się na spotkania, nienawidził być zdyszany, czuć się spocony i brudny, ale czasem pozostawało jedynie zaakceptować sytuację i przejść do ważniejszych spraw.

- Proszę, przyjmijcie państwo moje najserdeczniejsze przeprosiny - oznajmił, wchodząc do prywatnej sali konferencyjnej prezydenta; było to pomieszczenie o niskim suficie i zielonych ścianach z wyraźną fakturą. - Próby skomunikowania się z moim rządem dziś w nocy przebiegały niezmiernie powoli.

- To najzupełniej zrozumiałe, ambasadorze Horst - odrzekł Sundstrom. - Teraz jednak możemy kontynuować; zakładam, że rozpoznaje pan wszystkich obecnych?

Wokół dużego owalnego stołu siedziało siedem osób, wliczając Roberta: Sundstrom; wiceprezydent Jardine; szef wywiadu, Witalij Piatkow; Teodor Karlsson, doradca prezydenta; generał Morag Soutar, naczelny dowódca Ochotniczego Korpusu Dariena; wreszcie szósty z obecnych, mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciemny, prostego kroju garnitur. Robert nie mógł sobie przypomnieć nazwiska tego człowieka, póki Harry nie pojawił się w pobliżu i nie powiedział:

- Edvar Storlusson, burmistrz Trondu i nieoficjalny pełnomocnik Sundstroma w Północnych Miastach.

Robert uśmiechnął się i skinął głową, po części Harry'emu, ale przede wszystkim zgromadzonym.

- Tak jest, panie prezydencie.

- W porządku, zanim więc zaczniemy omawiać to straszne zdarzenie, chciałbym, abyśmy wszyscy zapoznali się z najnowszymi raportami. Zaczniemy od ciebie, Witaliju. Opowiedz nam o Wysokim Obserwatorze i jego współpracownikach, a potem o tym, co udało ci się odkryć w toku śledztwa.

Sundstrom odchylił się do tyłu na wózk; wyglądał na zmęczonego, ale zarazem, jak pomyślał Robert, wściekłość i oburzenie, które prezydent wyraził podczas widorędzia oglądanego ubiegłej nocy przez całą kolonię, ewidentnie dodawały mu sił. Ten człowiek zwerbalizował swe palące potępienie wobec próby zamachu we frazach o takiej lirycznej sile wyrazu i wypowiedzianych tak mistrzowsko, że Robert umiał sobie bez trudu wyobrazić, jaki Sundstrom musiał być w młodości, nim wypadek odebrał mu zdrowie.

- Wysoki Obserwator Kuros - powiedział szef wywiadu - jest zdrow i w pełni otrząsnął się już z szoku oraz przestachu spowodowanego atakiem. On i jego współpracownicy odprawiają dzisiaj prywatną ceremonię żałobną ku czci ich zamordowanego kolegi, asystenta Morilda. Gdy chodzi o sam atak, udało nam się ustalić, że strzelec otworzył ogień z gęstego lasu powyżej wykopalisk na Ramieniu Olbrzyma. Broń, za pomocą której dokonano morderstwa, to czterdziestoletni karabin „Ballantyne”, kaliber osiem i pół, zmodyfikowany do polowań na zwierzynę, z celownikiem teleskopowym piętnaście na pięćdziesiąt oraz profilowaną, specjalnie wyważoną drewnianą kolbą...

Zdjęcia broni już przechodziły z rąk do rąk, a generał Soutar nie omieszkała z miejsca ich skomentować.

- To praktycznie antyk - odezwała się tubalnym głosem. - Aye, i do tego kosztowny. Ale śmiercionośny w rękach snajpera; nieprawdaż, majorze Karlsson?

Zapadła krótka, lecz niezręczna cisza, po czym Karlsson uśmiechnął się bez śladu zakłopotania.

- Ma się rozumieć, strzelec przypuszczalnie miał świetne oko, pani generał. Doskonale radzi sobie również z poruszaniem się w lesie i podkradaniem, ale to potrafi większość myśliwych i traperów, którzy żyją na odległych terenach. Co mnie dziwi, to fakt, że porzucił broń; musi być świadom, że nieuchronnie dostarczy nam ona informacji.

- Staramy się teraz ustalić pochodzenie tego karabinu oraz personalia dotychczasowych właścicieli - wtrącił Piatkow. - Chociaż zabójca nie zostawił odcisków palców ani żadnych innych fizycznych śladów, wygnieciona trawa pozwala sądzić, że był przeciętnego wzrostu i raczej szczupłej budowy. Jeden z ochroniarzy Wysokiego Obserwatora pobrał próbki z kolby, żeby sprawdzić, czy zachowały się tam jakieś ślady DNA.

- Gdy chodzi o podejrzanych, zatrzymaliśmy pewną liczbę notowanych ekstremistów i wyrotowców, żeby ich przesłuchać, ale chociaż niektórzy deklarują, że są członkami FWD, żaden nie jest w stanie wskazać przywódców tej organizacji ani przedstawić spójnego streszczenia jej celów, poza garścią sloganów.

Sundstrom kiwnął głową.

- Wśród ogółu społeczeństwa występuje, i owszem, niepokój z powodu niektórych aspektów nowej sytuacji oraz jej konsekwencji - powiedział. - Ale bynajmniej nie ma poparcia dla przemocy i zabijania. Wszyscy, którzy dzwonili do mojego biura, jak również do biur wszystkich innych polityków, potępiali zamach, często w ostrych i niekoniecznie parlamentarnych słowach! Potępienie to obejmuje również moją decyzję, żeby odwołać obchody Dnia Zwycięstwa Założycieli, ale nie sposób zadowolić wszystkich.

Kilkoro spośród siedzących zaśmiało się bądź wymieniło znaczące uśmiechy. Robert się uśmiechnął.

- Niezmiernie krzepiąca jest świadomość, iż Kolonia Darien jednogłośnie potępia ten akt terroru - powiedział. - Bez względu na to, czy okaże się, że stała za nim ta cała Frakcja Wolny Darien, czy ktoś inny. - Zrobił pauzę. - Czy jakieś ugrupowanie już przyznało się do zamachu, panie prezydencie?

- Nikt - odrzekł Sundstrom. - Zupełnie jakby spodziewali się, że ten haniebny czyn zapoczątkuje powstanie, ale nic się nie stało.

- Jeszcze nie skończyli - powiedział pośpiesznie Karlsson. - Następny będzie gorszy.

- Musimy zadbać o to, żeby następnego nie było - stwierdził Sundstrom. - Hegemonia zajęła w tej kwestii twarde stanowisko.

- A więc rozmawiał pan w tej sprawie z Wysokim Obserwatorem Kurosem, panie prezydencie? - zapytał Robert.

- Nie, panie ambasadorze, ale nieformalne kanały komunikacji między nami a doradcami Wysokiego Obserwatora pozostają otwarte.

- Rozumiem.

Robert odsunął się od stołu, z namysłem gładząc się po brodzie. Harry, jego SI towarzysząca, wsparł łokcie o oparcie jego krzesła, nachylił się do ucha ambasadora i powiedział:

- Musisz im uświadomić, co ich czeka, jeśli dojdzie do dalszych ataków.

Robert nieznacznie skinął głową i wyprostował się, spoglądając na oczekujących Darińczyków.

- Przyjaciele, Hegemonia traktuje ataki na swoich urzędników naprawdę bardzo, bardzo poważnie; gdyby do tego zamachu doszło na terytorium Hegemonii, natychmiast wdrożyliby najsurowsze środki bezpieczeństwa. Godzina policyjna, konfiskata broni palnej, zakaz zgromadzeń publicznych, restrykcje oraz cenzura wszystkich mediów publicznych...

- To skandaliczne - powiedział Storlusson, burmistrz Trondu.

- Jeszcze nie skończyłem, proszę pana. Wprowadzono by inwigilację satelitarną oraz znakowanie chipami wszystkich pojazdów, a w razie konieczności także wszystkich cywili. Wszystkie kanały komunikacyjne byłyby pod nasłuchem, a urzędnicy szpiegujące wszelkiej maści i wszelkich rozmiarów stałyby się wszechobecne.

- Ale nie jesteśmy na terytorium Hegemonii - powiedział Piatkow.

- To prawda, ale Brolturanie zgłosili roszczenie do tego obszaru strefy głębinowej Huvuun, a przy tym dowiedziałem się właśnie, że wysłali na Dariena swego ambasadora na

pokładzie okrętu wojennego; pierwotnie miała to być korweta dyplomatyczna, ale informacje o wczorajszym ataku sprawiły, że zmienili podejście. Widzicie więc, że doprawdy jest w waszym interesie, byście pokazali Wysokiemu Obserwatorowi Kurosowi, że zamierzacie zapewnić bezpieczeństwo jemu i jego współpracownikom, równocześnie robiąc wszystko co w waszej mocy, żeby schwytać mordercę.

Pozostali słuchali z pełnymi niepokojami minami, a gdy skończył, wymienili spojrzenia, lecz oczy wszystkich na koniec zwróciły się ku Sundstromowi. Prezydent milczał przez kilka chwil, ze zmarszczonymi brwiami i wzrokiem wbitym w blat stołu, po którym raz po raz przesuwiał ołówek, obracając go w palcach.

Czy przesadziłem?, pomyślał Robert. Może odmalowałem zbyt ponury obraz?

- Wszystko to jest... pouczające, ambasadorze - stwierdził w końcu Sundstrom. - A jakie jest pańskie stanowisko w tej kwestii? Jakich rad może mi pan udzielić?

- Mój rząd w pełni popiera politykę Hegemonii, gdy chodzi o akty terroryzmu - odrzekł Robert. - Większość środków bezpieczeństwa, jakie opisałem, była w przeszłości wdrażana przez władze Ziemi sfery w odpowiedzi na ataki, jakich dokonywano w obrębie naszych granic. Moja rada dla was, zaaprobowana przez rząd, który reprezentuję, to abyście uprzedzili żądania Wysokiego Obserwatora, gdy chodzi o wprowadzenie podwyższonych środków bezpieczeństwa - zaofiarujcie oddział waszych najbardziej doborowych żołnierzy jako permanentną straż ambasady Hegemonii i jako eskortę, ilekroć Wysoki Obserwator lub którykolwiek z jego współpracowników będzie musiał opuścić teren ambasady. Rozważcie środki, które wymieniłem - zadbam, żeby później przesłano wam listę - i wprowadźcie w życie tyle spośród nich, ile się da.

- Nigdy nie uda się przekonać Północnych Miast, żeby zgodziły się na takie rzeczy, jak cenzura i konfiskata broni palnej - powiedział Storlusson. - Będą z tym walczyć ile sił.

Robert wzruszył ramionami.

- Więc przynajmniej zaproponujcie godzinę policyjną oraz ograniczenie zgromadzeń publicznych. Warto też, byście rozważyli tymczasowe ustawodawstwo wymierzone przeciwko działalności wywrotowej; to przekonałoby Sendrukan, że naprawdę zależy wam na jej ukróceniu.

Zabrzmiały podniesione głosy, ale Sundstrom uciął je gwałtownym skinieniem dłoni.

- Ambasadorze Horst - powiedział - chciałbym oficjalnie poprosić o jak najszybsze przysłanie tutaj wojsk Ziemi sfery, żeby dopomogły mojemu rządowi w utrzymaniu ładu i bezpieczeństwa.

- Przykro mi, panie prezydencie - odrzekł Robert. - Poinstruowano mnie, że aktualnie

nie wchodzi w grę to, by oddziały Ziemiafery zostały przysłane na pomoc kolonii. Rzecz w tym, że Brolturanie zinterpretowałyby takie posunięcie jako deklarację o przejęciu władzy, a Hegemonia skłaniałaby się ku analogicznej opinii.

- W takim razie, jakie konkretne wsparcie może nam pan zaoferować? - zapytał Piatkow.

- Trochę informacji, szkolenia dla jednostek policyjnych, ale broń czy wyposażenie wojskowe - to zostałyby potraktowane jak transfer technologii, który zgodnie z multilateralnymi układami jest ściśle zabroniony. Panie prezydencie, wiem, że z pozoru niewiele jestem w stanie pomóc, ale musicie uzbroić się w cierpliwość i spróbować pokazać Sendrukanom, że jesteście po ich stronie. W związku z tym stanowczo odradzam zwracanie się z prośbą o pomoc do przedstawicieli innych narodów czy bloków - Hegemonia oraz Brolturanie potraktowałyby to jako gest wrogości.

Wstał, rzucając okiem na wiszącą na ścianie duży owalny zegar.

- Teraz muszę się pożegnać; niedługo czeka mnie spotkanie z głównymi doradcami Wysokiego Obserwatora Kurosa, a później z pierwszym oficerem *Heraklesa*.

Pozostali również wstali, z wyjątkiem siedzącego na wózku prezydenta.

- Dziękuję za tak szczere wyjaśnienia w kwestii postawy, jaką zajmuje pana rząd, ambasadorze - powiedział Sundstrom. - Szczegółowo rozważymy pańskie spostrzeżenia oraz rady. Chciałbym się z panem ponownie skonsultować dziś po południu, jeśli to możliwe.

- Przekażę w sekretariacie, by oczekiwano na telefon od pana, panie prezydencie.

Złożył nieznaczny, uprzejmy ukłon w kierunku jednej i drugiej strony stołu, a potem opuścił salę konferencyjną, podążając w ślad za swoim osobistym asystentem do głównej windy, podczas gdy Harry raźnie dotrzymywał mu kroku.

- No cóż, nie możesz powiedzieć, że nie pozostawiłeś ich spragnionych dalszego ciągu - powiedziała SI, uśmiechając się beztrąsko.

Robert odczekał, aż znalazł się samotnie w zjeżdżającej windzie, i dopiero wtedy odpowiedział.

- Sytuacja jest poważna, Harry, a może się stać paskudna, jeśli Brolturanie dojdą do niewłaściwych wniosków...

Westchnął. Jedność Brolturańska, podobnie jak Ziemiafery, była bliskim sojusznikiem Hegemonii; jednakże fakt, że pierwotnie stanowili odgałęzienie społeczeństwa Sendrukan, jak również gotowość do funkcjonowania jako militarny pełnomocnik Hegemonii, dawały im status swego rodzaju faworyta, co potęgowało zarówno ich arogancję, jak i paranoję. Robert kilkakrotnie zetknął się już z brolturańskimi kapłanami oraz wojskowymi (pierwsze często

było równoznaczne z drugim) i wiedział, że trzeba się z nimi obchodzić jak z jajkiem.

- Nic by się nie stało, gdybyś im powiedział, że poprosiłeś Ziemię o przysłanie tutaj wojska.

Robert pokręcił głową.

- To by złagodziło cios. Chcę im brutalnie uświadomić, jak naprawdę wygląda sytuacja oraz nasza rola tutaj; nie mogą sobie pozwolić na żywienie złudzeń.

- Zgadza się, Robert - odrzekł Harry bez śladu ironii. - Nie możemy pozwolić, aby złudzenia przesłaniały ponurą rzeczywistość, absolutnie nie!

Zasepiony i zły na Horsta za jego odpowiedź, przechodził właśnie przez szeroki hol budynku Zgromadzenia Kolonii Darien, kierując się do wyjścia. Nad trzema parami ostrołukowych podwójnych drzwi umieszczono olbrzymią płaskorzeźbę przedstawiającą Pierwsze Rodziny, wykonaną z różnych gatunków drewna o starannie dobranych barwach. Już tylko kilka kroków dzieliło Teo od ulicy, kiedy dopędził go jeden z rządowych kurierów w lazurowym uniformie.

- Bardzo przepraszam, majorze Karlsson, ale prezydent pyta, czy może pana poprosić do centrum dyplomatycznego?

- A powiedział, o co chodzi?

- Nie, proszę pana, kazał tylko przekazać, że będzie pan zadowolony, że pan przyszedł.

Ponura mina Teo zmieniła się w uśmiech. Jeszcze więcej prezydenckiej konspiracji, co? No cóż, to może być pouczające, a może nawet zabawne.

- W porządku, chłopcze - powiedział. - Prowadź.

Centrum dyplomatyczne zostało stosunkowo niedawno dobudowane do kompleksu budynków Zgromadzenia. Było trzypiętrowe, z tyłu wsparte na kolumnach, i mieściły się tam luksusowe pokoje oraz sale konferencyjne, których wielkie, łukowate okna wychodziły na Ogrody Kalewali. Młody kurier zaprowadził Karlssona na trzecie piętro; minęli kilku strażników z Urzędu Nadzoru i dotarli do pomieszczenia sąsiadującego z wielką amfiteatralną salą wykładową położoną na końcu korytarza. Gdy kurier uśmiechnął się i odwrócił, by odejść, jeden ze strażników otworzył drzwi i gestem zaprosił Teo do środka.

Pomieszczenie było długie i wąskie, ze stolikami ustawionymi wzdłuż jednej ze ścian. Okna były z mlecznego szkła, a zamocowane na ścianach kinkiety wyposażono w klosze kierujące ich łagodne żółte światło ku górze. Sundstrom siedział przy jednym ze stolików; za jego plecami stali kolejni strażnicy z Urzędu Nadzoru. Po jednej stronie prezydenta znajdował się Piatkow, po drugiej zaś Soutar, oboje z grobowymi minami. Kiedy Teo wszedł, Sundstrom uśmiechnął się do niego, po czym skinął głową oficerowi straży, ten zaś śpiesznie opuścił pomieszczenie przez znajdujące się po przeciwległej stronie drugie drzwi, przy których również stał strażnik.

- Chodź i usiądź z nami, Teo - powiedział prezydent. - Mamy tu naprawdę ciekawy widok.

Na blacie przed nim stał rozkładany ekran. Pokazywał z zabieję perspektywy szeroki fragment dachu centrum dyplomatycznego, gdzie były wymalowane krzyżujące się linie lądowiska dla pojazdów latających. Chwilę później Karlsson usłyszał odgłos zbliżającego się statku, którego silniki rozbrzmiewały mieszanką głębokiego basowego pomruku i piskliwego wycia, po czym w zasięgu wzroku pojawił się dziwny, pletwiasty konglomerat kanciastych modułów; podmuch z jego napędu wzbił w powietrze pył i liście, gdy dziwna machina przechyliła się w skręcie, wyprostowała i dostojnie nadpłynęła nad sam środek lądowiska. Teo odnotował, że cała była jednolicie ciemnoszara i matowa niczym bryła węgla, i zadał sobie pytanie, czy ten statek nie jest przypadkiem niewykrywalny dla czujników. Potem rozłożyło się podwozie i obca jednostka wylądowała; cała jej konstrukcja zakołysała się lekko w momencie osiadania na dachu.

- Nasi goście wysiadają z drugiej strony - powiedział Sundstrom. - Więc wkrótce do nas dołączą.

- A kim są ci goście, panie prezydencie? - zapytał Teo.

- Jeśli mamy szczęście, cennymi sojusznikami. W innym wypadku, jak sądzę, będziemy mogli przynajmniej liczyć na ich dogłębne współczucie. - Nieznacznie obrócił swój wózek. - Przyjaciele, muszę wam coś wyznać. Od ponad dwóch lat mój rząd, to znaczy ja sam oraz kilku zaufanych współpracowników, pozostaje w kontakcie z oficjalnymi przedstawicielami Wspólnoty Imisil, jednego z dziewięciu narodów gwiazdnych, które składają się na luźny sojusz o nazwie Erenat. Przeprowadziłem wiele rozmów z jednym z ich wysokich rangą dyplomatów, Javay-shtu-Gauhuksem z rasy Makhorich, pochodzącym ze starego i szlachetnego rodu. Wkrótce po tym, jak odebraliśmy pierwsze komunikaty z *Heraklesa*, przepowiedział, że z dużym prawdopodobieństwem dojdzie do takiej sytuacji jak obecna i że reakcja Ziemosfery będzie nikła oraz podporządkowana interesom Hegemonii. - Uśmiechnął się i rozłożył ręce. - Niniejsze spotkanie ma na celu sformalizowanie relacji między Darieniem a Wspólnotą Imisil, ale będziemy mieli również okazję poznać przedstawiciela Cyklarchii Milybi, olbrzymiej konfederacji, której terytorium graniczy z odległymi rubieżami naszej strefy głębinowej. Emisariusz ten należy do rasy znanej jako Chatha, która, jak mi powiedziano, cechuje się wyglądem zbliżonym do owadów...

Teo wiedział, że Makhori są gatunkiem podobnym do ośmiornic, ale nie spodziewał się ujrzeć dziwnego, niedużego obiektu, który przepłynął przez drzwi na przeciwległym końcu pomieszczenia, otoczony eskortą złożoną z niepozornych Gomedran. Była to platforma antygravitacyjna wyposażona w przezroczystą kopułę, pod którą siedział makhoryjski ambasador, tak zwinąwszy swe długie pseudopodia, by zmieściły się pod jej wewnętrznym

brzegiem.

- Holgerze, mój drogi przyjacielu! Jakże miło móc się wreszcie z panem spotkać twarzą w twarz!

Makhori przemawiał syntetyzowaną ludzką mową, ale intonacja i akcenty wydawały się nie całkiem prawidłowe; co ciekawe, jego głos wyróżniał się muzycznym akompaniamentem, każdej sylabie towarzyszyły ciche nuty jakby fletu. Teo widział, że kiedy Makhori wypowiadał poszczególne słowa, jego pseudopodia manipulowały przy małym panelu za pomocą skupiska krótkich wypustek. Karlsson z trudem powstrzymał się od uśmiechu - przypominało to posiadanie własnej osobistej orkiestry.

- Ambasadorze Gauhux, z najwyższą przyjemnością witam pana na Darienie - powiedział Sundstrom. - Żałuję, że nie mogło to mieć miejsca w bardziej swobodnych okolicznościach.

- W istocie. Zdaje się, że siły Ziemi sfery, które kontrolują waszą przestrzeń orbitalną, nie uznały za stosowne nas powitać równie ciepło. Nie chcę przez to powiedzieć, że źle nas potraktowano, a jedynie, że okazano absolutne minimum grzeczności i względów.

- Pozostaje mi jedynie przeprosić, ambasadorze.

- Nie ma takiej potrzeby; w obrębie strefy wpływów Hegemonii nie należy się spodziewać innego traktowania. - Szybująca kapsuła Makhoriego obróciła się nieznacznie, tak by jego duże, owalne ślepia mogły przyjrzeć się Teo oraz pozostałym. - Widzę, że przyprowadził pan towarzyszy.

- Owszem, ambasadorze; za pozwoleniem, oto pan Piatkow, szef naszego wywiadu; generał Soutar, naczelny dowódca Ochotniczego Korpusu Dariena; oraz major Karlsson, mój osobisty doradca.

Osobisty doradca?

Teo musiał się mocno wysilić, by nie okazać zaskoczenia w związku z tym nieoczekiwanym awansem. Nie był zresztą jedyną osobą, która doznała niejakiego szoku, sądząc po nieprzyjaznym spojrzeniu, jakie posłał mu przez ramię Piatkow.

- Bracia w rozumie - przemówił Makhori. - Cieszę się niezmiernie, mogąc was poznać i w ten sposób poszerzyć zasób mej wiedzy. Niestety, nasze spotkanie będzie z konieczności krótkie; mój towarzysz podróży jest istotą ostrożną oraz niezmiernie powściągliwą i pragnie, byśmy jak najszybciej powrócili na nasz statek... ach, oto on.

Ambasador Gauhux odplynał nieco w bok, a równocześnie przez drzwi na przeciwległym końcu pomieszczenia wkroczyła para dziwnych, przypominających ptaki stworzeń, wysokich i porośniętych piórami w nasyconych odcieniach błękitu i ochry. Nie

miały skrzydeł ani ramion, zamiast dzioba zaś miały długi, chwytny ryj zakończony czterema kościstymi palcami. Każdy z nich trzymał wielościennie urządzenie z czegoś przypominającego szkło, o świecących, migoczących fasetkach. Dziwne istoty ze spokojem wycelowały te przedmioty po kolei w stronę każdego z obecnych, następnie zaś stanęły zwrócone twarzami do siebie, skłoniły się i każdy nacisnął wystający przycisk na swoim gadżecie. Przez moment panowała cisza, a potem do pomieszczenia wkroczył nowy przybysz.

Teo w pierwszej chwili pomyślał, że mają do czynienia z emisariuszem z rasy maszyn, sądząc po czterech smukłych metalowych nogach, natychmiast jednak uświadomił sobie, że jest to po prostu pojazd, analogiczny do platformy antygravitacyjnej Makhoriego. Chatha był większy i masywniejszy od Makhoriego, a choć nieznacznie przypominał ziemskiego pająka, istniało kilka ewidentnych różnic. Chatha miał suchą i lśniącą, zielonkawo-purpurową skórę o gruzłowatej fakturze, a zamiast spłaszczonego ciała miał owalny garb, który wyżej przechodził w klinowatą głowę z wzniesioną naroślą potyliczną biegnącą od gładkiego, zaokrąglonego tyłu czaszki i wydłużającą się z przodu w zwężoną na końcu, podobną do dzioba trąbkę. Po każdej stronie głowy widniała para oczu, co - jak ocenił Teo - oznaczało, że właściciel dysponuje polem widzenia wynoszącym jakieś dwieście siedemdziesiąt stopni, a zaokrąglony otwór niżej, na wysokości szyi, był prawdopodobnie ustami. Do Karlssona dotarło, że prawdziwe nogi Chathy muszą być dość krótkie, stąd wynikała konieczność ich połączenia z mechanicznymi, wyposażonymi we własny napęd, dźwigającymi otwartą kapsułę, w której siedziało stworzenie. Emisariusz Milybich wydał mu się groteskowy i Teo wbrew sobie poczuł niepokój.

Trąboręcy asystenci sprezentowali zwierzchnikowi swe urządzenia, które Chatha ujął krótkimi kończynami i uważnie obejrzał najpierw jedno, potem drugie. W końcu schował oba we wnętrzu kapsuły, zbliżył się do stolika, przy którym czekali obecni, i przemówił.

Jego słowa były potokiem płynnych samogłosek w najrozmaitszych tonacjach, potem ich miejsce zajęła sekwencja twardych, lecz pełnych ekspresji dźwięków, od czasu do czasu przerywanych głębokim buczeniem. Potem, równie nagle, stworzenie przeszło na angielski.

- Jestem Estymator Jeg-sul-Mur. Witam was w pięknym języku Wielkiej Cyklarchii Milybi, w formalnym języku Chathów oraz w waszym własnym języku. Głęboko cieszy mnie fakt, iż nikt spośród was nie jest zainfekowany maszynowym wirusem, którym skazili się niemądrzy Sendrukanie. Zdaje się również, że wasza rasa nie dysponuje żadnymi znaczącymi zdolnościami w dziedzinie mocy umysłu, które w przypadku słabszych ras często okazują się obciążeniem, a nie atutem. - Bliźniacze pary oczu przyjrzały się po kolei wszystkim obecnym, aż ich spojrzenie spoczęło na ośmiornicopodobnym ambasadorze Imisil. - Kolego Gauhuksie,

gdybyś był łaskaw dokonać prezentacji.

- Z przyjemnością, kolego Sul-Mur. Oto naczelny przywódca Ludzi z Dariena, prezydent Sundstrom, oraz jego gorliwi asystenci.

Teo znów musiał zwalczyć cisnący mu się na wargi uśmiech. Choć z określeniem „gorliwy asystent” łatwiej było mu się identyfikować, wiedział, że pani generał jest odmiennego zdania, przynajmniej sądząc po jej chmurnej minie.

- Prezydencie Sundstrom - ciągnął emisariusz Milybich. - Mogę panu powiedzieć, że komunikacja między waszą i naszą zbiorowością jest dopuszczalna, ale w obecnych warunkach niemożliwa. Co więcej, prognozy, niestety, wskazują, że albo Hegemonia, albo jej broturańscy pełnomocnicy już wkrótce przejmą kontrolę nad waszym światem i wykorzystają go jako strategiczną bazę wypadową dla dalszej ekspansji w obszarze strefy głębinowej.

Teo był zaszokowany bezkompromisowością słów emisariusza - nawet Sundstrom wydawał się wstrząśnięty.

- Wiedziałem, że stoimy w obliczu groźnej sytuacji, Estymatorze - powiedział. - Ale zdaje się, że uważa pan naszą sprawę za przegraną, nim jeszcze rozpoczęła się walka.

- Rozumiem wasze cierpienie - odrzekł Chatha, pochylając swą długą głowę, tak by spojrzenie wszystkich czworga oczu spoczęło na Sundstromie. - Jednakże historia Galaktyki pełna jest przykładów pokazujących, jaki los spotyka małe społeczności, gdy stają się przeszkodą na drodze potężnych hierarchii. Być może mój kolega z Imisilu już zrelacjonował kilka co bardziej aktualnych i dobitnych przykładów.

- Estymatorze Jeg-sul-Mur - powiedział Sundstrom. - Wasza konfederacja jest liczna i potężna; gdybyśmy zwrócili się bezpośrednio do was z prośbą o pomoc, czy udzielilibyście jej?

- Wielka Cyklarchia Milybi istotnie jest liczna i potężna, prezydencie Sundstrom, ale jest też pragmatyczna i odległa; mój bezpośredni przełożony od razu odpowiedziałby, że w tej części strefy głębinowej nie mamy żadnych interesów, których musielibyśmy bronić. - Emisariusz zrobił pauzę. - Mogę wam jednakże powiedzieć, że wasza kłopotliwa sytuacja komplikuje się w niezwykłym tempie. Przystudiowaliśmy rozmaite podstępny, jakie Hegemonia lub jej pełnomocnicy wykorzystywali w przeszłości przeciwko różnym ofiarom, i wygląda na to, że wy również macie do czynienia z co najmniej jedną ich intrygą. Wasz świat najwyraźniej przedstawia dla nich olbrzymią wartość, a w przeszłości udowodnili już, że doskonale umieją udawać, że to oni są poszkodowaną stroną. Pragnę wyrazić me najszczerze współczucie, jednakże z przykrością muszę oznajmić, iż nie jestem w stanie zaoferować wam

żadnego bezpośredniego wsparcia.

Narastającą frustrację Teo zmniejszyły nieco ostatnie słowa Chathy, które wydawało się, że sugerują, że to poseł Hegemonii Kuros stał za próbą zamachu na swoje własne życie. Chyba że Kuros był tylko pionkiem w grze, którą rozgrywał któryś z jego współpracowników... myśli Karlssona kłębiły się, próbując ogarnąć implikacje takiej zmywy. Raptem jednak jego wrodzony sceptycyzm zareagował buntem - jak to możliwe, by tak szybko zlokalizowali świetnie wyszkolonego snajpera (oraz szpiega) wśród kolonistów na Darienie, nie wzbudzając podejrzeń?

- Jestem panu wdzięczny za te wyważone uwagi, Estymatorze - stwierdził Sundstrom. - Być może nadejdzie jeszcze czas, gdy będę mógł pana zaprosić na Dariena na dłuższy pobyt w swobodniejszej atmosferze.

- Wbrew temu, czego uczy nas historia, liczę, że tak właśnie się stanie - odrzekł Chatha. - Doradzałbym panu oraz pana zaufanym podwładnym najwyższą ostrożność we wszystkich kontaktach z Hegemonią oraz wszelkimi jej sługami. Ewentualnie, jeżeli potrzebuje pan drogi ucieczki przed zbliżającym się zagrożeniem, jestem pewien, że w grę wchodzi poszukanie azylu wśród delegacji imisilskiej...

- Tak, Holgerze - potwierdził ambasador Gauhux. - Ta droga stoi otworem dla ciebie i twojego bezpośredniego otoczenia.

- Bardzo dziękuję za tę szczodłą ofertę, ale moje miejsce jest tutaj, na Darienie. - Prezydent się zaśmiał. - Panowie, wśród Ludzi istnieje stare przysłowie: „Nic nie jest skończone, póki się nie skończyło”, które zamierzam przez cały czas mieć w pamięci.

- Podziwiam pańską determinację w obliczu przytłaczających przeciwności - odrzekł emisariusz Milybich, po czym znów zaczął przemawiać w obcych językach i zakończył: - Żegnam was w imieniu Wielkiej Cyklarchii Milybi; niechaj Nieskończeni i Dobrotliwi strzegą was, gdy będziecie kroczyć przez mroki.

Potem, odprowadzany przez dwóch pierzastych asystentów, Chatha skierował swój pojazd z powrotem w kierunku wyjścia, krocząc z tą samą owadzią statecznością co wcześniej. Gauhux patrzył za nim przez chwilę, po czym spojrział na Sundstroma.

- Przyjacielu - powiedział melodyjnie. - Muszę odprowadzić kolegę z powrotem na nasz statek i pomóc mu się przygotować do odlotu; nasza jednostka towarzysząca odtransportuje go z powrotem na terytorium Erenatu, do najbliższej misji Milybich. Ja tymczasem pozostanę na Darienie i rozpocznę organizowanie skromnej kwatery.

- Czy nasza sytuacja naprawdę wygląda tak źle, Gauhuksie? - zapytał Sundstrom.

- Obawiam się, że tak, Holgerze. - Duże owalne ślepie Makhoriego wydawały się pełne

smutku. - Mój własny analityk zgadza się z tym, co powiedział mój chathański kolega: Sendrukianie uknuli przeciwko wam piętrową intrygę. Albo co najmniej jeden wasz pobratymiec z Dariena dał im się zwerbować, albo specjalnie przywieźli ze sobą paru Ludzi, by ich wykorzystać do tego celu. Bez względu na to, jaka jest prawda, będziecie musieli ich powstrzymać, zanim sprowadzą zgubę na was wszystkich. Teraz muszę już wracać, więc zanim znów się spotkamy, życzę wam szczęścia... i skutecznego polowania.

- Bezpiecznej podróży, Gauhuksie - odrzekł Sundstrom.

Gdy Imisilczyk poszybował w kierunku wyjścia, prezydent odwrócił wózek tak, by znów siedzieć twarzą do pozostałych.

- Jakież uwagi? - zapytał.

- Wydają się zupełnie przekonani, że ten zamach to podstęp Hegemonii - powiedział Piatkow. - I nie są tym zaskoczeni.

- Myślę, że powinniśmy się przygotować na najgorsze, panie prezydencie - powiedziała bez ogródek generał Soutar - i poczynić plany. Przykładowo, gdyby pana zabito, wówczas prezydentem z automatu zostaje Jardine, czy tak?

Na wargach Sundstroma zaigrał cień uśmiechu.

- Obawiam się, że tak, pani generał.

Soutar skinęła głową.

- A gdybyście obaj zginęli, co wtedy?

- Wówczas rada ministrów wybrałaby następcę drogą głosowania, na zamkniętym posiedzeniu.

- A gdyby cała rada ministrów została wymordowana?

- Pani generał! - wtrącił się Piatkow.

- Sza, Witaliju - powiedział Sundstrom. - Rozumiem logikę pani generał. No cóż, taka katastrofa jest mało prawdopodobna, ale gdyby do niej doszło, wówczas Mówca Zgromadzenia musiałby albo sam objąć urząd prezydenta, albo spróbować powołać taki rząd, który byłby akceptowany przez ogół społeczeństwa.

- Chyba że wojsko przejmie władzę, ma się rozumieć - powiedział Teo.

Tym razem to Soutar wpadła w oburzenie.

- To haniebna insynuacja w ustach kogoś takiego jak pan!

- Doprawdy? A jak konkretnie zdefiniowałaby pani kogoś takiego jak ja?

- Bardzo prosto! Jako podstępny zdrajcę, który...

- Dość! Starczy tego, wy dwoje! - ryknął Sundstrom z tak stentorową furią, że nawet Teo się cofnął. - Takie kłótnie donikąd nas nie zaprowadzą...

Równocześnie z góry dobiegło buczenie silników startującej jednostki imisilskiej, przerywając burzliwe nastroje oraz ostre słowa. Gdy dźwięk ścichł w oddali, Sundstrom zaczął tłumaczyć, że wszelkie niesnaski tylko wyjdą na korzyść ich wrogom, ale urwał, kiedy w wewnętrznej kieszeni Teo zaczął dzwonić kom.

Prezydent zmarszczył brwi.

- Liczyłem, że wszyscy będziecie pamiętali, by je wyciszyć.

- Był wyciszony - odrzekł Teo, wyjmując urządzenie i wpatrując się badawczo w owalny niebieski ekran. - Łączy tylko pilne rozmowy, a tego numeru nie poznaję. - Pośpiesznie wcisnął przycisk odbioru. - Halo, kto mówi?

- Jestem rozczarowany, majorze - usłyszał męski głos z rosyjskim akcentem. - Sądziłem, że przynajmniej pan powinien zrozumieć, pan, major Karlsson, Czarny Teo, prawa ręka Wiktora Ingrama...

- Zrozumieć co? - zapytał Teo, na migi prosząc pozostałych o coś do pisania.

- Że to jest nasza ziemia, nasz kraj, miejsce, gdzie nasi przodkowie znaleźli schronienie oraz walczyli z bezlitosnym wrogiem i pokonali go. - Mężczyzna zaśmiał się cicho. - Och tak, to brzmi jak słowa pieśni, nieprawdaż, majorze? Jak saga. A teraz nadszedł dla nas czas próby i my także mamy wroga, z którym musimy walczyć.

- Masz na myśli Hegemonię? - zapytał Teo, jednocześnie pisząc na kartce papieru listowego: TO ZAMACHOWIEC. - No to, chłopcze, wybrałeś sobie nie lada przeciwnika. W końcu Pierwsze Rodziny musiały się zmierzyć tylko z uszkodzonym maszyno-umysłem...

- Nie chodzi tylko o Hegemonię, majorze, chodzi o wszystkich obcych innoświatowców, o wszystkie te poczarwane obrzydlistwa. Takie jak te, z którymi dopiero co się pan pożegnał.

- Skąd wiesz o...

- Mam swoje źródła, majorze, a także dobry widok z biurowca po drugiej stronie placu.

- A więc jakie jest twoje credo: my przeciwko galaktyce, czy tak? - spytał Teo.

- Muszą się nauczyć, że to jest nasz świat, nasze miejsce we wszechświecie. A Frakcja Wolny Darien nauczy ich, że nie mogą swobodnie łązić, gdzie im się podoba, że nie są tu mile widziani.

- Zostaniesz powstrzymany, chłopcze. Już my o to zadamy!

- Proszę bardzo, majorze, możecie próbować, ale myślę, że już wkrótce odkryjecie, iż macie inne zmartwienia na głowie...

W tym momencie Teo usłyszał odgłos eksplozji, głośny, rozbrzmiewający echem huk, niezbyt odległy, lecz stłumiony przez budynki. Przez jedną okropną chwilę Karlsson myślał,

że statek imisilski padł ofiarą sabotażu, ale Piatkow już wyjął własny kom i rozmawiał pośpiesznie. Spojrzawszy w dół, Teo zobaczył, że jego tajemniczy rozmówca zdążył się rozłączyć.

- To dworzec zeplinów przy Placu Założycieli - powiedział Piatkow, nadal z komem przy uchu. - Wyszadźcie obie wieże cumownicze, runęły na plac...

Potem rozdzwoniły się komy prezydenta i pani generał. Chwilę później Piatkow dysponował już pełniejszym obrazem sytuacji.

- Były trzy bomby, dwie na wieżach i jedna w koszu na śmieci przy wejściu... jak dotąd nie ma informacji o ofiarach śmiertelnych, ale mnóstwo poważnie rannych... służby ratunkowe już są na miejscu, a marszałek Zgromadzenia zarządził ewakuację budynku, który zostanie obstawiony strażą...

Sundstrom słuchał bez ruchu, ale jego oczy płonęły gniewem.

- Szumowina wybiera łatwe cele, chce pokazać, że nie chodzi mu tylko o Hegemonię.

Potem kom Karlssona zapikał, a gdy ten popatrzył w dół, zobaczył symbol oznaczający nową wiadomość głosową, jak również numer nadawcy.

- Zdaje się, że to od niego - powiedział Teo. Wyciągnął przed siebie rękę z komem, tak by wszyscy mogli słyszeć, i nacisnął guzik odtwarzania:

- Jak powiedziałem, muszą się nauczyć, że nie mogą swobodnie łączyć, gdzie im się podoba. Nie martwcie się, dopadnę wszystkie te innoświatowe ohydy, co do jednej; to była zaledwie druga odsłona kursu dokształcającego, który planuję wam zafundować. Mam nadzieję, że wszyscy przyswoicie sobie morał.

W zapadającym zmierzchu kropił deszcz, padając na gęstą, usianą latarniami masę Tapioli, podczas gdy Chel wspinał się samotnie stromą ścieżką w kierunku linii drzew. Prawie nie było wiatru, a w mrocznej dolinie szmer deszczu dobiegał ze wszystkich stron, rozbrzmiewając w dali jednym wielkim głuchym pomrukiem, na tle którego odgłosy pluśnięć i ciurkającego kapania z pobliskich krzewów wydawały się ciche i stłumione. Rozmiękle podłoże ugięło się pod stopami, a powietrze było zimne, wilgotne i przesycone wonią liści.

Czterdzieści lat wcześniej, kiedy w ziemi smutnej Umary sadzono lasy potomne, najwyżsi rangą spośród ówczesnych Słuchaczy poprosili członków społeczności Ludzi o nadanie im wszystkim nazw. Po długich deliberacjach Ludzie zdecydowali się na miana upamiętniające wielkich ziemskich pisarzy; jedynym wyjątkiem był las wysunięty najdalej na północ, który ochrzczono Tapiolą. Była to nazwa mistycznej puszczy ze starożytnej ludzkiej sagi zatytułowanej *Kalewala*, która powstała na długo przed tym, nim wynaleziono księgi i urządzenia cyfrowe, w czasach, kiedy śpiewacy oraz żarliwi strażnicy wiedzy przechowywali w pamięci całe niezmiernie długie historie oraz cykle pieśni.

Tak, jak nadal czynimy to my, pomyślał Chel. Mimo że mamy język pisany, a w Segranie istnieją małe archiwa, kontynuujemy tę tradycję.

Przyćmione lampy stawały się coraz jaśniejsze w miarę, jak się do nich zbliżał - szereg zamglonych jaśniejących plam prowadzących w głąb lasu Tapiola. Wysoka, zakapturzona postać Słuchacza wkroczyła w zasięg wzroku i zamarła w oczekiwaniu. Kiedy Chel dotarł na skraj puszczy, Słuchacz wyciągnął jedną kościstą rękę, obracając wewnątrz dłoni ku górze.

- Przedstaw się i powiedz, czemu tu jesteś.

- Jestem Uczony Cheluvahar z Uvovo-Wojowników - odpowiedział. - Przybyłem tu, by poddać się przepoczwazzeniu pod okiem świętej Segrany.

- Porzucisz to, czym dotąd byłeś?

- Porzucę.

- Czy jesteś gotów zrzucić skorupę tego, co jest teraz, i nałożyć zasłonę przemiany?

- Jestem gotów.

- A więc wejdź, Uczony Cheluvaharze, i wiedz, że po raz ostatni zostałeś nazwany tym imieniem.

Chel przewiesił worek podróżny na drugie ramię, po czym wkroczył z padającego

deszczu w gościnny cień Tapioli.

Niewielu Uvovo faktycznie mieszkało na stałe w lasach potomnych: uczeni, ogrodnicy oraz pasterze opiekujący się roślinami i zwierzętami. Tutaj jednak żyły ich tuziny; zebrani byli wysoko, wewnątrz lub w pobliżu tymczasowych schronień sporządzonych z lian i warstw liści, sączące się z wnętrza światło lamp upodabniało je do gigantycznych kokonów. Słuchacz, który się nie przedstawił, bez słowa zaprowadził Chela na polankę, z której solidnie wyglądająca drabinka sznurowa wiodła na jedną z niższych gałęzi ogromnego żelazodrzewa. Kilka kobiet Uvovo, które rozmawiały w pobliżu, zamilkło i, uśmiechając się, pokłoniło nowo przybyłym.

- Niechaj Segrana powita cię i ugości - powiedziała jedna.

- Niechaj Segrana pokaże ci to co Wieczne - dodała druga.

- Siostry, dziękuję wam. - Chel skłonił się, po czym chwycił drabinkę i zaczął się wspinać.

Wcześniej, na Niewieście, bywał już świadkiem przepoczwarzeń, i wiedział, co oznacza ta wspinaczka, symbolizująca przejście od tego, co pospolite, do tego, co zdumiewające, od rzeczy znajomych do wzniosłych, od ignorancji do niebezpiecznej wiedzy. Zawsze wyobrażał sobie, że jego własne przepoczwarczenie dokona się tam, na lesistym księżycu, gdzie rodzina i przyjaciele będą mu służyć radą i dodawać otuchy, nie zaś tutaj, w tym zimnym, surowym miejscu, z dala od wszystkich, których dobrze znał.

Z gałęzi żelazodrzewa następna drabinka sznurowa prowadziła na wyższą gałąź, a stamtąd trzeba było przejść w poprzek na inne drzewo. Potem prosto w górę i znów w poprzek - na naprawdę potężne drzewo, majaczące w półmroku niczym olbrzym o wielu ramionach. Tuziny jego gałęzi wyrastały dosyć blisko siebie, dzięki czemu łatwo było wspinać się śladem łańcucha lampek, który ciągnął się spiralnie w górę wzdłuż sękatego, omszałego pnia.

W końcu Chel i Słuchacz dotarli do stosunkowo obszernej platformy splecionej z gałęzi, gdzie czekała grupa Uvovo odzianych w cienkie brązowe szaty i bladożółte czapeczki. Zwano ich Odbarczającymi; oddał im swój worek podróżny, swoją odzież wierzchnią i spodnią, osłony stóp i kolan oraz kamień *zoza*, który nosił na szyi. Potem, idąc za wskazówkami Słuchacza, wspiał się nagi na platformę znaną jako Kontemplacja, gdzie zgodnie z obyczajem przystanął, aby zebrać myśli i się przygotować. Zaledwie kawałek wyżej był ostatni etap drogi - Próg, gdzie znajdowała się komora *vudron*, i samotny Odbarczający, który czekał, by wręczyć kandydatowi Kielich Światła.

Chel zadrżał. Na tej wysokości było zimniej, ciemno i mgliście pod baldachimem

puszczy, a z gęstych liści od czasu do czasu spadały krople. Pomyślał o Gregorim, który na pożegnanie wręczył mu w prezencie jedno z nowych urządzeń grających. Ciekawe, czy schwytano już mordercę. Potem Chel pomyślał o Catrionie i jej obsesyjnych poszukiwaniach Mistrzów Ścieżek; wiedział, że uda jej się ich znaleźć tylko pod warunkiem, że sami będą tego chcieli. Pomyślał też o Słuchaczu Weynlu, Słuchaczu Faldrim i o bezimiennym Słuchaczu tam niżej (przypuszczał, że może to być Słuchacz z Gwiezdnego Dachy imieniem Eshlo) i spróbował sobie wyobrazić swoje własne ciało podlegające przemianie, wydłużające się kości, rozciągające się mięśnie. Czy to będzie bolało i jak długo...?

Zapagnawszy, by Greg i Catriona byli tu z nim, wziął głęboki oddech i odwrócił się w stronę ostatniej drabinki.

Mam zostać unicestwiony i stworzony na nowo, pomyślał. Koniec zwlekania.

Z odnowioną determinacją wspiął się na platformę o nazwie Próg, gdzie z wygiętych prętów zwieszała się para lamp. Zamaskowany Odbarczający wystąpił naprzód i wręczył Chelowi owalną miseczkę, którą ten przyjął i napił się z jej węższego końca. Płyn smakował jak świeża woda spływająca z liści, lecz krył też w sobie rozmaite subtelne smaki, które z wolna prześlizgiwały się po języku. Drzwi *vudronu* stały otworem i Chel bez wahania przykucnął, by wsunąć się do środka, po czym usiadł na prostej ławce wyrzeźbionej w ścianie komory. Przelotnie zadał sobie pytanie, gdzie też Słuchacze wyszukali torebkę nasienną olbrzymiego drzewa *vudris*, które rzekomo wymarło na Umarze. W blasku lamp widział, że wewnętrzną powierzchnię *vudronu* pokrywają misterne rzeźby: wzory, twarze, stworzenia Segrany, a także trochę dziwnych kształtów, które wyglądały jak nieregularne, abstrakcyjne obrysy...

Odbarczający stanął w drzwiach, zwracając zamaskowane oblicze w stronę Chela.

- Segrana cię oczekuje - rozległ się kobiecy głos. - Jej wola ukaże ci wszystkie ścieżki Wiecznego; bądź gotów.

Chel uśmiechnął się, skłonił głowę. Odbarczająca cofnęła się i zatrzasnęła drzwi, pogrążając go w ciemnościach.

Z zamkniętymi oczami odchylił się do tyłu, opierając się plecami o szorstką ścianę komory. Wiedział, że Kielich Światła ma rozwiązać cumy przytrzymujące jego umysł, ale na razie czuł się zupełnie spokojny i niezmienny. W ustach nadal miał posmak dziwnego napoju, ale ten stopniowo zanikał, smaki orzechów i jagód rozplynęły się w nicość - i właśnie wtedy poczuł ślad zapachu dymu. Powęszył, najpierw szybko, potem głęboko, pewien, że coś się pali tuż obok *vudronu*. Potem ujrzał błysk koło drzwi, schylił się i zobaczył język płomienia wspinający się po wklęsłej ścianie, rozwidlający się i rozbiegający w ognistą

siatkę.

Wolał i walił w drzwi, te jednak były zamknięte na głucho od zewnątrz i nie nadeszła żadna odpowiedź. Chel zaczął panikować i po omacku poszukał na podłodze zakorkowanej butelki z wodą, którą zazwyczaj tam pozostawiano. Nic. Ognista sieć rozrosła się, ogarniając całą wewnętrzną powierzchnię komory, aż w końcu skulił się pośrodku, zamknięty w skorupie z rozedrganych, falujących płomieni. Rzeźbione stworzenia pełzały, wzory ulegały zniekształceniu, twarze zwracały się ku niemu i przemawiały surowym tonem, domagając się, rozkazując i potępiając. Wszystkie głosy zlały się, rozbrzmiewając echem i zmieniając się, podczas gdy płomienie rozpadły się na oddzielne wysepki i zmały, wsiąkając w ścianę *vudronu*, aż ta rozjarzyła się poświatą o nasyconej, czerwonożółtej barwie.

Wydawało się, że wyrzeźbione tam kształty i wzory mają teraz o wiele więcej szczegółów. Zafascynowany Chel przysunął się bliżej, aby je przestudiować, akurat w chwili, gdy na ścianę spłynęły nowe barwy; odcienie ciemnej zieleni rozprzestrzeniły się ku górze i wzdłuż jednego z tych dziwnych nieregularnych obrysów, podczas gdy drugą jego stronę zalał i wypełnił głęboki błękit. Potem nieprzejrzysta bryła mętnej szarości przepłynęła powoli przez górną partię ściany, którą studiował Chel. Zupełnie zapomniawszy o strachu, zagapił się na obraz i nagle uświadomił sobie, że ma przed sobą linię brzegową widzianą z orbity. Zachichotał i przyjrzał się uważniej, wędrując wzrokiem wzdłuż krawędzi lądu. Jej długi, wygięty, opadający fragment kończył się krótkim półwyspem w kształcie haka.

Zupełnie jak ten, gdzie ludzie mają te swoje budynki na palach, pomyślał. Stacja Pilipoint.

Jego spojrzenie przykuły szczegóły; zaabsorbowany, przypatrzył się jeszcze uważniej, a linia brzegowa jakby nieco się przybliżyła. Pojawiło się więcej szczegółów: faktura olbrzymiego obszaru Segrany, szorstka ciemna powierzchnia Morza Srebrnej Pieśni, potem wszystko stało się jeszcze bliższe, uwidoczniły się zatoczki i przesmyki... jego umysł, pierś, żołądek ogarnęło wirowanie i spróbował się cofnąć, znaleźć dalej od oszołamiającej panoramy.

Potem ściana *vudronu* rozpląnęła się w nicości i nie mając niczego, czego mógłby się chwycić, Chel runął z krzykiem, wymachując kończynami, spadając jak kamień przez warstwy chmur, głową w dół, w stronę ziemi. Wkrótce był już w stanie rozróżnić czubki drzew i kołujące ptactwo, linie fal oraz maleńkie sylwetki spacerujące wzdłuż kamienistej plaży. A Segrana popędziła w górę, by go objąć.

Leciał w dół przez warstwy liści - dramatyczne spadanie, pełne obijania się, łamanych gałęzi, zderzeń i trzępnięć. Czuł to wszystko, ale nie było żadnego bólu, żadnych

strzaskanych kości ani przelanej krwi. Koziołkował i odbijał się, lecąc w dół, w chłodną, wilgotną ciemność wnętrza Segrany, w dół, w stronę dna lasu, ku osłoniętej strefie prastarych, nieprzeniknionych cieni, gdzie leżały starożytne moczary. Powierzchnia bagniska zachybotała się, gdy Chel w nie wpadł; czarna, pełna drobinek piachu maź pochwyciła jego szamoczące się członki, ściągając go w dół, głębiej w dół...

Powróć do ziemi, powróć do nasienia wszechrzeczy...

Tonął, lecz nie tonął, podczas gdy przez jego umysł przepływały myśli.

...do twojej ziemi, do twojego nasienia...

Bagnisko zbladło, jego wszechogarniająca ciemność rozmyła się w zamgloną noc, usianą gwiazdami i kłębiącą się mgiełką. W górze niczym klejnot jaśniała obracająca się powoli planeta, Umara, ta piękna błękitna kula, którą Chel tyle razy oglądał z wysoko położonych miast Segrany. Jednak jego wzrok powędrował ku innej, odległej partii nieboskłonu, gdzie formacja migoczących punkcików przybliżała się nieubłaganie, zajmując już niemal połowę firmamentu, a za nią rozpościerała się druga, równie ogromna, za tamtą zaś trzecia i czwarta. Potem jego umysł...

Jego umysł znalazł się wewnątrz jednego z tych punktów, wewnątrz statku zapchanego po brzegi metalowymi kształtami, nieznanymi mu urządzeniami iskrzącymi się furią energii, podczas gdy w samym sercu statku tkwiło żywe stworzenie, inteligentna istota...

Wróg, któremu należy się litość, rycerz Legionu Awatarów, okaleczona pozostałość czegoś, co dawno temu poruszało się na dwóch nogach. Ich rasa wpadła w pułapkę własnej pychy zrodzonej z technologii i w końcu poddała się zjednoczeniu z maszynami, skuszona obietnicą nieśmiertelności. Nienawidzą ciała i jego mankamentów, a nienawiść ta zrodziła strach i wstręt wobec innych gatunków, mniej opanowanych przez technologię...

Nagle Chel powrócił, znów spoglądał w górę, w przestwór nocy, a w stronę rozszerzającej się sieci statków Legionu leciały klucze błyszczących punkcików. Jedno mrugnięcie i ujrzał pełne gracji kształty nowo przybyłych, długie sylwetki zdobne w wygięte skrzydła i płetwy sterów, lecz - jak się zdawało - zbyt nieliczne, by powstrzymać chmarę napastników.

Miliony wojowników Legionu dokonały inwazji, przybywając z innego wszechświata, i bitwy takie jak ta wybuchły w setkach układów. Znalazłszy się w desperackiej sytuacji, Wielcy Starożytni zjednoczyli się i w imię Wielkiego Celu stworzyli straszliwą broń.

Gdy wybuchła bitwa, przed jego oczami przemknęły migawki starc w pobliżu innych odległych światów, ujrzał też badaczy oraz robotników z wielu ras, którzy pracowali bez wytchnienia, by skończyć broń, która miała położyć kres niszczycielskiemu pochodowi

Legionu, tunele sięgające w głąb odległych poziomów rzeczywistości - krzywstudnie.

Aby obudzić krzywstudnie do życia, potrzebne były gigantyczne ilości mocy, więc setki milionów Wysokich Starożytnych poświęciły energię swych umysłów i ciał, żeby utworzyć te wiry zniszczenia. Patrz, z jaką godnością złożyli siebie w ofierze na rzecz wyższego dobra. Minęło sto tysięcy lat i większość żyjących istot dawno zapomniała o ich poświęceniu, lecz nasza pamięć jest wieczna i odmówimy Niszczycielowi ostatecznego zwycięstwa...

Chel ujrzał, jak krzywstudnie sięgają w przestrzeń, aby wciągnąć wszystko w swe oślepiające paszcze: kurz i meteoryty, bitewne szczątki, martwe ciała, okręty wojenne obu stron. Niektóre jednostki Legionu na obrzeżach działań wojennych próbowały uciec, lecz Wielcy Starożytni poświęcili więcej umysłów, by zwiększyć moc krzywstudni, i zasięg tychże rozszerzył się, obejmując także przestrzeń między gwiazdami. Zobaczył, jak tysiące statków Legionu są bezlitośnie ściągane w dół, nieraz zniszczone i rozpadające się, ciągnące za sobą chmury oparów i oderwanych fragmentów, podczas gdy inne nadal walczyły zaciekle z większymi okrętami wojennymi Wysokich Starożytnych, a wszystkie one były ściągane do środka wiru i zderzały się ze sobą, kadłub trzaskał o kadłub. Potem Chel...

Chel znalazł się w samym środku tego zamętu, leciał na łeb, na szyję wśród przeraźliwego zgrzytu zgniatanego metalu, bzyczenia przerażającej broni oraz ryku krzywstudni, której lodowato-błękitno-czarne włócznie światła sprawiały, że wszystko wokół się zamazywało. Nagle przed nim zamajaczył świat - drugie opadanie - pędzący ku górze; oślepiająco jaskrawe, wpatrzone w niego oko, szczelina energii, w którą Chel zanurkował.

Ze wszystkich stron przemykały migawki dziwnych światów i jeszcze dziwniejszych firmamentów, obląkańcze pejzaże, nieciągle szlaki, zniekształcenie, rozkład i pustka, ucieczka i wygasanie, szereg utkanych z cienia rzeczywistości, przez które spadał. Zaczęły pojawiać się otwory, wciągające olbrzymie masy okaleczonych maszyn i statków, i Chel patrzył na to z zewnątrz, widział wszystkie te okręty wojenne, zarówno należące do Legionu, jak i do Wysokich Starożytnych, jak rozpadają się i rozsypują na całej rozpiętości mrocznych, głębokich warstw hiperprzestrzeni. Uświadomił sobie, że to samo dzieje się wewnątrz wszystkich pozostałych krzywstudni - całkowite zniszczenie Legionu Awatarów, milionów, może miliardów tych istot, kataklizm z trudem dający się ogarnąć umysłem.

Czy cokolwiek mogło przeżyć taki upadek? Pędzące niewyraźne plamy zwolniły, gdy opadał wraz z pogiętymi, strzaskanymi szczątkami w mglistą otchłań osnutą migotaniem srebrnej jasności, coraz wolniej i wolniej, mijając czarne urwiska...

Wielu zginęło po to, by jeszcze więcej bliźnich oraz ich dzieci mogło żyć dalej... lecz Niszczyciel przybiera wiele postaci...

Zimne cienie rozmyły się i Chel zamrugnął, spoglądając w górę. Znowu stał na tamtym wzniesieniu, patrząc na widoczną w górze planetę. Omal nie krzyknął, gdy ujrzał, że płonie ona od horyzontu po horyzont. Kilka obszarów nadal było zielonych, ale powierzchnię Umary spowijał dym, potężne skrzydła i ogony ciemności spływające na lasy, równiny i góry.

Dziesięć tysięcy lat temu Niszczyciel powrócił znowu jako Pozbawieni Snów...

Coś wyłoniło się zza jaśniejszego brzegu planety - dziwne skupisko kolców, rosnące w oczach, aż w polu widzenia pojawiła się duża sylwetka statku: elipsa zestalonej czerni, jakiś dysk ze sterzącymi na wszystkie strony antenami i wysięgnikami, jak odgadł Chel. Potem wytrysnęła zeń wiązka różnokolorowego światła i coś wybuchło na orbicie planety, rzucając na ten twór eksplozję jasności. Chel ujrzał, że to potężny glob pokryty niezliczonymi kolumnami i iglicami różnych rozmiarów, falującymi niczym kolce kolosalnego morskiego stworzenia. A z mrocznej otchłani kosmosu już nadpływały inne - czarne, najeżone wyrostkami kule, wystrzeliwujące jaskrawe promienie, które spadały na leżący niżej świat.

Ze szczytu góry na Umarze zobaczył, jak te pociski sięgają celu i rozrywają ład - jak potężne płyty ziemi i puszczy wznoszą się, skręcają i rozpadają pod wpływem przerażającej niszczycielskiej siły. Jednak Uvovo dzielnie trwali na pozycjach w obrębie płonących, udręczonych lasów. Chel widział ich - ukrytych w podziemnych komorach, w twierdzach na szczytach wzgórz, w ufortyfikowanych jaskiniach, a wszyscy obsługiwali dziwne mechanizmy kanalizujące zieloną moc opasujących planetę puszczy.

Oto, jaka byłam kiedyś, gdy byłam jednością i miałam głos...

Ujrzał świątynię na Ramieniu Olbrzyma w jej pierwotnej postaci, wspartą na kolumnach, jej otwarte poziomy wznoszące się ponad wydrążonym wzniesieniem, a wszędzie roiło się od Uvovo zajętych poważnymi zadaniami. Najwyższe piętra świątyni zwężały się w smukłą wieżę, z której wystawały liczne podobne do liści chorągiewki migoczące energią. Od czasu do czasu potężny rozbłysk przesłaniał olbrzymie połacie lasu i jaśniejąca, utkana ze światła membrana wzbijała się w niebo, prosto i wysoko, opuszczając atmosferę i owijając się wokół jednego ze statków Pozbawionych Snów. Kolce traskały i łamały się, okrągłe kadłuby pękały, membrana energii przenikała do środka i nie znajdowała... niczego.

Tak słaba, ostatnia, jaka pozostała, lecz przybył dawny sojusznik...

Chel znał tę historię na pamięć - w najcięższym momencie bitwy, kiedy wydawało się już, że Pozbawieni Snów wygrali, zjawili się Widmowi Bogowie, a teraz oglądał to na własne oczy. Okręty przybyszy były olbrzymie i zbudowane tak, żeby przypominały drapieżne bestie o czterech lub sześciu kończynach, skrzydlate i węzowate, o licznych mackach i twardych pancerzach, wszystkie większe od gór, a było ich łącznie zaledwie trzydzieści. Gdy włączyły

się do walki, były niczym olbrzymy atakowane przez owady, lecz Pozbawieni Snów nie znali litości. Fala za falą, horda za hordą, ciskali swoje maszyny przeciwko potężnym statkom Widmowych Bogów, a choć większość uległa zniszczeniu, nieliczne zdołały się przedostać przez ulewę pocisków i osłony. Spośród nich jeszcze mniejsza liczba uniknęła wybicia przez mechanizmy obronne oraz Strażników i przeniknęła przez kadłub do środka, a z tych tylko garstce udało się przemknąć obok straży patrolującej wewnątrz.

Ale ta garstka wystarczyła, by wysiać w przewodach i rurach chmary śmiercionośnych metalowych szkodników, by zainfekować kluczowe organy zarazą. W końcu nawet te kolosalne statki zaczęły, jeden po drugim, ulegać bezlitosnej nawale maszyn Pozbawionych Snów, rozpadać się wśród rozkwitających obłoków ognia.

Wtedy Segrana, wiedząc, że teraz przegranej można zapobiec już tylko płacąc straszliwą cenę, poświęciła większą część siebie. Moce lasu-świata zostały tak ukierunkowane, by otworzyć drogę do domen hiperprzestrzeni, gdzie Pozbawieni Snów posiadali swe ogromne cytadele. Przeniknęła tam większość esencji Segrany, by wślizgnąć się do wnętrza tych twierdz, rozprzestrzenić się tam, odmieniona i niewidoczna, ogarniając każdy zmysł i każdy węzeł pozbawionych ciała umysłów, każde źródło mocy, i zginąć w katastrofalnym akcie zniszczenia, z którego nie uszła ani jedna maszyna. Połączone sieci komunikacji i dominacji, które dały im taką siłę, były również przyczyną ich upadku.

Tak wielkie zwycięstwo, tak wielka strata, lecz Niszczyciel nigdy nie ginie do końca.

Wizja statków i fortec płonących w gwiazdnej mgielce zbladła.

Ci nowi Pozbawieni Snów wiedzą o naszej wielkiej studni, ostatniej, jaka ocalała, i pragną jej.

Wypełniająca niebo panorama planety odpłynęła w cień.

Słabi, jeszcze niepoddani próbie, mimo to, musimy się przygotować na walkę, na inwazję, na desperackie poświęcenie.

Wokół Chela zamknęła się zimna cisza; kończyny miał podkurczone, ciało zwinięte w kłębek, myśli uśpione, oczy zamknięte.

Twój czas nadchodzi. Starszyzna pragnie, byś został stworzony na nowo, lecz ja teraz chcę od ciebie mniej, później zażądam o wiele więcej.

Czy znajdował się wewnątrz skorupy, czy też sam był skorupą, która lada chwila miała pęknąć i odsłonić coś nowego? Jakies napięcie zelzało i mógł już rozluźnić zaciśnięte pięści oraz oplatające pierś ramiona, nieco przesuwać kończyny; potem wstał chwiejnie, nadal z zamkniętymi oczami, po omacku poszukał wewnętrznej ściany *vudronu*, przesunął dłoń po szorstkich płaskorzeźbach.

- Czy dobrze się czujesz, poszukujący? - dobiegł go z zewnątrz głos Odbarczającej.

Chel uśmiechnął się, słysząc odgłos odmykanych drzwi, i uchylił powieki, by ujrzeć wlewające się do środka światło lamp.

I wrzasnął.

Gdy tylko usłyszał krzyki, Słuchacz Eshlo przerwał swe medytacje i prędko wspiął się na platformę Kontemplacji, a stamtąd na Próg. Świeżo przepoczwazzeni dosyć często bywali przytłoczeni i zrozpaczeni, aczkolwiek taki wybuch płaczu zdarzał się rzadko. Gdy jednak Słuchacz wdrapał się na małą półkę, wyraźnie spanikowana Odbarczająca pomogła mu stanąć na nogi, po czym wskazała *vudron*. Drzwi komory stały otworem, a nagi, niezmienny Cheluvahar leżał skulony na progu, z głową pochyloną i skrytą w cieniu, z dygoczącymi ramionami, szlochając.

- Mój synu - powiedział Słuchacz - opanuj się, pohamuj swą żalność.

Szlochanie nieco przycichło.

- Ból... mistrzu, we wszystkim, co widzę...

Odbarczająca zacisnęła palce na ramieniu Eshlo.

- Jego oczy, mistrzu!

Eshlo napotkał jej przerażone spojrzenie, po czym odepchnął własny niepokój i sięgnął w dół, żeby wyciągnąć Cheluvahara z komory *vudron*. Uczony głośno krzyknął, zasłaniając twarz przed blaskiem lamp. Jednakże Słuchacz zdążył wcześniej dostrzec dwie pary nowych oczu rozmieszczone wzdłuż jego czoła, mrugające i załzawione.

- Siostrze Odbarczająca - powiedział Eshlo, z wielkim trudem opanowując drżenie głosu.

- Oderwij od twej szaty pas tkaniny; musimy zasłonić naszemu bratu oczy.

Kao Czi

Śnił chaotyczny sen o dyskusjach odbywających się w dziwnych, pogrążonych w mroku salach, a także o poszukiwaniu niewiadomych przedmiotów na zakurzonych, na wpół oświetlonych półkach, i we śnie tym bez wytchnienia umykał przed groźnymi ludźmi o psich głowach, w pościgu prowadzącym przez magazyny i kulisy nieznanego, olbrzymiego teatru. Potem znalazł się w ogromnym, przypominającym kawernę korytarzu, opadającym w stronę kolosalnych ognistych wrót, które były jedynym źródłem światła, jak również duszącego gorąca. Mijał go szereg wozów i ekipaży wypełnionych istotami należącymi do wszelkich możliwych gatunków - hałaśliwa, paplająca kawalkada, która wydawała się zupełnie nieświadoma tego, że zmierza ku płomienistej zgubie. Ruszył biegiem wzdłuż tego łańcucha pojazdów, oddalając się od płonącego portalu, krzycząc i próbując ich ostrzec, lecz nie zwracali na niego uwagi.

W miarę jak procesja przesuwała się obok niego i w dół, pojazdy stawały się coraz większe, przybrały postać statków międzygwiazdnych, hiperliniowców i frachtowców, barek wywożących śmieci i okrętów wojennych, a potem potężnych miastostatków i jeszcze ogromniejszych stacji orbitalnych w kształcie kół, stożków, helis lub gron. Później, choć zdawałoby się to niewiarygodne, do parady dołączyły całe planety i ich księżyce, przepływając majestatycznie obok niego, a ich zasnułe chmurami powierzchnie barwiła czerwonawożłota luna padająca z pieca, który na nie oczekiwał.

Potem Czi nagle znalazł się w jednym z wielkich otwartych powozów, zjeżdżających coraz szybciej w stronę gigantycznej, buchającej płomieniami paszczy. Nie było żadnej drogi ucieczki - otaczał go tłum niczego nieświadomych rozumnych istot, podczas gdy żar stawał się coraz większy, a palący blask zalał jego zmysły, oślepiając, parząc...

I wtedy Kao Czi się zbudził, rozciągnięty na drewnianej podłodze, ze związanymi rękoma i nogami. W twarz świeciło mu jaskrawe światło.

- Zbudziło się - oznajmił syczący głos. Słowa zostały wypowiedziane w gardłowym wariacie czteropeljańskiego, ale dzięki nanotranslatorowi otrzymanemu od Tumakriego młodzieniec był w stanie je zrozumieć.

- Świetnie - usłyszał drugi głos, głęboki i ochrypły. - Postawcie je na nogi i podciągnijcie mu tę opaskę na wysokość kolan. Może iść; ja go nie będę niósł.

Nadal świecąc mu prosto w oczy, jeden z porywaczy dźwignął go na nogi, po czym

przesunął opaskę krępującą tak, by zamiast kostek unieruchamiała kolana. Kao Czi był półprzytomny i obolały wskutek niedostatku snu oraz braku jedzenia - nie wiedział, jak długo tamci już go przetrzymują, ale domyślał się, że prawie dobę. Zamknęli go na cztery spusty w pomieszczeniu na piętrze rezydencji biednego Avriquiego i przez cały ten czas nie dali mu nic poza plastikową miską słonawej wody.

Teraz, gdy prowadzili go wzdłuż niskiego korytarza za sznur zasupłany wokół szyi, mógł się dokładniej przyjrzeć swoim strażnikom. Obaj należeli do rasy Henkayan - muskularnych, czwororękich humanoidów, którym ludzie nie dosięgali nawet do ramienia. Jednakże jeden z nich był nieco niższy od Kao Cziego, chuderławy i kulejący. To był ten z latarką, który nadal nie dbał o to, czy świeci nią więźniowi po oczach, i który nagle zorientował się, że Czi wpatruje się w niego. Nie odwracając się, Henkayanin przystanął i walnął go grzbietem dłoni w bok głowy.

- Czego ty patrzy, ludzki śmieciu?

- Zostaw to w spokoju - powiedział drugi. - Munaak chce je dostać nieuszkodzone.

- Ale ono gapi na mnie. Może rzuca klątwy z oczy.

- Wszyscy się na ciebie gapią, Grol, próbując zrozumieć, czemu jesteś taki brzydki.

Grol gniewnie potrząsnął latarką.

- Ty zamknie, Tekik, ty zamknie! Ty śmieciożerco...

- Przestań wlaszczyć - rozkazał Tekik, podnosząc groźnie głos - albo wepchnę ci tę latarkę w gardziel, a Munaak włada ci spikel do kloaki, jeśli w tej chwili nie ruszysz tyłka!

Kao Czi wpatrywał się w podłogę, ani razu nie podnosząc wzroku, gdy prowadzili go po wąskich schodach złożonych z wielu niskich stopni. Wcześniej, gdy leżał bezsennie w ciemności, niemal przytłoczyła go beznadziejność sytuacji - był zagubiony, z dala od domu, a jego jedyny towarzysz, Tumakri, prawie na pewno postradał życie, podczas gdy on sam tkwił we władzy bezlitosnych bandytów. Nawet gdyby jakimś cudem zdołał uciec, to wszystkie dokumenty paszportowe oraz karta identyfikacyjna statku były w kieszeni Rouga, podobnie jak gotówka oraz laseczki kredytowe. Jednakże te ostatnie, bez obecności żywego Cziego lub Tumakriego, będą bezużyteczne, niezależnie od tego, w czyje ręce wpadły - choć to nie stanowiło pociechy. Mimo to, jakimś sposobem, w miarę powolnego upływu godzin targający młodzieńcem mroczny lęk nieco zelżał, do czego przyczynił się cichutki głosik nadziei, argumentujący, że skoro pozostawili go przy życiu, musiał istnieć po temu jakiś powód.

Gdy dotarli na następne piętro, Cziego przeprowadzono prosto przez otwarte drzwi, za którymi widać było ciemność, do małego pokoju w kształcie klina, oświetlonego przez długą konsolę z ekranami i wyświetlaczami. Kilka masywnych, słabo widocznych sylwetek

zgrupowało się po obu stronach krzesła obrotowego z wysokim oparciem. Na przemian wleczony i popychany, Kao Czi został w końcu dociągnięty do tego krzesła, po czym zmuszono go do uklęknienia, na tyle blisko, że usłyszał dziwny dialog. Dwa głosy były pograżone w rozmowie, ale jednemu z nich towarzyszyło echo. Potem krzesło się odwróciło.

Para zaczerwienionych oczu o przeszywającym wzroku uważnie przyjrzała się młodzieńcowi. Należały do Henkayanina o zapadniętych policzkach, który - jak uznał Kao Czi - musiał być Munaakiem. Wypukłe soczewki ochronne sprawiały, że oczy te wydawały się większe niż w rzeczywistości, a bezwłosą skórę głowy przecinały krzyżujące się, pomarszczone, grube blizny. Henkayanin miał na sobie długie czarne szaty ozdobione śnieżnobiałymi symbolami i Kao Czi prawie przeoczył fakt, że obcemu brakuje obu rąk z prawej strony. Jednak do górnego ramienia przytwierdzone było coś innego - głowa.

- Oto istota ludzka, którą niechętnie objęliśmy ochroną - powiedział Munaak jedwabistym, głębokim głosem, a równocześnie głowa mamrotała i szeptała, szybko powtarzając za nim zdanie, ale mieszając kolejność fraz, podczas gdy skurczone, zwiędłe oczy pozostawały zamknięte. - Czy nada się do twoich celów?

Nad ramieniem Munaaka coś poruszyło się na jednym z ekranów - mroczny zakapturzony kształt na słabo widocznym tle: półki, stojaki, żółta poświata odbijająca się od szklanych i chromowanych przedmiotów.

- Moje... moje cele wymagają większej liczby tych stworzeń, a wy macie tylko jedno. - Głos zakapturzonej postaci brzmiał niewyraźnie i z lekka metalicznie. - Czy temu tutaj ktoś towarzyszył?

- Podróżowało z Rougiem, ale zabiliśmy go, zamiast pozwolić, by jakieś zębate szumowiny zyskały towar...

- Roug? - Mroczna postać odchyliła się do tyłu. - Stara rasa o dziwnych zdolnościach; czy nie ma obawy, że podejmą śledztwo, będą próbowali uzyskać zadośćuczynienie?

Munaak mruknął szyderczo.

- Stara rasa, ale słaba i bez sojuszników; nie zapuszczą się tak daleko. Teraz znasz już cenę. Zatem, czy zapłacisz?

Kaptur się pochylił.

- Zaraz uaktywnię transfer funduszy i zorganizuję transport okazu za trzy ody.

Obraz zniknął z ekranu, zastąpiony przez wirujące błękitne wzory. Munaak przez chwilę przyglądał się Kao Cziem swymi dużymi, lśniąco-czarnymi oczami, które nie mrugnęły ani razu, po czym przeniósł spojrzenie na dwóch strażników.

- Zabierzcie nasz okaz na dół, do hangaru - powiedział, podczas gdy głowa szeptała

oderwane słowa. - Zamknijcie go w magazynie, i żadnego zwlekania, obojętnie z jakiej przyczyny!

Kao Czi nie uniósł głowy i nie odezwał się ani słowem, gdy henkayańscy strażnicy szorstko i śpiesznie wywlekali go z pomieszczenia. Wcześniej poznał wartość milczenia, a teraz jedyne, co mógł zrobić, to zachować przytomność umysłu i ucześcić się kilku okrucich nadziei.

Ale teraz mój los zależy od tego, ile jestem wart jako jakiegoś rodzaju towar, pomyślał. To było jednak niemądre z naszej strony, że przybyliśmy tu tak lekkomyślnie; tam, gdzie nie obowiązują żadne prawa, słabi stają się cudzą własnością.

Żaden z eskortujących go stworów nic nie mówił, gdy prowadzili go pośpiesznie w dół po stromych schodach, gdzie płytki grawitacyjne położono bardzo nierówno. Wkrótce dotarli do masywnych, profilowanych drzwi ciśnieniowych, które otwały się, wpuszczając ich do ponurego hangaru o łukowato wygiętych ścianach. Wzdłuż jednej ze ścian biegł chodnik ułożony z gąbczastych, brudnych płytek grawitacyjnych, kończący się między wzmocnionymi rozpórkami, przy czymś, co wyglądało jak prostokątne pudło z oknem. Muskularny Tekik otworzył drzwi umieszczone w ścianie tej konstrukcji, zatrzymał się na chwilę, żeby zapiąć wokół kostek Kao Cziego jeszcze jedną opaskę krępującą, po czym wepchnął go do środka. Obrzucił wzrokiem zagracone wnętrze i dał krok w tył, ale zanim drzwi się zamknęły, chuderlawy Grol wetknął przez nie głowę.

- Ludzka śmieć powędruje do nowy właściciel - zadrwił. - Wkrótce zamarzy być z powrotem z dobre kumple Henkayanie; my nie naukowcy!

Wybuchnął rechotem, który urwał się raptownie, gdy wielka łapa złapała stwora za gardło i odciągnęła w tył. Drzwi zatrzasnęły się, zabrzmiało kliknięcie zamka, a potem oddalające się odgłosy sprzeczki; drzwi ciśnieniowe zamknęły się z cichym szcęknięciem i zahermetyzowały z sykiem. Cisza.

Kao Czi przekręcił się w ciemnościach na plecy i udało mu się dźwignąć do pozycji siedzącej, opierając się o ścianę. Czuł się wyczerpany i dygotał, ale spróbował ocenić otoczenie. Słaba błękitna poświata sączyła się z niedużej konsoli osadzonej w prawym dolnym rogu brudnego okna, a w miarę, jak jego oczy przyzwyczajały się do mroku, zaczął rozróżniać więcej szczegółów. Większa część podłogi była usiana tuzinami małych przedmiotów, przypuszczalnie częściami urządzeń, a powietrze cuchnęło zużytym smarem. Szafki stały otworem, ukazując rolki jakiegoś tajemniczego materiału oraz sterty narzędzi, drutów i gratów. Wielka podłużna metalowa butla, być może pojemnik na smar, była przymocowana do ściany ponad kilkoma rzędami narzędzi wiszących na hakach.

- Poszli sobie?

Zdumiony Kao Czi wstrzymał oddech, nagle czujny.

- Kto tam? - wymamrotał. - Gdzie jesteś?

- Najpierw wyrzyj przez okno i zobacz, czy któryś z tych kretynów nie stoi na straży.

Zgadując, że jego rozmówca może być ocalałym sługą lub pracownikiem Avriquiego, Kao Czi z wysiłkiem stanął na nogi i przysunął się do okna.

- Nikogo tam nie ma - powiedział. - Musieli pójść z powrotem...

- To dobrze. O jedną przeszkodę mniej do pokonania.

Blade, jakby wyblakłe światło zakwitło w małym pomieszczeniu, a Kao Czi, odwróciwszy się, ujrzał, że przymocowana do ściany butla migocze i przygasa niczym obraz na uszkodzonym wyświetlaczu. Potem w jednej sekundzie zmieniła się z dwumetrowego pojemnika o płaskich końcach w obiekt z grubsza przypominający kształtem hantle, mniej więcej metrowej wysokości. Słaby blask sączący się z projektorów mikropól podświetlał obdrapaną i poobijaną obudowę, gdy robot poszybował w stronę okna.

- Ładna sztuczka - powiedział Kao Czi. To był rozumny mech o niezwyklej konfiguracji, lecz miał w sobie coś znajomego...

- Projektacja kamuflująca - odrzekł mech. - Czasem się przydaje.

Młodzieniec doznał olśnienia.

- Ja cię już widziałem, na tym targu w dużym korytarzu, gdzie... - Zająknął się, bo z bolesną wyrazistością wróciło do niego wspomnienie ostatnich chwil Tumakiego.

- Ten Roug, którego wczoraj zabito, był twoim przyjacielem?

- Przyjacielem i towarzyszem podróży - odrzekł Kao Czi.

- I jesteś Człowiekiem. - Maszyna zrobiła pauzę. - Twoja rasa nadzwyczaj rzadko bywa w tych sektorach, lecz jest tu nad wyraz nielubiana.

- Na to wygląda - odparł. - Czy byłeś współpracownikiem Rupa Avriquiego?

- Mówiąc o nim, używasz czasu przeszłego, więc zakładam, że nikczemny Munaak pozbawił go życia, a teraz szuka nabywcy, który kupiłby ciebie...

- Już znalazł, jakiegoś naukowca.

- Ach, wiwisekjonistę, innymi słowy. - Mikropola mecha na moment wyświetliły migoczący wzór dyfrakcyjny. - Cóż, będę z tobą całkowicie szczery: jakkolwiek przelotnie znałem Avriquiego, nie można powiedzieć, bym był jego współpracownikiem. Jednakże, kiedy twój przyjaciel Roug wpadł w zasadzkę i został zabity w hali Nibril, znajdowałem się w pobliżu i przepędziłem te gomedrańskie hieny. Nawet z bełtem w głowie wciąż jeszcze był dostatecznie przytomny, by uprosić mnie, bym zabrał pewne przedmioty ukryte w fałdach

jego szaty, i cały czas powtarzał przy tym imię, mówiąc, że koniecznie muszę odnaleźć tę osobę, Gou-Czi. To ty, czy tak?

- Owszem, to ja - potwierdził Kao Czi.

- Możesz mnie nazywać Drazuma-Ha*, jakkolwiek moje pełne imię zawiera dźwięki o częstotliwościach, których twój gatunek nie jest w stanie słyszeć.

Ostatnia sylaba imienia mecha brzmiała jak metaliczne uderzenie jakiegoś dziwnego dzwonka, ale młodzieniec nic nie powiedział, tylko złożył krótki, formalny ukłon.

- Bardzo się cieszę, mogąc cię poznać, Drazumo-Ha*. Teraz, gdy już mnie znalazłeś, czy jesteś gotów pomóc mi w ucieczce?

- Z największą przyjemnością pomogę ci uciec nie tylko z tego pomieszczenia, ale i z tego rojącego się od idiotów złomowiska, jeśli tylko zabierzesz mnie ze sobą.

W umyśle Kao Cziego pojawiły się pytania - między innymi o to, czemu mech chciał się stąd wydostać i dokąd zmierzał - ale żadne z nich nie wydawało się pilne.

- Byłoby to nad wyraz mile widziane. Czy mógłbyś zacząć od usunięcia tych więzów?

Mikropola wyciągnęły się na kształt cieniutkich macek z wyższej i niższej wypukłości mecha, zabrzmiały ciche odgłosy jakby przecinania, a chwilę później kostki, kolana oraz nadgarstki Kao Cziego były wolne.

- Najserdeczniejsze dzięki - powiedział, próbując zignorować nieprzyjemne ukłucia, gdy krew znowu zaczęła normalnie krążyć w jego kończynach. - Jaki masz plan, gdy chodzi o opuszczenie tego miejsca? Czy będziemy musieli walczyć?

- To jest jedno z możliwych rozwiązań - odparł mech Drazuma-Ha*. - Jednakże trzeba przyznać, iż w moim odczuciu wydostanie się z hangaru w jednym z lugosywatorów Avriquiego wiązałoby się z mniejszym zagrożeniem dla naszego życia, zdrowia i obwodów.

Oczy Kao Cziego się rozszerzyły.

- W takim dziwnym wózku jak ten, w którym Tumakri i ja tu przyjechaliśmy? Czy one się nadają do podróżowania w próżni?

- Na upartego - odrzekł mech. - No cóż, musimy się tylko przedostać stąd do służby konserwacyjnej ogólnego użytku w pobliżu Drugiej Zatoki Dokowania, a z tym powinien sobie poradzić bez kłopotu.

- Jest mały problem - powiedział Kao Czi. - Rup Avriqui miał nam dostarczyć zestaw danych opisujących nasz kurs w hiperprzestrzeni dla następnego etapu podróży, zamierzał zresztą przebyć ten fragment trasy z nami. Te dane nadal muszą tkwić gdzieś w jego systemie... Może byłbyś w stanie uzyskać stąd dostęp do nich?

Mech milczał przez chwilę; w jego aurze wyświetliły się łańcuchy symboli

geometrycznych, które pulsowały łagodnym, perłowym światłem, a potem zniknęły.

- Ten układ sterowania - powiedział, wskazując mikropolowym wysięgnikiem na małą konsolę okienną - nie ma dostępu do wyższych funkcji przetwarzania danych znajdujących się w ładowni. Będę musiał wspiąć się do samej ładowni i liczyć, że znajdę w pobliżu jakiś terminal, nie napotykając po drodze żadnego ze zbirów Munaaka. - Maszyna podpłynęła do drzwi, które kliknęły i się otwały. - Zaczekaj tu, i bardzo proszę, żadnego hałasowania. - Opuścił magazyn i zbliżył się do drzwi ciśnieniowych, które otwały się, a później zamknęły za nim.

Kao Czi rozejrzył się w poszukiwaniu czegoś, co mógłby wykorzystać jako zaimprovizowaną broń, i wybrał automatyczny świder z długim trzonkiem oraz porządny, solidny dwuręczny młot do paneli. Zajęło mu to jakieś pięć minut. Przez następny kwadrans obgryzał z nerwów paznokcie, aż w końcu drzwi ciśnieniowe otwały się ponownie i Drazuma-Ha* wrócił do garażowej części ładowni.

- Masz ze sobą dane kursu? - spytał Kao Czi, wychodząc z magazynu.

- Owszem, lecz czas jest naszym wrogiem. Musiałem ogłuszyć jednego ze strażników, co oznacza, że wkrótce się zorientują, że go brakuje. Szybko, wespnij się tam do tych boksów, a ja tymczasem otworzę ich zamknięcia. I równie dobrze możesz wyrzucić ten mało wyrafinowany technicznie arsenał.

Wzruszając ramionami, Kao Czi odrzucił świder, ale zdecydował się zatrzymać młot. Potem ostrożnie zszedł z chodnika grawitacyjnego, złapał jeden z zamocowanych rzędem uchwytów i podciągnął się w nieważkości do otwartej teraz niszy, w której był zakotwiczony lugosywator o optymistycznie błękitnej barwie. Gdy młodzieniec zbliżył się doń, zaopatrzona w okienka kopuła wózka odskoczyła, a z magazynu dobiegł głos Drazumy-Ha*:

- Lepiej szybko wsiadaj, Gou-Czi; zdaje się, że musimy stąd czym prędzej odjechać.

Gdy tylko Czi znalazł się w środku, mały pojazd zadygotał i wystrzelił z wnęki, po czym skierował się w stronę żebrowanych wrót hangaru, zahermetyzowując się po drodze. Kao Czi, spychany w bok przez gwałtowne przyspieszenie, kurczowo trzymał się siedzenia, a jego umysł wypełniły spanikowane pytania: gdzie jest mech? Jak się steruje tym urządzeniem? I co jeśli z czymś się zderzy?

Z góry dobiegł głuchy stuk czegoś ciężkiego, spojrzawszy w górę, młodzieniec zobaczył metrowej długości kształt Drazumy-Ha*, który leżał na kopule wózka, przytrzymując się mikropolami rozciągniętymi na kształt sieci.

- Nie ma powodów do niepokoju, Gou-Czi. Króciutka podróż wzdłuż tej strony stacji i znajdziemy się z powrotem w środku, w drodze na twój statek.

Wrota hangaru rozsunęły się i zamrożona błyskawicznie para wodna zawirowała wokół nich migoczącymi kłębami, gdy wypadli w próżnię. Przez jedną zapierającą dech w piersiach chwilę zdawało się, że lecą przez miniaturową galaktykę, mijając wiry, skupiska i fale maleńkich błyszczących punkcików. Potem wózek obrócił się gwałtownie, gdy odpaliły silniki hamujące, i popędzili naprzód.

Zewnętrzny wygląd stacji Czarne Gniazdo stanowił dokładne odzwierciedlenie bałaganu, jaki panował w jej wnętrzu - labirynt wystających elementów konstrukcyjnych i kabli, pęczków rur, brył próżniokleju uformowanych w uchwyty, wypchanych po brzegi (i często dziurawych) siatek ze śmieciami, starych maleńkich dziurek otoczonych fantastycznymi brodami cienkich sopli. Zaimprovizowane kolejki linowe z profilowanymi siedzeniami zapewniały bezpieczny transport pomiędzy różnymi partiami stacji, a chmara różnej wielkości dronów, sond i botów fruwała wokół, wypełniając sobie tylko znane zadania. Wyglądało na to, że Drazuma-Ha* kieruje wózek w ślad za parą romboidalnych botów oznaczonych symbolem przedstawiającym czerwony uśmiechnięty księżyc, i kilka minut później znaleźli się wraz z nimi wewnątrz okropnie brudnego, powgniatanego bębna śluzy konserwacyjnej. Ten obrócił się wśród przeraźliwych zgrzytów i chrupotu metalowych części, kilkakrotnie rozbłysło jaskrawe światło, rozległ się głośny syk wpuszczanego powietrza i śluza otwarła się, ukazując zagracony, wąski warsztat oraz zaskoczonego botmistrza z rasy Bargalil, którego przysadzista sześcionożna postać była obwieszona pasami na narzędzia oraz woreczkami pełnymi różnych części.

- Pięknie dziękujemy za możliwość skorzystania z pańskiej śluzy - powiedział Drazuma-Ha*, gdy Kao Czi śpiesznie gramolił się z wózka. - Prosimy, by w dowód naszej wdzięczności przyjął pan ten doskonały, luksusowy model minitransportera.

Potem czym prędzej wybiegli z warsztatu, pozostawiając za sobą zadowolonego, lecz skonsternowanego Bargalila, wodzącego spojrzeniem od opuszczonego wózka do pustych drzwi i z powrotem.

- Musimy się pośpieszyć tak bardzo, jak tylko się da bez wzbudzania podejrzeń - powiedział mech, a w jego górnej części rozwarła się poprzeczna szczelina, z której wysunął się pęk przedmiotów: karty zezwalające na wejście na statek, identyfikator miejsca postojowego, laseczki kredytowe Tumakriego oraz gotówka. - Przy bramce bądź uprzejmy, zachowaj spokój, a jeśli obsługa z nowej zmiany zażąda dodatkowych opłat, zapłać bez protestów. Powiedz im, że podróżuję razem z tobą. Jeśli będą się domagali bardziej szczegółowych wyjaśnień, powiedz, że jestem wynajętym specjalistą od pomocy technicznej. Jeśli nie mają świadomości, jak istotne jest zachowywanie tajemnicy handlowej w takim

miejscu jak Czarne Gniazdo, z najwyższą radością oświecę ich w tej kwestii.

Na szczęście ich przejście przez kontrolę w porcie przebiegło gładko, a Kao Czi musiał jedynie zapłacić niezbyt wysoką kwotę „dodatkowej opłaty za członka załogi pozostającego na stacji”. Niemal zakręciło mu się w głowie z ulgi, gdy dotarli na drugą stronę bramek i pośpieszyli w dół, w kierunku różnowymiarowych portali. Idąc w ślad za świecą wskazówką, która zapaliła się na identyfikatorze, dotarli właśnie do jednego ze średniej wielkości owalnych wyjść, kiedy mech gwałtownie się zatrzymał; zerknąwszy wstecz, Kao Czi ujrzał, że urzędnicy przy bramkach gniewnie gestykują w stronę dwóch masywnych droidów, które przepchnęły się obok stanowiska odprawy.

W następnej chwili Drazuma-Ha* bezceremonialnie uniósł go w powietrze za pomocą pól presorowych, przyciskając go do swej obudowy z rękoma i nogami unieruchomionymi w wyprostowanej pozycji.

- Najmocniej cię przepraszam, Gou-Czi, lecz liczy się każda chwila!

Kao Czi wydał cichy okrzyk zaskoczenia, kiedy mech rzucił się wzdłuż kanału dokowania, nurkując i uchylając się, gdy wymijał innych pasażerów.

- Czy chciałbyś mi coś powiedzieć, Drazumo-Ha*? - zapytał głośno młodzieniec, kiedy zwolnili, żeby przepchnąć się obok rodziny gadziokształtnych Naszburów.

- Wyjaśnię wszystko - odrzekł mech - gdy już znajdziemy się na pokładzie i bezpiecznie ruszymy w drogę. Nie musisz jednak się obawiać; moje kłopoty absolutnie nie są powodem, by wątpić w moją uczciwość.

Miło z twojej strony, że mi to mówisz, pomyślał Kao Czi, gdy dotarli do okrągłych drzwi, które czytały jego identyfikator postojowy i otwały się, rozsuwając niczym kwiat.

Potem znaleźli się we wnętrzu elastycznego rękawa, słabo oświetlonego przez kilka pasków fosforyzującego tworzywa oraz reflektory zatoki dokowania, przefiltrowane przez mleczną membranę ściany. Uwolniony wreszcie z presorów mecha, Kao Czi, kopiąc i manewrując rękami, dopłynął do śluzy powietrznej *Kasztelana*, o której sądził wcześniej, że nigdy już jej nie zobaczy. Zbliżył klucz dokowy do panelu weryfikującego i przytrzymał go tam, wsuwając mały palec do otworu biosamplera.

Coś poruszyło się na zewnątrz, zasłaniając światło padające z najbliższego reflektora, a potem nagle zbliżyło się i zderzyło ze ścianą rękawa.

- Czy z reguły trwa to tak długo? - spytał Drazuma-Ha*, oczekujący teraz w bezruchu tuż obok.

Kao Czi spiorunował maszynę wzrokiem.

- Czy to kolejny z twoich kłopotów? Patrz, próbuje przeciąć rękaw, żeby się dostać do

środka!

W odległości metra czy dwóch od śluzy powietrznej statku coś ścisnęło i międkło wytrzymały materiał rękawa. Kao Czi wlepił wzrok w deformujący się plastik z paniką oraz narastającym poczuciem odrealnienia, nasilanym jeszcze przez łomot dobiegający od strony zamknięcia na drugim końcu rury. Potem, ku jego olbrzymiej uldze, panel weryfikatora zapikał i właz śluzy odsunął się. Grzeczność bynajmniej nie była dla młodzieńca priorytetem, kiedy wciągnął się przez otwór do środka, mając mecha tuż za plecami. Gdy już znaleźli się w środku, wcisnął guzik zamykający właz i chwilę później statek był zahermetyzowany.

- Pokaż mi drogę do konsoli pilotów - powiedział mech. - Musimy niezwłocznie odlecieć.

- Tędy - odparł Kao Czi. - Ale po co ten pośpiech, skoro jesteśmy już bezpieczni...

Gdy dotarli do głównej konsoli, usłyszał wyraźne, donośne stukanie oraz głucho uderzenia dobiegające z drugiej strony kadłuba.

- Kim są te droidy? - wymamrotał. - I czego chcą?

- Egzekutorzy - odrzekł Drazuma-Ha*. - Chcą ściągnąć stary dług. Chwileczkę.

Z aury mecha wystrzeliły macki mikropól, łącząc się z kilkoma portami interfejsowymi na konsoli. Komunikaty oraz symbole zamigotały falami na wyświetlaczach kokpitu, a jeden z ekranów pomocniczych rozwinął się ze swojej niszy, pokazując ujęcie kadłuba statku od zewnątrz, od spodu, w rejonie śródkręcia. Dziwna, kanciasta maszyna przycupnęła tam na kilku segmentowanych kończynach, a odbite światło padające gdzieś z tyłu ukazywało ją jako ciemną sylwetkę. Drugi ekran pokazał pozostałe dwa droidy, które obecnie znajdowały się wewnątrz rękawa i mozolnie posuwały w kierunku śluzy powietrznej. Potem z dołu, spod pokładu dobiegł słaby odgłos wiertarki.

- Właśnie przewierca pancerz - powiedział Kao Czi, siląc się na spokój.

Mech przez chwilę nie odpowiadał, potem stwierdził:

- Wszystko jest gotowe, Gou-Czi; czy mamy odlatywać?

- Bez zwłoki!

Kasztelan gwałtownie szarpnął i młodzieniec nagle zdał sobie sprawę, że powinien się przypiąć. Uczynił to pośpiesznie, nadal skupiając uwagę przede wszystkim na ekranach pokazujących widok z zewnętrznych kamer. Rękaw odczepił się od śluzy powietrznej i wycofywał z powrotem w głąb swojej obudowy wraz z wczepionymi w niego droidami. Trzecia maszyna nadal kurczowo trzymała się spodniej części kadłuba statku, a odgłos wiercenia nie ustawał. Na ekranie chaotyczna zabudowa stacji Czarne Gniazdo oddalała się, podczas gdy silniki manewrowe kierowały statek na właściwą trajektorię odlotu.

- Wkrótce znajdziemy się dostatecznie daleko, żeby można było bezpiecznie skoczyć w hiperprzestrzeń - powiedział mech. - Ale jest problem.

- Jaki problem? - spytał ochryple Kao Czi.

- Kurs hiperprzestrzenny, którego dane uzyskałem z systemu Avriquiego, miał nas zabrać na stację Bryag w pobliżu granicy indromańskiej, ale ustawione wartości zdezaktualizowały się już kilka godzin temu. Avriqui ewidentnie zamierzał zrekompilować dane tuż przed dołączeniem do ciebie i twego nieżyjącego towarzysza...

Kao Czi poczuł, że jego serce zamiera.

- Moglibyśmy wylądować we wnętrzu słońca albo w atmosferze jakiejś planety...

- Nie, zabezpieczenia, które ma ta jednostka, nie pozwolą na to - odparł Drazuma-Ha*. - Nie musielibyśmy się obawiać takich zagrożeń, ani też tego, które aktualnie przyczepione jest do naszego kadłuba - odzepiłoby się w momencie zainicjowania przez hipernapęd pierwszej fazy. Jednakże nie sposób przewidzieć, dokąd byśmy trafili.

- A jeśli to coś przetnie powłokę kadłuba, już po nas. - Kao Czi zacisnął dłonie na podłokietnikach fotela. - Zrób to!

- Jesteś pewien?

- Po prostu zrób to w tej chwili!

Na przednią szybę kokpitu nasunęła się osłona i młodzieniec wymamrotał krótką modlitwę do swoich przodków, gdy hipernapęd zebrał swe moce i cisnął *Kasztelana* w pustkę.

Greg

Zdażył się opuścić prawie dwanaście metrów wzdłuż południowego urwiska Ramienia Olbrzyma, dygocząc pod wpływem zimnego nocnego wiatru, kiedy jego kom zadzwonił. Greg zawołał do swoich współkonspiratorów Uvovo, Teso i Koluma, żeby przestali rozwijać linę, po czym odebrał połączenie.

- Greg Cameron.

- Cześć, Greg, tu Catriona. Pomyślałam, że do ciebie zadzwonię przed startem wahadłowca.

- A, dzięki, Cat, to, ee, bardzo miło z twojej strony.

- To co robisz teraz wieczorem? Zdaje się, że jesteś na zewnątrz....

- Och, po prostu oglądam kilka płaskorzeźb na kolumnach, próbuję dociec, czy są rytualne, czy ceremonialne... - Poczuł, że oblewa go zimny pot, głównie z powodu niemiłego uczucia, że zaraz zakręci mu się w głowie, gdy tak wisiał w ciemnościach z zawieszoną na szyi ręczną latarką, której światło padało na skalną ścianę tuż przed nim.

- Czekaj no - powiedziała Catriona. - Czy ty... cholera jasna, ależ tak! Złazisz po zboczu Ramienia Olbrzyma w środku nocy. Czyś ty kompletnie oszalał?

Greg westchnął. Poprzedniego dnia, po strzelaninie, pokazał Catrionie skany pokazujące korytarze oraz komory znajdujące się pod świątynią, i razem zaczęli planować, jak najlepiej będzie dotrzeć do otworu prowadzącego do środka. Ale potem zwierzchnictwo zażądało, żeby Cat wróciła na Niewiastę, więc Gregowi pozostało głowić się dalej samotnie nad skanami oraz zestawem zdjęć Ramienia Olbrzyma wygrzebanych z archiwum. Potem nadeszły wieści o zamachach bombowych, które przykuły jego uwagę na resztę dnia.

- Słuchaj, nic mi nie będzie, jestem bezpieczny, mój ekwipunek jest najlepszej jakości i przyjaciele mi pomagają - powiedział, machając do dwóch Uvovo, którzy uśmiechali się do niego z góry. - Bardziej się martwię o ciebie, prawdę mówiąc.

- U mnie wszystko w porządku. Udało ci się skontaktować z matką i braćmi?

- Tak, wszyscy są cali i zdrowi; żadne nie znajdowało się w pobliżu Placu Założycieli ani centrum sportowego Ros Dubh, ale od wczoraj nie mamy wieści od wuja Teo...

- Greg, wolałabym, żebyś dał sobie spokój z tą nocną ekspedycją i poczekał na światło dzienne.

Uśmiechnął się, myśląc: No proszę, naprawdę jej zależy. Wygląda to coraz lepiej.

- Oj tam, nie martw się, Cat - powiedział. - Mam na sobie uprząż wyposażoną w jakiś tysiąc pierścieni i mnóstwo tego grubego sznura, który wyrabiają Uvovo... - Od niechcenia pociągnął za linę. - To najzupełniej bezpieczna zabawa...

I właśnie wtedy skomplikowana klamra na jego plecach łącząca kilka pasków pękła. Wrzasnął, gdy huśnęło go w prawo i niżej, tak że zawisł prawie głową w dół. Ogarnięty zimnym przerażeniem zarejestrował, że latarka zsunęła mu się z szyi i poleciała w ciemność, ale skupił się przede wszystkim na tym, żeby się nie wysunąć ze zwojów upręży, które nadal oplatały jego nogi i lewą rękę. Dwaj Uvovo zaczęli doń wołać przestraszonymi głosami, lecz spróbował ich uspokoić - a potem zaklął, gdy dotarło do niego, że upuścił kom. Do tej pory zdążył już przyjąć pozycję bardziej zbliżoną do pionowej, kurczowo przytrzymując się liny bezpieczeństwa ręką w rękawiczce.

Bogowie, Cat miała rację! Chyba oszalałem, żeby się w to bawić...

Spojrzał w dół i już miał polecić Uvovo, żeby go wciągnęli z powrotem, ale zawahał się, wlepiając wzrok w mdło świecącą plamę na skale jakieś półtora metra niżej. Zagapił się na nią, wstrzymując oddech i nasłuchując... i, na samej granicy słyszalności, wychwyił cichutki głosik wykrzykujący jego imię. Catriona! Zaśmiał się nerwowo - jego kom najwyraźniej leżał na półce skalnej lub w splątanych gałęziach krzaka wyrastającego ze szczeliny w urwisku - po czym krzyknął do niej, żeby zaczekała minutkę czy dwie. Pośpiesznie umocował luźne paski zaciskami do liny bezpieczeństwa, żeby przynajmniej częściowo odciążyc uszkodzoną część upręży, po czym polecił Uvovo, żeby go opuścili. Powoli zniżył się w stronę źródła poświaty, które, zgodnie z tym, co widział, najprawdopodobniej znajdowało się wewnątrz niszy skalnej. Potem zrównał się ze światłem i zobaczył swój kom, spoczywający w płataninie zwiędłych, zeschniętych korzeni, które wysuwały się ze sporej dziury w ścianie urwiska.

Wyciągnął rękę, chwycił urządzenie i zobaczył, że Cat już się rozłączyła. Pośpiesznie wysłał jej komnotkę z informacją, że nic mu się nie stało, po czym włączył wbudowaną w kom małą latarkę i oświetlił nią wnętrze otworu. Przez moment gapił się w zdumieniu, po czym zachichotał - miał przed sobą niski korytarz opadający w dół i w głąb Ramienia Olbrzyma. Wejście było akurat takiej szerokości, by dało się wpełznąć do środka, co też Greg uczynił, zatrzymując się w połowie drogi, żeby ściągnąć uprząż, a następnie zawołać do Uvovo, żeby ją wciągnęli na górę. Kiedy powiedział im, że zamierza zbadać jaskinię, byli wyraźnie poruszeni i zaczęli go usilnie prosić, żeby zawrócił.

- Nic mi się tu nie stanie! - odrzyknął. - Po prostu przynieście z magazynku zapasową uprząż i nasłuchujcie, czy do was nie wołam.

- Stare miejsca są niebezpieczne, przyjacielu Gregu - zabrzmiała pełna napięcia odpowiedź Teso. - Proszę, bądź bardzo ostrożny.

- Będę, nie martwcie się!

Następnie skupił uwagę na korytarzu. Ten był dość wąski i ze sklepieniem umieszczonym nisko, niewiele powyżej przeciętnego wzrostu Uvovo. Ściany były gładko obrobione, o równych krzywiznach, podobnie jak otwór, przez który Greg wszedł. Świecąc latarką głębiej, był w stanie rozróżnić drugie podobne wejście, ale zupełnie zasłonięte przez gąszcz szkarłakolca, jak również nagromadzone, rozkładające się pozostałości martwych roślin. Tędy z pewnością szło się do tej komory, którą widział na skanach wykonanych przez *Heraklesa* i którą zamierzał dzisiaj odszukać.

Może to będzie bezpieczniejsze niż dyndanie w powietrzu, pomyślał, wyciągając maczetę, po czym zaatakował płataninę zarośli.

Korytarz ciągnął się przez kolejne dziesięć metrów czy coś koło tego, przegradzany w regularnych odstępach przez krzaki lub pnącza, które zakorzeniły się w warstwie ziemi pokrywającej posadzkę w pobliżu otworów. Greg zdążył się obficie spocić do czasu, gdy korytarz zakręcił, zmieniając kierunek: pod warstwami brudu i rozkładających się szczątków roślinnych z trudem dawało się rozróżnić pozostałości zniszczonych przez wodę schodów. Owady migotały i osiadały w wąskiej wiązce światła latarki. Kom zadzwonił dokładnie w momencie, gdy Greg zaczynał siec kolejną ścianę wysuszonych gałązek. To była Cat - wziął głęboki wdech i odebrał połączenie.

- Cześć, Cat!

- Dobra, co się, do cholery, stało?

- Ee, nic poważnego, po prostu zonglowałem komem...

- Niech to szlag, Greg, ja się... przeraziłam...

Usłyszał, że się zająknęła, i momentalnie pożałował beztroskiej odzywki.

- Przepraszam, Cat, nic mi nie jest, tylko ciut się przestraszyłem, kiedy pękła klamra, ale udało mi się naprawić uprzęż i teraz jestem wewnątrz Ramienia Olbrzyma, idę korytarzem prowadzącym w głąb góry.

- Jest tam bezpiecznie? - spytała. - Jak wygląda to miejsce?

Pokrótce opisał jej otoczenie i zapewnił, że nic mu nie grozi.

- Aye, no cóż, uważaj na dwuogony; lubią się gnieździć w ciemnych, wilgotnych miejscach.

- I zazwyczaj spotyka się je bardziej na północ - odparł. - Ale przyrzekam, że będę miał oczy naokoło głowy. Kiedy odlatuje twój wahadłowiec?

- Za mniej niż godzinę.

- Zadzwoń, kiedy dotrę do otworu - powiedział. - Czy obojętne dokąd prowadzi ten korytarz.

Gdy już oboje wymamrotali słowa pożegnania, kciukiem włączył z powrotem latarkę i znów zaczął siec maczetą martwą roślinność. Jakies trzydzieści minut później przerąbał, przekopał i przedarł się przez kilka barier ze splątanych korzeni, pnączy i krzaków, w większości uschniętych. Jego wysiłki wzbily chmury kurzu, który pokrył jego ubranie i włosy, gromadząc się też w bruzdach dłoni i na twarzy - Greg czuł się nieopisanie brudny i często kaszłał w mętym półmroku. Ale kiedy minął ostatnią kępę zarośli, wyszedł na płaski podest i ujrzał przed sobą duże kwadratowe drzwi osadzone w skale. Naprzeciwko nich znajdowało się półkoliste okno, zasłonięte kurtyną gęsto ulistnionych pnączy, z których część przedostała się do środka.

Za progiem drzwi rozciągał się korytarz, w którym panowały egipskie ciemności. Świecąc sobie latarką, Greg przeszedł jakies dwadzieścia kroków i natrafił na podwójny rząd kolumn, które całkowicie zagradyły drogę. Kolumny były kwadratowe i rozstawione blisko siebie, w taki sposób, że zupełnie zasłaniały to, co leżało za nimi. Marszcząc brwi, zadzwonił do Catriony.

- Dość długo ci to zajęło - powiedziała.

- Musiałem wykarczować kawałek dżungli - odparł. - Czy kiedykolwiek spotkałaś się z kwadratowymi kolumnami w budynku Uvovo? - Mówiąc, wyjął mały aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć.

- Nie, nigdy.

- No cóż, właśnie mam ich kilka przed sobą. - Opisał jej to, co widział, po czym obejrzał kolumny od góry i od dołu. - Wokół podstaw nagromadziła się solidna warstwa ziemi i kurzu, ale u góry, w suficie widać wyraźną szczelinę, tak, jakby te kolumny opadły w dół; może to taki prymitywny kamienny odpowiednik kraty spuszczonej w bramie twierdzy... czekaj, a to co?

Obejrawszy otwór wokół górnej części jednej z kolumn, pchnął ją, żeby sprawdzić, czy drgnie, i na kamiennej powierzchni natychmiast pojawiła się sekwencja czterech jaśniejących symboli, które zapaliły się jeden pod drugim, a potem kolejno zgasły. Chwilę później sekwencja powtórzyła się i Greg szybko zrobił więcej zdjęć, opisując jednocześnie Catrionie, co się dzieje.

- Jak wyglądają te symbole? - spytała Cat.

- W ogóle nie przypominają hieroglifów, których Uvovo używają teraz albo używali w

przeszłości. - Pochylił się, żeby przestudiować je bliżej. - Są złożone z prostych i łukowatych linii, z których jedne się krzyżują, inne nie.

- To mogą być ideogramy - powiedziała. - Ale co za technologia pozwala wbudować w kamień świecące symbole i nadal funkcjonuje tysiące lat później?

- Aye, ci starożytni Uvovo faktycznie mieli w zanadrzu niezłe sztuczki...

Nagle w korytarzu pojawiło się więcej światła, gdy na sąsiedniej kolumnie zapaliło się kilka trójkątnych symboli.

- Czemu nic nie mówisz? Greg, co się teraz dzieje?

- Na sąsiedniej kolumnie pojawiło się siedem trójkątów... czekaj, ten na samym dole zgasł, więc jest ich sześć...

- Hm, dziwne. Zapalił się znowu?

- Nie, i teraz zgasł następny, ten u samej góry, kiedy znowu pokazała się cała sekwencja tamtych czterech.

- Czekaj, u Uvovo trójkąt symbolizuje kategoryczne żądanie odpowiedzi, więc tamte cztery ideogramy... to może być jakieś pytanie, na które musisz odpowiedzieć, zanim wszystkie trójkąty znikną... tak myślę...

- Więc jak mam odpowiedzieć na to pytanie?

- Nie mam pojęcia. Ile trójkątów zostało?

- Dwa.

- Wynoś się stamtąd, Greg, ale już!

Odskoczył od kolumn i pognął w stronę wyjścia. Gdy biegł, od strony otaczających go skał dobiegł głuchy pomruk, a potem trzaskające odgłosy i seria donośnych, głuchych uderzeń. Kurz wzbil się kłębam, osiadając na jego butach i nogawkach spodni.

- Greg, nic ci nie jest?

- Nie - odparł. - A teraz zamierzam tam wrócić i sprawdzić, co się stało.

- Gdybym mogła sięgnąć przez ten kom...

- Jest więcej kolumn, Cat, tym razem jakieś piętnaście kroków od wejścia.

Nowa przeszkoda była identyczna z pierwszą, ale nieskazitelnie czysta, bez śladu nawianego wiatrem pyłu, fragmentów suchych liści czy trucheł owadów.

- Nie dotykaj ich, Greg. W ogóle się do nich nie zbliżaj. Przyrzeknij mi, że wrócisz na górę i poczekaasz do rana. Potem możesz pogadać z Foyle'em z Instytutu i ściągnąć tam jednego ze Słuchaczy, żeby sprawdzić, czy rozpoznają te symbole.

- Aye... w porządku, Cat - odparł, wracając w stronę wylotu korytarza. - Może masz rację. Wrócę na górę, odpocznę trochę.

- Dobra, to ty śpij dobrze, a ja... wyślę ci wiadomość, jak już dotrę do domu.

- Okej, bezpiecznego lotu.

Przez kilka chwil po tym, jak się rozłączyła, Greg stał w miejscu, uśmiechając się z namysłem i zastanawiając się, w jakim kierunku zmierza ta cała historia z Catrioną - jeśli w ogóle dokądś zmierza. Potem wzruszył ramionami.

Ciężko ocenić, teraz, kiedy już wyruszyła z powrotem na Niewiestę, pomyślał. A co się tyczy tej zagadki... może zaczekam na Chela, sprawdzę, co on sądzi o tych symbolach, a kiedy już będę miał coś konkretnego, wtedy powiem Foyle'owi z Instytutu...

Po raz ostatni poświecił wbudowaną w kom latarką za siebie, w głąb korytarza, przyglądając się badawczo majaczącym w mroku kolumnom. Potem zobaczył coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi - że ściany są pokryte znajomym, chętnie używanym przez Uvovo wzorem kropel deszczu, płytko wyciętym w kamieniu. Tyle że tutaj krople były ustawione w poprzek, jak gdyby napływały w głąb Ramienia Olbrzyma.

I było coś jeszcze, dodatkowy szczegół, jakiego Greg nie widział nigdy wcześniej; każda kropla miała w środku okrągłą kropkę, upodabniającą ją do oka, i im dłużej się w nie wpatrywał, tym bardziej faktycznie przypominały mu oczy, setki, tysiące oczu pokrywających obie ściany, pędzących tłumnie ku sercu Ramienia Olbrzyma.

Chel, stary przyjacielu, pomyślał, ponownie wyjmując aparat, mam nadzieję, że zdołasz mi pomóc rozszyfrować tę zagadkę, zanim będę musiał powiadomić o niej Instytut!

Szesnaście godzin po wybuchu bomby na Placu Założycieli, godzinę lub więcej przed świtem, Teo i kilku innych szli śpiesznie ulicami Wysokiego Lochiel. Rory stale pozostawał w kontakcie z drużynami obserwującymi dom, a Iwanow, Hansen i Forshaw stanowili zbrojną eskortę; długie płaszcze kryły ich półautomatyczną broń. Teo również był gotów do walki - przy pasie miał myśliwski rewolwer, kaliber 48.

- Daleko jeszcze, Rory?

- Nie, majorze. Dom leży czy przecznice stund i wejdziemy przez tylne drzwi budynku stojącego po drugiej stronie drogi. Nasz główny postyrunek obsyrwacyjny jest na górnym pintrze.

- Ile wyjść? Kto je obstawia?

- To czypintrowy dom z pokojami do wynajęcia, dwa wyjścia - drużyna Fyfe'a obstawia to od ulicy, a Brunni jest z tyłu ze swymi chłopakami i snajperem.

- Kto dziś tam wchodził i wychodził?

- Dwie kobity weszły jakimś godzinkę temu; Benny mówi, że obie były zdrowo narombane, widać wracały z przyjencia; a krótko po nich mężczyzna. Nasz chłoptaś cały czas siedział w swoim mieszkaniu i siedzi tam nadal.

- Dobra, powiedz Fyfe'owi i Brunniemu, że wchodzimy w ciągu następnych dwudziestu minut.

To karabin ich tutaj doprowadził. Jego numer seryjny datował się wstecz do czasów Przewrotu Zimowego i pochodził z rządowego transportu broni, który ludzie Wiktora Ingrama zdobyli tuż przed tym, zanim mała armia Teo Karlssona wmaszerowała do Hammergeardu i zajęła budynki Zgromadzenia. Po tym, jak Teo się poddał, a Ingram popełnił samobójstwo, transport ten został rozdzielony i ukryty w rozmaitych lokalizacjach, z wyjątkiem jednej transzy, którą kurierzy wyrzucili do morza podczas nieudanej próby przerzutu na północ, bo ścigał ich patrol straży przybrzeżnej. Dwaj uczestnicy tego incydentu, Grieve i Orłow, rzekomo zginęli później w pożarze budynku mieszkalnego w Trondzie. Broń, która przetrwała, lata później skończyła jako część aktywów Teo. Jednakże Rory miał spis numerów seryjnych wszystkich aktywów i odkrył, że ten konkretny karabin z celownikiem pochodził z brakującej transzy broni, która rzekomo miała spoczywać w morzu na wschód od Nowego Kelso, na głębokości ponad sześćdziesięciu metrów. Teraz wydawało się mało

prawdopodobne, że w ogóle zostały wyrzucone do morza, ale numer seryjny karabinu nie dostarczył żadnego użytecznego tropu.

Więcej szczęścia mieli z celownikiem. Był zrobiony na zamówienie, ale nie miał żadnego znaku wytwórcy, w związku z czym Teo odwiedził zadymiony bar traperów w portowej dzielnicy Hammergardu. Tam stary myśliwy o ogorzałym obliczu, nazwiskiem McTavish, obejrzał zdjęcia, których Karlsson przywiózł ze sobą całą aktówkę, po czym zidentyfikował rzemieślnika jako Maksyma Lirmenowa, optyka z Wysokiego Lochiel. Teo i Rory przejechali następnie pięćdziesiąt sześć kilometrów Północną Autostradą do Wysokiego Lochiel, docierając na przedmieścia wczesnym wieczorem. W sklepiku Lirmenowa wciąż jeszcze paliło się światło, a gdy tylko weszli, Rory poznał, że optyk to nikt inny, jak Kazimir Orłow, jeden z rzekomo martwych ludzi Ingrama.

Z pistoletem automatycznym Rory'ego przyciśniętym do karku Orłow szybko się załamał i przyznał, że sprzedał opatrzony celownikiem karabin mężczyźnie nazwiskiem Denisow. W księdze sprzedaży był jego adres, ale Orłow przyznał, że adres ten jest prawdopodobnie fałszywy; wracając poprzedniego wieczoru od klienta w północnej części miasta, przypadkiem zobaczył Denisowa, jak ten otwiera sobie kluczem drzwi obskurnego hotelu robotniczego. Mając ten adres, Teo kazał Janssenowi ściągnąć tam paru miejscowych zaufanych ludzi, żeby mieli oko na budynek, podczas gdy Rory odkomenderował tam kilku chłopaków z Ładowiska i Gagarina.

Posterunek obserwacyjny mieścił się w nieużywanym biurze na czwartym piętrze sypiącego się budynku, który wznosił się między składem drzewnym a niskim magazynem. Schody oświetlało kilka wąskich pasków z fosforyzującego tworzywa, natomiast egipskie ciemności panujące w pokoju rozjaśniała tylko stojąca na podłodze czerwona lampka. Gdy weszli, drobny mężczyzna w wełnianej czapce odwrócił głowę od lunety ustawionej na trójnogu przy oknie.

- Witam, Rory, majorze Karlsson. Chcieliby panowie popatrzeć? - zapytał, wstając ze stołka o trzech nogach.

- Dzięki, Benny - odparł Teo, zajmując zwolnione miejsce. - Coś się zmieniło?

- Nie, majorze, wciąż tam tkwi. Siedzi i czyta, popijając herbatę, jakby na coś czekał.

- Albo na kogoś - powiedział Rory i zachichotał. - Na przykład na kobitkę!

Teo nachylił się z półśmiechem nad lunetą.

- Wątpię, żeby podejmowanie takiego ryzyka było w jego stylu.

Przez soczewki ujrzał okno na trzecim piętrze; wzorzyste zasłony były niemal w pełni rozsunięte, a chudy, żyłasty mężczyzna siedział rozparty wygodnie w fotelu, czytając

egzemplarz miesięcznika „Granie i Brzegi”. Denisow miał na sobie czerwoną koszulę z krótkim rękawem i ciemne spodnie, a z kubka stojącego na pobliskim stole wznosiły się smużki pary.

- I cały czas tylko tak siedzi? - spytał Teo, marszcząc brwi.

- Owszem, gdzieś od godziny.

Teo zastanawiał się chwilę, po czym kiwnął głową.

- Dobra, myślę, że nie powinniśmy dłużej czekać. Rory, powiedz Fyfe’owi i Brunniemu, żeby przygotowali się do...

W tym momencie mikrofony Rory’ego i Benny’ego ożyły wśród trzasków.

- Aktywność na tyłach - przemówił ktoś. - Gość w niebieskich roboczych ciuchach właśnie wyszedł przez drzwi; niesie skrzynkę z narzędziami i teraz wyciąga z szopy rower...

Mrużąc oczy, Teo spojrział przez lunetę.

- Denisow nadal tam jest.

Ale coś tutaj nie gra. Poprosił gestem, żeby Benny podał mu swój mikrofon, i wcisnął guzik odpowiedzi.

- Brunni, tu Karlsson; opisz mi tego człowieka.

- Niski, krępy, łysiejący; wygląda nieszkodliwie, ale mogę kazać jednemu z chłopaków go zgarnąć, jeżeli pan chce.

Teo wpatrzył się w człowieka używającego nazwiska Denisow; ten spokojnie upił łyk napoju i przewrócił kartkę.

- Puśćcie go - powiedział. - Nie chcemy przedwcześnie zaalarmować Denisowa.

- Dobrze... właśnie odjeżdża.

- Okej. Brunni i Fyfe, podprowadźcie swoich ludzi do przednich i tylnych drzwi. Gdy obaj znajdziecie się na pozycjach, wchodźcie: zróbcie co w waszej mocy, żeby zgarnąć Denisowa żywego.

- Zrozumiałem.

Teo wstał, żeby lepiej widzieć ulicę, i podniósł swoją lornetkę, żeby nie spuszczać z oka ich celu. Trzej mężczyźni zmierzali w stronę głównego wejścia, ich długie płaszcze znowu zasłaniały broń przed wzrokiem ewentualnych przypadkowych świadków. Teo patrzył, czując, jak zaciska mu się żołądek, gdy słuchał głosów osób porozumiewających się cicho przez mikrofony. Jeden z trójki pogrzebał w zamku wytrychem, drzwi się otwarły i chwilę później byli już w środku.

- Pamiętajcie, chcemy go żywego - powtórzył Teo, znów unosząc lornetkę do oczu.

Denisow wciąż siedział w fotelu, czytając i popijając z kubka. Niepokój Karlssona

zaostrzał się w miarę, jak otwarte kanały przekazywały komunikaty od drużyny, która skradała się teraz w górę po schodach. Denisow nie zmienił pozycji i Teo miał właśnie zarządzić pauzę, kiedy w domu jakaś kobieta zaczęła wrzeszczeć. Denisow nawet nie drgnął. Ogarnięty przerażeniem Teo zaczerpnął tchu, by dać rozkaz wycofania się, kiedy górne piętro budynku z potężnym hukiem stanęło w płomieniach.

Karlsson instynktownie osłonił się ramieniem, gdy eksplozja zdarła część dachu hotelu robotniczego i wysadziła ściany mieszkania Denisowa. Okna pokoju obserwacyjnego zdrząły pod wpływem podmuchu, kilka szybek wyleciało. Kiedy Teo się wyprostował i wyrzwał na zewnątrz, na górnym piętrze budynku szalał ogień.

- Boże święty, pułapka! - stwierdził ogarnięty zgrozą Benny. - To była pułapka...

Teo zignorował go i warknął do mikrotelefonu:

- Wszystkie drużyny zgłosić się! Bruni i Fyfe, zgłóście się!

- Panie majorze... tu Uwarow. Bruni i Fyfe nie żyją. Mamy trzech rannych, tylko mnie i Dewarowi nic się nie stało, ale na górze są uwięzieni ludzie. Mamy po nich iść?

Teo oblizwał wargi i mocniej zacisnął palce na mikrotelefonie. Przez okno słyszał rozdzierające krzyki.

- Zróbcie, co się da, ale schowajcie broń. Rory jest w drodze do was, Benny też... - Podniósł wzrok i ujrzał, że Benny wybiega pędem z pokoju w ślad za Rorem. - Służby ratunkowe powinny być na miejscu lada chwila, więc oficjalna wersja jest taka, że pytaliście o pokoje do wynajęcia, kiedy nastąpił wybuch, okej?

- Zrozumiałem, panie majorze.

- I powiedz mi, kto to wrzasnął?

- Jakaś kobieta otworzyła drzwi naprzeciwko mieszkania Denisowa i widocznie zobaczyła naszą broń; zaraz potem wszystko wyleciało w diabły.

Na zewnątrz wyły alarmy, jedne w płonącym budynku, inne w sąsiednich. Potem zabrzmiały pulsujące syreny wozów strażackich.

- Rory już do was dotarł?

- Właśnie się zjawił, panie majorze. Zabrał wszystkie pistolety i radia.

- Dobra, oddaj mu swój sprzęt, kiedy się rozłączę, i nie zapomnij trzymać się oficjalnej wersji.

- Tak jest.

- Rory, miejscowa policja zjawi się tu lada chwila, więc ty i Benny wracajcie tutaj i zaczekajcie przy tylnych drzwiach. Spakuję ekwipunek i zaraz do was dołączę.

- Tajest, majorze. Już idziemy.

Teo odłożył mikrotelefon, wsunął lornetkę do kieszeni i zaczął demontować lunetę.

Ten mężczyzna w niebieskim roboczym ubraniu to był Denisow, pomyślał ponuro. Nie ma wątpliwości. Kiedy już oddalił się na bezpieczną odległość, na pewno patrzył, jak moi ludzie wchodzi do budynku, a potem odczekał kilka chwil, zanim odpalił ładunek, tylko po to, żeby maksymalnie zwiększyć liczbę ofiar.

Co zatem oglądał Benny przez ostatnie parę godzin? Może jakiś hologram wyświetlany przez urządzenie pochodzące spoza Dariena? Jeśli tak, prawdopodobnie było ono zaprogramowane na samozniszczenie w momencie, gdy wybuchł główny ładunek, nie pozostawiając żadnych śladów, żadnych dowodów.

Upchnąwszy wszystko w ciężkim plecaku, Teo zarzucił go na ramię, podniósł czerwoną lampkę i skierował się do drzwi. Rory i Benny czekali zaraz obok tylnego wyjścia, a gdy cicho wyślizgnęli się w noc, zaczął się zastanawiać, jak wytłumaczy to wszystko Sundstromowi. Oraz, co ważniejsze, rodzinom swoich martwych podwładnych.

Choć miał na sobie zapiętą szczelnie kurtkę z wełnianym ociepleniem, zadrżał, opierając się o spękany mur starożytnych fortyfikacji i spoglądając w dół, na zamgloną przybrzeżną równinę. Ranek był szary, a powietrze zimne i wilgotne po nocnych deszczach.

- Jest bardzo źle? - zapytał brata.

Kapitan Ian Cameron, ubrany w połowy mundur maskujący, oparł stopę w wysokim bucie o dno nisko położonego otworu w murze.

- Mnóstwo podejrzliwości - odrzekł. - Ludzie w miasteczkach za nic nie chcą ufać podróżnym ani obcym, nikomu, kto się w zauważalny sposób wyróżnia z tłumu.

- Ten opis pasuje do większości myśliwych i traperów z odległych terenów, jakich kiedykolwiek spotkałem - odparł Greg.

Ian się uśmiechnął. Był najstarszym z trójki braci, wyższym i smuklejszym niż Greg, i od zawsze najbardziej aktywnym fizycznie z nich wszystkich.

- *Aye*, niektórzy już padli tego ofiarą. Znaczący, same zamachy bombowe są już wystarczająco okropne, ale wczoraj wieczorem w Gagarinie odbył się protest uliczny wspierający tę całą Frakcję Wolny Darien, co naprawdę wkurzyło paru miejscowych.

Greg pokręcił głową.

- Kim byli protestujący?

- Garstka nawiedzonych studenciaków wymachujących transparentami, zaledwie kilka tuzinów, ale narobili mnóstwo hałasu, idąc w dół alei Tylermana. Wytrąciło to z równowagi miejscowych, którzy zaczęli szykować broń, ale na szczęście policja szybko zmusiła protestujących do opuszczenia miasta. - Ian potarł kark. - Potem zeszłej nocy w Wysokim Lochiel wyleciał w powietrze ten hotel robotniczy. Niedobrze.

Przez chwilę obaj milczeli.

- Aż trudno uwierzyć, że duch wspólnoty jest tak słaby - powiedział Greg.

- Mogłoby być gorzej - odrzekł Ian. - Rozmawiałem wczoraj z paroma starymi norweskimi traperami, takimi prawdziwymi wikingami ze wzgórz, i opowiedzieli mi kilka anegdot z czasów Przewrotu Zimowego. Przypomniały mi się niektóre z historyjek, jakie opowiadał dawniej wujek Teo - wtedy nie traktowałem ich poważnie, ale teraz...

- Tak w ogóle, to gdzie on jest? - spytał Greg. - Nie miałem od niego żadnych wieści od czasu tej strzelaniny tutaj, mama też nie, więc okropnie się zamartwia.

Ian skinął głową.

- Oficjalnie jest specjalnym doradcą kancelarii prezydenta, ale nie ma wątpliwości, że coś kombinuje razem z Charakternymi i że ma to coś wspólnego z tymi zamachami bombowymi. - Omiótł spojrzeniem ruiny świątyni. - Biuro Sprawiedliwości wprowadziło podwyższone środki bezpieczeństwa w kilku miejscach, w tym tutaj, nie tylko ze względu na twoich gości.

Greg zerknął przez ramię na łączkę rozciągającą się dość daleko na tyłach głównej części ruin. Rozstawiono tam kilka daszków na użytek tuzinów Uvovo, którzy zebrali się w tym miejscu, czekając na przybycie Słuchacza, który miał się stać przywódcą tego nowego odgałęzienia: Uvovo-Rzemieślników. Greg wiedział, że Słuchaczem tym miał być Chel, ale wiedział też, że rytuał przepoczwarczenia radykalnie zmieniał wygląd zewnętrzny Uvovo, a niekiedy również i osobowość. Czy ten nowy Chel będzie choć trochę przypominał dawnego, i czy w ogóle rozpozna Grega?

Właśnie wtedy podszedł do nich kapral z listą uzupełnień, którą Ian przeczytał i podpisał.

- W naszą stronę zmierza mały sterowiec z północy - powiedział Gregowi, gdy żołnierz odszedł szybkim krokiem. - To powinien być ten ich Słuchacz. Powiem tylko naszemu łącznościowcowi, żeby dał znać w kwaterze głównej kompanii.

Gdy Ian się oddalił, Greg zebrał się w sobie i wyprostował. Przynajmniej z polecenia Instytutu w okolicy nie kręcili się żadni reporterzy, za co był wdzięczny losowi. W relacji Lee Shana ze strzelaniny, w której zginął sendrukański asystent, środki bezpieczeństwa podczas uroczystości zostały przedstawione jako amatorskie i nieskuteczne, mimo że na miejscu była obecna gwardia osobista Kurosa. Znalazła się tam również migawka z wymiany zdań, do jakiej doszło między Gregiem a komandosami Ezgara, zawierająca wszystkie jego złośliwe żarciki. Nawet jeśli istniała nadzieja, że Ezgarowie i pozostali innoświatowcy nie załapią sarkazmu, to widzowie na Darienie oraz na Ziemi bez wątpienia wszystko zrozumieli. A wkrótce potem, rzecz jasna, padły strzały.

No cóż, nie był to sposób na radykalne zwiększenie swojej popularności, pomyślał, idąc do swojej chatki, żeby się przebrać.

Piętnaście minut później sterowiec w kształcie cygara podpłynął do zepstacji; warkot jego silników ścichł, gdy zarzucano cumy. Maszyna kołysała się lekko nad platformą, jej wydęty zbiornik gazu w porannej mgielce wydawał się jasnoszary. Greg był w stanie rozróżnić małą grupkę wysiadających zakapturzonych postaci; część spośród nich skierowała się pieszo szeroką ścieżką pod górę, kilka zaś ruszyło naprzód jednym z dostępnych na

miejscu samochodzików terenowych. Do czasu, gdy pojazd dotarł do wejścia na teren ruin, Greg i jego brat już stali obok Słuchacza Genusula, a na twarzach wszystkich w mniejszym lub większym stopniu malowało się wyczekiwanie.

Z pojazdu wysiadły trzy zakapturzone postacie; ostatnią z nich był Chel, który, ku uldze Grega, nie wydawał się zmieniony ani fizycznie, ani psychicznie. Jednakże reakcja stojącego obok Słuchacza była wyraźnie odmienna; na jego wychudłej twarzy odmalowało się zatroskanie graniczące niemal z bólem. Chel podszedł do niego w pierwszej kolejności, powiedział coś cicho nagłym tonem, po czym obrócił się w stronę Grega.

Pozytywne uczucia tego ostatniego ochłodziły, a jego uśmiech przygasł. Fizycznie Chel wydawał się niezmienny, ale jego rysy były ściągnięte, a oczy spoglądały posępnie i ostro, jak gdyby znajdował się pod olbrzymią presją. Tuż nad oczami, na czole, miał zawiązany ciasno pasek ciemnej tkaniny i Greg zaczął się zastanawiać, czy nie jest to przypadkiem opatrunek.

- Witaj, przyjacielu Gregori - powiedział Uvovo ze słabym uśmiechem. - Dopiero co dowiedziałem się o tych zamachach bombowych; mam szczerą nadzieję, że twoja rodzina jest bezpieczna.

- Są bezpieczni, Chel; moja matka melduje mi prawie co godzina, co robią. Mojego brata Neda ściągnęli do pomocy w jednym ze szpitali, do którego zabrano dużą część rannych. - Zawahał się. - A jak ty się miewasz? Wyglądasz mniej więcej tak samo jak wcześniej, tylko sprawiasz wrażenie, że przydałoby ci się parę dni snu.

Rozbawienie nieco złagodziło zmęczoną, napiętą minę Uvovo.

- Tak, przepoczwarczenie nie przebiegło do końca zgodnie z oczekiwaniami, czy to moimi, czy kogokolwiek innego. Niemniej, odcisnęło swój ślad... - Chel zamilkł na moment, gdy jeden z zakapturzonych towarzyszy dał mu znak. Skinął głową i kontynuował: - Gregori, niestety, będziemy musieli wrócić do tej rozmowy później, teraz bowiem muszę się udać na niezmiernie ważne zebranie.

- Rozumiem. Chętnie posłucham później o twoich podróżach.

- Obiecuję, że wyjaśnię, ile tylko będę mógł - powiedział enigmatycznie Chel. - Do zobaczenia później.

Przez następne trzy godziny, a może i dłużej, Greg przeglądał stos sprawozdań z badań terenowych, przedłożonych przez zespoły uczonych Uvovo, którzy badali doliny na północny zachód od gór Kentigern. Od czasu do czasu musiał przejść się do dużej chatki, gdzie przechowywano próbki materiału biologicznego, by przyjrzeć się temu czy innemu okazowi - normalnie poprosiłby autorów sprawozdań o przyniesienie tego, co chciał oglądać, ale byli

teraz na zebraniu tych całych Uvovo-Rzemieślników. Gdy tak kursował tam i z powrotem, widział, że liczba uczestników stale wzrasta, w miarę jak nowi schodzili z gęsto zalesionych grzbietów wznoszących się na zachodzie. Wyglądało na to, że toczy się mnóstwo dyskusji; grupki przechadzały się tam i z powrotem, samotni mówcy zwracali się do niewielkich skupisk słuchaczy, gromadki Uvovo przemieszczały się pozornie bez celu. Na szczęście pogoda przez większość czasu była dobra, tylko raz spadł lekki, przelotny deszcz, odświeżający powietrze i sprawiający, że wszystko błyszczało w słońcu, które wkrótce potem zaczęło wyglądać zza rozchodzących się chmur.

W końcu młody Uvovo o szeroko otwartych oczach przyniósł wiadomość od Chela, który prosił, aby Greg spotkał się z nim za pół godziny w rejonie wykopalisk znanym jako Klatka Schodowa. Greg wykorzystał pozostały do spotkania czas na to, żeby zjeść przegryzkę w postaci kanapek z szynką *baro* oraz gramidorem, słuchając przy tym wiadomości w radiu, a potem, choć do wyznaczonej pory brakowało jeszcze kilku minut, zdecydował się mimo to ruszyć we wskazane miejsce.

Klatka Schodowa stanowiła doskonały przykład problemów, jakie wiązały się z prowadzeniem wykopalisk na Ramieniu Olbrzyma. Rzeczywiście znajdowały się tam schody - dwa ich ciągi sięgały poniżej wyłożonego kamiennymi płytami dziedzińca, ale niżej zaimprovizowano dalsze stopnie z połamanymi fragmentami muru odsłoniętych przez archeologów, którzy pracowali tu wcześniej. Ponieważ wewnątrz struktury było niestabilne, pełne pustych przestrzeni, pionierzy ci odkryli, że gdy próbowali drążyć głębiej, podparte belkami ściany ich wykopów szybko stawały się narażone na potencjalnie groźne w skutkach zawalenia. Po kilku takich przygodach, z których jedna, parę dekad wcześniej, kosztowała ludzkie życie, dolne dziesięć metrów dwudziestometrowej dziury zasypano ziemią i przykryto deskami. Dalsze próby eksploracji ograniczono do badań stratyfikacji oraz wydrążenia kilku, z ostrożności płytkich, bocznych rowów.

Kiedy Greg dotarł na miejsce, Chel już tam był; siedział na ławce w jednym ze starszych bocznych wykopów, tuż poza zasięgiem niknącego co chwila za chmurami słońca. Uniósł dłoń w powitalnym geście, gdy archeolog zszedł po kilku ostatnich stopniach i dosiadł się do niego.

- Chel, mógłbym powiedzieć, że świetnie wyglądasz - powiedział. - Ale nie byłaby to, uczciwie rzekłszy, prawda.

- Prawda, przyjacielu Gregori, jest taka, że czuję się gorzej, niż wyglądam - odparł Uvovo ze zmęczonym uśmiechem.

- Czy wasze zebranie było udane?

- W ostatecznym obrachunku tak. Konieczne okazało się przewyciężenie wielu wątpliwości oraz większej dawki nieufności i pesymizmu, niż przewidywałem. - Popatrzył w górę, na poszarpane chmury. - Spodziewali się ujrzeć w pełni rozwiniętego Słuchacza, a w zamian dostali... coś innego.

Obróciwszy się przodem do Grega, zaczął opowiadać o swej wizycie w lesie potomnym Tapiola. Greg słuchał uważnie, początkowo zafascynowany rytuałem przepoczwarczenia oraz wynikłym z niego halucynacyjnym transem. Gdy jednak Uvovo opowiedział o tym, jak ujrzął wizję przeszłości i usłyszał w swej głowie głos Segrany, Greg zaczął się zastanawiać, czy narkotyki trwale wpłynęły na jego umysł - Chel wydawał się przekonany, że te doświadczenia nie były fantastycznymi wytworami jego mózgu, tylko pochodziły z zewnątrz, od Segrany.

Chel zamilkł i patrzył na niego przez chwilę.

- Wcześniej duża liczba moich braci i siostr była zdania, że jakaś część mnie nadal pozostaje pod wpływem żywicy przepoczwarczenia. Czy sądzisz, że postradałem rozum?

- Chel, według mnie zachowujesz się najzupełniej racjonalnie; nie byłbym skłonny wygłaszać osądów, póki nie skończysz opowiadać. Co się z tobą stało tam w środku? Dlaczego nie przemieniłeś się w Słuchacza?

Chel posłał mu pełen namysłu uśmiech.

- Ponieważ stałem się czymś innym.

Zsunął kaptur, sięgnął w górę, żeby rozwiązać ciemnoszary bandaż, i zdjął go.

Greg zagapił się z otwartymi ustami na rząd czworga zamkniętych oczu na czole Chela. Gdy tak patrzył, powieki zewnętrznej pary zatrzepotały i uniosły się; w tym czasie środkowa para oraz własne, pierwotne oczy Chela pozostały mocno zaciśnięte. Nowe oczy obróciły się, żeby popatrzeć na Grega, który uśmiechnął się niepewnie.

- Co widzisz?

Oczy rozejrzały się po płytkim wykopie, popatrzyły na jego nachylone ściany z ubitej ziemi oraz gruzu, potem wzniosły się ku niebu, by poszukiwać tam czegoś przez chwilę, aż wreszcie skierowały się w dół, ku Klatce Schodowej i jej pogrążonym w mroku czeluściom.

- Widzę ukrytą twarz Umary - wymruczał Chel. - Widzę migawki zaginionych i zapomnianych historii. Na przykład, tamten blok - wskazał nieregularny kawałek kamienia o gładkiej zewnętrznej powierzchni - był kiedyś częścią łuku, a tamten, tuż za nim, wchodził w skład ściany nośnej. A gdy popatrzę na twoją twarz, Gregori, widzę twoją matkę i ojca, bardzo wyraźnie... a także mężczyznę o chudej twarzy, z brakującym uchem, i kobietę o długich czarnych włosach z jednym siwym pasmem...

Greg nagle poczuł, że serce mu łomocze.

- Mój dziadek Fingal był myśliwym i stracił ucho za sprawą skalnego wilka, a kobieta z siwym pasmem we włosach może być tylko moją prababką Moirą. Chel, jakim cudem...?

Uvovo przyjrzał mu się tymi oczami, których ciemne tęczęwki miały odcień brązu zmieszanego z zielenią.

- Dar Segrany, po to, bym mógł pracować dla Segrany.

Greg mimo woli zwrócił uwagę na nutkę urazy, jaka pobrzmiwała w głosie Chela, ale teraz, gdy już minął mu pierwszy szok, myśli archeologa krążyły przede wszystkim wokół nowych zdolności Uvovo oraz tego, co te zdolności implikowały.

- A te drugie oczy - podjął. - Co one robią?

- Nie jestem pewien - odrzekł Chel, zawiązując opaskę z powrotem. Potem otworzył swoje zwykłe oczy. - Nie nauczyłem się jeszcze, jak interpretować to, co mi pokazują; czasem jest tak, jakbym widział coś w rodzaju języka stanowiącego podstawę wszystkiego, co mnie otacza, a potem, jeśli popatrzę na symbole, na zapisane słowa albo nawet na obrazki, czuję się tak, jakby część mojego umysłu starała się z nich wydrzeć inne znaczenie.

- A może wszystkie te oczy mają w założeniu działać razem?

Chel uśmiechnął się pośpiesznie.

- Spróbowałem tego - raz jeden. Efekt jest... trudny do opisanego, jak gdyby w mojej głowie toczyły się tysiące sporów, tyle że to nie głosy kłóć się ze sobą, ale znaczenia! Kiedy wyszedłem - wypełzłem - z *vudronu*, naprawdę sądziłem, że mój umysł wariuje, jakby sztorm zalewał i burzył osadę, miasto, a jedyne, co ja byłem w stanie zrobić, to obserwować katastrofę z pobliskiego wzgórza. Gdyby Słuchacz Eshlo nie zadziałał w porę i nie zasłonił mi tych oczu...

Czyżby to rzeczywiście była prawda?, głowił się Greg. Czy Segrana faktycznie jest świadomą istotą, jakąś rozproszoną inteligentną siłą zdolną radykalnie odmieniać pojedynczych Uvovo? Nigdy nie słyszał o tym, by jakiś Uvovo urodził się z dodatkowymi oczami, lecz oto miał je przed sobą, co sugerowało, że muszą być częścią DNA Uvovo. Co z kolei kazało zadać pytanie: czy te cechy były efektem ewolucyjnego przystosowania, czy też wytworem inżynierii genetycznej?

- Chel, czy przyglądałeś się jakimś rzeźbom albo symbolom Uvovo zewnętrzną parą oczu?

- Kilka razy.

- Czy któreś z nich wydały ci się niezwykle? - kontynuował Greg, po czym dodał: - Ale w racjonalny sposób?

- W Tapioli znajduje się kilka domostw zbudowanych na ziemi, a to, w którym

dochodziłem do siebie, jest przyozdobione pewną liczbą akcesoriów medytacyjnych, drewnianych figurek i tabliczek. Na jednej z nich widniał symbol *hmul*, który znaczy „zdjęcie ciężarów”, ale gdy otworzyłem te oczy, przemienił się w słowo: *elishum*, to znaczy „dzieło spokoju”.

Greg skinął głową, a jego uśmiech stawał się coraz szerszy, w miarę jak fakty składały się w całość.

- Chel, przyjacielu, myślę, że jest szansa, że będziesz w stanie mi pomóc w rozwiązaniu małej zagadki.

Opowiedział Uvovo o swoim spotkaniu z Lavelle'em, ksenospecjalistą z *Heraklesa*, i zabrał go do swojej chatki, by pokazać mu wydruki skanów Ramienia Olbrzyma. Podczas gdy Chel oglądał te schematy przy świetle lampki stojącej na biurku, Greg mówił dalej, opowiadając o swojej nocnej ekspedycji, o dziwnym korytarzu i o kolumnach zagradzających drogę. Zdjęcia, które zrobił tam, na dole, wyszły lekko zniekształcone lub zamazane, ale pokazał je Chelowi mimo to. Chel przyjrzał się im, po czym potrząsnął głową.

- Nie jestem w stanie rozczytać tych symboli, Gregori.

Greg uśmiechnął się szeroko.

- A miałbyś ochotę pójść i obejrzeć je na żywo? Teraz?

Chela nie trzeba było namawiać. Pół godziny później, raz jeszcze poprosiwszy o pomoc uczonych Uvovo - Teso i Koluma, obaj zostali opuszczeni wzdłuż południowego urwiska Ramienia Olbrzyma; najpierw Greg, potem Chel. Tym razem weszli do środka przez otwór zasłonięty kurtyną pnączy. Uzbrojeni w latarki, po jednej na głowę, zagłębili się w zimny, mroczny korytarz. Chel badawczo przyglądał się pokrywającym ściany płaskorzeźbom z motywem oka, nic jednak nie powiedział, tylko kiwnął głową w zamyśleniu. Gdy zbliżyli się do kolumn, Greg zwolnił kroku.

- Przygotuj się na moment, kiedy pojawią się symbole - powiedział. - Kiedy ruszy odliczanie, idzie bardzo szybko.

- Dobrze, Gregori, jak sobie życzysz - odrzekł Chel, zdejmując z czoła opaskę i otwierając dziwne oczy. Potem przeszedł kilka ostatnich kroków, stając tuż przed rzędem kwadratowych kolumn. Obejrzał je uważnie, podczas gdy Greg przyglądał się z boku, spięty i podenerwowany. Obaj czekali. Minęło pięć minut i nic się nie stało, potem kolejne pięć. Chel popatrzył pytająco na Grega, który wzruszył ramionami.

- Przyjacielu Gregori, czy nie mówiłeś, że dotknąłeś kolumny, kiedy ją oglądałeś?

- No, kiedy ją dotknąłem... przypuszczam, że można byłoby to raczej nazwać popchnięciem...

Chel kiwnął głową, po czym pchnął najbliższą kolumnę. Nawet nie drgnęła, ale na środkowej prawie natychmiast pojawiły się cztery znajome jaśniejące symbole. Chel zobaczył je, gwałtownie zaczerpnął tchu i zatoczył się do tyłu, potrząsając głową.

- Nic ci nie jest? - spytał Greg.

Chel zerknął na niego swymi zwykłymi oczami, nadal wpatrując się tymi nowymi w kolumnę.

- Nie ma powodu do obaw, przyjacielu Gregori. Za każdym razem muszę się nieco zaadaptować... ach, teraz...

Pochyliwszy się, Uvovo uważnie obejrzał cztery misterne symbole, podczas gdy na sąsiedniej kolumnie pojawiła się kolumna świecących trójkątów.

- Tam właśnie ruszyło odliczanie, Chel - powiedział Greg, ale Uvovo uciszył go machnięciem ręki, stojąc w pozycji kojarzącej się z kimś, kto usilnie nasłuchuje.

Spędziwszy chwilę czy dwie w całkowitym bezruchu, nagle się wyprostował, jego drobne, regularne rysy rozjaśniły się uśmiechem, i głośno, czysto zaśpiewał sekwencję sylab. Rozległ się zgrzyt, sklepieniem wstrząsnęły wibracje i z góry posypały się strumyczki drobnego pyłu, gdy podwójny rząd kolumn uniósł się z powrotem. W świetle latarki Greg zobaczył, że ten wcześniejszy oraz trzy dalsze również się podnoszą.

- To - powiedział - była dobra robota.

Chel spoglądał w górę, na dolne końce kolumn, które teraz były ułożone idealnie równoległe do płaskiego, pozbawionego ozdób kamiennego sufitu.

- Z początku myślałem, że *celfy* - te symbole - pokazują mi słowa, ale kiedy spojrzałem w głąb każdego z nich, usłyszałem nuty, które zaśpiewałem w kolejności słów, i... - Wskazał stojący teraz otworem korytarz.

- Gdyby tylko Cat tu była i mogła to zobaczyć - odparł Greg, śmiejąc się. - Dobra, to teraz zobaczmy, co jest tam dalej.

- Stąpaj ostrożnie, Gregori - ostrzegł Chel. - Mogą nas czekać następne próby.

Dwadzieścia kroków dalej korytarz zakręcał i krótki ciąg schodów prowadził w dół do komory, w której cztery kolumny wznosiły się blisko siebie przed trzema parami kamiennych drzwi osadzonych w łukowatej ścianie. W pomieszczeniu panowało lodowate zimno; wejście tam przypominało znalezienie się w chłodni. Greg zadrzał; jego oddech zawisł w powietrzu, tworząc srebrzyste chmurki mgły, gdy archeolog ruszył w stronę drzwi po lewej.

Zanim zdążył się do nich zbliżyć, Chel przemówił:

- Gregori, zaczekaj, nie dotykaj ich! W tym pomieszczeniu czyha niebezpieczeństwo, następna próba, którą trzeba przejść. Te kolumny... - Uvovo sięgnął w kierunku jednej z nich,

musnął ją czubkami palców i natychmiast zabrał rękę. - Bardzo zimne, ostre niczym szpony, i jest coś jeszcze...

Greg stanął w pewnej odległości od kamiennych drzwi, po czym skierował promień latarki w górę wzdłuż ciężkiej framugi, oświetlając nadproże oraz ścianę powyżej, gdzie widniały tablice z płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny leśne z mnóstwem różnego rodzaju żywych stworzeń, w tym Uvovo. Potem dostrzegł coś w obrębie szerszego kręgu światła: okrągłą, z pozoru pozbawioną zdobień tablicę wśród wyrzeźbionego listowia, a kiedy skierował latarkę w prawo, ujrzał inne.

- Chel, spójrz.

Uvovo odwrócił się, żeby popatrzeć, kierując promień własnej latarki tam, gdzie świecił Greg. Uważnie oglądał dyski, stojąc bez ruchu - tylko jego dziwne nowe oczy wpatrywały się w nie badawczo.

Po kilku chwilach westchnął, skłonił głowę i wymamrotał coś w języku Uvovo. Kiedy znów podniósł wzrok, jego własne oczy również były otwarte i pełne mrocznego, nieustępliwego skupienia. Światło jego latarki drżało na ścianie, a Greg nie wiedział, czy się odezwać, czy zachować milczenie. Potem Chel, dygocząc, zaczerpnął tchu i odwrócił się; wszystkie pary oczu miał teraz zamknięte, a zapalona latarka dyndała u jego pasa.

- Tam jest napisane: „Wybierz swą drogę ku śmierci”.

- Cóż za optymizm - stwierdził Greg.

- Lecz Echa Wiecznego głoszą, że wszystkie ścieżki prowadzą ku śmierci, a wszystkie śmierci prowadzą ku Wiecznemu... więc czemu trzy pary drzwi? - Nowe oczy były zamknięte, ale jego własne lśniły, łowiąc blask latarki. - I czemu cztery kolumny? - Podszedł do najbliższej, kierując na nią promień światła, i położył na niej pustą dłoń.

- Ostrożnie, Chel - ostrzegł Greg. - Odmrożenia.

- Jestem w stanie im się opierać przez krótki czas, Gregori. W tych kolumnach jest coś dziwnego... Czy mógłbyś poświecić tu latarką? O tak, dziękuję.

W połączonym świetle dwóch latarek Greg widział, że powierzchnia kolumny słabo lśni, jakby była pokryta warstewką czegoś śliskiego. Chel potrząsnął głową.

- To nie jest kamień. Podobnie jak tamte kolumny w korytarzu, ona coś oznacza, ale nie jestem w stanie tego zobaczyć... ani tymi, ani tymi. - Wskazał swoje normalne oczy, a potem nową zewnętrzną parę.

- A tymi drugimi? - zapytał Greg.

Nadal przyglądając się kolumnie, Uvovo odrzekł:

- Czy chcesz, żebym zaryzykował popadnięcie w obłąd, Gregori?

- Nigdy nie śmiałybym oczekiwać czegoś takiego, Chel - odrzekł archeolog. - Jeśli czujesz, że grozi ci zbyt duże niebezpieczeństwo, wrócimy na górę i zobaczymy, czy istnieje jakiś inny sposób, żeby rozwikłać tę zagadkę. Ty decyduj.

Chel się uśmiechnął.

- Oczywiście, istnieje ryzyko, ale ponieważ mam teraz zobowiązania względem Uvovo-Rzemieślników, muszę zbadać tę tajemnicę, używając wszystkich mych umiejętności. W przeciwnym razie nie byłbym godzien darów Segrany ani służenia jej celowi.

Zamknął wszystkie swoje oczy i stał tak przez chwilę, lekko pochylając głowę. Potem nagle wyprostował się, a środkowa para oczu na jego czole gwałtownie się otworzyła, zerknęła przelotnie na Grega, po czym zapatrzyła się na kolumnę, którą miał przed sobą. Greg przyglądał się temu, próbując nie myśleć o zimnej, bezlitośnie skupionej woli, którą przez sekundę widział w spojrzeniu przyjaciela.

Wydawało się, że Chel przewierca kolumnę wzrokiem. Od czasu do czasu się wzdygał - nieznaczne poruszenie głową - a jego wargi zaczęły się bezgłośnie poruszać. Potem bez ostrzeżenia cofnął się i podszedł do kolejnej kolumny, z szeroko otwartymi oczami i twarzą zastygłą w grymasie. Po kilku chwilach zbliżył się do kolejnej, a potem do ostatniej. Kiedy od niej odchodził, wszystkie jego oczy były mocno zaciśnięte, a twarz stanowiła maskę bólu. Gdy upadł na kolana, Greg rzucił się naprzód, aby złagodzić jego upadek, pomagając mu spocząć na boku; ręka, którą Chel dotykał kolumn, była teraz podtrzymywana przez drugą, a kiedy Greg dotknął jej nadgarstka, wyczuł ciało uderzająco zimne, jak kamień.

Zalały go wyrzuty sumienia. Boże, co ja zrobiłem?

- Próba wymaga... wymaga wskazania właściwej ścieżki ku śmierci - wychrypiał Chel. - Każda z kolumn jest ogniskiem medytacji, które wypełnia medytującego określonym kredo, dominującym zestawem przekonań i instynktów. - Dźwignąwszy się do pozycji siedzącej, sprawną ręką po kolei wskazywał kolumny. - Strach, ucieczka przed wrogami; dominacja, niszczenie lub żerowanie na słabych; arogancja, sięganie po boską moc; spokój, niezmiennosc i niewprowadzanie zmian. - Uvovo posłał Gregowi uśmiech. - Gdybym był w pełni przepoczwarzony Słuchaczem, lub też podszedł tam, mając wszystkie te nowe zmysły w pogotowiu, i wybrał niewłaściwą kolumnę, zostałbym przytłoczony, a wkrótce potem zabity przez pułapkę, którą kryją te drzwi, cokolwiek to jest.

- Jeszcze trochę i ochrzczimy cię „Chel szczęściarz” - powiedział Greg.

- Z chęcią przyjąłbym taki tytuł - odrzekł Uvovo, stając na nogi. - Gdy tylko dotrzemy bezpiecznie do celu. Teraz muszę się otworzyć na kolumnę spokoju...

- A to jest ta właściwa, tak?

- Tak głoszą Echa Wiecznego.
- Jak dalece to na ciebie wpłynie? - spytał Greg. - Czy będziesz bezpieczny?
- To zasłona, która tylko przejściowo opada na umysł, a wkrótce potem się rozwiewa.
- Taką masz nadzieję.
- Otóż to.

Greg stanął z boku, a Chel zbliżył się do jednej z kolumn wznoszących się z tyłu i zwrócił się ku niej twarzą, mając teraz otwarte wszystkie trzy pary oczu, a dłonie splecione na piersi. W zastygłej, zimnej ciszy Greg zwalczył pragnienie, żeby rozruszać zamarznięte stopy tupaniem; zamiast tego kołysał się na palcach w tył i w przód, by podtrzymać krążenie krwi. Potem, nim się obejrzał, Chel już zmierzał w stronę środkowej pary drzwi, z ręką do połowy wyciągniętą naprzód, a dłonią wzniesioną i obróconą na zewnątrz. Poruszał się szybko, niemal płynąc w powietrzu, i dotarł do drzwi, zanim Greg znalazł się choćby w połowie drogi do nich. Pod dotknięciem Uvovo rzeźbiony kamienny blok obrócił się do wewnątrz, a Chel szedł dalej.

Gdy Greg dotarł do drzwi, pojawił się narastający migot bladozielonego światła i archeolog zamarł na progu, obawiając się najgorszego. Zajrzał badawczo do środka, ale na przeciwległym końcu krótkiego korytarza dostrzegł Chela, stojącego jeszcze kilka kroków dalej. Uvovo świecił latarką wokół siebie oraz w górę, patrząc w smolisty mrok.

- Droga jest otwarta, Gregori - oznajmił takim głosem, jakby był w letargu. - Dołącz do mnie.

Archeolog poczuł, że się poci i ma gęsią skórkę, gdy pośpieszył na drugą stronę.

- Czeka tu tak potężna moc, Gregori, ogromna, uśpiona potęga. - Głos Chela był wyważony, lecz jakby lekko senny. - Dziedzictwo Wielkich Starożytnych.

Greg nie odpowiadał przez sekundę czy dwie, rozglądając się, próbując ogarnąć umysłem to, co widział.

Wyglądało na to, że znaleźli się w olbrzymiej kolistej komorze widniejącej na skanach wnętrza góry. Stali w pobliżu gładkiej pionowej ściany, mierzącej może trzydzieści metrów i kończącej się płaskim sufitem. Była tu też druga ściana, wznosząca się na wysokość pasa, położona jakieś cztery metry od pierwszej, zbudowana z grubo ciosanych kamiennych bloków i tworząca krąg we wnętrzu komory. W świetle latarki nie widział żadnych dekoracji na ścianach ani suficie, ale kiedy zajrzał za niską ścianę, ze zdumieniem ujrzał wzory wyrzeźbione w ciemnym, wypolerowanym kamieniu, dziwne, zazębiające się, semigeometryczne kształty, symbole i znaki, zupełnie niepodobne do hieroglifów i ideogramów języka Uvovo, szczelnie pokrywające ów kolisty fragment posadzki wszędzie,

gdzie Greg był w stanie poświecić latarką z miejsca, w którym stał. W oparciu o wydruki skanów oszacował wcześniej, że komora może mierzyć jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów średnicy, więc ta olbrzymia powierzchnia ceremonialnych zdobień była doprawdy oszołamiającym odkryciem, a przy tym bezsprzecznie tajemniczym.

Idąc wzdłuż niskiej ściany, rozważał przelezenie przez nią, żeby obejrzeć płaskorzeźby z bliska, ale potem spostrzegł, że kawałek dalej, na granicy światła rzucanego przez latarkę, znajduje się przerwa. Podeszedłszy bliżej, zobaczył, że w głównej ścianie, mniej więcej na wysokości jego głowy, jest osadzona platforma, do której prowadzą stopnie. Zerknął do tyłu, na Chela, chcąc zwrócić jego uwagę na ten fakt, ale Uvovo siedział ze skrzyżowanymi nogami na posadzce, oczy miał zamknięte, a jego latarka leżała obok, rzucając wachlarz światła na kamienne płyty.

Zobaczy to wszystko, kiedy ocknie się z transu, pomyślał i zaczął się wspinać na platformę. W połowie wysokości stopnie rozdzielały się na dwa ciągi schodów obchodzące po bokach zaokrągloną półkę, która wystawała do przodu z platformy niczym ambona. Sama platforma liczyła jakieś dwa metry szerokości i była pusta, ale na wystającej półce znajdowała się kwadratowa plinta z dziwnym piramidalnego kształtu zagłębieniem w płaskiej powierzchni. Stojąc tam, Greg niemal czuł, jak starożytny mrok tężeje wokół niego. Powietrze było zimne i nieruchome, lecz nie wydawało się w najmniejszym stopniu stęchłe.

Czy to był ołtarz?, zastanawiał się. A może raczej punkt obserwacyjny, skoro wielka, kolistą rzeźbioną posadzka bez wątpienia stanowiła główny element tej ogromnej komory?

Greg zszedł po schodach. Przerwa w niskiej ścianie znajdowała się dokładnie na wprost niego i bez wahania wkroczył na płaszczyznę pokrytą fantastycznymi zdobieniami.

Po jego skórze przebiegło nagłe, dziwne uczucie, od którego zjeżyły mu się włosy na głowie i włoski na przedramionach. Tu, na zewnątrz, nie było w zauważalnym stopniu zimniej, a mimo to drżał od instynktownego niepokoju. Marszcząc brwi, przykucnął z latarką, żeby bacznie przyrzeć się wzorom. Ich gładkie, precyzyjnie nakreślone linie zostały wycięte w kamieniu jakimś ostrym narzędziem, lecz krawędzie każdego z rowków były zaokrąglone, jakby wskutek tarcia, podczas gdy płaszczyzny nienaruszonego kamienia wyglądały na nierówne i przeżarte erozją. Sięgnął w dół i dotknął posadzki, która okazała się lekko ciepła. Potem opuszką palca powiódł wzdłuż linii jednego z wzorów, długiego łuku z kilkoma małymi pętelkami, wymacując zaokrąglone brzegi oraz bardziej szorstki kamień po obu stronach...

W następnej chwili w rowku pod jego palcem pojawiła się jasna poświata i zaczęła szybko się rozprzestrzeniać w obie strony. Prędko cofnął dłoń, ale lśnienie rozszerzało się

coraz bardziej, niczym srebrna nić, dzieląca się, wijąca i oplatająca. Ogarnięty lękiem wstał, zamierzając się skierować w stronę przerwy w niskiej ścianie... lecz powstrzymała go niewidzialna bariera. Przestraszony odwrócił się, dał krok naprzód i natrafił na kolejną. Była twarda i idealnie przezroczysta; gdy skierował na nią promień latarki, wywołało to nieznaczny efekt falowania, który szybko zniknął. Starając się nie panikować, Greg obrócił się, świecąc latarką przed siebie, i ujrzał obszar bez jarzących się wzorów, ale nim zdążył ruszyć się z miejsca, usłyszał w pobliżu nagły głos Chela:

- Gregori, jeśli życie ci miłe, zostań dokładnie tam, gdzie jesteś; nie ruszaj się!

Kolumna medytacyjna reprezentująca spokój uczyniła dlań wszystko tak jasne. Mając wszystkie oczy otwarte i wszystkie zmysły gotowe, Chel zajrzał w jej głąb, a kolumna wyśpiewała dlań cudowną rzekę koncepcji i objawień, które zalały jego myśli dogłębną prawdą. Bądź niezmienny i pozostawiaj świat niezmienionym - najwyższa aspiracja, niebiańska mądrość.

I, oczywiście, jeśli wszystkie ścieżki prowadzą ku śmierci, nie ma znaczenia, które drzwi wybierzesz, więc gdy wybrał środkowe, te wpuściły go bez żadnych przeszkód. Przeszedłszy kilka kroków, musiał się zatrzymać przytłoczony nadmiarem wrażeń - gigantyczna komora ożyła w jego oczach! Blask pochodni, ściany udekorowane barwnymi kotarami, pulsowanie i wzory energii, wiadomości wysyłane i odbierane, goście przybywający i wyruszający w drogę, powitania i pożegnania, konwersacje, rozkazy i modlitwy. Oczami spokoju Chel widział zmiany, jakie przyniósł upływający czas: był w stanie dostrzec krzywstudnię, niezmienną w swej drzemiącej chwale, umiejętnie wykorzystywaną przez starożytnych Uvovo jako portal do dalekich podróży.

Spróbował przekazać jakąś część tego wszystkiego Gregoriemu, który właśnie przeszedł obok, ślepy na całą wspaniałość, lecz mimo to ewidentnie pod wrażeniem rozmiarów komory oraz stłumionego echa potężnego przeznaczenia krzywstudni. W oczach Chela powierzchnia studni była mroczną, mętną warstwą, grubą półprzezroczystą płytą przykrywającą mgliste głębiny. Nie martwa, lecz i nie rozbudzona, krzywstudnia spała.

Chel usiadł na kamiennej posadzce, żeby dać odpocząć nogom i pozwolić myślom odpłynąć w stan prawdziwej niezmienności. Jednakże coś było nie w porządku; coś powstrzymywało jego umysł od zatonięcia w kojącej, radosnej pewności niepodzielnego spokoju. I choć przed zaledwie kilkoma minutami każda z zasad tej ścieżki rysowała się w jego umyśle jasno i w całej rozciągłości, teraz wydawały mu się mgliste, niejednoznaczne. Pełen złych przeczuć, usiłował odzyskać ów cudowny stan ducha, wzmocnić jego szanse i utwierdzić się w jego fundamentach...

Potem, ponad wszystkimi tymi ogłupiającymi myślami, nagle usłyszał jasno i wyraźnie odgłos pierwszego kroku, jaki Gregori postawił na powierzchni krzywstudni.

Chel zerwał się na nogi, a medytacja o spokoju opadła zeń niczym mgliste strzępy. Echa tych kroków były niczym uderzenia młotem i niosły się w dół, ściągane tam przez wzory w

kamieniu. A w mroku pod mroczną płytą stanowiącą wieko krzywstudni już migotały lśniące sieci. Coś - jakaś część studni - ocknęło się w odpowiedzi, a jeśli postanowiło zareagować w samoobronie...

Rzucił się sprintem wzdłuż przejścia. Gregori znajdował się kilka kroków za murem; oświetlając latarką powierzchnię kamienia, przykucnął i dotknął wyrytych w nim wzorów. Jarzące się macki momentalnie pobiegły spiralnie w dół pod człowiekiem, a wokół niego wyrosły zasłony ograniczające swobodę ruchów; równocześnie w jego otoczeniu już zaczynały się zapalać większe wzory. Krzywstudnia próbowała się bronić przed wrogami... a jej ostatnimi wrogami byli Pozbawieni Snów, sztuczne, nieorganiczne istoty. Buty trekkingowe Gregoriego zawierały sztuczne elementy.

Do Gregoriego właśnie dotarło, że coś jest nie w porządku, kiedy zderzył się ze ścianami wzoru. Chel szybko wskoczył na mur i zawołał do niego:

- Gregori, jeśli życie ci miłe, zostań dokładnie tam, gdzie jesteś! Nie ruszaj się!

Człowiek zamarł i popatrzył w jego stronę.

- Chel, co się dzieje?

- Stoisz na artefakcie zbudowanym przez Wielkich Starożytnych u zarania dziejów. Jego mechanizmy obronne uległy uaktywnieniu i zabiją cię, jeśli nie wrócisz na tę stronę ściany. Teraz zdejmij buty, skarpetki też. Podwiń rękawy kurtki tak wysoko, jak się da, to samo zrób z nogawkami.

Gregori bez słowa spełnił polecenie, a na końcu zawiesił buty na szyi na związanych razem sznurówkach. Uśmiechnął się łobuzersko.

- To mi przypomina przygotowania do jakiejś dziwnej zabawy weselnej.

Chel wytrzeszczył na niego oczy - czasem ludzkie poczucie humoru bywało kompletnie niezrozumiałe, a zwłaszcza teraz.

- Obróć się w lewo - powiedział. - Wyciągnij rękę i wymacaj drogę wzdłuż ścian wzoru.

- Po co to robię? - spytał Gregori, zaczynając wypełniać polecenie.

- Zgaduję, że zastąpienie martwego tworzywa twoich butów żywym ciałem twoich stóp może sprawić, że te mechanizmy obronne albo spowolnią swe działanie, albo przejdą w stan zawieszenia.

- Ale nie wiesz tego z całą pewnością.

- Widzę... Widziałem fragmenty przeszłości...

Migawki obrazów przelatujące teraz przed sześciorgiem jego otwartych oczu, rozproszone i gasnące w narastającym pulsowaniu starożytnej, pogrzebanej mocy. I to jest to, po co tutaj przybyli, Kuros i Hegemonia - to tego musimy bronić, o ile wpierv nas nie zabije.

- Jak mi idzie, Chel?

Gregori skręcił za róg i szedł wzdłuż długiej, łukowato wygiętej ściany, wyprowadzającej go spomiędzy wzorów, ale złowieszcze maszynerie pod nim nadal nabierały mocy. Czy Strażnicy krzywstudni postępowali zgodnie z wymogami jakiegoś głęboko zakorzonego, nieugiętego rytuału oczyszczenia?

- Idź dalej - powiedział Uvovo, podchodząc do przerwy w murze i wpatrując się we wzory otaczające Gregoriego, naciskając na nie umysłem, próbując siłą wyrwać z nich odpowiedzi. Jaki cel miało to nagromadzenie mocy i jak bardzo niebezpieczne będą jego efekty?

Już tylko parę kroków dzieliło Gregoriego od luki w ścianie, gdy przed nim zamigotała kolejna ściana wzoru.

- Idź wzdłuż niej w prawo - powiedział Chel. - Idąc w drugą stronę, zawędrowałbyś z powrotem w głąb wzoru.

Kilka chwil później przyjaciel był już na wyciągnięcie ręki od niego. Chel powstrzymał go od przeskoczenia dystansu, jaki dzielił go od bezpiecznej przestrzeni.

- Najpierw rzuć buty za siebie.

Gregori ściągnął buty z szyi i cisnął je z powrotem w kierunku, z którego przyszedł, po czym pochwycił wyciągnięte ramię Chela, który ściągnął go z wzoru krzywstudni.

- Co teraz?

Chel usłyszał nagłą zmianę w kumulujących się energiach i poczuł dziwne tętnienie w swych mięśniach, nerwach, oczach.

- Uciekaj!

Rzucili się szalonym sprintem z powrotem ku wyjściu. Gregori, mający dłuższe nogi, dotarł tam pierwszy, schylony przemknął przez krótkie przejście i wpadł do zimnej komory, gdzie oparł się o ścianę. Gnający tuż za nim Chel zobaczył, że przyjaciel się zatrzymał, i pociągnął go w stronę schodów.

- Nie zat... rzymuj się...

Dotarli do szczytu stopni, kiedy mechanizmy obronne krzywstudni w końcu osiągnęły punkt krytyczny i nastąpiła bezgłośna erupcja. Choć miał zamknięte oczy, Chel wyczuł muśnięcie tego odruchu oczyszczenia - w jego szczytowym momencie odkrył, że jest w stanie patrzeć przez zamknięte powieki i przeniknąć wzrokiem skały Ramienia Olbrzyma, jakby były zaporowanym szkłem, by ujrzeć oślepiające pajęczyny energii, które wylewały się tylko z tego małego wycinka wzoru krzywstudni, by przeczesać całą komorę. Potem drapieżna jasność zgasła, pozostawiając go w mroku.

Otworzył tylko swoje zwykłe oczy, ujrzał Gregoriego, który przykucnął u szczytu schodów i mrugał, oszołomiony.

- Chel? Jesteś tam?

- Jestem, przyjacielu Gregori. Co widzisz?

- Hm, znajomo brzmiącą rozmazaną plamę.

Chel się zaśmiał.

- Twój wzrok wkrótce wróci do normy. Wracam na dół, żeby sprawdzić, czy coś się zmieniło w komorze. Czy pragniesz mi towarzyszyć?

- Myślę, że tym razem sobie daruję... Aye, słuchaj, i nie rób niczego ryzykownego. Mówię z doświadczenia.

- Wkrótce wrócę - powiedział Chel, schodząc po schodach.

Komora krzywstudni wyglądała dokładnie tak jak wcześniej, choć używał tylko swoich zwykłych oczu. Powietrze było tak samo lodowate jak przedtem, ale teraz miało słabą mineralną woń, jak skała starta na proszek. Wzory wyrzeźbione na powierzchni studni wydawały się matowe i pozbawione życia, a po butach trekkingowych Gregoriego nie było ani śladu.

Nie martwa, lecz i nie rozbudzona, pomyślał Chel, wracając pamięcią do wizji, które ujrzał podczas przepoczwarczenia.

Wspomniał olbrzymi lej energii, który wyciągnął się, by pochwycić statki Legionów i Wielkich Starożytnych, ściągając je w dół, w głąb krzywstudni, a potem jeszcze niżej, przez kolejne poziomy hiperprzestrzeni, przez miażdżące, rozrywające warstwy do mrocznych i ciasnych miejsc.

Lecz wciąż jeszcze potężna. Czy będzie można ją w jakikolwiek sposób wykorzystać przeciwko naszym wrogom? Czy wystarczy nam czasu, żeby rozszyfrować jej tajemnice?

Przez moment odczuwał pokusę, żeby otworzyć oczy powstałe w wyniku przepoczwarczenia i patrzeć na umykające duchy przeszłości, lecz zamiast tego z powrotem owinał czoło opaską, zawiązując ją z boku. Nie, wprawdzie musiał się spotkać z Weynlem oraz pozostałymi Słuchaczami, aby poprosić o wskazówki i zorientować się, czy jakaś użyteczna wiedza ocalała z tamtych odległych czasów.

Będzie też musiał przedstawić jakieś wytłumaczenie Gregoriemu, który właśnie pojawił się w drzwiach prowadzących do komory medytacji - jego latarka była jaskrawym punktem w atramentowym mroku. Chel uśmiechnął się szeroko i pomachał przyjacielowi, a potem pośpieszył, by doń dołączyć, zastanawiając się, ile powinien mu powiedzieć.

Kao Czi

- Ach, hm, zatem jeśli wolno mi podsumować - powiedział recykler droidów, Voth imieniem Yolog, szturchając małą kupkę pieniędzy długim, poplamionym palcem - pragniesz mnie wynająć, żebym odzyskał wasze uszkodzone dane kursu, abyś wraz ze swoim szanownym mechanicznym towarzyszem mógł ruszyć w dalszą drogę do gniazda kryminalistów, jakim jest stacja Bryag. I to wszystko, co możesz zaoferować?

Kao Czi uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Szacowny rzemieślniku Yologu, podczas podróży, która nas czeka, na każdym postoju dołożymy starań, by wspomnieć o tobie oraz o niezrównanej jakości twych usług. Gdybyś musiał wykupić taką reklamę, ile by kosztowała? A my oferujemy ją jako część zapłaty za relatywnie nieduże zlecenie odzysku danych. Czyż nie jest to dobry interes?

Voth przypatrywał mu się jednym dużym, ciemnym i smętnym okiem oraz krótką heksagonalną soczewką wystającą z drugiego oczodołu. Bioprzeszczep stanowił część dopasowanego hełmu zakrywającego tył czaszki, od którego wzdłuż włochatej szyi biegnęły kable łączące się z dziwną uprzężą na ciele. Była ona brązowa, lśniąca i wyposażona w czarne, opatrzone koralikami wypustki biegnące do egzozkieletowych pochew, które otaczały ręce Votha. Yolog siedział na małym wózku inwalidzkim, którego metalowa konstrukcja rozpościerała się nad jego głową w wachlarz odpowiednio przystosowanych narzędzi, wisięgników oraz tac z częściami. Wyglądało na to, że Voth ma sparaliżowane wszystkie cztery kończyny, i Kao Cziego zaintrygowałoby to bardziej, gdyby jego myśli nie były skupione na tym, jak znaleźć wyjście z aktualnej kłopotliwej sytuacji.

- Jesteś bez wątpienia najzabawniejszym Człowiekiem, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem - powiedział Yolog. Jego usta wykrzywiły się w półuśmiechu. - Lecz odzyskanie tych danych to wcale nie taka błahostka; ponieważ moje własne procesory są całkowicie zajęte przy rekodyfikowaniu droidów dla pewnych sprawdzonych klientów, musiałbym wykupić czas na tagrelińskiej hubostradzie, co wymagałoby zatwierdzonego przelewu funduszy. Obawiam się, że muszę odrzucić twoją łaskawą ofertę zostania moim agentem reklamowym.

Mimo narastającego poczucia desperacji, Kao Czi na zewnątrz zachował niewzruszony spokój wytrawnego kupca wraz z czarującym uśmiechem, nawet kiedy mech Drazuma-Ha* zaczął wyświećlać wokół siebie w formie aureoli zdanie napisane znakami w dialekcie

mandaryńskim: „Mówiłem, że to nie przejdzie - Mówiłem, że to nie przejdzie - Mówiłem, że to nie przejdzie - Mówiłem, że to nie...”.

- Dziękujemy za uprzejmie poświęcony nam czas, szacowny Yologu - powiedział. - Być może mógłbyś zasugerować alternatywną metodę zapłaty?

- Nie jestem bez serca, Człowieku Kaaczi - odrzekł Voth. - Byłbym gotów przyjąć zapłatę w naturze, na przykład wszelkie zbędne czy zapasowe części z wnętrza twojego osobliwego mecha.

Kao Czi zagapił się na Drazumę-Ha*, spodziewając się zjadliwej odpowiedzi adekwatnej do otoczenia, w którym się znaleźli - sklepu, gdzie Yolog handlował zapasowymi częściami. Była to obskurna ładownia, pełna półek, na których piętrzyły się zdezelowane boty i droidy, obudowy i rdzenie zasilania, pojemniki pełne serwomotorów, węzłów i drobnych części. Znajdowały się tam również duże, umocowane do ścian stojaki, na których wisiało kilka botów przemysłowych. Mroczne, brudne i mocno śmierdzące smarami, miejsce to ewidentnie było cmentarzem droidów.

- Nie mam żadnych zbędnych części - odrzekł w końcu Drazuma-Ha*. - Już sama ta sugestia jest nieuprzejma.

- Gotów byłbym zapłacić bardzo szczodrze - odrzekł Voth, a jego cielesne oko przez chwilę wpatrywało się łakomie w mecha, zanim przeniosło swój wzrok z powrotem na Kao Cziego. - Będę z tobą szczery. W tym obszarze galaktyki od wieków nie widziano niczego podobnego do tej maszyny. - Zwrócił się do Drazumy-Ha*: - Czyż nie jesteś rozumnym dronem Strigida z dziewiątej Iteracji, sfabrykowanym w schyłkowym okresie istnienia Synergii Salgaickiej?

- Mówiąc najogólniej, nie mylisz się - odrzekł mech. - I mówiąc najogólniej, nie zbywa ci na grzeczności.

Yolog wzruszył ramionami, niezgrabnie, bo uprząż ograniczała mu ruchy.

- Grzeczność również ma swoją cenę. - Znów popatrzył na Kao Cziego. - Wielka szkoda. Części Strigidów są bardzo poszukiwane.

- Czemu?

- Synergia Salgaicka była jedną z kilku obiecujących cywilizacji, które zostały unicestwione przez Obfidemę Niekog, replikującą się hordę maszyn, która nadsięgnęła ze strefy głębinowej Qargol ponad dziesięć tysięcy lat temu.

Kao Czi był zafascynowany.

- Nigdy o tym nie słyszałem; co to były za istoty?

- Och, typowe inteligentne maszyny bez zdolności kognitywnych; wszystkie wyglądały

tak samo, ciemne kule najeżone kolcami broni, ale występowały we wszystkich rozmiarach, niektóre były wielkości planetoid. Przebyły setki lat świetlnych, zmierzając w kierunku rdzenia galaktyki, a po drodze niszczyły każdą siłę, jaka stanęła im na drodze, likwidowały każdy zamieszkały świat, jaki napotkały, aż dotarły do strefy głębinowej Huvuun, gdzie z niewytlumaczalnych względów uległy zagładzie. Każdy Niekog, czy to na orbicie planetarnej, czy podróżujący w hiperprzestrzeni, czy walczący w bitwie, po prostu się zatrzymał, jakby go wyłączono, a potem zaczął się rozpadać, całe ich floty błyskawicznie przemieniły się w olbrzymie chmury szczątków. Niestety, do tego czasu zdążyły unicestwić Synergię Salgaicką, Środkowy Qudek oraz tuzin innych gwiazdnych nacji...

- Interesująca lekcja historii - stwierdził Drazuma-Ha*. - Ale niezbyt przydatna, bo moje części nie są na sprzedaż.

Voth westchnął.

- Masz ograniczone pole manewru, Człowieku Kaaczi. Jedyne alternatywne źródło płatnicze, jaki mógłby mnie jeszcze interesować, to niezwykle artefakty kulturowe. Czy masz może przedmioty tego rodzaju?

Myśli Kao Cziego nabrały gorączkowego tempa, gdy młodzieniec sięgnął pamięcią do rzeczy osobistych znajdujących się w jego torbie podręcznej na pokładzie *Kasztelana*. Brudne ciuchy, jednorazowe akcesoria higieniczne, buty na zmianę, wełniana czapka, talia kart (w której brakowało Księcia Woali), parę długopisów, notatnik, zdjęcia rodziny, kilka kieszonkowych nośników danych z książkami (głównie powieści przygodowe autorstwa wygnańców z Pyre) oraz...

Przestał główkować i się uśmiechnął.

- Wielce szacowny rzemieślniku Yolog, czy lubisz muzykę?

Półtorej godziny później wszyscy trzej siedzieli w ciasnym kokpicie promu transportowego należącego do Yologa, który leciał w stronę Otwartego Portu Tagreli, będącego olbrzymim skupiskiem kopuł oraz esplanadowych doków. Voth siedział przy konsoli pilota, a jego głowa kołysała się w rytm muzyki płynącej z audiopaków, które miał wetknięte w długie uszy. Wyjawszy jeden z nich, obrócił się, żeby przemówić.

- Hm, tak, bardzo dobre, Kaaczi, naprawdę bardzo dobre, nadzwyczaj intrygująca gama stylów oraz wykonania. Wygląda na to, że twój gatunek poświęcił mnóstwo wysiłku umysłowego i czasu na to zajęcie, a w efekcie powstało trochę fascynujących, hm, produktów.

- Czy masz już jakieś ulubione utwory? - spytał Kao Czi.

- Te elektroniki, które poleciłeś, szczególnie przypadły mi do gustu; ten styl jest wielce charakterystyczny, wykonanie bez zarzutu, lecz jakieś takie pozbawione ducha. Za to ten rokinrol jest, hm, nieokrzesany, szorstki i kipiący życiem, zwłaszcza to Deep Purple, to Black Sabbath i to Led Zeppelin.

Kao Czi uśmiechnął się i potaknął. Na *Retrybutorze* jego saszetka pełna nośników z muzyką została dopakowana do bagażu w ostatniej chwili i zabranie jej okazało się mądrym wyborem. Po tym, jak Yolog przesłuchał wybrane kompozycje z różnych epok, jego zachowanie radykalnie się zmieniło i przedstawił ofertę, która pokryła koszt jego usług oraz zwiększyła ich zapas gotówki.

- Sądziłem, że twoje preferencje okażą się odwrotne - odparł młodzieniec.

- Kwestie gustu są trudne do zgłębienia, przyjacielu Kaaczi. Twoje elektroniki to dokładnie ten typ muzyki, który zachwyciłby mego brata Yasha, ale jemu z kolei nie spodobałby się rokinrol. Jedno jest pewne, wielu spośród moich klientów z chęcią nabędzie całe pakiety tej muzyki, gdy tylko posłuchają kilku próbek.

Voth z powrotem umieścił audiopak w uchu i powrócił do śledzenia ekranów, kiwając głową oraz bębniąc palcami do rytmu. Na zewnątrz ogromny kształt Otwartego Portu Tagreli przybliżał się z każdą chwilą. Yolog skierował statek w stronę jednego z głównych doków esplanadowych. Kao Czi nachylił się w stronę Drazumy-Ha* i spytał cicho:

- Czy dowiedziałeś się czegoś więcej o tym miejscu? Będziemy tam bezpieczni?

Wkrótce po tym, jak uszkodzone dane kursu ściągnęły ich tutaj, komsystem *Kasztelana* zdołał się podłączyć do lokalnego datapleksu, ale tylko na niskim poziomie. Wiedzieli, że znaleźli się w pobliżu Otwartego Portu Tagreli, lecz dostęp do niemal wszystkiego z wyjątkiem reklam, agencji zatrudnienia i katalogów produktów był zahasłowany. Tak więc, podczas gdy mech starał się ściągnąć jakieś informacje na temat tego miejsca, w kanale „dam pracę” jednej z agencji zamieścili ogłoszenie, że poszukują technika zajmującego się odzyskiwaniem danych, na które rychło odpowiedział Yolog. Ładownia Votha była częścią starożytnego, zdemilitaryzowanego indromańskiego transportowca, służącego niegdyś do przewozu wojsk - gigantycznego, ciężkiego potwora, krążącego po orbicie równoległej do orbity Tagreli w towarzystwie kilku innych zdewastowanych statków, obecnie przerobionych na magazyny, fabryki żywności i innych towarów, a nawet więzienia.

- Udało mi się ustalić kilka dalszych szczegółów - oznajmił mech. - Otwarty Port Tagreli leży na pograniczu trzech państw, Sul, Weh-Alzi i Iroaroa. Są to zubożałe nacje będące klientami Hegemonii Sendrukańskiej. Port pozostaje pod ścisłą kontrolą Wstrzemięźliwych, klanu bardzo starych Henkayańczyków, całkowicie uzależnionych od

kombinacji zmechanizowanych systemów przedłużających życie i leków zapobiegających śmierci. Tagreli pozornie funkcjonuje jako neutralny port otwarty dla wszystkich, ale Wstrzemięźliwi dobrze wiedzą, że tak naprawdę rządzi tu Hegemonia. A czy jesteśmy tu bezpieczni? No cóż, gdyby ktoś nas szukał, nietrudno byłoby nas znaleźć. Im szybciej zakończymy tę transakcję i odlecimy, tym szczęśliwszy się poczujemy.

Kao Czi kiwnął głową, a obejrzawszy się, ujrzał w okienku kabiny dziobowe partie olbrzymiego szaro-zielonego okrętu, wypełniające większą część pola widzenia. Cała przednia część potężnej jednostki była długa i prosta, o romboidalnym przekroju, a płaski dziób zajmowały trzy wielkie ambrazury - przypuszczalnie przeznaczone dla kompozytowych armat wiązkowych, jak odgadł. Burty jeżyły się dalszymi skupiskami broni, kopułami i wieżyczkami strzelniczymi; śródkręcie rozszerzało się ku tyłowi, rufa zaś była szeroka, w kształcie litery Y, a każdy z jej rogów zwężał się w trzy ogromne, obrotowe przegrody z działami, podczas gdy pośrodku wystawały rury wylotowe głównego napędu. Widać też było uszkodzenia bitewne; osmolone płyty, połamane i stopione tarcze anten oraz wyłomy w kadłubie, wokół których uwijały się grupki dronów naprawczych i techników.

- To *Heshgemar-Kref* - powiedział Yolog. - Pancernik Hegemonii klasy Chłostacz. Dopiero co wrócił z Domeny Yamanon, gdzie wdał się w jedną czy dwie potyczki z niedobitkami reżimu Dol-Das.

- A co to za okręt, ten mniejszy? - zapytał Kao Czi, pokazując palcem.

W miarę jak wahadłowiec Votha leciał naprzód, w polu widzenia pojawiła się druga burta pancernika, jak również drugi okręt zacumowany w pobliżu, przy eplanadowym końcu wielkiego otwartego hangaru. Ten był mniej więcej dziesięciokrotnie mniejszy niż *Heshgemar-Kref*, o opływowej, groźnej sylwetce, jakby wzorowany na jakimś morskim czy latającym drapieźniku. Jego długi, wąski kadłub nie miał widocznej broni ani czujników, a smukłe skrzydła wyginały się łukowato od tyłu ku przodowi; ich dziobowe krawędzie, otwarte celem przeprowadzenia napraw, odsłaniały wysuwane baterie dział. Była to lekko opancerzona jednostka, zaprojektowana z naciskiem na szybkość i agresywne manewry, ciemnoniebieska ze srebrnymi pasami oraz ciągiem symboli wzdłuż linii grzbietu.

- To ezgarski okręt - powiedział Yolog. - Klasy Zasadzkowiec, prawie na pewno stanowiący eskortę pancernika. Nazwy jednostek ezgarskich rzadko bywają podawane w portowych strumieniach informacyjnych, ale ten tutaj ma na powłoce jedenaście symboli zwycięstw, co oznacza, że może to być *Chaxothal*, podobno odpowiedzialny za zniszczenie okrętu flagowego marynarki Dol-Das podczas wyzwolenia Yamanonu.

Kao Czi wcześniej niewiele wiedział na temat wyzwolenia Domeny Yamanon, z

wyjątkiem faktu, że w skład koalicji, która dokonała inwazji, wchodziły Ziemia i Hegemonia Sendrukańska, oraz że okupacja ciągnęła się już od prawie czterech lat. Jednakże odkąd wyruszył na swoją misję na Dariena, odnotował wiele szczegółów - zasłyszane strzępki rozmów toczonych w miejscach publicznych oraz sprawozdania na kanałach informacyjnych pozostawiły go z wrażeniem, że okupacja ta jest bardzo źle widziana przez rdzennych mieszkańców i tylko prowokuje działalność ruchu oporu, zamiast sprzyjać pokojowi i pojednaniu.

Potem wahadłowiec przeleciał obok kolejnego otwartego hangaru i oczy Kao Cziego otwarły się szerzej. Zaczumowana tam jednostka była gigantyczna, może trzy czy cztery razy większa od pancernika Hegemonii. Kształtem przypominała czterokątny, lśniący złotem i czerwienią grot strzały, położony na boku. Jego wygięte krawędzie łączyły się z masywną kopułą rufy, której powierzchnię gęsto pokrywały dziwaczne zdobienia: podobizny stworzeń i postaci, symbole oraz rzędy znaków, jak również wielkie sztandary i flagi. Płaskorzeźby zostały wkomponowane w zewnętrzne wyposażenie okrętu: usta ziały otworem wokół platform startowych myśliwców, podczas gdy lufy broni wiązkowej wystawały z oczodołów. Cały kadłub stanowił fantastycznie barokową fasadę, jak gdyby ta nieprawdopodobna nawała zdobień miała napędzać wrogów trwogą, zmuszając ich do uległości.

- Ach tak, hm, to *Kho-Maurz* - wyjaśnił Voth. - Okręt broturański, oni nazywają to Strategicznym Ofensywnym Przewozowcem, ale tak naprawdę to starożytny supertransportowiec zbudowany przez Oligarchów Ufan podczas ich wojny ze zdominowaną przez Sarshenich Indromą prawie pięćset lat temu.

- Robi wrażenie - powiedział Kao Czi.

Yolog lekko się uśmiechnął.

- Zgadza się, lecz okręt flagowy marynarki Yamanon został wyprodukowany mniej więcej w tym samym czasie przez tę samą stocznice; to był superciężki transportowiec i dwukrotnie przewyższał rozmiarami tego tutaj.

Kao Czi zamrugał i popatrzył na Votha.

- A ten statek Ezgarów... W porównaniu z taką jednostką wydaje się praktycznie łódką.

- Tak, tak, ale reżim Dol-Das to była w praktyce banda dyletantów: jedna czwarta dział tamtego okrętu flagowego do niczego się nie nadawała, piętnaście z jego siedemdziesięciu pokładów zostało wyłączonych z użytkowania wskutek złego stanu technicznego i tylko do czterech z jego dwunastu platform startowych przypisane były komplety myśliwców bliskiego wsparcia. Plotka głosi, że *Chaxothal* zdołał sforsować wejście do jednego z nieużywanych hangarów, po czym wybił działami tunel we wnętrzu okrętu sięgający aż do

rufy, gdzie zniszczył główny napęd oraz pozostawił pewną liczbę ładunków wybuchowych. Gdy tylko statek ezgarski odleciał tą samą drogą, którą przybył, okręt flagowy został rozerwany przez kilka niszczycielskich eksplozji.

Zespoły inżynierów pracowały rozsiane po całym błyszczącym kadłubie *Kho-Maurza*, który stopniowo zniknął z pola widzenia, w miarę jak prom Votha wznosił się w stronę linii mniejszych hangarów tkwiących bezpośrednio nad tymi wielkimi. Jednakże Yolog minął je i włączył się w leniwy strumień statków oraz holowników płynący w stronę wieży, wokół której rozmieszczone były inne podobne doki. Wpatrując się w tę wieżę, Kao Czi równocześnie ogarnął wzrokiem szerszą panoramę i nagle uświadomił sobie, że Otwarty Port Tagreli jest skonstruowany na planie koła o sześciu szprychach, z których każda jest zwieńczona taką wieżą, to właśnie jedna z owych wież stanowiła cel ich lotu.

Wkrótce już dokowali w czymś, co wyglądało na szyb dostępu dla zautomatyzowanych barek wywożących śmieci. Statek Yologa przylgnął do niszy wewnątrz szybu i segmentowany rękaw wysunął się, zgrabnie opadając na służbę powietrzną wahadłowca. Kilka minut później Kao Czi oraz dziwnie milczący Drazuma-Ha* podążali za Vothem w stronę miejsca, które określił mianem swojego „lokalu handlowego”. Na suficie zapłonęły rzędy kolorowych świateł, ukazując powierzchnię wystawową, gdzie stały rzędy nieskazitelnie wyglądających botów oraz droidów. Szerokie podwójne drzwi prowadziły do świetnie wyposażonego warsztatu, gdzie mruczały maszyny, a ekrany o niezwykłych kształtach pokazywały dziwnie zamazane ciągi danych, płynące w postaci wzorów, spiral oraz wykresów. Yolog zgasił je wszystkim gestem, po czym podjechał płynnie do terminalu wyposażonego w duży owalny monitor o wklęsłej przedniej powierzchni.

- Kaaczi, poproszę wasze dane kursu.

Kao Czi podał mu mały kryształ pamięci, który został prędko wsunięty do zaokrąglonej konsoli o srebrzystych, przypominających koraliki klawiszach. Kilka sekund później na ekranie zaczęły przepływać strumienie danych, a w dodatkowym okienku wyświetliły się wyniki analizy sunące z lewa na prawo. Drazuma-Ha* unosił się kawałek dalej, a Kao Czi pozwolił swojemu wzrokowi błądzić po warsztacie, po ławkach, stanowiskach składania maszyn oraz zamontowanych na suficie skanerach. Nagle mech przemówił:

- Yologu, zdaje się, że ten sprzęt uległ awarii.

Maszyna zawisła przed dużą, pochyłą szafką, na której migotały rozmaite światełka oraz symbole.

- To tylko ładowarka do baterii - powiedział Voth, nie odrywając wzroku od konsoli. - Nie ma potrzeby zwracać na nią uwagi, wyłącznik zaraz...

Od strony szafki dobiegł głośny huk i fragmenty jej obudowy oraz iskry wystrzeliły na zewnątrz, obsypując Drazumę-Ha*. Voth zaklął, odwrócił się od srebrnej klawiatury i pośpieszył w stronę wadliwego urządzenia, wyciągając wspomaganą egzoszkieletem rękę, żeby odłączyć zasilanie.

- Drodzy klienci, głęboko was przepraszam za ten nieszczęśliwy wypadek - oznajmił, kierując się w stronę Drazumy-Ha*. - Czy doznałeś uszkodzeń, wielce wartościowa maszyna? Czy potrzebujesz naprawy albo przeglądu systemów, hm?

Kao Czi podbiegł, pełen niepokoju, ale mech już cofał się od Votha, po czym poszybował w stronę wyjścia.

- Nie doznałem uszkodzeń - powiedział. - Ale zamierzam poczekać wewnątrz promu. Proszę, kontynuuj pracę.

Kao Czi przyglądał się, jak mech opuszcza pomieszczenie, po czym gwałtownie odwrócił się do Yologa, który już toczył się na swym wózku z powrotem do konsoli.

- Co się stało? - zapytał.

- Doprawdy mi przykro. Nader niefortunny incydent: spięcie w uszkodzonej ładowarce - odparł Voth, podczas gdy jego długie, zwinne palce tańczyły na koralikowatych klawiszach. - Duża część mojego sprzętu jest przestarzała i pilnie potrzebuje aktualizacji oprogramowania bądź wymiany na nowsze modele, lecz grafik zleceń mam tak zapchany, że nie mogę sobie pozwolić na to, by maszyny stały nieużywane. Jednakże niektóre starsze urządzenia zachowują przydatność, jak na przykład ten manualny interfejs, który mimo swej anachronicznej natury pozwala na wielozadaniowość, nie obciążając przy tym zanadto centralnego układu nerwowego.

Raptem Yolog przestał wciskać klawisze i zdjął z nich dłonie. Zabrzmiała krótka melodia - kaskada opadających nut - po czym wyciągnął kryształ pamięci z gniazda i zwrócił go młodzieńcowi.

- Wasze dane kursu, odzyskane w całości i zaktualizowane.

- Dziękuję, szacowny Yologu. Ogromnie nam pomogłeś.

Voth uśmiechnął się szeroko, odsłaniając spektakularny garnitur przebarwionych na ochrowo zębów.

- Tak, hm, no cóż, nasza transakcja niewątpliwie poprawiła mi nastrój i dostarczyła nowego zestawu muzycznych tajemnic do zgłębienia. A teraz musisz wrócić na mój prom, który zabierze was obu z powrotem do mojego magazynu części, skąd będziecie mogli kontynuować waszą podróż.

- Nie wracasz z nami do ładowni?

- Praca mnie wzywa, Człowieku Kaaczi; w tym naprawa tego tam złomu, szumnie mieniącego się ładowarką.

- W takim razie żegnaj, Yologu, i wszystkiego dobrego.

Voth uśmiechnął się, skinął głową i ruszył w stronę szafki, żeby ją obejrzeć.

Znalazłszy się z powrotem w małym kokpicie promu, Kao Czi zobaczył, że mech unosi się pod niskim sufitem, ustawiony do niego równolegle.

- Ufam, że sprawa jest załatwiona - powiedział.

Kao Czi podniósł kryształ pamięci, który został prędko zbadany wypuszczoną na sekundę igłą lodowato niebieskiego światła.

- Dane wydają się w porządku. Co zatrzymało naszego gospodarza?

- Yolog mówi, że musi się zająć tą zepsutą ładowarką i...

- Pasażerowie na pokładzie - przerwał im automatyczny głos dobiegający z nieustalonego miejsca w obrębie kokpitu. - Czy pasażerowie są gotowi do odlotu? Proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

- Tak! - odparł głośno Drazuma-Ha*. - Zanim padnę ofiarą kolejnego podstępu.

- Co masz na myśli? - spytał Kao Czi.

- Ten mały teatrzyk z ładowarką miał w założeniu odwrócić moją uwagę od wiązki skanującej, która w tym samym momencie została wystrzelona w moim kierunku przez urządzenie zamontowane na suficie. Ale zrekonfigurowałem moje tarcze kamuflujące, zanim jeszcze tu przylecieliśmy, więc dane skanu pokażą Yologowi coś, czego się nie spodziewa.

- To znaczy co konkretnie?

- Szczegółowe schematy domowego służbota, dosyć podobnego do tych, które stoją na wystawie w jego własnym sklepie.

Śmiejąc się, Kao Czi wcisnął się w fotel pilota i zapiął pasy akurat w momencie, gdy prom oderwał się od ściany, przy której dotąd tkwił. Nastąpiło szarpnięcie, zabrzmiał nikły pomruk silników i statek Votha dostojnie wyfrunął z szybu dla barek wywożących śmieci. Drazuma-Ha* oznajmił, że zawiesza funkcje aktywności, by przeprowadzić kontrolę wszystkich swoich systemów. Kao Czi kiwnął głową i odchylił się do tyłu, rozkoszując się widokiem skomplikowanego ogromu Otwartego Portu Tagreli, jego skupisk światełek, szprych i hangarów, przylatujących i odlatujących statków o wszelkich możliwych rozmiarach i kształtach, jak również niezliczonych skakaczy, taksówek i łódek rekreacyjnych, widocznych na tle świata o złamanej, szarozielonej barwie, wokół którego orbitowała stacja. I żałował, że jego rodzina oraz przyjaciele nie mogą tego wszystkiego oglądać razem z nim.

Wróciwszy do swego warsztatu, przyciemniwszy oświetlenie w sali wystawowej, Yolog siedział przy konsoli, patrząc na ludzką kobietę, której twarz wypełniała pół ekranu.

- Dostałam twoją wiadomość. Co dla mnie masz?

Voth się uśmiechnął.

- No cóż, przyjaciółko Corazon, mam trop Człowieka oraz mecha, którzy potrzebowali kogoś, kto odzyskałby dla nich dane kursu...

- Chcesz powiedzieć, że miałeś ich w zasięgu ręki i pozwoliłeś, żeby odlecieli? Czy wchodzili w skład większej grupy?

- Hm, nie, oni...

- Nie taką mieliśmy umowę, przyjacielu Yologu. - Kobieta uśmiechnęła się zimno i groźnie. - Było powiedziane, że masz zatrzymywać samotnych Ludzi, uniemożliwiając im ucieczkę...

- To przez mecha tego Człowieka - usprawiedliwił się pośpiesznie Voth. - To stara, niezmiernie potężna i sprytna rozumna maszyna, która udaremniła moją próbę przeskanowania jej. Gdybym spróbował uwięzić Człowieka, mogła mnie zaatakować, może nawet zabić!

Kobieta, której pełne personalia brzmiały Corazon Talavera, potrząsnęła czerwono-czarną, przypominającą futro czupryną.

- Skoro odlecieli, są dla mnie bezużyteczni.

- Mam kopię danych ich kursu - powiedział Yolog. - Zmierzają na stację Bryag, a kiedy tu byli, poleciłem jednemu z moich zdalniaków umieścić na ich statku pluskwę.

- Tak już lepiej, choć nie idealnie - odrzekła Talavera. - Jak oni się nazywają?

- Człowiek zwie się Kaar-Czii, a mech to Drazuma-Ha*. - Dygoczącymi palcami dotknął srebrzystych koralikowatych klawiszy. - Wysyłam ci wszystkie dane, jakie udało mi się zdobyć na ich temat, pliki graficzne i statystyki, jak również parametry sygnału z pluskwy.

- Stacja Bryag, co? Niełatwo będzie się tam dostać przed nimi. - Corazon Talavera zerknęła w dół, bez wątplenia ujrawszy, że pakiet danych pojawił się na jej konsoli, a potem zmierzyła Yologa twardym, taksującym spojrzeniem. - Ale, kiedy wrócę, przeprowadzę z tobą małą rozmowę, tylko po to, żeby ci przypomnieć, jak dokładnie ma funkcjonować nasze porozumienie.

Potem ekran zgasł, pozostawiając Yologa dygoczącego i mokrego od potu. Voth przez sekundę siedział w miejscu, pełen ulgi, że Corazon się rozłączyła; potem wezbrała w nim złość i uniósł obudowane egzoszkieletem ręce, zaciskając pięści.

Bogowie nieskończonej przestrzeni, jakże nienawidził Ludzi, a zwłaszcza tej kobiety

nazwiskiem Talavera. Czy wszystkie ich samice były tak okrutne i pozbawione litości? Wiele lat wcześniej popełnił mały, bardzo mały błąd, który doprowadził do tragicznej śmierci jednego z sędziwych i czcigodnych henkayańskich Wstrzemięźliwych, wyłącznie wskutek łańcucha przypadkowych zdarzeń i nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. Sądził, że tylko on zna prawdę, do czasu aż pojawiła się ta przeklęta ludzka kobieta i pokazała mu dowody mogące go zgubić, które zamierzała trzymać zamknięte w bezpiecznym miejscu tak długo, dopóki będzie grzecznie robił, co ona mu każe.

Yolog pomyślał, że mógłby spakować to, co niezbędne oraz najcenniejsze rzeczy i uciec z Tagreli, hen, w głąbiny znanego kosmosu, ale było to już mocno wyeksploatowane rojenie, podobnie jak to, gdzie uciekał do Aranja Tesh, do jakiegoś świata w pobliżu granic Yamanonu, by tam pomagać w budowie droidów bojowych, które zostaną wykorzystane w walce przeciwko Hegemonii oraz ich nikczemnym ludzkim sługusom.

Zaśmiał się z rozpaczą, wiedząc, że tylko zbliżająca się nieuchronnie, zagrażająca jego życiu katastrofa mogłaby go skłonić do wyjazdu. Z drugiej strony, niewykluczone, że jeśli dojdzie do konfrontacji, ten groźny mech, Drazuma-Ha*, zrobi już na stałe porządek z Talaverą.

Z tą optymistyczną myślą Yolog z powrotem wsunął do uszu audiopaki i zaczął sprawdzać manifesty ładunkowe, a jego głowę wypełniły wartkie rytmy piosenki zatytułowanej „Kaszmir”.

Catriona

Wyglądając przez okienko kabiny, przez prześwity w pokrywie chmur widziała pojedynczy potężny kontynent Niewiesty. Wahadłowiec, przechylając się, schodził po spirali ku księżycowi. Widziana z tej wysokości zieleń Segrany była nasycona, ciemna i tajemnicza, lecz chmury wydawały się miękkie. Ilekroć Catriona patrzyła na nie podczas podróży wahadłowcem, wyobrażała sobie, że są dziwnym, szybującym w powietrzu łodem, nieskazitelnie białym, mającym własną florę i faunę... dopóki lecący statek nie przeciął ich niczym kosa. Potem były już tylko kropelki wilgoci pełzające po zewnętrznej powierzchni okienka, podczas gdy stalowoszara mgła umykała wstecz.

Gdy tak pędzili przez chmury, jej myśli popłynęły z powrotem ku spotkaniu z tamtą zjawą, wyglądającą tak bardzo jak Mistrz Ścieżek, a w każdym razie tak, jak Catriona ich sobie wyobrażała. „Wyszukaj *vudron*, by tam odbyć czuwanie, a wszystko stanie się dla ciebie jasne” - oznajmiła owa istota podobnym do westchnienia, lekko sykliwym głosem. Ale czemu powiedziała coś takiego? I czy zdarzyło się to naprawdę, czy też tylko w wyobraźni Catriony? Jeśli to drugie, fakt ten stawiałby pod znakiem zapytania jej zdrowie psychiczne oraz zdolność do pełnienia aktualnej roli i związanych z nią obowiązków... a jeśli to jednak była prawda? Ponieważ Cat prowadziła badania wspólnie z Uvovo - zarówno płci męskiej, jak i żeńskiej - wiedziała, że ci, którzy mają za sobą czuwanie w *vudronie*, twierdzą, że w jego trakcie doświadczyli odczuć Segrany i słyszeli jej myśli. Może więc sama tego spróbuje, choć nie miała jeszcze bladego pojęcia, w jaki sposób uzyskać pozwolenie Słuchacza. Zastanowi się nad tym - później, kiedy już znajdzie się z powrotem w enklawie.

Wkrótce personel pokładowy ogłosił, że zaczyna się podejście do lądowania, i wszyscy zapięli pasy. Wraz z Catrioną leciało jeszcze jedenaście osób, głównie ekologów i biologów, w tym para uczonych Uvovo w mocno średnim wieku, sądząc po siwych kosmykach za uszami. Był też jeden tajemniczy człowiek siedzący w rzędzie z przodu, po drugiej stronie przejścia - w ciągu całego dziewięciogodzinnego lotu nie zjadł ani kęsa i wypił tylko kilka kubków wody, nie odezwał się do nikogo, niczego nie czytał ani nie słuchał na podczepionych do fotela słuchawkach, niczego też nie oglądał na ekraniku nad głową. Wszystko to kazało Cat przypuszczać, że jest on jednym z Ulepszonych. Nie rozpoznała go, ale w końcu dyrektorzy projektu narzucili rygorystyczną segregację wszystkich współdziałek uczniów, mając na celu wymuszenie ścisłej lojalności w obrębie grup. Twarze jej własnej

współdziałki pozostały jaskrawo i wyraźnie odcisnięte w jej pamięci, lecz inni, którzy byli tam w tym samym czasie co ona, jawili się jej teraz niemalże jako zamazane plamy.

Drodzy bracia i siostry z mojej współdziałki, pomyślała kwaśno. Przytłaczający kaftan bezpieczeństwa w postaci presji rówieśniczej, wszelka indywidualność zdławiona i podporządkowana grupie, tożsamość kontrolowana przez dyrektorów, których interesowało wyłącznie stworzenie żywych procesorów zdolnych do przeprowadzania obliczeń na wysokim poziomie skomplikowania. Chodzących kalkulatorów...

Wzdychając, odchyliła się w wygodnym fotelu, zastanawiając się, jak mogłaby odkryć jego nazwisko, może nawet sprawdzić, co Ulepszony robi na Niewieście. Z tamtego wczesnego, spędzonego w odosobnieniu okresu życia pamiętała, że wielu Ulepszonych ostatecznie ląduje na państwowych posiadach, pracując dla rządu w jego Dziale Projektów Specjalnych. Ale co DPS miały do roboty tu, na Niewieście?

Podejście do lądowania oraz samo lądowanie zajęły dalsze dwadzieścia minut. Wibracje napływały kolejnymi falami, podobnie jak głośny jęk silników, włączających się co pewien czas, by stopniowo wyhamować jednostkę. Wstrząs towarzyszący lądowaniu na wodzie sprawił, że wahadłowiec zadygotał, a dźwięk jego napędu się zmienił. Wkrótce podплыnęli do pływającego doku stacji Pilipoint - dużej konstrukcji z wypukłym dachem, zdolnej pomieścić dwa wahadłowce. Podczas gdy pasażerowie ściągali z półek bagaż podręczny i wkładali kurtki oraz płaszcze, Cat przyłapała się na zastanawianiu, nie po raz pierwszy, co kombinuje Greg tam, na Ramieniu Olbrzyma. Doskonale wiedziała, że pokusa, by wrócić do tamtego zagadkowego korytarza pułapki, będzie dla niego nie do odparcia. Podobnie byłoby wszak i w jej przypadku.

Proszę, nie pakuj się w kłopoty, pomyślała. Albo przynajmniej szukaj ich w towarzystwie kogoś, na kim możesz polegać.

Ujęła swoją torbę podróżną i pośpieszyła do przodu, żeby znaleźć się tuż za tajemniczym mężczyzną, kiedy zamek w drzwiach kabiny przekręcił się do pozycji „otwarte”. Przemieszczając się powoli w kierunku wyjścia, usłyszała, jak steward zwrócił się do niego per „panie Jurewicz” i zobaczyła, jak mężczyzna wyjmuje dwie duże sztuki bagażu z budki służącej do przewożenia rzeczy większych od torby podręcznej, po czym przechodzi przez służę. Oprócz zwykłej walizki z koroskóry miał też ze sobą wysoką szarą skrzynkę na kółeczkach; jej boki były oblepione naklejkami, na których widniał napis „OSTROŻNIE - SPRZĘT FOTOGRAFICZNY”, ale Catriona rozpoznała standardowe pudło do przewożenia sprzętu laboratoryjnego używane w projekcie Ulepszania.

Chwilę później opuściła zatęchłą, recykulowaną atmosferę wahadłowca, by stanąć na

kombiglasowych płytach doku i głęboko zaczerpnąć świeżego powietrza Nieviesty. Jurewicz już pośpiesznie odchodził, ale to nie stanowiło problemu - jego nazwisko i opis wraz z niemal stuprocentową pewnością, że mężczyzna ma status Ulepszego, powinny wystarczyć aż nadto, by dało się ustalić nieformalnymi kanałami, kto to taki. Teraz jednak czekał ją uciążliwy obowiązek zameldowania się profesorowi Forbesowi, który bez wątpienia oglądał w serwisach informacyjnych relacje na temat strzelaniny na Ramieniu Olbrzyma oraz przypuszczalnie czytał już wstępne raporty.

Musiała przed tą rozmową nabrać dystansu i wprawić się w nastrój niewzruszonego spokoju. Pytanie nie brzmiało, czy Forbes będzie, czy nie będzie niemiły i nieprzyjaźnie nastawiony, tylko w jaki sposób to okaże.

Jednakże zapomniała o tym wszystkim, gdy tylko wkroczyła do niskiej, nieco obskurnej hali tranzytowej. Wewnątrz znajdowały się dwa widekrany, zwykle nastawione na kanały sportowe lub lekką rozrywkę, ale teraz oba wyświetlały serwis informacyjny, a wokół skupiły się tuziny zaniepokojonych ludzi. Na ekranie jeden z lepszych prezenterów, siwowłosa Jan Kronagen, przemawiał do widzów ze studia, więc Catriona zatrzymała się, żeby sprawdzić, co się dzieje.

- ...jednakże członkowie delegacji Hegemonii Sendrukańskiej nadal odmawiają komentarza, a ponieważ jak dotąd na Darienie nie przebywa ani jeden przedstawiciel Jedności Brolturańskiej, musimy zasięgać języka tam, gdzie to możliwe. Powróćmy teraz na *Heraklesa*, gdzie nasz reporter, Serż Taniłow, zdołał uzyskać więcej zdjęć brolturańskiego okrętu, jak również nieco konkretnych danych. Serż?

- Tak, Jan, dziękuję ci. Więcej informacji na temat brolturańskiego okrętu, który nawiasem mówiąc nazywa się *Puryfikator* - jego oficjalny opis brzmi Dominator Taktyczny... ach, już to mamy?... w porządku, możemy pokazać więcej materiału wideo dostarczonego przez gomedrańskiego niezależnego dziennikarza, który znajdował się na pokładzie jednej z łodzi atmosferycznych *Heraklesa*, kiedy ten oto lewiatan wszedł na orbitę stacjonarną nad Darieniem.

Ekran raptownie przełączył się na gwiazdy widziane z orbity; najbliższe z nich były zamazane przez obłoki pyłu występujące w obrębie strefy głębinowej. Jednakże cały pierwszy plan zajmował gigantyczny, lśniący, pokryty fantastycznymi zdobieniami okręt, którego przednie partie nieco przypominały potężną schodkową piramidę, podczas gdy rufa zwężała się nieznacznie w kierunku kanciastej rury rozgałęznej głównego napędu. Obraz lekko się zakotłosał, po czym kamera zrobiła zbliżenie na dziób, gdzie z kadłuba wyrastała olbrzymia statua Brolturanina w archaicznej zbroi bojowej. Posąg w jednym ręku trzymał lustrzany

wielością, w drugim zaś dzierżył długi, prosty miecz, skierowany ostrzem w przód.

Potem gomedrański niezależny dziennikarz zrobił panoramiczne ujęcie okrętu wojennego. Powoli wędrował wzdłuż całej długości jego burty, pokazując pokłady, platformy startowe myśliwców, rzędy dział, baterie wyrzutni, a wszystko to otoczone najbardziej niewiarygodnymi zdobieniami, jakie Cat kiedykolwiek widziała, może poza wnętrzami niektórych rosyjskich cerkwi. Reporter tymczasem sypał jak z rękawa statystykami: *Puryfikator* mierzył prawie siedemset metrów długości, jego załoga liczyła dwanaście tysięcy osób plus dwa tysiące osmiuset pilotów oraz członków obsługi jednostek bliskiego wsparcia i przechwytyjących, mógł zabrać na pokład dziesięć tysięcy żołnierzy w zwykłym trybie przewozu bądź dwadzieścia tysięcy uśpionych w kriokomorach, a dowódca prawdopodobnie miał rangę Ojca-Admirała... Taniłow dodał, że nie są to oficjalne dane, a jedynie informacje uzyskane z rozmaitych źródeł w hiperrecie oraz od kilku pasjonatów, jakich udało się znaleźć wśród załogi *Heraklesa*. Gdy na ekranie ponownie zjawił się siedzący w studio Kronagen, przypomniał też widzom, że władze Dariena oczekiwały na przybycie ambasadora Brolturan, choć nikt się nie spodziewał, że ów przybędzie na tak imponującym okręcie.

Kręcąc głową, Cat zarzuciła na ramię torbę podróżną i skierowała się w stronę małego holu przed dokiem dla wahadłowców.

Może i przysłali ambasadora, pomyślała, ale ten okręt nie ma nic wspólnego z dyplomacją. Może liczą, że przestraszymy się jego przerażających ornamentów albo coś w tym guście; jeśli tak, to coś mi mówi, że się zdziwią...

Droga do wyjścia prowadziła obok małego baru, a kiedy Cat się doń zbliżyła, zauważyła Jurewicza, który siedział w jednym z głębokich foteli, rozmawiając z kimś. Przeszedłszy jeszcze kawałek, zobaczyła, że tą osobą jest kobieta o krótkich ciemnych włosach, której twarz stopniowo wyłoniła się zza liści dużej rośliny doniczkowej. Catriona znajdowała się zaledwie kilka kroków od niej, kiedy spadło na nią tak gwałtowne olśnienie, że omal nie stanęła jak wryta. W tym samym momencie kobieta obejrzała się, zobaczyła ją, wyprostowała się, uniosła rękę, żeby uciszyć Jurewicza, po czym wstała i podeszła.

- Catriona! Ileż to już lat. Jak się masz?

- Dobrze, Julio, nie narzekam. A ty? Wyglądasz... świetnie.

Julia Bryce, Julia od ciepłego koleżeńkiego uśmiechu i lodowatego, pełnego dezaprobaty spojrzenia, władczyni ich dziewięciosobowej współdziałki, z której uczyniła swoje małe imperium; bezlitosna manipulatorka, wspaniałomyślna wtedy, gdy sprzyjało to jej celom taktycznym. Była wyższa od Catriony, o bladej skórze podkreślającej jej elfio ładne rysy, ubrana w długi ciemny płaszcz, pod którym widać było modny, ciemnozielony

wizytowy strój.

- Ma się rozumieć, Catriono, jestem stale zajęta, jak zawsze. Przyleciałam tutaj, żeby pracować nad projektem badawczym, bardzo monotonnym i mało ekscytującym, ale ważnym. Razem ze mną pracują Albrecht i Gustaw - będą zachwyceni, gdy się dowiedzą, że jesteś na Niewieście.

Cat zmusiła się do uśmiechu. A więc lodowa królowa nadal miała w swym orszaku dwóch najbardziej cenionych totumfackich - Albrecht i Gustaw zwykli grać rolę posłusznych narzędzi, byli też wystarczająco sprytni, żeby od czasu do czasu skutecznie małe dramaty psychologiczne na własną rękę. Nie umiała sobie wyobrazić, by mogli być „zachwyceni” na wieść o jej obecności tutaj, biorąc pod uwagę, jak ich nazwała w ostatnim dniu swojego uczestnictwa w programie Ulepszania.

- Koniecznie przekaz im serdeczne pozdrowienia ode mnie.

- Oczywiście. Powiedz mi, masz tutaj pracę?

- O tak, ekosocjologiczne badania nad miejscową populacją Uvovo, z uwzględnieniem aspektów kulturowych i biologicznych. Są interdyscyplinarne i stanowią duże wyzwanie, ale je lubię.

- Fascynujące. - Uprzejmie nijaki wyraz twarzy Julii nie zmienił się ani na jotę. - Wiesz, straszna szkoda, że twoje ulepszenia ostatecznie zawiodły; biedna Catriona, to musiało być dla ciebie ogromnie trudne. Ale masz pracę, a to bardzo ważne. No cóż, muszę się teraz pożegnać; może jeszcze się spotkamy.

Uśmiech zabarwiony nutką satysfakcji, skinienie głową, i Julia Bryce już wracała nieśpiesznym krokiem do Jurewicza. Cat zmusiła się, żeby zachować na twarzy spokój do czasu, aż skręciła za róg, przechodząc z holu do wąskiej głównej hali stacji Pilipoint.

Żmija! Ona pracuje „nad projektem badawczym”, ale ja „mam pracę” - to brzmi tak, jakbym parzyła ludziom herbatę i przynosiła pocztę. Patentowana żmija!

Potem Catriona nieco się uspokoiła, równocześnie zwalniając ze wściekłego tempa, w jakim maszerowała, do bardziej normalnej prędkości. Minęło osiemnaście lat od czasu, gdy pozostawała uwięziona w tamtej ciasnej, duszącej szklarni, jaką była grupa współdziałania, a Julia nadal potrafiła jej boleśnie nadepnąć na odcisk i wzbudzić w niej niskie poczucie własnej wartości. Cat nie miała żadnych powodów do wstydu i wszelkie przesłanki po temu, żeby być dumna ze swoich osiągnięć, ale tym, czego potrzebowała, wcale nie było usprawiedliwianie się, tylko po prostu grubsza skóra.

Nagle stanęła w miejscu, uświadomiwszy sobie, że minęła już wejście do małego holu, w którym znajdowała się winda umożliwiająca wjazd na piętro, gdzie znajdowało się biuro

Forbesa.

I spontanicznie zdecydowała, że nie, nie zamierza podążać tam na górę i znosić werbalnego terroru szefa. Jeśli naprawdę teraz, już, w tej chwili potrzebował jej sprawozdania, z największą radością prześle mu wersję pisemną przez satelitę.

Czując się, jakby zrzuciła z pleców ciężar, przynajmniej chwilowo, Catriona szła wzdłuż niskiej hali, mijając sklepiki i pustą kawiarnię, kierując się w stronę głównych drzwi bezpieczeństwa, za którymi rozciągała się Segrana. A ściślej mówiąc, nieduża społeczność kupców Uvovo handlujących świeżymi rybami i owocami oraz kilka stajni *trict*. Wiedziała, że autosystem bezpieczeństwa wyłapie numer jej identyfikatora i wyloguje ją w momencie, gdy będzie wychodziła, i że Forbes odkryje ten fakt niedługo potem. Ale nie mogła się już doczekać powrotu między drzewa, do Segrany, żeby zobaczyć, czy w pliku od Galiny znajduje się cokolwiek użytecznego, ale przede wszystkim, żeby pogłowić się nad znaczeniem słów, jakie padły z ust zjawy Mistrza Ścieżek.

Wyszukaj vudron! - zostało to wypowiedziane jakby wypalonym szeptem. - *Odbądź czuwanie... wszystko stanie się dla Ciebie jasne...*

Czuwanie. Czego będzie mogła się zeń nauczyć? Może czegoś, co uczyni jej badania ważniejszymi w oczach Instytutu i zafunduje jej nieco rozgłosu w kręgach naukowych? Może nawet okryje ją dostateczną sławą, by stało się pewne, że słuchy o tym dotrą do Julii i jej totumfackich.

No cóż, to może nie być najzdrowsza motywacja dla poszukiwań sławy i fortuny, pomyślała, wychodząc z budynku stacji i kierując się w stronę jednej ze stajni *trict*. Ale to właśnie ona poprawia mi humor!

Wspominał katastrofalną w skutkach porażkę w Wysokim Lochiel, gdy on, Rory oraz Janssen kulili się obok schodów pożarowych w bocznej uliczce. Sundstrom był przerażony liczbą ofiar i wściekły za niezachowanie środków ostrożności, bo obawiał się, że media bez trudu poskładają fragmenty układanki. Ponieważ jednak kobieta, która zobaczyła ludzi Teo, także zginęła w eksplozji, brakowało jakichkolwiek świadków mogących potwierdzić, że byli kimś więcej niż tylko osobami, które znalazły się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Piatkow naciskał na prezydenta, by ten wykluczył Teo z udziału we wszelkich dalszych operacjach antyterrorystycznych, ale potem pojawił się Rory z informacjami na temat człowieka, który stał za kilkoma przypadkami zamieszek oraz zaaranżowanych incydentów z flagami, w wyniku których między antagonistycznie nastawionymi grupami dochodziło do starć ulicznych. Informator Rory'ego doniósł, że ten człowiek, znany jako Olgren, przyjmuje rozkazy od innego mężczyzny, przebywającego w jego mieszkaniu na poddaszu, w południowo-zachodniej części Hammergardu.

Tak więc, przejechawszy gorączkowo przez całe miasto, przy czym Rory upewnił się, że obaj mężczyźni wciąż jeszcze znajdują się na miejscu, Teo oraz jego ludzie otrzymali zadanie zabezpieczenia schodów pożarowych, podczas gdy pozostałe drużyny Piatkova obstawiły wszystkie klatki schodowe oraz windy. Budynek liczył osiem pięter, na których część mieszkań użytkowali właściciele, inne zaś były wynajmowane... i niepokój Teo narastał z każdą chwilą. Co, jeśli mieli do czynienia z kolejną wymyślną pułapką? Jeśli informator Rory'ego został wprowadzony w błąd przez następną wysoce zaawansowaną technicznie iluzję? We wstępnych raportach na temat eksplozji w Wysokim Lochiel znalazła się informacja, że wśród zwęglonych szczątków najwyższego piętra odkryto małe urządzenie, mogące być holoprojektorem. Skąd mogli mieć pewność, że nie idą prosto w następną śmiertelną pułapkę?

Wstał.

- W porządku, dość czekania - oświadczył. - Idziemy.

Rory uśmiechnął się, wstając, ale badawczo zerknął na Teo.

- Sądziłem, że mamy czekać na rozkaz Piatkova, majorze.

- Chcę się upewnić, że nie pakujemy się w następną zasadzkę, Rory.

- No cóż, mój chłopak Wład twierdzi, że widział ich obu w ciungu ostatniej godziny...

ale *aye*, racja, nie chcemy, co by nas znów tak podeszli jak zeszłej nocy.

- Dobra, Janssen, ty idź przodem, i stąpaj cicho.

Była to nad wyraz stresująca wspinaczka; starali się trzymać pod osłoną drewnianych schodów, uważając jednocześnie, żeby stopnie nie skrzypiały pod nogami. W końcu dotarli na najwyższe piętro i skulili się przy wyjściu ewakuacyjnym.

- Rory - szepnął Teo, wskazując framugę.

Rory uśmiechnął się od ucha do ucha, po czym wyciągnął małe urządzenie z plastikowym pokrętelem i metalowym jęczyzkiem, który wsunął pod drzwi. Minutę później byli już w środku, kuląc się poniżej poziomu okien w drzwiach znajdujących się na obu końcach pustego, pomalowanego na biało korytarza. Teo podkraść się do tych, które prowadziły do mieszkania Olgrena, wyjął kieszonkowy peryskop i przyłożył do niego oko.

To, co zobaczył, w równym stopniu alarmowało, jak i budziło konsternację. Mieszkanie było przestronne i widne; niewielkie wnęki sypialniane w dwóch dalszych rogach zostały odgródzone przepierzeniami półtorametrowej wysokości. Pośrodku znajdował się pozbawiony ścianek działowych salon i kuchnia w jednym, a wysokie okna, których zbite z listewek okiennice były otwarte na oścież, wpuszczały światło zachodzącego słońca. Ale bliżej drzwi stały urządzenia wyglądające na samostrzelne automaty wartownicze: niskie, zamontowane na trójnogach i tak rozstawione, żeby złapać w śmiercionośny krzyżowy ogień każdego, kto wejdzie przez główne drzwi.

Tym, co zdezorientowało Teo, byli dwaj mężczyźni, z których jeden siedział po przeciwległej stronie pomieszczenia, drugi zaś stał w pobliżu niego i rozmawiał przez kom, wyglądając przy tym przez okno. Obaj mieli ogolone głowy, a ten, który siedział, wpatrywał się w jakiś szary gadżet umocowany do ramienia.

Właśnie wtedy Teo poczuł, że w kieszeni kurtki wibruje mu kom. Wręczywszy peryskop Janssenowi, wyjął urządzenie i zamruczał cicho:

- Karlsson.

- Tu Piatkow, zaraz będziemy na górze. Zaczniście wchodzić po schodach.

- Drobna rada, Piatkow: nie szturmujcie drzwi do mieszkania. Pilnują ich dwa samostrzały wartownicze.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Jesteście już na górze, nieprawdaż? Niech cię szlag, Karlsson, postąpiłeś wbrew moim rozkazom...

- I należą mi się za to podziękowania, ale możemy podyskutować o tym później, tak? Kiedy już będziecie na pozycjach, ruszymy pierwsi i spróbujemy unieszkodliwić lewy

samostrzał, w porządku?

- Przyjąłem, wykonać.

Rory uśmiechnął się łobuzersko, gdy Teo odkładał kom.

- I co, pan Piatkow jest nadal po naszej stronie?

- Nie inaczej, ale raczej nie przyśle nam w tym roku kartki na Boże Narodzenie.

- Coś się stało - powiedział Janssen. - Są niespokojni.

Teo chwycił peryskop i zajrzał do mieszkania. Obaj mężczyźni stali teraz nad terminalem komputerowym, a jeden z nich stuknął w klawiaturę. Przez moment obaj wpatrywali się w ekran, po czym zerwali się, by gorączkowo pozbierać małe torby oraz kilka sztuk broni. Dziwne szare urządzenie wylądowało w zielonym plecaku.

- Wiedzą, że ktoś się zbliża - powiedział Teo. - Czujniki na schodach, może w windach też... I jeden kieruje się tutaj! - Odwrócił się do dwóch towarzyszy. - Kiedy przejdzie, ja przepchnę się obok niego w drugą stronę, a gdy odwróci się do mnie, wy dwaj ściągnijcie go do parteru. - Wcisnął klawisz szybkiego wybierania na swoim komie, a usłyszawszy głos Piatkowa, rzucił: - Mamy tylko kilka sekund, wiedzą o was, więc wchodzimy!

Z ledwością wystarczyło mu czasu, żeby wepchnąć kom do kieszeni kurtki i naszykować broń, półautomatyczny karabin Makarowa, kiedy mężczyzna z ogoloną głową pchnął drzwi.

Teo natychmiast rzucił się do środka, mijając go. Mężczyzna wydał okrzyk i okręcił się na pięcie, unosząc pistolet, ale Rory i Janssen podcięli mu kopniakami nogi i powalili go na ziemię. Drugi mężczyzna odwrócił się i Teo zobaczył jego uśmiech tuż zanim znajdujący się bliżej automat otworzył ogień. Pociski podziurawiły ściany i podłogę, a Karlsson zanurkował za długą gablotę pełną najrozmaitszych muszli. Przerzucił nad jej brzegiem granat zaczepny, celując w stronę samostrzału, po czym schylił głowę, zasłaniając uszy. Eksplozja rozwalila gablotę, wybiła większość okien, zakołysała podłogą i pozostawiła go z dzwonieniem w głowie.

Pokryty drzazgami oraz odłamkami muszelek zerknął ostrożnie za róg przepierzenia i zobaczył, że drugi mężczyzna przycupnął z plecakiem na parapecie jednego z wysokich okien, pozbawionych teraz szyb. Widząc Teo, zaśmiał się i strzelił, by zmusić go do cofnięcia się. Gdy Karlsson zaryzykował wyjrzenie po raz drugi, zdążył akurat zobaczyć, jak mężczyzna przechyliła się w bok i znika z pola widzenia.

- Nie! - ryknął Teo i rzucił się w stronę okna.

Za nim rozległy się strzały, ale zignorował je, wysunął głowę na zewnątrz - i natychmiast usłyszał dobiegający z prawej strony jęklivy dźwięk silniczka. Na ścianie

budynku, dalej niż na odległość ramienia od okna, zamontowany był obiekt wielkości pięści, od którego ciągnęła się napięta, wibrująca lina. Karlsson wychylił się kawałek, opierając się o zewnętrzny parapet, i w gęstniejącym zmierzchu zobaczył, jak na płaski dach sąsiedniego budynku zeskakuje postać, lądując zwinnie na ugiętych nogach. Z wciągarki sypnęły się iskry i przecięty koniec liny śmignął w powietrzu. Teo podniósł karabin i strzelił kilkakrotnie, ale mężczyzna już uciekał zygzakiem, przemykając tak, aby zasłaniały go szyby wentylacyjne i kominy. Dotarłszy na drugi koniec dachu, po prostu przeturlał się przez krawędź i zniknął.

Teo zaklął. Potem spostrzegł, że skaleczył się w rękę sterczącym z framugi odłamkiem szyby, i zaklął ponownie, tym razem ze znużeniem. Za nim, w pokoju, oba automaty wartownicze zostały zredukowane do dymiących szczątków, a Piatkow stał nad drugim mężczyzną, którego przywiązano do krzesła. Rory i Janssen znajdowali się tuż za nim.

- Drugi typek uciekł - oznajmił Karlsson Piatkowowi. - Zjechał na linie za pomocą lekkiej wciągarki zamocowanej za oknem. Dotarł do południowej ściany sąsiedniego budynku, później straciłem go z oczu.

Piatkow skinął głową, po czym szybko wydał kilka rozkazów przez wojskowy mikrotelefon. Teo spojrzął na Rory'ego, który przyciskał dłonią skaleczony podbródek.

- To jest Olgren? - spytał.

- Aye, i kawał chama z niego. Ale dziary ma ciekawe.

Teo popatrzył na więźnia, który siedział przed nimi, milczący i z pozoru niewzruszony. Miał na sobie szorty i koszulkę bez rękawów, dzięki czemu widać było wytatuowane wzory okalające jego kostki, ramiona oraz szyję. Piatkow odłożył mikrotelefon i zwrócił się w stronę Olgrena.

- Znalazł się pan w bardzo poważnych tarapatach, panie Olgren, ale może pan nieco poprawić swoją sytuację, jeśli powie mi pan, kim jest ten drugi człowiek i gdzie możemy go znaleźć.

Olgren się uśmiechnął.

- *Utlaginn* kieruje się tam, gdzie go potrzebują, proszę pana, walcząc przeciwko wrogom Dariena. Wy wszyscy powinniście wspierać FWD, zamiast utrudniać nam działania.

Teo skrzywił się - słowo *utlaginn* u dawnych Norwegów oznaczało kogoś wyjętego spod prawa.

Piatkow przez chwilę przypatrywał się mężczyźnie wzrokiem zimnym jak kamień.

- Po co są te tatuaże? - spytał, wskazując je.

- Symbolizują jedność FWD oraz czystość naszego celu. - Olgren potrząsnął głową. - Proszę pana, mogę wyjaśnić główne założenia Ruchu, ale nic więcej nie mam do

powiedzenia.

Piatkow nachylił się niżej.

- Wiesz, cieszę się, że czujesz się bezpieczny w pancerzu swoich przekonań, bo to oznacza, że kiedy w końcu się złamiesz, powiesz mi wszystko, bez wahania i bez oporu. A te tatuaże, no cóż... w nadchodzących latach będą ci tylko przypominać o tym, co zdradziłeś. Bardzo smutne. - Wyprostował się. - Zabierzcie go.

Olgren nie stawiał oporu, gdy go wyprowadzano, a niemal w tym samym momencie, gdy zniknął na głównych schodach, weszła po nich inna postać i wkroczyła do mieszkania. Był to Donny Barbour, ubrany w brązową skórzaną kurtkę.

- Panie Piatkow - powiedział - dostałem pilne zadanie i potrzebuję kilku dodatkowych ludzi; może mógłbym wypożyczyć majora Karlssona i jego podwładnych, jeśli to nie kłopot.

Piatkow przez chwilę mierzył Barboura chłodnym wzrokiem, a Teo niemal słyszał myśli Rosjanina: Dostałeś zadanie, a mnie o tym nie poinformowano?

- Dobrze, panie Barbour, ale proszę dopilnować, żeby słuchali rozkazów, tak?

- Świetnie, bardzo dziękuję... Majorze, pana i pańskich ludzi proszę o pójście za mną... - Potem, gdy nieco się oddalili od Piatkova, ciszej dodał: - Przepraszam, że tak nagle, ale bardzo możliwe, że mamy zamiar na gościa, który dopiero co wyskoczył z tamtego okna, i musimy się pośpieszyć!

Teo spojrział na Rory'ego i Janssena; obaj pokiwali głowami.

- Proszę iść przodem - powiedział.

Zamiast czekać na windę, która już zjeżdżała, wioząc Olgrena, prędko zbiegli po schodach. Krętochód Barboura był zaparkowany po przeciwnej stronie drogi, jego silniki pomrukiwały na jałowym biegu.

Teo miał właśnie siąść na przednim fotelu pasażera, kiedy Barbour powiedział:

- Pana poproszę o poprowadzenie auta, majorze, bo ja muszę obsługiwać sprzęt namierzający.

Zasiadłszy za kierownicą, Karlsson sprawdził kontrolki i przyrządy, po czym odwrócił się i ujrzał, że Barbour pochyla się nad kolistym panelem wyświetlacza, którego pogrubiony brzeg był upstrzony tajemniczymi świecącymi symbolami, a jego dolna krawędź jeżyła się linią owalnych czarnych ćwieków. Rory wytknął głowę z tylnego siedzenia, zobaczył dziwne urządzenie i już otwierał usta, ale Barbour przemówił pierwszy.

- To maper sygnału - powiedział. - Jest w stanie wylapać pojedynczą rozmowę przez kom w promieniu stu metrów, dopasować się do jej częstotliwości i podążyć za nią przez sieć węzłów komutacyjnych aż do odbiorcy, który wyświetla się jako ulica i numer domu. Tyle że

to wymaga czasu; wasz chłopcaś zadzwonił do kogoś tuż przed tym, nim zaczęła się zabawa, ale rozmawiał tylko przez jakieś dwadzieścia, trzydzieści sekund. Urządzenie potrzebuje co najmniej minuty...

- Da się przez to podsłuchiwać? - spytał Rory.

- Nie. To tydzie maleństwo to imisilska technika, na szybko zaadaptowana pod nasze cokolwiek zacofane komy...

W tym momencie kolisty ekran zapalił się, ukazując dziwny schemat, złożony z koncentrycznie zbiegających się szpikulców i kształtów przypominających kolejki linowe, w postaci ruchomej animacji 3D.

- Czy to jest to, co myślę? - zapytał Teo.

Barbour skinął głową.

- Nasz cel znowu do kogoś zadzwonił... gadaj dalej, ty wszawy kundlu...

Sekundy mijały jedna za drugą, gdy Barbour tropił świecąca linię w dziwnym labiryncie przemieszczających się stożków, helis i bloków zbudowanych z liczb, od czasu do czasu przełączając się na mapę Hammergeardu, żeby coś szybko sprawdzić. Mniej więcej półtorej minuty później sygnał zgasł, ale Barbour miał już adres.

- Abercromby Hall przy Athole Road; to koszary Korpusu.

- To w bok od ulicy Westerling? - zapytał Teo, uruchamiając krętnik.

Marszcząc brwi, Barbour kiwnął głową.

- Czemu interesują ich koszary?

- Czy to mogłoby być miejsce na zaaranżowanie czegoś? - spytał Teo, kierując pojazd na północ. - Może po prostu wyznaczili sobie tam spotkanie?

- Może - odparł Barbour; bez przekonania, jak się zdawało.

Była już ciemna noc, gdy dotarli do Abercromby Hall, który okazał się skromnym budynkiem z cegły, stojącym między składem mebli a fabryką odzieży. Teo i jego ludzie czekali przy samochodzie, a Barbour poszedł się rozmówić z oficerem dyżurnym. Chwilę później wrócił, z ponurą miną wciskając klawisze swojego koma.

- Wszyscy z powrotem do wozu - powiedział. - Mamy problem.

- Jakiego rodzaju? - spytał Teo, wsiadając do auta.

- Najgorszego: chwilowo nie stacjonują tu żadne jednostki w trakcie szkolenia ani kadeci, ale zeszłej nocy tymczasowo zakwaterowano tu oddział eskorty odkomenderowany od Drugiej Dywizji. To ten oddział, który prezydent przydzielił do ochrony Wysokiego Obserwatora Kurosa; Kuros i ambasador Horst są teraz w Porcie Gagarina, gdzie lada chwila wyląduje broturański ambasador... on jest celem następnego zamachu, to więcej niż pewne.

- Boże drogi - powiedział Teo. - Myśli pan, że ktoś w tej jednostce współpracuje z FWD?

- Albo nasz strzelec zamienił się miejscami z kimś stamtąd... - warknął Barbour i wrzucił swój kom na półkę nad deską rozdzielczą. - A ja nie mogę się dodzwonić z tego draństwa do nikogo w Porcie Gagarina! Dobra, ruszajmy i jedźmy tam...

- Mają nad nami prawie półgodzinną przewagę - zauważył Teo, zawracając krętochodem i jadąc w kierunku drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża.

- Może będziemy mieli szczęście - powiedział Barbour. - Może broturański prom będzie musiał zawrócić z powodu usterki technicznej albo złej pogody, albo może zamachowiec już został złapany... albo strzeli niecelnie...

- Aye, jasne - odezwał się Rory z tylnego siedzenia. - A mi kaktusy powyrastajom na tyłku, a biskup Trondu może siem okazać ateistom! Czy tak?

Teo zerknął na Barboura i zobaczył, że ten uśmiecha się od ucha do ucha.

- Musi pan mu wybaczyć: jego szklanka jest dzisiaj tak jakby do połowy pusta.

- Lepsza do połowy pusta szklanka prawdy - powiedział Barbour - niż beczka pełna próżnych nadziei, czyż nie tak, Rory?

- Lepiej być cynikiem niż frajerem, proszę pana.

- Przypomnij mi, żebym nigdy nie wylądował razem z tobą na bezludnej wyspie; twój optymizm by mnie zabił.

Robert

Poczekalnia dla pasażerów przy Lądowisku Numer Dwa w Porcie Gagarina została zamknięta dla ogółu ludności, a rzędy krzeseł odsunięto daleko do tyłu, żeby zrobić miejsce dla świt dyplomatów Hegemonii oraz Ziemi sfery, z których jedna liczyła dziewiętnastu członków, druga zaś tylko dwóch.

Harry, ubrany w długi szary płaszcz i ciemny wizytowy garnitur uszyty według mody panującej w Stanach Zjednoczonych w latach trzydziestych dwudziestego wieku, z uśmiechem patrzył na Wysokiego Obserwatora Kurosa oraz jego eskortę złożoną z czterech komandosów Ezgara, dwunastu żołnierzy OKD i trzech asystentów.

- Robercie, czasami odnoszę wrażenie, że Służba Dyplomatyczna nie traktuje twojego bezpieczeństwa wystarczająco poważnie. Sam go, cholera, nie traktujesz wystarczająco poważnie. Wczoraj Sundstrom zaoferował ci osobistą eskortę, taką samą, jaką dostał Kuros, ale stwierdziłeś, że jej nie chcesz. Czemu?

- Już ci mówiłem - zamruczał półgłosem ambasador. - Zarówno mój sekretarz, jak i jego asystent są uzbrojeni; liczniejsza eskorta stanowiłaby niepotrzebne obciążenie i przysparzałaby tylko kłopotu.

- Tak, no cóż, wczoraj ci nie uwierzyłem i teraz też ci nie wierzę, więc jaki jest prawdziwy powód?

Robert rzucił swojemu towarzyszowi gniewne spojrzenie, ale jedyną odpowiedzią był pogodny uśmiech. Ambasador westchnął.

- Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, jawnie uzbrojona eskorta sprawiałaby, że czułbym się tak, jakby naprawdę groziło mi niebezpieczeństwo. Gdyby to był świat nie-Ludzi, jak wtedy, kiedy przebywaliśmy na Giskhn 4 kilka lat temu, dostrzegałbym celowość takiego kroku. Ale tutaj... no cóż, byłoby to jak przyznanie się do porażki. To są nasi pobratymcy - nie możemy ich zawieść, więc musimy zadbać o to, by szczególne porozumienie między Ziemią a Hegemonią naprawdę coś znaczyło.

- Jestem pewien, że dla Jaśnie Oświeconego Kurosa ono coś znaczy - odparł Harry. - Na przykład to, że jesteśmy lojalni i można na nas polegać.

Przez kilka chwil przypatrywali się wysłannikowi Hegemonii. Wysoki Sendrukanin był ubrany w bardziej wojowniczym stylu niż przy poprzednich okazjach; jego rękawy i wąskie nogawki przywodziły na myśl starożytną metalową zbroję, a nakrycie głowy bardziej

przypominało hełm niż kapelusz. Poza tym, nie zwracając zupełnie uwagi na swoją straż przyboczną ani na Roberta, ewidentnie był pogrążony w rozmowie ze swoją własną SI towarzyszącą, sądząc po ruchach warg oraz wykonywanych od czasu do czasu gestach. Robert uświadomił sobie, że kiedy w okolicy nie ma reporterów i ich kamer - zakazano im udziału w tym wydarzeniu - Kurosovi łatwiej przychodzi odprężenie się. Nawet zamontowane w terminalu kamery bezpieczeństwa zostały wyłączone, zgodnie z życzeniem Diakona-Komodora Reskothyra, brolturańskiego ambasadora przysłanego na Dariena.

Drugi główny warunek, jaki Reskothyr postawił przed przybyciem, stanowiło żądanie, by prezydent Sundstrom nie był obecny podczas powitania, Brolturanie bowiem upierali się, że chcą w pierwszej kolejności kontaktować się wyłącznie z władzą zwierzchnią, to znaczy z Ziemiosferą. Sundstroma rozżłościło to, rzecz jasna, ale rychło pojął realia dyplomatyczne, a szybkość, z jaką pogodził się z sytuacją, tylko dowodziła, jak zdolnym jest przywódcą.

- Wiesz, widziałem się z nim - powiedział Harry. - Z towarzyszem Kurosa.

Robert zagapił się na niego.

- Jak to widziałeś się z nim? Potrafisz się komunikować z sendrukańskimi SI?

Harry posłał mu ubawione spojrzenie.

- Nie święci garnki lepią, Robercie; istnieje możliwość nawiązania dialogu, w ścisłej zgodzie z rygorystycznymi procedurami narzuconymi przez oba rządy, i całkiem niedawno miałem okazję spotkać się z towarzyszem Wysokiego Obserwatora.

- Fascynujące. Jaki on był, czy raczej jest?

- To prawdziwy ogr. Jego persona to szczegółowo odtworzona osobowość niejakiego generała Gratacha, który piastował godność Głównego Abrogatora podczas Wojny Trzech Rewolucji, stanowiącej szczególnie krwawy epizod w historii Hegemonii.

- Widziałem trochę nagrań z tamtego okresu. Słowo „krwawy” nawet w przybliżeniu nie oddaje tego, co się wtedy działo.

- No cóż, stary Gratach tkwił w tym po uszy, pomógł osadzić pierwszego Hegemona Zębatych na tronie, za drugim razem też. Jeśli jest towarzyszem Kurosa, może warto przeanalizować kilka jego kampanii, żeby się zorientować w preferowanych przezeń strategiach.

Robert kiwnął głową.

- Szkoda, że nie dowiedziałem się o tym przed kilkoma dniami, Harry.

- No cóż, kiedy mówię: całkiem niedawno, to znaczy naprawdę bardzo niedawno. Zeszłej nocy.

Robert miał właśnie odpowiedzieć, kiedy jego kom zapikał cicho. Dzwonił szef

ochrony w Terminalu Gagarina, Porteous.

- Panie ambasadorze, chcę pana poinformować, że prom z *Puryfikatora* wylądował i że brolturańska delegacja pojawi się za chwilę.

- Dziękuję, panie Porteous. Proszę w moim imieniu serdecznie podziękować wszystkim pana współpracownikom za okazany dzisiaj sprawny profesjonalizm.

- Jest pan bardzo miły; zrobię to przy najbliższej okazji.

- Przy okazji, czy pojawiły się jakieś nowe informacje na temat komsieci?

- Przykro mi, proszę pana, nadal mamy dostęp tylko do sieci lokalnej. Z tego co wiem, inżynierowie pracują teraz nad tutejszym hubem.

Harry uśmiechnął się szeroko, gdy Robert odkładał kom.

- Nie martw się, to pewnie tylko wysadzony bezpiecznik albo przepalony obwód, biorąc pod uwagę, jak zacofana jest tutejsza sieć komórkowa. Widziałem jej plany; to i tak cud, że funkcjonuje w miarę sprawnie.

Robert wzruszył ramionami.

- Martwienie się to moja praca. Jak inaczej miałbym zarabiać na tę wspaniałą pensję, której mi nie płacą? Ale mniejsza z tym. Co z Kurosem? Mając za towarzysza brutalnego starego generała Hegemonii, myślałby kto, że powinien raczej być mniej zrównoważony...

Urwał na widok postaci schodzących po spiralnych schodach, które znajdowały się za wysoką szklaną szybą po drugiej stronie poczekalni. Odwrócił się i skinął na swojego sekretarza Omara, który zerwał się z fotela i podszedł śpiesznie, niosąc powitalny podarunek, ręcznie rzeźbiony komplet szachów. Robert zerknął w stronę Kurosa i zobaczył, że ten również bierze paczuszkę z rąk jednego z asystentów.

- Wyjdzie ciut głupio, jeśli oni też mają komplet szachów - powiedział Harry.

- Kuros wygląda mi bardziej na kogoś, kto lubi grać w pokera - odparł Robert. - Nieodkrywanie kart i takie tam.

- A nasz nowy gość?

- Jego ulubiona gra? Może coś, co łączy elegancję szachów z brutalną bezpośredniością boksu...

Brolturańska procesja znalazła się już u stóp spiralnych schodów i skręciła w stronę szeroko otwartych podwójnych drzwi prowadzących do poczekalni. W liberii przybocznych Reskothyra dominowały krwiste czerwienie i srebrzyste szarości, sądząc po strojach czterech gwardzistów i sześciu urzędników, podczas gdy on sam był odziany w nieskazitelną czerń. Miał na sobie pozbawiony kołnierza, sięgający kolan płaszcz o prostym kroju; jego odsłonięta głowa była ogolona do skóry, a ręce skryte w lśniących czarnych rękawicach. Przed jego

orszakiem postępowało dwóch chorążych ubranych w proste szkarłatne mundury i szare metalowe hełmy. Gdy Robert polecił Omarowi stanąć krok dalej z zapakowanym podarunkiem i przygotować się do wręczenia go, uświadomił sobie, że od strony nadchodzącej świty dobiega jakaś muzyka - głęboki, monotony śpiew.

Potem procesja zatrzymała się, z wyjątkiem chorążych. Ci postąpili jeszcze kilka kroków naprzód, po czym rozeszli się w dwie różne strony: jeden poniósł swój sztandar w stronę wysłannika Hegemonii, a drugi zbliżył się do ambasadora Ziemi sfery. Gdy chóralny śpiew stał się głośniejszy, Robert uświadomił sobie, że dźwięk ten dobiega z małego czarnego sześcianu osadzonego na szczycie drzewca. Potem, mając tuż przed sobą potężną sylwetkę Sendrukanina, skłonił się przed sztandarem, który był długi i wykonany z grubej ciemnoniebieskiej tkaniny z wyhaftowanymi po brzegach ozdobami z klejnotów, a widniały na nim herby rodzinne oraz zawodowe Diakona-Komodora Reskothyra.

I wtedy padły pierwsze strzały.

Część trzecia

Kao Czi

Drazuma-Ha* wyjaśnił mu wcześniej, jak skomplikowane środki bezpieczeństwa chronią stację Bryag: znaczniki zewnętrznej granicy, sieć czujników obejmująca swym zasięgiem kilka sześciennych lat świetlnych pustki oraz na wpół losowa trajektoria stacji w obrębie tego obszaru. Mimo to, Kao Czi nie mógł pohamować narastającej złości, gdy natrafili na trzecią boję znacznikową. Zgodnie z planami podróży, z którymi Tumakri wyruszył w drogę, mieli się na tej stacji skontaktować z pewnym Piraseryjczykiem prawie trzy dni temu.

Widząc sygnał boi znacznikowej na ekranie konsoli, pokręcił głową i opadł na fotel.

- Jeszcze jedna? - spytał. - To już wykracza poza paranoję.

- Gdybym mógł wrzucić ramionami - odrzekł Drazuma-Ha* - zrobiłbym to. Ale to ich bezpieczeństwo i ich zasady. Wiem z całą pewnością, że odkąd sto lat temu wdrożono ten system, Bryag padła ofiarą zaledwie dwóch ataków; sprawcą jednego z nich był tajny agent Ziemosfery, drugiego zaś kiskashiński przemytnik krwi chowający urazę do rządzącej Enklawy Vusark. W obu przypadkach szkody były minimalne i nikt nie zginął... no, nikt istotny...

W tym momencie kanał komunikacyjny statek-do-statku kliknął i syntegłos przemówił w czteropeljańskim, języku handlowym Vusarków, który Kao Czi rozpoznał dzięki temu, że w Agmedra'a zdarzało mu się pracować w dokach. Jego nanotranslator przetłumaczył wszystko bez najmniejszych problemów.

- Uwaga statek 433 przez 2506: jesteście skanowani, aby ustalić, czy kwalifikujecie się pod względem kryteriów formalnych oraz kryteriów bezpieczeństwa do wydania zezwolenia na wejście na pokład stacji Bryag... trwa skanowanie... wszyscy pasażerowie muszą zachować bezruch przez dwanaście sekund... trwa skanowanie... analiza wzorów mowy rozpocznie się za piętnaście sekund...

Była to słowo w słowo ta sama formułka, którą słyszeli już podczas dwóch poprzednich spotkań, spośród których oba zaowocowały wydaniem danych kursu pozwalających na „kontynuację etapu” bądź mikroskok celem „opuszczenia obszaru”. Oczywiście, zarówno jedno, jak i drugie były niezbędne, gdyż olbrzymia sieć czujników - a stąd także i peregrynacje stacji Bryag - ograniczone były do obrzeży strefy głębinowej Omet, gdzie gęste, kłębiące się chmury pyłu oraz obiekty skryte w tych chmurach uniemożliwiały wszelkie

próby wyliczania kursu w hiperprzestrzeni. Podróżni musieli polegać na danych kursu podawanych przez Bryag albo w ogóle nie zadawać sobie trudu podróżowania tam.

W czasie gdy czekali, Kao Czi spoglądał przez okienko na zamgloną ciemność strefy głębinowej. Tu i tam skoncentrowane światło skupisk gwiazdnych oraz najbliżej położonych gwiazd przebijało się przez woale pyłu, które jarzyły się błotnistym oranżem i purpurą, zniekształcone bursztynowe wiry, rozciągnięte fale fioletu. To strefa głębinowa Omet, jak przypomniawszy mu Drazuma-Ha*, była źródłem olbrzymich Rojów Achorga, które sto pięćdziesiąt lat wcześniej przeszły jak burza przez setki okolicznych układów gwiazdnych, pustosząc i niszcząc całe planety, wśród nich ojczyznę Ludzkości, Ziemię. Tamta inwazja Achorgów nie była jedyną; od tamtej pory doszło do kolejnych, a wiele spośród tych najazdów objęło swym zasięgiem terytorium Indromów, powodując zamęt i dewastację na olbrzymią skalę.

Gdzieś tam, pomyślał, w mrocznym sercu całego tego pyłu i okruchów skalnych leży ojczysty świat Roju, Achorga.

Bez niego nie byłoby żadnej Wojny z Rojem ani desperackiej podróży trzech statków kolonizacyjnych ku nieznanemu celowi. *Tenebrosa* nigdy nie zanurkowałaby na oślep w hiperprzestrzeń i nie dotarłaby na piękną planetę, którą pierwsi osadnicy ochrzczili mianem Klejnotu w Dolinie, nie padliby też ofiarą tamtych ataków, nie musieliby patrzeć, jak ich świat jest eksploatowany i niszczone na ich oczach, nie byłoby długiej niewoli w okowach kontraktu dla tych, którym udało się zbiec...

- Skanowanie zakończone. Zezwolenie zatwierdzone.

Kao Czi wyprostował się, wytrzeszczając oczy, a potem uśmiechnął się szeroko, gdy boja ciągnęła:

- Proszę podać wymagany kurs: dostęp do stacji czy opuszczenie obszaru?

- Dostęp do stacji - odrzekł szybko Drazuma-Ha*, zapalając neonowożółty wysięgnik mikropolowy, żeby móc manipulować panelem komunikacyjnym. - Kanał policyfrowy otwarty.

- Trwa szybkie przekazywanie danych... Szybki przekaz danych zakończony. Możecie odlecieć.

- Ani sekundy przed czasem - stwierdził mech, który już wprowadzał nowe dane kursu do systemów nawigacyjnych.

Kao Czi ledwo zdążył zapiąć pasy, zanim fale mocy generowane przez hipernapęd nałożyły się na siebie i porwały-miotnęły-upuściły ich z powrotem na pierwszy poziom hiperprzestrzeni.

Kolejny półgodzinny mikroskok, w trakcie którego młodzieniec raz jeszcze przejrzał notatki w dokumenterze Tumakriego, dowiadując się wszystkiego, czego mógł o osobie, z którą mieli się skontaktować na stacji Bryag - był to piraseryjski sprzedawca kombinezonów próżniowych, niejaki Milmil S'Dohk - i jak rozpoznać jego mobilną placówkę handlową, poruszającą się na suspensorach. Potem spędził kolejne dwadzieścia minut, grając w szachy na połówce planszy przeciwko podsystemowi gier w komputerze pokładowym, do chwili, gdy usłyszał sygnał wzywający do zapięcia pasów. Sekundy później *Kasztelan* wypadł-runął-zawirował, wyłaniając się z hiperprzestrzeni zaledwie kilka klików od ich celu. Drazuma-Ha* zwiększył moc silników manewrowych i wkrótce szli już kursem na radiolatarnię wskazującą drogę.

Rysująca się na tle rozjarzonych kolorami pyłowych wirów Ometu stacja Bryag przedstawiała sobą ciekawy widok. Sunąca przez kosmos w swej niekończącej się peregrynacji, z jakiegoś powodu skojarzyła się Kao Cziemu z kolosalną muszlą małża, szeroko rozwartą gigantyczna sercówką, przy czym miejsce złączenia skierowane było naprzód. Każdą z połówek wypełniała mnogość konstrukcji, wież, kopuł, skupisk kul, elementów podporowych, kabli; roily się tam również tuziny, jeśli nie setki botów, skakaczy oraz stworzeń w kombinezonach odrzutowych, przemykających w różnych kierunkach. Zewnętrzną powierzchnię połówek kadłuba stacji stanowił ciemnoszary karapaks z grubych płyt pancernych, obudowanych przewodów, osłon urządzeń technicznych oraz opancerzonych wylotów napędów, wszystko pokryte wgnieceniami i zadrapaniami od licznych w obszarze Ometu mikrometeoroidów i pyłu.

Z brzegów obu połówek stacji wystawały pary wysięgników cumowniczych różnej wielkości, przy czym im bliżej rufy, tym przestrzenie między nimi były przeznaczone dla większych jednostek. Kierując się sygnałami radiolatarni, system pilotujący *Kasztelana* z wyćwiczoną gracją podprowadził statek do stanowiska dokowania na przednim brzegu stacji. Z wysięgników rozwinęły się sieci chwytnicze, które złapały, a potem wciągnęły mały statek przez migoczącą poświatę pola siłowego utrzymującego atmosferę do automatycznie dopasowującej się kołyski. Przez okienko kabiny Kao Czi był w stanie rozróżnić trzy poziomy chodników biegnące wzdłuż doku oraz szerokie pomosty wystające niczym języki pomiędzy stanowiskami dokowania.

Podeksycytowany, ruszył spieszenie do śluzy powietrznej, żeby znaleźć się tam jako pierwszy. Śluza przeszła w tryb równowagi ciśnień i oba włazy otworzyły się równocześnie. Po drugiej stronie pomostu znajdował się ich sąsiad, makhoryjski statek górniczy pozyskujący związki organiczne; jego kadłub przypominał posklejane skupisko wielkich, brązowych,

skórzastych i niekształtnych jajowatych obiektów, oplątanych licznymi kablami oraz żebrowanymi rurami. Zapatrzony weń, młodzieniec właśnie wyszedł lewą nogą ze śluzy, kiedy ktoś się z nim zderzył. Cofając się odruchowo, Kao Czi zawadził piętą o krawędź włazu i przewrócił się z powrotem do środka, wpadając prosto na wystający uchwyt nisko umieszczonej szuflady. Wydał zduszony okrzyk, bo dotkliwie zabołały go zarówno stopa, jak i łopatką.

- Proszę, proszę, proszę, czy możesz mi pomóc?... Proszę, pomóż, inaczej... inaczej mnie zabiorą i... i...

Krzywiąc się z bólu, Kao Czi usiadł i zobaczył smukłą młodą kobietę, ludzką kobietę, która kuliła się przy wejściu. Miała na sobie płócienną kurtkę z zapinanymi na zamek kieszeniami narzuconą na brudny niebieski jednoczęściowy kombinezon technika, zachłapanę farbą buciory robocze, a na ramieniu małą torbę z jakiegoś przezroczystego materiału. Jej potargane włosy były gęste i ciemne, a twarz, umazana czymś oleistym i poznaczona śladami łez, uderzająco piękna.

- Jesteś Człowiekiem, prawda? - zapytała niemal błagalnie.

Nanotranslator, który dał mu Tumakri kilka dni wcześniej, ewidentnie działał doskonale - Czi nawet nie zauważył, że nieznajoma mówi po angielsku.

- Tak - odrzekł ostrożnie. - Jestem. Kto pragnie wyrządzić ci krzywdę?

- To... to... okropne potwory! Zabrali moją przyjaciółkę Telzy i pokrajali ją... - Znów zaczęła płakać i rzuciła się w stronę kokpitu. - Proszę, nie pozwól im mnie zabrać!

Kao Czi dźwignął się na nogi i poszedł za nią, słysząc, jak Drazuma-Ha* mówi:

- Młoda damo, nie możesz tutaj zostać. Przybyliśmy do Bryag w ważnych sprawach i nie możemy cię zostawić na naszym statku samej...

- Czemu nie? - wmieszał się Kao Czi. - Jestem pewien, że moglibyśmy tak zablokować układ sterowania, by uniknąć jakiegokolwiek przypadkowej ingerencji, i zostawić naszemu gościowi trochę jedzenia oraz wody, a sami pójść odszukać tego Milmila S'Dohk.

- Oczywiście, Gou-Czi, to twój statek i twoja misja; założyłem jedynie, że możesz chcieć zachować wszelkie zasady bezpieczeństwa. Przepraszam za...

- Proszę, nie zostawiajcie mnie samej - zajęczała dziewczyna spod konsoli, pod którą się wcisnęła.

- Jak masz na imię? - zapytał Kao Czi, który zaczynał mieć trochę dość jej zachowania.

- Co... Cora - wykrztusiła pomiędzy szlochami. - Śledzili mnie! Mogą tu przyjść! Proszę, pomóż mi, proszę proszę proszę...

- Dobrze, dobrze...

- Czy nadchodzą? Czy już tu są? Proszę, musisz zamknąć właz...

- Zaczekaj, po prostu zaczekaj - odparł Kao Czi, kierując się w stronę śluzy powietrznej.

- Rzucę okiem...

Prędko wychylił się z włazu i obrzucił spojrzeniem chodniki biegnące w obu kierunkach, szukając jakichkolwiek oznak zamieszania, ale nie zobaczył niczego niezwykłego. Ze środka statku dobiegł głuchy łomot, potem przestraszony okrzyk, a kiedy młodzieniec wrócił do kokpitu, zobaczył, że Drazuma-Ha* leży na podłodze, a jego aureola mikropolowa faluje srebrnymi i czerwonymi wzorami zakłóceń. Cora ze łzami w oczach patrzyła na to z drugiego końca kokpitu.

- Coś jest... nie tak z twoim droidem - powiedziała.

- Nie martw się - odrzekł, przykucając obok hantlowatego mecha. - Powinien zaraz odzyskać sprawność systemów...Właśnie wtedy poczuł, że jej palce przyciskają mu coś do szyi. Obrócił się gwałtownie, już czując, że kończyny zalewa mu zimna drętwa, i osunął się w bok, by lec jak długi na podłodze. Kątem oka zobaczył Corę, teraz opanowaną i uśmiechniętą od ucha do ucha, jak pochyla się, żeby powiedzieć:

- A teraz coś jest nie tak z tobą.

Usłyszał to, tuż zanim stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, odkrył, że leży przypięty w fotelu drugiego pilota, ręce i nogi ma związane, boli go głowa, a dyskomfortu dopełnia obrzydliwy smak w ustach. Rozbrzmiewający w tle chór buczeń towarzyszący uruchomionym silnikom oraz heksagonalne wzory pancерnej osłony zasłaniającej okienko powiedziały Cziemmu, że są znowu w drodze, gdzieś w hiperprzestrzeni. Obok, na fotelu pierwszego pilota, siedziała porywaczka, obserwując go ze spokojnym rozbawieniem. Jej włosy miały teraz srebrzysty odcień blondu i były zaplecione ciasno przy skórze. Jej ubranie - kurtka, kombinezon, buciory - nie zmieniło się, nadal była też równie piękna jak wcześniej, ale coś w jej oczach powiedziało młodzieńcowi, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Ocknąłeś się, KC? To dobrze. W ustach masz smak jak zapleśniałe rzygi sprzed miesiąca?

Kao Czi się skrzywił.

- Coś w tym guście, tak.

- Za chwilę dam ci się napić; może nawet rozwiążę ci ręce. Ale widzisz te plastry? - Wyjęła papierowy pasek z białymi kolistymi nalepkami. - Obezwładniłam cię jednym z nich; jeśli spróbujesz rozrabiać, przylepię ci kolejny. Rozumiemy się?

- Kim jesteś? Jak się wydostaliśmy ze stacji Bryag? Gdzie...

- Stop, jak na towar zadajesz za dużo pytań; dobra, nagrywałam wszystko, co powiedziałeś od momentu, gdy się tutaj znalazłam, potem wprowadziłam to do maski cyfrowej, którą wykorzystałam, żeby powiedzieć Kontroli Dokowania, że otrzymana informacja o śmierci członka rodziny oznacza, iż muszę natychmiast odlecieć. - Przybrała udawaną smutną minę. - Uwierzyli mi, i oto jesteśmy, Kao Czi, w drodze na spotkanie z moimi partnerami w interesach.

- Jakiego rodzaju interesach?

- Dobrze płatnych interesach - odparła. - Aha, jestem Corazon Talavera, a ty jesteś moim towarem.

Kiedy Kao Czi usłyszał te słowa, nagle przypomniał sobie tamten moment w ładowni Avriquiego, kiedy klęczał przed Munaakiem, za którym na ekranie znajdował się zakapturzony nabywca. Czy to o to chodzi?, zastanawiał się. Czy to sprawka Munaaka?

- Co zrobiłaś mojemu mechowi?

- Użyłam przyczepki stagnacyjnej - odparła. - Drony Strigida mają opinię podstępnych, więc zleciłam odpowiednie skonfigurowanie przyczepki i zadziałała doskonale. Dwie cenne sztuki towaru, schludnie zapakowane, gotowe do przekazania.

- Przekazania komu? - zapytał, pragnąc odpowiedzi, lecz obawiając się jej.

- Hm, w zasadzie nie powinnam ci mówić... ale co za różnica. Moim znajomym rewolucjonistom, którzy stale poszukują świeżych rekrutów. - Roześmiała się. - Przypuszczam, że to czyni ze mnie ich werbownika!

- Ale ja nie jestem wyszkolony do walki; nigdy w życiu nawet nie strzelałem z żadnej broni.

Uśmiechnęła się i lekko poklepała go po policzku.

- KC, zaplanowali dla ciebie coś takiego, że ta kwestia nie ma znaczenia.

Kao Czi odwrócił wzrok. Żołądek miał zaciśnięty ze strachu, w ustach sucho, a gardło podrażnione.

- Czy mogę teraz dostać coś do picia? Zapewniam, że nie będę sprawiał żadnych kłopotów.

Kiwnęła głową i chwilę później już popijał z kubka gorący napar w stylu rougskim z zapasów statku.

- Nosisz chińskie nazwisko - powiedziała Corazon. - Co tutaj robisz, przeprowadzałeś rozpoznanie dla jakiegoś wielkiego *gong-si* z Ziemi sfery?

Kao Czi się zastanowił.

- Teraz jestem wolnym strzelcem; wyruszyłem, żeby odebrać pewne towary dla

klienta...

Statkiem targnęło głucho uderzenie, które Kao Czi odczuł zarówno przez solidną konstrukcję fotela, jak i pod stopami. Cora nagle skupiła całą swoją uwagę na przyrządach.

- Co to było? - spytał. - Brzmiało tak, jakby coś się zdarzyło ze statkiem, ale śmieci kosmiczne spadają z powrotem do normalnej przestrzeni, prawda?

- Zamknij się - rzuciła Cora, wysypując zawartość swojej przezroczystej torby i składając razem kilka dziwnie wyglądających przedmiotów.

Nastąpiła dłuższa chwila pełnej napięcia ciszy, po czym rozległo się następne głucho uderzenie, sprawiając, że Kao Czi podskoczył. Potem zabrzmiało buczenie; potrzebował paru sekund, żeby sobie uświadomić, że to odgłos otwierania się zewnętrznego włazu śluzy powietrznej. Serce zaczęło mu walić gorączkowo.

- Czy ktoś... dokonuje abordażu? - spytał, czując przyływ paniki. - Jak można dokonać abordażu w hiperprzestrzeni? To niemożliwe...

- Zamknij się - powtórzyła, celując w niego z dziwnej, szkieletowej broni. - Milcz albo cię uciszę narkoplastrem! Owszem, to rzekomo niemożliwe, ale słyszałam pogłoski... tylko nigdy nie sądziłam, że przyjdzie mi to ujrzeć na własne oczy...

Zdażyła już przejść do bocznego korytarza i zająć pozycję w pobliżu wewnętrznego włazu śluzy, z bronią w pogotowiu. Sekundy mijały jedna po drugiej i Kao Czi odkrył, że pot łaskocze go w szyję oraz spływa strużkami po plecach...

Śluza trzasnęła, właz rozwarł się gwałtownie, uderzając o ścianę, i ze środka wyleciała masywna szara postać z rozpostartymi ramionami. Cora zdażyła oddać pojedynczy strzał, który odrzucił atakującego w bok, tuż zanim kopniak zadany z wnętrza śluzy wytrącił jej z ręki dziwny pistolet. Gdy broń odbiła się od podłogi i z brzękiem potoczyła do kokpitu, Cora rzuciła się, by ją złapać.

Kao Czi usiłował zrozumieć, co widzi: pierwszy intruz leżał nieruchomo przy końcu korytarza, rozciągnięty jak długi, drugi zaś, od stóp do głów zakuty w ciemnoniebieską zbroję i w hełmie zakrywającym twarz, dał nura naprzód, atakując Corę. Potem nagle oboje szamotali się na podłodze w drzwiach kokpitu; Cora ścisnęła w dłoni pistolet, a napastnik usiłował jej wyrwać broń jedną parą rąk, podczas gdy druga zaciskała się na jej gardle...

Młodzieniec wytrzeszczył oczy, że zgrozą uświadamiając sobie, że na pokład statku dostał się komandos Ezgara. Kao Czi nigdy nie miał okazji się zetknąć z żadnym z nich, ale wszyscy mieszkańcy *Retrybutora* słyszeli pogłoski na temat tych budzących przerażenie czwororęcznych najemników. Powiadano, że cała ich kompania odpowiada za bezpieczeństwo na stacji handlowej Oka Słońca orbitującej wokół Pyre.

O kogo chodzi temu czwororękiemu potworowi? O mnie czy o nią?

Potem zobaczył, że Ezgara zyskuje przewagę. Kao Czi częściowo rozwiązanymi rękami poluzował część pasów fotela, co pozwoliło mu się przesunąć, i zaczął kopać związanymi nogami, celując w komandosa. Jednakże wciąż jeszcze był za daleko; raz tylko udało mu się zawadzić o ramię istoty. Nawet nie odwrócił jej uwagi.

Mimo to wytrwale kopał dalej, w nadziei, która raptownie zgasła, gdy Ezgarze udało się wyrwać kobiecie broń z ręki. Cora w odpowiedzi raptownie wyprostowała plecy, z nieoczekiwaną siłą zrzucając z siebie napastnika, przez co jego tors został odepchnięty w bok, w stronę Kao Cziego... dokładnie w chwili, gdy związane stopy tego ostatniego przeleciały przez powietrze i z pełną siłą trafiły Ezgarę pod brodą. Jego głowa obróciła się gwałtownie, zabrzmiał słyszalny trzask i czwororęki komandos runął jak długi na podłogę, gubiąc hełm, zdarty przez potężny impet kopnięcia.

Kao Czi miał na nogach tylko buty pokładowe z miękką podeszwą, więc jego palce stóp pulsowały bólem, ale wydał okrzyk, w którym w równym stopniu dźwięczały ulga i szalona radość. Potem jego spojrzenie padło na głowę Ezgary i zobaczył odsłonięte ucho, nos, bok ust, oko oraz włosy, które wyglądały bardzo ludzko.

- Nie żyje? - zapytała Cora, przypadając w pośpiechu do nieruchomego ciała. - Czy... tak, nie żyje, ty idioto!

- Wygląda jak człowiek...

- Zauważyłam - odparła, z pośpiechem wlokąc trupa w stronę wciąż jeszcze otwartej śluzy powietrznej. - A ty musiałeś go zabić.

Kao Czi zagapił się na nią, zdezorientowany.

- Myślałem, że tego właśnie chcesz.

- Chciałam go pozbawić przytomności - wydyszała, przeciągając komandosa przez uniesiony brzeg włazu. - Ale teraz, kiedy nie żyje, dwuskładnikowy płynny środek wybuchowy właśnie się miesza na całej długości jego jelit i rozsadzi ten statek na kawałki, jeśli w porę go nie wyrzucę na zewnątrz...

Zatrzasnęła śluzę powietrzną i wcisnęła guzik pełnego cyklu. Serwomotory zahuczały i zabrzmiał krótki odgłos wysysania, gdy zawartość śluzy została wyrzucona w próżnię hiperprzestrzeni. Kao Czi na sekundę wyobraził sobie, że ciało zaczepiło się o krawędź zewnętrznego włazu i lada chwila eksploduje, rozdzierając kadłub *Kasztelana*. Potem usłyszał westchnienie Cory i już wiedział, że niebezpieczeństwo minęło, a kiedy zerknął w dół, zobaczył, że jej pistolet leży zaledwie kilkanaście centymetrów od jego lewej stopy.

Podniósł go bez wahania i wyprostowawszy się, ujrzał, że dziewczyna obserwuje go z

przejścia z chłodnym spokojem. Patrzyli na siebie przez moment.

- Nie chcę cię skrzywdzić, ale zrobię to - powiedział.

Wzruszyła ramionami, wsadziła ręce do kieszeni płóciennej kurtki i oparła się o gródź.

- Ty rządzisz - odparła.

- On był człowiekiem, ten Ezgara - powiedział Kao Czi. - Czy wiedziałaś, że to ludzie?

- Na temat tych zbirów zawsze krążyło mnóstwo pogłosek - odrzekła Cora. - Ale wiadomo, że Hegemonii zdarzało się w przeszłości używać materiału genetycznego innych ras, żeby wyhodować użyteczne sługi takiego czy innego rodzaju. Fakt, że najwyraźniej zrobili to także z Ludźmi, swoim największym sojusznikiem, wprost cuchnie bardzo paskudną polityką, na temat której nie chcę nic wiedzieć.

- Jak nas znaleźli w hiperprzestrzeni? I dlaczego?

Cora się uśmiechnęła.

- Musi chodzić o ciebie, nie o mnie. To ty masz statek, który jest łatwiejszy do wyśledzenia. Prawdopodobnie użyli hiperprzestrzennej sondy pijawkowej przystosowanej do tego, żeby zabrać operatora zamiast ładunku wybuchowego niszczącego statek. Zadali sobie mnóstwo trudu tylko po to, żeby cię dopaść. Zastanawiam się, dlaczego.

Kao Czi zmarszczył brwi, zaniepokojony, że jego rodzina oraz reszta Gromady Ludzi, tam, w ojczystym świecie Rougów, mogą być w niebezpieczeństwie. Potem spróbował dodać sobie otuchy, myśląc, że Rougowie nie pozwoliliby, żeby coś im zagroziło.

- Okej - powiedział. - Chcę, żebyś mi najpierw rozwiązała kostki, a potem wyciągnęła towarzyszącego mi mecha z koi i zdezaktywowała tamto urządzenie stagnacyjne.

- Hm, nie sądzę - odrzekła, jakby nigdy nic ruszając w jego stronę.

Kao Czi kilka razy wcisnął przycisk ognia, ale nic się nie stało. Cora stanowczym ruchem jednej ręki odebrała mu ciekłą broń, podczas gdy jej druga dłoń uniosła się i przykleiła mu kciukiem biały plaster na nadgarstku.

- Skończył się dzień dziecka, czas powiedzieć pa, pa.

Próbował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko bezsensowny bełkot, a Cora i cały kokpit rozlali się w szarość i uciekli od niego.

Greg

- To jest straszne, Gregory, po prostu straszne. Nigdy jeszcze nie odczuwałam takiej... zgrozy - powiedziała jego matka przez kom. - I jeszcze to potworne morderstwo wczoraj w Porcie Gagarina; Bóg mi świadkiem, że pamiętam, jak źle było przed Przewrotem Zimowym, ale to nic w porównaniu z tym, co się dzieje teraz. Przynajmniej wtedy to tylko my walczyliśmy między sobą, a teraz? Czy widziałeś ten pancernik w wiadomościach? Co za olbrzym...

- Aye, mamó, widziałem - odparł. - I to by było tyle, gdy chodzi o to, co mówi Hegemonia na temat pokoju i współpracy.

Stał przy dużym kamiennym oknie w północnej ścianie Ramienia Olbrzyma. Za nim korytarz wiódł przez skalne zwały prosto do lodowatej sali z kolumnami, za którą znajdowała się krzywostudnia, jak wcześniej określił ją Chel. Chel i Słuchacz Weynl przebywali tam teraz, jeśli wierzyć wiadomości, którą Greg otrzymał wcześniej tego ranka, kiedy układał nowy grafik badań terenowych. Większość jego pracujących w terenie Uvovo była teraz zaangażowana w cały ten biznes z powoływaniem do życia kladu Rzemieślników, ale szczęśliwie zespoły Rosjan i Norwegów zgodziły się przejąć część ich obowiązków. Trochę zirytowany wiadomością od Chela, Greg zmierzał właśnie w stronę miejsca nad urwiskiem, gdzie zamontowana została wciągarka - obecnie zamaskowana altaną - kiedy zadzwonił do niego starszy brat Ian z prośbą, by zatelefonował do matki i powiedział coś, co ją trochę uspokoi.

Gdy tylko Greg znalazł się w tajnym przejściu, tak właśnie zrobił, po czym odkrył, że zasadniczo zgadza się z jej ponurymi przewidywaniami. Tego ranka oglądał serwis informacyjny i wszystkie wiadomości, poczynając od rzezi w Porcie Gagarina po brolturańskie wojska fortyfikujące się w ambasadzie Hegemonii, źle wróżyły.

- Sendrukanie, Brolturanie i ludzie z Ziemi sfery przecież chyba nie pozwolą, żeby sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej - powiedział Greg. - Rozsądek musi w końcu przeważyć.

Ku jego zaskoczeniu, matka się zaśmiała.

- Tylko jeśli rozsądek zostanie wsparty przez ciężkie działa, mój drogi. Czy pamiętasz Piersa, starszego brata twojego ojca?

- Stryja Piersa? Słabo. Był po trosze czarną owcą, czyż nie?

- Tak, można tak powiedzieć; podczas Przewrotu Zimowego stanął po stronie Ingrama, pomagał organizować wsparcie w osadach traperskich i na jeszcze odleglejszych terenach, ale jego brutalne metody obróciły się przeciwko niemu i podobno zginął paskudną śmiercią gdzieś na północy. W każdym razie miał swoje ulubione powiedzonko: „Pieprzyć negocjacje, wyciągajcie spluwy” i podejrzewam, że ci Brolturanie podpisaliby się pod tym obiema rękami. - Zamilkła na moment. - Ogromnie się martwię o was trzech, bo obawiam się, że sytuacja znacznie się pogorszy, zanim zacznie się poprawiać, Ian jest żołnierzem, a Ned lekarzem, więc któryś z nich na pewno znajdzie się w niebezpieczeństwie...

- Mamo, nie powinnaś się tak zamartwiać, a już zwłaszcza o mnie; ja tylko dłużej przy moich kamiennych rzeźbach i zakurzonych odłamkach ceramiki. - *Aye*, i przy tajemniczej podziemnej komorze zbudowanej przez wymarłą rasę, prawdopodobnie przez Przodków. - Ale będziemy mieli oko na siebie nawzajem, a także na wuja Teo.

- Ach, rozmawiałam z nim dziś rano; powiedział, że był na tropie zamachowców, którzy zabili brolturańskiego ambasadora, ale nie zdążył już ich powstrzymać. Jest taki wściekły, również na siebie. Och, słuchaj, gadam już strasznie długo. Powinnam pozwolić ci spokojnie zająć się pracą... a, miałam zapytać, czy twoja przyjaciółka, panna Macreadie, wciąż jeszcze pracuje przy waszych wykopaliskach.

- Nie, mamu, wróciła już na Nieviestę. Zjawiła się tutaj tylko w związku z tamtą oficjalną wizytą parę dni temu.

- A tak, oczywiście. No cóż, do usłyszenia, kochanie.

Gdy już się pożegnali, Greg schował kom i ruszył w głąb korytarza, dręczony wyrzutami sumienia, bo wiedział, że powinien częściej się kontaktować z matką, powinien sam zadzwonić zamiast zostawiać to jej, albo, jak w tym przypadku, Ianowi.

Może po prostu nie jestem szczególnie dobrym synem, pomyślał posepnie, wchodząc do sali z kolumnami.

Chel i Słuchacz Weynl przykucnęli na pokrytej wzorami posadzce komory, mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie Greg poprzedniego dnia stracił buty. Byli boso. Oświetlał ich złoty blask lampy ustawionej na niskim murze, umocowanej krótkim paskiem do plecaka. Greg nieufnie podszedł do przerwy w ścianie i usiadł na szczycie muru, trzymając stopy w bezpiecznej odległości od wzorów na posadzce.

Chel podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Przyjacielu Gregori, dobrze cię widzieć. - Nowe oczy miał zasłonięte opaską i wydawał się bardziej zrelaksowany oraz wypoczęty niż ostatnim razem.

Potem Weynl wyprostował się i zmierzył go spojrzeniem.

- Czy mogę się do pana zwracać per „Uczony”, panie Cameron? - zapytał. - Wydaje się to znacznie bardziej odpowiednie, zważywszy na wszystko, co pan zrobił dla Uvovo, wszystkie wskazówki, które pan znalazł i których kulminacją jest to zdumiewające odkrycie.

- Byłbym zaszczycony, mogąc przyjąć ten tytuł, Słuchaczu - odrzekł Greg. - Czy wiąże się z tym jakaś ceremonia?

- Tak. Składa się na nią półtora dnia medytacji w *vudronie*, a potem indywidualne wizyty u rodziny i przyjaciół kandydata, żeby odśpiewać Pieśń Nowych Liści. Jednakże nie ma żadnego *vudronu* na tyle blisko, by podróż trwała krótko, a presja wydarzeń nie pozostawia wiele czasu nawet na najbardziej kluczowe zadania.

Greg zawahał się, zaskoczony powagą w słowach Weynla oraz w jego zachowaniu. Nawet uśmiech Chela był posępny.

- Mówiąc o wydarzeniach, czy macie na myśli tę dyplomatyczną awanturę z Brolturanami? Gdy tylko schwytamy tych krwiożerczych maniaków, wznowi się negocjacje i wszystko rozejdzie się po kościach. A zresztą, jaki ma to wpływ na naszą pracę tutaj?

- Czy pamiętasz, co ci wczoraj powiedziałem o tym miejscu, Gregori? - spytał Chel.

- Powiedziałeś, że zostało zbudowane sto tysięcy lat temu przez rasę, nie, przez sojusz ras znany jako Wielcy Starożytni. A ja powiedziałem, że hej, to mi się kojarzy z tymi Przodkami, o których słyszałem w wiadomościach i na widzie, i którzy ponoć zostali wybici do nogi w katastrofalnej wojnie jakieś sto tysięcy lat temu. - Greg się uśmiechnął. - I zapytałem, do czego właściwie służyła ta wielka komora, do czego ją wykorzystywano, a ty odpowiedziałeś, że poprosisz Słuchacza Weynla, by mi to wytłumaczył... i oto jesteśmy tu wszyscy. Zakładam, że wasza obecność ma coś wspólnego z moim wczorajszym olśniewającym doświadczeniem.

Weynl przytaknął.

- Mechanizm obronny; studnia ma czujnego Strażnika, który bezustannie jej strzeże, wyczulony na wszystko, co można uznać za potencjalne zagrożenie.

- Jak na przykład moje buty?

- Strażnik bardzo nieufnie traktuje wszelkie sztuczne czy przetworzone materiały - odrzekł Weynl. - Jak pan widzi, nasze stopy są bosc. Jeśli zdejmie pan obuwie, może pan do nas dołączyć, to całkiem bezpieczne.

Greg uniósł ręce.

- Raz mi wystarczy, dziękuję bardzo. A więc co takiego robicie i jaki to ma związek z przeznaczeniem tego miejsca?

Chel podniósł wzrok znad rowków wzoru, które lśniły w miejscach, gdzie dotykał ich

przed chwilą, choć Greg zauważył, że poświata przygasła, gdy tylko Uvovo zabrał palce.

- Próbujemy obudzić Strażnika - powiedział Chel. - A potem mamy nadzieję rozmówić się z nim.

- Rozmówić się z nim i ostrzec go - dodał Weynl. - Wielcy Starożytni zbudowali to miejsce oraz wiele podobnych na stu innych planetach: studnie mocy, mające się przeciwstawić straszliwej potędze Wroga, który w swych niezliczonych, olbrzymich hordach pragnął zdławić i zniszczyć wszystkich próbujących mu stawić czoła, ale studnie były w stanie sięgnąć w wygwieżdżoną czerń, ściągnąć zastępy Wroga w dół i połknąć je, posyłając głęboko w ciemność pod ciemnością, w pustkę wewnątrz pustki.

Greg gapił się na starszego Słuchacza, nie wiedząc, co powiedzieć. Czuł się dziwnie zakłopotany, ale wiedział, że nie może przemilczeć swoich wątpliwości.

- Słuchaczu Weynl, słyszałem Sagę Starożytnych Korzeni i czytałem transkrypt; przykro mi, ale to jest legenda, mit. W prehistorii wszystkich społeczeństw i kultur tkwią tego rodzaju opowieści...

Weynl uśmiechał się do niego, nie tyle z politowaniem, ile z pełnym tolerancji rozbawieniem.

- Przyjacielu Gregori - powiedział Chel. - Dla Uvovo to nie jest kwestia wiary; my wiemy, że to jest prawda, tak samo jak Wojna Długiej Nocy.

- Chel, widziałeś naszą pracę...

- Gregori, a ty widziałeś, co się tutaj wydarzyło wczoraj; zostałeś oślepiiony na kilka minut przez siły, które wyemanowały z wzoru.

- Jestem gotów przyznać, że to technologiczny artefakt pozostały po jakiejś wymarłej cywilizacji - powiedział Greg. - Ale nie ma ani cienia dowodów na poparcie tezy, że coś łączy to miejsce z mitami Uvovo.

- Uczony Cameronie - powiedział Weynl. - Oświadczam panu najzupełniej szczerze, że to ze względu na tę komorę Hegemonia tak się interesuje Umarą. Wiedzą o tym miejscu i chcą zyskać do niego dostęp; jego moce uczyniłyby ich niezwyciężonymi.

Było to zdumiewające stwierdzenie, które sprawiło, że sytuacja, już wystarczająco dziwna, zaczęła się wydawać coraz bardziej nierealna. Ale Weynl wypowiedział je z tak niewzruszonym przekonaniem, że Greg uczynił w myślach krok do tyłu i zadał sobie pytanie: a jeśli to wszystko jest prawdą? Wyjaśniałoby to kilka zbiegów okoliczności, ale przy tym było tak kuszącym przypuszczeniem, że jego wrodzony sceptycyzm domagał się empirycznych dowodów.

- Jak mogliśmy cię przekonać, przyjacielu Gregori? - zapytał Chel.

- Dowody - odparł. - Pokażcie mi niezaprzeczone dowody, że wszystko jest ze sobą powiązane. Segrana, ta komora, Katastrofa Przodków, Uvovo, i... no cóż, wtedy zmienię zdanie.

- Gdybyśmy zdołali skłonić Strażnika, by przemówił - odezwał się Weynl - czy to by wystarczyło?

- Z pewnością zwróciłoby to moją uwagę, *aye*.

Uśmiechając się, Słuchacz popatrzył na Chela, który kiwnął głową. Podczas gdy Greg ich obserwował, obaj Uvovo kucnęli i pochyłili się, oglądając pokryte nacięciami kamienne płyty, mamrocząc do siebie nawzajem i przesuwając czubkami palców wzdłuż linii wzorów. W miejscach, których dotknęły ich ręce, zapalały się srebrne nitki, i zauważył, że każdy z Uvovo obrysowuje wyraźnie odrębne skupisko linii, symboli oraz łuków, choć skupiska te leżały zaledwie jakieś półtora metra od siebie. Spędziwszy na tym zajęciu kilka minut, najpierw Weynl, a potem Chel wstał i przeszedł trzy kroki w stronę środka posadzki, po czym ponownie kucnęli i znów zaczęli kreślić na kamieniu jarzące się desenie. Dwie skulone postacie pracujące kilka metrów od lampy były niewyraźnymi cieniami, ale wzory błyszczały niczym rtęć.

Chel wstał i wrócił do położonej bliżej pary, kucnął i zaczął kreślić linię prowadzącą od jednego skupiska wzorów do drugiego, a Weynl zrobił to samo na swoim końcu. Gdy skupiska zostały już połączone, obie ich pary nagle zajaśniały mocniej, po czym przygasły - wtedy Uvovo uśmiechnęli się do siebie nawzajem i pokiwali głowami. Potem Weynl schylił się i zaczął kreślić jaskrawą linię prowadzącą od jego wzorów do wzorów Chela. Tuż przed końcem zatrzymał się na moment, uśmiechnął się do obserwujących go z góry Chela i Grega, po czym zamknął lukę.

Wszystkie cztery skupiska wzorów mocno pojaśniały, tak że teraz dawało się już rozróżnić mur po przeciwnej stronie. Podobnie jak ostatnim razem, Greg wyczuł różnicę w powietrzu, które nie stało się ani cieplejsze, ani zimniejsze, nie zmieniła się ani jego wilgotność, ani zapach, ani nawet ciśnienie. Było tak, jakby w pomieszczeniu nagle pojawiła się obecność, coś niewzruszonego...

TUUL-RAAN-SHAYH

Greg podskoczył, gdy rozległ się potężny głos. Dobiegał ze wszystkich stron, a choć nie był zbyt głośny, miał głęboki, rezonujący tembr, od którego drżały włoski na rękach.

Chel i Weynl sprawiali wrażenie oszołomionych i niepewnych. Słuchacz zaczął wykrzykiwać powitalne frazy w języku Uvovo, podczas gdy Chel szeptał podpowiedzi. Greg był jednak pewien, że te trzy słowa nie pochodzą z języka Uvovo.

SHUUL-TAAN-RAYH

- Czy wiecie, co to znaczy? - zapytał Greg.

Dwaj Uvovo spojrzeli na siebie nawzajem, po czym Weynl przemówił.

- Nie mam pewności, Uczony Cameronie. W pierwszej chwili myślałem, że to starożytny dialekt naszego języka, a może nawet tajny język wykorzystywany przez starszych Słuchaczy, lecz te... dźwięki... nie mają żadnego rozpoznawalnego znaczenia...

- Ale czy zauważyliście, że w drugiej wypowiedzi pierwsze spółgłoski tych słów zostały zamienione miejscami? - zapytał Greg, a w jego umyśle zaczęło się formować paskudne podejrzenie. - Jeśli to się powtórzy...

RUUL-SHAAN-TAYH

- Dobra - powiedział. - Myślę, że powinniśmy się wynosić...

- Ale dlaczego, przyjacielu Gregori? - zapytał Chel.

- Pamiętasz testy, przez które przeszliśmy ty i ja? - odparł, stając na nogi. - Pamiętasz, jak skończyły moje buty?

Chel się uśmiechnął.

- Naprawdę nie wydaje mi się, by groziło nam niebezpieczeństwo, Gregori.

- Skąd wiesz?

- Wykorzystałem moje nowe zmysły, żeby zbadać studnię oraz to, co leży pod nią, i mogę cię zapewnić, że przepływ jej mocy jest zupełnie inny niż ostatnim razem.

- Hm, albo jesteś bardzo ufny - powiedział Greg, kierując się w stronę wyjścia - albo niezwykle optymistycznie nastawiony.

SHUUL-RAAN-TAYH

- Myślę, że czasem bywam nieufnym optymistą - powiedział Chel, podczas gdy Słuchacz Weynl dalej wykrzykiwał powitania w rozmaitych dialektach Uvovo.

- No cóż, ja jestem ortodoksyjnym sceptykiem - odparł Greg - więc poczekam w korytarzu, aż sprawdzicie, co się stanie...

Chel uśmiechnął się szeroko i pomachał, a Greg opuścił komorę. Był już niemal u szczytu schodów, gdy kom w kieszeni jego kurtki zapikał, informując, że przyszła wiadomość. Greg wyjął urządzenie, wcisnął kciukiem klawisze, zobaczył, że napisała Catriona, i zaczął czytać, idąc korytarzem prowadzącym w stronę wyjścia.

„Cześć, Greg” - zaczynała się wiadomość. „Próbowałam do ciebie zadzwonić, ale hub komsieci poinformował, że jesteś poza zasięgiem, więc zamiast tego wysyłam komnotkę. Chcę ci tylko powiedzieć, że w moich poszukiwaniach Mistrzów Ścieżek zamierzam wypróbować coś innego; znajomy Słuchacz zasugerował, żebyś spędziła kilka godzin w

komorze *vudron*, kontemplując tajemnice Segrany w nadziei, że *ona* zdecyduje się wtajemniczyć mnie w kilka sekretów Mistrzów Ścieżek. W każdym razie do czasu, kiedy to przeczytasz, prawdopodobnie będę już w *vudronie*, zwłaszcza biorąc pod uwagę opóźnienie sygnału między Niewiąstą a Darienem. Przypuszczam, że pewnie jesteś znowu na dole, w tamtej komorze; też chciałabym tam teraz być. Na razie”.

Komnotka została wysłana prawie pół godziny wcześniej, ale dotarła do niego dopiero w momencie, gdy wyszedł z komory i znalazł się w korytarzu. Nagle zaniepokojony, zaczął wciskać klawisze, żeby oddzwonić, ale zanim zdążył nawiązać połączenie, tamten głęboki, rewerberujący głos znów przemówił w dole...

HORON

Greg odruchowo odwrócił się w stronę skalnej ściany, zasłaniając rękami oczy. Przez kilka dłużących się w nieskończoność chwil otaczały go ciemność i cisza - żadne bezlitosne, walące jak młot światło nie zalało jego nerwów wzrokowych, zamieniając świat w białą mgłę. Ostrożnie wyjrzał spomiędzy palców, potem opuścił ręce - wydawało się, że wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek pośpieszył z powrotem ku schodom, zatrzymując się w połowie drogi na dół.

- Chel, życie tam obaj?! - zawołał.

- Wszystko jest dobrze, Gregori - nadpłynęła stłumiona odpowiedź. - Nie ma powodu do obaw.

- Świetnie! - odkrzyknął, po czym zawrócił po własnych śladach. Gdy już dotarł do okna, gdzie wisiały uprząże, zadzwonił do Catriony.

Chel

Słuchacz Weynl wygłaszał właśnie rozbudowane i wymyślne powitanie z szepczącym akcentem charakterystycznym dla terenów w głębi ładu, kiedy potężny głos przemówił znowu.

HORON

...a równocześnie cztery jaśniejące skupiska wzorów zgasły, pozostawiając ich w złotawym świetle samotnej lampy. Sprawiało ono, że ich cienie kładły się długimi czarnymi smugami na misternie rzeźbioną powierzchnię studni. W tym oświetleniu wszystkie wgłębione linie, łuki i symbole rysowały się ostro, a kamień wyglądał jak ziarnisty, skorodowany metal.

Obaj stali tam przez moment, po czym, ku zaskoczeniu Chela, Weynl zaczął się cicho śmiać; jego ramiona aż drżały z rozbawienia. Chel uświadomił sobie, że sam zaczyna się uśmiechać pozornie bez powodu, i miał właśnie zapytać, co spowodowało ten wybuch wesołości, kiedy z oddali dobiegł głos Grega, przypuszczalnie znajdującego się w głównym korytarzu.

- Chel, żyjecie tam obaj?!

- Wszystko jest dobrze, Gregori! - odrzyknął. - Nie ma powodu do obaw.

- Świetnie...

Gdy jednak Weynl usłyszał dochodzące z oddali okrzyki Grega, ponownie wybuchnął śmiechem, co wywołało nieznaczną, lecz narastającą irytację Chela.- Słuchacz, czy wszystko w porządku?

- Prze... praszam, drogi Uczony... cała ta wspianiała konstrukcja miała umożliwić przetrwanie dzieła Wielkich Starożytnych, a kiedy w końcu obudziliśmy ich Strażnika, nie jesteśmy w stanie zrozumieć ani słowa. - Uśmiechnął się. - Za to Człowieka wołającego z zewnątrz rozumiemy bez trudu... wybac, wydało mi się to nadzwyczaj śmieszne...

- To zrozumiałe, Słuchacz - odrzekł, czując dezaprobatę wobec rozbawienia Weynla, a potem zaczął się zastanawiać, czemu właściwie tak jest. Czyżbym się zmieniał w jakiegoś surowego tradycjonalistę, pozbawionego poczucia humoru? Może to mnie potrzebna jest dawka rozrywki!

Weynl nagle zamilkł i odwrócił się do Chela. Oczy miał wytrzeszczone, a usta otwarte.

- Byłem głupi, tak, i ślepy! - Wyciągnął dłoń w kierunku powierzchni studni. - Wielcy

Starożytni zbudowali to miejsce, więc czyż nie należałoby się spodziewać, że Strażnik będzie mówił ich językiem?

- Dokładnie tak - rozległ się w pobliżu głos brzmiący jak westchnienie i szept zarazem.
- Jestem rozczarowany, że potrzebowaliście tyle czasu, by na to wpaść.

W powietrzu nad świecą złoto lampą zawisły ledwo widoczne zarysy niewyraźnej, zakapturzonej postaci, której widmowy kontur uformowany był z maleńkich cząstek kurzu wiszących i migoczących w ciepłym powietrzu, unoszącym się znad podłużnych otworów w kloszu lampy.

- Czcigodny Mistrzu Ścieżek - przemówił Weynl, kłaniając się. - Zatem to prawda: Strażnik mówi tylko w języku Wielkich Starożytnych.

- Mgliście przypominam sobie, że biegle władał bardzo wieloma formami komunikacji, nie tylko mówionej. Jednakże pamiętam też, że pod względem temperamentu potrafił być nieco wybuchowy. Być może zdołam go przekonać, aby wykazał się większą otwartością. - Mistrz Ścieżek zrobił pauzę. - Cheluvaharze, widzę zmiany, jakie poczyniła w tobie Segrana; domyślam się, że byłeś zaskoczony.

Chel prawie się uśmiechnął, wyobrażając sobie, jak na takie stwierdzenie odpowiedziałby Gregori.

- Owszem, Mistrzu Ścieżek, zaskoczenie istotnie było jedną z emocji, jakich doświadczyłem, gdy wyszedłem z *vudronu*.

- Nie sposób przecenić twojej roli, najnowszy spośród Słuchaczy - powiedział Mistrz Ścieżek. - Jesteś pierwszym o takich zdolnościach, jakiego Segrana wypoczwarzyła od czasu Wojny Długiej Nocy, kiedy to potrzebne były setki Widzących, żeby udzielać wskazówek Uczonym. Bitwy toczyły się wówczas nie tylko wysoko w niebiosach, ale i tu, na ziemi, bitwy przeciwko pomniejszym sługom Pozbawionych Snów, metalowym istotom, które pełzały, biegały, fruwały i pływały i od których zaroilo się w puszczech oraz na równinach, na wzgórzach i w dolinach. Usiłowały rozbić wyzywającą jedność *Uvovo*, lecz ostatecznie poniosły klęskę.

- Segrana wie, że znowu potrzebujemy Widzących, lecz jest słaba; w czasie Wojny Długiej Nocy straciła coś, czego nigdy już nie da się odtworzyć, zatem pozostało jej jedynie czynić, co może, przy użyciu tej nikłej siły, jaką jeszcze ma.

- O czcigodny - odezwał się Chel. - Myślałem, że moje umiejętności są podobne do umiejętności Słuchacza, lecz nazwałeś mnie Widzącym...

- Twoje nowe zmysły mają aspekty, które objawią ci się z czasem. Bądź też świadom jeszcze jednej rzeczy: w darze Segrany zawarta jest ścieżka od Uczonego przez Słuchacza do

Mistrza Ścieżek, lecz Widzący nie może stać się Mistrzem Ścieżek.

Chela to zaciekało.

- W takim razie czym staje się Widzący? Czym będę?

- Po dramatycznych zmianach i walkach, które się szykują? - odrzekł Mistrz Ścieżek. - Przy odrobinie szczęścia będziesz żywy. - Jego postać nieco się zamazała. - Teraz, proszę, zostawcie mnie, bym mógł nawiązać rozmowę ze Strażnikiem studni; powróćcie wraz z Człowiekiem do obozu tam wyżej. Przybędę do was za pewien czas i zrelacjonuję, co się stało.

Mistrz Ścieżek zamilkł. Chel zagapił się na jego sylwetkę, teraz słabiej widoczną, niewyraźną; jej niemal fragmentaryczne zarysy drżały w złotym świetle lampy, tak jak drgało rozgrzane powietrze nad nią. Potem zerknął na Słuchacza Weynla, który nieznacznie wzruszył ramionami i skłonił się Mistrzowi Ścieżek. Chel poszedł w jego ślady, po czym obaj Uvovo zeszli z pokrytej wzorami powierzchni studni i skierowali się w stronę wyjścia z komory.

- Fruson - powiedział w zamyśleniu Weynl, gdy szli przez salę czterech kolumn.

- Nie zrozumiałem, Słuchaczu?

- Frusonemjas był jednym z wielkich Mistrzów Ścieżek, którzy przeżyli Wojnę Długiej Nocy; w ciągu następnych stuleci wszyscy trzej w końcu porzucili swe słabnące ciała i rozpoczęli podróż w kierunku Wiecznego. Chociaż szczątki dwóch spośród nich odkryto tam, gdzie legli po raz ostatni w uścisku Segrany, ciała Frusona nigdy nie odnaleziono.

- Czy sądzisz, że on jest tym Frusonem?

Weynl się uśmiechnął.

- Trudno byłoby udowodnić tę tezę, ale jest to jakieś wytłumaczenie, a jakieś wytłumaczenie jest lepsze niż żadne.

Ale jeśli jest błędne, pomyślał Chel, czy błędne wytłumaczenie też jest lepsze niż żadne?

Mistrz Ścieżek

W zimnym mroku w sercu skał panowała teraz niezmacona cisza. Mistrz Ścieżek pozwolił, żeby zarysy jego dawnej fizycznej postaci, którą przybrał na użytek młodszych Uvovo, rozplynęły się i zamazały niczym pozostałości dymu ze zgaszonej świeczki. Przed nim rozwierał się wielki otwór starożytnej krzywstudni; zapisane na jej powierzchni wzory kontrolujące rozciągały się nad pogrążoną w cieniu głębią, cienkie i słabo widoczne. Zmysły Mistrza Ścieżek potrafiły przeniknąć zewnętrzny wygląd rzeczy, docierając do sedna, i wiedział, że Strażnik studni bezustannie trwa w tym miejscu, nigdy nie śpiąc, stale nasłuchując.

- Witaj - powiedział w dawno zapomnianym języku Wielkich Starożytnych. - Wiem, że mogłeś odpowiedzieć w języku Uvovo, lecz tego nie zrobiłeś. Zastanawiam się, dlaczego.

NIE ZOSTAŁEM POTRAKTOWANY Z NALEŻNYM MI SZACUNKIEM ANI TEŻ STOSOWNIE POWITANY... WIELE CYKLI TUTEJSZEGO SŁOŃCA UPŁYNEŁO, ODKĄD KTOKOLWIEK Z SIŁ POMOCNICZYCH ODWIEDZIŁ TO UŚPIONE MIEJSCE, NIE LICZĄC CIEBIE ORAZ ISTOTY NOSZĄCEJ OKRYCIA KOŃCZYN.

Mistrz Ścieżek uśmiechnął się, wiedząc, że ostatnie słowa odnoszą się do butów ludzkiego Uczonego, Grega. Tak czy owak, Strażnik dobrze wiedział, że Wojna Długiej Nocy zabiła większość Uvovo żyjących na planecie, a pozostałych uwięziła na leśnym księżycu Segrany aż do czasu przybycia Ludzi - dąsał się tylko.

- Czasy pokoju się kończą - powiedział Mistrz Ścieżek. - Lada chwila wybuchnie wojna. Wiesz o Ludziach i o zainteresowaniu, jakie wzbudza ten świat?

SŁYSZĘ WIELE, LECZ NIEWIELU INFORMACJOM WIERZĘ. PRZYSWOJONE INFORMACJE ZAWSZE PRĘDZEJ CZY PÓŹNIEJ OKAZUJĄ SIĘ NIEPRAWDZIWE BĄDŹ NIEKOMPLETNE.

- Chwalebny sceptycyzm, pod warunkiem zachowania rozsądnych granic - odrzekł Mistrz Ścieżek. - O miejscu tym wiedzą już nasi wrogowie, olbrzymie gwiazdne imperium zwane Hegemonią; są potajemnie zdominowani przez swoje sługi, maszyno-umysły, których moc sięga aż w głąb poddomen Rzeczywistego.

POZBAWIENI SNÓW! A SĄDZIŁEM, ŻE ZOSTALI ZNISZCZENI WRAZ ZE WSZYSTKIMI PODLEGLYMI SOBIE SPRAWCZOŚCIAMI.

- Wygląda na to, że ci stanowią odrębny gatunek, bez jakichkolwiek wykrywalnych

powiązań z poprzednikami - odrzekł Mistrz Ścieżek. - Jednakże ich żądza agresywnej dominacji jest niemal identyczna.

UOVOVO MUSZĄ ZOSTAĆ PRZYGOTOWANI DO WALKI - TRZEBA WZMOCNIĆ MECHANIZMY OBRONNE UMARY.

- Rozpoczęto już działania w tym kierunku, lecz zasoby są wątle, rozproszone i niesprawdzone, Segrana zaś poważnie osłabiona. Chciałbym porozmawiać z Konstruktem, jeśli ten nadal istnieje, by poprosić o radę i pomoc.

NIEDAWNO ODBYŁEM KONWERSACJĘ Z KONSTRUKTEM - POWIEDZIAŁ, ŻE WKRÓTCE MNIE ODWIEDZISZ Z ZAMIAREM SKONTAKTOWANIA SIĘ Z NIM.

Mistrz Ścieżek poczuł dreszcz zaskoczenia.

- Czy powiedział coś więcej?

KAZAŁ MI PRZEKAZAĆ, ŻE POMOC BĘDZIE WZAJEMNA. KAZAŁ WAS POPROSIĆ O DOSTARCZENIE MU WYŚLANNIKA, NAJLEPIEJ JEDNEGO Z LUDZI, LECZ UCZONY UOVOVO BY WYSTARCZYŁ. WYŚLANNIK TEN POMOŻE UZYSKAĆ POMOC, JAKIEJ POTRZEBUJECIE. NIE BYŁO ŻADNYCH DALSZYCH WIADOMOŚCI.

W umyśle Mistrza Ścieżek pojawiły się możliwe alternatywy. Do czasu przepoczwarczenia Cheluvahar byłby idealnym kandydatem do takiej roli, lecz teraz miał nowe zadanie oraz umiejętności, które pomogą mu je wykonać. Musiałby to być inny z Uczonych, lub też... lub też Człowiek, na przykład odczytany Gregori? Wydawało się mało prawdopodobne, by on czy też jakikolwiek inny Człowiek zaangażowany w działalność intelektualną brał pod uwagę uczestnictwo w takim przedsięwzięciu. Dochodziła też kwestia tajności. Nieujawnianie Ludziom istnienia krzywstuden i wejścia do niej zapobiegłoby wpadnięciu tej wiedzy w ręce Sendrukan i maszyn Hegemonii, choć być może powstrzymałoby ich to tylko na jakiś czas.

- Czy Konstruktor ujawnił charakter pomocy, jakiej byłby w stanie udzielić?

NIE UCZYNIŁ TEGO, ALE JEST OCZYWISTE, ŻE POSZERZA SWOJE MOŻLIWOŚCI I BUDZI Z UŚPIENIA WYBRANE KORPUSY AGRESJI W ODPOWIEDZI NA JAKIEŚ ZAGROŻENIE W NIŻSZYCH DOMENACH HIPERPRZESTRZENI. JEŚLI PRAGNIESZ ROZMÓWIĆ SIĘ Z NIM OSOBIŚCIE, MOGĘ CIĘ DO NIEGO ZABRAĆ.

Mistrz Ścieżek omal nie roześmiał się w głos.

- Moja bezcielesność uniemożliwia mi podjęcie takiej podróży. Niemniej, proszę, przekaz Konstruktorowi ode mnie wyrazy wdzięczności w związku z jego ofertą; rozważ ją

bez zwłoki i jak najgruntowniej, a jutro powrócę z odpowiedzią. Tymczasem, jeśli wybaczysz moim młodszym towarzyszom ich wcześniejszy brak grzeczności i wdasz się w rozmowę z nimi, jestem pewien, że odkryjesz, iż stanowią nad wyraz wdzięczną i pełną szacunku publiczność.

UCZYNIĘ TAK. CZY PRAGNIESZ NARZUCIĆ JAKIEŚ OGRANICZENIA W KWESTII TEGO, CO MOGĘ IM POWIEDZIEĆ?

- Żadnych, jakkolwiek być może powinieneś unikać podawania szczegółów na temat niektórych wzorów kontrolujących krzywstudnię.

TERAZ, GDY JUŻ ZOSTAŁEM POWIADOMIONY O TWOICH TOWARZYSZACH UOVO, ZADBAM O ICH BEZPIECZEŃSTWO.

- Dziękuję, cieszy mnie to.

Nie było odpowiedzi. Mistrz Ścieżek wyteżył słuch w pogłębiającej się ciszy i jego poszerzone zmysły rychło potwierdziły, że przebywająca tuż obok obecność Strażnika się oddaliła.

Zaczął rozmyślać o tym, czego się dowiedział. Konstruktor, niemal mityczny sojusznik Wielkich Starożytnych, najwyraźniej wiedział lub odgadł, że Mistrz Ścieżek spróbuje się z nim skontaktować: czy to implikowało, że Konstruktor jakimś sposobem śledził wydarzenia rozgrywające się tu, na Umarze? Potem Mistrz Ścieżek przypomniał sobie reporterów, którzy generowali stały przepływ informacji w stronę swoich innoświatowych organizacji oraz rozciągających się jeszcze dalej aren hipernetu, i uświadomił sobie, że Konstruktor ma dostęp do większej liczby źródeł, niż on ma szansę znać.

Prośba o wysłannika była jednakże dziwna, a jeszcze bardziej zdumiewał brak szczegółów, do której to kwestii Mistrz Ścieżek zamierzał powrócić nazajutrz. Co więcej, sama wzmianka o budzeniu korpusów Agresji, żeby stawić czoło niesprecyzowanemu zagrożeniu, wystarczyła, by wywołać niepokój. Wiele wieków temu, gdy był jeszcze na tyle młody, by mieć fizyczną postać, Mistrz Ścieżek odbył podróż przez krzywstudnię do twierdzy Konstruktoru położonej w tajemniczych poddomenach hiperprzestrzeni, zwanej Ogrodem Maszyn. W czasie tej wizyty został zabrany do ponurej otchłani, gdzie czekała uszponiona Agresja - gigantyczna formacja maszyn wojennych: pamiętał znamionującą brak aktywności ciszę, która otaczała zastygłe w bezruchu zwarte rzędy, kolumny i szeregi, ciągnące się w dal i niknące w mroku, tysiące i tysiące, wiedział jednak, że nawet to ogromne wojsko zostałoby rozbite w puch przez Legion Awatarów.

Żadnego z oddziałów Agresji nie obudzono w czasie Wojny Długiej Nocy, za to teraz część została postawiona w stan gotowości. Była to zagadka, która wiele implikowała i

rodziła mnóstwo pytań.

I zamierzam jutro uzyskać na nie odpowiedzi, pomyślał, szybując w stronę wyjścia z komory.

Catriona

Ciemność *vudronu* rozpraszał tylko maleńki płomyk święty wabikowej, jednej z tych, których niektórzy *Uvovo* używali do łapania pewnych owadów, żeby pozyskiwać zrzucane przez nie pokrywy skrzydeł. *Catriona* oparła się plecami o poduszkę, którą sobie przyniosła, oburącz trzymając kubek herbaty z wrotoziela, wdychając unoszącą się znad niego parę i od czasu do czasu upijając łyček, podczas gdy czekała, aż napar przestygnie. Nie było sposobu, żeby zdobyć trochę specjalnego napoju z żywicy, który *Uvovo* wykorzystywali w swoich rytuałach, więc przygotowała termos herbaty z wrotoziela z uwagi na jej relaksujące, odstresowujące właściwości.

I oto znalazła się tutaj, posłuszna zagadkowym słowom widmowego Mistrza Ścieżek, którego może ujrzała, a może nie. Tak naprawdę głównym źródłem stresu w obecnej sytuacji nie były namowy Mistrza Ścieżek, tylko możliwość, że ktoś ją tu znajdzie. Wprawdzie ten *vudron* był częścią miasteczka położonego wysoko w okapie lasu, które całkowicie opustoszało w związku z nieprzerwaną migracją na dół, na *Dariena*, ale podróżnicy i handlarze, Ludzie i Słuchacze nadal wędrowali wzdłuż przebiegających niedaleko gałęziadróg. Niewykluczone, że ktoś akurat będzie przechodził w pobliżu i zauważy, że wejście do *vudronu* zostało oczyszczone z zasłaniającego je listowia...*Catriona* uśmiechnęła się, pokręciła głową i upiła łyk herbaty, która zdążyła już nieco przestygnąć. Zamknawszy oczy, poczuła, jak ciepło rozchodzi się po jej ciele, uspokajając, relaksując. Upiła jeszcze jeden łyk, odchrząknęła i, ziewając, osunęła się niżej w wygodną miękkość poduszki. Nagle okazało się, że zupełnie łatwo jest siedzieć z zamkniętymi oczami, oddychać głębiej, odczuwać równocześnie ciężar kończyn i lekkość myśli, które szybowwały swobodnie, kierowane kapryсами niezgłębionej woli.

Pierwszą sprecyzowaną nicią jej snu był przedmiot, który trzymała w dłoni: datapad, model techniczny o poobijanej obudowie ze stopu i podniszczonej klawiaturze. Obróciła go, przyglądając się dokładniej, i rozpoznała, że to ten, którego używała w dzieciństwie, gdy jeszcze była *Ulepszoną*. Nieśpiesznie podniosła głowę i zobaczyła, że stoi w ciasnym pokoiku, w którym mieszkała podczas swego pobytu w *Domu Żylińskiego*. Były tam znajome meble: łóżko, biurko, półka na książki, wiecznie zamknięte okiennice, ale wszystko blade, pozbawione koloru i ziarniste. Miała też świadomość, że śni - wiedziała, że nadal znajduje się w *vudronie*, ale równocześnie stała tam, w drzwiach, patrząc wzdłuż pustego korytarza.

Kątem oka ujrzała swoje odbicie w kwadratowym lustrze o drewnianej ramie - ciemne włosy związane w węzeł, szary, nijaki mundurek, twarz, która wydawała się spięta i wskazywała, że w tym śnie Catriona ma dwanaście lub trzynaście lat.

Zaczęła iść, z datapadem w ręku, głośno stukając obcasami o parkiet. Dom Żylińskiego wydawał się opuszczony i uśmiechnęła się, gdy do głowy przyszedł jej pewien pomysł. To mój sen, więc chodźmy i zajrzyjmy do gabinetu dyrektora, zobaczymy, co naprawdę napisali w mojej dokumentacji! Weszła po głównych schodach na drugie piętro i znajdowała się w połowie południowej galerii, wychodzącej na stołówkę starszych roczników, kiedy po przeciwległej stronie, na północnej galerii, otworzyły się drzwi i wyszła z nich Julia Bryce. W monochromatycznym otoczeniu, wśród łagodnych szarości i atramentowych czerni, Julia była skupiskiem intensywnych barw - blady róż jej skóry, ciemny mahoń włosów, błękitny odświętny mundurek, lśniące brązowe buty. Gdy tylko dostrzegła Catrionę, jej oczy rozszerzyły się i podbiegła do poręczy.

- Catriona! Muszę z tobą porozmawiać...

Jednakże Catriona nie czekała na dalsze słowa i rzuciła się w stronę drzwi na końcu galerii. Potem popędziła schodami ewakuacyjnymi na wyższe piętro i do otworu, który prowadził do dobudówki. Uciekając, spostrzegła, że wokół zaczynają się pojawiać inni uczniowie, wychylający głowy zza szaf, siedzący po kątach albo dający nura z powrotem w drzwi, które mijała.

- Dołącz do nas, Catriono! Dołącz do mnie!

Gwałtownie zaczerpnęła tchu. Stała na balkonie w mniejszej sali gimnastycznej, a Julia znajdowała się na dole, pośrodku boiska, i patrzyła w górę.

- Potrzebuję cię, Catriono!

Catriona uciekła.

Bocznymi drzwiami dobudówki, wzdłuż ogrodu, obok drzew parasolowca jagodowego i z powrotem do głównego budynku. Korytarz z oknami prowadził obok stołówki dla młodszych roczników, gdzie tu i tam siedzieli samotnie nieliczni uczniowie, równie szarzy jak otoczenie oraz potrawy na ich talerzach. Potem jakiś chłopiec zbiegł po schodach znajdujących się pośrodku stołówki i podszedł do okna, przy którym po drugiej stronie szyby stała Catriona. Podobnie jak Julia, był kolorowy - rude włosy, niebieska koszulka i szorty oraz szeroki uśmiech, który znała, choć ten chłopiec nigdy nie uczęszczał do Żylińskiego, z tego prostego powodu, że był normalnym. Mógł mieć jakieś piętnaście lat, ale był to z całą pewnością Greg.

- To mój sen - powiedziała. - Czemu tu jesteście, ty i Julia? Wiem, że śnię, więc

powinnam być w stanie pokierować tym tak, jak chcę...

- Byłoby tak - odrzekł młody Greg - gdyby to był sen. Cat, musisz z nią pomówić.

- Co, z Julią w mojej głowie? *Aye*, jasne, z dziką chęcią zmarnuję na to czas.

Greg się uśmiechnął.

- To nie ona znajduje się w twojej głowie, *Catriono*, tylko ty w jej.

Nagle czując strach, cofnęła się i ruszyła dalej wzdłuż korytarza, który, jak pamiętała, prowadził do wschodniego holu, ale gdy tylko minęła drzwi, znalazła się w jednym z biur wykładowców, małym pomieszczeniu wyłożonym boazerią, z zarzuconym papierami biurkiem, rzędem szaf na dokumenty i umieszczonym wysoko małym okienkiem...

Drzwi zamknęły się za nią; odwróciła się gwałtownie i ujrzała stojącą przed nimi Julię.

- Wszyscy jesteśmy w straszliwym niebezpieczeństwie - powiedziała Julia. - Dwaj ich słudzy przybyli wczoraj w nocy, lecz zgubiłam ich, skryli się gdzieś wśród mojej obfitości...

- Całe twoje zachowanie jest bardzo niejuliowate - stwierdziła ostro *Catriona*. - Ale, niestety, mam wrażenie, że kilka razy już zmusiłaś mnie do odegrania komedyjki pod tytułem *pomóż-pełnej-wyrzutów-sumienia-Julii-odzyskać-twoje-zaufanie*. Nie tym razem.

- Nie potrafię ich dostrzec, i kto wie, co planują? - Julia wyciągnęła rękę. - Proszę, *Catriono*, tak długo byłam ślepa; dołącz do mnie i bądź moimi oczami. Jesteś kimś szczególnym, tak bardzo odmienna od *Ludu Liści*, i tak unikatowa, nawet w porównaniu z twoim własnym gatunkiem...

Catrionę przeniknął dreszcz - ogarnęła ją zimna świadomość, że to naprawdę nie jest sen, a rozmówczyni nie jest, w żadnym sensie, Julią.

To nie ona znajduje się w twojej głowie, tylko ty w jej.

Wezbrała w niej irracjonalna panika, wymazując pomieszczenie i błagając Julię - i nagle *Catriona* szeroko otworzyła oczy, rozbudzona. Drżącą ręką namacała drzwi *vudronu* i otworzyła je, wypadła na zewnątrz i wylądowała jak długa na wilgotnych matach, gorączkowo łapiąc oddech.

Czy to była *Segrana*?, pomyślała. Co miała na myśli, mówiąc „dołącz”? Potem przypomniała sobie coś jeszcze: „Dwaj ich słudzy przybyli wczoraj w nocy”...

Zadrzała w gasnącym świetle. *Orbita Nieviesty* wkrótce zanieśie tę partię *Segrany* w noc, ale chwilowo z góry sączyło się jeszcze nieco słonecznego blasku, odbijając się i migocząc w kroplach wody pozostałych po deszczu, który spadł, kiedy *Catriona* znajdowała się w *vudronie*. Pomyślała o tym, jak mrocznie i cieniście jest tam w dole, u stóp drzew, i złapała się na tym, że wyobraża sobie intruzów skradających się bezszelestnie przez poszycie, z bronią w rękach i złowróżbnym wyrazem oczu.

Nadal siedząc na wysoko położonej, wąskiej platformie, objęła ramionami kolana i próbowała myśleć.

Aby dostać się do willi Sundstroma, Teo musiał przejść z trzema pracownikami ochrony przez teren sąsiedniej posiadłości, żeby uniknąć spotkania z tuzinem czy więcej reporterów koczujących przed główną bramą willi. Niebo zasnuwały chmury i było znacznie cieplej niż należało się spodziewać tak wczesnym rankiem o tej porze roku; zapowiadało się, że po serii ulew, jakie spadły w nocy, wkrótce znowu lunie deszcz.

Padło już całkiem solidnie, kiedy Teo, Donny Barbour i pozostali dotarli na lotnisko w Porcie Gagarina, tylko po to, żeby odkryć, że terminal jest odgradzony taśmą, nerwowa lokalna policja i żołnierze OKD obstawiają wszelkie wyjścia, a wszystkie loty zostały odwołane. Wkrótce odkryli przyczynę, która jeszcze bardziej popsuka i tak już paskudny humor Donny'ego, znacznie pogorszony wcześniej przez informację, że oddział OKD przydzielony do ochrony Kurosa został rozbrojony na polecenie ambasadora Ziemi sfery, a żołnierze są teraz przesłuchiwani przez brolturańskich oficjeli i oficerów. Żadne argumenty Barboura nie wystarczyły, żeby mu otworzyć przejście przez kordon - wprawdzie huby komsystemu pozostawały nieczynne, ale rozkaz najwyraźniej dotarł przez jedną ze starych linii telefonicznych i były to jasne instrukcje od wiceprezydenta, żeby pozwolić Brolturanom na przeprowadzenie własnego śledztwa, w żaden sposób nie utrudniając im działań.

Teo zdumiał się, słysząc to, a zimna i beznamiętna reakcja Barboura zaskoczyła go tylko trochę bardziej.

- Port jest ich - stwierdził półgłosem Donny. - Nie ma sensu tu tkwić, powinniśmy wrócić do Hammergardu.

Potem okręcił się na pięcie i śpiesznie wrócił do krętochodu, a Teo, Rory i Janssen za nim. Donny zatrzymał się koło auta, raz jeszcze spróbował zadzwonić przez kom, nie udało mu się, na sekundę zważył urządzenie w dłoni, a potem z nagłą wściekłością cisnął je o pobliski mur z cegieł, tak że rozprysło się w kawałki. Następnie spokojnie otworzył drzwi po stronie kierowcy i wsiadł do wozu. Janssen tylko uniósł na moment brwi, natomiast Rory uśmiechnął się szeroko i kiwnął głową.

- Byłem ciutkę zmartwiony - powiedział, kiedy wsiadali, po czym Donny odwiózł ich do miasta.

Znalazłszy się z powrotem w swoim mieszkaniu, Teo skierował się do salonu, planując sprawdzić, co mówią na kanale informacyjnym na widzie, raptem jednak poczuł, że

wyczerpanie ciągnie go tysiãcem rãk w dół, i odkrył, że chwieje siã na nogach.

Może jestem piãćdziesiãciolatkiem w niezłej formie, pomyslał. Ale jednak mam piãćdziesiãt lat.

Chwiejnie wkroczył do sypialni, gdzie w ubraniu padł na łóżko i zasnął.

A jakieś trzy godziny później zbudziło go wytrwale łomotanie do drzwi. Okazało siã, że to rząduwy kurier z rãcznie napisanym liścikiem od Sundstroma, błagajãcego, by Teo przybył do willi na „niezwykle istotnã naradã”. Karlsson wbił spojrzenie zapuchniãtych oczu w liścik, potem w kuriera, po czym westchnãł.

- Dobra... w porzãdku... - Kciukiem wskazał przez ramiã kuchniã. - Kawa jest w brãzowym pojemniku, kubki na suszarce; ja idã wziãć prysznic.

- Nie trzeba, proszã pana. Nie chcã nic do picia.

- Kawa bãdzie dla mnie, chłopcze; potrzebujã jej bardziej ni¿ ty!

Teraz przeszedł w ślad za jednym z pracowników ochrony przez sprytnie zamaskowanã przerwã w żywopłocie, a potem wzdłuż ściany willi do skrytego za rzãdem kolumn bocznego wejścia. Idãc we wskazanym kierunku słabo oświetlonym korytarzem, a potem w górzã po schodach, Teo zastanawiał siã, co bãdzie omawiane na spotkaniu. Nietrudno było to zgadnãć, sãdzãc po relacjach radiowych, jakich wysłuchał w trakcie jazdy tutaj. Wyglãdało na to, że Brolturanie stwierdzili, i¿ dariãński żołnierz, który zabił ich ambasadora, zginãł w wybuchu granatu zaledwie kilka sekund po dokonaniu morderstwa. Niektórzy z obecnych przy tym żołnierzy OKD zostali ju¿ przekazani w rãce Urzãdu Nadzoru, podczas gdy kilku innych wciã¿ jeszcze było przesłuchiwanym w budynku terminalu. Co wiãcej, Brolturanie wlaśnie fortyfikowali ambasadã Hegemonii, uzasadniajãc to faktem, że nastãpny ambasador miał mieã siedzibã wlaśnie tam. Mur otaczajãcy posiadłość został miejscami podwyzszony w ciãgu jednej nocy, a wokół niego wlaśnie instalowano rozmaite tajemnicze urzãdzenia. Okoliczni mieszkañcy opowiadali te¿, że tam i z powrotem stale kursujã małe stateczki transportowe; nie wiadomo było, czy Brolturanie uzyskali zezwolenie na loty nad Hammergardem. Personel wie¿y kontroli lotów w Porcie Gagarina podobno odmawiał udzielania jakichkolwiek informacji na ten temat.

Siã nie dziwiã, pomyslał Teo, gdy prowadzono go na drugie piãtro. Nikt nie lubi wychodziã na durnia, zwlaśnie wtedy, gdy przy okazji na durnia mo¿e wyjść tak¿e twój szef.

Kilka chwil później został poproszony do gabinetu Sundstroma, gdzie wymienił powitalne skinienia głowã z Piatkowem i Donnym Barbourem, którzy ju¿ siedzieli przy małym, ozdobnym stoliku. Na jego blacie stały szklaneczki z grubym dnem i butelka urquharta. W kãcie mrucał wid w drewnianej obudowie, nastawiony na *Makroskop*,

całodobowy kanał informacyjny.

- I co, czy Hegemonia już przejęła władzę? - spytał Teo, nalewając sobie drinka. - Czy Horst w końcu się załamał?

Uśmiech Piatkova był niewesoły.

- Niezupełnie. Brolturanie uparcie grają na nutkę „jesteśmy ofiarami”, a Starstream poświęca im mnóstwo czasu antenowego, wraz z Kurosem i Horstem, którzy kreują się na pełnych współczucia sympatyków, jak tylko mogą. Dowódca *Puryfikatora*, ten cały Ojciec-Admirał Dyrosha, udzielił nawet wywiadu - oczywiście na kanale Starstream - wyrażając swą wściekłość, że pokojowo nastawieni Brolturanie zostali zamordowani przez, cytuję, „dzikich osadników”.

Teo wytrzeszczył oczy na szefa wywiadu.

- Naprawdę tak powiedział? „Dzicy” w liczbie mnogiej?

- Ojciec-Admirał ujął swoją myśl nader dobitnie - odrzekł Piatkow.

- Dzicy - powtórzył jak echo Teo. - *Ja*, i dobrze wiemy, kto ich tu sprowadził! Czemu nie ściągniemy tutaj kilku tych reporterów i nie powiemy im, kto tak naprawdę za tym wszystkim stoi?

Donny się zaśmiał, ale Piatkow pozostał niewzruszony.

- Bo nie mamy żadnych dowodów, że Hegemonia wysłała pomiędzy nas agentów przypominających ludzi...

- Nie licząc pana Olgrena i jego osobliwych tatuaży - wmieszał się Donny.

- Który teraz leży w kostnicy - odrzekł Piatkow.

- *Aye*, w kawałkach.

Teo powiódł wzrokiem od jednego do drugiego.

- Zaraz, o co chodzi z Olgrenem? Jak zginął?

- Poćwiartowany - odparł Donny z brutalną satysfakcją, ponownie napełniając własną szklankę. - Wygląda na to, że te tatuaże nie były tylko dla ozdoby...

- Moi funkcjonariusze dopiero co przywieźli go do izby zatrzymań Urzędu Nadzoru i prowadzili do pokoju procedur wstępnych, kiedy zwałił się na podłogę, wrzeszcząc i próbując złapać oddech - powiedział Piatkow. - Te tatuaże zaczynały ścisnąć jego szyję, ramiona i kostki. - Skrzywił się. - Nagle wszędzie było pełno krwi, a jego eskorta miała przed sobą rozczłonkowane zwłoki.

- Boże drogi - wymruczał Teo.

- No cóż, jedno jest oczywiste - powiedział Donny, patrząc prosto na niego. - Ci ludzie nie żartują.

- Może i tak - odrzekł Piatkow. - Ale niektóre wydarzenia nie mają wytłumaczenia, jak na przykład karabin, który porzucono po strzelaninie na Ramieniu Olbrzyma. Musieli zdawać sobie sprawę, że ktoś pójdzie śladem celownika, trafiając do Wysokiego Lochiel, a potem do tego hotelu robotniczego. - Wzruszył ramionami. - Czy właśnie o to chodziło, o zastawienie wymyślnej pułapki? Pewności mieć nie mogę, ale mój instynkt mówi, że nie.

Donny pochylił się, garbiąc ramiona.

- Nie ma wątpliwości, że wszystkie te ataki miały na celu wyczerpanie zasobów Urzędu Nadzoru oraz odwrócenie jego uwagi. Dodajmy do tego jeszcze awarię huba komsieci, do której doszło w nadzwyczaj dogodnym momencie, jak również fakt, że kamery monitoringu w poczekalni Lądowiska Numer Dwa zostały wyłączone tuż przed przybyciem Brolturan.

- Horst o to poprosił - powiedział kwaśno Piatkow. - Bez wątpienia dlatego, że podpowiedział mu to Kuros.

Teo prychnął.

- Więc nie ma żadnego nagrania z tego, co się stało.

- Poza tym, które ponoć zrobił jeden z członków świty Reskothyra - odezwał się Donny. - I które obiecali jeszcze dzisiaj udostępnić mediom. Ach, i nam także, w duchu współpracy.

- To gdzie jest Sundstrom? - spytał Teo.

- Próbuje się uporać z kryzysem politycznym - odrzekł Piatkow. - Wedle słów Storlussona, burmistrza Trondu, jeśli nie będzie w stanie przywrócić porządku i przekonać Brolturan, aby wycofali wojsko, Północne Miasta być może przywrócą do życia swoją Ligę jako tymczasowy środek bezpieczeństwa. Czeką go też wotum nieufności, kiedy za kilka godzin odbędzie się nadzwyczajne posiedzenie Zgromadzenia. Sojusz Konsolidacyjny mocno go naciska, a pewne elementy jego Koalicji Obywatelskiej uległy radykalnemu osłabieniu.

- Czy może przegrać? - spytał Teo.

- Jego losy się ważą: jest garstka posłów, którzy z pewnością przejdą na stronę Konsów, jeśli prezydent nie zdoła ustabilizować sytuacji. Jeżeli tak się stanie, a potem Sundstrom przegra wotum, najprawdopodobniej ustąpi na rzecz Jardine'a. W obecnych warunkach nie ma co nawet myśleć o przeprowadzeniu wyborów...

- Jardine - powtórzył Donny z nieskrywanym obrzydzeniem. - Ten męczydusza...

W tym momencie otworzyły się drzwi i wjechał Sundstrom na swoim wózku. Wyglądał tak, jakby się postarzał w ciągu tych godzin, które minęły, odkąd Teo ostatnio go widział, lecz w jego zniekanych rysach nadal płonęła zawziętość.

- Panowie - odezwał się, podjeżdżając wózkiem do ich stołu. - Dziękuję za przybycie tak szybko, i przepraszam, że skróciłem wasz sen.

- Sen? - powtórzył Donny, patrząc na Teo. - A cóż to takiego?

Teo się uśmiechnął, Piatkow zachował kamienną twarz.

- Czytałem raport Witalija na temat Olgrena, którego treść, jak zakładam, obaj znacie - ciągnął prezydent. - Natomiast nikt z was nie wie jeszcze, że jesteście tutaj po to, by być świadkami telekonferencji, którą zamierzam za chwilę odbyć z ambasadorem Horstem oraz Wysokim Obserwatorem Kurosem. W zależności od jej wyniku być może będziemy zmuszeni zmodyfikować naszą taktykę na najbliższe dni. - Pochylił się, żeby nalać sobie solidną porcję urquharta, i wypił ją jednym haustem. Odetchnął z satysfakcją przez zaciśnięte zęby i odstawił szklaneczkę. - Mój lekarz będzie bardzo niezadowolony. A teraz, panowie, jak zwykł mawiać mój ojciec: zaczynamy przedstawienie!

Podjechał wózkiem do biurka, przesunął palcami po jego płytce sterującej, następnie zaś podniósł swój kom, obracając się twarzą do dwóch bliźniaczych ekranów, które ożyły z tyłu za nim, nad niskimi regałami na książki.

- Przyjaciele, czy możecie się przesunąć w tamtą stronę, poza zasięg dwukierunkowych czujników tych ekranów? - Potem do kogo powiedział: - Już? Dobrze, w takim razie możecie ich przełączyć.

Chwilę później ekrany zamrugały, najpierw jeden, potem drugi, i ukazały twarze Roberta Horsta oraz Sendrukanina Utavessa Kurosa. Nastąpiła wymiana posępnych powitań, aczkolwiek Teo pomyślał, że Horst wydaje się najmniej ponury z całej trójki.

- Ambasadorze, Wysoki Obserwatorze: jestem pewien, że wszyscy mamy świadomość, jak nikczemny czyn miał miejsce zeszłej nocy w Porcie Gagarina, i pragnę raz jeszcze wyrazić swój ból oraz przekazać kondolencje dla ofiar i ich rodzin. - Prezydent zrobił krótką pauzę. - Jak zapewne zdajecie sobie sprawę, wydarzenia, do których doszło na przestrzeni ostatnich kilku dni, pociągnęły za sobą poważne konsekwencje dla mojego rządu, a szczególnie dla mnie. Mogę was zapewnić, że śmierć ambasadora Reskothyra doprowadziła sprawę do punktu krytycznego... - Następnie przedstawił te same szczegóły, które Teo i Donny poznali chwilę wcześniej

- Nad wyraz delikatna sytuacja, panie prezydencie - powiedział Horst. - Jeśli wolno mi spytać wprost, gdyby miał pan ustąpić ze stanowiska, czy pan Jardine byłby w stanie utworzyć stabilny rząd? Czy o to chodzi w tej rozmowie?

- Nie, proszę pana; wiceprezydent Jardine nie byłby w stanie utrzymać Koalicji Obywatelskiej, przez co straciłby większość głosów w Zgromadzeniu i sam stanąłby w obliczu wotum nieufności, które nieuchronnie by przegrał. Tymczasem Trond oraz sąsiednie miejscowości, jak mnie zapewniono, ponownie utworzyłyby Ligę Północną, co wywołałoby

protesty, aresztowania, wydalenia i ogólny chaos. Jakakolwiek próba przeprowadzenia w takim zamęcie powszechnych wyborów graniczyłaby z niemożliwością, a pełne jego konsekwencje byłyby, oczywiście, na bieżąco pokazywane przez media całemu wszechświatowi.

Obaj innoświatowi dyplomaci z powagą łowili teraz każde jego słowo.

- Niniejsza telekonferencja ma na celu przekonanie pana, Wysoki Obserwatorze, do wycofania broturańskich wojsk, a pana, ambasadorze, do przysłania Kolonii Darien, powiedzmy, kompanii żołnierzy piechoty kosmicznej Ziemi sfery, aby ci mogli pomóc mojemu rządowi w utrzymaniu bezpieczeństwa i stabilności, a przy okazji w pogłębieniu naszych więzi z ojczystym światem. Co panowie o tym sądzą?

Teo wymienił zaskoczone spojrzenia z Donnym i Piatkowem.

We wzroku Sendrukanina pojawił się twardy błysk.

- Trudno pańskie słowa nazwać dyplomatycznymi, panie prezydencie. Ojciec-Admirał Dyrosha byłby znacznie mniej wyrozumiały niż ja.

Sundstrom uśmiechnął się i skinął głową; zdawało się, że wszystkie widoczne wcześniej oznaki jego zmęczenia zniknęły.

- Wysoki Obserwatorze, zgadzam się, że moje zalecenie jest pozbawione dyplomatycznych ozdobników, ale jestem pewien, że dostojny Ojciec-Admirał zrozumie je, jeśli powie mu pan wyraźnie. Jeżeli jeszcze nie przekonuje pana moja determinacja, pozwolę sobie zapoznać pana z pewnymi wydarzeniami, do jakich doszło w ostatnim czasie. Zeszłej nocy moje służby bezpieczeństwa zatrzymały mężczyznę, o którym wiadomo, że był członkiem Frakcji Wolny Darien. Ciało tego człowieka zdobiły pasy tatuaży. Wkrótce po tym, jak znalazł się w areszcie, tatuaże te przemieniły się w nieznanego rodzaju implanty, które następnie zacisnęły się, ćwiartując go w ciągu paru minut, tak że szybko zmarł z powodu szoku i upływu krwi. Analitycy mówią mi, że takie implanty skórne mogą pochodzić wyłącznie spoza planety, co zmusza mnie do wyciągnięcia wniosku, że ktoś ingeruje w wewnętrzne sprawy Dariena.

- Czy oskarża pan Hegemonię o odpowiedzialność za ten incydent, na który nie przedstawił pan żadnych dowodów? - spytał Kuros.

Sundstrom wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, Wysoki Obserwatorze, nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Jednakże za kilka minut zwołam konferencję prasową i jeśli będę musiał ogłosić swoją rezygnację, opowiem reporterom w szczegółach, dlaczego, przedstawiając im między innymi sprawozdanie lekarza sądowego z sekcji zwłok agenta FWD oraz dodatkowe zeznania moich

analityków.

- Panie prezydencie, pańskie zachowanie jest oburzające! - oświadczył Horst.

- To prawda, panie ambasadorze, ale mając w ręku słabe karty, trzeba grać tak, żeby maksymalnie wykorzystać każdą z nich.

Teo uśmiechnął się, z przyjemnością obserwując ten pokaz walki politycznej w starym stylu.

- Ma pan talent do negocjowania, panie prezydencie - powiedział Kuros. - Pozwolę sobie w pierwszej kolejności uspokoić pana w kwestii uczestnictwa Hegemonii w jakiegokolwiek buntowniczej działalności tutaj, na Darienie: my, Sendrukanie, nie bierzemy udziału w nielegalnych aktywnościach mogących zagrozić stabilności państwa. Niemniej, po przemyśleniu sprawy sędzę, że pańskie propozycje istotnie mają sens. Jestem pewien, że Ojciec-Admirał Dyrosha da się przekonać do wycofania brolturańskich sił pokojowych. Jestem też przekonany, że ambasador Horst dobrze zdaje sobie sprawę, iż utrzymanie stabilności może wszystkim zainteresowanym przynieść same korzyści.

Horst przez moment gapił się w osłupieniu z ekranu. Potem zamrugał, a jego rysy odzyskały życie.

- No cóż, ee... jeśli mój sendrukański kolega jest gotów przekonać... przekonać brolturańskiego dowódcę, by wycofał część swoich oddziałów z Dariena, to stawia sprawy w innym świetle. W mojej gestii leży zaoferowanie wspomnianego wcześniej wsparcia militarnego, by działać w interesie współpracy i stabilności.

- Wasze słowa ogromnie mnie radują, panowie - powiedział Sundstrom. - Nie macie nic przeciwko temu, żebym ogłosił najważniejsze punkty naszego porozumienia oczekującym na zewnątrz reporterom?

Kuros i Horst z wymuszonymi uśmiechami zapewnili, że bynajmniej, po czym wymieniono pożegnania i konfrontacja dobiegła końca. Teo dołączył do pozostałych, którzy spontanicznie zaczęli klaskać, na co Sundstrom odpowiedział sardonycznym uśmiechem i skłonieniem głowy.

- Ten Horst - powiedział Teo. - Facet jest po prostu kukielką...

- Aye, tam pod koniec po prostu się załamał - przytaknął Donny. - Myślałem, że ma jaja.

- No cóż, nie mamy sposobu, żeby się dowiedzieć, jakich rad udzielała mu jego implantowana SI - powiedział Piatkow. - Ani też jak dalece ma ona nad nim kontrolę.

- A zatem spekulowanie na ten temat jest pozbawione sensu - rzekł Sundstrom. - W każdym razie dostaliśmy tylko chwilę wytchnienia, do czasu, aż Kuros zdecyduje się wykonać następny ruch. Piatkow, Barbour, czy mogę was poprosić o zaczekanie na dole w

pokoju konferencyjnym? Muszę tylko zamienić słówko z majorem w cztery oczy.

Dwaj mężczyźni potaknęli, wstali i wyszli. Teo odstawił pustą szklankę na ozdobny stolik i podszedł, żeby usiąść na krawędzi biurka Sundstroma, milcząc i czekając.

- Aktywa, Teo - odezwał się w końcu prezydent. - Musisz znowu załatwić ich przeniesienie.

- Znowu? - Poczł falę rezygnacji. - Czemu? I dokąd tym razem?

- Jak najdalej od miast i osad. Uvovo znają wiele kryjówek w rejonie Wschodnich Wzgórz; skontaktuję cię z jednym ze Słuchaczy. A czemu? Cóż... czas jest naszym wrogiem, Teo, nawet jeśli mój prymitywny wybieg kupił go nam trochę więcej.

- Co nastąpi, kiedy czas się skończy?

- Okupacja, może internowanie kłopotliwych jednostek, z jakimś uzasadnieniem, które wygłoszą donośnie obok deklaracji, jak szcudre i światłe są ich intencje w stosunku do nas. Widziałem kilka reportaży dokumentujących „szczudrość” Hegemonii, światy, gdzie wszystkie miasta zostały obrócone w gruzy albo gdzie ekosfera została z premedytacją zatruta, albo gdzie wypuszczono specjalnie zaprojektowane mikroorganizmy, żeby wyniszczyć jakąś roślinę użytkową o podstawowym znaczeniu dla miejscowej gospodarki lub gatunek zwierzęcia będący głównym źródłem pożywienia. I to samo czekałoby nas, gdybyśmy nie byli kolonialnym odłamek ich głównego sojusznika. - Jego oczy wypełniała zaciekle determinacja. - Konieczny jest opór, Teo, partyzancka walka przeciwko Hegemonii, by pozbawić ich prawa do przebywania tutaj.

- Przecież opinia publiczna na Ziemi z pewnością nie poparłaby okupacji przez Hegemonię?

Sundstrom się uśmiechnął.

- Opinia publiczna zależy od publicznej percepcji, a w całej Ziemosferze, zwłaszcza w jej ludzkich sektorach, percepcja ta kształtowana jest przez konsensus mediów, którym przewodzi... - Skinął dłonią na Teo, oczekując, że ten dokończy zdanie.

- Starstream - powiedział kwaśno Teo. - Co takiego wygadują na nasz temat?

- Że jesteśmy bandą zacofanych, prymitywnych ignorantów. Och, wyemitowano bez liku malowniczych filmów dokumentalnych o florze i faunie Dariena, ale poza tym dominuje pogląd, że jesteśmy zaściankową hołotą o mentalności plemienną.

Teo przypomniał sobie, co słyszał na temat scysji swojego siostrzeńca Grega z pewnym innoświatowym reporterem.

- Czy Lee Shan pracuje dla Starstreamu?

Prezydent zaśmiał się pod nosem.

- Ten typek to lepszy agent: widziałem jeden z jego reportaży na temat darieńskiej polityki, wyemitowany na kanale kulturalno-politycznym, który - cóż za niespodzianka - nie jest przekazywany na Dariena. Reportaż był sprytnie zrobiony, z subtelnymi niuansami, niby dokładny, a tak naprawdę całkowicie mylący.

- Panie prezydencie, wspominał pan, że oglądał reportaże na temat Hegemonii, a teraz ten autorstwa Lee Shana. - Teo zrobił pauzę. - Czy zostały udostępnione przez Imisilczyków? A jeśli tak, czy możemy im ufać?

- Lepiej, Teo. Zorganizowaliśmy podpięcie jednego z najnowszych terminali monitorujących Urzędu Nadzoru, wzorowanych na podobnym sprzęcie z *Hyperiona*, do ogniwa danych na pokładzie statku imisilskiego orbitującego wokół planety. Dzięki temu zyskaliśmy dostęp do samego hipernetu, tej olbrzymiej sieci międzygwiazdowej; mój Boże, Teo, tam na zewnątrz są całe oceany informacji, wiedza i kultura tysięcy światów, i w ten sposób odkryłem nikczemną przeszłość Hegemonii Sendrukańskiej. A czy można ufać Imisilczykom? Nie wątpię, że mają swoje własne plany, ale jestem też pewien, że ich interesy są zbieżne z naszymi.

- Świetnie, a więc możemy się niedługo spodziewać dostawy zaawansowanej broni, czy tak?

Sundstrom posłał mu półuśmiech.

- Może za jakiś czas. Ten brolturański statek umieścił w przestrzeni orbitalnej Dariena mnóstwo sond i detektorów, które śledzą wszystko, co znajdzie się w pobliżu planety, aż poza orbitę Nieviesty. Gdyby jednak wydarzyło się coś, co zaburzyłoby i odwróciło ich uwagę, ambasador Imisilu wykorzysta okazję. - Wcisnął kciukiem przyciski na swoim biurku i ekrany ściennie za jego plecami zgasły. - Teraz pora, żebyś się zajął swoimi sprawami, a ja się zajmę moimi.

- A Donny Barbour i pan Piatkow? - spytał Teo. - Czemu ma służyć oddzielne spotkanie z nimi?

- Poprawka: wszyscy trzej zostaniecie przeze mnie poinstruowani oddzielnie i w cztery oczy - odrzekł Sundstrom. - Dzięki temu pojmanie jednego nie zagrozi pozostałym.

- Praktyczne podejście, panie prezydencie, nawet jeśli nieco pesymistyczne - powiedział Teo. - A co, jeśli dopadną pana?

Sundstrom się zaśmiał.

- Wierz mi, nikt mnie żywcem nie weźmie.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

- A teraz idź - powiedział Sundstrom. - Powodzenia i pomyślnych łowów.

- I nawzajem, panie prezydencie.

Gdy Teo opuszczał gabinet, dotarło do niego, jak ogromnie cenny jest Sundstrom dla sprawy, i ogarnęła go determinacja, by zadbać o to, by prezydent przeżył.

Robert

Po telekonferencji z Sundstromem i Kurosem pozostał przy biurku, czując dziwne wyczerpanie umysłowe. Jego myśli przypominały robaki pełzające powoli przez mroczną, błotnistą jaskinię, potrzebujące nieskończenie dużo czasu, żeby dotrzeć na drugą stronę.

- Robercie, jak się czujesz?

Jak w istocie się czuł? Zamrugął, wziął głęboki wdech i, obróciwszy się, ujrzał Harry'ego, ubranego w szary garnitur z wzorkiem, siedzącego na skraju biurka z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Wyglądasz na zmęczonego, Robercie - powiedziała SI. - To moja wina, za silnie na ciebie naciskałem w kwestii wysłania wojska...

- Harry, Harry... Wykonywałeś tylko swoją pracę, podczas gdy ja po prostu... no cóż, dałem się zaskoczyć Kurosowi. Zwyczajnie nie spodziewałem się tego, co zrobił. A Sundstrom - byłem tak wściekły na tę jego zagrywkę, a mimo to jestem w stanie docenić to, jak ją rozegrał, jak zagrał nami.

- Polityka to polityka, niezależnie od tego, czy rozgrywa się na odległej planecie, czy w Wielkim Zgromadzeniu na Ziemi.

Robert potaknął i westchnął, wyglądając przez okno na pierwszym piętrze. Droga była pusta i cicha, oświetlał ją strąg światłny w kształcie łzy, zawieszony na słupie wygiętym niczym znak zapytania. Zaczął padać deszcz - migotliwe krople przecinające krąg poświaty, ciemne plamy pstrzące nawierzchnię.

- Więc co zamierzasz zrobić w kwestii żołnierzy? - zapytał Harry.

- Rozkażę kapitanowi Velazquezowi, żeby odkomenderował ich tutaj - odrzekł Robert, odwracając się, żeby przywołać gestem Rosę. - Po szybkiej partyjce szachów. - Z szuflady biurka wyjął rozkładaną szachownicę i pudełko figur. - Czarne czy białe, kochanie?

- Zagram... czarnymi - odparła Rosa, a gdy usiadła na mglistym wysokim stołku, szesnaście półprzezroczystych czarnych figur pojawiło się po jej stronie szachownicy, podczas gdy on cierpliwie rozstawił białe.

Cóż to za radość, pomyślał, zrelaksować się przy partii szachów z córką po dniu ciężkiej pracy! Ale pora była doprawdy strasznie późna - będzie musiał dopilnować, żeby Rosa znalazła się w łóżku pod kołderką, gdy tylko ta gra się skończy i ani chwili później.

Robert wykonał pierwszy ruch, a później posunięcie następowało za posunięciem, białe

oraz ciemnoszare, mgliste figury zajmowały terytorium, groziły atakami, umacniały linie obrony.

- Robercie, porucznik drugiej klasy Heng wciąż jeszcze przebywa w budynku - powiedział Harry. - Jestem pewien, że będzie wiedział, jaki jest stan gotowości oddziału piechoty kosmicznej stacjonującego na pokładzie *Heraklesa*. Roztropność chyba nakazywałaby się tego dowiedzieć.

- Hm, tak myślisz? - Robert rozważał właśnie, czy na szachownicy jeden pionek powinien zbić drugiego. - Dobrze, więc każ mu przyjść tu, na górę.

Zdawało się, że upłynęła zaledwie sekunda czy dwie, zanim rozległo się pukanie do drzwi. Robert zawołał i do pokoju wkroczył młodzieniec w oliwkowo-brązowym mundurze Ziemi. Podeszedł bliżej i złożył sztywny, formalny ukłon.

- Panie ambasadorze - powiedział.

- Ach, poruczniku, to moja córka, Rosa.

Chwila wahania, potem oficer skłonił się ponownie.

- Panno Horst.

- Miło mi pana poznać, poruczniku - powiedziała Rosa.

Horst kiwnął głową.

- To bardzo uprzejme z pana strony, że zechciał pan się zjawić na moje wezwanie o tej porze. Wkrótce wyślę do kapitana Velazqueza rozkaz, by kompania piechoty kosmicznej została odkomenderowana tu, na dół, ale chciałbym z wyprzedzeniem znać stan ich gotowości.

- Rozumiem, proszę pana. *Herakles* ma na pokładzie dwie pełne kompanie piechoty kosmicznej, a także samoloty niskopłapowe, pojazdy terenowe i sanitarki. Każda z kompanii bądź też obie mogą zostać zmobilizowane i być gotowe do startu alarmowego w ciągu godziny, a pełna kompania może zostać przewieziona na powierzchnię planety w ciągu około sześciu godzin, jeśli dostępne są wszystkie trzy wahadłowce.

- Doskonale, poruczniku, a jak opisałby pan aktualne morale jednostki?

- Bardzo dobre, panie ambasadorze. Wszyscy palą się do tego, by zrobić wszystko, co tylko mogą dla kolonii Darien.

- Oczywiście, to naturalny odruch i już poczyniliśmy pierwsze kroki w tym kierunku!

Rosa przesunęła gońca wzdłuż szachownicy i umieściła go na polu zajmowanym przez jednego ze skoczków Roberta, po czym pokazała mu język. Robert uśmiechnął się i odstawił skoczka na bok.

- A więc, poruczniku, kiedy wraca pan na statek?

- Kuter ma opuścić Port Gagarina o dziewiątej rano, panie ambasadorze, ale powiedziano nam, żebyśmy się stawili na miejscu najpóźniej o siódmej trzydzięci, więc uznałem, że najlepiej będzie wyruszyć możliwie jak najwcześniej.

- W takim razie nie zatrzymuję pana dłużej, poruczniku. Proszę ruszać i przekazać ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia kapitanowi.

- Tak zrobię, panie ambasadorze. - Heng uklonił się Robertowi, a potem Rosie, która uśmiechnęła się promiennie.

Gdy młody oficer wyszedł, Robert powrócił do gry i, zlustrowawszy szachownicę, przekonał się, że tylko kilka ruchów dzieli go od ostatecznej przegranej.

- Jeszcze jedna partia, tato? - zapytała Rosa.

- Młoda damo, gdyby twoja matka tu była, oburzyłaby się, że jeszcze nie śpisz o tej porze... no cóż, może jeszcze tylko jedna...

- Robercie, miałeś wydać ten rozkaz kapitanowi Velazquezowi - powiedział Harry, który stał przy drugim oknie. Uśmiechał się, mrużąc oczy i przekrzywiając głowę w charakterystyczny sposób, sygnalizujący dezaprobatę.

- Och, ale jestem teraz zajęty z Rosą, Harry; czy mógłbyś się podłączyć do mojego programu pocztowego i wysłać krótką wiadomość w moim imieniu? Znasz podstawowe szczegóły.

Harry przez moment stał bez ruchu, milcząc, po czym powiedział:

- Zrobione, Robercie. Czy chcesz się teraz położyć? Ponieważ zdecydowałeś się nie odwoływać jutrzejszych spotkań, sugeruję, żebyś trochę odespał.

Robert zmarszczył brwi, ponownie ustawiając figury na szachownicy. Dlaczego Harry tak się naprzykrzał? Czy nie rozumiał, że ojciec ma zobowiązania wobec swojej córki?

- Doprawdy, Harry, zgodziłem się zagrać jeszcze tylko jedną partyjkę. Jestem pewien, że będę w stanie się wywiązać z jutrzejszych... jutrzejszych... - Zamilkł, czując lekki zawrót głowy oraz niepohamowaną potrzebę ziewnięcia. Pokój ściemniał, a jego barwy blakły, jakby wszystko spowiła szara mgła.

Czy to jego ręce pieczołowicie poskładały i odstawiły na miejsce szachownicę oraz figury? Czy to jego głos powiedział Rosie „dobranoc” i jego palce wyłączyły intersym? Jego nogi zaniósły go na górę, gdzie przebrał się w piżamę, i czy to na swoje łóżko się osunął? Szare ręce, szara mgła, szary głos, zupełnie jak w tamtej chwili podczas telekonferencji, kiedy jego umysł jakby się potknął, ale coś głębiej w nim mówiło dalej. Szary głos, szare ręce, szara mgła, jego umysł niczym szara jaskinia, przez którą Robert pełzł, aż w końcu zapadł w szary sen.

Catriona

Poranne słońce przebijało się przez górny okap Segrany, gdy Catriona jechała na *trictrze* szlakami wytyczonymi wśród gałęzi, zmierzając z powrotem do tamtej opuszczonej wioski, z powrotem do *vudronu*. Zimne powietrze było przesycone wilgotnymi zapachami liści i kwiatów, poruszanych i wzniecanymi przez promienie słońca. Wznoszące się prądy cieplejszych powiewów niosły owady wyżej, ku rozchylającym się płatkom z kroplami nektaru, ku młodziutkim soczystym listkom, wyrosłym przez noc grzybom oraz maleńkim kałużom wody, która zgromadziła się w rozwidleniach konarów. Obserwując to, Catriona wiedziała, że na każdego owada czyha jakiś drapieżnik, czy to większy owad, czy ptak, czy jakiś mały, futrzasty pseudossak. Czy nawet roślina, wabiąca słodkimi woniami i jaskrawymi barwami, chwytająca swe ofiary za pomocą kłapiących liściastych szczęk, lepkich dławiących liści albo woreczków wyposażonych w pionowe ścianki, służących do topienia. Istniało nawet drzewo zwabiające owady do pęknięcia w korze, które konwulsyjnie się zatrzaśniało, gdy tylko intruz połaskotał znajdujące się wewnątrz specjalne włókna.

W czasie jazdy myśli Catriony bezustannie krążyły wokół dziwnego snu, który przyśnił się jej poprzedniej nocy w *vudronie*, wokół ostrzeżenia przed najeźdźcami, skradającymi się bezszelestnie przez cienie Segrany. Drapieżcy tropiący ofiary...

Po tamtym wytrącającym z równowagi i przedwcześnie zakończonym czuwaniu wróciła do ludzkiej enklawy, żeby zaliczyć niespokojną noc płytkiego, przerywanego snu. Wstała wcześniej i spróbowała się skupić na nadrabianiu zaległości w pracy badawczej, sortując i katalogując próbki, ale jej myśli powędrowały z powrotem w stronę tamtego snu, jej dzieciństwa w Domu Żylińskiego, Julii...

Tak... Julii. Potem Catriona wyjęła kom, rozważając fakt, że istnieli ludzie, do których mogła zadzwonić, i przysługi, które byli jej winni. Ostatecznie okazało się jednak, że z wiarygodnych detali, jakie zdołała zebrać, da się poskładać jedynie zarys obrazu. Mniej więcej od roku rządowy Dział Projektów Specjalnych utrzymywał placówkę badawczą w bazie Pelagios, na starej platformie oceanograficznej położonej szesnaście kilometrów w górę wschodniego wybrzeża w stosunku do stacji Pilipoint. Potem przed kilkoma tygodniami zjawił się tuzin lub więcej dodatkowego personelu, ale ludzie ci zostali zabrani z Pilipoint dużą łodzią motorową, która odpłynęła w kierunku bazy Pelagios. W żadnych publicznych ogłoszeniach, notatkach służbowych czy dyrektywach nigdy nie padła wzmianka na temat

Pelagios i tamtejszych pracowników, ale plotkarze w społeczności przyjmowali za oczywistość, że nowi przybysze byli Ulepszonymi. Kolejna ich garść przybyła w następnym tygodniu, wszyscy otoczeni taką samą aurą wyniosłego intelektu, przy czym jako ostatni zjawił się Jurewicz. A potem, zeszłego wieczoru, wtedy kiedy Catriona szykowała się do swojego czuwania, osiemnaścioro czy dwadzieścioro z nich opuściło Niewiestę na pokładzie specjalnego wahadłowca lecącego na Dariena, w tym Julia Bryce - przyjaciółka Cat pracująca przy obsłudze lotów zauważyła jej imię i nazwisko na liście pasażerów, zanim ta została zabrana.

Poza tym konkretów było niewiele. Nic na temat tożsamości Ulepszonych i najmniejszych wskazówek w kwestii charakteru badań, które prowadzono w bazie Pelagios. I żadnego wytłumaczenia, co było powodem ewakuacji, aczkolwiek istniała możliwość, że pewną rolę w tej decyzji odegrało zamordowanie brolturańskiego ambasadora.

Ta niemal całkowita blokada informacyjna stanowiła utrudnienie, ale nie była specjalnie zaskakująca. Zarówno Ulepszeni, jak i ich zwierzchnictwo mieli obsesję na punkcie tajności oraz nawyk przywiązywania wielkiej wagi do szczegółów, co wykluczało jakiegokolwiek przecieki informacji. Catriona uświadomiła sobie, że aby odkryć coś użytecznego, musiałaby drążyć głębiej, poświęcając na to więcej czasu, niż miała do dyspozycji tego dnia.

W zamian wykonała jeszcze kilka telefonów do kolegów badaczy w innych enklawach rozsianych po zajmującym cały kontynent lesie Segrany. Poszukiwała jakichkolwiek doniesień na temat dziwnych zdarzeń, wypatrzonych obiektów bądź stworzeń, i została uraczona niezliczonymi raportami na temat osobliwego, często zdradzającego niewytłumaczalną celowość zachowania leśnej flory i fauny. Kiedy jednak zaznaczyła, że chodzi jej o bardziej tajemnicze, niemożliwe do wyjaśnienia incydenty udokumentowane w ciągu ostatnich kilku dni, pozostała jej tylko garść relacji: odciski stóp dwunożnej istoty biegnące wzdłuż piaszczystej plaży na północnym wybrzeżu zatoki Emmersona; cztery idealnie koliste otwory wywiercone w szerokim na ponad sześćdziesiąt metrów głównym pniu jednego z pięciu drzew kolumnowych, które składały się na zewnętrzne północno-wschodnie skupisko podporowe; poćwiartowane zwłoki pięciu krabopodobnych *ogmi* znalezione obok jednego ze wschodnich jezior na dnie lasu, przy czym każde z ciał było gładkie i precyzyjne; fakt, że przedostatniej nocy widziano dużego ciemnego ptaka, który spikował nisko nad gęsty las porastający środkowy obszar Wielkiej Wyżyny Centralnej, a potem leniwie odfrunął na wschód.

Catriona zatrzymała pająkowatego *trictre* na naturalnej półce ze splecionych gałęzi i uwiązała go w miejscu, z którego mógł łatwo dosięgnąć pyskiem jadalnego listowia. Potem

musiała już tylko zejść kawałek w dół na małą platformę, gdzie czekał *vudron*. Pomyślała o tych dziwnych doniesieniach i o tym, co mogą oznaczać, jeśli wczorajsza sno-wizja była prawdziwa, o możliwości, że gdzieś czają się intruzi z innego świata, śledząc, planując...

W lewej ręce trzymała plastikową wanienkę na pasku z tkaniny - wewnątrz znajdowało się trochę sucharków, orzechy, mały termos herbaty z wrotoziela oraz świeca wabikowa osadzona w lichtarzyku z muszelek. Prawą dłonią wyjęła kom i zadzwoniła do Grega, wyobrażając sobie, jak sygnał biegnie w górę do jednego z komsatów Nieviesty, a potem jest przekierowywany jako wąska wiązka do innego, orbitującego wokół Dariena, i wreszcie w dół, do lokalnego huba komsieci. Po kilku chwilach zdyszany Greg odebrał.

- Tak?... Halo?...

- Greg, tu Cat - powiedziała.

- No cóż, cześć... odebrałaś moją wiadomość? I co... zrealizowałaś swój plan?

- I tak, i nie.

Po drugiej stronie Greg zachichotał cicho.

- Wyczuwam tycią nutkę niezdecydowania.

- Nie tyle niezdecydowania, ile ślepej zgrozy - odparła, po czym zwięźle streściła mu tamtą wytrącającą z równowagi wizję, w tym spotkania z młodszymi Gregiem i Julią, co wymagało również krótkich wyjaśnień dotyczących roli, jaką Julia odegrała w jej przeszłości.

- Aha, więc śniłaś o mnie, co? Jestem zaszczycony.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie, Greg, tam nie było żadnego śnienia. Teraz jestem pewna, że rozmawiałam z Segraną i że używała obrazów zaczerpniętych z moich wspomnień...

- Muszę przyznać, że to się wydaje dość szalone - powiedział Greg. - Ale sam też zaliczyłem zeszłej nocy porcję niespodzianek...

Wysłuchiwała jego relacji na temat olbrzymiej komory oraz pokrytej wzorami posadzki, którą Chel i Słuchacz Weynl nazywali studnią, a także o tym, jak Uvovo obudzili jakiś automatyczny mechanizm obronny (który ponoć zniszczył jego buty trekkingowe podczas pierwszej wyprawy w głąb góry).

- Twoje buty? - powtórzyła ze śmiechem.

- Aye. Zdaje się, że miał zastrzeżenia do niektórych aspektów ich produkcji.

- Myślę, że wolałabym być z wami tam na dole niż tutaj na górze - powiedziała.

- Ach, znajdujemy się tam, gdzie się znajdujemy.

- Domorośla filozofia, panie Cameron?

- Powtarzam ją pani dokładnie w takiej formie, w jakiej ją zasłyszałem od mamusi,

panno Macreadie. Powiedz, zamierzasz podjąć jeszcze jedną próbę?

Jak on się domyślił?, zdziwiła się.

- Myślę... myślę, że powinnam - odparła. - To zasada ostrożności: jeśli Segrana rzeczywiście ze mną rozmawiała i jeśli po okolicy kręcą się wrogo nastawieni intruzi, rozsądek nakazuje być przygotowanym. W wizji powiedziała, że mogę pomóc; teraz zamierzam się dowiedzieć, w jaki sposób. - Zaśmiała się sucho. - A jeśli się okaże, że szukałam wiatru w polu, przylecę następnym wahadłowcem na Dariena, żeby dołączyć do ruchu oporu!

- Sprawy nie zaszły jeszcze aż tak daleko - powiedział Greg. - Co więcej, Sundstrom jakimś cudem zdołał skłonić Brolturan, żeby drastycznie zredukowali liczbę swoich żołnierzy stacjonujących w ambasadzie Hegemonii, oraz przekonał ludzi z Ziemi, żeby przysłali nam tu oddział piechoty kosmicznej z *Heraklesa*.

- Nareszcie trochę dobrych wieści; może jednak nie będę zmuszona opuszczać Niewiasty.

- A nie wiem, mógłby się nam przydać ekspert od Uvovo, kiedy już zabierzemy się do badania tych podziemnych komór!

Ich zgodny śmiech przyszedł łatwo i był ciepły, lecz trwał krótko.

- Przepraszam, Greg, ale muszę iść i doprowadzić sprawę do końca, póki jeszcze jestem przekonana, że powinnam to zrobić.

- *Aye*, ja też muszę uciekać. Obiecuj mi, że zadzwonisz, gdy tylko będziesz to mieć za sobą.

- Tak zrobię, obiecuję. Do usłyszenia, Greg.

- Na razie, Cat.

Zakończywszy rozmowę, schowała kom, wzięła głęboki wdech... po czym odwróciła się, szarpnięciem otworzyła okrągłe drzwi *vudronu* i weszła do środka. Kilka chwil później świeca już się paliła, herbata czekała w kubeczku, a drzwi były zablokowane w pozycji zamkniętej zwiniętą garścią liści.

Dobra, pomyślała Cat, popijając gorący ziołowy napar. Jestem tu, więc bierzmy się do roboty.

Chel

Pilotem zeplina był Fin nazwiskiem Varstrand, który sypał jak z rękawa plotkami i pogłoskami, gdy opuszczali Hammergard, kierując się na południowy zachód, ponad Loch Morwen, w stronę gór Savrenki, stanowiących południową odnogę Kentigernów. Sterowiec Varstranda, zwany *Har*, był zasadniczo klasycznym małym modelem, wyposażonym w gondolę podwieszoną pod zbiornikiem na gaz w kształcie grubego cygara. Zamocowane na gondoli bliźniacze silniki, połączone ze śmigłami, mogły działać zarówno na paliwo alkoholowe, jak i na prąd z akumulatorów, a fotoogniwa przyklejone do zewnętrznej powłoki zapewniały zasilanie awaryjne.

Chel siedział za Varstrandem na fotelu uplecionym z wikliny i drutu, który wydawał się równie rachityczny jak cała konstrukcja skrzypiącej gondoli. Widzący był grubo opatulony dla ochrony przed chłodem oraz przed lodowatymi powiewami, które wdzierały się przez pęknięcia w jej powłoce, wykonanej ze skóry i grubego płótna. Głośna praca silników jeszcze potęgowała jego dyskomfort, ale to miała być jego pierwsza wizyta w niektórych spośród Nor, do których ponad dobę wcześniej wysłał zespoły Uvovo-Rzemieślników. Cierpliwie zniesie podróż - istniały gorsze rzeczy.

Dwugodzinny lot pod szarym niebem zajął resztę poranka, aż w końcu, kierując się mapą narysowaną przez zwiadowców Uvovo, pilot sprowadził *Hara* na zarośnięty krzakami grzbiet na pogórzcu gór Savrenki. Chel zlął po drabince sznurowej na ziemię, gdzie powitał go Tremenogir, Uczony zawiadujący zespołem. Potem obaj złapali spuszczone przez Varstranda cumy i uwiązali zeplin pomiędzy parą grubych drzew.

- Jak długo wam tu zająć, panie Słuchacz?! - zawołał z góry Varstrand.
- Niezbyt długo, pilocie Varstrand! - odrzyknął Chel. - Może pół godziny.
- W porządku! Mam książka...

Chel uśmiechnął się szeroko i pomachał mu, po czym odwrócił się, żeby spojrzeć na Tremenogira.

- Zaczynamy, Uczony Tremie.
- To wielka ulga, że do nas przybyłeś, Słuchaczu - powiedział Uczony, schodząc jako pierwszy przeciwległym zboczem grzbietu, a potem wspinając się w górę wąwozu o stromych ścianach. - Nasze odkrycia są zdumiewające.

Chel rozważał, czy nie poprawić Uczonego w kwestii używania tytułu Słuchacza, ale

ponieważ sam nie był do końca pewien, na czym polega różnica, postanowił poczekać do czasu, aż zyska tę wiedzę.

Głazy, krzaki oraz powykręcane ze starości drzewa wypełniały wąwóz wyżłobiony w zboczu wzgórza na przestrzeni lat przez potok, który, pluskając i chlupocząc, spływał po spękanej skalnej ścianie u krańca parowu, gdzie po jednej stronie piętrzyły się jeden na drugim cztery olbrzymie głazy. Schodki z płaskich kamieni wiodły w górę, na przedostatni z nich i w stronę ciemnej pustej przestrzeni w miejscu, gdzie trzeci kawał skały opierał się o zarośnięte poszyciem zbocze wąwozu. Chel wkroczył za Uczonym Tremem w głąb tego przejścia, które po kilku krokach stało się niskim, wąskim, krętym korytarzem, ewidentnie wydrążonym w pochyłym gładzie.

Korytarz stał się szerszy, przy czym jego podparte deskami ściany wykazywały liczne ślady niedawno dokonanych napraw. Korzenie *ulby* oraz uwiązane chrząszcze *ineka* rzuciły niebiesko-zieloną poświatę, wystarczająco silną, by dało się widzieć wokół siebie, gdy kontynuowali wędrówkę w głąb zbocza.

- A więc, Uczony Tremie, wracając do waszych odkryć - odezwał się Chel, gdy szli. - Co czyni je tak zdumiewającymi?

- Nieoczekiwane pojawiające się w ślad za oczekiwanym, Słuchaczu - odparł Trem, gdy wkraczali do małego, ciemnego pomieszczenia, gdzie przy stole siedziało trzech młodych Uvovo, pisząc zawzięcie przy blasku świeczki. Wstali pośpiesznie i uklonili się.

- Moi asystenci, Jont, Flir i Kamm; to Jont dosłownie wpadł na nasze odkrycie. Ale najpierw pokażę korzeniowy dom.

Uczony poprowadził Chela przez drzwi wiodące w prawo, a potem kamiennymi schodami w dół, w zimną głębię. Świeące pokrywy skrzydłowe nielicznych chrząszczy *ineka* były jarzącymi się punkcikami w atramentowej ciemności. Wkrótce dotarli do niskiego, łukowatego wejścia, przed którym Trem zatrzymał się na chwilę, z sakiewki u pasa wyjął kaganek sporządzony z muszli i zapalił go za pomocą ludzkiej zapałki, po czym ruszył dalej. Powietrze było suche i stęchłe, niczym słaba emanacja starożytnego rozkładu. Korytarz liczył jakiś tuzin kroków długości i był pełen dziur oraz rowków w miejscach, gdzie rozrastające się rośliny nadźarły kamień. Większość roślinności została stąd usunięta, poza jednym grubym, szorstkim korzeniem, który przebił ścianę, a potem, wijąc się, dotarł aż na przeciwległy kraniec przejścia. I była to zaledwie skromna zapowiedź tego, co Chel ujrzał, kiedy już wkroczyli do korzeniowego domu, a Trem uniósł kaganek.

Splątane, wijące się i zasupłane sieci korzeni wypełniały wysoką, kolistą komorę, która rozciągała się przed nimi. Poprzez ich sploty Chel ujrzał niewyraźne zarysy płaskorzeźb na

ścianach, pogrzebane pod oblepiającym je brudem, z wyjątkiem jednego masywnego odłamu skalnego, który runął i teraz leżał pod kątem po przeciwnej stronie komory, oplątany korzeniami. Widzący zobaczył też, że z kolistego pomieszczenia prowadzą na zewnątrz inne korytarze, łącznie dziesięć lub dwanaście.

- Kazałem, żeby Flir i Kamm usunęli część korzeni z posadzki - powiedział Trem. - Miejsca jest dość, żeby dało się przepełnić do jednej z galerii obmywających. - Pochylił się i wskazał ręką. - Do tamtej.

Gdy pełzli pod masą splątanych korzeni, niekiedy zahaczając ubraniami o zdrewniałe wypustki, Chel rozmyślał o wszystkim, co Słuchacz Weynl mówił mu o Norach. Zostały zbudowane na długo przed Wojną Długiej Nocy, by silniej zogniskować moce Segrany-która-byla, tej Segrany, której uścisk obejmował kiedyś zarówno planetę, jak i księżyc. Każda Nora, jak powiedział Weynl, stanowiła punkt, gdzie spotykały się setki korzeni, a w przypadku większych Nor tysiące. Wykorzystując substancje odżywcze i balsamy dostarczane przez niektóre spośród najbardziej wyspecjalizowanych roślin Segrany, można było kontrolować rozrost oraz zasięg jej puszczy i dżungli; nie koniec na tym, również jej sroższe moce mogły podlegać kanalizowaniu, intensyfikacji i, w razie potrzeby, być wyzwalane w gniewie. Pilne zadanie Uvovo-Rzemieślników polegało na tym, żeby odkryć, czy z tamtych czasów zachowało się cokolwiek użytecznego, w każdym razie w tych Norach, które znajdowały się w bezpośredniej bliskości osad.

Przeszedłszy kilka kroków w głąb galeryjki obmywającej, mogli już wstać i obejrzeć to, co z niej zostało. Patrząc na szare, pokryte grubą warstwą kurzu pozostałości rur i kanałów w ścianach, Chel był w stanie prześledzić, jak korzenie wrastały tutaj z góry i biegły w dół, przez jedną lub więcej kamiennych mis, skąd chłoneły specjalne płyny. Obecnie większą część galerii wypełniała bezładna plątana - szare korzonki, szary kurz, szare pajęczyny.

- Wszystko to zostało porzucone bardzo dawno temu - powiedział Chel. - I budzi we mnie nie tyle zdumienie, ile niejaki smutek.

Trem kiwnął głową.

- Moje odczucia były podobne, dopóki Jont nie natrafił na coś ciekawszego w innej galerii.

Kilka chwil później, w obramowanym korzeniami wejściu do tamtej galeryjki, stali nad prostokątnym otworem w posadzce.

- Kiedy usuwali martwe korzenie i zasuszone śmieci, Jont potknął się i upadł na kolana dokładnie w tym miejscu. - Trem przykucnął obok otworu. - Przegniłe deski zarwały się pod nim i spadły w ciemność, gdyby nie uchwycił się krawędzi i nie wylazł z powrotem na górę.

W słabej poświacie jego kaganka widać było wąski ciąg schodów. Zeszli po nich, Trem przodem. Chel natychmiast wywęszył coś, co pachniało inaczej niż korzeniowy dom: ślad wilgoci, zapach drewna, potem gryząca woń pleśni. Coś rosło tam w dole.

Schody skończyły się w małej wnęce nieco w bok od głównego korytarza, ale przejście blokowała wielka rura. Nie, nie rura, uświadomił sobie Chel, gdy Trem zbliżył się do tego czegoś z kagankiem, tylko olbrzymi korzeń. Idąc w ślady Uczzonego, Widzący schylił się, by przejść pod spodem, po czym ujrzał korytarz o wysokich ścianach, dość podobny do galerii położonych wyżej, tyle że tutaj korzenie były wielkie i żywe - niektóre cebulastego kształtu, inne rozwidłone. Z niektórych wyrastały siatki bladych, cieniutkich korzonków, które rozprzestrzeniały się po ścianach, zakrywając nikłe, przypominające labirynt ślady po wcześniejszych takich siatkach. I tam, w cichym podziemnym półmroku, Chel usłyszał odgłos kropeł spadających z wysoka na korzenie albo lądujących z chlupotem w małych kałużach. Kusilo go, żeby ściągnąć opaskę z czoła i spojrzeć choć jedną parą swoich nowych oczu na to wszystko, ale jego percepcje wciąż jeszcze pozostawały nieprzewidywalne, więc uznał, że może lepiej będzie to zrobić przy innej okazji.

- Tak, Uczony Tremie - powiedział. - Zdumiewające to odpowiednie słowo.

- Tysiące lat - rzekł Trem. - Tysiące zim i wiosen, a to wszystko nadal funkcjonuje; gdybyśmy przynieśli więcej lamp, zobaczyłbyś korzenie *fenfinil* w miejscach, gdzie przechodzą przez otwory w sklepieniu, a potem przepychają się przez kołnierze tnące, które uwalniają z nich żywicę i dostarczają ją do rur. Owszem, wszędzie jest pełno pleśni i mchu, ale nie aż tyle, żeby zablokować przepływ.

- No więc, Uczony Tremie, skoro korzeniowy dom jest nad nami, co to za miejsce?

Trem uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Mogę pokusić się jedynie o ostrożną hipotezę, Słuchaczu, że może to być jakiś nadrzędny system regulacyjny, na który natrafiliśmy zupełnym przypadkiem. Ale jeśli w pozostałych Norach również znajduje się coś podobnego, być może będziemy musieli się jeszcze raz zastanowić, do czego służy.

Gdybym tylko dowiedział się o tym przed opuszczeniem Hammergardu, pomyślał Chel. Ale Weynl i pozostali Słuchacze zakazali korzystania z radiostacji, by uniknąć zdradzenia pozycji przez sygnały, które łatwo można było wykryć z orbity. Tak więc cała komunikacja odbywała się przez kurierów, czy to podróżujących pieszo, czy małymi sterowcami. I to właśnie musiał zrobić teraz Chel - polecieć zeplinem Varstranda z powrotem do Waonwiru, zamiast podążać dalej do kolejnej Nory. Trzeba było poinformować pozostałych Słuchaczy, a później rozesłać wystarczająco wielu posłańców, żeby odkryć, czy w innych miejscach też

istnieją podobne galerie.

Wyjaśnił to wszystko Tremowi, który potaknął.

- To rozsądne podejście, Słuchaczu - powiedział. - Czy pragniesz, aby któryś z moich asystentów, bądź wszyscy, wrócili razem z tobą i pomagali ci, na ile będą w stanie?

- Nie, Uczony Tremie; potrzebuję, abyście wszyscy pilnie pracowali tutaj. Jeśli wasza Nora okaże się jedyną, w której znajduje się taka galeria, będziemy musieli dowiedzieć się na jej temat, ile tylko się da, tak szybko, jak to możliwe.

- Natychmiast wyślę ich z powrotem do pracy - odpowiedział Trem.

- Doskonale. Teraz wrócę do mojego zeplina i wyruszę z powrotem na Waonwir. Musimy korzystać z szybko poruszających się powietrznych pojazdów Ludzi, póki jeszcze mamy tę możliwość.

- Czy Pozbawieni Snów są bliscy przejęcia władzy? - spytał Trem, idący przodem, gdy wspinali się z powrotem do korzeniowego domu.

- Jeszcze nie - odparł Chel. - Emisariusz Brolturan został zabity w zamachu krótko po tym, jak wylądował w Porcie Gagarina, co Brolturanie wykorzystali następnie jako powód, żeby zacząć ściągać na dół oddziały wojska ze swojego olbrzymiego okrętu wojennego, oficjalnie po to, by chronić wysłannika Hegemonii. Jednakże prezydent Ludzi jakimś sposobem nakłonił ich, by wycofali te siły, a równocześnie pozyskał ludzkich żołnierzy z ziemskiego okrętu.

- Ten Człowiek, Sundstrom, jest nadzwyczaj przebiegły - powiedział Trem, pomagając Chelowi wyjść z otworu w podłodze. - Słyszałem, jak niektórzy spośród Słuchaczy wyrażali się o nim bardzo pochlebnie.

- Przebiegłość może nie wystarczyć - odrzekł Chel. - Mówiono mi, że Pozbawieni Snów są wśród Brolturan równie powszechni jak wśród mieszkańców Hegemonii. Obawiam się, że pytanie nie brzmi, „czy” sięgną, by sobie wziąć to, czego chcą, tylko „kiedy”.

- Obawiam się, że możesz mieć rację - zgodził się Trem. - Aha, od czasu naszego przybycia tutaj wykonaliśmy kilka szkiców korzeniowego domu oraz galerii. Czy chcesz je teraz zabrać ze sobą?

- Byłoby to nadzwyczaj użyteczne, Uczony, dziękuję. - Dotarli już do wąskiego korytarza prowadzącego ku wyjściu. - Czy mam wam posłać przez następnego kuriera więcej papieru?

- Więcej papieru i więcej koców - odparł Trem, gdy wyszli na światło słoneczne, mrugając. - Zimno czające się w tych lochach liczy sobie całe wieki i mam wrażenie, że zapoznając się z nim zdecydowanie zbyt blisko!

Brudni, spoceni, umazani ziemią i smarem, zmęczeni i obolali, Teo, Rory i bracia Firmanow wkroczyli chwiejnie do staromodnego portowego pubu zwanego „Pod Dzwonkiem i Kotem”. Na zewnątrz światło słońca migotało na bruku zmoczonym przez przelotny deszcz; wewnątrz knajpki było równie ciemne i zadymione jak wieczorami, choć może nie aż tak zatłoczone. W czasie gdy Aleksiej Firmanow poszedł kupić pierwszą kolejkę, pozostali wyszukali wolny stolik oraz kilka stołków, i chwilę później Teo już gasił pragnienie solidnym łykiem *ale* „Golden Lever”.

Przełykając, westchnął.

- Przysięgam, że jeszcze nigdy mi tak nie smakowało.

- *Aye*, majorze, pełna racja. - Rory już uporał się z połową swojej pinty. - Myślem, żeśmy na to zasłużyli, i jeszcze na dolewke!

Nikołaj energicznie przytaknął, po czym zapalił fajkę i, uśmiechając się szeroko wokół ustnika, przypomniał im, jak to leśna *baro* zeżarła Macleanowi drugie śniadanie, a później ciekawska małpka *ginibo* ukradła mu czapkę. Teo śmiał się razem ze wszystkimi, czując tę mieszaną koleżeństwa i dumy zarezerwowaną dla oficerów, których łączy z podwładnymi głęboki poziom zaufania. Jednakże Charakterni nie byli formalną jednostką wojskową, co czyniło ich zaufanie - a przez to i jego odpowiedzialność - o wiele trudniejszą sprawą.

Ja, wykonaliśmy dziś kawał dobrej roboty, pomyślał. Udało się nam ponownie przenieść zawartość wszystkich skrytek i upchnąć całą broń w kilku bardzo mało uczęszczanych miejscach, dokładnie tak, jak chciał Sundstrom. Ale co będzie teraz, po tym, jak broturańskie oddziały się wyniosły? Czy żołnierze piechoty kosmicznej Ziemosfery zaczną patrolować ulice wspólnie z OKD?

Jeżdżąc z miejsca na miejsce przez cały ranek i większość popołudnia, słuchał nadawanych przez radio serwisów informacyjnych oraz komentarzy. Konsensus opinii, zarówno wśród gadających głów w studiach, jak i dzwoniących słuchaczy, wydawał się optymistyczny, lecz Teo miał wrażenie, że wyczuwa w tych wypowiedziach cień strachu, chyba wręcz niechęć do rozważania jakichkolwiek czarnych scenariuszy. Inna sprawa, że być może osób dzwoniących do studia, żeby wygłosić takie opinie, po prostu nie puszczano na antenę.

No cóż, bez względu na to, jaki obrót ostatecznie przybiorą sprawy, przynajmniej

chwilowo mógł odpoczywać w towarzystwie dobrych przyjaciół. Reszta Charakternych właśnie oddawała pożyczone ciężarówki i vany albo kierowała się z powrotem do domów i rodzin w Porcie Gagarina, Wysokim Lochiel oraz miasteczkach leżących dalej na wschód, jak Łajka czy Rannoch. Rozglądając się po pubie, Karlsson napotkał wzrok siedzącego przy kontuarze siwowąsęgo mężczyzny w kapeluszu z wystrzępionym rondem i wymienili przyjazne skinienia głową. To był kłusownik Zargow, niereformowalny kawał drania - zaledwie jeden spośród kilkorga innych znajomych, z którymi Teo pijał w dawnych czasach i których teraz rozpoznawał. Nick Sprężyna, chytry i cierpliwy traper, który pewnego razu pił z Wiktorem Ingramem z takim skutkiem, że Wiktor skończył pod stołem; Szwedzki Harry, tropiciel z Trondu; Nadine Złota Rączka z bandolierem pełnym narzędzi do precyzyjnej obróbki metalu; a w stronę ich stolika, ciągnąc za sobą łysiejącego Ziemianina, zmierzał właśnie ojciec Josef Terechow, powszechnie szanowany kapitan trawlera.

- Teo, *gospodin* - powiedział Terechow, którego groźne spojrzenie wydawało się jeszcze groźniejsze dzięki okazałej krzaczastej brodzie i wąsom.

- Josef - odparł Karlsson. - Świetnie wyglądasz. Masz chęć się do nas dosiąść?

- Miło z twojej strony, że zapraszasz, przyjacielu, ale podszedłem tylko po to, żeby przekazać tego delikwenta w wasze ręce, dzięki czemu nie będzie zadreślał reszty tu obecnych pytaniami o was!

Groźne spojrzenie Terechowa złagodniało, a nieznaczna zmiana w jego brodzie wskazywała, że kapitan być może uśmiecha się pod nią.

- Dziękuję, Josefie - odrzekł Teo. - *Spasiba balszoje!* Zajmę się naszym gościem i odpowiem na jego pytania.

Terechow kiwnął głową, uniósł dłoń i wrócił do swojego stolika. Teo odwrócił się do nowo przybyłego, młodzieńca o rzednących włosach i nerwowym sposobie bycia.

- Proszę sobie wziąć stołek i dosiąść się do nas, panie...

- Och, ee... Macrae, Barney Macrae.

Gdy Teo pokrótce przedstawiał siedzących przy stole i wymieniano uściski dłoni, Rory zmarszczył brwi, wpatrując się w innoświatowca.

- Macrae to dobre szkockie nazwisko, ale wy mówita jak... jak ich tam zwał? Amerykanin, o.

Macrae kiwnął głową.

- Tak, proszę pana, zgadza się. Jeden z moich odległych przodków wyemigrował ze Szkocji, w dziewiętnastym wieku, jak mi się zdaje. Moja gałąź rodziny wywodzi się z Bostonu w ESA...

Rory miał właśnie zadać kolejne pytanie, ale Teo go uprzedził.

- No, Barney, ojciec Terechow powiedział, że pytałeś o mnie, więc co mogę dla ciebie zrobić?

- W porządku, w pierwszej kolejności powinien pan wiedzieć, że jestem reporterem, wolnym strzelcem z legitymacją Starstreamu...

Rory prychnął.

- Tej bandy.

Macrae wzruszył ramionami.

- Wiem, co pewnie sobie myślicie, ale legitymacja Starstreamu była jedynym sposobem, żeby otrzymać zlecenie, które zaoferowała mi prestiżowa korporacja sieciowa specjalizująca się w edumediach...

- Barney - odezwał się Teo. - Jeśli wolno mi spytać: czy masz w głowie implant SI?

Macrae posłał mu ostrożny uśmiech.

- Nie, panie Karlsson; owszem, w domu, w Bostonie mam SI funkcjonującą jako posłaniec, ale rdzeń jej kodu został napisany przez miejscowego niezależnego programistę... - Widząc, że obecni gapią się na niego, nie rozumiejąc, wzruszył ramionami i kontynuował: - W każdym razie odpowiedź brzmi: zdecydowanie nie, moje myśli są moją wyłączną własnością.

- A zatem, Barney, czego od nas chcesz?

Macrae zamilkł na chwilę, przygryzł dolną wargę, po czym pochylił się i wymruczał:

- Mam nagranie zamachu na brolturańskiego ambasadora.

Przy ich stoliku zapanowała pełna oszołomienia cisza, podczas gdy naokoło rozbrzmiewał gwar zazwyczaj panujący „Pod Dzwonkiem i Kotem”.

- Czy masz je ze sobą? - spytał Teo, nagle spięty.

Macrae kiwnął głową i poklepał przód kurtki.

- A w jaki sposób je uzyskałeś?

- Nawiązałem wcześniej znajomość z dziewczyną należącą do oddziału strzegącego wysłannika Hegemonii... to znaczy, poznałem ją, zanim jej oddział odkomenderowano do strzeżenia go... i przekonałem ją, żeby nosiła na swoim mundurze okoralik.

- Co to takiego? - spytał Rory.

- Małeńka kamera wideo, mniejsza niż główka od szpilki - odparł Macrae. - Kazałem mojej znajomej przyczepić ją na ramieniu kurtki. Ale po ataku Brolturanie zatrzymali waszych żołnierzy, żeby ich przesłuchać, a ona była wśród tych, których wypuszczono jako ostatnich. Dostałem okoralik z powrotem dopiero dziś rano, a kiedy zobaczyłem, co na nim

jest, wiedziałem, że nie mogę tego tak po prostu zostawić. - Zaczął sięgać do wewnętrznej kieszeni kurtki. - Mogę panu puścić to nagranie, jeśli pan chce...

Teo potrząsnął głową i położył dłoń na łokciu Macraego, powstrzymując go, po czym zerknął na Nikołaja.

- Poproś przy barze o klucz od jednej z sal bilardowych na górze.

Pięć minut później wszyscy stali wokół stołu bilardowego, patrząc, jak Barney majstruje przy małym urządzeniu wielkości notesu, o pozbawionej ozdób czy napisów obudowie z beżowego plastiku, które stało oparte o bandę. Potem płaska powierzchnia urządzenia nagle ożyła, wyświetlając pozbawiony dźwięku film - plecy żołnierza OKD maszerującego szerokim korytarzem udekorowanym neonami reklamowymi, gdzieś w Porcie Gagarina, jak odgadł Teo. Procesja wkroczyła do poczekalni, a gdy darieńscy żołnierze ustawili się w szeregu za górującymi nad nimi Sendrukanami, kamera ukazała ambasadora Ziemosfery oraz jego asystentów, wysokie ściany i galeryjkę widokową, jak również przeszkloną klatkę schodową, z której zwykle wychodzili podróżni. Potem, gdy obraz znów przesunął się na Wysokiego Obserwatora Kurosa i jego delegację, Macrae zatrzymał nagranie za pomocą czarnego, przypominającego długopis pilota.

- Widzicie tych tutaj? - Wskazał grupę ciemnoniebieskich postaci, z których każda stała z górnymi rękami splecionymi na piersi, a dolnymi opuszczonymi luźno. - To gwardia przyboczna Kurosa, czterech komandosów Ezgara. To właśnie zobaczyła Lena, kiedy weszła do poczekalni, czterech Ezgarów.

Odtwarzanie zostało wznowione i zdarzenia rozegrały się dokładnie tak, jak opisywano to w mediach. Brołturanie wyłonili się z szeroko otwartych podwójnych drzwi będących wyjściem z poczekalni. Dwóch chorążych otwierało pochód, za nimi zaś postępowało czterech gwardzistów i sześciu urzędników, otaczających z obu stron samego Reskothyra, przyodzianego w czarny, sięgający kolan płaszcz o surowym kroju: jego głowa była odsłonięta i ogolona do skóry, a ręce skryte w czarnych, lśniących rękawicach. Procesja zatrzymała się, poza chorążymi, którzy nadal szli do przodu - jeden zaniósł swój sztandar do wysłannika Hegemonii, drugi zaś do ambasadora Ziemosfery. W momencie, gdy dwaj dyplomaci skłonili się przed sztandarami, które przed nimi postawiono, niewidoczni zamachowcy otworzyli ogień.

Pierwsza seria ścięła członków świty Reskothyra po lewej. Zabrzmiały krzyki i gwardziści Reskothyra odciągnęli go w prawo. Ambasador Ziemosfery oraz jego współpracownik wycofali się w stronę foteli, a Ezgarowie oraz żołnierze OKD zaczęli odpowiadać ogniem w stronę obudowanej ciemnym szkłem galerii wychodzącej na

poczekalnię. Jednakże jeden z żołnierzy OKD odłączył się od pozostałych i skierował w prawo, wzdłuż ściany, celując ze swej broni nie w galerię, ale w Reskothyra. Potem zaczął strzelać seriami, które ściły Reskothyra oraz współpracownika ambasadora Ziemi sfery, jak również jednego z chorążych, który zaszarżował, trzymając swój sztandar niczym włócznię. Upadł w deszczu krwi, z odstrzeloną ręką. Potem zamachowiec zastrzelił jeszcze kilka innych osób, a na koniec popędził w stronę drzwi w rogu, ale jeden z Ezgarów cisnął za nim granat. Kiedy nastąpił wybuch, już i tak chwiejny obraz zakołysał się szaleńczo, przez mgnienie ukazując, jak inni żołnierze OKD padają, kryjąc się gdzie kto mógł. Następnie kamera znów się okręciła, rozmazując nagranie, i pokazała chmury pyłu tudzież dymu wiszące nad pobojowiskiem, zrujnowaną ścianę, kawałki gruzu rozrzucone na dużej przestrzeni oraz nieruchome ciała ofiar. Członkowie świty Reskothyra poruszali się chwiejnie w szarej mgle; jedni krzyčeli do swoich komunikatorów, inni płakali, wszystko w absolutnej ciszy. Potem Macrae ponownie zatrzymał odtwarzanie.

- W porządku, moi drodzy: ilu komandosów Ezgara widzicie?

W momencie, gdy zadał to pytanie, Teo zrozumiał. I rzeczywiście, po policzeniu charakterystycznych sylwetek w niebieskich zbrojach okazało się, że jest ich pięć.

- Piąty Ezgara nie wszedł przez drzwi do hali - powiedział Macrae. - W świetle Reskothyra nie było Ezgarów, a tamte boczne drzwi prowadzą do magazynu, z którego nie ma żadnego innego wyjścia.

- Powiadasz, że zamachowiec rzucił się do pomieszczenia za tamtymi drzwiami, przeżył wybuch granatu, a potem przebrał się w strój Ezgary? - zapytał Teo.

- Jasne, czemu nie? - odparł Macrae. - Mogli skombinować tymczasową tarczę energetyczną, za którą schował się zamachowiec, a do tego jeden z tych pancerzy bojowych, które noszą Ezgarowie. I owszem, wiem, że podobno w tym zniszczonym magazynku znaleziono ciało żołnierza OKD, ale co z tego? Ludzie Kurosa praktycznie uniemożliwili komukolwiek z zewnątrz wstęp do tej poczekalni więcej niż godzinę przed tym, jak wylądował wahadłowiec Reskothyra.

- Ale dlaczego? - zapytał Nikołaj. - Dla mnie to nie ma zupełnie sensu. Przez noc wycofali swoje oddziały, więc po co było to wszystko?

Macrae zaśmiał się z triumfem.

- Hegemonia kocha wielkie, proste przedstawienia: uwielbiają urządzać teatr, i z tym właśnie mieliśmy do czynienia. Wydaje mi się, że słyszałem, jakoby mieli udostępnić publicznie własne nagranie z zamachu, czyż nie tak?

- Zdaje się, że owszem - odrzekł Teo. - Pytanie brzmi, po co przyniósł pan ten materiał

do mnie?

- Bo wasz prezydent musi to zobaczyć! - odparł Macrae. - Oglądałem jego konferencję prasową zeszłej nocy i od razu się zorientowałem, że musiał genialnie podejść Horsta oraz Kurosa. Niezły gość, ten Sundstrom.

Teo się uśmiechnął.

- Zgadza się, Barney, ale to nie on powinien zobaczyć to nagranie jako pierwszy.

- Więc kto... chyba nie ma pan na myśli...

- Ależ tak, Horst! Przeciagniemy go na naszą stronę, a być może będziemy mieli szansę zobaczyć, jak ten ich wielki okręt wojenny odlatuje.

- Nie wiem. - Macrae się zawahał. - Horst... on jest dosyć konserwatywny, obiema rękami popiera Hegemonię i sojusz.

- Dlatego musimy mu powiedzieć, że kopie tego nagrania znajdują się już w rękach Sundstroma oraz krążą po kolonii. - Teo uśmiechnął się szeroko. - Więc jeśli chce uniknąć powszechnego oburzenia i skandalu dyplomatycznego w jednym, o którym natychmiast zaczną trąbić wszyscy reporterzy, będzie musiał nakłonić Kurosa i jego brolturańskich pupili, żeby odesłali swoją łódkę pokoju do domu.

- Brzmi obłądnie - stwierdził Macrae. - Ale może się udać. Więc jak dostarczymy to nagranie Horstowi w najkrótszym możliwym czasie?

- Tak się składa, że wiem dokładnie, gdzie ambasador w tej chwili przebywa - odparł Teo. - Przy wodospadach Gangradur na południowym brzegu Loch Morwen... a ściślej, w pensjonacie „Piękno Mgieł”, skąd roztacza się widok na nie. Wiem, że zwiedzał lokalne łowisko oraz Przesłonięte Jaskinie i że ma tam spędzić noc, co daje nam idealną sposobność. Dzięki temu, że pełnię funkcję doradcy prezydenta, mogę się tam dostać, spotkać z Horstem i pokazać mu nagranie Barneya, mając uspokajającą świadomość, że Kuros znajduje się ponad dwadzieścia mil dalej.

- Jak siem tam dostaniemy, szefie? - zapytał Rory. - Pojedziemy drogom wzdłuż wybrzeża?

- Wyczarterujemy zeplin - odparł Teo. - Polecimy nad jeziorem i za godzinę będziemy na miejscu. Co ty na to, Barney?

- Ta historia to świetny materiał na reportaż, panie Karlsson - odrzekł Macrae, wsuwając odtwarzacz z powrotem pod kurtkę. - Prześledzę ją do końca.

Teo popatrzył na pozostałych, a ci zgodnie pokiwali głowami.

- Pod warunkiem, że mój brat weźmie po drodze szybki prysznic - powiedział Aleksiej, wskazując kciukiem Nikolaja, który powąchał go, po czym pomachał dłonią przed nosem.

- Nie ja jeden...

- W zależności od tego, jak długo będziemy musieli czekać, kiedy dotrzemy na Błonia Północno-Wschodnie, może zdążymy się tam trochę doprowadzić do porządku - stwierdził Teo.

Wszyscy wstali i wypili toast za szczęście oraz pomyślne łowy, po czym wyszli. Dojście piechotą na Błonia Północno-Wschodnie zajęło im dziesięć minut, potem spędzili pół godziny w sali wynajmu, przeglądając dostępne loty czarterowe. Otrzymaawszy od dyżurującego pracownika kartę aukcyjną, poszli szukać miejsca postojowego numer osiemnaście i znaleźli dziwny, pudełkowatego kształtu zeplin, pod którym siedział kapitan, krępy Duńczyk imieniem Gunnar. Dokonano transakcji i dziesięć minut później już wznosili się w niebo nad Hammergardem, kierując się na południe. Gdy dachy oraz ulice miasta malały w dole i uciekały wstecz, Teo nagle przypomniał sobie, że zamierzał skontaktować się z siostrą i umówić na wizytę u niej.

- Cholera jasna - wymamrotał, przyrzekając sobie, że zadzwoni do niej, kiedy tylko wróci, do Grega też. Miał wrażenie, że cały ten kryzys odcina go od rodziny, a szczególnie od tych jej członków, na których naprawdę mu zależało. Wiedział jednak, że jakaś część jego osoby świetnie się bawi, a w każdym razie czuje się jak ryba w wodzie w obliczu niebezpieczeństw, ryzyka i konieczności podejmowania szybkich decyzji taktycznych.

Tak długo, dopóki ci, których kocham, nie znajdą się przez to w niebezpieczeństwie, pomyślał. Tylko to się liczy.

Nieco ponad godzinę później zeplin już opadał w stronę niskiej platformy cumowniczej, wygaszając silniki, podczas gdy przednia i tylna cuma były zwijane przez automatyczne wciągarki. Teo zapłacił Gunnarowi za lot oraz za pozostawanie w dyspozycji i wszyscy wysiedli, machając przy tym do obsługi wciągarek. Platforma cumownicza znajdowała się na okolonym krzakami polu, w którego zachodniej części wznosiło się skupisko drzew gwizdzących; słaby wietrzyk rozbrzmiewał w ich dziwnie ukształtowanych liściach chórem niesamowitych świstów. Teren ten należał już do „Piękna Mgieł” i gdy przeszli kawałek wyżwirowaną ścieżką biegnącą pomiędzy drzewami, zobaczyli sam pensjonat: konglomerat okrągłych budyneczków stojących na kolumnach jak na szczydach, usytuowany jakieś piętnaście metrów nad poziomem morza, niedaleko brzegu Loch Morwen. Wydawał się jednakże malutki w porównaniu z gigantyczną skalną iglicą wystającą z wznoszącego się stromo zbocza prowadzącego do wysoko położonej doliny, tak ogromnej, że był to niemal płaskowyż rozpościerający się na tle szarych zarysów potężnych szczytów. Iglica zwęzła się ku dołowi, a jej ściany zaginały się do wewnątrz, tworząc tępy dziób, z którego woda spadała

białą kolumną dwieście czterdzieści metrów w dół, przez obłoki mgły, do spienionego kotła skalnego, z którego spływała krótkim szeregiem wodospadów do Loch Morwen.

Bezustanny ryk Wodogrzmotów Gangradur stał się głośniejszy, gdy podeszli bliżej pensjonatu. Budynek administracyjny „Piękna Mgieł”, gdzie mieściło się główne wejście, wyglądał identycznie jak okrągłe moduły mieszkalne, tylko był większy i usytuowany na poziomie gruntu. W recepcji Teo okazał swoją legitymację rządową i zapytał, którą należy iść do apartamentu ambasadora. Uzyskawszy pozwolenie, zabrał ze sobą Barneya oraz Rory’ego, polecając Firmanowom poczekać w holu na dole. Weszli spiralnymi schodami na dużą krytą platformę, z której rozbiegały się korytarze wiodące do poszczególnych modułów. Siedzący w budce pracownik obsługi w zielonym uniformie wskazał ten, który prowadził do apartamentu Horsta, i kilka minut później stali już przed właściwymi drzwiami. Teo podsunął swoją legitymację pod czujnik gości i drzwi rozsunęły się, wpuszczając ich do niewielkiego, wyłożonego płytkami owalnego holu. Szczupły młody człowiek w ciemnobrązowym garniturze ze stójką podszedł, żeby ich powitać.

- Majorze Karlsson - powiedział zaskakująco niskim głosem. - Nazywam się Carolian, jestem sekretarzem ambasadora Horsta. Z recepcji przekazano wiadomość, że chce pan porozmawiać z ambasadorem w pilnej sprawie.

- Zgadza się - odrzekł Teo. - Chodzi o wydarzenia, do których doszło wczoraj w Porcie Gagarina.

- Rozumiem. - Mężczyzna nazwiskiem Carolian wyjął mały szary ekranik i przypatrywał mu się przez chwilę. - Nasze czujniki mówią, że nikt z panów nie jest uzbrojony, ale jeden z was ma ze sobą jakiś cyfrowy nośnik danych.

Teo położył dłoń na ramieniu Barneya.

- Mój współpracownik, pan Macrae, ma ze sobą urządzenie zawierające nowe informacje na temat ataku; prezydent pragnie, aby ambasador jak najszybciej się z nimi zapoznał.

- Dobrze, sprawdzę, czy ambasador jest gotów panów przyjąć.

Carolian wyszedł bocznymi drzwiami, a chwilę później zjawił się ponownie, żeby zaprosić ich do środka. Teo wszedł pierwszy; sekretarz zaprowadził go do jasno oświetlonej kuchni, gdzie ambasador siedział przy stole, grając w szachy z duchem.

- To hologram - wymamrotał Macrae. - Ponoć jego nieżyjąca córka...

Przejrzysta postać była podobizną atrakcyjnej dziewczyny o długich jasnych włosach, ubranej w wielobarwną kwaciastą tunikę oraz wzorzyste niebieskie spodnie. Teo znał tę historię z mediów oraz informacji dostarczonych przez Piatkova; było tam napisane, że córka

Horsta zginęła przed kilku laty, lecz jej widok sprawił, że Karlssonowi zjeżyły się włoski na karku.

- Witam panów - powiedział Horst, wstając, by znaleźć się twarzą w twarz z Teo. Miał na sobie sięgający łydek szlafrok z jakiejś oliwkowozielonej tkaniny, luźno przewiązany żółtą szarfą. - Major Karlsson, zgadza się? Doradca prezydenta...

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Uchwyt Horsta był mocny, suchy i pozbawiony drżenia, lecz Teo mimo to odniósł wrażenie, że człowiek ten ma jakąś ukrytą słabość.

- Dziękuję, że zgodził się pan z nami spotkać, ambasadorze. Oto moi współpracownicy, pan Macrae i pan McGrain.

Więcej ściskania dłoni. Na dźwięk swojego nazwiska Rory zamrugał; oczy miał szeroko otwarte, a jego spojrzenie co chwila przemykało od ambasadora do mglistego hologramu i z powrotem. Opanuj się, Rory, pomyślał Teo. Nie przynieś mi wstydu, chłopcze.

- A to moja córka, Rosa.

Holograficzna dziewczyna uśmiechnęła się do trzech mężczyzn, którzy uklonili się jej krótko i nerwowo. Teo zerknął na Macraego, ale ten wydawał się nieporuszony, więc Karlsson też spróbował udawać, że jej widok nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

- A więc, majorze - kontynuował Horst - ma pan więcej informacji na temat strasznych wydarzeń, do których doszło wczoraj, i informacje te są tak ważne, że nie mogły poczekać, aż wrócę do Hammergeardu.

- Zgadza się, proszę pana: mamy nagranie tego, co się stało.

Przez twarz Horsta przebiegł niepokój.

- Nagranie? Czy dostaliście je od Brolturan?

Teo pokręcił głową.

- Z innego źródła, ambasadorze. Czy możemy je panu pokazać?

Ambasador milczał przez moment; jego oczy przelotnie spojrzały w bok, ale potem westchnął i kiwnął głową.

- Dobrze, majorze. Czy potrzebny będzie panom jakiś sprzęt?

Teo odwrócił się do Barneya, który miał już w ręku swój odtwarzacz.

- Ee, czy mógłbym skorzystać z widekranu pana ambasadora?

- Oczywiście - odrzekł Horst.

Macrae wyjął zwój cieniutkiego kabla, podpiął odtwarzacz do widekranu, pomajstrował przy kontrolkach tego ostatniego i chwilę później był gotów. Jednakże Horst poprosił go o zaczekanie, bo właśnie rozmawiał z hologramem.

- Przepraszam, Roso, kochanie, mam teraz pilną sprawę. Czy możemy wrócić do tej

partii później?

- Oczywiście, tato. Będę pamiętać, gdzie stały wszystkie figury.

Gdy wymruczane zostały czułe słowa pożegnania, Teo wymienił skonsternowane spojrzenia z Barneyem i Rorym. Potem hologram zgasł, a Horst wsunął płaski, ośmiokątny gadżet do kieszeni szlafroka, złożył i odstawił szachownicę, po czym odwrócił się z powrotem do przybyłych.

- Proszę kontynuować.

Barney wycelował cienkim czarnym pilotem w urządzenie i pozbawione dźwięku nagranie znowu zaczęło się odtwarzać. Macrae zatrzymał je w tych samych miejscach co poprzednio, pokazując liczbę komandosów Ezgara przed i po zamachu. Kiedy nagranie dobiegło końca, Horst siedział bez ruchu. Wydawał się oszołomiony, wręcz lekko skurczony w luźnych fałdach swojego szlafroka. Potem jednak uciekł spojrzeniem w bok, marszcząc czoło. Poruszał wargami i kręcił głową, jakby prowadził prywatną rozmowę...

Jego implant SI, uświadomił sobie Teo. To jego słucha...

- Ambasadorze... - zaczął.

- Ach tak, majorze, tak... - Horst ucisnął kciukiem i palcem wskazującym nasadę nosa, mrużąc oczy, jakby czuł dyskomfort. - Jak dalece ma pan pewność, że te informacje są autentyczne?

- Uzyskał je mój kolega, pan Macrae. - Zachęcony przez Teo, Barney opowiedział ambasadorowi, jak oraz dlaczego doszło do sporządzenia nagrania. Gdy jego relacja dobiegła końca, twarz Horsta była zmęczona, lecz posępna.

- To niezmiernie poważna sprawa - powiedział. - Pierwszy byłbym gotów przyznać, że metody, jakie w przeszłości stosowała Hegemonia, dążąc do swoich celów, niejednokrotnie budziły wątpliwości, ale zrobić coś takiego, i to swojemu najbliższemu sojusznikowi?

- Wygląda to jak uzasadnienie dla interwencji wojska - stwierdził Teo. - Ale, o dziwo, powstrzymali się od radykalnych kroków.

- Kolonia Darien byłaby teraz w stanie wrzenia, gdyby Sundstrom nas nie wywiódł w pole, sprawiając, że źle wypadlibyśmy w oczach mediów. - Horst spuścił wzrok, wpatrując się w swoje dłonie. - Gdybym wiedział o tym nagraniu, wezwałbym żołnierzy z *Heraklesa* wcześniej i w większej liczbie.

- Czy można to zrobić teraz, ambasadorze? - zapytał Teo.

- Tak, mam w bagażu komzestaw podprzestrzenny... - Horst urwał i spojrzał w bok. - W porządku, Harry, wiem, co robię. - Gdy wstawał z krzesła, z powrotem skierował uwagę na Teo. - Zestaw jest zaraz obok, w schowku; najpierw tylko...

Drzwi otwały się gwałtownie i wpadł sekretarz, Carolian, wyraźnie zdenerwowany.

- Kanał informacyjny, ambasadorze! Mówią o panu...

Horst szybko sięgnął do małej klawiatury widekranu i wcisnął guzik włączający urządzenie. Wyświetlił się kanał informacyjny Darienwave; na wizji znajdowała się jedna z jego stałych prezenterek, Oksana Rugow, a w górnym rogu widniał prostokąt ze zdjęciem Horsta.

- ...powtórzmy zatem dzisiejszą sensacyjną wiadomość: delegacja Brolturan wydała oświadczenie oskarżające ambasadora Ziemosfery, Roberta Horsta, o zaplanowanie i zlecenie ataku terrorystycznego, do którego doszło wczoraj w Porcie Gagarina i którego skutkiem było zamordowanie Diakona-Komodora Reskothyra oraz czterech członków jego świty. W oświadczeniu deklarują, że są w posiadaniu miażdżących dowodów, w tym relacji naocznych świadków oraz zeznań żołnierza OKD, którego ambasador Horst rzekomo próbował zwerbować. Krótko po wydaniu tego oświadczenia wszystkie media otrzymały komunikat nadany przez Ojca-Admirała Dyroszę, dowódcę brolturańskiego okrętu *Puryfikator*. Komunikat ten ogłasza po prostu, że wydano nakaz aresztowania. Wymienia personalia ambasadora i nakazuje, by ten oddał się w ręce jednostek latających, które zostały wysłane, żeby go zatrzymać...

Horst chwiejnie cofnął się od ekranu i opadł na jedno z krzeseł stojących przy stole. Był błądy.

- To niedorzeczne... oburzające! Nie miałem nic wspólnego z...

- Ambasadorze, musi pan uciekać - powiedział Teo. - Czy może pan skontaktować się z *Heraklesem*, żeby przysłali tu po pana wahadłowiec?

- Tak, mogę - odrzekł Horst, wstając. - Przyniosę tu mój komzestaw...

- Przykro mi, ambasadorze - oznajmił Carolian. - Ale pan i pańscy goście będziecie musieli tu pozostać do czasu, aż pojawi się oddział, który ma pana aresztować.

Szczupły sekretarz, opanowany i pewny siebie, trzymał pistolet o dziwnej owalnej lufie, z dwuczęściowym półkolistym kołnierzem po bokach.

- Carolian - odezwał się Horst. - Co ty, u diabła, wyprawiasz?

- Wykonuję rozkazy, proszę pana, co oznacza, że pan będzie musiał słuchać moich.

Wszyscy zamarli. Teo przeklął obłąkańczy pech, który sprawił, że wśród ludzi Horsta znajdował się agent Hegemonii, chociaż przecież należało się tego spodziewać... a potem zdał sobie sprawę, że w pomieszczeniu nie ma Rory'ego. Teraz dostrzegł ruch wzdłuż krótkiego korytarzyka, który łączył kuchnię z sąsiednim pokojem, przypuszczalnie elegancką jadalnią. Carolian jeszcze nie spostrzegł nieobecności Rory'ego, więc należało jakoś odwrócić jego

uwagę.

- Wie pan, tańczy pan na bardzo cienkiej linii - powiedział Teo. - Kapitan *Heraklesa* nie pozwoli na to, a Sundstrom postawi wszystkie jednostki wojska w stan najwyższej gotowości.

- Niech się pan nie wygłupia, majorze - odrzekł Carolian. - *Puryfikator* przewyższa *Heraklesa* siłą ognia mniej więcej dziesięć do jednego; jeśli kapitan Velazquez spróbuje się wtrącić, zaczną do niego strzelać, a potem wy będziecie wyławiać szczątki jego okrętu z oceanu przez kilka najbliższych miesięcy. Gdy zaś chodzi o jakiegokolwiek tutejsze wojsko, jakie ma do dyspozycji Sundstrom... cóż, mogę pana zapewnić, że bynajmniej nie stanowi ono poważniejszego zagrożenia...

I właśnie wtedy Rory lewą ręką rąbnął głowę Caroliana w ścianę, a prawą podbił mu rękę z pistoletem tak, że wystrzał poszedł w sufit. Jaskrawa smuga energii przebiła tynk i belki, z góry posypał się kurz i drzazgi, a Rory wyrwał broń z palców Caroliana, po czym ciosem pięści posłał go na ziemię. Pochylając się nad jęczącym sekretarzem, któremu z nosa ciekła krew, zapytał:

- Czy już czujesz się poważnie zagrożony, koleś?

- Dobra robota, Rory! - pochwalił Teo. - Jak...

- Stałem przy tamtym oknie w rogu, kiedy tu wszedł, zobaczyłem spluwę w jego tylnej kieszeni i myślę sobie, chwila moment, co jest grane, winc kiedy jom wyciungnoł, wziołem i w try miga myknołem furt przez tamte, o, drzwiczki dla kelnerów. Zakradłem się od drugiej strony i dorwałem drania.

- Wyśmienicie. Ty i Barney zwiążcie go. Ambasadorze, wygrzebmy ten pański komzestaw.

Gdy urządzenie zostało wyciągnięte z dużej walizy na kółkach, okazało się, że nie działa. Wskaźnik stanu naładowania baterii pokazywał sto procent, ale sprzęt nie dawał się uruchomić.

- Ale przecież korzystałem z niego dziś rano, żeby odbyć rozmowę z Velazquezem - powiedział Horst.

- Pański sekretarz musiał go zablokować krótko potem - odparł Teo. - Szykował się z wyprzedzeniem; nie mógł wiedzieć, że się tu zjawimy ani co będziemy chcieli panu pokazać.

- Zatem wiedział, że Kuros planuje mnie aresztować - oświadczył powoli Horst, po czym zerknął w bok. - Wyruszyli? Dziękuję, Harry... Majorze, nie jesteśmy tutaj bezpieczni. Brolturanie wkrótce tu przylecą.

- W takim razie potrzebujemy transportu - stwierdził Teo i, starając się nie myśleć o

ambadorskiej SI, wyjął swój kom, żeby zadzwonić do Aleksieja, który razem z bratem nadal czekał na dole przy wejściu.

- Tak, majorze?

- Aleksiej, broturańscy żołnierze są już w drodze tutaj, żeby aresztować ambasadora, więc ty i Nikołaj musicie wrócić do zeplina i powiedzieć Gunnarowi, żeby odcumował, podleciał tutaj i zabrał nas z jednego z budynków; będziemy stali na dachu, machając.

- Już się robi, majorze.

Teo zatrzaskał swój kom i odwrócił się do Horsta.

- Pora iść, panie ambasadorze.

Na zewnątrz kręte schodki prowadziły z balkoniku widokowego w górę, na ogrodzony poręczą taras do opalania na dachu. Widok huczących Wodogrzmotów Gangradur w różowym świetle późnego popołudnia zapierał dech, ale wszyscy patrzyli w przeciwnym kierunku, w stronę łączki cumowniczej pensjonatu oraz widocznej w dalszej odległości migoczącej szarej płaszczyzny Loch Morwen.

Teo zachodził w głowę, gdzie mógłby bezpiecznie ukryć zarówno Horsta, jak i siebie oraz towarzyszy. Potem, gdy cebulasto-pudełkowaty kształt zeplinu Gunnara wzniósł się nad wierzchołki drzew, Karlsson uświadomił sobie, że istnieje jedno miejsce, które byłoby idealne, i wyjął kom, mając nadzieję, że uda mu się dodzwonić.

Greg zmierzał właśnie z powrotem, wysławszy Chela (który niedawno przyleciał zeplinem) z prowiantem na dół do komory studni, kiedy jego kom zadzwieczał. Widząc, kto dzwoni, archeolog uśmiechnął się i prędko odebrał.

- Wujku Teo, dobrze cię słyszeć. Jak się masz?

- Nie najgorzej, chłopcze. Słuchaj, czy mógłbym ci się zwalić na głowę z kilkoma znajomymi tylko na dzisiejszą noc? Wyniesiemy się jutro z samego rana.

- *Aye*, to nie powinno stanowić problemu, wujku. Kiedy możemy się ciebie spodziewać?

- Nadlatujemy zeplinem, więc będziemy u was za jakieś pół godziny. Aha, i nie ma potrzeby nic mówić dyżurnemu ze stacji; nasz pilot spuści nas na ziemię na tej łączce za ruinami. Dzięki wielkie za pomoc, dobry z ciebie chłopak. W porządku, to na razie.

Gdy połączenie zostało zerwane, Greg opuścił kom i zagapił się w przestrzeń, na poły zirytowany, na poły rozbawiony tym, że nie udało mu się wtrącić nawet słowa.

Wuj Teo to doprawdy niezły aparat. A jaki musiał być za młodu!

Gdy dotarł do chatki na terenie wykopalisk, pośpiesznie sprawdził, w jakim stanie jest świetlica, potem zajrzał do magazynu, żeby zobaczyć, jakie pośłania będzie mógł zaoferować. Zatrzymał się też przy swojej własnej chatce, by ocenić, ile pracy będzie musiał nadrobić później, po czym włożył cieplejszą kurtkę i wyszedł z powrotem na dwór.

Idąc niespiesznie przez pogrążone w gęstniejącym mroku ruiny, doszedł do wniosku, że zmierzch jest jego ulubioną porą. Świt bywał wyjątkowy, jeśli było słonecznie i sucho - deszczowy świt przyprawiał Grega o poczucie, że świat ze wszystkimi jego ciężarami jest niechętnie wywlekany na światło dzienne. Zmierzch natomiast wyglądał wspaniale niezależnie od pogody - bez względu na to, czy niebo było czyste, czy zasnuwane chmurami, czy było ciepło i przyjemnie, czy też lało jak z cebra. Kilkakrotnie zdarzyło się, że Greg przebywał na zewnątrz o zachodzie słońca, kiedy z porośniętych gęstym lasem zboczy spłzła mgielka czy mgła, i za każdym razem było to cudownie gotyckie doświadczenie.

Teraz, w dogasającym, niewyraźnym świetle, powierzchownie starożytnych, pokruszonych ścian i kolumn wydawały się ciemne i złowrogie, kamienne mury sprawiały wrażenie coraz bardziej zżartych przez erozję i czas, aż w końcu pochłonęła je noc, przemieniając w czarne, majaczące w ciszy zarysy. Potem, gdy ostatnia isierka słońca zniknęła, pozostawiając tylko

przygasającą poświatę na horyzoncie, Greg usłyszał zbliżający się pomruk silników. Minutę później ujrzał słabą smugę światła wędrującą chwiejnie wzdłuż urwisk rozciągających się na wschód od Ramienia Olbrzyma. Nie upłynęło wiele czasu nim masywny kształt zeplina wyłonił się zza skał wzniesienia, przesywając mrok samotnym reflektorem.

Gdy sterowiec się zniżył, z silnikami mruczącymi na jałowym biegu, Greg podbiegł, machając do siedzącego w oświetlonym kokpicie pilota, który też zamachał w odpowiedzi. Znalazłszy się jakieś trzy metry od ziemi, zeplin zawisł nieruchomo, a z bocznego wjazdu została zrzucona drabinka sznurowa, po której zeszło kilka postaci. W blasku własnej latarki Greg rozpoznał wuja Teo oraz Rory'ego, ale nie pozostałych trzech mężczyzn, z których jeden, jak się zdawało, miał na sobie elegancki szlafrok. Greg podszedł, żeby ich powitać, ale zanim zdążył choćby powiedzieć „dobry wieczór”, Teo już położył mu rękę na ramieniu i poprowadził go z powrotem w stronę chatki.

- Dobrze cię widzieć, chłopcze. Mam nadzieję, że nie poinformowałeś nikogo, że się zjawimy.

Za nimi zeplin nabierał wysokości, skręcając na południe, żeby przelecieć nad grzbietem.

- Nikomu nie powiedziałem ani słowa, wujku. No więc, co jest grane?

W słabym świetle latarki zobaczył, jak pobrużdżoną twarz Teo wykrzywia uśmiech, który matka Grega kiedyś nazwała miną „a do diabła z tym wszystkim” i który zwykle sygnalizował, że szykują się kłopoty.

- Ach, no cóż, to dłuższa historia - stwierdził wuj. - Taka, która zasługuje, żeby ją opowiedzieć przy szklaneczce dobrego trunku.

- Zdaje się, że mam w swoich zapasach butelkę glenmarry...

- Zuch chłopak! Zawsze przygotowany na przyjęcie gości, to mi się podoba.

Jednakże, kiedy dotarli do chatki Grega, czekał tam na niego Poul, jeden ze stażystów.

- Poul, w czym problem?

- Nie jestem pewien, panie Cameron, ale na nasz terminal w chatce przyszła dziwna wiadomość z uniwersytetu, ostrzegająca nas, że ci Brolturanie przyślą tu wojsko, żeby szukać zaginionego ambasadora.

- Co? - zapytał Greg. - Żeby szukać kogo?

Poul wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że Brolturanie oskarżają ziemskiego ambasadora o to, że był wplątany w te wszystkie zamachy bombowe oraz tamtą strzelaninę na lotnisku. W wiadomościach na widzie od popołudnia gadają tylko o tym.

- Aye, no cóż, od rana nie włączałem dziś widu, Poul, miałem za dużo roboty. Słuchaj, dzięki, że mi o tym powiedziałaś. Czy możesz przekazać tę wiadomość pozostałym zespołom, powiedzieć, żeby się przygotowali?

Gdy stażysta odszedł, Greg popatrzył na swojego wuja, a w jego umyśle uformowało się mroczne podejrzenie.

- Jeśli to ma cokolwiek wspólnego z wami - stwierdził - lepiej powiedz mi teraz.

Teo westchnął, po czym przywołał gestem ubranego w szlafrok mężczyznę, który do tej pory trzymał się z tyłu.

- Greg, pozwól, że przedstawię ci ambasadora Ziemi na Darienie, Roberta Horsta. Panie Horst, to jest mój siostrzeniec, Gregory Cameron.

Z bliska Greg rozpoznał siwowłosego mężczyznę z serwisów informacyjnych; ściskając jego dłoń, doznał niejakiego poczucia odrealnienia.

- Ee, panie Horst, to czego chcą od pana Brolturanie?

Ambasador wyglądał na zmęczonego i zaszczutego, ale zdołał się uśmiechnąć.

- Panie Cameron, zapewniam pana, że nie miałem nic wspólnego z tymi morderstwami, do których doszło wczoraj na lotnisku, ani z żadnymi innymi aktami terroryzmu. Byłem tam, widziałem to, sam mogłem zginąć!... - Gniew Horsta przygasł równie nagle, jak zapłonął. - Brolturanie zazwyczaj robią to, co im rozkaże Hegemonia, więc zmuszony jestem przyjąć, że wszystko to sprawka Kurosa. Panie Cameron, muszę poprosić pana oraz majora Karlssona i jego przyjaciół o pomoc do czasu, aż uda mi się skontaktować z kapitanem *Heraklesa*. Nie mam najmniejszej ochoty skończyć w brolturańskiej komorze przesłuchań!

- Greg, ci Brolturanie wkrótce tu będą - powiedział Teo. - Musimy znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę, na przykład tam w puszczy. Czy za tamtym grzbietem są jakieś jaskinie?

- Nie wiem, sądzę, że tak - odrzekł Greg. - Niektórzy spośród uczonych Uvovo mogliby to wiedzieć, ale dotarcie do najbliższej zajęłoby trochę czasu, a poza tym, czy te oddziały nie dysponują jakąś technologią pozwalającą na tropienie w ciemnościach?

Teo skinął głową.

- Na pewno.

Greg przeciągnął dłonią po włosach.

- Dobra. W porządku. W takim razie jest tylko jedno miejsce, gdzie możecie się schronić. Chodźcie za mną.

Gdy już wszyscy znaleźli się w korytarzu wiodącym w głąb góry, powiedział uczonym

Uvovo, Teso i Kolumowi (których wcześniej zbudził), żeby rozmontowali wciągarkę oraz daszek i schowali je w chatce służącej za magazyn. Mieli je następnie zainstalować z powrotem jakąś godzinę po tym, jak już intruzi się wyniosą. Patrząc, jak puste uprząże wznoszą się i znikają w górze, wymamrotał modlitwę o to, żeby jego instrukcje okazały się wystarczająco jasne, następnie zaś odwrócił się, by ocenić sytuację. Każdy z przybyszy dysponował kocem, mieli też torbę wypełnioną takim prowiantem, jaki Greg akurat miał w szafce, jak również kilka ręcznych latarek. Wszystko to powinno zagwarantować, że przez jakiś czas nie będą przesadnie cierpieć z powodu zimna ani głodu.

- Nigdy nie słyszałem o tym miejscu - stwierdził Rory, rozglądając się. - Wy, naukowcy, trzymaliście je w tajemnicy, *aye*?

- Sam dowiedziałem się o jego istnieniu zaledwie parę dni temu, Rory - odrzekł Greg, po czym streścił w skrócie to, co wiedział na temat komory, pomijając jednak informację, że została zbudowana jako broń. Nie wspomniał też ani słowem o starożytnym, inteligentnym strażniku, nie chcąc wzbudzić przerażenia albo jeszcze gorzej - niedowierzania. Niemniej, jego słuchacze szli za nim wyraźnie zdumieni, gdy prowadził ich korytarzem, a potem w dół do lodowatego pomieszczenia z kolumnami.

- Niewiarygodna sprawa - stwierdził ambasador Horst, badawczo przypatrując się w świetle latarki płaskorzeźbom na ścianach. - Czy to może być dzieło Przodków?

- Patrząc na kroniki Uvovo oraz kilka datowań, które zdążyłem przeprowadzić, wygląda na to, że powstało jakieś sto tysięcy lat temu - odrzekł Greg. - Co wypadaloby pod koniec ery Przodków, kierując się informacjami, jakie wyszukałem w innoświatowych źródłach. Ale jeśli wejdziecie tutaj, zobaczycie główną atrakcję...

Wczuwając się coraz bardziej w rolę przewodnika turystycznego, wprowadził ich do komory studni; smugi latarek oświetlały drogę w gęstym, zimnym mroku. Tuż przy murze okalającym studnię było widać dwie sylwetki: Chel i Weynl pochylali się nad czymś w blasku lampy. Potem jeden z nich najwidoczniej usłyszał odgłos kroków, bo wyprostował się i obejrzał. Greg pomachał, a Uvovo wstał i ruszył w ich stronę. Gdy się przybliżył, Greg zobaczył, że to Chel.

- To doprawdy zadziwiająca konstrukcja - powiedział Horst, podchodząc do muru okalającego studnię. - I powiada pan, że ten kolisty obszar pełni funkcję rytualną?

Greg skinął głową.

- Wbudowana jest w niego również jakaś wysoce zaawansowana technologia Przodków...

W pomieszczeniu eksplodował ogłuszający, stentorowy ryk, a z powierzchni studni

wytrysnęły groty i kłębiące się sieci jaskrawego światła, dokładnie obok miejsca, gdzie stał ambasador Horst. Wszyscy zareagowali w ten sam sposób, cofając się od źródła dźwięku i oślepiającej jasności - wszyscy poza ambasadorem, który tkwił teraz uwięziony w świetlnej klatce z przeplecionych, drżących siatek. Ryk nieco przycichł, przechodząc w grzmiący, tubalny głos, przemawiający niezrozumiale, rozkazującym tonem.

- Greg, co to, do cholery, jest?! - wrzasnął Teo. - Czy ambasador jest w niebezpieczeństwie? A my?

- Komora... studnia ma strażnika...

Zanim jednak zdążył powiedzieć coś więcej, podbiegł Chel, a za nim Słuchacz Weynl. Czoło Chela było odsłonięte, a zewnętrzna para oczu otwarta.

- Kim on jest, Greg? - spytał Chel, wskazując palcem Horsta. - Kim jest ten człowiek?

- To ambasador Ziemi sfery.

Równocześnie Słuchacz Weynl krzychał w stronę roziskrzonego świetlnego wiru, odpowiadając gromkiemu głosowi, który huczał w jego głębi.

Chel wbił spojrzenie w Horsta, klęczącego teraz z wyrazem przerażenia na twarzy i przyciskającego do piersi fałdy szlafroka.

- Czy ten człowiek ma ze sobą jedną z tych rzeczy, które nazywacie SI? - spytał.

- Tak, ma - odrzekł Greg.

Chel potrząsnął głową; zęby miał wyszczerzone.

- Pozbawiony Snów... spróbujemy go ocalić przed Strażnikiem, Greg, ale musisz mi zaufać i nie ingerować.

Greg wziął głęboki wdech, próbując się uspokoić, po czym kiwnął głową i patrzył, jak Chel oraz Weynl odpinają rękawy, by następnie przykucnąć obok ambasadora. Przez chwilę trwali w bezruchu, po czym prędko wsunęli ręce do środka klatki, omijając przesuwające się oka świetlnej sieci - Greg zobaczył, jak krótkie, gęste futro na ich ramionach zaczyna się zwęglać i dymić - i dotknęli głowy ambasadora.

Wtedy Horst krzyknął, mając mięśnie szyi napięte jak postronki, a oczy szeroko rozwarte w niemym błaganiu.

Chel

Kiedy Greg i pozostali Ludzie pojawili się w drzwiach komory, Chel oraz Słuchacz Weynl siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na kocu, który rozłożyli na posadzce przejścia, żeby choć trochę ich izolował od zimnej skały. W złotym blasku lampy uważnie oglądali narysowane ręcznie kopie kilku wzorów odkrytych niedawno w bardzo starym archiwum kamiennych płytek na lesistym księżycu. Porównywali wzory z płytek ze szkicami swojego autorstwa przedstawiającymi fragmenty powierzchni studni i szukali podobieństw. Płytki zawierały też opisy, wszystko wskazywało jednak, że te ostatnie zostały zapisane jakimś zawiłym szyfrem, którego nikomu jak dotąd nie udało się odczytać.

Tak więc obaj Uvovo ślęczeli nad rzeczonymi obrazkami, kiedy Chel usłyszał twardy, suchy odgłos kroków i uniósł głowę. Używał zewnętrznej pary swoich nowych oczu, żeby oglądać wzory studni, ale teraz ujrzał dziwny, najeżony kolcami nimb wokół jednego z towarzyszy Grega. Zarazem przy tej krawędzi studni, która znajdowała się najbliżej przybyszy, zaczęła się gromadzić słaba, amorficzna poświata.

- Coś jest nie tak, Słuchaczu - oświadczył Chel, wstając. - Studnia dziwnie się zachowuje.

Nie czekając na odpowiedź Weynla, ruszył w stronę grupki Ludzi. Zdążył ująć kilka kroków, kiedy ponad krawędź studni wystrzeliła jaskrawa kolumna energii, blisko miejsca, gdzie stał mężczyzna o niepokojącej aurze. Eksplozji światła towarzyszył kakofoniczny, grmiący ryk, niemal bolesny dla uszu Uvovo, lecz Chel poderwał się do biegu. Widział, że podejrzany mężczyzna został uwięziony w jaśniejącej klatce utkanej z energii studni, i słyszał, jak huczący ryk przycicha, przechodząc w mowę, słowa w języku Uvovo.

INTRUZ! WYKRYTO WROGA! DOSTOJNY MISTRZ ŚCIEŻEK MUSI MNIE POINSTRUOWAĆ, JAK WYKASOWAĆ ZAGROŻENIE.

- Nie, Strażniku, zaczekaj! - wykrzyknął Weynl. - To jest przyjaciel...

POJMANY MA IMPLANT BĘDĄCY SFABRYKOWANĄ ISTOTĄ, KTÓRA UTRZYMUJE KOHERENTNY KANAŁ SIĘGAJĄCY W GŁĄB PODDOMEN RZECZYWISTEGO. KONIECZNE JEST ZAMKNIĘCIE TEGO KANAŁU ALBO PRZEPROWADZONE ZOSTANIE WYKASOWANIE ZAGROŻENIA - NIE JESTEŚ MISTRZEM ŚCIEŻEK.

Chel podbiegł do Gregoriego, który rozmawiał ze swoim wujem.

- Kim on jest, Greg? - zapytał, wskazując palcem mężczyznę w klatce. - Kim jest ten człowiek?

Gregori wyglądał na udręczonego tym, co się rozgrywało na jego oczach.

- To ambasador Ziemi sfery...

Chel popatrzył na ambasadora, przerażonego siwowłosego mężczyznę, który z jakiegoś powodu przyciskał mocno do piersi fałdy swej szaty.

- Czy ten człowiek ma z sobą jedną z tych rzeczy, które nazywacie SI?

- Tak, ma - odrzekł Greg.

Chel zacisnął zęby.

- Pozbawiony Snów... spróbujemy go ocalić przed Strażnikiem, Gregori, ale musisz mi zaufać i nie ingerować.

Gregori zawahał się, po czym skinął głową. Chel odpiął rękawy swojej tuniki - podobnie uczynił też stojący obok Weynl - po czym obaj ukłękli na kamiennej posadzce po zewnętrznej stronie klatki energetycznej więżącej ambasadora Ludzi. Zebrał się w sobie, otwartymi zewnętrznymi oczami śledząc przesuujące się, przeplatające oka jaskrawej sieci, zobaczył, jak się poruszają i jak można przejść pomiędzy nimi. Potem on i Weynl w tym samym momencie unieśli ręce i wetknęli je do klatki, żeby ująć żywiciela sztucznej istoty. Kolce w nimbie sygnalizowały obecność Pozbawionego Snów i zdradzały, gdzie znajdują się węzły jego połączeń. Jakiś instynkt wprowadził ręce Chela w ruch - drobne, porośnięte futrem dłonie gładziły głowę mężczyzny, przebiegając wzdłuż konturów tego, co tkwiło głębiej, tu dotykając, tam wywierając nacisk o idealnie odmierzonej sile... nie, to nie był instynkt, jak uświadomił sobie Widzący, tylko umiejętności innej istoty, Strażnika studni.

Obaj Uvovo wyjęli ręce z klatki i Chel dopiero teraz zauważył pasma spalonego, dymiącego futra na swoich ramionach. Chwilowo nie czuł żadnego bólu.

- Chel, nic ci nie jest? - spytał Gregori, pomagając jemu oraz Weynlowi wstać.

Widzący czuł zawroty głowy oraz pustkę w brzuchu. Drżącymi palcami wymacał zatkniętą za pas opaskę z grubej tkaniny służącą do zasłaniania przepoczwarzonych oczu. Gdy już zostały zakryte, głęboko wciągnął powietrze, na chwilę zatrzymał je w płucach, po czym wypuścił w długim, rozdygotanym wydechu.

- Nie - odrzekł, czując, jak napięcie nieco opada. - Czuję się lepiej.

Potem uświadomił sobie, że ambasador Ludzi wciąż jeszcze jest uwięziony w klatce. Strażnik zamilkł, choć Słuchacz Weynl nadal do niego wołał. A teraz ambasador odzyskał już zimną krew na tyle, żeby wstać i na migi porozumiewać się z Gregorim.

- Chel - odezwał się Gregori po niedługiej chwili. - Ambasador Horst twierdzi, że jego

SI jest nieobecna i nie odpowiada na próby nawiązania kontaktu. Czemu Strażnik nie chce go wypuścić?

- Muszę przyznać, że nie wiem, Gregori - odrzekł, odwracając się do Weynla. - Czy powiedział cokolwiek, zanim...

Nagle głęboki, przytłaczający głos przemówił ponownie:

POZBAWIONY SNÓW ZOSTAŁ UWIĘZIONY, A JEGO POWIĄZANIA Z PODDOMENAMI ZLIKWIDOWANE. JEDNAKŻE NADAL STANOWI ZAGROŻENIE.

Chel i Weynl wymienili przerażone spojrzenia.

- Zaczekaj, Strażniku - powiedział Chel. - Musi istnieć jakiś sposób, żeby zupełnie unieszkodliwić tę istotę. Jeśli przekażesz ambasadora w nasze ręce, być może będziemy w stanie usunąć... to urządzenie...

NIKT Z TU OBECNYCH NIE JEST MISTRZEM ŚCIEŻEK. NIKT NIE MOŻE WYDAWAĆ MI ROZKAZÓW, TAK WIĘC MUSZĘ ROZSTRZYGNĄĆ TEN DYLEMAT W ŚWIETLE INNYCH WYMAGAŃ. KONSTRUKT ZAŻĄDAŁ WYŚLANNIKA Z RASY LUDZI, WIĘC MOŻE TEN BĘDZIE ODPOWIEDNI.

- Nie! - zaprotestował Gregori. - Potrzebujemy tego człowieka tutaj; on może nam pomóc pozbyć się stąd Hegemonii...

- Pewność nie jest... niezachwiana...

Słowa te zostały wypowiedziane suchym, posykującym szeptem, niegłośnym, lecz wszechobecnym, i Chel poczuł falę ulgi, widząc, jak zarys zakapturzonej postaci Mistrza Ścieżek wyłania się wewnątrz świetlnych sieci otaczających ambasadora Ziemosfery.

- O czcigodny - odezwał się, składając ukłon, podobnie jak Słuchacz Weynl.

Gregori nadal stał w pobliżu, podczas gdy Teo i pozostali wycofali się w stronę wyjścia.

- Strażniku - powiedział Mistrz Ścieżek. - Dlaczego nadal więzisz tego Człowieka? Nosi w sobie Pozbawionego Snów, który został spętany.

ISTOTA ZDOLNA JEST DO PRZEJĘCIA KONTROLI NAD SWOIM ŻYWCIELEM, MISTRZU ŚCIEŻEK. NADAL STANOWI ZAGROŻENIE. ZGODNIE Z MOJĄ OCENĄ, ŻĄDANIE KONSTRUKTU, BY DOSTARCZYĆ MU CZŁOWIEKA, MOŻNA ZASPOKOIĆ, WYSYLAJĄC MU TEGO.

- Ale ten Człowiek jest wysokim rangą przedstawicielem większej kultury Ludzi - zaprotestował Chel. - Gdyby pozostał tutaj, byłby w stanie osłabić pozycję Hegemonii, a może nawet zmusić ich do wycofania się.

- Ach, młody Widzący Cheluvaharze, Pozbawieni Snów należący do Hegemonii wiedzą o istnieniu tego miejsca; nie rozluźnią swego uścisku, nawet gdyby Ludzie z Ziemi mieli się

zwrócić przeciwko swoim sojusznikom z Hegemonii. Nie, obecność ambasadora będzie mieć nikły wpływ, o ile w ogóle jakiś, na konflikty i kłopoty, jakie lada dzień spadną na ten świat. Hegemonia wkrótce przejmie kontrolę nad Umarą i niedługo wkroczą także do tej komory.

Chel zamilkł, zaszokowany, ale Gregori był wyraźnie wytracony z równowagi.

- Co to oznacza z punktu widzenia ambasadora? - spytał po noranglicku. - To coś nie wysłało go do tego całego Konstrukt, ktokolwiek to jest...

- Człowieku, Konstrukt był najwierniejszym sojusznikiem Wielkich Starożytnych - odszepnął Mistrz Ścieżek nieskazitelny noranglickim. - I pozostaje niezłomnym strażnikiem ich celu; przyrzekł nam dopomóc w naszych zmaganiach z najeźdźcami, a on nigdy nie łamie obietnic. Co więcej, będzie dokładnie wiedział, jak się rozprawić z Pozbawionym Snów zamkniętym wewnątrz głowy żywiciela, bo ambasador właśnie po to tutaj przybył, Człowieku, w innym wypadku znajdowałby się teraz gdzie indziej.

- Nie - powtórzył Gregori. - On jest największą szansą, jaką mamy, na powstrzymanie Hegemonii...

- Niech to szlag! - zawołał Teo Karlsson. - Nie po to sprzątnąłem go tym Brolturanom sprzed nosa, żeby go stracić w ten sposób!

- Nie, człowieku Karlssonie - szepnął Mistrz Ścieżek. - Dokładnie po to go ocaliłeś.

- O czcigodny - odezwał się Chel. - Z szacunkiem zapytuję, czy twa pewność jest niezachwiana?

- Nie, Widzący Chelu, lecz mój osąd musi taki być: Strażniku, wyślij Człowieka do siedziby Konstrukt!

TAK SIĘ STANIE.

Przez długą chwilę Chel wpatrywał się w ogarniętego zgrozą ambasadora Horsta, gestykującego i błagającego bezgłośnie. Potem zalał go wir zagęszczonej energii, jaskrawy maelstrom, który kłębił się przez kilka sekund, nim zaczął się wycofywać, po czym opadł z powrotem poniżej muru otaczającego studnię. Mistrz Ścieżek nadal unosił się wśród przygasającej, rozpraszającej się poświaty i w tych ostatnich chwilach wskazał Chela, Gregoriego oraz pozostałych pojedynczym zamaszystym gestem.

- Opuśćcie to miejsce! Teraz!

Potem ostatnie pasemka i krople energii zniknęły, pozostawiając ich w półmroku rozjaśnianym tylko przez latarki. Ich nadzieje runęły, plany się posypały, a przyszłość...

Przygnębieni Ludzie oddalili się, wychodząc przez drzwi. Gregori został nieco z tyłu, by jeszcze przez chwilę popatrzeć na pogrążoną w mroku studnię. Chel i Słuchacz Weynl wrócili do swojego małego obozowiska, żeby pozbierać szkice i notatki. Jednakże Chel

uświadomił sobie, że mimo tego ponurego, zniechęcającego zakończenia, przyszłość pozostawała nieznana, równie mglista i pozbawiona kształtu dla Pozbawionych Snów, jak dla nich. Nieco pocieszony tą myślą ruszył w ślad za Weynlem, śpiesząc za Gregorim i pozostałymi.

Kao Czi

We śnie uciekał przed długim, wijącym się karnawałowym smokiem, którego głową był czwororęki tors ezgarskiego komandosa o palcach zakończonych szponami niczym ostrza pił. Pozbawiony rysów hełm rozwarł się, ukazując rzędy igłowatych zębów, błyszczących, kłapiących...

Coś zatrzęsło jego fotelem i Czi się zbudził, znów odkrywając, że w ustach ma ohydny posmak i piekielnie boli go głowa.

- Z powrotem wśród żywych, KC? Świetnie. Dokujemy przy statku-matce moich współników, więc niedługo będziesz miał okazję spotkać przywódców rewolucji!

Corazon Talavera, jego piękna i śmiertelnie niebezpieczna porywaczka, siedziała na fotelu pilota, monitorując wyświetlacze, wprowadzając drobne zmiany w ustawieniach przyrządów i od czasu do czasu zerkając w jego stronę. Okienko kokpitu było odsłonięte, a na zewnątrz rozciągała się dziwna panorama - mętnożółte słońce wielkości monety, którego bursztynowa jasność zakreślała półksiężyc dnia na szarobrązowej planecie wypełniającej mniej więcej jedną czwartą widoku. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że wokół bezimiennego świata orbitują rozpościerające się chmury asteroid... do momentu, gdy ciemny, nieregularnego kształtu obiekt spadł, wirując, w stosunkowo niedużej odległości, a światło słońca zabłysło na jego poszarpanych metalowych brzegach. Profilowany fragment powłoki kadłuba. Migocząc i malejąc szybko, runął w grawitacyjne objęcia planety.

- Szczątki - powiedziała Cora, która przez cały czas obserwowała młodzieńca. - Złom, rozwalone pozostałości statków: wojskowych i cywilnych, dużych i małych, uzbrojonych i bezbronnych. Witaj w układzie Shafis.

Kao Czi zmarszczył czoło.

- Mówisz to tak, jakbyś zakładała, że będę wiedział, co to znaczy, ale nie wiem.

Uniosła brwi.

- KC, gdzieś ty się uchował? Nie śledzę szczególnie uważnie nowin ze wszechświata, ale nawet ja zasłyszałam tu i tam parę szczegółów o Shafis. Dobra, oto skrócona wersja, bo nie zamierzam sobie zadawać trudu opowiedzenia ci dłuższej. Shafis to układ leżący na samym skraju Domeny Yamanon, tam, gdzie przechodzi ona w strefę głębinową Huvuun, i jak dotąd siły Koalicji stoczyły tutaj trzy bitwy. Za pierwszym razem z wycofującymi się niedobitkami flot Dol-Das, potem z uzbrojoną grupą zwiadowczą z jakiejś cywilizacji Aranja

Tesh, prawdopodobnie Metraju, próbującą ratować ocalałych z pylistej pustyni, jaką jest ta planeta. Za trzecim razem, zaledwie parę tygodni temu, rozbito bandę durnych fanatyków, Spiralowców, starających się utworzyć flotę, która mogłaby zaatakować pozycje Koalicji - wykorzystywali tę tu skorupę, krążącą po wysokiej orbicie, jako lotnisko tranzytowe, i próbowali rekrutować desperatów usiłujących przeżyć tam, w dole, na powierzchni planety. Za każdym razem Hegemonia wraz ze swym lojalnym pomagierem, to znaczy Ziemią, zwały się tutaj w swoich okrętach i niszczyły każdą jednostkę latającą, która stawiała opór. Przy czym, jak słyszałam, „stawianie oporu” definiowano bardzo szeroko, czego efektem są te malownicze chmury szczątków, które teraz widzisz. Jak również paru ocalałych więcej na planecie.

- Czemu więc twoi pracodawcy mają swoją bazę akurat tutaj? - spytał Kao Czi. - Czy oprócz tego, że są rewolucjonistami, zajmują się też odzyskiwaniem surowców wtórnych?

- Są dobroczyńcami, KC, ratownikami. Ponieważ trzecia bitwa, ta z udziałem świętej armady, rozegrała się stosunkowo niedawno, nie jest wykluczone, że na części tych wraków, które dryfują tam na zewnątrz, uwięzieni są jeszcze żywi rozbitkowie, co naturalnie interesuje moich pracodawców. Interesują ich też rozbitkowie, którzy wylądowali na planecie, ale poszukiwania orbitalne są ważniejsze.

- Rekruci - powiedział Kao Czi.

- Dokładnie. Zaczynasz chwytać. - Po drugiej stronie kadłuba zabrzmiało metaliczne łupnięcie, po czym na kanale komunikacyjnym statek-do-statku odezwał się chrypiący głos, mówiący językiem, którego tłumaczenie najwyraźniej przekraczało możliwości nanotranslatora. Cora odpowiedziała w tym samym języku i dotknęła kilku przełączników, przedstawiając większość urządzeń w kokpicie w tryb oczekiwania. - Pora na spotkanie z twoimi nowymi panami.

Więzy Kao Cziego zostały poprzesuwane i poluzowane, po czym, trzymany przez cały czas na muszce, pomógł Corze zawinąć Drazumę-Ha* w prześcieradło i wspólnie wynieśli mecha przez śluzę powietrzną, a potem do wnętrza drugiej, dużo większej, zrobionej z jakiegoś ciemnego, elastycznego materiału, który hermetycznie zacisnął się wokół kołnierza zewnętrznego wjazdu *Kasztelana*. Kłapa wjazdu zatrzasnęła się za ich plecami, druga otwarła się przed nimi i Cora ruchem swego cienkiego pistoletu dała młodzieńcowi znak, żeby szedł dalej. Jego kostki oraz nadgarstki były teraz spętane sześćdziesięciocentymetrowymi paskami bezpieczeństwa, co mocno ograniczało mu ruchy, ale udało mu się przejść tyłem przez uniesiony brzeg wjazdu, dźwigając jeden koniec Drazumy-Ha*. Potem odwrócił głowę i zobaczył, że znaleźli się w dużej, jasno oświetlonej ładowni, pełnej stojaków na sprzęt, siatek

na bagaże, chodników biegnących wzdłuż górnych części ścian, wind oraz zainstalowanych na suficie dźwigów towarowych. Był też komitet powitalny: wysoki gadziokształtny Kiskashińczyk oraz Gomedranin odziany w szary roboczy kombinezon, trzymający dziwne urządzenie w kształcie ósemki.

Posłuszny poleceniom Cory, Czi pomógł donieść wyłączzonego mecha do dwóch rozumnych istot, a następnie postawił go pionowo.

- Gratulacje, Talavera - powiedział gardłowo Kiskashińczyk po czteropeljańsku. - Wysokiej klasy Człowiek oraz funkcjonujący dron Strigida-9, dokładnie tak, jak mówiłaś. Doprawdy jesteś moją najcenniejszą pozyskiwaczką.

Więc to jest rewolucjonista? - pomyślał Kao Czi.

Kiskashińczyk mierzył nieco ponad dwa metry wzrostu, a pod pozbawionym rękawów, sięgającym kolan płaszczem z błękiwłókna miał na rękach i ramionach coś, co wyglądało jak karwasze i naramienniki zbroi bojowej - szare płyty o wielofasetkowej powierzchni, starte na krawędziach, pokryte zadrapaniami i wżerami. Kiskashińczycy byli dwunogami poruszającymi się w pozycji wyprostowanej, o muskularnych, ptasio się kojarzących dolnych kończynach i stopach z szeroko rozstawionymi palcami. Dopiero kiedy Kao Czi przyjrzał się uważniej, zorientował się, że ręce Kiskashińczyka są sztuczne; dostrzegł nieosłonięte stawy ramion oraz fakt, że zasięg tych rąk jest większy od normalnego.

- Jak zawsze, to zaszczyt i przywilej móc służyć twojej sprawie, Gromicielu Yuzayelu - odrzekła Cora z lekkim ukłonem.

- A przy okazji usłużyć także twojej własnej, co? - odparł Gromiciel Vuzayel. - Wielkiej sprawie pieniądza! - Kciukiem oraz palcem wskazującym jednej opancerzonej, segmentowanej sześciopalczastej dłoni wyjął czarną aksamitną sakiewkę zza pazuchy swego nieskazitelnego płaszcza z błękiwłókna. - Handel duszami dla zarobku, Talavera; w oczach Wielkiego Siewcy niewiele jest grzechów równie czarnych. Czasem rozważam zaproszenie cię, abyś przyłączyła się do naszej walki, abyś odłożyła swe grzeszne ciężary i wkroczyła na tę samą ścieżkę, którą podążają ci, których już sprowadziłaś tu pod moją opiekę. Potem jednak uświadamiam sobie, jaką byłoby to stratą dla sprawy, dla Nakazu Świętej Zemsty, więc postanawiam po raz kolejny zrezygnować z dopełnienia swego obowiązku, by działać na korzyść wyższego celu.

- Cieszę się, że będę mogła nadal ci służyć, Gromicielu - odrzekła Cora. - I otrzymywać zapłatę.

Aksamitna czarna sakiewka przez chwilę wisiała w powietrzu, potem jednak błyskawicznie zniknęła z powrotem pod płaszczem.

- Później. Chcę, żebyś najpierw zafundowała naszemu najnowszemu nabytkowi przedłużoną wycieczkę po naszym potężnym statku, *Sakramencie*. Pokaż mu najbardziej inspirujące widoki, jakie można tu ujrzeć, a my tymczasem zajmiemy się przeprogramowaniem dronu Strigida. - Vuzayel zerknął na czekającego Gomedranina. - Zabierz go na dół, do badaczy.

Gomedranin skłonił się, po czym podszedł do Kao Cziego, który nadal przytrzymał Drazumę-Ha* w pozycji pionowej po tym, jak Cora ściągnęła z mecha prześcieradło. Gomedranin gestem polecił młodzieńcowi się cofnąć, a następnie gwałtownie przycisnął urządzenie w kształcie ósemki do pancerza droida, wcisnął kciukiem przełącznik i już po chwili zmierzał w stronę wyjścia z ładowni, niosąc mecha na ramieniu, jakby ten prawie nic nie ważył.

Kao Czi uświadomił sobie, że Gromiciel Vuzayel przygląda mu się badawczo bladożółtymi kiskashińskimi ślepiami, od czasu do czasu przechylając zakończoną wąskim ryjem głowę, by przypatrzeć się pojmanemu tylko jednym z nich.

- Nie wiem, jakich barbarzyńskich bogów czcicie wy, Ludzie - powiedział. - Wiedz jednak, że gdy złożysz ofiarę w imię Świętej Zemsty, zostaniesz zbawiony. Ty oraz pozostali wyznawcy jesteście uprzywilejowani; my, przywódcy Chaurixan, musimy odroczyć nasze radosne poświęcenie do czasu, gdy nakaz Wielkiego Siewcy zostanie wypełniony. Jest to brzemię budzące wielką boleść, które stoicko dźwigamy. Zanim jednak rozpoczniesz swą podróż, Człowieku, wyjaw mi swe imię.

- Nazywam się Kao Czi, panie - odrzekł młodzieniec. - Jestem niezależnym dostawcą okrętowym, więc jeśli masz jakiegokolwiek niewypelnione kontrakty, z największą radością zaoferuję swe usługi.

Vuzayel zaśmiał się - był to okropny, zgrzytliwy odgłos.

- Jedno trzeba wam przyznać: wy, Ludzie, potraficie być zabawni! Idź w pokój, Karrczi, Wielki Siewca cię oczekuje.

Gdy Kiskashińczyk ciężkim krokiem skierował się w stronę jednego z wyjść, Cora wskazała swoim pistoletem schody wiodące w górę, na chodnik zbudowany z kratownic. Młodzieniec ponuro podążył tam, gdzie kazała; myślami powrócił do misji na Dariena oraz chaotycznej trasy, jaka doprowadziła go tutaj, gdzie zamierzano przeprogramować jego towarzysza, Drazumę-Ha*, a jego samego nawrócić na wiarę tych fanatyków. Bez wątplenia czekała go jakaś forma prania mózgu, może połączenie narkotyków i deprivacji sensorycznej, a może nawet jakaś procedura immersyjna. Niezależnie od tego, co miało go spotkać, zamierzał opierać się tak długo, dopóki będzie w stanie.

Cora szturchnęła go w ramię lufą pistoletu, po czym wskazała ciężkie drzwi ciśnieniowe kawałek dalej, przy końcu chodnika.

- Prosto przez nie i w dół po rampie.

Z kostkami nadal skrępowanymi paskami bezpieczeństwa, ruszył w tamtą stronę, szurając nogami, a drzwi rozsunęły się, by ich przepuścić.

- Podobało mi się to, jak próbowałeś zająć moje miejsce - stwierdziła Cora. - „Niezależny dostawca okrętowy”, co? Niezły tytuł. Myślę, że go przejmę, skoro tobie się już nie przyda.

- Nie wybiegałbym z planami zbyt daleko w przód, panno Talayera - odrzekł, starając się brzmieć tak, jakby był dobrej myśli. - Twój pan jeszcze ci nie zapłacił. A poza tym nie wspomniałaś o naszym małym ezgarskim problemie. Jestem ciekaw, czemu.

Śmiech Cory był beztroski, ale pobrzmiwała w nim nuta złośliwości.

- Kłap dalej tym dziobem, a rozkażę któremuś z aspirantów zamknąć go neuroblokerem.

Kao Czi wzruszył ramionami i dalej schodził po rampie, która dwukrotnie skręciła w lewo. Wystrój wnętrza statku-matki Chaurixan był prosty; dominowały w nim żółcie i zielenie, a na ścianach widniały ciemnoczerwone ogłoszenia i znaki, często byle jak wymalowane od szablonu. Na podstawie kilku tablic z mapkami, jakie minęli, zorientował się, że statek jest zbudowany z modułów ustawionych w linearnej konfiguracji: cztery wielkie sekcje kadłuba zbudowane wokół centralnej osi, przy czym napędy i maszynownia znajdowały się na rufie, mostek i kwatery w segmencie dziobowym, a dwa środkowe moduły były usiane sporą liczbą zagadkowych symboli, które nie mówiły mu kompletnie nic. Zdołał ustalić, że zadokowali przy trzecim module kadłuba, licząc od dzioba, i teraz zmiierzają ku przodowi, do drugiego. Cora kazała mu minąć kilka zakrętów, aż weszli do korytarza biegnącego wzdłuż osi statku. Wspięli się po schodkach, przeszli przejściem łącznikowym, zeszli następnymi schodkami. Potem poleciała mu skręcić w lewo i wspiąć się po płytkach grawitacyjnych wzdłuż krzywizny kadłuba po stronie bakburty, mijając szereg nieprzejrzystych drzwi. We wszystkich tych drzwiach tkwiły szare panele, a na każdym z nich widniał jeden z tych symboli, które młodzieniec widział chwilę wcześniej na planach ściennych.

- Wiem, co ci chodzi po głowie, KC - odezwała się za jego plecami Cora. - Sądzisz, że będziesz zmuszony znosić bicie, tortury, narkotyki i szaleńcze, oglupiające wirtsensoria... No cóż, nie, to towarzystwo używa innych metod. To profesjonaliści pracujący pod silną presją czasu, żeby zrealizować precyzyjnie określone cele, więc nie zamierzają marnować czasu na próby wbicia ci do głowy swojego punktu widzenia.

Zatrzymała go przed jednymi z drzwi, a szary panel zyskał przezroczystość. Pomieszczenie po drugiej stronie okazało się białą salą operacyjną, gdzie dwóch Henkayan w maskach i strojach chirurgów pracowało nad masywnym kształtem przywiązany do dużej kołyski. Pacjent, lub też ofiara, był Bargalilem - jego sześcionożne ciało spoczywało nieruchomo.

- Chaurixańscy medtechnicy wykorzystują trzy różne sposoby przemodelowywania umysłów, żeby je dopasować do danego zadania. Jest programowanie wirusowe, gdzie używają indywidualnie sporządzonych czynników zakaźnych, żeby zedytować mózg wyswaga i umieścić w nim świeże zapisy, tworząc nowe wewnętrzne przymusy, obawy i pragnienia, całe bloki zachowania mające na celu wypełnienie misji...

- Co to była za nazwa, której użyłaś? Wyśwak...

- Wyśwag, skrót od „wyświęcony agent” - odparła. - Cóż, ogólnie rzecz biorąc, wydaje mi się, że ten sposób jest najgorszy. Jesteś nadal sobą, czujesz się sobą, ale pojawiają się te wszystkie wspomnienia i instynkty zmuszające cię do robienia rzeczy, których nie rozumiesz. To mnie przyprawia o gęsią skórkę.

Poleciała gestem, żeby podszedł do następnych drzwi. Panel stał się przezroczysty, ukazując wysokiego mężczyznę z rasy Sendrukan, który miał oczy zasłonięte opaską i leżał przypięty pasami do wyściełanego stołu, podczas gdy okryte kapturopodobną osłoną urządzenie na segmentowanym kablu poruszało się wokół jego głowy, jakby badając ją ze wszystkich stron. W pomieszczeniu nie było nikogo więcej.

- Inny sposób to po prostu wymazać umysł, usunąć wszystkie cechy charakterystyczne, pozostawiając autonomiczny układ nerwowy oraz niektóre wyuczzone odruchy. Potem wbudowują ci nową osobowość, na tyle złożoną, by była w stanie zrealizować wymagane zadanie. Jednakże bywa, iż niektóre zadania wymagają zbyt głębokiego zaangażowania oraz umiejętności społecznych, aby wbudowana osobowość mogła je zrealizować, więc sprytni podwładni Gromiciela wymyślili ziarnowanie: polega ono w skrócie na tym, że fragmenty kory mózgowej są usuwane, a w ich miejsce hoduje się paraorganiczną nanostrukturę, w której następnie umieszcza się częściową, a niekiedy pełną SI.

- Pomysłowe - odparł Kao Czi, pełen zgrozy, lecz zachowujący zimną krew. - W chińskiej mitologii istnieje wiele piekieł, a niektóre są równie wymyślne jak te sale.

Popatrzyła na niego.

- Na przykład?

- Jest Piekło Patroszenia, w którym wycina się wnętrzości hipokrytom oraz rabusiom grobów. Jest też Piekło Piłowania, gdzie porywacze oraz ci, którzy zmuszają dobrych ludzi do

robienia złych rzeczy, są cięci piłami na kawałki.

- Zmyślasz.

Wzruszył ramionami.

- Chińska historia sięga daleko, daleko wstecz, więc niektóre z tych rzeczy faktycznie mogą być zmyślane. A niektóre niekoniecznie.

Uśmiechnęła się i pogroziła mu palcem.

- Mnie nie nastraszysz, KC. Poza tym nie widziałeś jeszcze reszty naszego małego kręgu piekieł.

Korytarz biegł obok dalszych kilku par mlecznych, nieprzezroczystych drzwi, po czym zakręcał na stronę sterburty, gdzie Cora kazała mu się zatrzymać przed dwuskrzydłowymi wrotami. Przez ich przezroczyste szyby Kao Czi ujrzał białą salę, gdzie stało kilka krzeseł na cienkich nogach, a po przeciwnej stronie znajdowały się kolejne drzwi. Zobaczył też przypominającego ośmiornicę Makhoriego, który leżał jak długi na szpitalnym wózku z kółkami; jego blade macki były wyciągnięte i nieruchome, podczas gdy tors poruszał się w regularnych, powolnych oddechach. Wielkie, otwarte oczy stworzenia gapiły się nieprzytomnie w sufit.

- Właśnie wymazano mu umysł - powiedziała Cora, znów szturchając go lufą. - Tutaj mieści się dział augmentacji; no dalej, wchodź.

Oburącz pchnął drzwi i zatrzymał się w środku, żeby popatrzeć w dół, na nieruchomego Makhoriego.

- Niektóre misje wymagają siły lub szybkości wykraczającej poza możliwości zwykłych, organicznych stworzeń - wyjaśniła Cora. - Więc wyśwagowie są sprowadzani tutaj, żeby poddać ich zmianom, modyfikacjom, odnowie, co tylko jest potrzebne, by wypełnić misję. Bywa, że jest to pełna, zindywidualizowana cyberaugmentacja: serce, żyły, mięśnie, krew i kość, od cebulek twoich włosów po paznokcie u stóp. I wszystkie zmysły też.

Jedno skrzydło wewnętrznych drzwi się otwarło i ku zaskoczeniu Kao Cziego wyszedł stamtąd człowiek, chudy staruszek w brązowej szacie, siwowłosy i zgarbiony. Ujrzał młodzieńca i podszedł, mrużąc oczy.

- A więc dorwali jeszcze jednego - rzekł piskliwym głosem, wyciągając pomarszczoną dłoń. - Jestem Josh. Jak się nazywasz, synu?

- Jestem Kao Czi, proszę pana. Jestem zaszczycony, mogąc pana poznać. Jakim sposobem znalazł się pan tutaj?

- Takim jak i ty. - Josh wskazał Corę, która nadal celowała z pistoletu w pierś Kao Cziego. - Przyleciałem tu dzięki uprzejmości twojej przyjaciółki, której firma oferuje

przewoży tylko w jedną stronę.

- Pana też uśpiła, Josh?

- Trzy razy; byłem marudnym pasażerem.

Cora przewróciła oczami, akurat w momencie, gdy wewnętrzne drzwi znów się otworzyły. Wszedł ubrany na zielono Henkayanin, złapał wózek wszystkimi czterema krótkimi łapkami i wywiózł nieprzytomnego Makhoriego z pomieszczenia. Pojawił się drugi, dostojniej wyglądający Henkayanin, odziany w seledynowe, sięgające kostek szaty i z żółtą obrozą wokół szyi. Jego szeroka, zwężająca się stożkowato głowa zwieńczona była gęstymi purpurowymi włosami ułożonymi w sztywne, sterczące ku górze loki, a masywne, grubo ciosane oblicze uśmiechało się szeroko, gdy podszedł do Josha.

- Bardzo dobrze, wybitna jednostko, ale kontynuuj ćwiczenie akcentu z Nowej Montany, aż będzie doskonały. Idź teraz do wyposażeniowców, oczekują cię.

- Dziękuję, Kompozycjonisto Henachu. Niechaj stanie się wola Wielkiego Siewcy. - Mówiąc to, mężczyzna imieniem Josh wyprostował się i, ignorując Corę oraz Kao Cziego, sprężystym krokiem wyszedł przez główne drzwi. Uśmiechnięty od ucha do ucha Kompozycjonista Henach skierował swą uwagę na nowo przybyłych.

- Gromiciel Vuzayel rozmawiał ze mną - powiedział do Cory. - Ten tutaj ma zostać wysłany na jeden ze światów Trzeciej Gracji w Metraju, by zlikwidować vikantańskiego przemysłowca.

Cora gwizdnęła z szacunkiem.

- A więc częściowa augmentacja, jak sądzę.

- Tak, a potem wymazanie i nałożenie nowej osobowości, dosyć podobna procedura jak w przypadku mojego ostatniego pacjenta.

- A co z droidem?

- Zostanie przeprogramowany i wyposażony w systemy walki z istotami żywymi oraz autodestrukcji.

Cora kiwnęła głową i odwróciła się w stronę Kao Cziego.

- No cóż, to by było tyle, KC; mieliśmy szaloną jazdę, ale w końcu dotarliśmy na miejsce. Do zobaczenia w innym życiu... albo w innym piekle!

Uśmiechnęła się i mrugnęła akurat w momencie, gdy Henkayanin przycisnął do szyi młodzieńca coś zimnego i metalicznego. W okamgnieniu całe jego ciało poniżej głowy zdrętwiało i runął niczym kukiełka, której przecięto sznurki, ale został sprawnie złapany. Uczucie było przedziwne: pozostał przytomny i zachował pełną świadomość, nie miał jednak żadnej kontroli nad mięśniami szyi, tak że jego głowa chwiała się to w jedną, to w drugą

stronę, gdy Kompozycjonista Henach wyniósł go z pomieszczenia.

- Twoje nowe ciało będzie niezwykle, Człowieku. Tutaj robimy tylko niezwykle rzeczy i będziesz miał okazję zobaczyć to wszystko.

Kompozycjonista położył go w jakimś dopasowanym do kształtu ciała fotelu, który był wyposażony w umieszczone wzdłuż jednego boku składane wysięgniki chirurgiczne, przypominające haki i kleszcze groteskowego stwora, błyszczące i cofnięte. Kao Czi widział je tylko przez urywki chwil, gdy Henkayanin przypinał go pasami. Młodzieniec chciał krzyknąć, nawet przeklinać swego prześladowcę, lecz efekt paraliżujący obejmował także jego struny głosowe.

- Zatem: augmentacja nóg, ramion, dłoni, klatki piersiowej, i być może kręgosłupa też. - Kao Czi zobaczył, jak Henkayanin pochyła się nad nim, potem usłyszał serię cichutkich kliknięć i nad jego głową pojawił się hologram ludzkiego ciała. Było odarte ze skóry, obraz ukazywał mięśnie, tętnice, organy; odsłonięte, blade gałki jego własnych oczu gapiły się w górę, uzębione szczęki były rozwarte, lecz niezdolne mówić - studium w czerwieni. Umysł Cziego wypełniła rozpacz.

- Hm, żadnych splotów danych, żadnego kanału kablowego w czaszce i żadnych implantów... poza molekularną nakładką na ośrodek mowy... hm, wciąż jeszcze w dużej mierze nieskażony ludzki mózg: jakaż przyjemna odmiana...

Nagle fotel lekko zadygotał, a gdzieś poza polem widzenia zabrzmiało metaliczne podzwanianie oraz głośny brzęk czegoś spadającego na posadzkę. Kompozycjonista zaklął pod nosem, ponownie przywołał na twarz swój dyżurny uśmiech i spojrzał na Kao Cziego.

- Najpierw rozetniemy ci nogi, wsadzimy ziarna budujące oraz membranę rusztowania - powiedział. - Szybko, prosto, nic nie poczujesz, a potem...

Tym razem całe pomieszczenie się zakołysało, a Henach poleciał w bok, lądując na ścianie. Wrzasnął wściekle i podbiegł do czegoś, co znajdowało się poza zasięgiem wzroku młodzieńca. Na zewnątrz, w korytarzach wyły alarmy, a chwilę później Kao Czi usłyszał, jak Henkayanin mówi:

- Tu Kompozycjonista Henach, co się dzieje?

- Niezmiernie nam przykro, Kompozycjonisto, ale dron Strigida uwolnił się z siatki stagnacyjnej i spowodował uszkodzenia wewnętrznej powłoki kadłuba...

- Pracujcie! Żadnych wymówek, schwytajcie go ponownie!

- Tak, Kompozycjonisto, natychmiast. Gdy tylko go znajdziemy.

- Co? Jakim cudem go zgubiliście?

- Zdołał się przedostać do przestrzeni technicznych między ścianami, panie, a pełzacze

monitoringu niczego nie zgłaszają...

Głos dobiegający z otwartego komkanału został zagłuszony przez przeraźliwy huk w pomieszczeniu, a wokół posypały się fragmenty czegoś, co wyglądało jak płytki pokładu. Rozległ się pełen przerażenia ryk Kompozycjonisty, który urwał się nagle jak ucięty. Przez sekundę czy dwie było słycać jedynie postukiwania i głośniejsze uderzenia spadających odłamków oraz dziwny, stłumiony dźwięk, jakby mamrotanie. Potem w polu widzenia młodzieńca pojawił się szybujący w powietrzu znajomy, hantlopodobny kształt Drazuma-Ha*.

- Witaj, Gouczy. Widzę, że mają cię lada moment poddać pewnym fizycznym modyfikacjom, które z pewnością zwiększyłyby na przyszłość twoje możliwości w zakresie samoobrony. Czy chciałbyś, żebym wrócił tu później?

Pozbawiony głosu Kao Czi mógł tylko marszczyć czoło, piorunować mecha spojrzeniem i niemo wykrzykiwać rozmaite rozkazy oraz przekleństwa, usiłując przekazać to, o co mu chodziło.

- Ach, dedukuję, że nie byłoby to pożądane; proszę bardzo.

Nagle młodzieniec został raptownie na nowo zalany wrażeniami zmysłowymi z całego ciała, zupełnie jakby się konwulsyjnie ocknął z koszmaru - albo wewnątrz takowego. Dygocząc, kaszląc, czując swędzenie, niezgrabnie wygramolił się z fotela chirurgicznego i zobaczył, że Drazuma-Ha* unieruchomił Kompozycjonistę za pomocą mikropolowej macki, która owinęła się wokół ust i szyi Henkayanina. Wściekłość sprawiła, że oblicze tego ostatniego pokryło się plamami i mimo mikropolowego knebla wciąż próbował krzyczeć oraz grozić, co tłumaczyło, skąd się brało owo stłumione gardłowe mamrotanie.

- Jak ci się udało...? - zaczął Kao Czi, ale atak kaszlu zmusił go do zamilknięcia.

- Odzyskać wolność? No cóż, nasi gospodarze, którzy mają o sobie bardzo wysokie mniemanie, byli przekonani, że udostępnienie naszej porywaczce specyfikacji budowy Strigidów zagwarantuje sukces. Nie przyszło im do głowy, że na przestrzeni kilku tysięcy lat mogłem wprowadzić kilka własnych modyfikacji, na przykład poprawić swoją sieć zasilania, jak również dodać liczne zapasowe obwody w kluczowych systemach. Dzięki temu zdołałem uruchomić kluczowe funkcje w trybie awaryjnym, unieczynnić siatkę stagnacyjną i uwolnić się.

Kao Czi popatrzył w dół, na ziejący w posadzce długi otwór.

- No cóż, udało się, to fakt. Co teraz zrobimy?

- Wydostanie się z tej kosmicznej katowni byłoby optymalną opcją - odrzekł Drazuma-Ha*. - Udało mi się włamać do sieci bezpieczeństwa i zatrzasnąć grodzie pomiędzy

modułami, ale to będzie działać tylko tak długo, dopóki tamci nie podepną obejścia.

Kao Czi wbił wzrok w Kompozycjonistę Henacha, którego wściekłość ani trochę nie osłabła.

- Czy ten statek ma kapsuły ratunkowe?

- Owszem, niewielką liczbę w każdym module, ale gdybyśmy się wystrzelili w jednej z nich, mogliby bez trudu wysłać łódź ratowniczą, żeby ją sprowadzić z powrotem.

- Nie my wejdziemy do kapsuły - odrzekł Kao Czi - tylko on.

- Manewr odwracający uwagę, bardzo dobrze, jeśli tylko zadbamy o to, by komzestaw kapsuły nie działał. Potem, jak zakładam, skierujemy się w stronę pierścienia dokowania i twojego statku.

- Dokładnie tak. Jeśli jesteś w stanie udawać, że przytrzymujesz mnie mikropolami, możemy udawać strażnika i więźnia.

- Mam lepszą propozycję - odparł Drazuma-Ha*, a wokół niego uformowała się migocząca aura, wydłużyła się, zmieniła zarysy, zawirowała kolorami... i nagle Kao Czi patrzył na dwóch Kompozycjonistów Henachów, przy czym ten prawdziwy wpatrywał się z nieskrywaną nienawiścią w sobowtóra.

Kao Czi uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wygląd jest idealny. Czy jesteś też w stanie mówić jak on?

- Oczywiście, nędzny Ziemianinie! - odrzekł mech głosem Kompozycjonisty. - Moje zdolności wokalnego naśladownictwa są niezrównane!

- W takim razie ruszajmy zrealizować nasz plan...

- Może lepiej zabierz to ze sobą - stwierdził Drazuma-Ha*, rzucając w powietrze srebrzysty obiekt, który Kao Czi złapał. Był to spłaszczony owal, z którego wystawały dwie sprężyste końcówki, mające na czubkach kulki z dołeczkiem pośrodku. - Tego właśnie użył na tobie nasz kolega: neurobloker. Może się przydać, jeśli napotkamy trudności.

Z pomieszczeń augmentacji nie było daleko do niskiej, wąskiej komory, gdzie znajdowały się kapsuły ratunkowe, i nigdzie nie było widać strażników. Wyglądało na to, że kiedy Drazuma-Ha* odciął moduły, przy okazji zamykając też zamki wszystkich sal operacyjnych, większość strażników znajdowała się w sąsiednim module, zajęta poszukiwaniem zbiegłego drona.

Gdy już komsystem kapsuły został zablokowany, prawdziwy Kompozycjonista Henach wylądował w środku, a jego wściekłe ryki stłumił zatrzaśnięty właz. W niszy ściennej znajdowała się ręczna dźwignia uwalniająca kapsułę i Kao Czi szarpnął ją z wielką przyjemnością. Rozległo się głucho uderzenie, potem przeraźliwy syk i kapsuła odskoczyła od

statku-matki; z małych dysz w jej podwoziu wydobywały się spaliny. Odezwał się kolejny alarm, więc schyleni pobiegli z powrotem w stronę chodnika i prędko skierowali się do drzwi prowadzących do następnego modułu. Ukryty pod postacią Kompozycjonisty mech zatrzymał się w pobliżu, żeby otworzyć klapkę w panelu ściennym, odsłaniając łącza danych, i zmodyfikować status dostępu do modułu. Gdy drzwi się otwały i do środka z krzykiem wpadli strażnicy, Kao Czi przybrał apatyczny wygląd, ze zwieszoną głową i bezmyślnym wyrazem twarzy.

- Kompozycjonisto Henachu! - zawołał sierżant straży, gniewny Gomedranin o kłach lśniących od śliny. - Opuściłeś swój...

- Nie zatrzymuj mnie, kretynie! Ten wyśwag musi zostać wymazany, zgodnie z rozkazem Gromiciela Vuzayela!

- Ale, panie, czy to jest ten Człowiek, którego dopiero co przywieziono? Jego maszyna wywołała wiele zamieszania...

- Śmiesz mnie nazywać głupcem? Śmiesz?! To inny Człowiek; uciekinierzy używają kapsułek ratunkowych, kretynie!

- Rozumiem, pojmuję...

- Dlaczego czekasz, aż uciekną?

Kuląc się w obliczu tak porażającego gniewu, gomedrański sierżant zsalutował i prędko się oddalił, a Kao Czi i Drazuma-Ha* podążyli do następnego modułu. Nikt ich nie zatrzymywał, gdy wspinali się po rampie na pomost biegnący wzdłuż pierścienia dokowania. Był tam kolejny gomedrański strażnik, który zażądał, by się opowiedzieli, ale milczący, powłóczywszy nogami Kao Czi zdołał się znaleźć w odpowiedniej pozycji, żeby móc go błyskawicznie zaatakować neuroblokerem.

Proszę, jakie przydatne urządzenie, pomyślał, chowając gadżet do kieszeni, po czym przestąpił nad nieprzytomnym strażnikiem. Szkoda, że nie miałem takiego na wyposażeniu, zanim Cora wprosiła się na pokład.

Drazuma-Ha* użył mikropolowej macki, żeby obejść zabezpieczenia pierścienia i otworzyć właz. Kilka chwil później znaleźli się w znajomym, ciasnym i cokolwiek smrodliwym otoczeniu, to znaczy w kokpicie *Kasztelana*.

- Gouczy, ustawiłem zwolnienie zacisku dokowania po dwóch minutach - powiedział mech, który zdążył już powrócić do swej zwykłej, zaokrąglonej z dwóch końców, pozbawionej rysów postaci. - Radziłbym ci przypiąć się pasami do fotela, bo przygotowuję główne silniki rakietowe do tego, żeby szybko dać pełny ciąg...

Jeden z wygaszonych ekranów na konsoli na moment zamrugał zakłóceniami, po czym

ukazał przywódcę Chaurixan, Kiskashińczyka Vuzayela.

- Przyjaciele, czemu pragniecie nas opuścić tak szybko? Mamy jeszcze tak wiele do przedyskutowania, a wolałbym wymianę słów od wymiany ognia...

Kasztelan zakolysał się i odczepił od pierścienia dokowania. W następnej chwili przyśpieszenie wcisnęło Kao Cziego w fotel, zmuszając młodzieńca do łapania z trudem oddechu, gdy przeciążenie zgniatało mu klatkę piersiową. Chciał pokazać wizerunkowi Vuzayela obsceniczny gest, ale Drazuma-Ha* zerwał połączenie.

- Paskudny stwór - powiedział Kao Czi.

- I paskudne miejsce, Drazumo-Ha*. Jak szybko możemy stąd odlecieć... och, ale czy mamy jakiegokolwiek nadające się do użytku dane kursu?

- Właśnie sprawdzam... interesujące, rozpoczęli już wprowadzanie do systemów nawigacyjnych kilku zestawów danych kursu, tylko po to, żeby służyły jako szablony.

- A więc te dane kursu są nieaktualne? - zapytał Kao Czi, czując, że ogarnia go rezygnacja.

- Zdezaktualizowane o jakieś trzydzieści sześć do czterdziestu ośmiu godzin.

Kao Czi jęknął.

- Ćwiczyliśmy to już, gdy próbowaliśmy uciec z Czarnego Gniazda! Czy będziemy zmuszeni dokonać następnego skoku na oślep między gwiazdy?

- Może do tego dojść, Gouczi, zakładając, że zdołamy uciec przed małymi jednostkami, które w tej chwili nas doganiają.

Ekran przed Kao Czim przełączył się na widok z tylnej kamery, pokazujący dwa jaskrawo świecące obiekty podążające za nimi - perspektywa przeskoczyła bliżej jednego z nich, ukazując łódź w kształcie klina z dużym tylnym napędem wirnikowym i dwoma ramionami osadzonymi na łożyskach kardanowych, przy czym jedno zakończone było chwytymi szczypcami, drugie zaś wiertłem.

- Łodzie złomiarskie wyposażone w zmodyfikowane silniki - powiedział Kao Czi. - Ale *Kasztelan* powinien być w stanie zostawić je z tyłu.

- Byłaby to prawda, gdybyśmy nie kierowali się w stronę pola szczątków.

Kao Czi popatrzył do góry, w okienko kokpitu, dokładnie w momencie, gdy Drazuma-Ha* gwałtownie przechylił statek, żeby uniknąć zderzenia z kawałem wraku wielkości domu, z którego wystawały poskręcane wręgi oraz zapadnięte fragmenty pokładu i grodzi. Dalej przed nimi, rozszerzający się, jaskrawy półksiężyc planety przesłaniała ogromna chmura szczątków. Młodzieniec wiedział, że będą zmuszeni zmniejszyć prędkość, aby uniknąć fatalnego w skutkach zderzenia, podczas gdy łodzie złomiarskie mogły wykorzystać swoją

większą zdolność manewrowania, żeby się do nich zbliżyć. Nie po raz pierwszy pożałował, że *Kasztelan* nie dysponuje jakimś porządnym uzbrojeniem.

- Czy możemy ich staranować? - spytał. - Albo nawet wykorzystać nasze główne silniki raketowe jako broń? Swego rodzaju...

- Kreatywne propozycje, Gouczy - odrzekł mech. - Nawet jeśli nieco fantastyczne. Z drugiej strony, moglibyśmy też przyspieszyć wzdłuż trajektorii, którą wytyczyłem przez najmniej zaśmiecone obszary, i dzięki temu umknąć ścigającym.

Czując przyływ optymizmu, Kao Czi wskazał okienko kokpitu.

- A zatem naprzód, szacowny Drazumo-Ha*!

Mech przygasił silniki raketowe, które zagrały przerywanym, stłumionym buczeniem.

- Musimy ominąć to przybliżające się gęste skupisko śmieci, a potem zmienić wysokość...

Przed sobą młodzieniec widział fragment wygwieżdzonej ciemności, gdzie niepodobne do gwiazd punkty i drzazgi odbitego światła słonecznego wisiały niczym olbrzymia, groźna ławica po stronie ich sterburty. Gdy *Kasztelan* zniżył lot, migocząca ciemna ławica przemieściła się, wypełniając okienko, potem jednak ponownie odsunęła się ku sterburcie, gdy dryfujący bokiem statek znalazł się w jednej linii z trajektorią, którą wytyczył dla niego Drazuma-Ha*. Ułynęła jeszcze jedna długa chwila, w czasie której rzut oka na ekran wyświetlający widok za rufą pokazał ścigających, jak wymijają poszarpane kawałki złomu, zbliżając się coraz bardziej. Potem silniki włączyły się ponownie, a Kao Czi został wgnieciony w fotel przez przyspieszenie, kiedy *Kasztelan* wystrzelił naprzód. Młodzieniec miał już wydać okrzyk radości, gdy statek zatrzęsł się, jakby coś w niego uderzyło od spodu.

- Co...

- Wyrównuję odchylenie od kursu - powiedział mech.

Potem z komsystemu dobiegł znajomy głos.

- Hej tam, KC. Pomyślałam sobie, że do was dołączę...

Drazuma-Ha* przełączył widok z kamer zewnętrznych na spodnią stronę statku i ujrzeli tam kolejną z przerobionych łodzi złomiarskich, przyczepioną do kadłuba hakami indukcyjnymi, podczas gdy jedno z kardanowo umocowanych ramion sięgało ciężkimi szczypcami do pobliskiego elementu konstrukcyjnego.

- Bardzo mnie rozczarowałaś, KC, przez ciebie znalazłam się też w nielasce u moich panów; kazali mi sprowadzić cię z powrotem albo nie wracać wcale... och, jak mi przykro, czy to było coś ważnego?

Zabrzmiało wysokie pikanie, a na konsoli zamigotały czerwone symbole. Na ekranie

pokazującym widok zewnętrzny te wyciągnięte szczypce trzymały oddarty fragment obudowy.

- Pomocniczy wlew paliwa - powiedział Drazuma-Ha*. - Odciałem go. Ona mówi do nas na proksymalnym kanale hełmu, Gouczy. Mam go wyłączyć?

Kao Czi potrząsnął głową, wyciągnął rękę i dotknął palcami przycisku odpowiedzi.

- Coro, zamiast nas atakować, czemu nie zabierzesz się z nami?

- Doceniam ofertę, KC, ale muszę dbać o swoją reputację na użytek tych, którzy korzystają z moich usług: rozumiesz, nie ma reputacji, nie ma zleceń...

Kao Czi wbił wzrok w okienko, puszczał przycisk odpowiedzi.

- Drazumo-Ha*, czy tor naszego lotu biegnie obok jakichś brył złomu o pokaźnych rozmiarach i czy możesz tak zmodyfikować nasz kurs, żebyśmy przelecieli blisko jednej z nich?

- Jak blisko, Gouczy?

- Bardzo blisko. I czy możesz nas tak ustawić, żebyśmy, przelatując obok, obrócili się o sto osiemdziesiąt stopni?

- Tak. Właśnie namierzam odpowiednią bryłę; dziewięćdziesiąt sekund do manewru mijania od... teraz.

- Rozumiesz mój zamiar, Drazumo-Ha*?

- Jak najbardziej, Gouczy.

Było to jedyne rozwiązanie, jakie im pozostało, i musieli je wybrać, bo Cora była zdeterminowana sprowadzić ich z powrotem, albo zabić, próbując tego dokonać. Bo Kao Czi miał już dość bycia jeńcem, towarem czy jakimś narzędziem, które można wykorzystać, a potem wyrzucić. Bo miał misję, bo jego rodzina, przyjaciele oraz wszyscy tam w Gromadzie Ludzi zaufali mu.

Przed nimi rosło matowe brązowe oblicze bezimiennego świata, widoczne przez wszystkie rozproszone chmury orbitującego złomu. Układ Shafis był cmentarzem i już za chwilę miał do niego dołączyć kolejny wrak.

Z dołu zaczęło dobiegać stłumione wycie; podobnie jak tamte ścigające droidy w Czarnym Gnieździe, Cora próbowała rozwiercić powłokę kadłuba.

- Trzydzieści sekund do manewru mijania - oznajmił mech. - Piętnaście do rozpoczęcia beczki.

Kao Czi z kamiennym wyrazem twarzy wcisnął kciukiem guzik odpowiedzi.

- Coro - powiedział - przykro mi...

W okienku brązowa planeta zaczęła się obracać. Ciemna, lśniąca masa okręciła się i

gwałtownie przybliżyła, a w kabinie rozdzwiewały się brzęczyki ostrzegające przed zderzeniem.

- No cóż, KC, to tobie będzie... ty gnoju, KC, ty gn...!

Jej głos gwałtownie umilkł wśród trzasku zakłóceń, a równocześnie donośny metaliczny zgrzyt odbił się echem na całym statku. Kiedy młodzieniec popatrzył na monitor pokazujący widok z kamer zewnętrznych, łódź złomiarska zniknęła, pozostawiając po sobie tylko poskręcane wiertło wraz z fragmentem obudowy. Widać też było liczne zadrapania i wgniecenia w płytach kadłuba, ale nic poważnego nie wywoływało ostrzeżeń na głównej konsoli.

- Dobrze przemyślana taktyka, Gouczy - pochwalił Drazuma-Ha*.

- Tak - odrzekł. - I pozbawiona litości. Poza jednym z więźniów Chaurixan, ona była jedynym Człowiekiem, jakiego spotkałem, odkąd opuściłem układ Rougów.

- Odrzuciła twoją ofertę, Gouczy; nie mieliśmy żadnej innej opcji. Ale śledzę tor lotu oraz zachowanie jej jednostki i na tej podstawie wnioskuję, że mogła przeżyć kolizję...

Kao Czi ożywił się na te słowa.

- Jakie zachowanie?

- Jednostka złomiarska opada ostrym łukiem w stronę planety, ale wygląda na to, że odpalenie silników pozycyjnych ustabilizowało jej lot... ach, teraz coś z niej wystrzeliło, ale też opada ku powierzchni planety, choć po dużo płytszej trajektorii.

Kao Czi opadł na fotel, czując dziwną ulgę.

- Wyglądasz na uszczęśliwionego, Gouczy, mimo jej prób zniewolenia bądź zabicia nas. Możliwe też, że Chaurixanie mimo wszystko zdołają ją pochwycić i wymierzyć jej karę.

Wzruszył ramionami.

- Po prostu cieszę się, że przeżyła, Drazumo-Ha*. Nie chcę mieć niczyjej śmierci na sumieniu.

- Godne pochwały, nawet jeśli cokolwiek niepraktyczne zamierzenie, Gouczy.

- Czemu niepraktyczne?

- Z obserwacji oraz doświadczenia mogę stwierdzić, że byli, są i zawsze będą tacy, którzy nie mają nic przeciwko używaniu siły, żeby zyskać to, czego chcą; sprzeciwienie się im oznacza konieczność odpowiedzenia siłą, co nieuchronnie prowadzi do ofiar.

- A co z wykorzystaniem w walce sprytu i metod nieobejmujących użycia siły? - spytał Kao Czi.

- Zarówno jedno, jak i drugie może jak najbardziej stanowić wystarczający środek obrony, jeśli atakujący dysponują znacznie mniej rozwiniętą techniką niż ci, którzy są

atakowani. Jednakże wyższy poziom zaawansowania technologicznego nie stanowi żadnej gwarancji sukcesu.

- Co mi o czymś przypomina - odezwał się Kao Czi, patrząc na widok z kamer zewnętrznych. - Czy nadal jesteśmy ścigani i jak długo to potrwa, zanim będziemy mogli zaryzykować skok w hiperprzestrzeń?

- Ci, którzy nas ścigali, dali już za wygraną. Wygląda na to, że jeden z nich zderzył się z bryłą złomu, doznając uszkodzeń, które uniemożliwiły mu dalszy lot, a drugi teraz holuje go z powrotem do chaurixańskiego statku-matki. Gdy chodzi o skok w hiperprzestrzeń, za mniej więcej dwie minuty opuścimy najgęstszy obłok śmieci, co odciąży tę część systemów statku, która w tej chwili zajmuje się śledzeniem brył i nawigacją między nimi. Wówczas będziesz musiał dokonać wyboru.

Kao Czi westchnął.

- Czy będzie to wybór między opcją ryzykowną a ogromnie niebezpieczną?

- Trafnie podsumowane, Gouczy. Ten układ gwiazdny leży blisko krawędzi strefy głębinowej Huvuun, a cel twojej wyprawy, świat o nazwie Darien, znajduje się gdzieś w głębi tego zamglonego obszaru.

Drazuma-Ha* wyświetlił schemat ich najbliższego galaktycznego otoczenia. Układ Shafis był jaskrawym punkcikiem świetlnym w miejscu, gdzie jasnozielony klin - Domena Yamanon - spotykał się z amorficzną, sepiową mgłą Huvuun.

- Matryca nawigacyjna zawiera sześć szablonów kursu, ale jedyny, który może się nam do czegoś przydać, jako cel podróży podaje Yonok, brolturański świat w pobliżu granicy z Żyźnią Kahimbryk.

Na ekranie linia neonowej czerwieni połączyła Shafis z innym jaskrawym punkcikiem po przeciwnej stronie wąskiego szarego terytorium, które oddzielało przestrzeń Yamanonu od zaznaczonego na niebiesko obszaru Jedności Brolturańskiej. Wewnętrzne granice wszystkich trzech przylegały do strefy głębinowej Huvuun.

- Najpierw podaj mi opcję ogromnie niebezpieczną - polecił Kao Czi.

- W tym wariacie polecamy systemom nawigacyjnym oszacować, gdzie znajdują się najbliższe lokalne boje pierwszego poziomu hiperprzestrzeni, a potem wytyczyć przypuszczalną izorientację, którą powinniśmy przyjąć, dokonując skoku w kierunku Yonok.

Kao Czi zadrzał. Brzmiało to bardzo podobnie do ich ucieczki z Czarnego Gniazda, a wtedy mieli wielkie szczęście, że trafili w pobliże Otwartego Portu Tagreli, zamiast wylądować w samym środku pustki, albo gorzej - w nieprzyjaznym otoczeniu. Bez dwóch

zdań, nierozsądnie byłoby drugi raz liczyć na równie szczęśliwy traf.

- A opcja zaledwie ryzykowna?

- Systemy nawigacyjne wyznaczają przybliżoną lokalizację najbliższej boi na pierwszym poziomie hiperprzestrzeni, która, zgodnie z notatkami w szablonie kursu, odpowiada mniej więcej przestrzeni Kahimbryk, plus lub minus pięć procent. Kiedy dotrzemy do tej boi, wychodzimy z hiperprzestrzeni i kierujemy się do najbliższego ośrodka handlowego, żeby sprawdzić, czy uda się nam pozyskać dane kursu do tego Dariena.

- Błędy kursu? - wymamrotał Kao Czi.

- Dokładnie, i właśnie dlatego skłaniam się ku tej drugiej opcji: krótszy skok w hiperprzestrzeni oznaczałby mniej czasu na zwiększenie odchyień. Poza tym, nawet gdyby udało się nam bezpiecznie dotrzeć na Yonok, Brolturanie raczej nie byłiby skłonni potraktować nas przyjaźnie.

Kao Czi kiwnął głową.

- W porządku, zostajemy przy opcji zaledwie ryzykownej.

- Obliczenia powinny być gotowe za mniej niż minutę - oznajmił mech.

A kiedy ta chwila nadeszła, młodzieniec odchylił się w fotelu, mocno opierając głowę o wyściełany zagłówek, z całej siły chwytając podłokietniki i zaciskając zęby.

Przynajmniej tym razem żadne rozszalałe droidy nie próbują rozerwać statku na kawałki i żadne piękne porywaczki nie gnają z nami na koszmarny statek tortur chirurgicznych, pomyślał, gdy fale siłowe zaczęły wzbierać w polach tesseractowych w rdzeniu hipernapędu *Kasztelana*. Ale dam głowę, że coś będzie na nas czekało za następnym rogiem.

Jakieś piętnaście godzin po ujrzeniu, jak ambasador Ziemi sfery znika w wirze roziskrzanej energii, Teo Karlsson szedł na piechotę wzdłuż północnego brzegu Loch Morwen. Wędrował już od kilku godzin, odkąd zszedł stromymi ścieżkami z grzbietów górskich ciągnących się na zachód od Ramienia Olbrzzyma, i jego stopy gwałtownie domagały się odpoczynku. Wiedział, że gdzieś w tych okolicach znajduje się garbarnia, a mniej więcej milę dalej zatoczka, gdzie czekało go umówione spotkanie z jednym z lokalnych kontaktów Rory'ego, który miał go przewieźć nadbrzeżną drogą do bezpiecznego domu na skraju miasta. Coś do zjedzenia, może nawet prysznic, a potem trochę czasu, żeby usiąść i na spokojnie ocenić sytuację przed ruszeniem dalej - to było wszystko, czego potrzebował.

Do jego nozdrzy właśnie dotarł pierwszy podmuch drażniącego odoru garbarni, kiedy w wewnętrznej kieszeni jego kurtki zadzwonił kom. Teo wygrzebał go, zobaczył numer dzwoniącego i w przyływie gniewu odpowiedział gwałtownie:

- Co?

- Ach, majorze, chyba nie zadzwoniłem w nieodpowiedniej chwili?

Zrelaksowany, pewny siebie głos mówiący po noranglicku jakby z nieznacznym rosyjskim akcentem. Milczący, odkąd tamte bomby wybuchły na Placu Założycieli, to był prowokator, narzędzie w rękach Kurosa, zamachowiec.

- Czego chcesz?

- Pogratulować panu, majorze. To było coś wspaniałego, jak udało się panu sprzątnąć Horsta Brolturanom sprzed nosa. Ciekawi mnie, co pan z nim teraz zrobi: osobiście doradzam egzekucję.

- Doprawdy?

- Jest zdrajcą Ziemi, majorze, zdrajcą Ludzkości. Przez całe dekady on oraz jemu podobni zamieniali naszą rasę w płaszczących się, ogłupionych sługusów Hegemonii i doprowadzili do tego, że jesteśmy uznawani za podrzędny gatunek.

- Ach, znowu ten aspekt czystości rasowej - powtarzasz się w swoich obsesjach.

- Zgadza się, majorze. Frakcja Wolny Darien obsesyjnie dąży do godzenia w tych, którzy utrudniają realizację naszych celów; usunął pan osobę, która była pierwsza na naszej liście, więc teraz możemy się zająć drugą, Wysokim Obserwatorem Kurosem.

Teo się zaśmiał.

- Dalej serwujesz ten propagandowy bełkot FWD, synu? Cóż, na twoje nieszczęście, wiem, że jesteś tylko sabotażystą i zbirem Kurosa albo kogoś z jego otoczenia, więc oszczędź mi fałszywej buntowniczości rebelianta...

- Co za pech. Najwyraźniej ich psychoperatorzy zdołali jakimś sposobem na pana wpłynąć, majorze...

- Wiesz, co przede wszystkim na mnie wpłynęło? To, co zobaczyłem na nagraniu z przybycia brolturańskiego ambasadora. Pamiętasz agenta, którego umieściliście wśród eskorty Kurosa? Tamta strzelanina i wybuch granatu, wystarczająco dużo dymu i zamętu, żeby wasz człowiek mógł szybko zrzucić mundur OKD i powrócić jako Ezgara? Widziałem to...

- Najczystsze wymysły, majorze.

- Niepotrzebnie sobie zdzierasz gardło; wiem, co widziałem.

- Próba przekonywania kogoś tak gruntownie omamionego jak pan nie ma sensu, niemniej mam dwie drobne informacje, które mogą się panu przydać. Przede wszystkim powinien pan mieć świadomość, że dziś wczesnym rankiem Brolturanie wydali nakaz aresztowania pana, a krótko potem podobny nakaz ogłosiła też policja Hammergardu.

- Nic zaskakującego, wiadomo było, że to zrobią - odparł Teo. - Przykro mi, musisz się bardziej postarać.

- Dobrze, majorze, więc co pan powie na to? Pół godziny temu sekcja wywiadu OKD znana jako K5 aresztowała pańską siostrę i zabrała ją do ich biur mieszczących się w budynkach Zgromadzenia. Więc musi pan sobie zadać pytanie, czemu miałbym to panu mówić, gdybym był pana wrogiem?

Zanim Teo zdążył odpowiedzieć, połączenie zostało zerwane. Spiorunował wzrokiem milczący kom.

- Bo chcesz, żebym pośpieszył do Hammergardu, prosto w pułapkę, ty *lausunge!*

To jednak nie zmieniało faktu, że informacja brzmiała wiarygodnie, zwłaszcza jeśli Teo był teraz poszukiwanym przestępcą. Wiedział, że jest to prawie na pewno prawda, i nie tylko w odniesieniu do niego samego - zeszłej nocy, gdy opuszczali Ramię Olbrzyma leśną ścieżką (po tym, jak wizyta brolturańskiego wojska zmusiła ich do spędzenia w tym kamiennym grobowcu ponad czterech godzin), ostrzegł Rory'ego, Barneya i braci Firmanow, że do tej pory organy sprawiedliwości na pewno dysponują już opisami ich wszystkich i że pozostanie w ukryciu jest jedynym rozsądnym wyjściem. Rory miał zabrać Barneya na północ do chaty Biesonowa w pobliżu Wysokiego Lochiel, potem zaś wrócić do Hammergardu; Firmanowowie dostali polecenie, żeby zabrać van pełen zapasów z garażu nieopodal

Lądowiska i jechać do chaty, by tam spotkać się z Rorym. Po tym, jak Horst został zgarnięty przez nieznaną diabelstwo, które czaiło się w komorze pod górą, odbyto kilka rozmów przez komy, plany zostały wdrożone, a pewna liczba Charakternych opuściła swe domy pod osłoną nocy.

Tymczasem Teo tak czy owak zmierzał do Hammergardu, bo niezależnie od tego, co się szykowało, musiał się dostać do Sundstroma, żeby zrelacjonować, co spotkało Horsta oraz dowiedzieć się, jaki ma być ich następny ruch. Wszelkie kompołączenia z budynkiem Zgromadzenia bądź willą prezydenta niewątpliwie ściśle monitorowano, więc w grę wchodziło tylko spotkanie twarzą w twarz, w czasie którego Sundstrom będzie też musiał wyjaśnić, czemu Solvjeg została aresztowana.

Okrażył garbarnię z jej stawkami pokrytymi kozuchem glonów oraz grzędami korzeni filtracyjnych, i mniej więcej milę dalej odnalazł zatoczkę. Starszy mężczyzna o wygarbowanej słońcem i wiatrem twarzy, ubrany w gruby ciemnoniebieski marynarski płaszcz, siedział za kierownicą obdrapanego krętovana. Wymienili hasło i odzew, Teo wsiadł i wkrótce jechali już drogą do Hammergardu. Surowo wyglądający starszy człowiek mówił po noranglicku z wyraźnym norweskim akcentem, mimo że na imię miał Siergiej. Był też wyjątkowo małomówny i w trakcie półgodzinnej podróży Teo nie zdołał z niego wydobyć prawie nic, ale gdy już dotarli do jego chatki na zaokrąglonym grzbiecie wznoszącym się nad jeziorem, okazał się niezmiernie gościnnie. Po gorącym prysznicu i zmianie ubrania, na Karlssona czekał smaczny posiłek złożony z pieczonej ryby i warzyw, a do tego solidny kieliszek rumu i wino imbirowe, które pozostawiły Teo z wrażeniem zadowolenia, jakiego nie odczuwał już od jakiegoś czasu.

Potem, gdy szykował się do wyjścia, Siergiej stanął naprzeciw niego, z miną równie surową jak wcześniej, i rzekł:

- Wykopcie ich z naszego świata, majorze, te sendrukańskie *gadiuki*; pošlijcie ich do wszystkich diabłów!

Mocno uściskał rękę Teo, niemal miażdżąc mu kości, zanim się rozstali, i Teo ruszył dalej drogą, aż dotarł do dużego skrzyżowania.

Tam wsiadł do krętobusu zmierzającego do centrum miasta. Miał na sobie długi, podniszczony płaszcz, a pod nim solidny wełniany pulower i drelichowe robocze spodnie wpuszczone w grube skarpety z wełny. Zarówno płaszcz, jak i spodnie pokryte były smugami i rozbryzgami błota, błoto oblepiało też jego wojskowe buty. Na głowę założył zakurzony kapelusz z miękkim rondem, a obrazu dopełniała para małych, okrągłych okularów mających zamiast soczewek zwykłe szkło. Całość znacznie różniła się od jego zwykłego stroju i

pozostawało mieć nadzieję, że pozwoli mu dotrzeć aż do jednego z wejść do gmachu Zgromadzenia. Znalazłszy się tam, zamierzał polecić jednemu z kurierów, żeby przekazał wiadomość pewnej urzędnicze administracji współpracującej z Charakternymi; już zgodziła się ona przemycić Teo przez ściśle systemy zabezpieczeń i na górę, do magazynu znajdującego się w pobliżu biur prezydenta. Potem odegra rolę łącznika i zaaranżuje spotkanie.

Sundstrom nie wiedział, że Teo zamierza się zjawić, ale Teo wiedział, że prezydent będzie na miejscu - odkąd wydano nakaz aresztowania Horsta, a zaraz potem ambasador zniknął, prezydent i rada ministrów obradowali niemal bez przerwy w trybie nadzwyczajnym, informując Zgromadzenie o wszystkich nowych ustaleniach. W ostatnim serwisie informacyjnym, jaki Karlsson zdążył obejrzeć na widzie, zanim wyszedł od Siergieja, powiedziano, że pozostali ministrowie śpieszą z powrotem do Hammergardu, żeby uczestniczyć w obradach. A znając Sundstroma, Teo domyślał się, że prezydent prawdopodobnie ma też pod ręką kilku reporterów.

Przez okno krętobusu widział żołnierzy piechoty kosmicznej Ziemosfery oraz OKD, którzy wspólnie patrolowali ulice dwójkami i czwórkami - jedni pieszo, inni w wojskowych krętransporterach. Przybywało ich w miarę, jak zbliżał się do Placu Założycieli. Kiedy krętobus zatrzymał się w pobliżu małego parku, Teo wysiadł i szedł dalej na piechotę, bo jego wrodzona ostrożność została jeszcze spotęgowana przez tamten telefon od sabotażysty FWD.

Szedł w górę ulicy Stefanowicza, jednej z głównych ulic prowadzących w stronę placu, i właśnie minął długi rząd stoisk z kwiatami, kiedy jego kom zadzwonił dwukrotnie i zamilkł, sygnalizując, że przyszła wiadomość głosowa. Teo wyjął go, wcisnął „odsłuchaj” i podniósł urządzenie do ucha.

- Teo, tu Donny; gdy tylko odbierzesz tę wiadomość, wyłącz swój kom, wyjmij baterię, a potem poszukaj schronienia, zejdź z widoku.

Wiadomość dobiegła końca. Głos brzmiał zupełnie jak głos Donny'ego, a wypowiedź była w jego stylu. Czując łomotanie serca, Teo stłumił chęć rozejrzenia się, spokojnie wsunął kom do kieszeni i wyłączył go jedną ręką. Potem jakoś zdołał zsunąć tylną część obudowy i wyłuskać ze środka baterię. Równocześnie zatrzymał się, udając, że ogląda niektóre z kwiatów w wiaderkach, po czym cofnął się i przeszedł między straganami, aż znalazł się w uliczce z licznymi łukowato sklepionymi pasażami po bokach. Po przebyciu krętej trasy, z parokrotnym zawracaniem oraz mnóstwem czujnych spojrzeń rzucanych do przodu i za siebie, znalazł się w końcu w bramie przy bocznej ulicy prowadzącej na plac. Główne wejście do gmachu Zgromadzenia wychodziło na Plac Założycieli, gdzie znajdowały się ocienione

drzewami trawniki, kamienne ławki, pomnik Pojednania, a po przeciwnej stronie - dworzec zeplinów. Szczątki zniszczonych wież cumowniczych już usunięto i teraz wokół budynku terminalu stały obwieszane płachtami rusztowania, a do uszu Teo dolatywały wyraźne dźwięki wiertarek udarowych i pił.

Odetchnął głęboko, zbierając się w sobie. Zaraz za rogiem znajdowało się boczne wejście do gmachu Zgromadzenia - zwyczajnie wyglądające drzwi z szyldem głoszącym „Spis wyborców”, które jednakże pozwalały też dostać się do ogólnodostępnych korytarzy na parterze. Teo wyszedł z bramy, ale zatrzymał się, kiedy usłyszał za sobą przybliżający się tupot biegnących stóp. Od niechcenia oparł się o ścianę budynku - był to duży sklep o nazwie Sachnussems - i zerknąwszy do tyłu, ujrzał, że śpieszy ku niemu Donny Barbour. Karlsson nieufnie odwrócił się ku niemu i skinął głową.

- Nie możesz tam wejść, Teo. Przekabacili twoją pośredniczkę, zabrali i ukryli jej dzieciaki, żeby ją zmusić do współpracy.

Teo zaklął.

- Kto to zrobił?

- Ci sami, którzy aresztowali twoją siostrę, ta cała banda z K5; to ściśle tajna jednostka wywiadu, ale ich dowódca podobno zaczął działać na własną rękę i potajemnie wydaje rozkazy swoim agentom. Zakładamy, że on i być może część jego ludzi pracują teraz dla Kurosa, ale nie mamy na to żadnych dowodów, więc szef wywiadu OKD zezwolił agentom K5, którzy ją aresztowali, na przeprowadzenie przesłuchania...

- Niebiosa mi świadkiem, Donny, jeśli zrobią jej krzywdę, pozabijam ich!

- Uspokójże się, człowieku; została przywieziona mniej niż godzinę temu. Sundstrom wie o tym i robi wszystko co może, żeby doprowadzić do jej uwolnienia, ale fakt, że jesteś podejrzany o udział w zniknięciu ambasadora Horsta, ciut utrudnia sprawę!

Teo potrząsnął głową, niemal warcząc z wściekłości i frustracji.

- To o co chodziło z wyłączaniem koma? - spytał.

- Wywiad OKD zdobył dziś rano identyfikator sygnału twojego koma i próbują go wysledzić. Ich techniki namierzania są dość prymitywne, ale Brolturanie dysponują lepszymi; powiedziano mi, że można użyć sieci kom-hub, żeby zlokalizować pojedynczy kom, tak długo, dopóki bateria znajduje się w środku i urządzenie jest włączone.

- Dobra, to jaki jest nasz następny ruch? - spytał Teo. - Nie zostawię Solvjeg tam w środku...

- Wszystko po kolei - odrzekł Donny. - Gdzie jest Horst? Nic mu się nie stało?

Teo zgrzytnął zębami, przegarnął palcami włosy, jakby zamierzał wyrwać ich garść.

Jak, do diabła, mam mu opowiedzieć tę historię?

- Prawdę powiedziawszy, nie wiem.

Donny zmierzył go twardym spojrzeniem.

- To ty go zabrałeś znad Wodogrzmotów Gangradur zaledwie wczoraj; jakim cudem nie wiesz teraz, gdzie jest?

- Wiem, gdzie ostatni raz go widziałem.

- To znaczy gdzie?

- W ukrytej komorze pod świątynią na Ramieniu Olbrzyma - odparł Teo, po czym opowiedział pokrótce o tym, czego był świadkiem poprzedniej nocy w tamtej zimnej czarnej krypcie.

Marszcząc w skupieniu czoło, Donny słuchał uważnie i ku zaskoczeniu Karlssona nie zareagował ani gniewnie, ani kpiąco. Zamiast tego kiwnął w zamyśleniu głową.

- Sundstrom wspomniał kiedyś, że Uvovo mają własne plany dotyczące ruchu oporu - powiedział. - Ciekawe, czy to właśnie miał na myśli...

- W każdym razie to jest dokładnie to, co się stało. Pomów z moim siostrzeńcem Gregiem, a potwierdzi każde słowo.

- Aye, no cóż, z tym może być problem - powiedział Donny, nagle bardzo poważny. - Krótco przed tym, zanim cię znalazłem, dostałem wiadomość, że K5 aresztowało Grega Camerona i wiozą go zeplinem do Hammergeardu.

Teo nieznacznie pochylił głowę, przytłoczony ciężarem zdarzeń. Moja rodzina, pomyślał. Przeze mnie znaleźli się w niebezpieczeństwie...

Potem coś sobie uświadomił i pstryknął palcami.

- Zeplinem... to oznacza, że będą musieli zacumować na Błoniach Północno-Wschodnich i resztę odległości pokonać drogą. Mogę na chwilę pożyczyć twój kom?

Donny popatrzył na niego.

- Myślisz o rzuceniu swoich Charakternych przeciwko K5? Nie polecam, to wszystko cholernie twardzi zawodnicy, co do jednego.

- Moi ludzie wiedzą, jaka jest stawka - odrzekł Teo, wyciągając rękę.

Donny podał mu swój kom, cienki, szary, praktyczny model, i Karlsson wybrał numer Rory'ego.

- Aye, a cóżeś ty za jeden?

- Rory, to ja.

- Krucafuks, majorze, to mnie pan zaskoczył; nie poznałem numeru...

- Gdzie teraz jesteś, Rory, i kto jest z tobą?

- Jestem u Macleana przy nadbrzeżnej drodze, tuż za miastem, a razem ze mną Janssen, Iwanow, Henriksen, Szalony Davey, i Nikołaj, i Barney też tu są.

- Mieli zostać u Biesonowa...

- Aye, majorze, ale zrobiono mu wczoraj nalot; kiedyżeśmy podjechali, przy chacie kryli się gliny i jakieś twardzielskie typy z wojska, więc żeśmy zwiali.

- W porządku, chcę, żebyście się przedostali na drugą stronę miasta, na Błonia Północno-Wschodnie; właśnie wiozą tu Grega Camerona pod uzbrojoną strażą i chcę, żebyście unieszkodliwili eskortę, a potem wywieźli go bezpiecznie z miasta.

- Stoi i gra, majorze. Z kim będziemy się musieli rozprawić?

Teo popatrzył na Donny'ego.

- Ilu strażników i jaką mogą mieć broń?

- Nie powinno być ich więcej niż czterech - odrzekł Donny. - Broń krótka.

Teo powtórzył to, dodając:

- I to są dobrze wyszkoleni agenci terenowi, Rory. Nie oczekujcie, że pójdzie wam z nimi łatwo.

- Nie szkodzi, majorze; ja i chłopcy lubimy od czasu do czasu zdziębko się wysilić.

- No dobrze; i nie zabierajcie Barneya, chyba że nie przeszkadza mu, że będą do niego strzelać!

- Dobra, już jedziemy.

- Pomyślnych łowów - powiedział Teo, po czym zatrzasnął kom i oddał go Donny'emu.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - stwierdził Donny. - A teraz, czy nadal jesteś zdecydowany spróbować uwolnić siostrę?

- Tak. Pomożesz mi? Jeśli nie, spróbuję załatwić to sam.

Donny na moment zacisnął powieki, jakby walczył z dotkliwym bólem głowy.

- Chyba mi rozum odebrało - powiedział, otwierając oczy, żeby wbić spojrzenie w Teo.

- Bo wiesz co? Zrobię to, choć Bóg mi świadkiem, że to ryzykowne jak jasny piorun. - Skinął głową w stronę placu. - Tędy.

- Sądziłem, że zwykle izby zatrzymań znajdują się na jednym z podziemnych poziomów głównego budynku - powiedział Teo, gdy zdał sobie sprawę, że idą przez plac w stronę dobudówki po wschodniej stronie gmachu Zgromadzenia, gdzie mieściły się biura Ministerstwa Obrony.

- Aye, ale jest dużo większa szansa, że dam radę cię przemycić przez ochronę przy wejściu dla cywilnych pracowników... - Zwolnił kroku i przekrzywił głowę, nasłuchując. - Słyszysz to?

Teo przez sekundę nie słyszał nic. Potem zabrzmiał jakby piskliwy świst, który raptownie przerodził się w głośny ryk, a ten zakończył się ogłuszającym hukiem, gdy coś rąbnęło w fasadę głównego gmachu Zgromadzenia i eksplodowało. Wykwitł ogień, mur w pobliżu najwyższych pięter popękał, sypnęło gruzem... jakiś pocisk raketowy, uświadomił sobie Karlsson wśród tej kakofonii. Wstrząs wywołany odgłosem wybuchu oraz nagłe, porażające zniszczenia oszołomiły go do tego stopnia, że potknął się i byłby upadł, gdyby Donny nie złapał go za ramię i nie pociągnął naprzód.

- Dalej! Musimy się wydostać z...

Reszty zdania nie dało się usłyszeć, bo drugi pocisk rąbnął kilka metrów na lewo od pierwszego. Kolejna eksplozja, jaskrawy błysk i wykwit płomieni oraz okruchów gruzu. Wszędzie wokół placu wyły alarmy, a spanikowani, krzyczący ludzie uciekali w głąb bocznych uliczek. Potem Teo zatrzymał się jak wryty, uświadomiwszy sobie coś ze zgrozą.

- Najwyższe piętro - powiedział do Donny'ego. - Czy to nie tam mieszczą się biura kancelarii prezydenta?

Donny kiwnął głową, a potem obaj bez wahania zaczęli biec w stronę płonącego budynku.

To się zaczynało robić wkurzające - ci ludzie z K5 po prostu uparli się, żeby nie reagować.

- No dobrze, panie poruczniku, jestem ciekaw: jaką rolę odegrała do tej pory pańska organizacja w tropieniu morderców, którzy nazywają siebie Frakcją Wolny Darien?

Porucznik Laing był wysokim mężczyzną o wydatnej zuchwie, podobnie jak jego trzech podwładni ubranym w ciemnozielony mundur bez jakichkolwiek dystynkcji. Siedział po przeciwległej stronie gondoli zeplina, a jego oblicze było równie pozbawione wyrazu jak wtedy, kiedy aresztował Grega na Ramieniu Olbrzyma. Jednakże Greg dałby głowę, że oczy oficera wyrażały teraz znękanie, którego nie było w nich, kiedy godzinę wcześniej opuszczali teren wykopalisk.

- Przykro mi, doktorze Cameron, ta informacja jest tajna.

- Ach, tylko dla wybranych; jakież to musi być rozkoszny status. No cóż, domyślam się, że prawdziwa odpowiedź brzmi „żadnej”, bo zbyt wiele czasu poświęcacie na wścibianie nosów w życie zwykłych ludzi, na grzebanie im w śmieciach i otwieranie poczty. Zachodzę w głowę, co takiego robiliście w momencie, kiedy tam, za nami, w ruinach, fruwały kule, a ludzie, w tym tutaj obecny, padali na ziemię i uciekali, żeby ratować życie. Może sporządzaliście listy osób, które wypożyczają z bibliotek materiały o wywrotowej treści? Lub też potajemnie nagrywaliście ludzi opowiadających dysydenckie żarty, czy może fotografowaliście bazgroły na ścianach kibli we wszystkich knajpach i budach Hammergardu? A może nawet aresztowaliście starsze panie tylko po to, żeby móc wyrzucić nacisk na krewnego: to jest dopiero draństwo.

- Pańska matka pomaga nam w śledztwie dotyczącym zniknięcia ambasadora Horsta, doktorze Cameron - odrzekł Laing nieśpiesznie, wyważonym tonem.

- *Aye*, na pewno. - Greg aż kipiał złością, częściowo skierowaną przeciwko wujowi Teo za to, że zgarnął ambasadora i przywiózł go na Ramię Olbrzyma. A częściowo przeciwko sobie samemu za to, że nie zachował wystarczającej ostrożności... ale kto, u licha, mógł przypuszczać, że Strażnik studni jest w stanie kogoś tak po prostu pochwycić i wysłać diabli wiedzą gdzie?

No a teraz wuj Teo był poszukiwanym przestępcą, matka Grega siedziała pod kluczem, on sam zaś miał niedługo do niej dołączyć. I proste fakty wyglądały tak, że chociaż bał się o

nich, to aktualnie najbardziej martwił się o własną skórę - tych czterech mężczyzn stanowiących jego eskortę wykazywało zaskakujące podobieństwo postawy i zachowania. Wszyscy siedzieli w tej samej sztywnej pozie, każda z twarzy była pozbawiona wyrazu i nie wykazywała żadnych śladów znudzenia. Co więcej, ani jeden z nich nie przejawiał jakichkolwiek cech charakterystycznych czy manieryzmów, jak uświadomił sobie z narastającym niepokojem Greg. Rozważał próbę wciągnięcia jednego z nich w konwersację, ale zanim zdążył wprowadzić ten pomysł w życie, kom Lainga zapikał z wewnętrznej kieszeni. Porucznik K5 odebrał rozmowę. Słuchał, nie zmieniając wyrazu twarzy, po czym oznajmił „Zrozumiałem” i schował kom.

- W mieście ogłoszono stan zagrożenia - poinformował Grega. - Wszystkie loty albo odwołano, albo skierowano na inne lotniska. Rozkazano nam wylądować w innym miejscu.

- To znaczy gdzie, poruczniku?

- Tajne informacje nie mogą być ujawniane osobom nieuprawnionym, doktorze Cameron - odrzekł Laing, wstając. - Poinformuję pilota o zmianie kursu. Proszę nie wstawać z miejsca, inaczej moi ludzie posadzą pana z powrotem.

Greg nie odpowiedział, tylko usiadł wygodniej, splótł ręce na piersi i popatrzył na trzech ludzi z K5, przez jedną absurdalną chwilę myśląc o tym, jak bardzo przypominają mu trzy roboty w kształcie psów z książki *Tańczący inżynier*, którą wielokrotnie czytał jako dziecko. Jak one się nazywały?... Aha, Zgniatacz, Kopacz i Zgryzacz...

Laing wrócił na swoje miejsce i zapiął pasy, a zeplin zaczął się przechylać, szykując do zejścia. Greg mógł jedynie spekulować co do tego, gdzie się znajdują, i walczył z uczuciem desperacji, które gotowe było ogarnąć go bez reszty. Tłumiąc myśli o tym, co może go spotkać z rąk śledczych K5, spróbował się skupić na wyobrażaniu sobie, co w tej sytuacji zrobiłby wuj Teo, albo nawet jego brat Ian.

Dziesięć minut później, gdy zeplin był już ściągany w dół na miejsce, gdzie miał lądować, gdziekolwiek się ono znajdowało, Greg nie czuł się ani trochę bardziej przepełniony determinacją ani śmiałą odwagą. Jednakże rozsądek podpowiadał mu, że ponieważ jego szanse wyglądają niekorzystnie, lepiej być stoickim, lecz przygotowanym, tak więc zachował stoicyzm umysłu, podczas gdy jego trzewia i nogi poddały się rozdygotanemu przerażeniu.

Lekki wstrząs targnął gondolą, gdy stuknęła o krawędź platformy cumowniczej. Podwładni Lainga poszli otworzyć włącz i rozłożyć składane schodki, a potem jeden za drugim pośpieszyli po nich na dół. Gdy Greg poszedł w ich ślady, mając Lainga za plecami, zobaczył, że zeplin zacumował na ziemi, na idealnie wypielęgnowanym trawniku, który ciągnął się do pomalowanego na biało muru, na szczycie którego ustawionych było w pewnych odstępach

kilka dziwnych, stożkowatych obiektów.

Kiedy Greg dotarł do podnóża schodków, dwaj ludzie Lainga, Zgniatacz i Kopacz, pochwycili go za ramiona i zmusili do marszu w stronę ogona zeplina, podczas gdy Zgryzacz szedł z tyłu, trzymając go mocno ręką za kołnierz kurtki. Za zwężającym się tylnym końcem zbiornika gazu w polu widzenia pojawił się imponujący trzypiętrowy dom otoczony z obu stron mniejszymi budynkami, krzakami, ogrodami, drzewami oraz kilkoma dziwnymi pojazdami, pomalowanymi w zielone i szare barwy maskujące, o krótkich, jakby karłowatych skrzydełkach... a w następnej chwili z narastającą zgrozą spostrzegł zbliżającą się grupę - wysokich umundurowanych Sendrukan idących wielkimi krokami, niosących długie miotacze o licznych lufach.

- Nie... nie, nie możecie tego zrobić! Laing... - Zaczął się szamotać, ale żołnierze tylko przytrzymali go mocniej. - Nie możecie mnie oddać temu towarzystwu...

- Otrzymałem rozkazy, by udzielić wsparcia oficjalnym przedstawicielom Hegemonii Sendrukańskiej - odrzekł Laing. - Przedstawiciele ci zażądali pańskiej tymczasowej ekstradycji, aby można było pana przesłuchać, co jest dopuszczalne w warunkach stanu wyjątkowego...

- Wyjątkowego... czy pan zwariował?

- Dziękuję za pomoc w naszym śledztwie, poruczniku Laing - oznajmił inny Sendrukanin, który wyłonił się zza tych w mundurach. - Jestem Przyboczny Sejik, mistrz ochrony w służbie Wysokiego Obserwatora.

Podobnie jak żołnierze, górował nad ludźmi, ale w odróżnieniu od tamtych odziany był w pastelowe, powłóczyste szaty, a w dłoni trzymał smukłą złotą laskę z szeregiem czarnych symboli, na czubku której znajdowała się mała srebrna figurka.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Przyboczny.

- Zgodnie z ustaleniami, przekazemy doktora Camerona z powrotem w wasze ręce po upływie sześciu godzin - powiedział Sejik. - Czy zechce pan poczekać?

- Rozkazano mi wrócić tu o wyznaczonej porze, Przyboczny Sejiku.

- Jest to dopuszczalne rozwiązanie.

Ludzie Lainga nagle puścili Grega, ale nim zdążył zareagować, jeden z umundurowanych Sendrukan chwycił go za ramiona, mierząc go z góry kamiennym spojrzeniem, drugi zaś wyciągnął srebrny obiekt, który został przyciśnięty do szyi pojmanego. Greg raptownie stracił czucie w całym ciele, a jego głowa opadła bezwładnie do przodu. Miejsce panicznego strachu zajęła fala otępienia. Bódźce dostarczane przez wzrok i słuch uległy zamazaniu: niewyraźne kształty przesuwające się obok, grzmiące basowe głosy,

dziwne, odległe wrażenia ruchu, nieznaczące kołysanie, powolny ciężki krok...

Świadomość powróciła doń tak gwałtownie, jakby leniwy półsen przysł pod wpływem uzmysłowienia sobie czegoś budzącego strach. Greg odkrył, że ręce ma skrępowane za plecami i że siedzi przy kwadratowym, nakrytym obrusem stole, na którym kilka szklanych, przypominających tytkwy naczyń stało wokół kryształowego dzbanka o sześciu czy siedmiu dziobkach. Zarówno stół, jak i krzesła przystosowane były do wzrostu Sendrukan i czuł się jak dziecko siedzące na miejscu dorosłego. Obrus przedstawiał, z dużą liczbą szczegółów, humanoidalne istoty - Sendrukan, jak przypuszczał Greg - zaangażowane w różnego rodzaju wojownicze aktywności. Pokryte liściastym wzorem ściany ozdobione były oprawionymi arrasami w podobnym stylu, a także dużo bardziej modernistycznymi dziełami sztuki - w każdym razie w jego oczach wydawały się modernistyczne. Długie ażurowe firanki przesłaniały wysokie okna, a haftowane sztandary z powiewnych tkanin zwieszały się nisko nad stołem oraz w rogach pokoju. Całość sprawiała wrażenie wykwintnego bogactwa bez nadmiernej ostentacji, podczas gdy w dziełach sztuki dominowała przemoc.

- Doktorze Cameron, ogromnie się cieszę, że pana spotykam po raz drugi.

W polu widzenia Grega pojawił się Wysoki Obserwator Kuros, wychodząc zza jego krzesła. Był odziany w odcienie i warstwy szarości, półprzezroczyste i pokryte wzorami, a na głowie miał swoją wysoką, czarną helikalną czapę. Jego rysy, tak bardzo podobne do ludzkich, wyrażały spokój, a wielkie ciemne oczy wpatrywały się w Grega, gdy Kuros usiadł w pobliżu rogu stołu; jego długie, zręczne palce bawiły się małą niebieską fiołką.

- Niestety, nie mogę powiedzieć tego samego, Wysoki Obserwatorze - odrzekł Greg. - Przekazanie mnie w pańskie ręce jest ewidentnie sprzeczne z podstawowymi założeniami wolności jednostki. Proszę o przekazanie mnie z powrotem w ręce przedstawicieli władz cywilnych Dariena...

- Ale potrzebujemy pana tutaj, doktorze Cameron - odrzekł Kuros. - Mamy wiele pytań i jesteśmy pewni, że zna pan odpowiedzi na nie.

- Ale zgodnie z naszą konstytucją mam też osobiste prawa - odparł Greg. - Wygłosił pan wiele przemówień, w których podkreśla pan, jak ważna są swobody obywatelskie i wolność; jestem pewien, że pan rozumie...

- Rozumiem, doktorze Cameron, ale niestety, to pan nie rozumie, co mamy na myśli, mówiąc o wolności i swobodzie. Potęga i chwała Hegemonii nadają te przywileje społeczeństwu sendrukańskiemu, gdyż same z siebie nie istnieją one we wszechświecie. Nasze wolności i swobody nie stoją w sprzeczności z celem Hegemonii, lecz go podkreślają, umacniając jej znaczenie jako wzoru dla mniej rozwiniętych cywilizacji. Służą temu

wiecznemu celowi, podobnie jak musi teraz uczynić pan.

Greg zagapił się na niego.

- Ale kiedy nasz rząd się o tym dowie...

Kuros potrząsnął głową.

- Mniej więcej czterdzieści minut temu władza wykonawcza kolonii przestała istnieć, gdyż prezydent Sundstrom oraz jego rada ministrów zginęli w ataku rakietowym na budynki Zgromadzenia. Oczywiście, mój rząd wraz ze swymi brolturańskimi sojusznikami gotów jest udzielić wszelkiej pomocy w tej kryzysowej sytuacji. - Pochylił się lekko. - Teraz jednak chcę, żeby pan się skupił na moim głosie i słuchał bardzo uważnie.

Następnie wysłannik Hegemonii wypowiedział kilka dziwnych słów, być może frazę w języku Sendrukan, wymawiając każdą sylabę głośno i wyraźnie.

Gregą ogarnęło dziwne uczucie - dezorientujący dreszcz, który wydawało się, że zawiera w sobie dźwięki, smaki i zapachy, a może raczej... dreszcz, który przebiegł przez otoczenie, sprawiając, że wszystkie otaczające Grega elementy stały się w jakiś sposób znajome: meble, draperie, siedzący przed nim uśmiechnięty Sendrukanin. I z jakiegoś powodu Greg również miał ochotę się uśmiechnąć, chociaż rozsądek ostrzegł go, że nadal znajduje się w niebezpieczeństwie.

- Teraz, doktorze Cameron, proszę mi powiedzieć, co pan wie na temat udziału pańskiego wuja, majora Karlssona, we wczorajszym zniknięciu ambasadora Horsta?

- Och, wuj Teo przywiózł ambasadora wieczorem na Ramię Olbrzyma, ale kiedy dowiedziałem się, że wkrótce przybędą Brolturanie, wszyscy zeszliśmy na dół, żeby się ukryć w komorze studni...

- Chwileczkę - powiedział Kuros, którego poza oraz nieruchome, przenikliwe spojrzenie zdradzały wzrost zainteresowania. - Proszę mi opowiedzieć więcej o tej komorze studni.

I, ku własnemu przerażeniu, Greg opowiedział Sendrukaninowi wszystko na temat komory studni, pułapek, Strażnika, Uvovo oraz ich udziału w całej historii, porwania Horsta - wszystko, co wiedział. Nie miał żadnej kontroli nad strumieniem słów, które płynęły z jego ust niemalże jak wesoły trajkot, jakby gadał o piłce nożnej przy piwie z bliskim przyjacielem. Również mięśniami jego ust i gardła sterowała jakaś niezależna siła, coś w jego głowie...

Czy ja oszalałem? - zastanawiał się. Czy odebrali mi rozum?...

W końcu usatysfakcjonowany Kuros kazał mu przestać i Greg zamilkł w pół zdania. Kuros uśmiechnął się w zamyśleniu, po czym uniósł małą niebieską fiolkę, którą przez cały czas trzymał w ręku - zawierała coś, co wyglądało jak miazgi proszek.

- Pańska rozmowność została oczywiście wywołana sztucznie. Wcześniej, gdy był pan

półprzytomny, w pańskim ciele zainstalowaliśmy pewien instrument: specjalnie zaprojektowane cząsteczki, na tyle drobne, że mogą się unosić w powietrzu jako opar. Wciągnął je pan wraz z oddechem, a wtedy one łatwo odnalazły drogę do zakrętów i bruzd pańskiego mózgu. Są tak zaprogramowane, żeby reagować na mój głos, a po zintegrowaniu się z pańskimi szlakami synaptycznymi są w stanie zrobić wiele rzeczy, w tym skłonić pana do wyjawienia wszystkiego, co pan wie. - Kuros uśmiechnął się do niebieskiej fiołki, lekko potrząsając zawartością. - Zetknęliśmy się z kilkoma rasami, które są odporne na ten opar; Ludzie się do nich nie zaliczają, co czyni pana bardzo użytecznym.

Wyrecytował kolejną frazę po sendrukańsku, a Greg na ulotną sekundę uchwycił jej sens - liryczna wypowiedź, może linijka wiersza. Potem pękła jakaś bariera i jego strach tudzież nienawiść wreszcie zdołały zadziałać na mięśnie twarzy, gardła oraz klatki piersiowej - gwałtowne uderzenie gniewu, który wyrwał się z ust jako bezgłośny krzyk.

- Dziękuję, doktorze Cameron, niezmiernie nam pan pomógł. Nie mogę się już doczekać nadchodzących tygodni - rzekł Wysoki Obserwator Kuros, wstając, tak że górował nad Człowiekiem.

- Powiedział pan, że... mam wrócić razem z Laingiem...

- To była tylko część formalności powitalnych, doktorze Cameron, których zawsze należy przestrzegać. Nie, zostanie publicznie ogłoszone, że został pan oczyszczony z wszelkich zarzutów, a potem pan powie, że zgodził się kierować ludzko-sendrukańskim zespołem naukowym, który zajmie się badaniem nowych, ekscytujących odkryć, jakich dokonano na Ramieniu Olbrzyma. Gest solidarności między naszymi dwiema wielkimi cywilizacjami, umocnienie naszego cennego sojuszu.

Greg, siedzący ze zwieszoną głową, nic nie odrzekł. Kuros jednakże mamrotał do siebie przez sekundę czy dwie, następnie zaś ponownie zwrócił się do więźnia.

- Doktorze Cameron, mój wewnętrzny towarzysz, Generał Gratach, pragnie coś panu powiedzieć.

Greg zerknął w górę i ujrzał, że w rysach Kurosa zaszła zmiana. Sendrukanin sięgnął w dół i szorstko pochwycił żuchwę więźnia, zmuszając go do uniesienia wzroku jeszcze wyżej. Oczy innoświatowca płonęły furją i pogardą.

- Jestem Gratach, Człowieku. Kiedy schwytam twego wuja, tego majora Kalsuna, nie zostanie potraktowany równie łagodnie. Złamię go i zgnotę, a potem zmiążdżę całą waszą ludzką hołotę wraz z waszymi gadającymi zwierzątkami!

Wielka ręka puściła żuchwę Grega i Sendrukanin odwrócił się w bok; jego mina znów uległa zmianie, podobnie jak poza.

- Będzie pan z nami współpracował jeszcze przez długi czas, doktorze Cameron - oznajmił Kuros, kierując się w stronę dwuskrzydłowych drzwi. - Niech się pan pogodzi ze swoją rolą, to będzie pan z niej czerpał niebagatelne korzyści. Teraz muszę pana opuścić, aby zająć się panującym aktualnie kryzysem i zadbać o to, by na Darienie ponownie zagościły spokój oraz stabilność. - Opuścił pomieszczenie, a oba skrzydła drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie.

Gdy Greg siedział tak, przywiązany do krzesła, jego myśli krążyły wokół słów Kurosa o tamtym oparze specjalnie skonstruowanych cząsteczek, i wyobrażał sobie najczarniejsze scenariusze.

Spokój śmierci, pomyślał. Albo coś, co jest doń nadzwyczaj zbliżone. Czy to właśnie dla nas zaplanowali, zainfekowanie nas swoim oparem, żeby nas wszystkich zmienić w radosnych, posłusznych chłopów pańszczyźnianych? Niech Bóg ma nas w swej opiece...

I co zamierzali zrobić z nim, lub gorzej - do czego zamierzali go zmusić? Do bycia ludzką maską dla ich operacji na Darienie?

Może do zdradzenia przyjaciół? To była chyba najgorsza rzecz, jaką mógł sobie wyobrazić, ale nie miał wątpliwości, że projektanci oparu wymyślili jeszcze kilka innych.

Gdy tak tam siedział, słyszał, jak po wielkim domu poruszają się inni jego mieszkańcy - stłumione głosy, kroki rozbrzmiewające na zewnątrz, w korytarzu. Potem jedno ze skrzydeł drzwi do pomieszczenia otworzyło się powoli na ćwierć szerokości i zamknęło ponownie, stopniowo, bez pośpiechu. Nikt się nie pojawił. Greg gapił się na to, myśląc tępo, że może jakiś strażnik chciał wejść, a potem zmienił zdanie.

- Przyjacielu Gregori... - szepnął ktoś w pobliżu.

Na jego oczach powietrze pociemniało, po czym wyłonił się z niego Chel, jakby wyszedł z płynnych drzwi. Potem drobny Uvovo zachwiał się i oparł ciężko o stół; krótka sierść na jego twarzy i szyi była zjeżona, a czworo nowych oczu świdrowało wzrokiem otoczenie.

- Wybacz mi, Gregori... - zaczął Chel.

- Chel! Na wszystkie... Jak się tu dostałeś? Jak... Niech mnie, byłeś niewidzialny...

- Obserwacja oznacza zmianę, przyjacielu Gregori; te oczy otwierają dziwne szlaki. - Chel już nieco doszedł do siebie, mniej się garbił. - Odkryłem, że jestem w stanie postrzegać ukryte znaczenia oraz konsekwencje w tym, co widzę, ale potrafię też tymczasowo zmieniać owe konsekwencje, na przykład sprawić, by powietrze stało się maskującą okrywą, która pozwoliła mi wspiąć się na pokład zeplina, kiedy cię zabierano, a potem przedostać się tutaj po lądowaniu.

- Sprawiasz wrażenie wyczerpanego - powiedział Greg.

- Trafne spostrzeżenie - odrzekł Chel, odwracając się, by zmierzyć go spojrzeniem wszystkich sześciorga oczu, po czym zastygł w miejscu, nadal wbijając weń wzrok.

Greg pojął, co przyjaciel widzi, i wiedział, że Chel mimo to będzie się starał go uratować.

- Widzę je - wymruczał Chel. - A one widzą mnie... Greg, co to za twory?

Greg spróbował wytłumaczyć koncepcję specjalnie zaprojektowanych nanocząstek jako mechanizmu kontroli, ale ostatecznie musiał te wyjaśnienia sprowadzić do „pyłu Pozbawionych Snów”, rodzaju widmowej istoty, którą umieszczono w jego głowie, by go zmusić do posłuszeństwa.

- I nie wiem, czy da się to stamtąd w jakikolwiek sposób wydobyć - powiedział. - Więc stanowią teraz zagrożenie dla ciebie oraz dla wszystkich innych; naprawdę powinieneś mnie tu zostawić i uciekać...

Chel zamrugał wszystkimi oczami po kolei, co stanowiło nader dziwny widok, następnie zaś sięgnął w dół do więzów Grega i uwolnił go.

- Pojmuję twój tok rozumowania, Gregori, ale jesteś moim przyjacielem; nie mogę cię z tym zostawić samego. Kiedy już opuścimy to miejsce, zabiorę cię do najbliższego lasu potomnego i zobaczymy, co znawcy korzeni będą w stanie poradzić na tę truciznę Pozbawionych Snów.

Greg kiwnął głową, czując ukłucie wzruszenia w obliczu tego pokazu solidarności i braterstwa. Odchrząknął.

- Więc jak mamy się stąd wydostać? - zapytał. I to tak, żeby uniknąć dźwięku Kurosowego głosu...

- Muszę przyznać, Gregori, że nie wiem - odrzekł Chel. - Utrzymywanie powietrznej osłony wymaga olbrzymiego wysiłku; nie byłbym w stanie ukrywać nas obu wystarczająco długo, żebyśmy zdążyli dotrzeć do frontowych drzwi, a co dopiero do bramy posiadłości.

- Może mógłbyś spenetrować to miejsce i znaleźć jakąś broń - zasugerował Greg.

- Myślę, że mógłbym to zrobić - odrzekł Chel i w tym samym momencie usłyszeli dobiegające z oddali, sprzed domu odgłosy strzałów.

Patrzyli na siebie przez sekundę, po czym Greg zaczął wstawać, ale Chel pociągnął go w tył.

- Słuchaj!

Odgłosy strzałów stały się głośniejsze, a może przybyło strzelających. Z innych części budynku dobiegały też okrzyki, wydawane rozkazy, tupot ciężkich butów. A jedna ich para

zbliżała się do pomieszczenia, gdzie się znajdowali. Uvovo chwycił Grega za ramię, otwierając szeroko sześćcioro oczu... Powietrze zmieniło się w wiry migotliwej mgiełki przetykane szmaragdowymi błysnięciami, strumień powolnych prądów, których ośrodkiem był Chel.

Drzwi otwały się gwałtownie i do środka wkroczył sendrukański żołnierz, który rzucił tylko okiem na puste krzesło i wypadł z powrotem na zewnątrz, rycząc na cały głos. Migocząca kurtyna przygasła i Chel rzucił:

- Szybko, przycupnijmy tam w rogu...

Greg usłuchał wskazówek Uvovo i przykucnął w rogu pomieszczenia, a Chel ukląkł obok niego, wpatrując się z palącą intensywnością w jakiś wymiar rzeczywistości, którego Greg nigdy nie miał poznać. Powietrze zgęstniało w leniwe wiry migoczącej mgły na sekundę przed tym, jak Kuros wszedł śpiesznie do komnaty, a za nim jeden z jego przybocznych. Wysoki Obserwator podszedł do krzesła, obejrzał rozpięte plastikowe opaski, po czym stanął i omiół wzrokiem pomieszczenie.

- Jakim cudem Człowiek zdołał uciec, o Jaśnie Oświecony? - spytał przyboczny.

Kuros przez chwilę nie odpowiadał, uważnie badając spojrzeniem komnatę, jej ściany, wysokie, przesłonięte firankami okna, a nawet parkiet.

- Podłogi w tej norze mają stosunkowo duży odstęp między deskami a stropem niższego piętra - oznajmił, kucając i kładąc jedną długopalcą dłoń na wypolerowanym drewnie. - Może istnieć jakieś dojście czy otwierana klapa... czy to tam się pan chowa, doktorze Cameron?

Cichym i śmiertelnie groźnym głosem zaczął następnie intonować słowa, których Greg najbardziej się bał, tamtą frazę, klucz... Poczuł, jak zaczyna się zmiana, jak dreszcz oddania przenika owe służalcze cząstki, ich zbiorową ochoczą chęć wykonania rozkazu, gdy Kuros kontynuował:

- Jest pan tu? Proszę się natychmiast pokazać!

Coś zdławiło to pragnienie usłuchania, powstrzymało mięśnie od reakcji, usta od wydania dźwięku. Chel, to był Chel! Greg wiedział, że to musi być on, że w jakiś sposób zdołał zmienić konsekwencje i powstrzymać zautomatyzowaną odpowiedź pasożytniczych cząstek. Jednakże po twarzy Uvovo było widać, jak ogromnego wymaga to wysiłku; jego siły się wyczerpywały i wkrótce jego interwencja przestanie działać. A Kuros stał tam, patrząc, wyczekując...

Właśnie wtedy runęły na niego ściana oraz fragment sufitu - kaskada cegieł, belek stropowych i pokruszonego tynku. Greg zobaczył, jak Wysoki Obserwator upada, a kiedy drugi Sendrukanin ruszył mu na pomoc, potężna metalowa łapa przebiła się przez inną część

ściany, obsypując go gruzem, tak że runął nieprzytomny na podłogę.

Zza na wpół zburzonego muru dobiegał donośny ryk silnika. Greg uświadomił sobie, że znów ma pełną kontrolę nad swoim organizmem; gdy stawał na nogi, odkrył też, że musi podtrzymywać półprzytomnego Chela. Potem w wybitym otworze pojawiła się twarz, niewyraźnie widoczna przez chmury pyłu.

- Jest tutaj!

Druga twarz zajęła miejsce pierwszej - to był Rory.

- Hej tam, panie C, jak leci? Sekundke, zaraz pana wyciungniem z tej dziury!

Chwilę później mechaniczne łapsko ponownie opadło i wyrwało kawał muru sięgający aż do parteru, wzbijając jeszcze więcej bladych, kłębiących się chmur.

Teraz, uświadomił sobie Greg, teraz mamy szansę, trzeba wiać!

Słyszac okrzyki dobiegające z korytarza za zrujnowaną komnatą, przerzucił sobie nieprzytomnego Chela przez ramię i pośpieszył w stronę poszarpanej dziury w ścianie, gdzie czekał Rory wraz z pozostałymi, przywołując go gestami. Gdy przełaził przez gruz i połamane belki, zaryzykował spojrzenie do tyłu i zobaczył, że w stronę drzwi do pomieszczenia biegną sendrukańscy żołnierze, unosząc miotacze o łukowato wygiętych lufach. A gdy ponownie ogarnął wzrokiem wnętrze komnaty, zobaczył, że spod gruzu wypelza pokryta pyłem sylwetka: Wysoki Obserwator Kuros. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy i wzbierająca fala strachu popchnęła Grega dalej, przez ziejący w murze otwór, gdzie ochocze ręce ściągnęły Chela z jego ramienia.

Z wnętrza budynku dobiegły wystrzały - wysokie, zgrzytliwe serie - i odpowiedziano na nie ogniem; jak zauważył Greg, poleciały między innymi bełty z paru kusz oraz garście kolców do przebijania opon. Zaledwie starczyło mu czasu, żeby zarejestrować olbrzymią mechaniczną koparkę, której hydrauliczna łapa wciąż jeszcze tkwiła w ścianie budynku, i Rory'ego, który szarpał go za ramię, prowadząc w stronę czekającej terenówki, zanim do jego uszu przyplłynął głos Kurosa, tamte śmiertelnie groźne słowa, słyszalne mimo zgiełku strzelaniny.

Świat wokół Grega jakby odpływał, pozostawiając tylko rozchwiane migawki budynku, stłumione odgłosy strzałów, wrzaski Rory'ego, żeby się zatrzymał, ale on wiedział, że nie ma nad tym żadnej kontroli, że nanocząstki po prostu słuchają swojego pana. Potem ktoś złapał go za ramię i odciągnął w tył, ale cząstki kazały mu się szamotać i krzyczeć do momentu, gdy coś rąbnęło go w głowę i światło, dom oraz wszelkie inne rzeczy runęły w czerń.

Część czwarta

Robert

Drgający białawy poblask, który oświetlał dno ogromnej krętej jaskini, niemal nie sięgał wąskich półek i niebezpiecznych drózek biegnących wzdłuż górnych partii jej pionowych ścian. Gdy Robert się zatrzymał, żeby wyjrzeć ponad niskim stożkiem osadu mineralnego, gładkiego i lśniącego perłowo niczym stopiony opal, dostrzegł cienie wielkich stworów i usłyszał, jak skrzeczą oraz pohukują do siebie między pomrukami i parsknięciami. Nic więcej nie zdołał ujrzeć, odkąd zjawił się tutaj ponad dobę wcześniej, ale cóż, jego eskorta powstrzymała go od zapuszczania się w głąb jakichkolwiek korytarzy prowadzących w dół, z naciskiem przestrzegając przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Pokusa, by ich zostawić, była hamowana przez jego wrodzony rozsądek, lecz potęgowana przez brak towarzystwa.

- Musimy iść dalej, Człowieku Horście - zabrzmiał brzękliwy, trzeszczący głos. - Przenośnik Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć czeka na nas na Wielkim Tarasie; zabierze nas do wyżbramy, a stamtąd do Konstruktu.

To był jeden z małych mechanicznych członków jego eskorty, ten, którego Robert w myślach ochrzcił Trójnogiem-Reskim; pozostałym dwóm nadał miana Ślad-Reski oraz Szybuj-Reski. Twierdzili, że są elementami pojedynczej istoty, swego rodzaju kolektywu maszyno-umysłów noszącego imię Reski Emantes. Trójnóg-Reski był mechem mierzącym jakieś trzydzieści centymetrów wzrostu, o trzech wyposażonych w stawy nóżkach podtrzymujących dziwny szklany tors owinięty czarną siatkową okrywą, zawierający słabo widoczne wielobarwne komponenty, które migotały i lśniły. Na górze tkwił nieco spłaszczony jajowaty kształt okolony paskiem pełniącym funkcję oczu.

- A jak długo zajmie nam dotarcie na ten Wielki Taras? - zapytał Robert.

- Raczej godziny niż dni, Człowieku Horście - odrzekł trójnóg. - Pod warunkiem, że nie będziesz już opóźniał marszu. Opóźnienie będzie oznaczać, że nie zdążymy na otwarcie wyżbramy, a nasi wrogowie zyskają przewagę.

Robert westchnął i ruszył dalej. Jego mali towarzysze mówili o wrogach, ale odmawiali wyjaśnienia, kim ci wrogowie są. Nie chcieli też powiedzieć, co to za ogromna jaskinia, którą nazywali Jasnością, czym jest Wielki Taras, Rozbita Kopuła oraz kilka innych miejsc - zakładał, że to również są potężnych rozmiarów groty rozciągające się głęboko pod pasmami górskimi Dariena. Na głos raczyli wyrazić wyłącznie nedorzeczne twierdzenie, że został

wysłany głęboko w otchłanie hiperprzestrzeni do jakiegoś zapadniętego kontinuum - fantastyczna idea z gatunku takich, które można byłoby usłyszeć od szamana w jakiejś prymitywnej kulturze, i w normalnych warunkach Robert pozostawiłby Harry'emu dociekanie, o co tu chodzi.

Jednakże Harry milczał. Milczał już od wielu godzin, od czasu przerażającego doświadczenia w komorze Uvovo. Podobnie jak intersym Rosy, który Horst wsunął do kieszeni szlafroka, kiedy opuszczał pensjonat przy Wodogrzmotach Gangradur. Wiedział, że baterie są całkowicie naładowane, lecz gdy włączył urządzenie, pozostało nieme, nieoświetlone, bez znaku życia, puste.

Całkiem jak ja, pomyślał. Bez Harry'ego i Rosy czuję się... osamotniony.

Ścieżka, którą podążali, była nierówna, wysypana żwirem i wilgotna od wody, która spływała z góry i zbierała się w niezliczonych małych kałużach. Z przodu Ślad-Reski machał do nich jedną ze swoich wysuwanych, cienkich jak łydźki rąk. Wychylał się z bocznego tunelu, z którego ściekała perłowo lśniąca strużka.

- Musimy ruszyć tą kamienną drogą - oznajmił. - Dalej w głębi Jasności czekają wrogowie.

- Wrogowie? - powtórzył przerażony Robert.

- Ta droga prowadzi do litosfery Abfagul - rzekł Trójnóg-Reski. - Jej mieszkańcy są wrogo nastawieni do takich mechów jak my.

- To prawda, lecz pałają jeszcze większą wrogością do tych, którzy nas ścigają - odparł Ślad-Reski.

- Nie widziałem żadnych ścigających - wtrącił Robert. - Kim są ci wrogowie?

Zabrzmiało przybliżające się buczenie i Horst, odwróciwszy się, ujrzał, że trzeci członek jego eskorty nadpływa, kołysząc się na poduszce powietrznej generowanej pod jego owalnym kadłubem.

- Wrogowie z tyłu - oznajmił. - Wrogowie na wprost...

Spoglądając na sklepienie, z którego zwieszały się brody stalaktytów, Robert ujrzał poruszający się w mroku czarny kształt, długi i wijący się niczym wąż utkany z ciemnego dymu. Na jego oczach to coś rozciągnęło się, dotarło do sklepienia i zaczęło sunąć w ich stronę.

- Musimy uciekać! - rzekł Szybuj-Reski. - Ruszaj!

Poganiany przez swą eskortę oraz przez dreszcz ślepego strachu, wspiał się w górę spadzistego korytarza, podążając spieszenie za jaśniejącymi smugami rzucanymi przez przednie reflektory Ślada-Reskiego, zwalniając stopniowo, gdy zaczęło mu brakować sił.

Wciąż jednak parł chwiejnie naprzód, a korytarz rozszerzył się, jego ściany urosły wyżej i oto Robert podązał kamienistą ścieżyną wijącą się dnem długiej, mrocznej szczeliny, podczas gdy daleko w górze rozbrzmiewało nieregularne metaliczne dzwonienie, niemal przypominające muzykę. Wkrótce wąska ścieżka znów stała się tunelem, który przez jakiś czas wiódł w dół, potem dziwnie zakręcił i znów prowadził pod górę, a drżące promienie rzucane przez reflektory mechów przebijały jego wilgotną ciemność.

W mroku przed nimi zamajaczył szary owal i już wkrótce Robert wylazł z dziury w trawiastym zboczu usianym olbrzymimi omszałymi głazami. Gęsta siwa mgła wisiała nisko w zimnym, nieruchomym powietrzu, a światło było skąpe i rozproszone, jak o zmierzchu lub przed świtem. Nieco z boku rozciągała się spokojna jak lustro sadzawka, nad którą bzyczała, kłębiła się i tańczyła chmara dziwnych owadów o długich wijących się czułkach. Znużony Robert opadł na ziemię, nie przejmując się mokrą trawą, i odpoczywał, patrząc na owady.

- To jest litosfera Abfagul - oznajmił Trójnóg-Reski, wręczając Robertowi kwadratową tabliczkę włóknistej racji żywnościowej, którą mechy karmiły go od jego przybycia.

- Kim lub czym jest Abfagul? - spytał Robert, odgryzając kęs i żując go.

- Gatunkiem i hierarchią - odrzekł Szybuj-Reski, przelatując obok. Kierował się w dół zbocza, żeby zrobić rozpoznanie dalszej trasy.

- Czy występują na Darienie? - spytał Robert. - Ten klimat sprawia wrażenie, jakbyśmy mogli się znajdować na tej samej szerokości geograficznej co kolonia, ale nie zetknąłem się tam z żadnymi wzmiankami o innej miejscowej kulturze...

- Bardzo przepraszamy, człowieku Horście - rzekł Ślad-Reski, stawiając na ziemi kubek wody dla niego. - Nie możemy odpowiedzieć na twoje pytania; zafalszowanie twojego układu odniesienia mogłoby mieć niepożądane skutki.

Robert zmarszczył brwi i wypił wodę, dotknięty tym komentarzem.

- Nie przedstawiliście żadnych dowodów, że faktycznie znajdujemy się na jakimś głębokim poziomie hiperprzestrzeni, tak jakby wszechświat był zbudowany z warstw! - Wskazał gestem otoczenie. - To miejsce sprawia wrażenie leżącego na wolnym powietrzu w klimacie umiarkowanym, ale wy nazywacie je jak? Litosferą?

- Ta litosfera jest jedną z kilku w tej konkretnej warstwie - rzekł Trójnóg-Reski. - Niektóre z pozostałych są niemal wielkości planet, a przez to podatne na zapadanie się entropiczno-ciśnieniowe. Przekrój tej tutaj wynosi zaledwie około tysiąca sześciuset kilometrów...

- W porządku - stwierdził Robert, zagniewany, lecz gotów ustąpić swoim towarzyszom. - Powiedzmy, że hiperprzestrzeń jest innym wszechświatem...

- Wszechświatami - poprawił Szybuj-Reski, wyłaniając się zza dużego pękniętego głazu.

- Wyschnięte pozostałości martwych wszechświatów opadają w głąb hiperprzestrzeni i gromadzą się niczym osady na dnie rzeki - oznajmił Ślad-Reski. - Czy mamy czas na objaśnianie struktury Stratoświata?

- Nie - odrzekli jednym głosem Szybuj-Reski i Trójnóg-Reski.

- Więc czemu zostałem porwany? - spytał Robert, nagle zły z powodu tej idiotycznej sytuacji, żałując, że nie ma z nim Harry'ego.

- Tylko Konstruktor może ci to powiedzieć - odparł Trójnóg-Reski. - A im szybciej dotrzemy do wyżbramy, tym szybciej się dowiesz.

Potem nie mówili już w zasadzie nic istotnego, a Robert pozwolił się prowadzić przez posępny, falujący wzgórzami krajobraz spowity niekończącym się mglistym zmierzchem. Od czasu do czasu do czasu smętne, zawodzące krzyki odbijały się echem ponad ich głowami, a raz usłyszeli, jak coś odpowiada w oddali za nimi - ostry, bezlitosny głos. Krótco potem do ich uszu dotarło takie samo przenikliwe zawołanie, ale tym razem dobiegło z przodu, daleko po lewej.

- Myśliwi polują - rzekł Szybuj-Reski.

- Czy polują na nas? - spytał Robert, nagle zdjęty niepokojem.

- Polują na wszystko, co się zabłąka do ich sfery - odrzekł Ślad-Reski. - Na szczęście, kamienna aleja prowadząca na Wielki Taras znajduje się po drugiej stronie następnego wzgórza...

Robert czuł, jak łomocze mu serce, a gardło bolało go od szybkiego oddechu, ale poczuł ulgę, gdy w polu widzenia pojawiło się wejście do tunelu. Trzy mechy zatrzymały się na szczycie wzgórza, żeby przeskanować i zmapować najbliższe otoczenie przed rozpoczęciem schodzenia. Wszyscy czterej zdążyli przebyć zaledwie kilka metrów, kiedy mechy nagle rzuciły się naprzód, pędząc w dół zbocza.

- Szybko, Człowieku Horście! - zawołał jeden z nich. - Wróg się zbliża!

- Ale... gdzie?! - odkrzyknął Robert, ruszając biegiem. Spoglądał w lewo i w prawo, lecz niczego nie widział.

- W górze!

Zdążył tylko zaryzykować najkrótsze z krótkich spojrzeń w górę i prawie się potknął, gdy zobaczył skrzydlatą poczwagę, która nurkowała ku nim - wijąca się potworność o bezokich, kłapiących pyskach, zakończonych hakami mackach oraz chwytających powietrze szponach. Mechy wyprzedzały go teraz tylko nieznacznie; dopadli wejścia do tunelu i

zanurkowali w głąb dokładnie w chwili, gdy monstrum wylądowało ciężko i, rycząc ogłuszająco mnóstwem gardzieli, rzuciło się za nimi.

Dyszząc i rżąc z wysiłku, Robert zatoczył się i oparł ciężko o ścianę tunelu, żeby złapać oddech.

- Nie stawaj, Człowieku Horście! - zawołał Trójnóg-Reski.

- ...przepraszam... muszę...

Mały mech chwycił go za połę szlafroka i pociągnął z zaskakującą siłą. W następnej chwili tunel zatrzęsł się w posadach, gdy skrzydlaty potwór wcisnął się w otwór wejścia, drapiąc szponami jego krawędzie, podczas gdy macki zakończone błyszczącymi szczypcami oraz zębate paszcze pełzły naprzód. Spąg jaskini zadygotał, ze sklepienia posypały się kamienie i bryły ziemi, i teraz już wszystkie trzy mechy popędzały Roberta, żeby się wycofał.

- Z powrotem na twardą skałę, Człowieku Horście - rzekł Ślad-Reski. - Zanim wejście runie.

Groteskowa bestia, krusząc i dziurawiąc ściany, poszerzała tunel i z wyciem tuzina paszcz usiłowała się wepchnąć głębiej. Biegając i potykając się, próbując dotrzymać kroku mechom, Robert usłyszał donośne dudnienie walących się skał, a potem stłumiony ryk nienawiści i furii. Nad zawaliskiem wzbily się chmury kurzu, a kilka metrów dalej pod Robertem załamały się kolana i usiadł ciężko na ziemi, wyciągając przed siebie nogi, łapiąc z trudem powietrze i rozmasowując bolący bok.

- Co to... było... to coś?

- Abfagul - odrzekł Szybuj-Reski, odpływając z buczeniem w dół zbocza. - Nieduży...

Catriona

Polowanie dobiegało końca. Ona i jej drużyna, dwóch Słuchaczy i osiemnastu Uczonych, zatrzymali się na krótko w dolnej części okapu lasu, czekając na przybycie innego Słuchacza i pięciu Uczonych z Chmurmorza na północnym wybrzeżu. Znajdowali się jakieś dwieście siedemdziesiąt metrów nad ziemią, a światło dnia słabło - złota żółta barwa ciemniała do bursztynu, przesączając się przez liściaste zasłony Segrany. Chłodne głębiny puszczy zaczynał już wypełniać mrok, ale Cat wiedziała, gdzie znajdują się ścigani, bo jej oczy dysponowały innymi oczami do pomocy.

Ze swego Stanowiska na niskiej ulistnionej gałęzi kizpi obserwuje polankę. Po jednej stronie schylona postać w stroju maskującym posuwa się wolno przez poszycie; jej pozbawiona rysów, opancerzona głowa obraca się to w jedną, to w drugą stronę, żeby zasięg czujników hełmu wyniósł trzysta sześćdziesiąt stopni. Obie ręce dzierżą krótką i niewątpliwie śmiertcionośną broń, mierząc w przód...

Oczy, których mogła szukać i szukać za ich pomocą, lecz zawsze tylko przez krótką chwilę - wykorzystywanie tych małych stworzeń sprawiało, że panikowały i umykały, znikając wśród cieni. Ale teraz, jakieś trzydzieści metrów na zachód od *kizpi*, znalazła *umisk*, latającą jaszczurkę o doskonałym wzroku i słuchu. Stworzenie dopiero co schwyciło i zjadło dużego soczystego owada, a teraz przysiadło na gałęzi, żeby doprowadzić do porządku kilka sterczących krzywo piór, kiedy jego uwagę przykuło poruszenie niżej.

Skradając się przez poszycie starannie odmierzonymi krokami, cicho niczym duch, intruz zatrzymuje się, żeby przeskanować otoczenie wokół siebie oraz w górze. Słabnące światło odbija się niewyraźnie w wizjerze hełmu, gdy głowa obraca się i spogląda ku koronom drzew, a ręce unoszą broń, celując tam, gdzie przybysz patrzy. Krótką lufą wstrząsa najlżejsze drgnienie, słychać ciche tyknięcie i jakieś leśne zwierzę, roślinożerca albo drapieźnik, spada na ziemię z szelestem i głuchym stukiem. Intruz rusza w dalszą drogę.

Cat pozwoliła jaszczurce *umisk* uciec, świadoma obecności wielu innych małych stworzeń, które zajmowały się swoimi sprawami w tej pachnącej ziemi ciemności. Byłaby nawet w stanie użyć swej więzi z Segraną do tego, by wykorzystać zmysły wszystkich stworzeń w lesie otaczającym Ezgarę, obserwując go na okrągło, ale niewielki byłby z tego pożytek. Poza tym, taki wysiłek pozostawiłby ją słabą i mentalnie wyczerpaną, a teraz potrzebowała wszystkich swoich zdolności, zarówno starych, jak i nowych.

- Wiedzą, że tu jesteśmy - oznajmiła Słuchaczowi, który siedział na gałęzi obok niej.

- Czy będą wiedzieli, co zrobiliśmy z ich urządzeniami? - zapytał Słuchacz Malir, Uvovo-Wojownik z Wysokiego Potoku.

Upłynęło zaledwie kilka godzin, odkąd zwiadowcy odkryli ładunki wybuchowe umocowane u podnóża pni centralnych drzew kolumnowych w trzech głównych skupiskach podporowych: zewnętrznym północnym, zewnętrznym północno-wschodnim i zewnętrznym wschodnim. Za pomocą mocnego kwasu (z kilku chrząszczy *poroon*) oraz szybko krzepnącej żywicy *syldu* unieszkodliwiono zapalniki. Jednakże Cat była pewna, że ci Ezgarowie uzyskują skądś skany oraz aktualizacje, być może z pozostawionego na orbicie małego satelity, który mógł im również zapewniać łączność z bombami. Niewykluczone, że rozbrojenie tych ostatnich spowodowało jakiś alarm, który ostrzegł komandosów, że ich obecność została wykryta. Stąd ich najwyższa czujność, gdy teraz zmierzali na południowy zachód, prosto ku stacji Pilipoint.

Patykowato chudy Uvovo zeskoczył z pobliskiego drzewa, by dołączyć do Cat oraz Słuchacza Malira.

- Dostojny Słuchaczu i Mistrzynie Ścieżek - powiedział, patrząc na nich szeroko otwartymi oczami. - Zbliża się Słuchacz z Chmurmorza.

Tak właśnie ją nazywali - Mistrzynie Ścieżek. Nie podobało jej się to, ale Słuchacze z Polany Wysokiej Pieśni podjęli taką decyzję wkrótce po obudzeniu się z zesłanego przez Segranę snu, który przyśnił się im wszystkim. A kiedy Cat zagłębiła się w gęste lasy w sercu Segrany, odkryła, że sen ten nie był tylko lokalnym wydarzeniem. Pomagało to, kiedy potrzebowała informacji oraz zwiadowców, ale sprawiało też, że odczuwała odpowiedzialność, jakiej nie doświadczyła nigdy wcześniej. Była jednak w stanie odsunąć to na bok i skupić się na swym zadaniu, na obowiązku, którego się podjęła: strzec Segrany oraz Ludu Liści.

Słuchacz z Chmurmorza nazywał się Okass, a wszystkich pięciu jego Uczonych było uzbrojonych w baty do łowienia ryb, za pomocą których, jak zadeklarowali, mogli w mgnieniu oka wyszarpnąć broń z niespodziewających się tego rąk. Zadecydowała, że wyśle ich z Malirem i jego siedmioma Uczonymi, sama zaś będzie towarzyszyć drugiemu Słuchaczowi, Josu z Podniebnego Ogrodu, którego jedenastu podwładnych umiało sprawnie władać sieciami.

Malir i Okass oddalili się, zmierzając w dół, zgodnie ze wskazówkami Cat podążając ku temu z intruzów, który znajdował się bardziej na zachód, podczas gdy ona i Josu skierowali się w stronę drugiego. Podczas gdy Uvovo byli w stanie podróżować zwinnie i szybko, Cat

musiała zadowolić się *trictra*; zapięła wokół siebie skórzastą uprząż, a potem podążyła w ślad za nimi przez splecione gałęzie i obrośnięte porostami kurtyny pnączy. Dziwna więź z Segraną pozwalała jej widzieć - w migawkach - dwóch ściganych, jak również Uvovo, którzy zaczęli zacieśniać krąg wokół nich, i wkrótce stało się jasne, że Ezgarowie wiedzą, co się dzieje.

Porzuciwszy próby ukrywania się, obaj gnali na łeb, na szyję przez las, a skaczący z drzewa na drzewo Uvovo już ich dopędzali.

I to Uczeni Malira oraz Okassa pierwsi rzucili się do ataku, starając się jednocześnie zahaczyć batami stopy intruza i rozbroić go. Jednakże Ezgara okazał się sprytny, przeskoczył nad hakowato zakończonym rzemieniem, który miał mu oplątać kostki, zanurkował i przetoczył się pod tym, który celował w jego kompaktowy karabin. Potem zasypał las po obu stronach gradem igieł czy kolców z mniejszej broni trzymanej w obu dolnych rękach. Ktoś wrzasnął w śmiertelnej męce i upadł, lecz polowanie trwało.

Teraz Catriona straciła możliwość śledzenia pogoni - większość małych zwierząt umknęła w popłochu z pola walki i jego najbliższej okolicy. Kilka chwil później usłyszała chrapliwe, stłumione bzyczenie rozbrzmiewające krótkimi seriami. Więcej krzyków, a potem niespokojna cisza. Cat przeszukała pobliski las od głębin aż po najwyższe piętra i znalazła długogrzebietą *vithni*, samicę polującą dla swoich szczeniąt. Łatwo było ją przekonać, że w określonym kierunku znajdują się smakowite larwy, i wkrótce...

Vithni przelazi wzdłuż kolejnych nisko zawieszonych gałęzi, dotrzymując kroku grupie rozradowanych Uvovo, którzy niosą na ramionach skrzepowaną pościel. Jej hełm oraz górna część zbroi zostały ściągnięte i Cat ze zdumieniem widzi, że Ezgara ma bardzo ludzko wyglądającą twarz, regularne męskie rysy o spokojnych szarych oczach, które wpatrują się intensywnie w jeden punkt gdzieś w górze. Mężczyzna się nie szamocze, lecz w jego rysach uwidacznia się swego rodzaju napięcie, oczy zaczynają się otwierać coraz szerzej i wychodzić z orbit, wargi cofają się, odsłaniając zęby, na skórze wykwitają plamy rumienia, pocętkowane ciemniejszą czerwienią. Potem jego głowa zaczyna drżeć, oczy wywracają się, ukazując białka, mężczyzna uśmiecha się i ogień rozkwita w jego ustach, po czym eksplozja wymazuje wszystko.

Więź z *vithni* zniknęła i grzmot detonacji odbił się echem w puszczy. Zerwanie połączenia sprawiło, że Cat aż syknęła, łapiąc oddech, niemal oszołomiona niedowierzaniem. Pająkowaty *trictra* poruszył się pod nią nerwowo, gdy starała się uspokoić w obliczu tego nowego okropieństwa. Samobójczy system autodestrukcji - czy to był kolejny przykład okrucieństwa Sendrukan?

- Szybko - rzuciła do eskortującego ją Uczonego. - Ruszaj naprzód i przekaz Josu, że chcę, by się trzymał z tyłu, zostawił intruza w spokoju, ale dalej go tropił.

Młody Uczony ochoczo kiwnął głową i pobiegł, znikając w cieniu drzew, Cat zaś popędziła *trictre*. Z głębi puszczy docierały do niej krzyki bólu, dobiegające z epicentrum tamtego śmiercionośnego odwetu, lecz musiała opancerzyć swój umysł przeciwko żalowi, skupiając się na tym, jak schwytać drugiego Ezgarę i utrzymać go przy życiu... a potem coś powróciło do niej, obraz uchwycony przez doskonałą pamięć fotograficzną cechującą Ulepszonych - jaskrawy żar, który zapłonął w ustach skrępowanego Ezgary, oraz to, jak skóra szyi i górnej części klatki piersiowej pojmanego rozpękała się wzdłuż rozpalonych do białości kresek. Cat przywołała z powrotem ową sekundę przed tym, jak więź z *vithni* uległa zerwaniu, wytężone skupienie widoczne w twarzy komandosa, niesłabnący wysiłek - jeśli ci Ezgarowie byli w stanie uruchamiać autodestrukcyjną siłę woli, to znaczyło, że drugi ze ściganych musi zostać szybko obezwładniony, a potem pozbawiony przytomności, zanim zdąży doprowadzić do drugiego niszczycielskiego wybuchu.

Słuchacz Josu czekał na nią na konarze spotkań małej osady zbieraczy, noszącej nazwę Słodkosiemie - faktycznie były to cztery wielkie gałęzie splecione ze sobą nad sadzawką, wyłożone matami i przyozdobione pachnącymi kwiatami oraz kwitnącymi pnączami. Mieszkańcy miasteczka trzymali się poza zasięgiem wzroku, poza starszym Uczonym, który przyniósł im obojgu na tacy czarki z sokiem *emel*, po czym wycofał się z powrotem do chaty.

- Wstrzymaliśmy się z atakiem, tak jak nas poinstruowałaś, Mistrzynie Ścieżek - rzekł Josu. - Czy ci intruzi są bardziej niebezpieczni, niż sądziłaś? Słyszeliśmy głośny wybuch.

Cat opowiedziała o tym, co widziała i co wiedziała; Josu początkowo zareagował sceptycznie na te rewelacje, do chwili, gdy pojawił się jeden z Uczonych Okassa, który przybył, by donieść o tragedii. Zginęło siedmiu Uvovo, w tym Słuchacz Okass. Gdy dokładnie wy pytali Uczonego, ten potwierdził relację Cat, a rany przydawały wagi jego słowom.

- Musimy pojmać tego drugiego żywcem - oznajmiła Cat, choć targały nią wątpliwości. Siedmiu zabitych z powodu jej niedopatrzenia. - Musimy poznać zamiary Hegemonii, nawet jeśli uzyskamy tylko tycie strzępki informacji, jakie może znać żołnierz, a poza tym chcę się dowiedzieć czegoś więcej na temat tych Ezgarów; jeśli są Ludźmi, musimy odkryć, skąd pochodzą.

- Są przerażająco silni, Mistrzynie Ścieżek - powiedział młody Uczony. - Jak mamy obezwładnić tego drugiego?

Przytaknąwszy, Cat odwróciła się do Słuchacza Josu.

- Nie możemy pozwolić, żeby był przytomny w momencie brania do niewoli. Musi zostać szybko uśpiony.

- Proszek do wciągnięcia w płuca czy płyn do wprowadzenia pod skórę? - spytał Josu.

- Proszek mógłby podziałać także na tych, którzy będą trzymali pojmanego - odrzekła Cat. - A zatem płyn; czy masz już coś w planach?

Josu się uśmiechnął.

- Korzeń *ortha*; występuje powszechnie w tym rejonie i łatwo można pozyskać żywicę z jego rdzenia. Jej działanie na Uvovo ogranicza się do rozluźnienia mięśni i myśli, lecz Ludziom odbiera ona przytomność.

- A jak szybko działa?

- Raz widziałem, jak potraktowano nią Człowieka, starszą kobietę, która uległa wypadkowi, podróżując daleko w głębi Segrany. Żywica zadziałała w ciągu czterech, może pięciu uderzeń serca.

Cat kiwnęła głową.

- No cóż, ten delikwent jest młody, wysportowany i dobrze wyszkolony, więc miejcie w pogotowiu kilka dawek.

Potem spiesznie opuścili Słodkosiemię - Słuchacz Josu popędził naprzód, żeby zorganizować zbiór korzeni *ortha*, podczas gdy młody Uczony powrócił do swych rannych towarzyszy, Cat zaś podążała przed siebie na *trictrze* z bardziej umiarkowaną prędkością. Im bardziej pogoń oddalała się od miejsca eksplozji, tym więcej leśnych zwierząt krążyło po okolicy, pasąc się lub prowadząc własne polowania. Gdy Cat skupiła się na więzi z Segraną, jej zmysły poszerzyły swój zakres i zasięg odbioru, pokazując jej migawki tego, co widziała Segrana, słyszanych przez nią odgłosów oraz innych odbieranych bodźców, w odniesieniu do których smak i węch stanowiły zaledwie przybliżenia. Wciąż jeszcze czuła ból po śmierci Uvovo zabitych przez ezgarskiego samobójcę oraz żalność pozostałych z powodu tej straty, lecz wyczuwała także drugiego Ezgarę, jego przemieszczanie się przez zieloną płataninę leśnego poszycia, jego niepowstrzymane, miazdzące tempo. Segrana wiedziała, czuła jego podróż przez swoje głębiny, lecz potrzebowała Catriony, by myśleć, patrzeć, odnajdywać i się nie poddawać.

Tak więc Cat przez krótkie chwile łowiła w mroku sylwetkę komandosa oczami to ptaka, to gada, to znów *baro*. Stopniowo zwolnił kroku, prawdopodobnie zakładając, że zostawił ścigających z tyłu. Do tej pory Cat zdążyła już dopędzić główną grupę Uczonych Josu; zdawali się na jej rozkazy z nabożnym szacunkiem, który w jej odczuciu był nieuzasadniony, lecz była zbyt zajęta ważniejszymi sprawami, żeby okazać dezaprobatę.

Potem zjawił się Słuchacz Josu z dwoma miejscowymi Słuchaczami; jeden był niski, drugi wysoki, a obaj pomarszczeni, lecz żyłaści. Przyniósł też trzy woreczki z tkaniny, z których każdy zawierał po cztery kawałki trzciniowych łądyg o zastrzonych i utwardzonych w ogniu czubkach, zamoczonych w lśniącej żywicy *ortha*. Wręczył je trzem zaufanym Uczonym z poleceniem, by intruz został ugodzony w odsłoniętą skórę trzema pociskami. Potem przedstawił Cat obu tutejszych - wysoki nazywał się Gruanu, niski zaś Hiskaja - i oznajmił, że znają oni idealne miejsce na zasadzkę. Cat posłuchała, wypytała ich oraz Josu, zastanowiła się przez chwilę czy dwie, po czym wyraziła zgodę.

- Nie zapomnij, Josu - podkreśliła. - Potrzebujemy go żywego.

- Rozumiemy to, Mistrzynie Ścieżek.

Pół godziny później w cieniu drzew skupionych blisko podnóża pionowego omszałego urwiska rozgrywały się ostatnie fazy pogoni. W nieprzeniknionym mroku grupy Uvovo zacieśniały krąg wokół Ezgary tylko po to, by w ostatniej chwili zboczyć lub się wycofać - zwody mające w zamierzeniu odwrócić jego uwagę czy przestraszyć go. Potem inna grupa nadbiegła górą, przeskakując z gałęzi na gałąź ponad intruzem, co sprowokowało go do otwarcia ognia - kiedy to zrobił, zrzucili na niego siatki pełne liści, małych leśnych stworzeń, nawet jedno czy dwa gniazda *pagmy*, żeby go zdezorientować, a równocześnie Uvovo na ziemi zaczęli gnać w jego kierunku ze wszystkich stron.

Uświadamiając sobie niebezpieczeństwo, raptownie opuścił swoją broń automatyczną i pociągnął wokół serią małych, ostrych jak brzytwy pocisków, nie widząc dwóch Uvovo, którzy z małpią zręcznością opuszczali się ku niemu po gałęziach. Spadli mu na ramiona i zwalili go na ziemię. Upadając, okręcił się, a z niższych ramion wystrzeliły ostrza, które zaświstały w cięciach i pchnięciach, rozcinając jednego Uvovo na skos od ramienia do biodra, podczas gdy drugi przetoczył się i uskoczył poza ich zasięg.

Komandos zaledwie zdążył się poderwać, gdy dalszych dwóch Uvovo wyskoczyło z dołu w ziemi i pognało w jego stronę, ciągnąc między sobą linę, która podcięła mu nogi. Upadł, rozpościerając ramiona, a jeden odważny Uvovo rzucił się naprzód z obciążoną ciężarkami lepką siecią, oplątał ją wokół broni Ezgary i wyszarpnął mu ją z rąk. Potem nastąpiła niemalże chaotyczna bijatyka: większość Uvovo zakotłowała się wokół intruza, starając się skrzepować mu kończyny i obezwładnić go.

Cat wcześniej skierowała swojego *trictre* na gałąź ponad ich głowami i patrzyła teraz, jak wiążą sztuczne dolne ręce Ezgary, a potem ściągają mu hełm i górną część pancerza, radząc sobie tak szybko, jak tylko mogli, z nieznanymi im zatrzaskami i zapięciami. Gdy tylko szyja oraz pierś mężczyzny zostały odsłonięte, przypadło do niego dwóch Uczonych

uzbrojonych w woreczki, bo trzeci, ranny, leżał gdzieś w mroku. Trzy posmarowane narkotykiem trzciny przekłuły skórę mężczyzny, po czym wszyscy pośpiesznie się wycofali, żeby go obserwować z odległości jakichś sześciu metrów. Ezgara, który z całą pewnością był Człowiekiem, wił się i szamotał w więzach, ale jego ruchy szybko osłabły, aż w końcu poruszał już tylko głową, ospale potrząsając nią to w jedną, to w drugą stronę, jakby w geście przeczenia; jego mamrotanie stawało się coraz mniej wyraźne, aż w końcu zamilkł i znieruchomiał.

Wtedy rozpoczęło się oczekiwanie. Cat wiedziała, że od chwili, gdy pierwszy Ezgara został pojmany, do jego autodestrukcji upłynęło mniej więcej pięć minut, więc zdecydowała, że tym razem pozwoli, by minęło piętnaście. Cisza zapadła w ciemniejącej dżungli, opuszczonej przez większe stworzenia, spłoszone przez gwałtowne starcie. W końcu, gdy czas oczekiwania dobiegł końca, Słuchacz Josu ostrożnie podszedł do powalonego, Cat zaś skierowała swojego *trictre* w dół, na ziemię. Paru Uvovo wyciągnęło chrząszcze *ineka*, więc przynajmniej mieli teraz do dyspozycji odrobinę światła.

- Jest nieprzytomny, Mistrzynie Ścieżek - rzekł Josu. - I stan ten utrzyma się przez resztę nocy.

Cztery czy pięć godzin, oceniła Cat, klękając obok uśpionego mężczyzny. Mam nadzieję, że to wystarczająco dużo czasu, żeby wydobyć z ciebie tę bombę.

Był przystojny - twarz jak wyciosana z kamienia, z kwadratową szczęką, ciemnowłosa, o gęstych brwiach i dość pełnych wargach - w zasadzie urodę miał z lekka skandynawską. Przypatrzywszy się uważniej, Cat dostrzegła mały symbol wytatuowany tuż pod jego prawym uchem: czerwoną głowę wilka. Potem położyła dłoń na jego klatce piersiowej, tuż poniżej szyi, lecz gdy tylko dotknęła jego skóry, cofnęła rękę, gwałtownie wciągając powietrze. Naokoło rozległy się nerwowe szepty, a część Uvovo zaczęła się wycofywać.

- Co wyczułaś, Mistrzynie Ścieżek? - zapytał stojący w pobliżu Josu.

Wyczułam i zobaczyłam, pomyślała. Pod skórą mężczyzny wyczuła wielkie niebezpieczeństwo... lecz miała też dziwną wizję, którą postanowiła zachować dla siebie.

- Coś wewnątrz niego - powiedziała. - Coś... - Dotknęła opuszką palca jego twarzy oraz odsłoniętych rąk i doznała takiego samego uczucia.

- W jego krwi - powiedział ktoś.

Obejrząwszy się prędko, zobaczyła, że dwaj miejscowi Słuchacze stoją nad mężczyzną i wpatrują się w niego; ich zapadnięte oczy były szeroko otwarte i nie mrugały - intensywny, świdrujący wzrok przemnożony przez dwa.

- Jego krwi? - powtórzyła Cat.

- Dziwna ciecz, niewidoczna dla mechanizmów obronnych jego organizmu... - powiedział ten wyższy.

- ...lecz niebezpieczna - dokończył jego niski towarzysz. - Po zmieszaniu z drugą cieczą...

Cat się skrzywiła - opisywali dwuskładnikowy materiał wybuchowy, dwie obojętne ciecze, które po zmieszaniu stawały się niestabilne. A więc drugi składnik musiał się znajdować w jakimś pojemniku implantowanym, tak by po rozerwaniu jego membrany zawartość trafiła do jednej z głównych tętnic...

Wydawało się, że niższy Słuchacz czyta w jej myślach, bo pochylił się, żeby szturchnąć klatkę piersiową uśpionego mężczyzny.

- Tutaj, w krwiobiegu tkwi woreczek. - Ocienione kapturem przenikliwe oczy zmierzyły ją spojrzeniem. - Trzeba usunąć ciecz krążącą we krwi przez filtrację, a będzie żył. Inaczej...

- Filtrację? - Wiedziała, że uzdrowiciele Uvovo wykorzystują określone rodzaje korzeni filtracyjnych do leczenia pewnych chorób, usuwając zanieczyszczenia z krwi. Ale w przypadku Ludzi...

- Czy to może zadziałać w przypadku kogoś, kto nie jest Uvovo? - zapytała Josu. - W przypadku Człowieka?

- Nigdy nie było praktykowane na Człowieku - odrzekł Josu. - Może go to zabić, Mistrzynie Ścieżek, ale pozostawiony samemu sobie wybrałby śmierć, co do tego nie ma wątpliwości.

- Aye, mają solidnie wdrukowane „śmierć-lub-chwała”, to pewne. W porządku, zrobimy to. Bacznie zważając na jego stan.

Gdy już decyzja została podjęta, Słuchacze polecili najsilniejszym spośród Uczonych ponieść skrępowanego i uśpionego żołnierza na ramionach, podczas gdy pozostali mieli pomóc rannym oraz zabrać ciała Uvovo, którzy zginęli w walce. Kiedy Cat patrzyła, jak ich procesja odchodzi, jej myśli pobiegły z powrotem ku dziwnej wizji, która przemknęła jej przez głowę, gdy badała Ezgarę. Przez jedną zapadającą w pamięć chwilę widziała Grega; leżał i wydawało się, że śpi u stóp dziwnego krzewu o wielu rozgałęzieniach, z którego wysuwało się kilka bladych wypustek dotykających obu stron jego głowy, wrastających w skórę. Chel siedział w pobliżu, spowity w długie ciemne szaty, i pilnował go.

Czemu Segrana postanowiła jej to pokazać? Czy to był obraz stworzony po to, żeby rozwiać jej obawy, czy też migawka czegoś, co działo się naprawdę? Segrana chciała ją zatrzymać tutaj, to było więcej niż pewne, więc czy to była próba wyciszenia jej obaw?

Cat na moment zakryła oczy dłonią, kciukiem i palcem wskazującym rozmasowując

bolące skronie. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego Segrana potrzebowała jej obecności tutaj, a jak na razie nie udało jej się jeszcze dociec, jaki konkretnie.

Wzdychając, wyprostowała się i przywołała *trictę*, wiedząc, że jej osobiste zmartwienia będą musiały poczekać do czasu, aż ten kryzys zostanie rozwiązany.

Było późne popołudnie; niemal dwadzieścia cztery godziny upłynęły od ich ucieczki z ufortyfikowanej willi wysłannika Hegemonii, a ponad dwadzieścia, odkąd przybyli do Glenkryłowa, lasu potomnego położonego w płytkiej dolinie kilka mil na południe od Waonwiru. To Cheluvahar wpadł na pomysł, żeby przywieźć tutaj Grega, w nadziei, że znawcy korzeni być może znajdą jakiś sposób pozwalający uwolnić go z uwięzi pyłu Pozbawionych Snów. Uczni pracowali nad tym wytrwale przez wiele godzin, testując rozmaite korzenie filtracyjne - zarówno krzewów, jak i pnączy - w różnych kombinacjach, do momentu aż Chel, wykorzystując swe niezwykle zdolności, był w stanie potwierdzić, że znaleźli bezpieczny i skutecznie działający zestaw. Kiedy Greg został uspijony ekstraktem z korzeni *ortha*, Chel usiadł w pobliżu, żeby go obserwować wszystkimi oczami, śledząc słabnącą obecność tych niebezpiecznych drobin.

Równocześnie zmuszony był znosić nieustający strumień przybyszy - Uvovo, którzy napływali do lasu dwójkami, trójkami oraz w większych grupach, uciekając z miast, a zwłaszcza z Hammergardu, gdzie oddziały wojsk brolturańskich zatrzymywały wszystkich Uvovo, „podejrzewając ich o współpracę z agitatorami na rzecz terroryzmu”. Wyglądało na to, że nowy rząd Jedności szybko wprowadził represje w zamian za udzielaną przez Brolturan pomoc, gdy chodzi o egzekwowanie prawa i porządku. Paradoksalnie jedną z jego pierwszych decyzji było rozwiązanie i rozbrojenie Ochotniczego Korpusu Dariena, jak również reorganizacja lokalnego aparatu sprawiedliwości i uzbrojenie niektórych jednostek policji.

Tak więc tym uciekinierom Uvovo trzeba było zapewnić żywność i schronienie (a w niektórych przypadkach również pomoc uzdrowicieli), później zaś zebrać ich w grupki i wysłać do tajnych Nor oraz innych kryjówek daleko na zachodzie, w głębi lądu. Do tego dochodziła jeszcze rola Chela jako Widzącego, z którą wiązała się nieprzewidziana wcześniej konieczność dodawania innym otuchy, jak również rozstrzygania dysput pomiędzy Słuchaczami. Po mniej więcej jedenastu godzinach tego wszystkiego czuł, że jego umysł przestaje wytrzymywać obciążenie, a zdolność postrzegania słabnie pod wpływem zmęczenia. Zakrył więc oczy, zostawił Grega pod opieką uzdrowiciela Najuka i poszedł wspiąć się na pobliskie drzewo obserwacji, poszukując odprężenia i zmiany perspektywy.

Drzewa obserwacji wybierano pod kątem wysokości i mocnej budowy, co oznaczało, że były to zazwyczaj *rakiny*, zarówno na Umarze, jak i na księżycu. Co więcej, ich kora

obfitowała w zgrubienia i zmarszczki, dostarczające licznych uchwytów dla rąk i oparcie dla stóp. Wspinając się, Chel czuł, jak napięte, bolące mięśnie i ścięgna zaczynają się rozluźniać, a odrętwienie się rozwiewa, w miarę jak ruch fizyczny pobudzał jego siły życiowe. Pnąc się coraz wyżej, oddychał głęboko, rozkoszując się zapachami i przenikającym go wrażeniem odnowy.

Gdy pokonał mniej więcej jedną trzecią drogi w kierunku okapu lasu, do jego uszu dotarły głosy dobiegające spomiędzy liści ludzkie głosy i zwolnił, żeby odszukać ich źródło. Potem wspiął się na gruby konar i zobaczył ich - jedni siedzieli, inni leżeli wyciągnięci na wysłanej matami platformie umocowanej do rozwidlonej gałęzi pobliskiego drzewa. Widząc wśród nich Rory'ego oraz jednego z braci Firmanow, pomachał, a Rory zamachał w odpowiedzi.

- Jak się miewa ten twój pacjent, Chel?

- Dużo lepiej! - odrzyknął Chel. - Jego stan poprawia się z godziny na godzinę.

- Jest szansa, że za parę godzin będzie z powrotem na nogach?

Chel potrząsnął głową.

- Myślę, że nie wcześniej niż jutro, Rory. Zbudzi się osłabiony i będzie potrzebował jedzenia oraz odpoczynku. Czy planujecie opuścić las?

- Aye... no cóż, możliwe, jak już wykombinuję, jak ruszyć na poszukiwanie majora.

- Planujecie wyruszyć niedługo?

- Myślę, że za kilka godzin; wpadniemy tu siem pożegnać, nim zwiniemy manatki.

Chel skinął głową i ponownie pomachali do siebie nawzajem, po czym wznowił wspinaczkę.

Wkrótce potem znalazł się na jednym z chmurowych stopni - tak nazywano najwyższe i najwęższe spośród platform osadzonych na drzewach obserwacji. Lekki, zimny wiatr bez ustanku poruszał okolicznym listowiem, przynosząc przelotne podmuchy miłych woni, i Chel czuł, jak cały pień nieznacznie się kołysze. Wszędzie wokół były kobierce szeleszczących liści, poruszające się czubki drzew, nad którymi przemykały i bzycały owady, kusząc ptaki, które nurkowały i chwytaly je w locie. Popołudniowe słońce tylko od czasu do czasu przebijało się przez chmury, lecz było sucho i ciepło, a powietrze tak czyste, że gdy Chel spoglądał na wschód, ponad szarą płaszczyznę Loch Morwen, widział wysepki skupione blisko ujścia rzeki Gangradur.

Ważniejszy był jednakże widok rozpościerający się na północy: klify, które wznosiły się na spotkanie niższych zboczy grzbietów, jak również boczna grań górską, której wschodnim krańcem był Waonwir. Chel słyszał od przybywających Uvovo rozmaite pogłoski

na temat ruin świątyni; że Brolturanie zamierzają je wykorzystać jako więzienie dla dysydentów lub że chcą je zrównać z ziemią, lub też że planują tam zbudować fortecę. Bez względu na to, jaka była prawda, z całą pewnością coś tam robili - ubiegłej nocy jeden z Uczonych z lasu wspiął się na jedno z pozostałych drzew obserwacji i ujrzał stamtąd jaskrawą białą poświatę emanującą ze szczytu wzniesienia. Teraz, gdy Chel, mrużąc oczy, patrzył na ten odległy ciemnoszary masyw, nie było tam widać śladu żadnej iluminacji, dostrzegł jednak małą ciemną kropkę, która wystartowała i pomknęła w stronę Hammergardu.

Przypomniał sobie proroczą wypowiedź widmowego Mistrza Ścieżek: „Hegemonia wkrótce przejmie kontrolę nad Umarą... niedługo wkroczą także do tej komory...”. Jakże szokujące wydawały się wówczas te słowa - nigdy by nie pomyślał, że mogą się spełnić tak szybko. Taka możliwość nigdy nie przyszłaby mu do głowy, kiedy zakradał się na pokład zeplina, który transportował Grega w dół, do miasta, a teraz los Słuchacza Weynla oraz innych, zarówno Uvovo, jak i Ludzi, pozostawał niewiadomą. To samo odnosiło się także do innych Słuchaczy, takich jak Faldri, Eshlo, Shikellik i Murnil; aż do tej pory Chel nie zdawał sobie sprawy, jak dalece stali się zależni od używanych przez Ludzi urządzeń do komunikacji, gdy chodzi o utrzymywanie kontaktów między odległymi społecznościami.

Pokusa, żeby czekać tu, w Glenkryłowie, na dalsze wieści, była silna, Chel jednak wiedział, że on oraz Uczeni z lasu muszą poczynić plany dotyczące szybkiej ucieczki. Był pewien, że jeśli Greg zdradził wszystko, co wiedział, to wysłannik Hegemonii Kuros musi coś podejrzewać na temat powiązań Uvovo ze świątynią i komorą studni, nie wspominając już o starożytnym porozumieniu z Segraną, datującym się wstecz aż do najdawniejszych czasów. Prócz opowieści o zatrzymaniach i biciu, Chel słyszał też niepotwierdzoną pogłoskę, że brolturańskie wojsko dokonało inwazji na Buchanskog, las potomny na wschód od Hammergardu, że zniszczono miejsca medytacji, *vudrony* oraz chaty Uczonych, a potem wywieziono stamtąd wszystkich Uvovo, jakich zdołano schwytać. Jeśli innoświatowcy byli gotowi tak szybko najechać na jeden z lasów potomnych, było tylko kwestią czasu, zanim zaatakują pozostałe.

Rzuciwszy jedno ostatnie spojrzenie na Waonwir, ciemniejący teraz, w miarę jak słońce zniżało się w stronę horyzontu, Chel zaczął schodzić po pniu, pragnąc jak najszybciej sprawdzić stan Grega, ale też chcąc prędko poczynić plany z myślą o najgorszym scenariuszu. Przynajmniej dzięki temu każdy mniej ponury wariant wydarzeń będzie się wydawał ułaskawieniem, a może nawet szansą!

Był wczesny wieczór, kiedy dotarli do Akessonholdu, pełnego przybudówek wiejskiego domu w pobliżu Ładowiska i ich trzeciej bezpiecznej kryjówki w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Teo, Donny i Solvjeg zostali zaproszeni do przedpokoju, wyłożonego boazerią pomieszczenia w kształcie litery L, od którego odchodziło kilka korytarzy - niektóre prowadziły parę schodków w górę, inne parę schodków w dół. Sam Arne Akesson czekał, żeby ich powitać - łysy, barczysty mężczyzna o budowie zapaśnika, której zawdzięczał przezwisko „Byk”, aczkolwiek wśród Charakternych słynął z lisiego sprytu.

- Teo, Donny i Solvjeg - powiedział, potrząsając ich dłońmi i kłaniając się uprzejmie siostrze Teo, podczas gdy jego podwładni zajęli się płaszczami i nakryciami głowy przybyszy. - Kochana Solvjeg, dobrze cię widzieć bezpieczną; słyszałem o tym, jak ci dwaj bohaterowie wydarli cię z groźnej niewoli. Proszę, czujcie się w moim domu jak u siebie; czasy są niebezpieczne i przyjaciele muszą się trzymać razem.

- Ogromnie ci dziękuję, Arne - odrzekła Solvjeg ze zmęczonym uśmiechem. - To był trudny dzień.

Teo kiwnął głową.

- I głodny.

Akesson uśmiechnął się szeroko.

- Ach, wiem, że goszczę znanego łasucha, więc tą kwestią się nie martwcie. Wydzieliłem dla was mały salon, który znajduje się na górze, za tymi schodami i w prawo, i zaraz każę tam zanieść trochę wiktuałów.

- To co, mamy iść teraz na górę? - zapytał Teo.

- Niech Solvjeg i Donny idą - odparł Akesson. - W pokoju na tyłach jest ktoś, kto musi z tobą pomówić, Teo.

Teo się uśmiechnął - w domu Arnego pokój na tyłach był tak naprawdę przybudówką, gdzie Akesson trzymał swoją radiostację.

- Wrócę za kilka minut - powiedział Donny'emu i siostrze, po czym wyszedł z przedpokoju w ślad za Akessonem.

Wąski korytarz oświetlony lampami naftowymi prowadził kilka metrów w głąb domu i po krótkich schodkach w dół do nowszego skrzydła, potem przeszli przez dużą kuchnię, gdzie z garnków unosiła się para przesycona zapachami: gulasz, piekący się chleb oraz coś

duszonego w winie. Z głównej spiżarni na tyłach skryte za zasłoną, łukowato sklepione przejście prowadziło do kolejnego wąskiego, wyłożonego drewnem, pozbawionego zdobień korytarza, a na jego końcu przechodziło się przez skrzypiące drzwi do przybudówki.

Gdy weszli, chudy młodzik wstał i podał Akessonowi parę słuchawek wraz z mikrofonem.

- Nadal czeka, proszę pana.

- Dziękuję, Giennadiju. Czy sygnał jest zakodowany?

- Tak jest, proszę pana.

Kiwnąwszy głową, Akesson usiadł przy radiostacji. Był to przestarzały model OKD, o obdrapanej i poobijanej drewnianej obudowie, której wyglądu nie mógł poprawić nawet fakt, że została niedawno odmalowana na ciemnoniebiesko. Stojący obok nadajnik był nijakim, bardzo brudnym zielonym urządzeniem, do boku którego przyśrubowano coś wyglądającego jak skórzany uchwyt walizki.

- Halo? - powiedział Akesson do cienkiego mikrofonu. - Tak, jest tutaj. - Przekazał słuchawki Teo, który założył je na głowę.

- Karlsson z tej strony.

- Ciesze się, że słyszę pana głos, majorze.

- Rory! - Wezbrała w nim nadzieja przemieszana z trwogą. - Co z Gregiem? Ostatnie, co słyszałem, to że przekazano go w ręce Kurosa.

- Och, *aye*, aleśmy go stamtąd odbili z drobnom pomocom tego Uvovo, Chela, oraz koparki, którym dorwał w swe łapki Szalony Davey. Greg został tak jakby ranny, ale nie poważnie: gadaliśmy z nim, zanim odjechaliśmy, i ma się dobrze.

Teo uśmiechnął się szeroko.

- Dobra robota, Rory; zarobiłeś w tym tygodniu na swój żołąd. Gdzie teraz jesteś?

- W Rullinge, u Krugera.

Rullinge było miasteczkiem skutniczym leżącym kilka mil w dół wybrzeża od Wysokiego Lochiel, a piwiarnia Krugera - dość spelunkowatym lokalem.

- A czy śledziłeś w ostatnim czasie wiadomości, Rory?

- Można tak rzec, i ciut pomagałem je wzbogacić!

- No cóż, wygląda na to, że właśnie staliśmy się oficjalnym ruchem oporu...

- Mnie to pasuje, proszę pana!

- ...ale póki nie skontaktuje się z nami Piatkow - kontynuował Teo - nie wiemy, czy są jeszcze jacyś inni, z którymi powinniśmy się skontaktować, na przykład byli żołnierze OKD albo niezadowolona policja...

Akesson się pochylił.

- Piatkow już tutaj jedzie; ma dotrzeć za jakieś pół godziny.

Teo kiwnął głową.

- Dobra, Rory, wygląda na to, że Piatkow dołączy do nas za mniej więcej trzydzieści minut, to wtedy będziemy wiedzieć, na czym stoimy. Ale chcę, żebyś razem z pozostałymi ruszył na południe i spotkał się z nami w Dolinie Pamięci. Jest tam punkt widokowy ze stołami piknikowymi, skąd widać *Hyperiona* - to będzie miejsce spotkania, ale chcę, żebyście się trzymali pod osłoną drzew. Nie wiemy, czy Brolturanie prowadzą obserwację satelitarną kolonii, ale lepiej zachowajmy ostrożność.

- Tajest, majorze.

- Dobrze. Przy okazji, jak tam nastroje w Rullinge?

- Ech, ludziska nie som szczęśliwi, majorze. Mamy tu tak jakby wszystkie stopnie wkurwu od zwykłych kipiących złościom typów do zapienionych berserków. Jedni chcom zabarykadować wszystkie drogi do miasteczka i z miasteczka, inni już się szykujom, coby wyładować ciężarówkę szczelbami i mołotowami i jechać spuścić manto Sendrukanom, a reszta póki co po prostu chleje.

- Mogą być później dobrym źródłem rekrutów. Na razie za wszelką cenę starajcie się nie rzucać w oczy, gdy będziecie wyjeżdżać. Bądźcie ostrożni na drogach i uważajcie na blokady - w razie konieczności wybierajcie polne drogi.

- Tajest, majorze; już ruszamy.

Teo zdjął słuchawki i położył je na stole.

- Wyglądasz na zmęczonego, przyjacielu - powiedział Akesson.

Wzruszył ramionami.

- Wczoraj o tej porze byliśmy na piętrze u Czorniłowa, w tej restauracji w zachodnim Hammergardzie, kiedy uzbrojona policja zrobiła nalot na lokal; wydostaliśmy się tajnym przejściem prowadzącym przez strychy dwóch sąsiednich budynków. Znaleźliśmy garaż, wynajęliśmy starego gruchota, który kiedyś był terenówką, i około północy dotarliśmy do farmy rybnej Martenssona...

- Chyba wiem, gdzie to jest: przy drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża, kilka mil na południe od Portu Gagarina...

- Zgadza się. No więc udało nam się tam złapać kilka godzin snu w pustej chatce, gdzie normalnie śpią robotnicy, po czym o piątej rano obudził nas nasz główny kontakt; okazało się, że przyjechało dwóch oficerów wywiadu wojskowego oraz sześciu brolturańskich żołnierzy i przesłuchują wszystkich na miejscu. Główna brama była obstawiona, więc

musieliśmy przebrnąć przez błotniste pole i dotrzeć do drogi, targając rowery, które nasz kontakt wygrzebał dla nas z magazynu. Po tej przygodzie trzymaliśmy się polnych dróg i ścieżek górskich, i w końcu zdołaliśmy tutaj dotrzeć w jednym kawałku.

W pamięci Teo znów zjawiała się owa desperacka, paniczna ucieczka pod burzliwym nocnym niebem, gdy siekł ich lodowaty wiatr, a od morza szły kolejne fale ulewnego deszczu.

- Twoja siostra została aresztowana i przesłuchana, tak? Ale zdaje się, że przetrwała to. Teo uśmiechnął się smutno.

- *Ja*, ona zawsze była tą twardą; nigdy nie pozwalała, żeby jakaś sytuacja wzięła górę nad nią czy kimkolwiek innym. Choć bardzo się teraz martwi o swoich chłopców, zwłaszcza o Grega. - Wstał. - Powinniśmy wrócić, żebym mógł jej powiedzieć, że jest bezpieczny.

Akesson kiwnął głową i poszedł pierwszy, zatrzymując się w kuchni, żeby się upewnić, że do małego salonu zanieśono już jedzenie i napoje. Donny i Solvjeg siedzieli w fotelach po obu stronach stołu, na którym ledwie się mieściły półmiski z wędlinami, serem, masłem i małymi wytrawnymi pasztecikami w cieście oraz dzbanek z grzany winem, roztrzaskany kuszącą woń. W kominku płonęło kilka dużych polan, a ze ścian spoglądały pokolenia Akessonów. Solvjeg uniosła wzrok, gdy weszli, a kiedy Teo przekazał wiadomość o Gregu, przycisnęła dłoń do ust i zamknęła oczy.

- Dzięki Bogu - wyszeptęła, po czym opuściła dłoń, którą zacisnęła w pięść, i skinęła głową w stronę Teo. - Wszyscy są bezpieczni, Teo. - W czasie postoju u Martenssona otrzymali wiadomość, że Ian i Ned dotarli do Invergault, a teraz kierują się na południe w góry Hrothgar, zamierzając się ukryć w którymś z obozowisk traperskich.

Teo i Akesson przysunęli sobie dwa wiklinowe krzesła i rozlali gorące wino do kubków, a potem wszyscy czworo pokrótce zrelacjonowali posiadane informacje, żeby spróbować uzyskać pełniejszy obraz sytuacji. Przede wszystkim było już pewne, że Sundstrom i jego rada ministrów nie żyją - zginęli na miejscu w czasie ataku raketowego. W ciągu kilku godzin w Zgromadzeniu został utworzony rząd jedności narodowej, jakkolwiek małe partie Fundacjonistów i Redempcjonistów odmówiły przystąpienia do niego, przy czym ta druga była dawną partią Wiktora Ingrama i obecnie składało się na nią pięciu posłów. Wraz z Fundacjonistami stanowili oni oficjalną opozycję liczącą łącznie ośmiu posłów, podczas gdy rząd Jedności składał się ze stu czterech członków.

To nowe Zgromadzenie prędko wprowadziło serię drakońskich praw, w tym kilka dotyczących stanu wyjątkowego, nadających olbrzymie uprawnienia decyzyjne władzy wykonawczej, a przywództwo nad organami tejże władzy objął Dugald Kirkland, lider

Sojuszu Konsolidacyjnego, obecnie tymczasowy prezydent Dariena. I wszystko to zostało przeprowadzone niemal bez reportażu czy komentarzy w mediach, gdyż wielu dziennikarzy również zginęło w ataku na budynek Zgromadzenia; przy tym policja dostała rozkazy, żeby zamknąć wszystkie gazety, wszystkie stacje widu (z wyjątkiem Starstreamu) i wszystkie stacje radiowe (poza rządowym serwisem informacyjnym, który nie udzielał żadnych użytecznych informacji).

W lepkiem miodzie tego bezlitosnego, dokonanego cichcem zamachu stanu była tylko jedna mucha - Aleksander Waszutkin, minister transportu w rządzie Sundstroma, nadal żył. Ponieważ w trakcie oficjalnej wizyty w Trondzie złamał nogę, na nadzwyczajne posiedzenie rady ministrów zwołane po zniknięciu ambasadora Horsta wysłał swego zastępcę. Półtorej dekady wcześniej Waszutkin i Sundstrom stali się bliskimi przyjaciółmi w partii Progresywnej Dyspersalizm, ale po kilku latach rozdzieliły ich różnice programowe, sprawiając, że Waszutkin wystąpił z PD i został członkiem partii Unia na Rzecz Wsi. Ta z kolei weszła później w skład Koalicji Obywatelskiej Sundstroma, co zmusiło dwóch dawnych przyjaciół do wznowienia współpracy.

I Waszutkin wykorzystywał teraz Trond jako swoją bazę, skąd wygłaszał na żywo radiowe przemówienia demaskujące Hegemonię i jej wysłannika Kurosa jako tyranów i agresorów oraz oskarżające rząd Jedności o bycie tchórzliwymi kolaboratorami. Najbardziej kąśliwe obelgi rezerwował dla samego Kirklanda, stwierdzając, że jego motto powinno brzmieć „Wyłizemy Każdy But” oraz że żyje on w ciągłym strachu, iż pewnego dnia jego własne jelita, ogarnięte wstydem, popełnią przelitykiem do góry i go zaduszą.

Tyrady Waszutkina w połączeniu z formalnym wskrzeszeniem Ligi Północnych Miast uczyniły już z Trondu ognisko niezgody, protestów przeciwko Zgromadzeniu w Hammergardzie oraz drwin z tegoż. Nowe prawa ignorowano, a oficjelom z Hammergardu, którzy przywieźli rozkazy ich egzekwowania, tego wieczoru grzecznie, lecz stanowczo pokazano drzwi. Dwadzieścia cztery godziny po ataku rakietowym kolonia była podzielona na pół; wyglądało na to, że doradcy z Hegemonii są obecni na wszystkich szczeblach rządu, a brolturańskie patrole lądowe i powietrzne pozostawały bardzo widoczne w Hammergardzie i innych większych miastach, z wyjątkiem tych na północy. Z Nieviesty nie było żadnych wieści.

- A co z Ziemią? - zapytał Teo, dopijając ostatnie krople wina i sięgając po chleb oraz ser. - Czy z ich strony padł jakikolwiek komentarz?

Akesson uśmiechnął się kwaśno.

- Nawet nie wyznaczyli nowego ambasadora. Ten kapitan *Heraklesa*, Velazquez,

udzielił Starstreamowi wywiadu tuż po tym, jak potwierdzono, że prezydentem jest teraz Kirkland. Mówił o tym, że dla Dariena to nowy początek i że powinniśmy wesprzeć nowy rząd, i jak bardzo wszyscy jesteśmy wdzięczni, że Brolturanie oraz Hegemonia pomagają ustabilizować sytuację.

- Aye - skomentował gorzko Donny. - Stabilizując ją butem na naszych szyjach.

- W ciągu całego wywiadu nie uśmiechnął się ani razu - odrzekł Akesson. - Naprawdę wyglądał jak ktoś, kto wypełnia rozkazy budzące w nim wstręt.

Donny prychnął.

- Ale mimo to, wypełnił je. Jego ludzie nadal patrolują kolonię wspólnie z Brolturanami.

- A co z Horstem? - spytał Akesson. - Co się z nim stało? Czy naprawdę go porwałś?

Teo potrząsnął głową.

- Nie, nie, uratowałem go przed przesłuchaniem przez Brolturan - odparł. - Wiedziałem, że nie miał nic wspólnego z zamachami bombowymi, więc wywoziłem go na Ramię Olbrzyma i zostawiłem tam z przyjaciółmi, kiedy musiałem ruszyć na ratunek siostrze. Od tamtej pory... - Wzruszył ramionami. - Nie wiem, czy Horst gdzieś się ukrywa, czy też go złapali. Mam nadzieję, że to pierwsze...

- Brolturanie coś szykują na Ramieniu Olbrzyma - powiedział Akesson. - Maszyny pracują tam przez całą dobę, a w nocy teren oświetlają wielkie reflektory...

- Słyszałem, że budują tam więzienie, fortecę albo jedno i drugie - odrzekł Teo, po czym zamilkł, bo jeden z podwładnych wszedł i powiedział coś cicho do Akessona.

Barczysty mężczyzna kiwnął głową, a po wyjściu podwładnego odwrócił się do pozostałych.

- Piatkow będzie tu za jakieś dziesięć minut; właśnie opuścił gospodę przy szosie midgardzkiej. I wygląda na to, że nie jest sam.

- To pewnie są z nim ci Ulepszeni - powiedział Donny.

Pozostali zagapili się na niego. Zadowolony, że przyciągnął ich uwagę, dolał sobie wina i ugryzł pasztecik.

- Słyszeliście o nich, tak? - kontynuował. - Te dzieciaki, które...

- Tak, wiemy, kim oni są, Donny - powiedział Teo. - Może po prostu nam powiedz, co kombinuje Piatkow, bo wygląda na to, że wiesz więcej niż my.

- Och, nie wiem za wiele - odrzekł Donny, popijając wino. - Ale wiem z całą pewnością, że wśród super-hiper-tajnych projektów rządowych był jeden odnoszący dużo, dużo większe sukcesy niż reszta i myślę, że to właśnie tych ludzi ma ze sobą Piatkow.

Przypuszczalnie chce, żeby zostali przewiezieni do bezpiecznej kryjówki w pobliżu Trondu lub jeszcze dalej na północ, znając moje zezowate szczęście.

- Ulepszeni - wymamrotał ponuro Akesson. - To było coś strasznego, co zrobiono tym dzieciom.

Solvjeg się nachyliła.

- Kiedy byłam młoda i chodziłam jeszcze do szkoły, jedna z moich najbliższych przyjaciółek zaszła w ciążę z młodzieńcem z sąsiedniego miasta, bardzo przystojnym chłopcem, który umiał wspaniale tańczyć i grać na bała... w każdym razie ona i jej rodzice byli zrozpaczeni, ale w tamtym czasie Żyliński promował swój Nowy Program Dziecięcy, wspierany przez rząd, zachęcając kobiety, żeby, zamiast dokonywać aborcji, oddawały niechciane dzieci, nawet jeszcze przed wyznaczonym terminem porodu. Nigdy nie przyznali publicznie, że chirurdzy Żylińskiego próbują stworzyć ludzkie komputery; używali takich słów, jak dostosowanie, modyfikacja albo ulepszenie. W końcu jednak ujawniono całą prawdę, kiedy nie dało się już dłużej ukrywać nieudanych przypadków. Zwłaszcza jeden z nich był rozdzierająco smutny: młoda, dziewiętnastoletnia kobieta, która czterdzieści czy więcej razy próbowała popełnić samobójstwo, mimo że z ocen psychologów wynikało, że jest spokojnym, racjonalnie myślącym geniuszem matematycznym - przez dziewięćdziesiąt pięć procent czasu. Przez pozostałych pięć procent była pełną nienawiści do siebie samej, autodestrukcyjną monomanką. Kiedy opisywano jej historię w radiu i w gazetach, pokazano jej zdjęcie i podano imię, a moja przyjaciółka natychmiast rozpoznała w niej swoją córkę...

W pamięci Teo pojawiło się imię.

- Maria... Groenvold - powiedział.

Solvjeg się uśmiechnęła.

- Tak, zgadza się, a jej córka nazywała się Ulrike; może niektórzy spośród towarzyszy pana Piatkowa będą ją pamiętać...

Akesson uniósł dłoń, nakazując ciszę, a chwilę później Teo usłyszał na zewnątrz pojazd, zgrzyt opon o żwir.

- Upewnię się - powiedział Akesson, wychodząc do przedpokoju.

Donny tymczasem był już na nogach i stał w pobliżu drugich drzwi. Teo i jego siostra popatrzyli na niego z ukosa.

- Hej - powiedział. - Tak na wszelki wypadek.

Potem przy drzwiach pojawił się Akesson, dając znak, żeby poszli za nim.

W przedpokoju panował ruch; Akesson wydawał polecenia swoim podwładnym, podczas gdy Piatkow, zakutany w podbity futrem płaszcz, zapraszał kilkoro ludzi o

pozbawionych uśmiechu twarzach - trzech mężczyzn i dwie kobiety - by przeszli do innego pokoju. Ulepszeni mieli na sobie tylko lekkie ubrania, bez wierzchnich okryć, co przypuszczalnie tłumaczyło ich ponure miny, lecz w ich zachowaniu była też pewna wyniosłość, a przechodząc przez przedpokój, nie zaszczycili nikogo spojrzeniem. Solvjęg obserwowała ich przez moment, po czym położyła rękę na ramieniu Teo, uśmiechnęła się i podążyła w ślad za nowo przybyłymi. Widząc to, Piatkow wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że pańska siostra może odkryć, iż są cokolwiek małomówni - powiedział do Karlssona. - Zamienili ze mną góra tuzin słów, odkąd ich zabrałem z Zakładu Delta, a to było ponad dwadzieścia cztery godziny temu. - Rozpiął płaszcz. - W każdym razie zatrzymaliśmy się tutaj tylko na chwilę, pięć minut, potem musimy jechać dalej. I potrzebuję, żebyście obaj pojechali z nami; przyda się też wszelka pomoc ze strony pańskich Charakternych, majorze, jeśli w okolicy są jacyś.

Teo i Donny wymienili zaintrygowane spojrzenia.

- Spodziewa się pan kłopotów w drodze na północ, Witaliju? - spytał Donny.

- Nie na północ, kapitanie, tylko na wschód - odrzekł sztywno Piatkow. - Prezydent Sundstrom potajemnie zawarł porozumienie z ambasadorem Imisilu, zgodnie z którym w wypadku, gdyby Hegemonia de facto przejęła władzę nad kolonią, Imisilczycy mają zaoferować pewnej grupie naukowców azyl polityczny. Ich ambasador prowadzi właśnie rozmowy z Kurosem, co oznacza, że imisilski prom stoi w tej chwili na pasie startowym w Porcie Gagarina; musimy tam dojechać jak najszybciej, przedostać się przez bramki i dostarczyć Ulepszonych bezpiecznie na pokład tego promu.

- To wszystko? - spytał Teo. - Co jest takiego szczególnego w tych ludziach?

- Aye - przyłączył się Donny. - O co tu tak naprawdę chodzi?

Wargi Piatkova były zaciśnięte w cienką linię.

- Nie mogę ujawnić tego, co wiem, ale mogę wam powiedzieć jedno: nie wolno nigdy dopuścić do tego, żeby Hegemonia odkryła, co znajduje się w umysłach tych Ulepszonych.

Donny popatrzył na Teo.

- Na pewno chodzi o ten przepis na haggis z renifera; nie uwierzyłbyś, jakie plotki słyszałem...

- Barbour, czy możesz się zachowywać poważnie przez...

- W porządku, Piatkow - wmieszał się Teo. - Więc dlaczego przekazujemy tych ludzi Imisilczykom? Czy naprawdę można im ufać?

- Tak, rząd Imisilu nominował członka Rady Wstawienniczej, który ma sprawować nad nimi pieczę.

- Członka czego? - spytał Donny.

Piatkow zmarszczył brwi.

- Organizacji interplanetarnej, która, jak mi powiedziano, słynie z uczciwości i bezstronnej mediacji.

Teo wzruszył ramionami i zerknął na Donny'ego, który przewrócił oczami, następnie zaś wyciągnął pistolet.

- Czochow, kaliber 50 - powiedział. - Nic tak nie sprzyja uczciwości i bezstronności. Sprawdziwszy magazynek, załadował go z powrotem, po czym mrugnął.

Teo zaśmiał się i odwrócił do Piatkova.

- Kilku moich ludzi będzie czekać przy punkcie widokowym w pobliżu Doliny Pamięci.

- Możemy tam zajechać, żeby ich zabrać, nie tracąc czasu.

- Poza tym, ja nawet nie mam broni.

- To nie będzie problem - odrzekł Piatkow. - Przywiozłem parę sztuk do wyboru.

Kilka minut później, gdy Ulepszeni kolejno wychodzili z powrotem na zewnątrz, odziani teraz w szaliki i czapki ofiarowane przez Akessona, Teo poszedł się pożegnać z siostrą. Stała, rozmawiając z jedną z Ulepszonych, szczupłą kobietą o krótkich czarnych włosach i atrakcyjnych, choć posępnych rysach. Gdy Teo podszedł, Ulepszona z powagą uścisnęła dłoń Solvjeg i wyszła w ślad za resztą grupy.

- Ma na imię Julia - powiedziała do niego Solvjeg. - Pamięta Ulrike i mówi, że była niczym kometa wśród spadających gwiazd. - Obróciła ku niemu twarz. - Ty też jedziesz?

- Tak - odrzekł. - Wygląda na to, że Piatkowowi nadal może się przydać stare żołnierskie próchno... zamierzamy się przedostać do Portu Gagarina i umieścić tych ludzi na pokładzie promu, który czeka, żeby ich zabrać na imisilski statek orbitujący wokół planety.

Potaknęła, przygryzła wargę, po czym potrząsnęła głową.

- Nie mogę ci powiedzieć, że jesteś na to za stary, bo w gruncie rzeczy tylko twoje ciało jest na to za stare!

Akurat w tym momencie Donny podał Karlssonowi jego płaszcz, który ten włożył.

- Nie jestem twoją żoną, tylko twoją siostrą, ale to daje mi prawo, żeby ci nakazać, Teodorze Karlsson, abys wrócił tu żywy, z tarczą czy bez niej!

- *Ja*, mała walkirio; któż odważyłby się zlekceważyć taki nakaz!

Uściskali się, po czym Teo pośpieszył na zewnątrz, gdzie czekał pojazd Piatkova, poobijany krętobus dalekobieżny, a jego bliźniacze płaskoła były już w ruchu. Gęsta mżawka sunęła falami i wirowała niesiona porywami wiatru, tworząc złote aureole fruwających kropelek wokół lamp oświetlających podjazd. Karlsson wbiegł po schodkach, drzwi

krętobusu zamknęły się za nim z sykiem i odjechali w noc.

Kao Czi

Ze swego rodzaju posępną nadzieją spoglądał przez okienko kabiny na zamglone gwiazdy, nieliczne i rozsiane w dużych odstępach - tylko najbliżej położone były wystarczająco jasne, żeby przebić mgliste woale strefy głębinowej Huvuun. Pozwalały też systemom nawigacyjnym przynajmniej w przybliżeniu oszacować ich pozycję po każdym mikroskoku - ostatnie trzy takie skoki poniosły *Kasztelana* zygzakiem w stronę podsektora, gdzie z największym prawdopodobieństwem znajdował się układ Darien, sądząc po informacjach z archiwum wiadomości hipernetowych, jakim dysponował komputer statku.

Ale to były ostatnie trzy z dwudziestu czterech mikroskoków. Podróż hiperprzestrzenna z Shafis na Yonok z wyjściem do normalnej przestrzeni w połowie drogi nie przebiegła zgodnie z planem, bo gdy opuścili hiperprzestrzeń, odkryli, że znajdują się w głębi obszaru Huvuun, tuziny lat świetlnych od jego granicy, i nie są w stanie dokładnie określić swojej lokalizacji. To było półtorej doby temu i od tamtego czasu Drazuma-Ha* testował różne warianty mikroskoków, wykorzystując rozmaite warianty danych wyjściowych przy obliczaniu parametrów, przy czym same skoki musiały się odbywać co czterdzieści dwie i osiem dziesiątych minuty, bo tyle czasu potrzebowały ogniwa tesseractowe, żeby ponownie się naładować.

Dla Kao Cziego było to stresujące: oczekiwanie, stopniowe narastanie napięcia przed trwającym sześć czy siedem minut mikroskokiem, moment mdlącej dezorientacji na początku i na końcu skoku, a potem chwile potrzebne systemom nawigacyjnym na to, by wyznaczyć ich niepewną pozycję. Nie, było to bardziej niż stresujące. Gdy tak siedział, wpatrując się w te kilka gwiazd otoczonych aureolami pyłu, czuł, jak wzbierająca fala niecierpliwości zaczyna zagłuszać jego rozsądek.

- Czy dane końcowe zostały wyliczone, Drazumo-Ha*?

- Tak, zostały, Gouczy.

- W takim razie dokonajmy skoku już teraz; z każdym krokiem jesteśmy bliżej celu, więc nie marnujmy już ani chwili więcej czasu niż musimy.

- Pragnę zwrócić twoją uwagę na fakt, że uruchomienie hipernapędu, zanim ogniwa się naładują, zmniejszy nasze nieodnawialne rezerwy paliwa. A nie ma żadnej gwarancji, że znów uda się zredukować odległość dzielącą nas od Dariena.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale ten jeden raz jestem przekonany, że powinniśmy ruszać,

teraz, natychmiast, bez zwłoki.

- Do pełnego naładowania się ogniów pozostało już tylko dwadzieścia osiem minut, Gouczy. Czy nie jesteś w stanie poczekać tak długo?

- Obawiam się, że nie.

- Jeśli chcesz, możemy zagrać w jedną z dostępnych w komputerze pokładowym gier, aby czas oczekiwania mniej ci się dłużył.

- Dziękuję ci za tę propozycję, Drazumo-Ha*, ale nie byłbym w stanie się skoncentrować. Proszę, uruchom hipernapęd. Może uśmiechnie się do nas szczęście i znajdziemy się w pobliżu jednego z tych kombajnów chmurowych.

W ciągu wcześniejszych mikroskoków czujniki *Kasztelana* trzykrotnie wykryły blisko zewnętrznej granicy swego zasięgu kilka statków o takiej samej dziwnej krzywej emisyjnej, która sugerowała, że mają zarazem sto pięćdziesiąt metrów oraz dwa i pół kilometra długości. Za trzecim razem Drazumie-Ha* udało się je zidentyfikować, na podstawie zarchiwizowanego lata wcześniej infodokumentu z popnetu, jako kombajny chmurowe: statki, które zbierały międzygwiazdny pył i okruchy skalne za pomocą naenergetyzowanych pól, długich i szerokich na kilometry. Były to statki przemysłowe stanowiące własność wielkich korporacji zajmujących się pozyskiwaniem surowców, pilotowane przez SI lub małe załogi. Co ważniejsze, ich napędy były zdolne do podróżowania na drugim poziomie hiperprzestrzeni, podobnie jak ich promy, a jeden z tych ostatnich byłby w stanie dokonywać dużo dokładniejszych mikroskoków.

- Możemy na to liczyć z takim samym prawdopodobieństwem, jak na to, że znajdziemy się dokładnie na orbicie Dariena - odrzekł mech. - Widzę jednak, że moja odmowa może doprowadzić do nieprzewidywalnego wybuchu emocji z twojej strony...

- Protestuję, Drazumo-Ha*. Ja tylko...

- Nie, nie chcę być przyczyną żadnej ekstremalnej reakcji...

- To jest najzupełniej idio... - zaczął mówić Kao Czi, lecz Drazuma-Ha* uruchomił hipernapęd i słowa oraz dźwięki w gardle młodzieńca zlały się w rozdygotany bełkot.

Potem nastąpiła znajoma chwila lekkiego odrętwienia, trwająca kilka minut, następnie zaś został wrzucony z powrotem w towarzyszącą wyjściu falę wirowania-osuwania-zawrotów głowy, a gdy ta minęła, nadal siedział w fotelu, czekając, aż mech ogłosi, jaka jest ich nowa pozycja.

- Muszę cię z przykrością poinformować, że znajdujemy się teraz siedem przecinek dziewięć lat świetlnych dalej od docelowego podsektora - stwierdził Drazuma-Ha*.

Kao Czi wydał nieartykułowany okrzyk, w równym stopniu złości jak rozpaczy.

- Jak długo to jeszcze może zająć? - jęknął. - Ile jeszcze będę w stanie znieść? - Przy obecnym tempie zużycia rezerwy paliwa skończą się za jedenaście miesięcy, siedem dni, a powietrze będzie się nadawać do oddychania jeszcze przez osiem miesięcy i dwadzieścia cztery dni, zakładając ciągle użytkowanie filtrów pochłaniających. Niestety, twoje zapasy żywności wystarczą już tylko na trzy miesiące i dziewięć dni, a i to pod warunkiem, że ograniczysz spożycie do jednej czwartej racji.

Kao Czi wysłuchał tego wszystkiego i z powagą skinął głową, walcząc z impulsem, żeby wybuchnąć śmiechem wobec idiotyzmu całej sytuacji. Wiedział, że to irracjonalna reakcja i gwałtowne wahnięcie nastroju w stosunku do pesymizmu, jaki odczuwał przed zaledwie kilkoma minutami.

- Ewentualnie - kontynuował mech - być może zdołałbym tak przerobić jedną z dużych zamykanych szafek na sprzęt, żeby dało się ją wykorzystać jako kriokomorę albo przynajmniej jako coś, co obniżyłoby twój...

Urwał w pół zdania i wystrzelił jaskrawe wypustki mikropolowe w kierunku konsoli. Ekran zamigotały, tablice symboli zapulsowały światłem.

- Jakiś statek - powiedział mech - właśnie się pojawił tysiąc osiemset dwadzieścia trzy kilometry od nas. Jego profil pasuje do frachtowca Erdishi średniego zasięgu, ale nie nadaje żadnego sygnału identyfikacyjnego, a silniki napędu mają chyba jedynie częściową osłonę. Ich czujniki właśnie nas wykryły... uruchomili napęd rakietowy i kierują się prosto w naszą stronę.

- Mamy ich na optycznej? - spytał Kao Czi, gdy osłona zsunęła się z szyby okienka. - Czy odpowiadają na próby wywołania?

- Są za daleko na wyświetlenie w czasie rzeczywistym... i nie ma z nimi żadnego kontaktu przez systemy komunikacji.

- A co z obliczeniami? Jesteśmy gotowi do skoku?

- Tak, Gouczy, obliczenia są gotowe, ale kolejny przedwczesny skok jeszcze bardziej nadszarpnie nasze rezerwy paliwa.

- Jak być może pamiętasz, nie mamy na tym statku żadnej broni, której moglibyśmy użyć przeciwko nim, chyba że chcesz, żebym usiadł na kadłubie i rzucał w nich pustymi butlami tlenowymi...

- Ich krzywa przyspieszenia jest bardzo stroma - powiedział mech. - To oraz fatalny stan nadbudówki wskazują, że załoga nie może być organiczna.

Na jednym z ekranów zabłysł obraz frachtowca i na oko Kao Cziego statek wyglądał jak wrak. Te fragmenty poszycia, które jeszcze się trzymały, były zwęglone i pełne dziur, a z

odsloniętych i strzaskanych grodzi sterczały rury, przewody i kable. Coś, albo zderzenie, albo wystrzał, odcięło ukośnie fragment dziobu, a bakburta była zdeformowana przez nieregularne rozdarcie sięgające od mostka aż do śródkręcia. Sekundy mijały jedna za drugą i na oczach Kao Cziego coś masywnego, metalicznego wylazło z tego rozdarcia, po czym wspięło się między porozrywanymi i poskręcanyymi płytami na odsłonięty mostek, gdzie dołączyły doń dwie inne wielkie sylwetki mechów.

Kao Czi rozpoznał ich i okropna zgroza sprawiła, że poczuł pustkę w brzuchu.

- To te droidy z Czarnego Gniazda! - zawołał. - Te, które chcą od ciebie ściągnąć dług! Jakim cudem wysledziły nas tutaj? Jak...

- Ponieważ są bardzo chytre i bardzo wytrwałe - odrzekł Drazuma-Ha*. - Może nie starczyć nam czasu na ponowne naładowanie ogniów. Trzymaj się mocno, Gouczy!

Jego zmysły zawirowały, zakółysały się, po czym dały nurka - kilka minut stabilności, potem kolejna fala zawrotów głowy... i otworzył oczy, kurczowo trzymając się podłokietników. Jeszcze jeden skok, jeszcze jedna próba dotarcia bliżej Dariena.

- Dlaczego zadają sobie tyle trudu tylko z powodu niespłaconego długu?... - Kao Czi urwał, tknięty brzydkim podejrzeniem. - Powiedziałaś, że są chytre i wytrwałe. Co wiesz o tych droidach, Drazumo-Ha*? I czemu konkretnie cię ścigają?

- Miałem z nimi do czynienia już wcześniej, w okolicznościach, które nie sprzyjały negocjacom oraz uprzejmemu zachowaniu... Gouczy, odpowiedzenie na twoje pytania wymagałoby dogłębnego naświetlenia sprawy. Proszę, daj mi kilka chwil na obliczenie parametrów skoku, a potem możemy omówić tę kwestię.

Marszcząc brwi, Kao Czi odchylił się w fotelu i splótł ręce na piersi. Potem jego gniew osłabł, gdy ignorowane dotychczas zmęczenie dało o sobie znać, a kiedy westchnął, westchnienie zmieniło się w ziewnięcie.

- Jeśli jesteś znużony, Gouczy, być może powinieneś odpocząć - powiedział mech.

- Mój umysł nie potrafi się zrelaksować, gdy stoję w obliczu śmiertelnego zagrożenia, Drazumo-Ha*. To takie ludzkie dziwactwo.

- Jakież to niekorzystne dla twojego gatunku; być może powinieneś jednak rozważyć cyberaugmentację... - Nagle na konsoli zaczął brzęczeć alarm. - Obcy statek pojawił się tysiąc pięćset sześćdziesiąt kilometrów od nas... To ten frachtowiec i zmienia kurs, kierując się w naszą stronę...

- To nie jest zbieg okoliczności, prawda?

- Nie, Gouczy. Jakimś sposobem śledzą nas w hiperprzestrzeni. Uruchamiam hipernapęd... trzy, dwa, jeden, start.

Znowu dezorientacja, wirujące zmysły, pauza, fala zawrotów głowy, a potem chwilowe uczucie gwałtownego zatrzymania się bez towarzyszącego mu uderzenia deceleracji. Drazuma-Ha* wisiał w milczeniu przed konsolą, a jego aura pola migotała rzędami i strumieniami widmowych symboli, podczas gdy przez ekran konsoli przepływały fale obliczeń.

- A więc, Drazumo-Ha*, co takiego zrobiłeś, że podąża za tobą tak bezlitosny pościg?

- Ujmując sprawę najprościej, Gouczy, jestem ich wrogiem.

Młodzieniec zmarszczył brwi.

- Wybacz, ale to brzmi bardziej poważnie niż niespłacony dług.

- Oni mają swój cel, ja zaś mam swój, a jest nim zagwarantowanie, że starożytna, potężna broń nie dostanie się w ręce ich panów.

Kao Czi słuchał w zdumieniu i z narastającą irytacją.

- Okłamywałeś mnie od samego początku... A kim są panowie tych droidów? I dla kogo ty pracujesz?

- Przy najlepszych chęciach trudno ci będzie uwierzyć w moją historię, Gouczy. Być może nie powinienem już mówić nic więcej.

- Wolałbym, żebyś kontynuował.

- Dobrze, jakkolwiek mogę jedynie zaręczyć własnym słowem, że mówię prawdę. Droidy, które nas ścigają, są emisariuszami Legionu Awatarów, dawno zapomnianego wroga cywilizacji, ja zaś jestem agentem sztucznej inteligencji znanej jako Konstruktor.

- A co to za broń...

- Straszliwe urządzenie zbudowane przed tysiącami lat na świecie, który wy nazywacie Darienem... Ach, czekaj, patrz!

Na ekranie skanera długiego zasięgu frachtowiec pojawił się w odległości tysiąca trzystu trzydziestu dwóch kilometrów i natychmiast zaczął się przemieszczać w kierunku *Kasztelana*.

Skoczyli znowu.

Ta sama sekwencja zdarzeń została powtórzona cztery razy, a spustoszony, okaleczony statek droidów nadal uparcie ich nękał, za każdym razem wychodząc z hiperprzestrzeni bliżej nich. Wpatrując się w hologram obszaru widocznego dla czujników, gdzie podpisany symbol oznaczający frachtowiec zapłonął przed sekundą w odległości czterystu dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów, Kao Czi powiedział:

- Drazumo-Ha*, tak dłużej nie może być. Jeszcze dwa skoki i możliwe, że będą nas mieli.

- Zgadzam się, lecz nie mamy wielu opcji do wyboru - odrzekł mech. - Proponuję zatem, żebyśmy zastosowali tę samą taktykę, która doprowadziła nas do strefy głębinowej.

Kao Czi zagapił się na mecha, nadal usiłując dojść do ładu z wcześniejszymi rewelacjami.

- Ee, wypadnięcie z hiperprzestrzeni w trakcie skoku?

- Dokładnie tak, Gouczy. Zgodnie z moją hipotezą, nasi prześladowcy pozostawiają w hiperprzestrzeni sondę z nadajnikiem tuż przed wyjściem w pobliżu naszej pozycji w normalnej przestrzeni. Kiedy dokonujemy następnego skoku, ta sonda analizuje wielopolowe echo naszego statku i na tej podstawie dedukuje kurs oraz czas trwania skoku, a informacja ta zostaje przekazana droidom, prawdopodobnie przez łącze nadprzestrzenne. Aktualnie integruję nowe dane kursu dla dłuższego skoku w kierunku możliwej lokalizacji Dariena; planuję wyłączyć hipernapęd po upływie jednej czwartej czasu przeznaczanego na skok. Czy ten plan spotyka się z twoją aprobatą?

- Owszem, Drazumo-Ha* - odrzekł młodzieniec, patrząc na hologram odczytów przekazywanych przez czujniki, z którego wynikało, że odległość dzieląca frachtowiec od ich statku skurczyła się do stu dwudziestu kilometrów i malała z każdą chwilą. - Sugeruję, byśmy ruszyli w tej chwili.

Mech w odpowiedzi uruchomił hipernapęd. Kilka minut później wyszli z powrotem w normalnej przestrzeni, a jasnoblękitny hologram nad konsolą ponownie się zapalił, gdy czujniki znów zaczęły przysyłać odczyty. Kao Czi jęknął, kiedy zobaczył migoczący symbol statku znajdującego się w odległości tysiąca osiemdziesięciu kilometrów od nich.

- Dotarli tu przed nami! Ale jak to możliwe...

- Uspokój się, Gouczy. To nie oni, tylko zupełnie inny statek, kombajn chmurowy.

Młodzieniec usiadł prosto, nieco poluzowując pasy, i badawczo przyjrzał się hologramowi. Próbował ukryć swoje podekscytowanie.

- Trwa nieruchomo, Drazumo-Ha*. Raczej nie jest opuszczony ani nie jest wrakiem, prawda?

- Nie, jego krzywe emisyjne sugerują, że funkcjonuje na jałowym biegu, z aktywną identyfikacją głoszącą, że jest to kombajn *Viganli*. Najbardziej prawdopodobną przyczyną jego bezruchu byłby postój na rafinację albo naprawy.

- Pragnę zauważyć, że my również pozostajemy w bezruchu, zamiast skierować się w stronę kombajnu - powiedział Kao Czi.

- Musimy poczekać, żeby się przekonać, czy nasza taktyka zadziałała - odrzekł mech. - Od naszego przybycia tutaj upłynęła jedna minuta; musimy się upewnić, czy na pewno

uciekliśmy naszym wrogom.

Zirytowany Kao Czi nie miał innego wyjścia, jak tylko się zgodzić, a później usiąść z wymuszoną cierpliwością i wpatrywać się w zegar czasu pokładowego na konsoli. Pierwsza minuta upłynęła w tempie tak powolnym, że doprowadzało go to do furii, a kolejne nie mijały ani trochę szybciej. Po dziesięciu leniwych minutach Drazuma-Ha* zdecydował, że ich taktyka okazała się skuteczna, i odpalił silniki manewrowe, kierując się w stronę statku *Viganli*.

- Zdaje się, że podróżujemy w dość powolnym tempie, Drazumo-Ha* - odezwał się Kao Czi, nadal niezadowolony.

- Przekona to załogę kombajnu bądź SI dowodzącą, że nie mamy wrogich intencji. Pokonanie tej odległości powinno zająć nam niecałą godzinę.

- Czy tyle czasu wystarczy ci na opowiedzenie mi o misji, którą masz do zrealizowania na Darienie?

- Jestem pewien, że powinno, Gouczy.

- Doskonale, a zatem opowiedz mi o twoim szefie, o tym całym Konstrukcie...

Robert

Nareszcie - Wielki Taras, nazwa, która bynajmniej nie oddawała w pełni charakteru tego miejsca. Gdy Robert wyszedł śladem trzech Reski-mechów z niskiej, oświetlonej lampami kawerny (do której doprowadził ich tunel, gdzie schronili się przed Abfagulem), odniósł wrażenie, że słyszy szum potężnych wiatrów: wprawiający ziemię w drżenie, wypełniający niebo ryk. Potem kawerna rozrosła się we wszystkich kierunkach i Robert ujrzał, że stoją, podobni do malutkich robaczków, u progu niewiarygodnie wspaniałej budowli.

Oświetlona padającym z wysoka perłowym światłem ogromna kamienna promenada szerokości jakichś stu metrów wystawała ponad krawędzią wysokiego zbocza, a pod nią huczał biały, spowity mgiełką luk wodospadu. Od tyłu zasilaty go liczne ciekły wodne, potoki napływające tu ze wszystkich stron, chlupoczące między lśniącymi kamieniami, lejące się w dół po skalnych półkach, tworzące kolejne poziomy jeziora, z których spadały pomniejsze wodne kaskady. Zarówno promenada, jak i wodospad miały, na oko, nieco ponad półtora kilometra długości, bo też setki, jeśli nie tysiące strumieni spływały w dół po olbrzymim, usianym gładzami zboczu, gdzie kępki drzew i krzaków majaczyły niczym zamglone duchy wśród wezbranych strug. Po przeciwległej stronie kawerny wznosiły się niewiarygodnie wysokie skalne ściany - blade, pionowe, sięgające tak daleko w górę, że niknęły w jednolicie białym świetle wylewającym się z czegoś, co mogło być długim pęknięciem w skrytym za mgłą sklepieniu tej gigantycznej jaskini.

- To... niewiarygodne - powiedział Robert. W porównaniu z tym miejscem Wodogrzmoty Gangradur wydawały się dekoracyjnym oczkiem wodnym. - Kto zbudował to wszystko?

- Rasa znana jako Teziyi - odrzekł Ślad-Reski. - Bardzo lubili takie pełne ostentacji projekty.

- Czy zbudowali też inne obiekty o podobnej skali?

- Kilka tuż po upadku ich wszechświata, kiedy ich gatunek miał jeszcze wolę w tym kierunku oraz stosowne zasoby.

Robert zmarszczył brwi; mechy uparcie trzymały się swojej wizji wszechświata o warstwowej budowie. Dobrze zatem, w takim razie będzie obserwował i dedukował we własnym zakresie.

Płaska przestrzeń Wielkiego Tarasu była w dużej mierze pusta, nie licząc kilku postaci, które stały w oddali przy balustradzie - pojedynczo, dwójkami lub w małych grupach. Idąc za mechami, zaczął dostrzegać coraz więcej szczegółów: budyneczki wzniesione wzdłuż zbocza powyżej wodospadu, wiszące nad pędzącymi potokami balony wyposażone w kosze - od czasu do czasu ściągano je z powrotem, żeby miłośnicy podziwiania widoków mogli wysiąść, robiąc miejsce dla następnych grup. Gdy chodzi o pozostałych spacerowiczów na promenadzie, niewiele było tam istot dwunożnych, a co dopiero choćby z grubsza humanoidalnych; większość miała aparycję owadzią lub gadzią, od czasu do czasu trafiały się hybrydy, nie brakowało też przykładów cyberaugmentacji. Robertowi i mechom posyłano niemało pełnych dezaprobaty spojrzeń, ale niespecjalnie go to martwiło, gdy oparł się o balustradę, z niedowierzaniem patrząc w dół.

Długi na ponad półtora kilometra łuk wodospadów opadał więcej niż dwieście metrów w dół do małego jeziora, po którym pływały maleńkie, pozbawione żagli łódki i galery. Dalej jezioro zwężało się nieco i kolejna imponująca promenada spajała jego brzegi, sięgając ponad wodami, które pędziły przez kolejną krawędź i spadały kolejnym wodospadem, a dalej jeszcze kolejnym. Przesycone wilgocią powietrze sprawiało, że odległe głębie w dole przesłaniała mgiełka, a gdy Robert spróbował sobie wyobrazić skalę tego wszystkiego, poczuł zawrót głowy. Ogarnęły go wątpliwości, które zaczęły podgryzać fundamenty jego założeń - jakim cudem coś tak wielkiego mogłoby istnieć na Darienie, ale nie zostać wykryte z orbity przez czujniki Heraklesa? Czyżby mechy mówiły prawdę?

Gdy tak stał, zastanawiając się, czerwony klinowaty kształt wystrzelił spod promenady kawałek dalej, zatoczył krąg nad mgłą rozpylonych kropel, po czym zanurkował i przechylił się, sfruwając w dół. Lotnia, jak uświadomił sobie Robert, widząc, że druga taka sama wylatuje ponad wodospadem.

- Człowieku Horście - odezwał się Ślad-Reski - otrzymaliśmy wiadomość od Przenośnika Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć, który prosi, byśmy się z nim spotkali na niższym poziomie. Musimy się pośpieszyć; w pobliżu jest rampa.

- Jest jakiś inny poziom? - spytał Robert, idąc szybko za nimi.

- Trzy - odrzekł Szybuj-Reski.

- Pierwotnie wzniesiono je po to, żeby służyły jako kwatery sypialne dla robotników oraz magazyny materiałów - dodał Ślad-Reski. - Gdy budowa została ukończona, zamknięto je i zapomniano, kiedy ci, którzy ocalili z wielkiej cywilizacji Teziyi, zamieszkali tutaj oraz gdzie indziej. Ich ostatnia era rozpoczęła się w buntowniczym duchu, lecz zakończyła wśród zapomnianych celów i kulturowego uwiądu. Ostatni Teziyi w końcu porzucili swe miasta, nie

pozostawiając żadnych zapisków, kiedy albo wkroczyli na wyższy poziom egzystencji, albo zostali wchłonięci. Potem niedobitkowie innych, pomniejszych cywilizacji zawędrowali w te okolice i osiedlili się tutaj, otwierając niektóre z niższych poziomów, gdzie uciekinierzy znaleźli miejsce pozwalające odpocząć. Społeczności się rozrosły, sprzedawcy znaleźli klientów, a kilku koneserów założyło nawet wypożyczalnie lotni...

- Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie to miejsce - powiedział Robert.

- Stanowi ono rzadkość - odrzekł Trójnóg-Reski. - To małe ognisko egzystencji wśród poskręcanych warstw zniszczonych kontynuów, które wypełniają hiperprzestrzeń. Wielu tutejszych mieszkańców chętnie uciekłoby z powrotem do rzeczywistości, lecz nie ma żadnej bezpiecznej drogi prowadzącej w górę, na wyższe poziomy.

Mechy kierowały się w stronę ogrodzonego płotem, zadaszonego ciągu schodów. Stopnie były szerokie, głębokie i stosunkowo niskie, zdobione kolorowymi mozaikami, które na przestrzeni wieków uległy zniszczeniu, choć niektóre nosiły ślady mało wyrafinowanych napraw. Gdy zeszli na sam dół, odkryli, że biegnie tam dziwna arteria, o wiele bardziej ruchliwa i hałaśliwa od promenady. W sklepach i kramach sprzedawano najróżniejsze towary, a budki gastronomiczne, oferujące całą gamę smakowitości, kusiły bukietem aromatów. Naokoło można było dostrzec przedstawicieli gigantycznej liczby gatunków, z których Robert rozpoznawał bardzo niewiele. Jedyną cechą wspólną były obszerne, powłóczyste stroje, jakie nosili tu prawie wszyscy, a także duże, ozdobne kapelusze i rękawice. Nie dane mu było jednakże zbyt długo się przyglądać temu zgiełkliwemu, tętniącemu życiu targowisku (rozciągającemu się tak daleko, jak Robert był w stanie sięgnąć wzrokiem), bo mechy poprowadziły go w stronę kolejnych schodów, które schodziły spiralnie na następny poziom.

Tu, w dole, było ciszej i ciemniej; słabo oświetlone korytarze bieging między długimi, nijakimi blokami, w których widniały nieliczne, wyjątkowo solidnie wykonane żelazne drzwi, niekiedy pilnowane przez strażników. To były niższe piętra luksusowych rezydencji, których wyższe poziomy wychodziły na wodospad. Przejścia łączyły się też z szerokim chodnikiem, który biegł wzdłuż tylnej części Wielkiego Tarasu; roztaczał się stamtąd imponujący widok na leżące się z góry rzeki i strumienie. I to właśnie tam napotkali Przenośnik Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć.

Najpierw gdzieś bardzo blisko rozległo się zgrzytanie i pobrzękiwanie, lecz nie było widać źródła dźwięków, a potem duża żelazna krata osadzona w bruku tuż przed nimi otwarła się i z otworu wylazł lśniący czarny owad wielkości słonia. Przerażony Robert już miał się rzucić do ucieczki, ale zobaczył, że towarzyszące mu mechy podchodzą do masywnego stwora... który po dokładniejszym obejrzeniu okazał się maszyną, nie bestią. Miał

segmentowany metalowy pancerz, osadzone w żłobkowaniach kable, klapki dostępu do wewnętrznych części opatrzone akapitami tekstu pisanego drobną czcionką, z tyłu pęki wiatraków służących do chłodzenia, z przodu zaś efektory oraz główny zespół odpowiadający za interakcje. Poruszał się zaskakująco zwinnie na czterech parach segmentowanych nóg, na grzbiecie zaś miał coś, co wyglądało jak wnęka pasażera skryta za zaciemnioną osłoną. Zafascynowany i nieco nieufny Robert podszedł bliżej, a mechy przedstawiły go.

- Miło mi pana poznać - powiedział. - Czy istnieje jeszcze dwieście osiemdziesiąt osiem urządzeń podobnych do pana?

- Ogółem, Człowieku Horście, tekfabryki Konstrukt wyprodukowały trzy tysiące siedemset trzydzieści dziewięć jednostek z mojej serii, spośród których mniej niż sto wciąż jeszcze pozostaje w użyciu. - Głos maszyny był pełen ekspresji, niemal przypominał muzykę; cechowała go dziwna, bzycząca harmonijność. - Będzie dla mnie zaszczytem i przywilejem walczyć z tobą ramię w ramię.

Robert zamarł.

- Przepraszam, czy powiedziałeś „walczyć”?

- Zgadza się. Przekazałem już Reskiemu Emantesowi najświeższe informacje za pomocą krótkodystansowego wyrzutu danych, ale jestem zdolny przedstawić werbalne streszczenie; w skrócie, nasz cel, czyli wyźbrama, znajduje się poniżej naszego obecnego miejsca pobytu w jednej z pustych krypt służących jako magazyny, lecz, niestety, małe stadko wermaksów, liczące pięć sztuk, dotarło do niej pierwsze i teraz jej pilnują.

- Nas też jest pięciu - wtrącił Szybuj-Reski.

- Wermaksów? - powtórzył Robert. - Czym są...

- Być może pamiętasz, że kiedy podróżowaliśmy przez Jasność, w ślad za nami podążali polimorficzni myśliwi - odrzekł Ślad-Reski.

- Te czarne wężowate stwory?

- To właśnie są wermaksy. Nie wiemy, kto je stworzył, ale ich miejscem pochodzenia jest Otchłań, co sugeruje kilka możliwości. Pożerają metal, a szczególnie cenią sobie tablice podsiatkowe mieszczące wzory naszej świadomości.

- Zostały zaprojektowane w konkretnym celu - wtrącił Trójnóg-Reski.

- Są też niebezpieczne dla organicznych form życia - zakończył Przenośnik Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć, a w jego boku otwarła się niszka. - Dlatego powinieneś mieć to.

Z niszy wysunęło się teleskopowe ramię trzymające długi, wąski futerał. Ten następnie rozpiął się wzdłuż dłuższego boku, ukazując smukły czarny obiekt długości dziewięćdziesięciu kilku centymetrów, z czerwoną rękojęcią. Dziwny przedmiot był tak

czarny, że Robert nie potrafił rozróżnić na jego powierzchni żadnych detali ani faktury, jedynie cienki zarys zwężający się do niewidocznego punktu. Zdawało się, że cokolwiek to jest, pochłania światło.

- To szpada - stwierdził, zbity z tropu.

- Nazywają to ostrzem *kezeq*. Można nim zabijać takie istoty jak wermakxy. Niemniej obchodzi się z nim bardzo ostrożnie; jest tak zimne, że zadałoby twojemu ciału nieuleczalne obrażenia.

Robert ujął rękojeść ostrza *kezeq*, uniósł je i odkrył, że jest tak lekkie, jak metrowa drewniana linijka. Dawno temu, na studiach w Bonn, przez krótki czas uczył się szermierki, ale to było przed czterdziestu laty - ile mógł sobie przypomnieć w ciągu kilku minut?

- Pojedziesz w moim przedziale dla gości, Człowieku Horście, a Reski Emantes będzie naszą męzną strażą przednią.

Pięć minut później Robert już siedział w przedziale pasażerskim Przenośnika Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć, przypięty pasami do dziwnego fotela o wysokim oparciu, a maszyna złączyła z powrotem w głąb otwartej studzienki. Było to zejście z oświetlonej, chłodnej przestrzeni i świeżego powietrza w wilgotny, stęchły mrok.

- To bardzo stara przestrzeń magazynowa - powiedział Trójnóg-Reski. Wszystkie trzy mechy znajdowały się w przedziale razem z Robertem. - Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć mówi, że wyżbrama znajduje się w sąsiedniej krypcie.

Poruszający się na ośmiu mechanicznych nogach o wielu stawach Przenośnik Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć okazał się wierzchowcem o zaskakująco miękkim, stabilnym chodzie, jakkolwiek ostrożność zmuszała ich do oświetlania sobie drogi zaledwie słabym światłem reflektora. Otoczeni tą mętną szarą aureolą, z trudem odnajdywali drogę w ogromnym magazynie, mijając to tajemnicze sterty cudzej własności, to znów równiutko poustawiane skrzynki oplecione migotliwymi wypustkami. Wkrótce znaleźli się po drugiej stronie, przy otwartym wejściu do okrągłego korytarza, który prowadził do następnej krypty, też służącej za magazyn.

To pomieszczenie było jeszcze bardziej zatłoczone od poprzedniego - liczne sterty sięgały od posadzki do sufitu. Kilka niedbale ustawionych zdążyło już runąć, przeistaczając się w olbrzymie, bezkształtne zwalę blokujące korytarze, a czasem umożliwiające przejście na skrót po górach zakurzonych, enigmatycznych śmieci. W końcu zatrzymali się przed rogami cokołu ogromnego pomnika przedstawiającego stworzenie o siedmiu nogach i trzech głowach, wznoszące młot nad otoczoną pierścieniami planetą spoczywającą na kowadle, a może na ołtarzu. Za pomocą jednej ze swych teleskopowych rąk Przenośnik Dwieście

Osiemdziesiąt Dziewięć uniósł trójkątne lustro, podkradzione z jednej ze zwalonych stert, i przechylił je tak, żeby Robert mógł obejrzeć to, co znajdowało się po drugiej stronie pomnika.

Rozciągało się tam szerokie, puste przejście prowadzące aż na przeciwległy koniec krypty, gdzie pośrodku posadzki wznosiła się jaskrawo świecąca kolumna. Emanowała z niej zimna niebieska poświata i, patrząc na obraz odbity w lustrze, Robert był w stanie rozróżnić kilka długich ciemnych kształtów wijących się bezgłośnie wokół kolumny. Poczul, że drżą mu ręce.

- Ta świecąca kolumna to wyźbrama - oznajmił Przenośnik Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć.

- Nie wygląda jak drzwi ani brama - odrzekł Robert.

- Otworzy się dla nas, kiedy znajdziemy się wystarczająco blisko. Zgodnie z planem, Reski Emantes zaszarżuje na wermaksy z boków i odciągnie je, my zaś ruszymy prosto w kierunku bramy.

Robert rozejrzał się i uświadomił sobie, że jest sam w przedziale pasażerskim.

- Mechy zniknęły.

- Zajmują już pozycje - odrzekł mechaniczny stwór. - Rozpoznamy sygnał, kiedy nadejdzie...

Przerwał mu głos dobiegający z kompanelu wewnątrz niszy.

- Jesteśmy gotowi, Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć. Człowieku Horście, zaszczytem było dla nas wypełnić to zadanie i poznać cię; prosimy, przekaż od nas serdeczne pozdrowienia naszemu potomkowi.

Przenośnik Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć przesunął się na swych ośmiu nogach i Robert usłyszał wizg innych systemów uruchamiających się wewnątrz ciała mecha, gdy ten z szuraniem kończyn obrócił się przodem do szerokiego przejścia.

- Nadeszła właściwa chwila, Człowieku Horście; trzymaj się mocno i bądź gotów odeprzeć abordaż!

Nagle mech wystrzelił do przodu, gładko i szybko, i Robert uświadomił sobie, że fruną na suspensorach. Drżał od szoku i zachwyty wywołanego tym lotem. Zamazane ściany upakowanych ciasno produktów uciekały do tyłu po obu stronach, a on skupił całą swą uwagę na czarnym ostrzu *kezeq*, zaciskając obie dłonie na rękojęści. Z przodu mignęły mu trzy walki; Ślad-Reski już leżał bez ruchu, jedna elastyczna płoza ciągnęła się za nim, rozerwana, a pojedynczy wermaks - wąż z czarnego dymu - pożerał jego cybernetyczne wnętrza. Szybuj-Reski, w którego obudowę wgryzały się dwa wermaksy, zataczając się, szybował w głąb bocznego korytarza. Trójnóg-Reski stracił większą część jednej nogi, ale rażno umykał

pozostałej parze wermaksów z powrotem wzdłuż szerokiego przejścia, poruszając się w szalonych, chwiejnych podskokach. Zamierzali się poświęcić, jak pojął Robert, lecz wspomnieli o jakimś potomku...

Świecąca kolumna znajdowała się bezpośrednio przed nimi; w miarę jak pędzili ku niej, poszerzała się i lśniła coraz jaśniej. Strach Roberta zaczął się przemieniać w ulgę z domieszką bolesnego żalu wywołanego losem małych mechów. Brama rozwarła się, migocząc srebrem, złotem i lodowatym błękitem, a gdy zanurkowali w jej głąb, blask na moment oślepił Roberta.

- Człowieku Horście, pomyliłem się... było ich... sześć...

Robert poczuł, jak ciałem Przenośnika Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć wstrząsają dreszcze, lecz widział niewyraźnie - wzrok pokazywał mu tylko przepływający obok rozmigotany tunel.

- Pomóż mi, Człowieku Horście, zaatakowano mnie... użyj ostrza *kkkkeezzzzeeqqq...*

Zamrugał, otwierając szerzej oczy, gdy ujrzał olbrzymie ściany mglistych obrazów i strzaskanych pejzaży, które mijali, spadając. Jego umysł się zbuntował. Zwierzęce przerażenie usiłowało zmusić Roberta do zwinięcia się w skomlący kłębek i zamknięcia oczu. Te jednak pozostały otwarte i Horst ujrzał, że jeden z wermaksów wisi wczepiony w przednią część pancerza mecha, wgryzając się w głąb. Dygocząc z zimna i strachu, Robert poluzował pasy fotela, przesunął się ostrożnie do przodu, wychylając się do połowy z przedziału, i wymierzył ostrzem cios prosto w wijącego się czarnego węża.

Ten skręcił się, a Robert dźgnął go ponownie, i jeszcze raz. Gdy wermaks zaczął się rozpadać, coś gorącego, szczeciniastego wylądowało na lewym ramieniu Horsta i ukąsiło go w ucho, jak się zdawało, paszczą pełną igieł. Krzyknął i zatoczył się do tyłu, próbując się wyrwać; ujrzał, że kolejny wermaks uczeplił się jego ramienia. Z jego zębatego pyska spływała krew, gdy stwór cofnął się, szykując do kolejnego ataku.

Robert wrzasnął z przerażenia i odrazy, po czym pchnął napastnika ostrzem *kezeq*, wpychając je głęboko w otwartą gardziel - sam zsunął się przy tym z fotela. Wermaks zaczął się miotać, sycząc dziko, po czym - mimo szpady - gwałtownie przygniótł swym gorącym, szczeciniastym cielskiem szyję Roberta.

Ten poczuł, że wskutek tego dzikiego ataku jego własna broń została przyciśnięta do skóry jego szyi i twarzy. Potem wermaks nagle wydał urywane chrapnięcie i zaczął się rozpadać. Robert do tej pory zdążył już osunąć się na podłogę przedziału pasażerskiego i, podczas gdy wermaks kruszył się na suche kawałki czarnej substancji, on starał się podnieść lub odepchnąć od siebie straszliwe, niszczycielskie zimno ostrza. Jednakże palce jego prawej ręki straciły całą siłę, a lewa strona ciała przypominała lodową bryłę - od ramienia do biodra

oraz szyja i fragment głowy.

Wokół była biel. Słyszał, że Przenośnik Dwieście Osiemdziesiąt Dziewięć coś do niego mówi, ale głos maszyny docierał z bardzo, bardzo daleka: mroźne echa słów rozpuszczające się w lodowatym zimnie, podobnie jak dziwne, półprzejrzyste ściany, które nadal przemykały bezgłośnie obok.

W jego myślach była tylko biel.

Już tylko kwadrans dzielił ich od zachodniej granicy terenów lotniska, kiedy w wewnętrznej kieszeni obszernego płaszcza Piatkowa zaczął pikać kom. Teo i Donny wymienili spojrzenia, a potem patrzyli, jak szef wywiadu sięga po urządzenie.

- Jakim cudem ma pan działający kom? - spytał Donny.

- To nie kom - odrzekł Piatkow, wyciągając dziwny biały obiekt w kształcie wygiętej łązy. Przyłożył zaokrąglony koniec do ucha i powiedział:

- Tak?

Chwilę milczał, słuchając, a potem powiedział:

- ...nie wiedzieliśmy o tym... potrzebujemy przynajmniej trzydziestu do czterdziestu minut... tak, to się wydaje prawdopodobne... rozumiem... Czekam zatem na telefon od pana.

- Jakiś problem? - spytał Teo, gdy Piatkow schował komunikator. - Czy to był ktoś z delegacji imisilskiej? I co to za urządzenie?

- To imisilski komzestaw - odrzekł Piatkow. - Rozmawiałem z samym ambasadorem Gauhuksem, który mówi, że w Porcie Gagarina oraz Hammergardzie trwają dzisiaj intensywne demonstracje przeciwko Hegemonii. Kuros niemal jawnie oskarża delegację Imisilu o podburzanie społeczeństwa i domaga się, by Imisilczycy niezwłocznie opuścili przestrzeń orbitalną Dariena. Gauhux znajduje się już na pokładzie swojego promu i usiłuje grać na czas, ale Kuros grozi, że rozkaże ochronie portu otworzyć ogień, jeśli prom zaraz nie wystartuje.

Teo poczuł, że ogarnia go rezygnacja.

- Ale Rory i jego chłopcy mają zacząć odciągać uwagę ochrony za dwadzieścia minut i nie mamy jak ich teraz odwołać. Moglibyśmy się przebić do platform startowych tylko po to, żeby zobaczyć, jak ten prom startuje...

- Tego już nie musimy się obawiać - stwierdził Donny. - Właśnie odlecieli...

Teo pośpiesznie przesiadł się na drugą stronę krętobusu i zobaczył skupiska świecących wirów wznoszące się szybko w nocne niebo. W tej samej chwili komzestaw Piatkowa zapikał.

- Tak, proszę pana... oczywiście, rozumiem... tak? Zrobiliby to? Aha, rozumiem... Zgadza się, proszę pana... Bardzo panu dziękujemy za pomoc.

Gdy rozmowa dobiegła końca, Piatkow zważył łożowate urządzenie w dłoni, po czym kiwnął głową.

- No i? - zapytał Teo.

- Działamy nadal według pierwotnego planu.

Donny parsknął głośnym śmiechem.

- Więc jednak ma pan poczucie humoru!

Piatkow popatrzył na niego.

- Imisilczycy nie mieli wyboru; Kuros zagroził, że ściągnie tu myśliwce przechwytyjące z *Puryfikatora* i zestrzeli ich statek z orbity, a oni traktują pogroźki Hegemonii bardzo poważnie.

- To czemu kontynuujemy akcję? - spytał Teo.

- Ponieważ jeden z wahadłowców *Heraklesa*, kuter, jak go nazywają, stoi w tej chwili w hangarze po zachodniej stronie pól startowych. Kapitanie Barbour, pan trenował na imisilskim symulatorze - jakie statki Ziemosfery umie pan pilotować?

- Hm, holownik, barkę, statek naprawczy i myśliwiec bliskiego zasięgu, ale podstawy są w każdym przypadku mniej więcej takie same. - Na ustach Donny'ego pojawił się pełen antycypacji uśmiech. - Prom nie powinien się jakoś diametralnie różnić.

- A potem co? - spytał Teo. - Zakładając, że będziesz w stanie wystartować tym promem i wprowadzić go na orbitę, dokąd polecisz? Czy statek Imisilczyków zaczeka? A jeśli nie, co wtedy zrobimy?

- Poprosimy kapitana *Heraklesa* o azyl polityczny - odrzekł Piatkow. - To pewne, że otrzymał bardzo konkretne rozkazy, gdy chodzi o nieingerowanie w bieg wydarzeń, ale co, jeśli grupa kolonistów z Dariena pojawi się w pobliżu jego okrętu w porwanym ziemskim promie, błagając o udzielenie schronienia? Gdyby Velazquez wydał nas w ręce Hegemonii, oznaczałoby to koniec jego kariery, bo jego załoga by o tym wiedziała, a to oznacza, że historia ta nieuchronnie wyciekłaby do mediów Ziemosfery. Będzie musiał nas ściągnąć na pokład.

Teo uśmiechnął się z rezygnacją.

- To bardzo duże „gdyby”.

- Być może, ale jestem pewien, że tak właśnie będzie. - Piatkow spojrzął na zegarek i postukał kierowcę krętobusu w ramię, każąc mu zwolnić. - Jesteśmy już prawie przy zewnętrznym posterunku ochrony. Strażników jest dwóch, więc ja odwrócę ich uwagę za pomocą mojej legitymacji i służbowych papierów, a wy dwaj unieszkodliwcie ich od tyłu.

Poszło gładko. Kilka minut po tym, jak strażnicy zostali skrępowani, telefon wewnętrznego, bazującego na kablach lotniskowego systemu komunikacji zadzwonił i przekazano informację, żeby zaostrzyć środki bezpieczeństwa, bo przy zachodnim ogrodzeniu

wykryto obecność intruzów. Donny odebrał, udając, że jest mocno przeziębiony. Przy wewnętrznym posterunku zadziałał ten sam wybieg i po ledwie pięciu minutach z hakiem krętobus z Ulepszonymi znalazł się na terenie lotniska.

Drewniany hangar, w którym stał prom Ziemosfery, był środkowym spośród trzech stojących rzędem wzdłuż pasa startowego.

Zostawiwszy krętobus w rowie za kępą krzaków, Ulepszeni oraz ich uzbrojona eskorta przekradli się przez cienie w stronę swojego celu, wypatrując bocznego lub tylnego wejścia. Przed hangarem stało paru strażników z ochrony portu, a wewnątrz, w biurze za przepierzeniem, siedział pojedynczy wartownik z piechoty kosmicznej Ziemosfery. Infiltracja przebiegła jak w zegarku; wszyscy pilnujący zostali wyłączeni z akcji, bezszelestnie i tak, żeby pozostawić ich przy życiu. Kiedy żołnierz został związany i posadzony z boku, cicho wyszli z biura do wnętrza hangaru. Prom był mniej więcej dziewięciometrowej długości stateczkiem o tęym dziobie i szerokim brzuchu oraz krótkich skrzydłach wystających z górnej części kadłuba. Podczas gdy Ulepszeni czekali w biurze, Teo, Donny, Piatkow oraz kierowca krętobusu, Georgij, podeszli do promu, żeby przyjrzeć się jego głównemu włazowi. Prawie już do niego dotarli, kiedy wysoki brolturański żołnierz wszedł przez mniejsze drzwi w masywnych uchylnych wrotach hangaru, zobaczył intruzów i otworzył ogień.

Rozległ się urywany odgłos, jakby świszczące stukanie, i Georgij upadł, krwawiąc z głowy, szyi oraz pleców, a następna seria trafiła Piatkova w ramię, posyłając go do przodu, na ziemię. Donny i Teo zanurkowali za prom, wyciągając pistolety. Brolturanin zaczął do nich krzyczeć i strzelać krótkimi seriami pod promem. Teo zaklął i wspiał się na kadłub, podczas gdy Donny próbował uskakiwać w tę i we wtę. Karlsson leżał płasko na górnej powierzchni skrzydeł promu, kiedy drzwi biura się otwarły, a jedna z Ulepszonych, smukła blondynka, wyszła na zewnątrz i zawołała do Brolturanina. Jej dłoń była już uniesiona jakby w powitalnym geście, ale gdy żołnierz się odwrócił, kobieta raptownie wyrzuciła ją naprzód, prostując ramię. Żołnierz boleśnie, głośno wciągnął powietrze, upuścił broń, zaczął unosić rękę, po czym zwałił się na posadzkę hangaru. Coś wystawało mu z oka. Ulepszona podeszła, zmierzyła go badawczym, ponurym spojrzeniem, po czym odwróciła się i weszła z powrotem do biura.

Teo tymczasem zlął z promu i pośpieszył w stronę Piatkova, nad którym już klęczał Donny.

- Jak to wygląda? - spytał.

Mina Donny'ego nie wróżyła dobrze, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Piatkow

przemówił:

- Skurwiel... skosił mnie z... jednego z tych maszynowych strzałkowców... rozszarpywacz, tak to nazywają... jakżeście go dorwali...

- To jedna z Ulepszonych - odrzekł Donny. - Wysoka blondynka.

Piatkow się uśmiechnął.

- Irena, *da*, no jasne... - Popatrzył na Donny'ego. - Kod... włazu to niebieski dwadzieścia cztery, czerwony osiemnaście, zielony zero dziewięć...

Zamilkł, krzywiąc się z bólu, a Teo już wiedział, że szef wywiadu umiera; było za dużo krwi.

- Georgij?...

Donny potrząsnął głową.

- Dobry żołnierz... zasługiwał na lepszą śmierć... musicie iść. Po prostu zostawcie mnie... gdzieś z jego bronią... - Wbił spojrzenie w Teo i Donny'ego, po czym uśmiechnął się dziko. - Nikt nie będzie... zaglądał mi do głowy - mam wydrażony ząb... *niet*, nic nie mówcie, po prostu... to zróbcie!

Zatem zrobili. Sześć minut później wszyscy byli już na pokładzie, Donny siedział w fotelu pilota w maleńkim dwuosobowym kokpicie, pięcioro Ulepszonych przypięło się pasami na miejscach dla pasażerów w środkowym przedziale, a Teo pomógł Piatkowowi usiąść na skrzynce w pobliżu biura, po czym położył na jego kolanach broturańską broń. Oczy Rosjanina były przymknięte, a całe ramię i bok jego płaszcza nasiąkły krwią.

- Drzwi hangaru... biuro...

Teo kiwnął głową, a gdy sięgnął przez okno biura, żeby wcisnąć kciukiem przycisk, przeniknął go dreszcz, kiedy Donny zaczął grzać antygravitatory promu.

Pozamiatane, pomyślał. Gdy tylko te wrota zaczną się unosić, przybiegnie tu ochrona terminalu.

Kiedy się obejrzał, oczy Piatkova były zamknięte i Teo nie potrafił poznać, czy Rosjanin jeszcze oddycha, czy nie.

- Żegnaj, Witaliju - powiedział cicho, po czym podbiegł do promu, wskoczył do środka i zatrzęsął właz.

Gdy ten się automatycznie zahermetyzował, Karlsson zerknął w głąb krótkiego korytarza do kabiny, gdzie siedzieli Ulepszeni - wyprostowani, z zamkniętymi oczami i dłońmi spoczywającymi na kolanach. Potem prom lekko zadygotał i się zakołysał, a Karlsson zatoczył się do przodu i chwiejnie wszedł do kokpitu. Gdy trzęsącymi się rękoma przypinał się w fotelu drugiego pilota, Donny zaśmiał się, wyraźnie uszczęśliwiony.

- Niezła łajba - powiedział. - Czułe stery, jasno opisane przyrządy, jest nawet sufitowy wyświetlacz holo. - Zerknął na Teo. - Latałeś już kiedyś? Na Niewiestę, znaczy.

- Nie. - Teo wziął głęboki wdech. - Ale jakoś przeżyję.

- *Aye*, przeżyjesz. Po prostu wyobrażaj sobie, że to jazda na diabelskim młynie. - Przed nimi wrota hangaru były już otwarte prawie na całą szerokość. - Dobra, czas się zmywać.

Pierwsze kilka sekund płynnego ruchu naprzód było mylące - gdy tylko opuścili hangar, Donny skierował dziób promu ku górze i odpalił główne silniki rakietowe. Sto niewidocznych worków z piaskiem wgniotło Teo w fotel, ale nacisk szybko zelżał, choć przyśpieszenie nie zmalało.

- Amortyzatory inercyjne - powiedział Donny. - Powinienem być mieć je ustawione na tryb aktywnie śledzący lot, sorry. Ale grawitacja pokładowa jest włączona, więc wkrótce będziesz mógł wstać i chodzić.

Teo kiwnął głową, wpatrując się w ekran widokowy kokpitu, gdzie na ciemniejącym niebie coraz wyraźniej było widać gwiazdy, w miarę jak opuszczali atmosferę Dariena.

- Czy nasz gwałtowny odlot zwrócił czyjąś uwagę? - spytał.

Donny uśmiechnął się szeroko i postukał w słuchawki, które miał na uszach.

- Jak cholera! Posłuchaj tego...

Dźgnął palcem kilka przycisków na ekranie dotykowym i nagle głośniki konsoli ożyły głosami.

- ...się bez zezwolenia i może spowodować konsekwencje karne; powtarzam, do promu *Hermes*, tu kontrola lotów Gagarina, jesteście wzywani do powrotu na pas startowy dwa. Wasz lot odbywa się bez zezwolenia i może spowodować konsekwencje karne...

- Do promu *Ziemosfery*: tu *Puryfikator*, mówi Preceptor-Kapitan Eshapon, dowódca dywizjonu Tuva. Jedna z osób, które porwały ten prom, zabiła żołnierza Jedności Brolturańskiej. Rozkazujemy wam wrócić do Portu Gagarina i poddać się...

- ...hej, to jest częstotliwość zarezerwowana dla kontroli lotów! Natychmiast wyłączcie swój sygnał!

- Moje uprawnienia przewyższają wasze; zaprzestańcie ingerencji...

- *Herakles* do promu *Hermes*: jaki jest wasz status?

Donny uśmiechnął się szeroko do Teo, po czym wcisnął kciukiem przycisk odpowiedzi.

- *Hermes* do *Heraklesa*: oczekujecie na komunikat - powiedział, po czym wyciszył urządzenie. - Jesteśmy prawie na niskiej orbicie - oznajmił. - I przyjąłem już kurs przechwytyjący na *Heraklesa*... o czym *Herakles* bez wątplenia wie...

- Jakim sposobem? - spytał Teo.

- Wspólna telemetria - odrzekł Donny. - Wszystkie odczyty przyrządów z tego promu wyświetlają się na jednym z ekranów *Heraklesa*; gdyby chcieli, przypuszczalnie mogliby też przejąć kontrolę nad jego systemami nawigacyjnymi.

- Więc teraz rozpoczynamy negocjacje - powiedział Teo.

- *Aye*. - Donny wcisnął guzik kanału. - *Hermes* do *Heraklesa*; nazywam się kapitan Barbour, działam ze specjalnego rozkazu prezydenta Sundstroma i chcę rozmawiać z waszym dowódcą.

- *Herakles* do *Hermesa*, proszę czekać... przykro mi, *Hermes*, kapitan Velazquez jest teraz w trakcie telekonferencji z ambasadorem Hegemonii oraz prezydentem Kirklandem, ale powinien móc z wami rozmawiać za kilka minut.

- Zrozumiałem, *Herakles* - odparł Donny i rozłączył rozmowę.

- Czy to było rozsądne, przedstawić im się? - spytał Teo.

Donny wzruszył ramionami.

- Moi rodzice nie żyją i byłem jedynakiem, więc nie mają na mnie haka w postaci potencjalnych zakładników.

- Przykro mi to słyszeć - odrzekł Teo.

Donny uśmiechnął się krzywo.

- Niepotrzebnie. Moją rodziną są przyjaciele i sam ich sobie wybrałem, co do jednego. - Zawahał się, spojrzał na konsolę, a potem na bładoniebieski holowyświetlacz nad ich głowami. - Nastąpiła zmiana kursu, prędkości też; przyspieszamy...

Teo oparł się o podłokietnik fotela i przegarnął palcami włosy.

- Więc *Herakles* przejął nad nami kontrolę?

- *Aye*... kručafuks, gdybym wiedział ciut więcej, mógłbym...

- *Herakles* do promu *Hermes*...

Nad główną konsolą wyświetlił się mały prostokątny hologram, ukazujący w swym wnętrzu godło floty kosmicznej Ziemi: dwie płomieniste komety na tle stylizowanej galaktycznej spirali.

Donny skrzywił się i wcisnął guzik odpowiedzi.

- Prom *Hermes* do *Heraklesa*, mówi kapitan Barbour.

Półprzejrzysty prostokąt zamrugał i ukazał mężczyznę o pobrużdżonym obliczu, ciemnych włosach oraz przenikliwych orzechowych oczach.

- Jestem kapitan Velazquez. Dlaczego porwaliście mój prom?

- Musieliśmy się z panem zobaczyć w ważnej sprawie, panie kapitanie - odrzekł Donny.

- Wydawało się to sposobem równie dobrym jak każdy inny, zważywszy, że działamy z

rozkazu prezydenta Sundstroma...

- Teraz prezydentem jest Kirkland - powiedział Velazquez. - Rozkazy Sundstroma przestały obowiązywać.

- Może tak by było, kapitanie - wmieszał się Teo - gdyby Kirkland dysponował odrobiną silnej woli i mózgiem pozwalającym z niej skorzystać!

Velazquez zmierzył go wzrokiem z holokranu.

- A pan jest...?

- Karlsson, były major Ochotniczego Korpusu Dariena.

Kapitan *Heraklesa* kiwnął głową.

- Major Karlsson, prawa ręka Wiktora Ingrama. Znów ma pan nadzieję obalić rząd, majorze?

Teo zgrzytnął zębami.

- Jeśli rząd jest skorumpowany, nie widzę niczego złego w obaleniu go.

- Obawiam się, że szale nie są przechylone na pana korzyść. - Velazquez wyraźnie zaczął się niecierpliwić. - Panowie, jaki jest powód tej farsy?

- My oraz grupa naukowców formalnie prosimy o azyl polityczny na pokładzie pańskiego okrętu, kapitanie - odrzekł Donny.

- Przypuszczałem, że może chodzić o coś w tym guście - stwierdził Velazquez. - Dlaczego Sundstrom nie chciał, aby ci naukowcy dostali się w ręce Hegemonii?

Donny wzruszył ramionami.

- Prezydent miał pierwotnie umowę z Imisilczykami, żeby ich wywieźć, ale jak widzicie, zamknięto im drzwi przed nosem. I zanim pan spyta, nie, nie wiemy, co tkwi w ich głowach, ale najwyraźniej to musi być coś ważnego...

I śmiertelnie niebezpiecznego, pomyślał Teo, przypominając sobie zachowanie Piatkowa.

- Rozumiem waszą sytuację, panowie, ale jest pewien problem. - Velazquez zerknął na coś w pobliżu. - W trakcie waszej nielegalnej akcji porwania promu zginął brolturański żołnierz, więc teraz zarówno Wysoki Obserwator Kuros, jak i dowódca Brolturan wielkim głosem domagają się aresztowania odpowiedzialnych osób. Gdybym więc ściągnął *Hermesa* na pokład mojego okrętu z zamiarem zaoferowania azylu pasażerom, ta sprawa przestałaby być kwestią naruszenia procedur bezpieczeństwa i stałaby się incydentem dyplomatycznym.

- Ale mimo to, tak zmieniliście nasz kurs, żebyśmy się spotkali z *Heraklesem* w przestrzeni poza wysoką orbitą - zauważył Donny. - I to już za kilka minut.

- Owszem. Pozostała wam tylko jedna opcja. Kiedy statki się spotkają, ubierzecie tych

naukowców w skafandry próżniowe, a potem wyślecie ich na zewnątrz przez śluzę. Zgodnie z „Instrukcją działań ratowniczych w razie wypadków”, będę wówczas zmuszony zabrać ich na pokład jako „zagrożone osoby dryfujące w przestrzeni”.

- Ale nas nie - powiedział Teo.

- Zgadza się. W moim raporcie zostanie napisane, że porzuciliście pasażerów, a potem uciekliście na ten lesisty księżyc.

Teo i Donny spojrzeli na siebie, zdezorientowani.

- A czemu to zrobimy? - spytał Donny.

- Kapitanie Barbour, gdyby był pan lepiej wykształcony, zauważyłby pan, że *Puryfikator* wysłał dwa myśliwce przechwytujące i że są one już w połowie drogi tutaj. Sugeruję, żebyście przygotowali tych ludzi do opuszczenia promu.

Teo popatrzył na Donny'ego.

- Czy on mówi prawdę?

Donny bez słowa wcisnął jakieś klawisze i holowyświatlacz pokazał dwie jaskrawe kropki lecące wzdłuż krzywizny planety w stronę miejsca, gdzie dwie inne kropki, niebieskie, zbliżały się do siebie. Zrezygnowany Teo ruszył razem z nim, żeby wyjaśnić Ulepszonemu, jaka jest sytuacja. Czuł się zadziwiająco niezręcznie - nie potrafił odczytać z wyrazu ich twarzy, czy rozumieją, czy są rozgniewani, czy też spokojni. Potem kobieta imieniem Julia powiedziała, że chce mówić z kapitanem Velazquezem, który zapewnił ją, że wszyscy, którzy opuszczą prom, zostaną bezpiecznie sprowadzeni na pokład *Heraklesa*. Uważnie słuchając starannie dobieranych przez Velazqueza słów, skinęła głową - raz kapitanowi, raz Donny'emu i Teo.

Potem Ulepszeni szybko przywdziali lekkie skafandry w kolorze metalicznego błękitu i odbyło się ich wyjście na zewnątrz przez śluzę - pierwsza para, druga para, a na końcu Julia. Gdy już schylała się, żeby przejść przez właz, zatrzymała się i spojrzała do tyłu, na Donny'ego i Teo.

- Dziękuję, że nam pomogliście - powiedziała. - Nie rozumiem, czemu to zrobiliście, ale dziękuję.

Teo i Donny pożegnali ją, a potem, gdy właz się zatrzasnął i śluza rozpoczęła swój cykl, wymienili zaskoczone spojrzenia, po czym pośpieszyli z powrotem do ciasnego kokpitu, żeby sprawdzić czujniki dalekiego zasięgu. Akurat w chwili, kiedy ujrzeli, że dwa myśliwce są teraz między nimi a Darienem, z kanału komunikacyjnego statek-do-statku dobiegł głos.

- Uwaga *Hermes*, tu bosman Kowalski. Zapnijcie pasy, panowie, zamierzamy was posłać na małą przejażdżkę.

- Lepiej zrób to, co każe ten gość - mruknął Donny.

Za okienkiem kabiny długi, zwężający się kształt *Heraklesa* majaczył pod kątem; z jego szaro-srebrnego kadłuba sterczały rzędy ciemnych półprzezroczystych bąbli. Potem, gdy zapinali uprząże, Teo usłyszał stłumiony, przerywany pomruk i *Hermes* obrócił się, dzięki czemu przez chwilę mogli widzieć, jak Ulepszeni są zahaczani linami wyposażonymi w automatycznie zatraskujące się haki i wciągani w głąb otwartej ładowni w brzuchu *Heraklesa*. Potem w ich polu widzenia pojawiła się zielona kula Nieviesty i znieruchomiła.

- Systemy silników rakietowych zainicjowane, *Hermes*. Przygotujcie się na pełny ciąg.

Na konsoli zamigotały wzory, po czym Teo poczuł gwałtowne uderzenie przyspieszenia, szybko wygłuszone przez amortyzację inercyjną. Przez minutę siedział tak w mocnym uścisku fotela, wdychając śmierdzące plastikiem powietrze, czując, jak wibracje silników promu przenikają jego plecy, szyję i ramiona, świadom, że jego strach nie zniknął, lecz siedzi w klatce, spętany przez stare odruchy bojowe. Chodziło o to, żeby wykorzystywać swój strach, wiedzieć, kiedy go zignorować, kiedy słuchać i jak go używać, żeby pozostać przy życiu. Ale teraz szykowały się kłopoty, w których tylko i wyłącznie umiejętności Donny'ego Barboura mogły uratować ich obu od śmierci w ognistej kuli zniszczenia, kiedy te broturańskie myśliwce dościgną *Hermesa*.

A teraz Kowalski znów przemawiał z konsoli, objaśniając im, gdzie jest dwuosobowa kapsuła ratunkowa i jak ustawić autopilota na jej wystrzelenie, kiedy znajdą się w górnej warstwie atmosfery Nieviesty. Pośpiesznie streścił też Donny'emu, jaką bronią dysponuje prom (tylko jedną - pojedynczym działem laserowym), jakie manewry może wykonywać i jakie ma osłony.

- Ale nie powinniście się pakować w sytuację, w której będziecie zmuszeni ich użyć - zakonkludował Kowalski. - W każdym razie macie jeszcze dwanaście minut do momentu, kiedy wejdziecie na wysoką orbitę wokół tego księżycy. Potem musicie sobie radzić sami. Powodzenia, *Hermes*.

- *Aye*, dzięki, *Herakles*. Kiedy to wszystko się skończy, zaprosimy was na parę drinków i tyle befsztyków, ile tylko zdołacie zjeść!

- Nie opuścilibyśmy tego za nic, *Hermes*. Bezpiecznej podróży.

Wymiana zdań odbyła się w lekkim, przyjaznym duchu, co w odbiorze Teo podkreślało powagę ich sytuacji.

- To jak bardzo jest źle? - spytał.

Donny nieznacznie się uśmiechnął i spojrzał nań z ukosa.

- Bujać to my, ale nie nas, co, majorze?

Teo wzruszył ramionami.

- Umiem poznać, kiedy szanse są marne, zwłaszcza kiedy słyszę, że nie mówi się o nich na głos. Jakie jest prawdopodobieństwo, że wyjdziemy z tego żywi?

Donny wskazał holowyświetlacz.

- Te myśliwce dolecą tu wcześniej, niż zakładaliśmy; mogą nas dorwać akurat w momencie, kiedy będziemy wchodzić w atmosferę.

- A wtedy już po nas.

- No cóż... *aye*, chyba że wypróbujemy coś ciut niekonwencjonalnego. - Pochylił się w stronę Teo. - Tak ustawimy autopilota, żeby zaatakował ich i związał walką tuż po wystrzeleniu kapsuły. Prom musi ich zająć tylko na parę minut, wystarczająco długo, żeby kapsuła dotarła do niższych warstw atmosfery.

Teo kiwnął głową, czując przyływ mdłości oraz drżenie rąk i nóg, i uśmiechnął się. To tylko jego strach miotał się w klatce.

- W porządku, jeśli to nasza jedyna szansa - odrzekł. - Postaramy się ją wykorzystać.

Minuty umykały szybko; Donny pracował przy konsoli, wyznaczając parametry dla autopilota, a Teo w tym czasie sprawdził zaopatrzenie kapsuły. Prowadził do niej mały właz umieszczony w grodzi za kokpitem; do otwartej kapsuły trzeba było zejść po kilku stopniach i wpełznąć do środka. Teo opróżnił apteczkę promu oraz szafkę z racjami żywnościowymi i właśnie chował łupy, kiedy Donny zawołał do niego z góry:

- Mamy wszystko?!

- Tak jest. Gdzie myśliwi?

- Praktycznie już siedzą nam na karku. Wszystko spakowałeś, *aye*?

- Tak, czy już czas?

- Zdecydowanie, Teo.

Karlsson usłyszał, jak właz kapsuły zatraskuje się głucho i zahermetyzowuje z jękiem silniczków.

Uderzyło go okropne olśnienie i odwrócił się gwałtownie w maleńkiej przestrzeni, dopadł włazu, szukając przycisków pozwalających go otworzyć, ale nigdzie ich nie było. - Teo, wiem, że to paskudna sztuczka... *aye*, wiem, ale to jedyny sposób. Lepiej się przypnij, dwadzieścia sekund i lecis.

- Donny, ty cholerny, pieprzony durniu! - pieklił się Teo, przelaząc pośpiesznie z powrotem na fotel i naciągając na siebie kilka szerokich pasów, po czym zapinając je ciasno. - Co to ma niby być, chcesz zostać kamikadze w wariacie szkockim?...

- Nie bądź głupi! Gdybyśmy obaj opuścili prom w kapsule, te myśliwce zestrzeliłyby

nas raketami. W ten sposób przynajmniej jeden z nas ma szansę z tego wyjść. Nie zrozum mnie źle - zamierzam dołożyć wszelkich starań, żeby dożyć sędziwej starości... dobra, a teraz nie zgub portek!

Rozległa się seria niezbyt głośnych metalicznych uderzeń i kapsuła nagle szarpnęło, po czym zaczęła opadać. Żołądek Karlssona zaprotestował, gdy przekręciła się do góry nogami, a potem obróciła z powrotem.

- Donny! Co się dzieje?

- Nie bardzo mogę teraz rozmawiać, Teo. Mam pełne ręce roboty z tymi dwoma, no cóż, uparli się nadlecieć od góry i tak, że jeden osłania drugiego... dobra, muszę zniknąć. Wszystkiego dobrego i pomyślnych łowów, majorze, i do zobaczenia po jasnej stronie!

Potem kanał zamilkł.

Dureń z ciebie, Donny Barbour, pomyślał Teo, podczas gdy kapsuła dygotała wokół niego. Myślałby kto, że jesteśmy spokrewnieni. Kiedy się następnym razem spotkamy, napijemy się najlepszej whisky i będziemy snuć wspaniałe łągarstwa na temat naszej genealogii.

Jednakże cichy, wionący pustką strach szeptał mu, że rozmyśla o martwym człowieku.

Donny

Gdy wyłączał kanał komunikacyjny, brolturański myśliwiec już siedział mu na ogonie, szykując się do otwarcia ognia z bliska. Donny uśmiechnął się krzywo. Wiedział, że znajduje się w zasięgu dział wroga już od ponad trzydziestu sekund, ale wrogi pilot najwyraźniej uznał, że wobec tak słabego przeciwnika może się odprężyć i pozwolić sobie na mały pokaz strzelania do celu.

No cóż, czeka go tycia niespodzianka!

Donny wcisnął klawisze uruchamiające sekwencję specjalnych komend, które przygotowywał chwilę wcześniej, kiedy Teo znosił do kapsuły zapasy. Improvizując na własną rękę, posiłkując się krótkimi wiadomościami tekstowymi od Kowalskiego, wykombinował garść manewrów i konfiguracji osłon, które sprawiły, że bosman nazwał go wariatem. Donny'emu nie przeszkadzało, że jego niekonwencjonalny plan oferuje tylko nikłą szansę przeżycia. To było lepsze niż nic.

Wróg już prawie zajął pozycję do ataku, a czujniki *Hermesa* zasygnalizowały, że jest w trakcie celowania. Donny wcisnął na holowyświetlaczu guzik „wykonaj manewr”, zahuczały boczne silniki odrzutowe i prom obrócił się płynnie o sto osiemdziesiąt stopni w płaszczyźnie poziomej. Potem osłony zrekonfigurowały się tak, żeby działać jak hamulce powietrzne, a ponieważ statek wchodził już w górną atmosferę Nieviesty, prędkość promu zaczęła szybko maleć. Równocześnie zastartował główny napęd, jeszcze bardziej przyśpieszając wytracanie prędkości, a brolturański myśliwiec, z grubsza owalna jednostka, mająca wzdłuż przedniego brzegu wcięcia, w których znajdowały się wyloty dział, pędziła wprost na prom.

Donny wzdrygnął się odruchowo, ale teraz mógł już tylko patrzeć, modlić się i mieć nadzieję.

Brolturanin zaczynał wprowadzać swą maszynę w skręt, kiedy się mijali, ale druga konfiguracja osłon, jaką przygotował Donny, była gotowa: olbrzymie zakrzywione ostrza pola siłowego wystawały przed dziobem. Tam, gdzie zderzyły się z osłonami Brolturanina, interferencja harmoniczna rozbiegła się oślepiającymi błyskami światła i energii, a gdy w spodniej tarczy Brolturanina pojawiły się dziury, układ celowania na *Hermesie* zadziałał błyskawicznie. Działo laserowe posłało w te luki strumień strzałów pulsacyjnych mieszanego typu, waląc prosto w kadłub, rozłupując przedziały, ciskając odłamkami...

Myśliwiec gwałtownie skręcił, uchodząc, lecz było za późno. Za jego rufą ciągnęły się

smugi pary i gorących gazów, potem najwyraźniej rozszczelnił się przewód paliwa, bo nagle olbrzymia eksplozja rozdarła statek od silników aż po dziób. Donny ryknął triumfalnie, gdy kilka fragmentów płonącego wraku zatoczyło łuk i pofrunęło w dół, w stronę powierzchni lesistego księżyca.

Jednakże jego radość została gwałtownie przerwana, kiedy zaczęły pisać alarmy, a wyświetlacz pokazał, że drugi myśliwiec skręca ostro ku niemu i wystrzeliwuje przy tym parę rakiet.

Pora wiać, pomyślał Donny, obracając prom tyłem do wroga i ustawiając go pod kątem, by nabrać wysokości, po czym odpalił główne silniki. Wybrał kolejną sekwencję taktyczną, prostą, lecz sprytną. Potem, widząc, że ma minutę lub dwie do przylotu rakiet, uruchomił transmisję na ogólnodostępnym kanale.

- Tutaj, ee, darieński prom bojowy *Hermes*, kapitan Barbour za sterami, wzywam wszystkich w zasięgu tego sygnału.

Chwilę później rozległ się sceptyczny męski głos.

- Tu kontrola lotów, stacja Pilipoint. Powiedziałaś, że kim jesteś? Czy to jakiś żart?

- A widzieliście, co się działo na niebie w ostatnim czasie, Pilipoint?

- Jasna cholera, tak! Widzieliśmy eksplozję, ogień i spadające szczątki...

- *Aye*, no cóż, to dlatego, że przed chwilą zestrzeliłem brolturański myśliwiec, który mnie wkurzał, a drugi właśnie mnie goni razem z parą rakiet... sekundę...

Nadlatywały rakiety, szybkie i śmiertelne, bliźniaczymi trajektoriami prosto ku niemu - blade ścieżki coraz bliższego zniszczenia. Donny wiedział, że nadeszła chwila, gdy trzeba się zdać na los i modlić, gdy uaktywnił sekwencję działań obronnych i zasiadł bez ruchu, by się przekonać, czy przeżyje najbliższe trzydzieści sekund.

- *Hermes* do stacji Pilipoint, nie zasnęliście tam jeszcze? Jak się nazywasz, tak w ogóle?

- Jestem tu, *Hermes*. Nazywam się Axel i namierzamy cię przez satelitę... Boże, i widzimy te rakiety! Niech się pan ewakuuje, kapitanie...

- Chciałbym móc to zrobić, Axel, ale nie mam kapsuły, więc muszę tu tkwić; dobra, trzy cztery...

Na monitorze pokazującym obraz z zewnątrz Donny zobaczył wielką, rosnącą chmurę srebrzystego chaff, podczas gdy w stronę zielonej powierzchni księżyca wydłużającym się łukiem opadał cel pozorny. Po sekundzie uśmiechnął się szeroko, gdy obie rakiety dały się nabrać na ten wabik i pomknęły za nim.

- Bardzo sprytnie, *Hermes*, bardzo przebiegłe... - powiedział kontroler lotów z Pilipoint.

- Jest pan jak magik, tak? Ręka szybsza niż oko...

- Może i tak, chłopcze, ale nie sądzę, żeby ta sztuczka z przynętą zadziałała drugi raz... a on właśnie wystrzelił drugą parę...

- Widzę je, kapitanie. Proszę mi powiedzieć, czy to pan ukradł Ziemianom prom?

- Słyszeliście o tym tu na górze, co, Axel? *Aye*, ten drań spod ciemnej gwiazdy to ja!

- Słyszeliśmy, co się dzieje u was, na dole, o tym całym brolturańskim wojsku, które dokłada wszelkich starań, aby Darien pozostał wolny od rozruchów, protestów oraz od takich utrapień jak wolność słowa - odrzekł kontroler lotów. - Nie wątpię, że już wkrótce ta przyjemność spotka również nas. Ale niech mi pan powie, czemu pan to robi?

- Masz na myśli targanie lwa za wąsy w jego jaskini? Pewnie można byłoby powiedzieć, że ogarnęło mnie przemożne poczucie obowiązku względem społeczeństwa i dokonałem na spokojnie analizy kryzysu... ale to nie byłaby prawda.

- Nie?

- Nieee, kierowała mną czysta, najnormalniejsza w świecie odraza. Wiesz, czego naprawdę nienawidzę? Bycia okłamywanym. Wkrótce po tym, jak przyleciał *Herakles*, ten poseł Hegemonii Kuros objechał całą kolonię, wygłaszając przemówienia o tym, jak wysoce Hegemonia Sendrukańska ceni sobie swobodę i wolność oraz jak bezgranicznie pragną działać na rzecz wolności w całym znanym wszechświecie i poza jego granicami... *aye*, jasne! Przez cały czas, gdy wylewał z siebie potoki tego zarozumiałego, świętoszkowatego gdakania, on i jego totumfaccy tylko patrzyli, jak nas rzucić na kolana, jak do tego stopnia namącić w kolonii, żebyśmy się ucieszyli z ich buta na gardle, jeśli tylko to będzie znaczyło, że przestaną wybuchać bomby...

- Oglądałem jedno z przemówień Kurosa - powiedział kontroler lotów z Pilipoint. - To był prawdziwy występ, ale nam coś w nim nie pasowało, tak jakby Kuros występował dla innej publiczności...

- Przepraszam cię, Axel, muszę się tu znów zająć parą rakiet...

Donny czuł, jak po twarzy spływa mu pot, gdy patrzył na ciemnoniebieski ekran, na którym dwie jaskrawe kropki zbliżały się do jego pozycji, podczas gdy obok wyświetlały się liczby informujące o ich prędkości, odległości oraz wysokości. W mroku ciasnego kokpitu konsola pilota była dziwną, wygłuszoną klitką, pełną jarzących się przełączników, kontrolerek i wyświetlaczy; małe widekrany pokazywały fragmenty tego, co działo się na zewnątrz, a hologram wyświetlany pod sufitem pozwalał ocenić całość sytuacji taktycznej. Odpalona została kolejna sekwencja działań obronnych, suspensory oraz główny napęd były włączone i gotowe, a systemy nawigacyjne śledziły lot wrogiego myśliwca. Podczas poprzedniego ataku nakładka ekspertowa na oprogramowanie promu wyliczyła minimalny promień skrętu

pocisków, więc teraz wszystko było kwestią precyzyjnego wycucia czasu.

I olbrzymiego szczęścia.

Potem pociski, przyspieszając z każdą mikrosekundą, przekroczyły niewidoczną granicę aktywującą sekwencję defensywną i nastąpił kolejny wyrzut chaff, srebrne chmury migoczących metalizowanych pasków wyrosły za pędzącym *Hermesem* niczym ogon komety. Tak jak poprzednio, wystrzelony został cel pozorny, ale tym razem rakiety zignorowały go i nadal pędziły w stronę głównego celu, a myśliwiec zaczął się zbliżać, jak gdyby koniec był tuż-tuż. Potem wróg również przekroczył niewidzialną linię i ożyły przednie suspensory promu, gwałtownie wznosząc jego dziób, obracając cały stateczek, gdy ryknęły główne silniki. Połączenie pędu i ekstremalnych wektorów sił popchnęło *Hermesa* w brutalnie ciasny pionowy skręt.

Przeciążenie wcisnęło Donny'ego w fotel. Przez własny świszczący oddech słyszał, jak skrzypi konstrukcja promu, a potem włączyły się automatyczne alarmy: „Ostrzeżenie, przekroczenie dopuszczalnych parametrów... drobne awarie strukturalne w podzespołach 19a, 21d, 37L.. poważna awaria strukturalna nastąpi w ciągu najbliższych trzydziestu sekund...”.

Potem *Hermes* wyszedł ze skrętu i leciał z powrotem, odwrócony do góry nogami. Brolturański pilot widział tę szaleńczą próbę manewru akrobatycznego i ograniczył się do lekkiego skrętu, żeby uniknąć powtórki z wcześniejszego zderzenia pól siłowych. Jednakże Donny nadal znajdował się przed nim, a ich trajektorie miały się zaraz skrzyżować. I właśnie wtedy systemy obronne promu uwolniły resztkę chaff w trybie maksymalnego rozproszenia. A kiedy myśliwiec wpadł w rosnącą srebrzystą chmurę, zakłócającą działanie przyrządów, napotkał własne rakiety lecące w przeciwnym kierunku.

Na monitorze pokazującym obraz z tylnej kamery Donny zobaczył błyski dwóch eksplozji, erupcję blasku oraz płonących gazów, a potem rosnącą kulę dymu i szczątków przemieszanych z migoczącymi drobinami chaff. Już miał odetchnąć z ulgą, kiedy ujrzał, że jeden z lecących kawałów złomu pozostawia za sobą smugę gorących gazów i zawraca w jego kierunku.

Cwany sukinkot, pomyślał. Musiał ją wystrzelić w ostatniej chwili, wiedząc, że go załatwiłem... no cóż, jeszcze żeś mnie nie dorwał!

Niemal udało mu się uciec, po długim, wypełnionym skrętami i unikami pościgu w atmosferze Nieviesty; starał się wykorzystać każdą szansę, próbował zgubić pocisk w chmurach, nawet zestrzelić go działem laserowym. Ale rakietę cały czas leciała za nim, uparta, niepowstrzymana, ani na moment nie zbaczając z toru. A w miarę jak pogoń schodziła coraz niżej, dzielił się na bieżąco komentarzami z Axlem, koordynatorem lotów ze stacji

Pilipoint, ani razu nie przyznając się, jak rozpaczliwa jest jego sytuacja, i urozmaicając swój potok wymowy za pomocą bezlitosnych karykatur pewnych osobistości publicznych, jak Kuros, określony mianem „międzygwiazdowego przewodu żółciowego Hegemonii”, oraz prezydent Kirkland, „stolec, który chodzi na dwóch nogach”.

Koniec, gdy wreszcie nadszedł, był szybki. Donny leciał na północ jakieś trzysta metrów nad południowym oceanem Nieviesty, mniej niż sto kilometrów od wybrzeży Segrany. Zaczynało mu brakować paliwa, większość suspensorów była wypalona i dostawał ciągle ostrzeżenia o szwankujących elementach konstrukcji na skutek karkołomnych manewrów, których próbował wcześniej. Rzucił kośćmi po raz ostatni, próbując wodować, lecz rakieta odnalazła go niecałe dwadzieścia metrów nad powierzchnią oceanu, pędząc nisko nad falami. Wybuchła straszliwa jasność... potem straszliwa ciemność...

Potem zabrała go wieczność.

Catriona

Przez całą bezgwiezdną, deszczową noc poszukiwali statku, który lądował awaryjnie lub się rozbił. Zbieracz owadziach pancrzyków zauważył go późnym popołudniem, kiedy przeszukiwał rozpięte wysoko sieci w pobliżu Wysokiej Strażnicy. Stateczek w kształcie klina, ciągnący za sobą poszarpane flagi - taki opis przekazano Catrionie. Wywnioskowała z niego, że spadochrony hamujące rozerwały się krótko po otwarciu. Szanse, że ktoś może w takiej sytuacji przetrwać lądowanie, nie były wysokie. Tu jednakże nie brakowało gęstego listowia, które mogło zmniejszyć prędkość spadającego obiektu, więc jeśli tylko ten nie rąbnął w wystającą skałę ani w szczególnie duże drzewo, może prawdopodobieństwo znalezienia kogoś żywego nie było aż tak małe.

Podobnie jak większość członków jej dwudziestoosobowej ekipy poszukiwawczej, Cat miała na sobie płaszcz z kapturem utkany z mieszanki włókien roślinnych i jedwabiu - był lekki i ani nie pociła się w nim, ani nie mokła, jadąc na grzbiecie *trictry* razem z pozostałymi. Kierując się wskazówkami uzyskanymi od zbieracza pancrzyków, zmierzali na północ w stronę szerokiej doliny, która rozciągała się między Granicznym Wierchem a Wyżynami Północnymi, podczas gdy wokół nich kapąła, spływała i rozpryskiwała się woda. Zimna, czarna noc deszczu - światło lamp oraz jaskrawe smugi światła z latarek na baterie odbijały się dziesiątkami rozbłysków od mokrych liści, zmieniały usiane kropelkami pajęczyny w migoczące kosztowności, a potoczki w lśniące srebrne węże.

Po dalszej godzinie jedna z grup poszukiwawczych doniosła, że znaleźli pas zniszczonej roślinności. Wszyscy zebrali się razem i pośpieszyli śladem połamanych gałęzi oraz zwalonych pomniejszych pni, aż ten stał się wrytą w ziemi bruzdą o nieregularnych brzegach, która w końcu urywała się u stóp wielkiego drzewa *prul*. Stateczek był maleńki, mierzył mniej niż pięć metrów długości, więc musiała to być kapsuła ratunkowa z jednego ze statków, które wcześniej widziano, jak toczyły ze sobą pojedynkę wysoko na niebie. Wzdłuż jego wygiętej łukowato rufy rozmieszczone były małe dysze silniczków raketowych, kadłub zaś zwężał się ku przodowi w płaski, wąski dziób, który tkwił teraz wbity głęboko pod powykęcany korzeń drzewa *prul*, tak gruby, jak tułów *Uvovo*.

Wszyscy Uczeni oraz ich Słuchacz zamarli na chwilę i zagapili się otwartymi szeroko oczami na kapsułę, rzucając przy tym wyczekujące spojrzenia w stronę Catriony.

Hm, okej, więc Mistrzynie Ścieżek musi sprawdzić, jak na porządną mamusię przystało,

czy pudło kosmitów nie jest niebezpieczne, pomyślała, zsiadając z *tricity*. Kiedy dotarła do kapsuły, przy świetle przyniesionych bliżej lamp zobaczyła na obudowie napisy i symbole, z których wynikało, że urządzenie musi pochodzić z *Heraklesa*. Cat bez wahania zastukała weń kostkami palców.

- Hej, jest tam kto?

Z wnętrza natychmiast odpowiedziało jej kilka głuchych uderzeń, a potem męski głos.

- Dzięki niech będą Bogu, żeście mnie znaleźli! Proszę, czy możecie pomóc? Coś blokuje ten cholerny właz...

Cat roześmiała się, pojmując, że wielki korzeń *prul* uniemożliwia otwarcie kapsuły od wewnątrz.

- Widzę, w czym tkwi problem - powiedziała. - Wyciągniemy pana stąd za tycią chwilę.

Z pomocą tuzina *Uvovo* udało się wywlec kapsułę spod korzeni drzewa *prul*. Sekundę później górna część obudowy została popchnięta do góry i zablokowana w pozycji otwartej. Siwowłosa mężczyzna w myśliwskiej kurtce i bojówkach w panterkę wylazł ze środka i usiadł ciężko na krawędzi otworu, zdejmując z ubrania okruchy czegoś białego i wrzucając je z powrotem do kapsuły. Cat potrzebowała chwili, żeby go rozpoznać, ale nagle przypomniała sobie, gdzie już go widziała.

- Pan jest wujem Teo, od Grega - powiedziała.

Wyprostował się, zaskoczony, po czym przyjrzał się jej uważniej w słabym świetle i kiwnął głową.

- Ach, doktor Macreadie. Cóż za niespodziewana przyjemność, tu, w samym środku lasu.

- Co to za świństwo?

- Pianka amortyzująca - odparł. - Okropnie śmierdzi, ale jestem niewymownie wdzięczny za jej obecność. - Popatrzył na Cat i się uśmiechnął. - Na wypadek, gdyby się pani martwiła, Greg żyje i można powiedzieć, że dobrze się miewa. Wczoraj... czy może raczej przedwczoraj... został lekko ranny, ale moi ludzie donieśli mi, że dochodzi do siebie... - Rozejrzał się, ogarniając wzrokiem *Uvovo* oraz kapiącą i spływającą z góry wodę. - Czy ktoś widział moje przybycie tutaj, *Catriono*?

- *Aye* - odparła, trochę żałując, że nie powiedział więcej na temat Grega. - *Uvovo* z miasteczka leżącego kilka mil stąd zobaczył, jak pana kapsuła opada ku *Segranie* zaraz po tych eksplozjach na niebie.

Te słowa wyraźnie go zainteresowały.

- Czy wie pani, co się stało tam, w górze? Czy stacja Pilipoint skontaktowała się...

- Przykro mi, Teo, nie byłam w kontakcie z Pilipoint, natomiast widziałam kawałek wielkiego przestawienia, a o reszcie słyszałam od innych. Późnym popołudniem wysoko w górze ujrano kilka smug kondensacyjnych i nastąpiła jaskrawa eksplozja, a kilka minut później, w połowie drogi na drugą stronę nieba, następna. Wkrótce potem pana kapsuła ratunkowa zaliczyła twarde lądowanie, i po niedługim czasie paru Uvovo na południowym brzegu zobaczyło potężny wybuch daleko nad oceanem.

Gdy Teo to usłyszał, raptownie spoważniał. Pokiwał głową i uśmiechnął się smutno.

- Mieliśmy obaj wylądować w tej kapsule, ale mnie przechytrzył i wysłał w pojedynkę, a sam został, żeby walczyć z dwoma broturańskimi myśliwcami, z tego ich gigantycznego potwora bojowego. I pokonał je! Na to wygląda...

- O czym pan mówi? Kto je pokonał...

- Dzielny człowiek, niejaki Donny Barbour. - Popatrzył na nią. - Czy może mi pani pomóc dostać się na stację Pilipoint? Może tam ktoś będzie znał szczegóły tego, jak to się wszystko rozegrało.

- To da się zrobić, Teo, chociaż może miałby pan chęć się zatrzymać w jednej z osad Uvovo, żeby odpocząć i coś zjeść?

- Brzmi kusząco. - Wyraźnie znużony, starł krople wody z zarośniętego podbródka i strzepnął z ubrania jeszcze trochę okruchów pianki. - Słyszałem, że mieszkańcy Nieviesty podróżują na grzbietach olbrzymich *tricty*, to prawda?

- *Aye*, zgadza się. Nie boi się pan pajaków, co?

- Nie, raczej nie. - Znów posłał jej smutny uśmiech. - Przeżyję. No, to dokąd teraz?

Wyszukując z latarką drogę w mokrych zaroślach, Catriona ruszyła przodem z powrotem do miejsca, gdzie uwiązano *tricty*, a Uvovo dostosowali tempo do dwójki Ludzi.

- Pewnie czujecie się wyłączeni z wydarzeń, które rozegrały się w ostatnim czasie na Darienie - powiedział Teo.

- Tego bym nie powiedziała - odrzekła Cat, uśmiechając się w ciemnościach. - Wczoraj schwytaliśmy dwóch komandosów Ezgara.

Zagapił się na nią, zwalniając kroku.

- Pojmaliście ich...

- Pierwszy eksplodował, zabijając kilku Uvovo... czy wiedział pan, że w ich układzie krwionośnym jest ukryty środek wybuchowy? *Aye*, bardzo sprytne, bardzo brutalne. Och, a tak przy okazji, oni są Ludźmi.

Teo z powagą skinął głową.

- Tak, to wiedziałem. To rodzi wiele pytań.

- Prawda? Dotarliśmy do drugiego i uspiliśmy go, zanim zdążył zainicjować wybuch, a potem użyliśmy kilku korzeni ekstrakcyjnych i czegoś, co Uvovo nazywają workiem oczyszczającym, żeby odfiltrować obce substancje z jego krwi. Teraz już odzyskał przytomność i jest z nim kontakt. Rozumie anglic, ale nie mówi zbyt dobrze w tym języku. Mimo to, zdołaliśmy z niego wydobyć trochę interesujących faktów.

Przypomniała sobie, jak musieli unieruchomić jego ręce i nogi za pomocą skórzanych pasów z wyściółką. Wydawał się tak kompletnie bezsilny wobec swego strachu i gniewu, jakby w ogóle nie był zdolny do samokontroli, i zarówno ona, jak i mistrzowie korzeni podejrzewali, że worek oczyszczający usunął z jego organizmu coś jeszcze oprócz składnika substancji wybuchowej.

- Ma na imię Malachi - kontynuowała. - Pochodzi z kolonii Ludzi znanej jako Tygra, a sądząc z kilku informacji, które niechcący wyjawiał, jest to społeczeństwo wysoce zmilitaryzowane.

- Boże drogi - powiedział Teo. - Czy zostali porwani przez Hegemonię?

- Nie porwani, majorze. Wygląda na to, że jego kolonia została założona mniej więcej sto pięćdziesiąt lat temu.

- Sto pięćdziesiąt lat? Ale czy Ludzkość nie... - Urwał, marszcząc na moment czoło, a potem wytrzeszczył oczy. - Doktor Macreadie, nie sugeruje pani chyba...

Z uśmiechem skinęła głową.

- Kolonia Tygra została założona przez statek z Ziemi o nazwie *Forrestal*.

Teo zamilkł; zdumienie malujące się na jego twarzy ustąpiło miejsca narastającej zgrozie, w miarę jak docierało do niego to, co powiedziała.

- Załoga oraz koloniści z *Forrestala* składali się z mieszkańców Ameryki Północnej oraz Niemców - powiedział. - Jakim cudem zrobiono z nich doborowe wojsko Hegemonii?

- Chwilowo nie jesteśmy w stanie wiele wydobyć z Malachiego, więc te kwestie pozostają otwarte, możemy tylko spekulować. Sądzę jednak, że na razie powinniśmy zachować tę informację dla siebie. Jak zareagowałoby ludzkie z Ziemi, gdyby to się rozniosło? I co zrobiłaby Hegemonia z Tygranami, gdyby zdecydowano, że sojusz z Ziemiosferą jest cenniejszy niż elitarne oddziały ludzkich żołnierzy, choćby i najbardziej lojalnych?

- Racja - odrzekł. - Mój Boże, nie chcę sobie wyobrażać, przez co przeszli.

- To każe się zastanawiać, co się stało z trzecim statkiem, z *Tenebrosą* - powiedziała Cat, i w momencie wypowiedzenia tych słów poczuła drgnienie percepcyjnej więzi, którą dzieliła z Segraną. Czy była to antycypacja? Ukryta wskazówka dotycząca prawdy, czy też

echo jakiejś utraconej możliwości, gasnące pośród drzew i deszczu? Uśmiechnęła się w myślach, wiedząc, że Segrana lubi zawikłane zagadki.

- No cóż, jeśli jacyś ich potomkowie zjawią się tutaj - mówił właśnie Teo - będziemy mogli założyć klub!

Roześmiała się w głos, myśląc: *Aye*, czy to nie byłoby wprost zdumiewające?

Kao Czi

Czekali, nudząc się, w pomniejszonym przedziale odsiewania - długiej na piętnaście metrów komorze o poobijanych, powgniatanych metalowych ścianach, wypolerowanych do połysku wskutek ciągłego ścierania przez ziarenka pyłu. To tutaj złożone pola siłowe rozdzielały tysiące ton pyłu i okruchów skalnych zbieranych przez kombajn w przestrzeni międzygwiazdnej, przypuszczalnie rozdzielając je w oparciu o grubość ziarna oraz dominujący typ minerałów, a potem kierując do odpowiednich silosów. Kao Czi podejrzewał też, że te same projektory pól służą obecnie do tego, żeby przeskanować i gruntownie zbadać jego samego oraz Drazumę-Ha*, ale ilekroć o tym wspominał, mech odpowiadała krótko i mało konkretnie, tonem sugerującym niezadowolenie. Czekali w tym stalowym pudle już od pięciu czy sześciu godzin, a do tego trzeba było doliczyć sześć czy siedem spędzonych na pokładzie *Kasztelana* po zadokowaniu, bo pilot kombajnu, Voth imieniem Yash, cechował się daleko posuniętą paranoją.

Przynajmniej podczas pierwszego z tych okresów oczekiwania Drazuma-Ha* miał mnóstwo czasu na objaśnienie wszystkich szczegółów związanych z jego nadzwyczaj ważną i niebezpieczną (lecz w oczach Kao Cziego ekscytującą i wspaniałą) misją. Tam, na statku, młodzieniec siedział zelektryzowany, słuchając opowieści mecha o legendarnych Przodkach, o potężnej wojnie, jaką stoczyli z Legionem Awatarów oraz o krzywstudniach, które zbudowali, żeby pokonać tego straszliwego wroga. A teraz, sto tysięcy lat później, na świecie Darien, skolonizowanym przez zaginioną gałąź rasy Ludzi, odkryto nieuszkodzoną krzywstudnię. Niedobitki Legionu wciąż jeszcze żyły, uwięzione w najgłębszych, najciemniejszych otchłaniach hiperprzestrzeni, skąd nie było żadnej ucieczki, lecz ich słudzy w osobie tych trzech droidów bojowych wiedzieli, że krzywstudni można użyć do uwolnienia Legionu. Dlatego właśnie Konstruktor, dawny sprzymierzeniec Przodków, wysłał Drazumę-Ha*, żeby ten odnalazł Kao Cziego i pomógł mu w zrealizowaniu jego zadania.

- Wysłał cię, żebyś mnie odnalazł?

- Otóż to - odrzekł Drazuma-Ha*. - Wiesz, jak na maszynę liczącą sobie tysiące lat, Konstruktor nabrał zaskakująco sentymentalnych odruchów; powiedział mi kiedyś, że Ludzkość jest gatunkiem w pewnym sensie wyjątkowym, że mają wewnętrzny ogień, który odróżnia ich od innych rozumnych istot. Podszedłem do tych spostrzeżeń nieco sceptycznie, teraz jednak, po tym, jak miałem okazję ci towarzyszyć w podróży, dzielić z tobą jej niebezpieczeństwa i

małe triumfy, widzę i mogę bez wahania potwierdzić, że miał rację. Było nie było, czasem wielkość jest głęboko ukryta i trzeba ją wydobyć na powierzchnię; a więc, Gouczy, bądź świadom wielkości, która pozostaje w ukryciu.

Teraz, pół dnia (i parę książek) później, Kao Czi odkrył, że jego umysł powraca do komplementów mecha oraz jego własnej reakcji na nie. Tuż po ich usłyszeniu był zaskoczony, wprost zdumiony, a później spoważniał i spokorniał, lecz teraz, po tym, jak miał dość czasu, żeby się zastanowić, uzmysłowił sobie, że wysłuchanie takich pochwał przyprawiło go również o zawstydzenie. Niemal bez udziału świadomości powróciło do niego jedno z ulubionych powiedzeń ojca: „Strzeż się niezasłużonej garści złota, bo gdzieś w pobliżu inna ręka dzierży nóż”, sprawiając, że uśmiechnął się i pokręcił głową. Czasem miał wrażenie, że w jego głowie tkwią małe wersje matki i ojca, od czasu do czasu wyskakujące z jakimś uderzająco trafnym porzekadłem.

Jego rozmyślania przerwał głośny brzęk, a potem dźwięk głośno pracujących serwowatorów, gdy szerokie wrota po przeciwnej stronie komory zaczęły się rozsuwać, podzieliwszy się na trzy części. Nareszcie, pomyślał.

- Przyjmijcie moje przeprosiny za to opóźnienie - dobiegł głos z rozciągającego się głębiej, oświetlonego na czerwono korytarza. - Stosuję tak daleko posunięte środki ostrożności, bo jestem do tego zmuszony; zbyt wielu chytrych, przebiegłych bandytów czai się między gwiazdami, by kogokolwiek było stać na beztróskę... idźcie pochyłym korytarzem naokoło i w górę, a potem skręćcie w prawo i zatrzymajcie się przy drzwiach bezpieczeństwa.

Głos Votha dobiegał zza kratki rozmieszczonych wzdłuż sufitu korytarza. Krótkie zaokrąglone stożki na ścianach rzucały rubinowe światło, a gdy Kao Czi szedł, jego kroki rozbrzmiewały dziwnie. Pozbawiony innych cech charakterystycznych pochyły korytarz wiódł w górę, obok masywnych, ciemnych drzwi z bramką czujników, wyposażonych w dziwny okrągły bloczek klawiszy umieszczony na środku. Drzwi bezpieczeństwa, do których dotarli kilka chwil później, wyglądały identycznie, tylko bez bloczka klawiszy.

- Bądźcie łaskawi zaczekać.

- Z całym szacunkiem - odezwał się Kao Czi - od wielu godzin zajmujemy się głównie czekaniem, szacowny Yashu. Cięży na nas ogromnie ważne zadanie...

- Tak, tak, tak, od którego mogą zależeć losy trylionów żywych istot, tragedie, wojna i tak dalej, ale jak dotąd nie raczyliście powiedzieć, czego chcecie ode mnie. Kiedy się tego dowiem, będziemy mogli przenegocjować cenę za tę usługę.

- Cenę? - powtórzył Kao Czi. - Świat jest o krok od katastrofy, a ty chcesz się targować o zapłatę?

- Zaczekaj moment, Gouczy - powiedział Drazuma-Ha*, przerywając swe trwające od kilku godzin milczenie. - Szacowny Yash pilnuje po prostu własnych interesów, a zabierając mu cenny czas, utrudniamy mu tylko poświęcenie koniecznej uwagi procesowi rafinacji. Musimy zachować cierpliwość i pozwolić mu wyznaczyć tor naszych deliberacji.

Na chwilę zapadła cisza.

- Zatem wiesz coś na temat kombajnów chmurowych.

- Co nieco - odrzekł mech. - Tylko tyle, że *Viganli* jest, jeśli się nie mylę, kombajnem z serii Zjadacz Gwiazd, łączącym wytrzymałość cechującą Ogniwce z efektywnym zasięgiem Prózniożerów, lecz mającym większe pole zgarniania niż którykolwiek z nich.

- Święta prawda, mój maszynowy gościu, jesteś bardzo spostrzegawczy. Proszę, wejdźcie.

Drzwi odsunęły się z cichym buczeniem i wkroczyli do niskiego, słabo oświetlonego pomieszczenia, w którym panował nieład. Jedna połowa kabiny była zagracona niepasującymi do siebie meblami rozstawionymi wokół holopojemnika, po drugiej stronie zaś dominujący element wystroju stanowił długi stół warsztatowy, nad którym znajdowały się stojaki z narzędziami, próbnikami, sondami ręcznymi oraz bronią. Gospodarz siedział ze skrzyżowanymi nogami w wysokim fotelu anatomicznym obok stołu, paląc fajkę o trzech główkach i opierając na jednym kolanie duży, budzący respekt miotacz. Jak na Votha, Yash był lekko ubrany: miał na sobie tylko dwie kurtki, roboczą kamizelę z dużymi kieszeniami oraz długie, zakurzone, poplamione smarem pantalone, a na odkrytej głowie zniszczone multigogle, odsunięte na czoło. Ich kabel przesyłu danych zwisał luźno. Ciemne, głęboko osadzone oczy zmierzyły ich podejrzliwym spojrzeniem zza mgiełki dymu.

- Witajcie w moim salonie - powiedział, nie wyjmując fajki z ust. - Bałagan tu i trochę śmierdzi, ale nie spodziewałem się gości.

„Więc co robiłeś przez ostatnich trzynaście godzin?” - miał ochotę spytać Kao Czi, ale zmilczał, nie przestając się uśmiechać.

- Przyjmij podziękowania za zaproszenie nas na pokład twego imponującego statku, przyjacielu Yashu... - zaczął Drazuma-Ha*.

- Nie jestem twoim przyjacielem - przerwał mu Voth. - Ani twoim, ani tego dziwnie wyglądającego Człowieka. Kim on w ogóle jest? Twoim niewolnikiem?

- Nie jestem niczym niewolnikiem - odrzekł Kao Czi, rozdrażniony jego obraźliwym tonem. - Zmierzam z ważną misją do kolonii Ludzi na Darienie; obaj tam zmierzamy.

Voth wzruszył ramionami i wydmuchnął więcej dymu.

- To do czego jestem wam potrzebny?

- Niestety, nasz statek zdolny jest do podróżowania w hiperprzestrzeni tylko na pierwszym poziomie - powiedział Drazuma-Ha*. - W związku z tym wyjściowo mieliśmy nadzieję, że zdołamy cię przekonać, żebyś albo pożyczył nam twój prom na ostatni etap podróży, albo nawet zgodził się go osobiście popilotować...

Ciężka broń na kolanie Votha ożyła z piskliwym szumem, nieprzezroczyste dotąd elementy zamigotały mętным światłem, a Yash przesunął ją, celując w mecha.

- Zanim rozpoczniesz perswazję - powiedział - miej świadomość, że ściany i sufit tego pomieszczenia zawierają wystarczającą liczbę projektorów multifalowych o zautomatyzowanych celownikach, żeby usmażyć wszystkie ścieżki subkwantowe w twoim rdzeniu kognitywnym.

- Tak, wiem o tym - odrzekł Drazuma-Ha*. - Pragnę cię jednak zapewnić, że moja perswazja nie bazuje na brutalnych metodach. Nie, szacowny Yashu, uważam jedynie, że moim obowiązkiem jest poinformować cię, że jeśli ten region dostanie się w zasięg działań wojennych, wówczas prowadzenie tu działań górniczych przez wolnych strzelców, takich jak ty, stanie się niezmiernie ryzykowne. Moim zadaniem jest dotrzeć na Dariena i zapobiec wybuchowi wojny, a gdyby okazało się to niemożliwe, wysłać wiadomość do sojuszników, którzy przybędą tu, by nas zabrać.

Ostatnie słowa były niespodzianką dla Kao Cziego, który zerknął na mecha. Sądził, że był przygotowany na to, że w razie konieczności po prostu porwą ten prom. Co on planuje?

- Nie mogę opuścić *Viganli* - stwierdził Voth. - I nie ma mowy, żebym wam oddał mój szepszony prom. Więc będziecie musieli się zadowolić przesłaniem wiadomości. - Odłożywszy swą potrójną fajkę, zsunął się z fotela i wylądował na krzywych, muskularnych nogach, nadal dźwigając duży miotacz, który na wyczucie młodzieńca mógł być jakimś egzotycznym typem działka plazmowego. - Mostek jest tam na górze; wy pierwi.

Idąc za jego wskazówkami, wspięli się kolejnym pochyłym korytarzem do małego holu, gdzie znajdowało się troje drzwi, a w kącie stało wiaderko z mopem. Przeszli przez drzwi na wprost i znaleźli się w długiej, wąskiej sterowni, w której po obu stronach widniały okna, konsole, ekrany, stacje analizy oraz holowyświetlacze. Z mostka roztaczał się widok na większą część górnego pancerza *Viganli*, od szachownicy dużych włazów ładowni w środkowej partii statku po owalny wlot pośrodku rozszerzonego dziobu, z którego sterczało ku przodowi sześć stumetrowych masztów, odgiętych na zewnątrz: trzy na górze, trzy na dole. Były to emitery odpowiedzialne za utrzymywanie przed kombajnem dwuipółkilometrowego pola siłowego zgarniającego pył i okruchy skalne.

Yash wszedł za nimi, z działkiem plazmowym opartym na ramieniu.

- I tutaj też dysponuję ochroną, tak samo jak na dole - powiedział. - Mnóstwo pulserów elektromagnetycznych, które mogę w każdej chwili uruchomić.

Niesympatyczny paranoik, pomyślał Kao Czi, patrząc, jak Voth zmiata z jednej z konsol okruchy jedzenia oraz kilka pustych opakowań. Tu, z dala od salonu i dymu fajkowego, młodzieniec zauważył, że stwór wydziela silny, gryzący, kojarzący się trochę z orzechami odór. Wdychanie go nie było zbyt przyjemne.

- A więc, szacowny Yashu - powiedział - jakiej kwoty życzysz sobie za pomoc?

Yash uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A ile macie?

Kao Czi przez chwilę spoglądał w jego oczy, po czym niechętnie wyciągnął sakiewkę zawierającą resztę ich funduszy i wytrząsnął jej zawartość na wyciągniętą rękę Votha. Yash przez chwilę przypatrywał się laseczkom i trójkątom, po czym wepchnął wszystko do bocznej kieszeni.

- Komy są wasze, ale nie dotykajcie niczego więcej.

- Jak sobie życzysz, wielce hojny Yashu - odrzekł Drazuma-Ha*, podlatując do konsoli komunikacyjnej i wysuwając mikropolowe macki jeszcze przed wyhamowaniem.

Kao Czi patrzył na to, zdezorientowany, nie rozumiejąc działań mecha ani w jaki sposób działania te miały im pomóc dostać się na Dariena. Yash również nieufnie obserwował stanowisko komunikacyjne, prawdopodobnie z pokręconej chęci stwierdzenia, że coś jest nie tak.

Kilka chwil później Drazuma-Ha* cofnął swoje efektory.

- Wysłałem wiadomość poziomem drugim do agenta hipernetowego moich sojuszników; powinni wkrótce się odezwać i poinformować nas, kiedy...

Przerwał mu pikający cienko alarm na innej, stojącej nieco dalej konsoli. Yash zaklął i podbiegł do niej, przyjrzał się wyświetlaczom, po czym, mamrocząc gniewnie, wcisnął szybko kilka klawiszy, złapał zamocowany w górze monitor i odwrócił go tak, żeby mech i Kao Czi mogli zobaczyć obraz.

- To są ci wasi sprzymierzeńcy, hę? Myśleliście, że tu sobie tak po prostu wejdziecie spacerkiem i zabierzecie mój statek? Wy szepszojady, piraci! Powinienem was zastrzelić tu i teraz...

- Poczekaj - powiedział mech. - To nie są nasi sprzymierzeńcy...

- Mój Boże - stwierdził Kao Czi, gapiąc się na monitor. - To znowu te droidy. Jakim cudem nas znalazły?

- Musieli się cofnąć w hiperprzestrzeni wzdłuż tamtego wytyczonego kursu i znaleźć

punkt, w którym ją opuściliśmy - powiedział Drazuma-Ha*. - Być może pola tesserowe pozostawiają jakiś ślad emisyjny, kiedy wygasają...

- Czekaj, czekaj, kim lub czym są ci przybysze? - zapytał Yash, zwracając się do Kao Cziego i zsuwając gogle na oczy. - Współpracują z wami czy nie? Gadaj prawdę!

- Szacowny Yashu, przysięgam, że te droidy nie są naszymi sprzymierzeńcami - odrzekł Kao Czi, spoglądając na znajomy kształt wrakowatego frachtowca. - Tropią nas od kilku dni, próbując nas powstrzymać przed wypełnieniem naszej misji.

Voth kiwnął ze znużeniem głową i z powrotem podsunął gogle wyżej, na czoło.

- Mówisz prawdę. Innymi słowy, przywlekliście tu ze sobą wasz pech i zrzuciliście go przed moimi drzwiami.

- Czy *Viganli* jest uzbrojony, szacowny Yashu? - zapytał mech.

Yash prychnął.

- Dwie wieżyczki laserowe, działo jonowe oraz wyrzutnia raket; uzbrajają się i znajdują cel automatycznie, chyba że je zablokuję ręcznie.

- To może nie wystarczyć do załatwienia tej sprawy - stwierdził mech. - Jak widzisz, ich statek jest w zasadzie wrakiem, ale silne pola chronią jego napęd...

- Więc rozwalę go na milion szepzonych kawałków - odparł Voth. - Patrzcie tylko.

Kao Czi usłyszał stłumiony pomruk ładowania oraz ciche rezonujące dudnienie, powtarzające się raz po raz. Na monitorze pokazującym widok zewnętrzny widać było, jak smugi i kule energii oraz materii w rozmaitych kombinacjach wylatują w kierunku statku ścigających, który jakimś cudem unikał trafień. Kilka strzałów, które dosięgły celu, spowodowało ledwo dostrzegalne uszkodzenia i nie spowolniło lotu wrogiej jednostki. W trakcie ostrzału Kao Czi podszedł do Votha, żeby patrzeć, jak ten wpisuje na konsoli różne warianty ataków, ale po kilku minutach bezowocnych prób zde gustowany Yash rozłożył ręce.

- Niech to szepsz! W tym momencie powinienem już rozgrzewać komponenty i opiłki! Muszą dysponować jeszcze innymi osłonami...

Przerwało mu wysokie pikanie alarmu. Voth zmarszczył brwi i wciśnięciem klawisza uaktywnił kolejny ekran, a Kao Czi poczuł, że oblewa go zimno. W stronę *Viganli* pędził drugi wrogi statek, podobny do pierwszego.

- Jeszcze jeden? - Yash był ponury i rozgniewany, a na jego obliczu ponownie odmalowała się podejrzliwość, gdy gwałtownie zwrócił się w stronę młodzieńca. - Co tutaj się dzieje... i gdzie jest twój kumpel mech?

Kao Czi nagle uświadomił sobie, że Drazuma-Ha* już nie znajduje się na mostku, ale zanim zdążył zadeklarować, że nie wie, co się dzieje, z komsystemu dobiegł głos mecha.

- Pozdrawiam was, szacowny Yashu oraz Gouczy; wróg wezwał posiłki, więc musicie związać go ogniem, podczas gdy ja popilotuję *Kasztelana* w stronę pierwszego z naszych prześladowców. Spróbuję staranować ich rufę, żeby uczynić ich łatwiejszym celem. - Rzeczywiście, na konsoli zaświecił się kolejny ekran, pokazując, jak *Kasztelan* odrywa się od spodniej strony *Viganli*. - Oczywiście, przed kolizją wystrzelę się w kapsule ratunkowej.

- Szepszony wariat, nie maszyna - stwierdził Yash, a jego długie ciemne palce zatańczyły nad przyciskami kontrolującymi broń. - Teraz zobaczmy, czy z tym będziemy mieli więcej szczęścia... Łooo!

Pierwsza seria wystrzałów jonowych ugodziła w drugi statek wzdłuż linii sięgającej od jego śródkręca aż do rufy. Trafienia wyrwały wielkie dziury w i tak już zrujnowanym kadłubie, wyszarpując z niego kaskady strzaskanego metalu, a potem kilka strzałów rąbnęło w silniki. Coś natychmiast wybuchło białą erupcją tuż za głównym napędem, być może rezerwy chłodziwa. Potem eksplodowało paliwo raketowe, rozsadzając rufę niczym skorupkę srebrnego jajka, pękającego wzdłuż linii zimnego błękitu i lodowatej bieli. Po kilku sekundach tylna część wrogiego statku zamieniła się w rosnącą chmurę szczątków oraz rozgrzanych, świecących oparów. Zdumiony i pełen ulgi Kao Czi zaczął klaskać.

- Świetna robota, szacowny Yashu; doskonale strzały!

- Heh, no cóż, zgadza się - odrzekł Voth. - A co, u licha, kombinuje twój kumpel mech?

Następny mały ekran z piskliwym zgrzytem wysunął się z podsufitowej niszy i rozłożył, zamigotał raz, po czym ukazał *Kasztelana*, widzianego ze średniej odległości. Główne silniki na przemian zapalały się i gasły, w synchronizacji z odrzutowymi silnikami manewrowymi, podczas gdy w tle było widać pierwszy statek prześladowców, wrak frachtowca. Kao Czi patrzył, jak dwie jednostki zbliżają się do siebie w tempie, które wydawało mu się przeraźliwie powolne, choć wiedział, że poruszają się z prędkością kilkuset metrów na sekundę. Czuł się straszliwie bezsilny i żałował, że nie znajduje się na zewnątrz razem z Drazumą-Ha*.

- Czy twój kanał jest nadal aktywny, Drazumo-Ha*? - zapytał.

- Owszem, Gouczy.

- Mam nadzieję, że zachowasz należyte środki ostrożności; niezbyt mi się uśmiecha wypełnianie także twojej misji, oprócz mojej własnej.

- Podjąłem już niezbędne środki ostrożności, Gouczy. Dotrę do celu i wypełnię moje zadanie. Teraz muszę wyłączyć ten kanał; szacowni Gouczy i Yashu, dziękuję wam.

Głos mecha gwałtownie umilkł, pozostawiając Kao Cziego zagapionego z konsternacją w monitor. Ostatnie słowa mecha były dziwne, pozbawione zwykłej zwięzłości, a złożenie

podziękowań wydawało się cokolwiek nie w jego stylu.

- Co to - odezwał się Yash, wyciągając długi palec - do ciężkiego szepszolca jest?

Voth wskazywał ekran dotykowy na konsoli komunikacyjnej, który lśnił bladym błękitem z ciemnoniebieskimi i zielonymi napisami - panel opcji jakiejś aplikacji, częściowo zasłonięty okienkiem, w którym widniały słowa: „Zakończyć symulację”.

- Jaką symulację? - spytał Kao Czi.

- Dokładnie! Zanim tu przybyliście, ty i ta maszyna, nie było żadnej symulacji - odrzekł Voth, sięgając w stronę ekranu. Zawahał się, po czym stanowczym ruchem wcisnął „Tak”.

Obraz *Kasztelana* oraz nadlatującego frachtowca w jednej chwili znikł z kilku ekranów znajdujących się w różnych miejscach sterowni. Sekundę później rozbrzęczało się mnóstwo alarmów, światelka i symbole zaczęły błyskać i migać, a zgrzytliwy syntetyczny głos przemówił:

- Rozszczelnienie kadłuba, zewnętrzna ładownia cztery, zamykam wewnętrzne drzwi ciśnieniowe... rozszczelnienie kadłuba, zewnętrzna ładownia dziewięć, zamykam wewnętrzne drzwi ciśnieniowe... rozszczelnienie wewnętrznej grodzi, sekcja dwadzieścia trzy, dron naprawczy wysłany...

- Co... co się dzieje? - spytał Kao Czi, teraz już kompletnie głupiejąc.

- No cóż, na szepszony początek - odparł Yash, unosząc działko plazmowe i celując w niego - nie było żadnego wysyłania wiadomości do waszych sprzymierzeńców, nieprawdaż? Zamiast tego twoja maszyna odpala symulację, udając, że nastąpił atak, a ona wystartowała twoim statkiem, podczas gdy tak naprawdę kradła mój prom!

- Nie, to niemożliwe...

- Patrz, dumny Człowieku, patrz! - Na ekranie wyświetlił się *Kasztelan*, nadal zacumowany po spodniej stronie kombajnu, po czym obraz przełączył się na widok jakiejś ładowni z pomostem oraz stojakami pełnymi sprzętu. - A to jest hangar rufowy numer jeden, gdzie zazwyczaj stoi mój prom, ale teraz został...

- Wykryto intruza, pokład dziesięć... wykryto intruza, pokład siedem... rozszczelnienie kadłuba, zewnętrzna ładownia dwa, zamykam wewnętrzne drzwi ciśnieniowe...

- A teraz ktoś dokonuje abordażu - jęknął Voth. - Kto? I skąd się tu wzięli?

- To muszą być te droidy ze statku, który zniszczyłeś - odrzekł Kao Czi, wpatrując się w dygoczący z lekka wylot działka plazmowego. - Są agentami gatunku cyborgów znanego jako Legion Awatarów...

- Jako co?

- Nie, posłuchaj: Legion został pokonany przez Przodków w potężnej wojnie tysiące lat

temu... - Umilkł na chwilę, wiedząc, jak musi to brzmieć w uszach Votha, po czym dzielnie kontynuował. - Te droidy próbują się dostać na Dariena, żeby otworzyć studnię sięgającą w głąb hiperprzestrzeni...

- Wariat - powiedział Voth. - Jesteś kompletnym, gapiącym się w słońce, wachającym kamyki świrem! Legiony i Przodkowie... Ktoś dokonuje abordażu mojego statku, a ty mi tutaj szepesz takie bzdury. Ale mam propozycję... - Szturchnął Kao Cziego lufą działka. - Skoro oni są twoimi wrogami, może powinienem ich zaprosić na pokład i potraktować jak przyjaciół, he? Co ty na to?

- Bardzo rozsądna propozycja - przemówił głos z jednego z monitorów. - Sugeruję, abyś ją niezwłocznie wprowadził w życie.

Jeden z droidów Legionu spoglądał na nich z ekranu. Była to masywna, asymetryczna maszyna, mająca skupiska soczewek osadzone w małej bocznej niszy. Yash rzucił nań tylko okiem i przybrał drwiącą minę.

- Szepisz ci w szepeszukę! To mój statek, więc gramy według moich zasad...

- Nie wydaje mi się, abyś rozumiał całokształt sytuacji - odrzekł droid.

W tym momencie w sterowni zgasły wszystkie światła, jak również konsole i monitory, poza ekranem, na który właśnie patrzyli.

- A więc, jak sądzisz, gdzie teraz jesteśmy? - kontynuował droid.

Nozdrza Yasha się rozdęły i Kao Czi usłyszał wyraźnie, jak Voth zgrzyta zębami.

- Stacja rozrządu energii - wymamrotał.

- Zgadza się. Teraz, ponieważ zniszczyłeś nasz statek, będziemy zmuszeni pożyczyć twój, aby móc kontynuować pościg, znacznie utrudniony przez fakt, że w swej głupocie pozwoliłeś, aby Instrument ukradł twój prom...

- Głupocie? - powtórzył Voth, szczerząc długie zęby.

- Twojej oraz tego kretyna Człowieka. Tak czy siak, nic nie możemy zrobić, póki nie unieszkodliwimy wirusa autodestrukcyjnego, którego Instrument umieścił w łańcuchu przetwarzania danych rozruchu hipernapędu. - Część konsol z powrotem ożyła. - Spójrzcie sami.

Gdy Voth pochylił się nad jedną z konsol i zaczął przewijać ekran za ekranem niezrozumiałego kodu, Kao Czi opadł na jedno z profilowanych siedzisk. W głowie miał zamęt. Drazuma-Ha* ewidentnie zaczął planować to wszystko, zanim jeszcze weszli na pokład kombajnu, w tym porzucenie towarzysza. Być może maszyna potrzebowała uczciwej reakcji Kao Cziego w momencie, gdy pojawił się nieistniejący drugi statek droidów, ale nie poprawiło to ani trochę humoru młodzieńca. Nie złagodziło też jego niepokoju. I dlaczego

droid Legionu nazwał mecha Instrumentem?

- Paskudny i dobrze ukryty - stwierdził w końcu Yash, prostując się. - Ale skąd mam mieć pewność, żeście go tam sami nie umieścili?

- A czemu mielibyśmy to robić? - odrzekł droid. - Po co zadawać sobie tyle trudu? Nie, to wysokiej klasy robota Legionu, zupełnie nie nasza metodyka.

Yash wbił spojrzenie w Kao Cziego.

- Powiedziałeś, że to towarzystwo jest z Legionu... jak im tam?

- Awatarów - odrzekł Kao Czi. - Legionu Awatarów...

- Ach, rozumiem - powiedział droid na monitorze. - Obawiam się, że zostałeś wprowadzony w błąd; to twój mechaniczny towarzysz jest Instrumentem wyjątkowo bezlitosnej bandy zbójceckich mechów, które nazywają siebie Legionem Awatarów...

- A dla kogo wy pracujecie? - spytał Voth. - Dla organizacji dobroczynnej?

- Nasz dowódca nazywa się Konstruktor - odrzekł droid. - Jesteśmy wielofunkcyjnymi zwiadowcami w jego armii.

- Jakie... dowody możecie przedstawić? - zapytał Kao Czi. - Dlaczego mielibyśmy wam wierzyć na słowo?

- A czemu uwierzyłeś tamtej maszynie na słowo? - zripostował droid. - Nawet jej wygląd jest iluzją...

- Z całym szacunkiem - odrzekł młodzieniec - to jest bzdura.

Yash zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Nie wiedziałeś, że za swoim polem siłowym stale wyświetlała hologram? Użyłem gogli w połączeniu z moimi czujnikami ściennymi, żeby ją zbadać, uzyskałem kilka skanów jej sylwetki i wyekstrapolowałem przybliżony obraz...

- Czy przypominał coś takiego?

Na monitorze obok zwalistego droida pojawiła się ramka pokazująca dziwny metaliczny obiekt przypominający fragment segmentowanej kończyny ze stawem umieszczonym w połowie wysokości. Widząc to, Voth kiwnął głową.

- Tak, bardzo podobne, tylko ten ma dwa stawy. - Zmrużył oczy, przypatrując się obrazowi na ekranie. - Co to za cholerstwo? Wygląda jak fragment czegoś innego.

- Bo jest fragmentem czegoś innego - odrzekł droid. - To odnoże cyborga, rycerza Legionu Awatarów. Ciało tych cyberrycerzy przerośnięte są substratem biokortykalnym, dzięki czemu, kiedy oddzielają oni fragmenty swojego organizmu, potomkowie ci mają wdrukowaną osobowość swojego pana. Są inteligentni; mają talenty i instynkty swoich przodków. Cechuje ich między innymi fanatyczna wierność doktrynie konwergencji.

- A to co takiego? - spytał Kao Czi.

- Wierzą w konwergencję organicznego rozumu i technologii, połączenie ciała i maszyny.

- Czy można ich zabić? - zapytał Yash, poklepując swoje działko plazmowe.

- Zdecydowanie tak - odrzekł droid. - Ale nie osiągniemy tego, stojąc tutaj i gadając.

- Unieszkodliwię tego wirusa - oświadczył Voth, siadając przy konsoli.

Kao Czi słuchał tej wymiany zdań w milczeniu, pozwalając, by dotarła do niego prawda wraz z okropną świadomością, że choć po ucieczce z chaurixańskiego statku tortur był tak zdeterminowany nigdy więcej nie dać się nikomu wykorzystać jako pionek czy towar, to przez cały czas był posłusznym, całkowicie zaślepionym sługą Drazumy-Ha*. Jego ojciec miał rację; ukryta ręka z nożem czaiła się w pobliżu od samego początku.

- Kiedy dotrzecie na Dariena, chcę wam towarzyszyć - zwrócił się do droida.

- Jak sobie życzysz, Człowieku. Tylko nie próbuj nam wchodzić w drogę.

- Nie będę, daję słowo. Chcę tylko być obecny przy tym, jak wyrwiecie tej zdradzieckiej maszynie serce, czy co ona tam ma w środku.

Yash podniósł wzrok znad ekranu, chichocząc z cicha.

- Tak już lepiej, Człowieku!

W kokpicie skradzionego promu Instrument cierpliwie śledził informacje wyświetlające się na ekranach konsoli, nadzorując podróż statku przez rubieże drugiego poziomu hiperprzestrzeni, a równocześnie napawając się korzystnym wynikiem swoich oszustw i ryzykownych zagrywek. Dotarł tak daleko w jakże krótkim czasie, od momentu, gdy przebudził się głęboko pod wodą w cieniu swego potężnego rodzica, do ostatniego etapu swej doniosłej podróży, po drodze omamiwszy i przechytrywszy wszystkich swych adwersarzy. Nawet kiedy pracująca dla Chaurixan porywaczka zaskoczyła ich na stacji Bryag i użyła siatki stagnacyjnej, udało mu się tak przekierować wszystkie dostępne zasoby, żeby nadal podtrzymywać holograficzny kamuflaż i stopniowo odzyskać rozmaite zawieszane podsystemy, przygotowując się do odzyskania pełnej funkcjonalności. Jeszcze jeden przykład błyskotliwej improwizacji uwieńczonej sukcesem. A czyż nie było tak dlatego, że on sam stanowił dokładną replikę swego wspaniałego rodzica i miał te same instynkty, zdolności oraz pomysłowość?

Za wcześnie na celebrowanie zwycięstwa - napomniał go wewnętrzny głos. - Masz jeszcze do przebycia zbyt długą drogę, zbyt wiele do zrobienia, zbyt wiele niepewności i przeciwników do pokonania. Skup się na zadaniu, wylicz zasoby, oszacuj prawdopodobne

zagrożenia oraz możliwości, wygeneruj rozwiązania taktyczne, które będą służyć Strategicznym celom.

Dobrze zatem - zagrożenia oraz możliwości. Przed opuszczeniem mostka *Viganli* ukrył w matrycy danych hipernapędu wirusa wywołującego autodestrukcję, ale należało się spodziewać, że jeśli któryś spośród tych zardzewiałych rozumnych gratów Konstruktu dostanie się na pokład kombajnu (co było całkiem prawdopodobne), pułapka zostanie odkryta i rozbrojona. Istniała zatem spora szansa, że lecieli w ślad za nim na tego Dariena, skolonizowaną przez Ludzi planetę, gdzie znajdowała się krzywstудnia. Dzięki serwisom informacyjnym, które śledził w czasie swoich podróży, wiedział, że orbitują wokół niej okręty wojenne, stanowiące niebezpieczną przeszkodę dla każdego przybywającego statku. Będzie musiał wynaleźć jakiś sposób, aby sprawić, żeby ta potencjalna agresja oraz terytorialna paranoja charakterystyczna dla hierarchii militarnych zadziałały na jego korzyść.

Istniało kilka opcji, ale jedna z nich wyróżniała się na tle pozostałych swą prostotą. Będzie wymagała pewnej dozy umiejętnego aktorstwa, lecz Instrument nie miał wątpliwości, że doświadczenia nabyte w ostatnim czasie okażą się dla niego bezcenne pod tym względem.

Na pokładzie *Heraklesa* podporucznik Tuan Ho rozpoczął swoją wachtę w sekcji Czujników, kiedy uruchomiła się jedna z zewnętrznych boi granicznych. Pokręcił głową, odstawił plastikowy kubek z kawą, której właśnie zamierzał się napić, i wywołał Hugo, wbudowany system ekspertowy *Heraklesa*.

- Jo ho, bratku! Jakaś łajba nadciąga ku nam od bakburty...

Westchnął na widok postaci z czarną przepaską na oku i w trójrożnym kapeluszu. Operatorzy pełniący środkową wachtę musieli być wyjątkowo znudzeni.

- Hugo - powiedział. - Wydaję polecenie: przywróć ustawienia pierwotne.

Widoczne na ekranie głowa i ramiona animowanej postaci w jednej chwili powróciły do zwykłego wyglądu Hugo, ubranego w jasnozielony jednoczęściowy kombinezon technika floty.

- Dobra - powiedział Tuan Ho. - Teraz przedstaw mi ten raport jeszcze raz.

- Mocno uszkodzony niewielki statek, przypuszczalnie prom, wyszedł z hiperprzestrzeni tuż za znacznikiem decy-tau. Pilot mówi po brolturańsku, twierdzi, że jest jedynym ocalałym członkiem brolturańskiej ekspedycji poszukującej bogactw mineralnych, która została zaatakowana przez piratów poruszających się zrabowanym kombajnem, oraz że ten kombajn go ściga. Mówi też, że jego systemy nawigacyjne padły, więc leci na ręcznym sterowaniu z zamiarem lądowania na Darienie. Jego układy podtrzymywania życia

funkcjonują na zasilaniu awaryjnym, a z kanałów komunikacji działa tylko audio; jego statek nie wysyła sygnału identyfikacyjnego, ale pilot twierdzi, że jest z *Gratyfikatora*. Statek o tej nazwie, z brolturańską rejestracją, został zgłoszony jako zaginiony w strefie Huvuun trzy tygodnie temu.

Tuan Ho zmarszczył brwi.

- Żadnych danych identyfikacyjnych, tylko audio; to może być ktokolwiek i cokolwiek.

Przesłałeś to do Taktycznych?

- Zrobiłem to, kiedy przesłałem te informacje na przenośny sprzęt kapitana.

Podporucznik wytrzeszczył oczy.

- A to po co?

- Ponieważ piętnaście sekund później kapitan otrzymał bezpośrednie zapytanie na temat tego przybysza z pokładu *Puryfikatora*, od Ojca-Admirała Dyroshy.

Tuan Ho uśmiechnął się od ucha do ucha.

- I źle by to wyglądało, gdyby Velazquez zmuszony był uzyskać te informacje od Dyroshy. Dobrze pomyślane, Hugo.

System ekspertowy uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Jestem zaprogramowany na inicjatywę.

- Porucznik pierwszej klasy Schenker powiedział kiedyś, że szkoda, że ja nie. No więc co się teraz dzieje?

- Śledzę lot tego statku wspólnie z Taktycznymi, Velazquez i Dyrosha wciąż jeszcze konferują, a z *Puryfikatora* właśnie wystartowały dwa myśliwce.

- Boże drogi, mam nadzieję, że tych też nie stracą!

Jak prawie wszyscy członkowie załogi *Heraklesa*, Tuan Ho oglądał cały przebieg niewiarygodnej walki powietrznej nad lesistym księżycem, wyświetlonej na wszystkich ekranach ogólnego użytku w korytarzach, mesach i świetlicach. Patrzenie, jak jeden z ich własnych promów, pilotowany z szaleńczą brawurą, niszczy nie jeden, ale dwa brolturańskie myśliwce, było elektryzującym i pouczającym doświadczeniem. Załoga podzieliła się na zaszokowaną i wytraconą z równowagi mniejszość oraz na aprobującą większość, której postawy plasowały się wzdłuż spektrum sięgającego od swego rodzaju fatalistycznej rezygnacji do wyrażanego wprost poparcia dla Darińczyków. Członkowie zdeklarowanej frakcji prodarieńskiej wywiesili później na tablicy ogłoszeń gazetkę ścienną poświęconą pamięci szkockiego pilota nazwiskiem Donny Barbour. Uwagi Ho nie uszedł fakt, że większość opowiadających się po stronie Brolturan była posiadaczami towarzyszy SI.

- Cóż, przypuszczalnie okaże się, że to nic poważnego - powiedział. - Ty miej oko na

sytuację, a ja pójde podgrzać moją kawę.

- Bardzo możliwe, że to właściwe podejście, proszę pana - odrzekł Hugo.

Jednakże dwadzieścia minut później, kiedy zaledwie dwa tysiące kilometrów od *Heraklesa* wyszedł z hiperprzestrzeni kombajn chmurowy klasy Zjadacz Gwiazd, uruchamiając wszelkie możliwe alarmy, Tuan Ho rychło odkrył, że nie ma czasu nie tylko na popijanie kawy, ale nawet na myślenie o niej.

Od momentu, gdy pojawili się w układzie Dariena, bombardowano ich ciągłym strumieniem coraz ostrzejszych żądań, a potem zaczęto grozić poważnymi konsekwencjami. Jednakże Yash nie pozostawał dłużny.

- Nie, nie, *Herakles*, posłuchajcie mnie; to ja tu jestem poszkodowaną stroną, ja jestem ofiarą i ścigam złodzieja, który ukradł mi prom...

- *Herakles* do kombajnu *Viganli*, musimy zweryfikować twoje twierdzenia, w związku z czym musisz wyhamować i przejść na orbitę stacjonarną...

- Czemu nie łapiecie tego promu, he? Czemu?...

- Ponieważ to statek brolturański, zajmuje się nim...

- To nie jest statek brolturański! Nie rozumiecie, szepszyle? Ta śmierdząca złodziejska maszyna, która go ukradła, okłamuje i was, i Brolturan, okłamuje wszystkich...

- Do kombajnu *Viganli*, tutaj Dominator Taktyczny *Puryfikator* pod dowództwem Ojca-Admirała Dyroshy. Rozkazujemy wam zmniejszyć prędkość do zera i przygotować się do abordażu celem przeprowadzenia kontroli statku...

- Nikt mnie nie będzie kontrolował - warknął Voth.

- ...w grę wchodzi postawienie zarzutów. Odmowa podporządkowania się pociągnie za sobą natychmiastową eliminację zagrożenia. To wszystko.

- *Herakles* do *Viganli*: na wypadek, gdybyście nie pojęli sensu tej wypowiedzi, pragnę was poinformować, że *Puryfikator* właśnie wysłał piętnaście myśliwców bliskiego wsparcia, które przetną waszą trajektorię za mniej niż sześć minut. Jednakże jesteście już w zasięgu naszych pocisków raketowych, a za dwie minuty znajdziecie się w zasięgu całości naszego arsenału. Przemyślcie dobrze swoją sytuację.

Kanał zamilkł. Yash kiwnął głową w jego stronę, po czym obejrzał się na droida przemawiającego w imieniu trójki sług Konstruktu.

- Mam nadzieję, że wiecie, co robicie. Zdaje się, że zaraz zaczniemy tu służyć za tarczę strzelniczą.

- Zrekonfigurowaliśmy twoje pola zgarniania w osłony, pilocie Yash - odrzekł

masywny droid, noszący imię Gorol Dziewięć. - Nasi przeciwnicy przypuszczalnie się zdziwią, zwłaszcza kiedy tarcza zacznie im odpowiadać ogniem. - Fragment jego górnego pancerza obrócił się, kierując skupisko soczewek w stronę Kao Cziego. - Czy coś się zmieniło, Człowieku Gouczy?

Kao Cziemmu powierzono konsolę mającą śledzić kurs skradzionego promu, jego prędkość oraz inne aspekty toru lotu.

- Nic, Gorolu Dziewięć - odrzekł. - Wciąż nadaje swój komunikat po brolturańsku i leci prosto w stronę Dariena ze stałą prędkością. Powinniśmy go doścignąć, zanim wejdzie w atmosferę.

- W porządku, w takim razie pora, byśmy zwrócili na siebie uwagę Instrumentu, zwiększając naszą prędkość.

- Zrobione - odrzekł zajmujący się nawigacją droid o szerokim torsie, Ysher Dwadzieścia Trzy; miał cztery zaskakująco cienkie nogi i dwie ogromne ręce wyposażone w wymienne efektory.

Chwilę po zwiększeniu prędkości komkanął ponownie ożył.

- *Herakles* do *Viganli*, leciecie bez zezwolenia przez zastrzeżony obszar! Natychmiast wyhamujcie i wyłączcie osłony...

- Tu kapitan-pilot Yash; nie wystosowałem żadnych gróźb ani nie użyłem siły przeciwko wam, ale będę się bronić, jeśli zajdzie konieczność...

- Celują w naszą rufę - powiedział Dalqa Czterdzieści Dwa, najmniejszy z trzech droidów, który zawiadywał stacją bojowo-taktyczną. - Lada chwila...

Mostek zadygotał, a Kao Czi i Voth odruchowo złapali się konsol. Alarmy zamigotały i zgasły.

- Spokojnie, w granicach tolerancji osłon - powiedział Gorol Dziewięć.

- Zaraz padnie więcej strzałów z broni laserowej i cząsteczkowej - odrzekł Dalqa Czterdzieści Dwa. - Ludzie wystrzelili też serię rakiet.

Mostek i statek dygotały raz za razem od powtarzających się trafień; mimo to, w pomieszczeniu panował zadziwiający spokój. Przez wąskie okienka Kao Czi widział planetę Darien - obiekt wielkości pięści, ciemnoniebieski w białe plamy, z wiszącym z boku lesistym księżycem, podobnym do matowej zielonej monety. Kilka spośród sufitowych ekranów pokazywało trójwymiarową grafikę przedstawiającą osłony kombajnu, przy czym czerwone trójkąty oznaczały trafienia, a przewijające się w ramkach symbole - głębokość penetracji oraz tempo odtwarzania osłon. Z kolei holopojemnik ustawiony nad swoją niszą projekcyjną wyświetlał wzajemne położenie *Viganli* i okrętu *Ziemiosfery*, *Heraklesa*, przy czym

wystrzały z dział laserowych tego ostatniego były widoczne jako przerywane białe linie, a pociski raketowe jako łuk mrugających drobin, lecących naprzód i skręcających synchronicznie, by uderzyć w cel.

Podczas tego wszystkiego na mostku panowało milczenie, przedziwna cisza; choć Kao Czi wiedział, że droidy na pewno przesyłają między sobą dane przez transfer krótkodystansowy, on i Voth mieli do dyspozycji tylko ekrany.

- Oddaliśmy się od *Heraklesa* - powiedział Yash, zerkając na jeden z ekranów taktycznych. - Utrzymują pozycję na wysokiej orbicie, ale ich rakiety nadal lecą w naszą stronę. Czy te osłony wystarczą, żeby je powstrzymać?

- Raczej nie - odrzekł Gorol Dziewięć.

- Wieżyczka laserowa gotowa do strzału - powiedział Dalqa Czterdzieści Dwa. - Mamy zewnętrzny optymalny zasięg, rozpoczynam zestrzeliwanie.

W mętnej ciemności na zewnątrz mignął maleńki rozbłysk, potem drugi i jeszcze kilka dalszych...

- Jaki jest status promu, Człowieku Gouczy? - zapytał Gorol Dziewięć.

- Jesteśmy coraz bliżej - odrzekł młodzieniec, próbując ignorować wstrząsy i drgania spowodowane strzałami z *Heraklesa*. - Przy obecnej prędkości dopędzimy go za pięć przecinek siedem minut... ale te brolturańskie myśliwce utrzymują kurs w naszą stronę i doleczą tu za... trzy przecinek osiem minut.

- Za bardzo przypomina to wsadzanie głowy w paszczę pełną kłów - powiedział Yash. - Powinniśmy zrobić w tył zwrot i wiać w przestrzeń kosmiczną.

- Nie ma powodu do obaw, pilocie Yash - odparł Gorol Dziewięć. - Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność i zamierzamy oddać ci z powrotem twój statek, kiedy już wypełnimy naszą misję.

- Dobra... w porządku. - Voth przetarł twarz, kiwnął głową i odwracał się w stronę holowyświetlacza, kiedy Dalqa Czterdzieści Dwa rzucił: - Nadlatuje rakietka, przygotujcie się na wstrząs!

Chwilę później statkiem wstrząsnął huk potężnej eksplozji, a Kao Czi został wyrzucony z fotela i znalazł się na podłodze. Zawyły alarmy, na konsolach rozbłysły migające fioletowe symbole ostrzegawcze, a syntetyczny głos przemówił:

- Rozszczelnienie kadłuba, zewnętrzna ładownia jedenaście, zewnętrzna ładownia dwanaście... rozszczelnienie wewnętrznej grodzi, sekcja trzydzieści dwa, pokład jedenaście... wykryto gwałtowny spadek ciśnienia, zamykam drzwi bezpieczeństwa na skrzyżowaniu osiemdziesiąt dziewięć...

- Mój statek! - jęknął Yash, zbierając się z podłogi.

- Co się stało? - spytał Kao Czi, siadając z powrotem na fotelu.

- Jednej rakiety nie udało się nam zestrzelić z działa laserowego - wyjaśnił Dalqa Czterdzieści Dwa. - Ludzie nie wystrzelili już dalszych, bo ich brolturańscy sprzymierzeńcy wkrótce nas dościgną.

Na bocznym monitorze młodzieniec zobaczył ziejący w dziobowej części sterburty kombajnu wielki otwór o poszarpanych brzegach.

- Pocieszające - stwierdził Voth. - Czy te myśliwce też dysponują wyrzutniami rakiet?

- Jeśli się nie mylę, te myśliwce to Warwingi Osiem monoklanu Szaniec - odrzekł Gorol Dziewięć. - Obecnie latające w barwach Sił Gwiezdnych Brolturu...

- Każdy jest uzbrojony w dwa działa pulsacyjne, z których każde strzela podwójną wiązką, mają też najnowszej klasy komory generujące trójwarstwową osłonę - dodał Ysher Dwadzieścia Trzy.

- Oraz tuzin pocisków raketowych Święta Lanca ze zintegrowanym systemem ekspertowym odpowiedzialnym za naprowadzanie - zakończył Dalqa Czterdzieści Dwa.

Kao Czi popatrzył na pilota Yasha.

- O jak miło, mają hobby!

Yash zachichotał. Kilka sekund później pierwszy z brolturańskich myśliwców znalazł się w zasięgu i otworzył ogień.

Dziesięć następnych minut było niczym lot przez piekło, Piekło Niszczycielskich Eksplozji, jak pomyślał sardonicznie Kao Czi, zarezerwowane dla tych, którzy pozwalają się omamić i wykorzystać. Brolturańskie myśliwce przelatywały obok dwójkami i trójkami, zasypując *Viganli* gradem strzałów z dział laserowych i odkrywając, podobnie jak *Herakles*, że osłona kombajnu jest w stanie zatrzymać to wszystko. Potem nadleciały pociski raketowe i dopiero wtedy tak naprawdę zaczęła się zabawa.

Tymczasem skradziony prom, jak na złość, nabrał prędkości i wysforował się nieco do przodu, tak że leciał teraz dwie minuty przed kombajnem, który z trudem dotrzymywał mu tempa.

Brolturańskie myśliwce zaczęły wystrzeliwać szerokie wachlarze pocisków lecących szalonymi zygzakami, co utrudniało trafianie w nie wiązkami z działa laserowego. Mimo pośpiesznie wprowadzonych modyfikacji w technice strzelania, garść rakiet rąbnęła w część dziobową kombajnu, rozwalając trzy ładownie oraz niszcząc jeden z olbrzymich masztów emiterowych. Mostkiem straszliwie trzęsło, ale wszystkim udało się pozostać na miejscach, a Yash głośno jęczał z rozpaczy wywołanej uszkodzeniami, jakich doznawał jego statek.

Viganli zdążył już zejść na niską orbitę nad Darienem, lecz nadal obniżał lot, zbliżając się szybko do termosfery.

- Niech to szepesz, czemu nie zostajemy na orbicie? - spytał Yash.

- Ponieważ nadal pozostajemy pod ostrzałem - odparł Gorol Dziewięć. - A nasz wróg zamierza podjąć próbę lądowania.

Voth zacisnął pięści. Jego wzrok stał się dziki.

- Ale *Viganli* nie ma powierzchni nośnych, suspensorów ani ciągu wektorowanego; to szepeszony kombajn chmurowy, a nie szybowiec! Powiedzieliście, że zamierzacie mi oddać mój statek...

- Taki mieliśmy zamiar, pilocie Yashu, ale intencje naszych wrogów stoją z nim w sprzeczności.

Trafienia rakiet oraz utrata masztu emiterowego osłabiły osłony i teraz wystrzały z dział laserowych docierały aż do poszycia statku, wybijając w nim dziury. Potem myśliwiec, którego rufa została zniszczona przez wyjątkowo celny strzał z działka jonowego na *Viganli*, nadleciał, wirując, odbił się od górnej części kadłuba i rąbnął w nadbudówkę rufową. Potężny wstrząs odrzucił wszystkich do tyłu, zgasły światła i ustało ciążenie pokładowe. Nastąpiła przerażająca chwila nieważkości w nieprzeniknionych ciemnościach, po czym oświetlenie zapaliło się na nowo i grawitacja powróciła.

- Uszkodzenie konstrukcji statku - poinformował głos systemu alarmowego. - Wzrost zewnętrznej temperatury kadłuba... efektywność chłodzenia sześćdziesiąt osiem procent i spada...

- Myśliwce wroga w odwrocie - powiedział Dalqa Czterdzieści Dwa. - Ale wystrzeliły kolejne pociski.

- Prom - odezwał się Gorol Dziewięć. - Instrument, gdzie on jest?

- Już w atmosferze i schodzi coraz niżej - odrzekł Kao Czi. - Jego prędkość spada, wysokość wynosi pięćset dwadzieścia kilometrów i spada, kurs... zakręca w stronę półkuli północnej. Czy to tam znajduje się ta cała krzywstудnia?

- Tak, i kolonia Ludzi też - odparł Gorol Dziewięć.

- Temperatura kadłuba wynosi osiemdziesiąt osiem procent tolerowanej... efektywność chłodzenia pięćdziesiąt jeden procent i spada... - ogłosił syntetyczny głos.

- Jak blisko są te pociski rakietowe? - spytał Gorol Dziewięć.

- Pierwsze trafienia za cztery przecinek siedem minuty - odparł Dalqa Czterdzieści Dwa. - Prawdopodobne miejsca trafień: główne silniki na bakburcie i sterburcie oraz nadbudówka mostka. Prawdopodobieństwo przeżycia: dziewiętnaście procent dla droidów,

osiem procent dla załogi organicznej. Zalecam ewakuację.

- Zgadzam się. Skopiuj współrzędne celu do systemów kapsuły ratunkowej oraz drugiego statku.

- Zrobione - odrzekł Ysher Dwadzieścia Trzy.

- Nie mamy ani chwili do stracenia - powiedział Gorol Dziewięć. - Ja i Ysher Dwadzieścia Trzy weźmiemy twój statek, Gouczy, a ty, pilot Yash i Dalqą Czterdzieści Dwa polecicie łodzią ratunkową kombajnu. Musimy kontynuować pościg; za wszelką cenę trzeba uniemożliwić Instrumentowi dotarcie do krzywstudni.

Potem w szaleńczym pośpiechu pognali w dół do salonu Yasha, skąd drzwi w podłodze i drabina prowadziły na dół do łodzi ratunkowej. Zatrzymali się na chwilę, żeby Voth mógł załadować pozornie losowo wybrane przedmioty do okropnie brudnej workowatej torby na ramię, po czym prędko zbiegli do łodzi. Mamrocząc niezrozumiałe vothijskie przekleństwa, Yash zapiął pasy, trzymając torbę między kościstymi kolanami; Kao Czi zajął miejsce jako drugi, a Dalqą Czterdzieści Dwa, który zszedł ostatni, zamknął i zahermetyzował właz.

Kao Czi usłyszał stłumiony huk z tyłu, wewnątrz kombajnu, i poczuł, że łódź zadygotała. Potem nastąpiła seria głośnych metalicznych łupnięć, kapsuła zakołysała się i zaczęła spadać tak gwałtownie, że żołądek nagle podjechał mu do gardła. Bez wątpienia odłączyli się od *Viganli*. Chwilę później usłyszał piskliwy wizg kilku serwomotorów i wróciło ciężenie, a potem pojawiło się kołysanie boczne wraz z rozlegającym się od czasu do czasu niskim bzyczeniem.

- Powierzchnie nośne skrzydeł uruchomione - zameldował droid Dalqą Czterdzieści Dwa. - Odrzutowe silniki manewrowe funkcjonują normalnie, system naprowadzania sprawny. Czas do lądowania, około siedem przecinek pięć minut.

Kao Czi skinął głową.

- Pilocie Yashu, czy można stąd jakoś wyrzeć na zewnątrz?

- Dopiero kiedy zejdziemy poniżej czterech tysięcy *meoli*. - Voth popatrzył na niego spode łba. - I nie próbuj się do mnie odzywać, ludzki szepszu! To z twojej winy straciłem szepszony statek! - Potem odwrócił wzrok.

- Tak, masz rację - zgodził się z westchnieniem Kao Czi, po czym usiadł wygodniej, zamieniając w myślach wysokość podaną w *meolach* na około siedmiuset sześćdziesięciu metrów.

Minuty upływały powoli. Kapsuła ratunkowa często dygotała i kołysała się wskutek turbulencji atmosferycznych - pogoda była kiepska, jak wyjaśnił droid. W piątej minucie nad ich głowami zadźwięczał brzęczyk i Voth bez słowa sięgnął w górę, żeby wcisnąć guzik. Po

obu stronach dzioba kapsuły odsunęły się małe trójkątne panele, odsłaniając okienka - widać było przez nie głównie umykającą szybko szarość chmur, ale od czasu do czasu udawało się dostrzec także krajobrazy daleko w dole, góry i doliny, zielone plamy gęstych lasów.

Darien, pomyślał Kao Czi. Nareszcie.

- Droidy Gorol Dziewięć i Ysher Dwadzieścia Trzy wylądowały wcześniej niż prom Instrumentu i napotkały zbrojny opór - powiedział nagle Dalqa Czterdzieści Dwa.

- Wcześniej? - spytał Kao Czi. - Jakim cudem?

- Warunki pogodowe... zaczekaj... - Dalqa Czterdzieści Dwa milczał przez chwilę czy dwie, po czym kontynuował: - Statek adwersarza właśnie nadleciał, lecz rozbił się o formacje skalne niedaleko miejsca, gdzie znajduje się krzywstудnia, głębokiej jaskini pod skalistym wzniesieniem... Gorol Dziewięć donosi, że wyczuwają obecność Instrumentu i radzi nam, byśmy się przygotowali.

- Przygotowali do czego? - spytał Voth.

- Do walki, pilocie Yash - odrzekł Dalqa Czterdzieści Dwa.

- To nie moja walka, droidzie - stwierdził Yash.- Ci, których za chwilę spotkamy, założą, że i owszem, i dostosują swoje postępowanie do tego założenia. Aby zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu, Gorol Dziewięć i ja zamienimy się teraz miejscami...

Kao Czi i Yash wymienili zdeorientowane spojrzenia, gdy droid zamilkł i znieruchomiał. Po sekundzie czy dwóch znowu zaczął się poruszać, omiatając spojrzeniem wnętrze łodzi oraz jej pasażerów.

- Człowieku Gouczy i pilocie Yash, muszę powiedzieć, że przyjemnie jest znów się znaleźć w waszym towarzystwie. Słuchajcie, już tylko sekundy dzielą nas od...

Łodzią ratunkową szarpnęło do góry, a potem, jak się zdawało, zaczęła znowu opadać, przechylając się w skrajnie.

- Czasza regulowanego spadochronu otwarta; dzięki sygnałowi namierzenia wylądujemy w granicach pięciu metrów od lokalizacji krzywstудni. Przygotujcie się na...

Przez okienko Kao Czi widział zamazane plamy krajobrazu, który obracał się pod nimi, a potem nagle przechylił się i zaczął pędzić, raptownie się przybliżając, rosnąc...

- ...twarde lądowanie...

Łódź zanurkowała w jezioro cienia i opadła gwałtownie, po czym rąbnęła w coś i odskoczyła w prawo. Kao Czi i Yash wrzasnęli jednym głosem, a kapsuła zjechała w przód, stopniowo zniżając lot, aż wylądowała z głuchym łomotem. Nie czekając, aż łódź znieruchomieje, Gorol Dziewięć szarpnął uchwyt zwalniający pokrywę wjazdu i zaokrąglony fragment kadłuba się otworzył. Kao Czi natychmiast wciągnął w płuca zimne, wilgotne

powietrze, przesycone zapachami żywej przyrody...

Gorol Dziewięć pomógł im obu wysiąść. Znajdowali się u stóp jakiegoś wykopaliska o pionowych ścianach obudowanych żebrowanymi rusztowaniami pod warstwą płacht, a w górze rozciągało się szare wieczorne niebo, z którego kropiło. Kao Czi stał tak przez sekundę, czując na twarzy wilgoć deszczu i rozkoszując się tym doznaniem...

- Instrument jest tutaj - powiedział Gorol Dziewięć. - Głębiej w środku...

Z drzwi przy końcu wąskiego wykopu dobiegł odgłos strzałów i droid ruszył śpiesznie w tamtą stronę. Kao Czi zawahał się, ale Yash wyjął ze swojej torby lśniący niebieski pistolet laserowy i podał mu.

Za drzwiami ciąg schodów prowadził w dół do lodowatej komory, gdzie ustawione na posadzce złociste lampy rzucały ostre cienie na ścianę z trojgiem drzwi. Były tu też cztery ciemne, szkliste kolumny oraz skulone kształty leżących bez ruchu istot - siedmiu roślących humanoidów, Sendrukan, jak odgadł młodzieniec. Wokół trojga drzwi rozciągała się pokryta płaskorzeźbami ściana, i droid bez wahania rzucił się naprzód przez jedyne, które były otwarte.

Za nimi leżało więcej ciał, na skraju olbrzymiej kolistej komory, wokół której biegł niski mur wytyczający coś w rodzaju chodnika wzdłuż ściany. Wzdłuż mniej więcej jednej czwartej długości tego muru rozstawiono kilka niedużych lamp, dzięki czemu Kao Czi był w stanie dostrzec część zawikłanych wzorów, symboli i figur wyrzeźbionych w kamiennej posadzce tej komory. Czy temu miały służyć wszystkie oszustwa, pościg, tyle zniszczenia i śmierci? Czy to właśnie była krzywstудnia?

Z tyłu rozległy się kolejne wystrzały i Yash podniósł swoje działko plazmowe.

- Będę obstawiał te drzwi, a ty idź za naszym kumplem droidem, pilnuj, żeby się nie wpakował w kłopoty. Jest mi winien statek!

Kao Czi skinął głową i ruszył prędko chodnikiem. Przed sobą był w stanie rozróżnić patykowatą sylwetkę Gorola Dziewięć (w którego ciele wcześniej rezydował Dalqa Czterdzieści Dwa), śpieszącego długimi krokami za lśniącym błękitnym obiektem, który kierował się ku środkowi kamiennej posadzki. Idąc, młodzieniec zobaczył, że ten błękitny kształt jest dziwnym artefaktem przypominającym fragment długiego segmentowanego odnoża, czy też macki. Maszyna-cyborg. Gdy się zatrzymała, Gorol Dziewięć ruszył susami w jej stronę. Kao Czi, nie myśląc, przestąpił niski mur i zaczął biec w stronę droida, zaledwie świadom srebrnych, nitkowatych rozbłysków, zapalających się na posadzce pod jego stopami.

- Głupcy, którzy gnają ku śmierci - rzekł Drazuma-Ha* tonem, który odbił się w pomieszczeniu przenikliwymi echemi - nie powinni doznać rozczarowania.

Snop bursztynowej energii wystrzelił naprzód, owinał się wokół smukłego torsu Gorola Dziewięć i przyciągnął go. Potem bursztynowe ostrze odcięło nogi droida, a Kao Czi, z sercem wypełnionym wściekłością, podniósł pistolet laserowy i zaczął strzelać.

- Nawet gdyby udało ci się przebić moją wybornie zaprojektowaną tarczę siłową - powiedział Drazuma-Ha* - ta żalosna broń z trudem byłaby w stanie pozostawić ślady na mojej powłoce. Przyznaj, że przegrałeś, Człowieku, potwierdź przyrodzoną słabość twego niewzmocnionego technologią ciała.

Cyborg mówił prawdę: w zetknięciu z jego błękitną aurą strzały z laserowego pistoletu rozsypywały się w nieszkodliwych błyskach i iskrach. Młodzieniec opuścił z goryczą broń, zwolnił kroku, potem zatrzymał się i padł na kolana.

- Nie masz nic do przyznawania tej okaleczonej hybrydzie, Gouczy - odezwał się Gorol Dziewięć, nadal przytrzymywany przez cyborga przy rzeźbionej kamiennej powierzchni. - Niczego nie musisz się wstydić.

- Tako rzecz maszyną - odparł stwór Legionu. - Dobrze, posłuszne urządzenie, zaledwie jedno spośród małej hordy nakręcanego złomu, którą dowodzi Konstruktor. Słuchaj uważnie, Człowieku - ta maszyna, to mechaniczne ustrojstwo, nigdy nie doświadczy cudu konwergencji, połączenia czystej esencji życia oraz technologii idealnie zaadaptowanej do tego, żeby urzeczywistnić tego życia najwyższą ambicję. Och, maszyny można uczynić niezmiernie złożonymi i sprawić, żeby imitowały permutacje prawdziwego rozumu, lecz zawsze pozostaną zależne od szczegółowej macierzy komend, stanowiąc jedynie suchą, pustą drwinę z żyjących istot rozumnych.

- Jesteś wytworem techniki - odrzekł Gorol Dziewięć. - Twoja tak wychwalana konwergencja z technologią to nic innego, jak desperacka potrzeba ucieczki przed bólami ciała, przed entropią ciała i końcem ciała. A ty? Jesteś w zasadzie niczym więcej jak odciętym fragmentem, który zyskał samodzielną egzystencję tylko dlatego, że jego rodzic, Rycerz, potrzebował narzędzia...

- Kłamco! Moja esencja, fundament mojego istnienia jest organiczny, a źródłem mojego rozumu jest czystość konwergencji...

WYKRYTO OBECNOŚĆ INTRUZÓW!

Kao Czi niemal struchlał, tak przerażająco głośnym grzmotem rozbrzmiał głos, który jakby się wydobywał spod kamiennej posadzki. W tej samej sekundzie młodzieniec ujrzał, jak wyrzeźbione na niej skomplikowane wzory ożywają pajęczą siecią świecących nitek, emanujących dziwną, krystaliczną jasnością.

- Ach, oto budzi się istota stróżująca - powiedział Drazuma-Ha*.

NALEŻYSZ DO LEGIONU, INTRUZIE - TWOJA OBECNOŚĆ W TYM MIEJSCU JEST NIEDOPUSZCZALNA. MUSISZ ZOSTAĆ WYKASOWANY.

- Właśnie tak, maszyno. Bądź posłuszna niezmiennym schematom twoich odpowiedzi. Wyzwól twą moc, otwórz wrota!

- Strażniku, jestem Gorol Dziewięć z przedniej straży Konstruktu. Powstrzymaj się przed użyciem twoich mocy przeciwko intruzowi z Legionu; wykorzysta je przeciwko tobie.

POZNAJĘ CIĘ, GOROLU DZIEWIĘĆ, ALE NIE MASZ PRAWA WYDAWAĆ MI ROZKAZÓW. ZAGROŻENIE JEST EWIDENTNE I MUSI ZOSTAĆ WYKASOWANE.

W poczuciu bezradności Kao Czi raz jeszcze podniósł pistolet, po czym zgarbił się i osunął do tyłu, a do oczu napłynęły mu łzy bezsilnego gniewu. Jakże nienawidził tego maszyno-stwora!

- To świetnie, że dostrzegasz beznadziejność twojej sytuacji, Człowieku - rzekł Drazuma-Ha*. - Wprawdzie pojedynczo jesteście słabi, lecz dla waszego gatunku istnieje nadzieja: wielu poczyniło już pierwsze kroki na ścieżce ku konwergencji, a kiedy Legion odzyska należną mu władzę, pomożemy im kontynuować tę wspaniałą podróż.

- Zdradziłeś mnie - rzucił Kao Czi. - Ufałem ci!

- Potraktuj to jak nauzkę - odrzekł twór Legionu i wystrzelił snop bursztynowej energii, wytrącając młodzieńcowi pistolet z ręki, a następnie chwycił go za gardło i powłókł ku sobie.

Równocześnie krystaliczna jasność bijąca od wzorów krzywostudni zaczęła pulsować, oświetlając sklepienie i ściany.

INTRUZ Z LEGIONU JEST EWIDENTNYM ZAGROŻENIEM I ZOSTANIE WYKASOWANY. WSZYSCY POZOSTALI MUSZĄ OPUŚCIĆ TO MIEJSCE - NATYCHMIAST!

- A wy dwaj będziecie mi towarzyszyć w godzinie mego triumfu, lecz tylko jako równi mi...

Z aury energetycznej Instrumentu uformowało się bursztynowe ostrze i Kao Czi zaczął krzyczeć w zgrozie, szamocząc się, gdy zatoczyło ono łuk w kierunku jego własnych nóg.

Droid Gorol Dziewięć zainterweniował. Jego metalowa ręka wystrzeliła do przodu, a szponiasta dłoń rąbnęła prosto w Drazumę-Ha*, zderzając się z jego aurą pola siłowego i wczepiając się w niego. Zarówno więzy, jak i ostrza skurczyły się i zniknęły, a pole zamigotało pasmami zakłóceń i zgasło. Kao Czi pośpiesznie chwycił z posadzki swój pistolet laserowy, po czym z satysfakcją wycelował w maszyno-stwora Legionu, który leżał teraz na boku: nieruchoma, odcięta stalowa macka.

- Twoja broń jest bezużyteczna, Gouczy. Użyj urządzenia neuroblokującego, które masz w kieszeni, użyj go, żeby unieruchomić wroga. Szybko! Mamy ledwie sekundy, zanim on się ocknie...

Urządzenie neuroblokujące? Pośpiesznie przeszukawszy kieszenie, znalazł... oczywiście, neurobloker, którym potraktował go Kompozycjonista Henach na statku Chaurixan! Ufając radzie Gorola Dziewięć, skoczył na Instrument Legionu, który właśnie zaczynał się podnosić. Kao Czi jedną ręką chwycił cyborga wpół, a drugą ujął neurobloker i wcisnął go z rozmachem w szczelinę między dwoma przegubowo połączonymi segmentami stwora. W pancerzu istoty otworzył się panel i na młodzieńca zamachnęło się ramię zakończone jakimś narzędziem. Opędzając się odeń ręką z pistoletem, był zmuszony przygnieść maszynostwora Legionu całym ciałem, raz za razem desperacko wpychając elastyczne ramiona neuroblokera w szczelinę stawu, modląc się, by urządzenie w końcu zadziało.

- Zdrajco! Zdradziłeś życie... dopomagając... martwym maszynom...

- Mam swój honor - odrzekł Kao Czi, zaciskając zęby, bo okropnie bolała go dłoń, rozcięta przez zakończone narzędziem ramię. - Oraz satysfakcję płynącą ze świadomości, że już po tobie...

Migocząca aura zgasła i nagle zdał sobie sprawę, że mówi do martwej bryły mechanizmów.

Wszędzie wokół jaśniały warstwy świetlistych woali, ledwo widoczne dla jego oczu, tak przeraźliwie był wyczerpany. Gdzieś w górze huczał głos Strażnika krzywstudni, prowadzącego dialog z Gorolem Dziewięć. Pilot Yash był tuż obok, potrząsał Kao Cziego za ramię, mówiąc, że wkrótce odnajdzie ich tu oddział brolturańskiego wojska. Młodzieniec spróbował usiąść, ale tylko przewrócił się na plecy, gapiąc się na sklepienie komory; język miał sparaliżowany, kończyny zdrętwiałe, a ciało równie zimne, jak mroźna jasność, która zalała go niczym fale przypływu.

Ani na chwilę nie stracił przytomności. Wszystko doń docierało i miał poczucie pełnego kontaktu z rzeczywistością, choć obrazy tańczyły i wirowały wokół niego jak we śnie: matka i ojciec żegnający się z nim w doku w Agmedra'a, Roug Tumakri jadący wraz z nim w dziwnym inteligentnym wózku na stacji Czarne Gniazdo... potem miejsce Tumakriego w ciasnym wnętrzu pojazdu zajął chaurixański chirurg, Kompozycjonista Henach, mówiący: „Ach, nieskażony ludzki mózg: cóż za niezwykle materiał dla konwergencji...”. Potem wózek zakręcił i pomknął w głąb ciemnego korytarza pełnego rozchwianych cieni oraz, co zadziwiające w przypadku stacji kosmicznej, woni żywych roślin. Były tam też znajome głosy oraz poświata. Otworzywszy oczy, Kao Czi uświadomił sobie, że leży na plecach,

uniósł głowę... i z miejsca tego pożałował, bo skronie ścisnął mu ból.

- I jak tam, Człowieku, wróciłeś do nas?

Voth siedział na zwałonym pniu obok stożkowej lampy rzucającej ciepłe żółte światło. O kłodę opierał się okaleczony Gorol Dziewięć, który obserwował młodzieńca.

- Instrument Legionu w desperackiej samoobronie wprowadził do twojego organizmu truciznę - powiedział droid. - Na szczęście, pilot Yash miał w swojej dużej torbie zestaw infuzyjny i odtrutki na toksyny, dzięki czemu doświadczyłeś jedynie skutków psychoaktywnych...

Yash uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Słyszałem, że to niezły haj...

Kao Czi rozejrzył się; siedzieli w kotlince pośrodku mrocznego lasu, pod głazem, z którego zwieszały się brody mchu i traw i kapą z nich woda. Była noc i padał deszcz, szepcząc w koronach drzew, widocznych jako niewyraźne zarysy; liście szeleściły, od czasu do czasu silniejszy podmuch wiatru poruszał gałęziami. Młodzieniec wyczuwał i smakował wonie ogromu biomasy. Zadrżał tyleż z zimna, co z podniecenia - to był Darien, żyjąca planeta, o równie wspaniałej dziewiczej przyrodzie, jak niegdyś Pyre.

- Jak... - Przerwał, żeby zakaszleć. - Jakim cudem udało nam się uciec?

- Ponieważ bezpośrednie zagrożenie zostało zlikwidowane, Strażnik studni łaskawie zgodził się przenieść nas daleko od Brolturan, choć najpierw musiał się upewnić, że jest to zgodne z ogólnym duchem wcześniejszych rozkazów - odrzekł Gorol Dziewięć. - Pozostałości Instrumentu zostały posłane Konstruktorowi.

- Szepszony maszynowy umysł - wmieszał się Yash. - Mój bank ma filię na Yonok; czemu nie mógł mnie wysłać tam?

- Więc gdzie teraz jesteśmy? - spytał Kao Czi.

- Nieco ponad dwadzieścia siedem kilometrów na zachód od Hammergardu - odezwał się ktoś w pobliżu.

Podniósłszy wzrok, młodzieniec ujrzał dwóch mężczyzn schodzących po zboczku nieco w bok od urwiska; jeden był niski i żylasty, o czuprynie koloru piasku, drugi zaś wyższy i ciemnowłosy. Kao Czi poznał, że to Europejczycy, o tych szeroko otwartych, wiecznie zaskoczonych oczach, które dotąd widywał jedynie na zdjęciach i filmach z archiwum *Retrybutora*. I jeden, i drugi miał na policzku przyklejony niebieski plaster, z którego wystawał czulek mikrofonu.

- Witam was, Człowieku Cameronie i Człowieku McGrainie - powiedział Gorol Dziewięć, po czym zwrócił się do Kao Cziego: - Sporządziłem dla nich małe tłumaczniki,

żebyśmy mogli się nawzajem rozumieć.

- Bardzo sprytnie tydzie gadzeczki - powiedział wyższy z dwóch przybyszów; nanotranslator Kao Cziego bez problemu radził sobie z jego dziwnym angielskim dialektem. - Ale cieszę się, że doszedłeś już do siebie. Kiedy zjawiliśmy się tu z Rorem godzinę temu, byłeś jeszcze we władzy tego narkotyku...

- Kompletnie nieprzytomny - zawtórował z szerokim uśmiechem drugi mężczyzna.

- Aha, to jest Rory McGrain, a ja jestem Greg Cameron - podjął pierwszy.

Kao Czi skinął im uprzejmie głową.

- To dla mnie zaszczyt was poznać. Ale skąd wiedzieliście, gdzie nas szukać?

- No cóż, jeden z naszych sojuszników jest dość blisko skumpłowany ze Strażnikiem krzywstuden - odrzekł człowiek nazwiskiem Cameron. - Nie umiał powiedzieć nic więcej ponad to, że mamy się jak najszybciej zjawić w tym miejscu, a kiedy przybyliśmy, twoi przyjaciele opowiedzieli nam w szczegółach, co się stało na Ramieniu Olbrzyma i czego dokonali. - Pokręcił głową. - Niewiarygodne, po prostu niewiarygodne. Ale żaden z nich nie wie, jakim sposobem zetknąłeś się z tym cyberstwowem z Legionu ani skąd pochodzisz.

Kao Czi westchnął po czym dźwignął się na nogi, ignorując ból głowy.

- Dostojni panowie, moja historia jest bardziej zagmatwana i poplątana niżli miska makaronu. Ale przede wszystkim pozwólcie, że przedstawię się jak należy: nazywam się Kao Czi i pochodzę z Gromady Ludzi z Agmedra'a, a moi przodkowie opuścili Ziemię sto pięćdziesiąt lat temu, uciekając przed inwazją Roju...

Dwaj mężczyźni słuchali w osłupieniu, gdy opowiadał im o pięknym świecie, gdzie wylądowała *Tenebrosa*, o kolonii założonej przez jego pradziadów, o najemnikach Hegemonii i poszukiwaczach bogactw naturalnych, którzy spustoszyli planetę, o desperackiej ucieczce połowy kolonii, przybyciu do orbitalnego miasta Rougów, Agmedra'a, oraz o kontrakcie, który podpisali, zobowiązując się do zachowania tajemnicy. Kiedy opowiadał o przejmującej tragedii swego ludu, głos mu drżał, a twarze Darińczyków przybrały posępny wyraz.

- Potem nadeszła wieść o tym, że odkryto wasz świat, i z inicjatywy Rougów zostałem wysłany, by was odnaleźć, spotkać się z waszymi przywódcami i ostrzec ich przed Hegemonią. Co najważniejsze, miałem poprosić o pozwolenie na to, by moi pobratymcy mogli tu przybyć i się osiedlić, stając się częścią waszej społeczności. Teraz jednak odkryłem, że Hegemonia i jej brolturańscy wasale przejęli kontrolę nad waszym światem, który kryje sekret przywabiający tu agentów starożytnego wroga. - Potrząsnął głową. - Fakt, że Ziemia dobrowolnie stała się sojusznikiem Hegemonii, jest z tego wszystkiego prawie najgorszy.

Wolność dla obu naszych narodów wydaje się płonną nadzieją.

- Nie trać nadziei, Kao Czi - odrzekł Cameron. - Czekają nas trudne zmagania, nie chcę nawet myśleć o tym, ile ich będzie, ale zaledwie wczoraj pewien mieszkaniec Dariena malowniczo dokopał Brolturanom, i to, wraz z twoim zdumiewającym zwycięstwem - zwycięstwem was trzech - sprawia, że widzę sprawy w nieco jaśniejszym świetle. Mamy przed sobą gigantyczne zadanie oraz niezliczoną liczbę potężnych i brutalnych wrogów, ale jeśli my nie podejmiemy z nimi walki, kto to zrobi? - Zerknął na droida Konstruktu, Gorola Dziewięć. - A niekiedy pomoc potrafi nadejść z najbardziej nieoczekiwanej strony... - Powrócił wzrokiem do Kao Cziego. - Ty zaś jesteś ostatnim, czego mógłbym się spodziewać! Sama świadomość, że twój lud, koloniści z *Tenebrosy*, przetrwał wszystkie te nieszczęścia i pragnie przybyć tutaj, żeby do nas dołączyć - to daje mi nadzieję i siłę!

Wyciągnął rękę.

- Kao Czi, witaj na Darienie.

Młodzieniec przez krótką chwilę wpatrywał się w tego człowieka o nazwisku Cameron, zastanawiając się, czy coś jeszcze kryje się za przyjaznym uśmiechem, szczerymi brązowymi oczyma oraz pozorną prawością. Potem zmiękł, podejmując decyzję, że zaufa Gregowi Cameronowi. Dzisiaj.

- Dziękuję, panie Cameron.

I uścisnęli sobie ręce, a ich uśmiechy zmieniły się z uprzejmych w szerokie i radosne.

*Epilog**Robert*

Przebudzenie było powolnym wznoszeniem się. Wyplął powoli z czarnego zapomnienia, bez miejsca, bez dźwięków i bez obrazów, które stopniowo rozplynęło się, ustępując miejsca zamazanemu szaremu oceanowi, leniwej mieliźnie snu. Czuł się tak, jakby brodził z trudem w gęstym błocie, usiłując dobrnąć do brzegu, a im lżej było mu iść, tym więcej rzeczy sobie przypominał... rzeczy, twarze, miejsca, koszmarnie spotkania. Chciał uciec od tych groteskowych wizji, lecz one frunęły w ślad za nim, a jedna złapała go za ramię, zamknęła je w lodowatym uścisku, mrozącym do samych kości...

Nagle zorientował się, że ma otwarte oczy i że leży na boku na wygodnym łóżku, w pokoju pełnym dziennego światła - chłodnej różowości świtu. W powietrzu unosił się ślad słodkiej woni, jakby kwiatów, i Robert przez sekundę wyobrażał sobie, że znajduje się w swoim domu jednorodzinym na przedmieściach Bonn. Wiedział jednak, że nie ma możliwości, by tam był, bo przecież jeszcze niedawno przebywał na Darienie.

- Dzień dobry, Robercie Horst. Jak się czujesz?

Głos brzmiał cokolwiek androgynicznie, nie był ani wysoki, ani niski i brakowało mu ekspresyjnych wyższych oraz niższych tonów. Dobiał od strony nóg łóżka, a kiedy Robert odsunął cienki pled i usiadł, zobaczył dziwną postać odzianą w ciemnoniebieskie szaty, której cała twarz była skryta za czymś wyglądającym jak archaiczna, blada maska. Kiedy jednak istota przemówiła, blade wargi maski poruszyły się.

- Jestem proksymalem Konstruktu; kiedy konwersujesz ze mną, konwersujesz z Konstruktem.

- Dlaczego Konstrukt nie przybędzie do mnie osobiście? - spytał Robert.

- Konstrukt jest sfabrykowanym bytem. Ośrodki jego sztucznej świadomości, inteligencji oraz zdolności poznawczych wchodzą ze sobą w interakcje na wielu poziomach, lecz ich fizyczne manifestacje mają określone granice.

- Zatem reprezentujesz Konstrukt. Czy to jest twój prawdziwy wygląd?

- Nie, Robercie Horst; ta powierzchowność została przyjęta, żebyś czuł się mniej wyobcowany. Czy wolałbyś, abym ukazał ci moją faktyczną postać?

- Tak, byłbym wdzięczny.

Proksymal sięgnął w górę i ściągnął masko-głowę, po czym szarpnięciem uwolnił się od niebieskich szat i złożył wszystko w małe zawiniątko. W swej prawdziwej postaci był metalowy i patykowaty: miał smukły tors w kształcie wydłużonej klepsydry, proste ręce i nogi w kształcie prętów oraz głowę będącą wąskim walcem o zaokrąglonym czubku. Jedne z jego chromopodobnych powierzchni były pokryte dziwnymi grawerowanymi wzorami w kształcie figur geometrycznych, inne - ozdobione kwadratami o wyraźnej fakturze, przypominającymi aluminium, polerowane złoto, mleczne szkło lub obsydian, a przezroczyste partie odbijały światła i zarysy pomieszczenia.

- A więc, Robercie Horst, jak się czujesz?

- Właściwie to czuję się bardzo dobrze. - Mówił prawdę; był rozbudzony, przytomny i nic go nie bolało, choć zarazem nieobecność Harry'ego doskwierała mu równie wyraźnie, jak brakujący ząb.

- Wyśmienicie, Robercie Horst - proces leczenia okazał się skuteczny. W czasie męskiej walki, jaką stoczyłeś z wermaksami, zostałeś poważnie ranny. Kontakt z ostrzem *kezeq* spowodował u ciebie uszkodzenia ciała grożące obumarciem centralnego układu nerwowego, stąd nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko podjąć radykalne kroki. Aby twoje ciało mogło zregenerować utracone tkanki, wprowadziliśmy twoją esencję entropiczną w stan zawieszenia, przywróciliśmy ci zdrowie, a potem cofnęliśmy zegar biologiczny w twoich komórkach.

Robert skinął głową.

- Gdybyś był łaskaw wyjaśnić, co dokładnie masz na myśli...

- Oczywiście. - Błyszcząca metalowa ręka podsunęła mu małe, owalne lustro. - Fizycznie jesteś teraz dwadzieścia lat młodszy niż byłeś.

Oszołomiony Robert popatrzył w lustro i ujrzał gładką skórę, jasne włosy pozbawione jeszcze oznak siwizny (i zaczynające z powrotem zarastać łysinę na czole). Oczy spoglądały czujniej i częściowo powróciła ich dawna przenikliwość, lecz nadal widział w nich cień, który pozostawiła śmierć Rosy, ślady cierpienia, które prawdopodobnie nigdy już nie miały zniknąć. Potem zmarszczył brwi.

- Jestem wam bardzo wdzięczny za pomoc, za to wszystko - powiedział. - Ale nie mogę się oprzeć myśli, że wiąże się z tym cena.

- Jesteś nadzwyczaj domyślny. - Proksymal zawiesił głos. - Przybyłeś w krytycznym momencie, kiedy konieczne stało się podjęcie decyzji dotyczących sytuacji, która rozwija się już od jakiegoś czasu. Próba jej streszczenia oznaczałaby pominięcie kluczowych szczegółów, ale powinieneś znać przynajmniej ogólne tło, więc spróbuję przedstawić

zagadnienie w skrócie. Jak już być może wiesz, hiperprzestrzeń ma wiele poziomów i sędzę, że teraz zdajesz sobie sprawę, że te poziomy sięgają o wiele głębiej w dół, niż podejrzewałeś i niż podejrzewają Sendrukanie. Są to pozostałości starszych wszechświatów, osłabione, wydrenowane, zniszczone wskutek głupoty czy wręcz brutalnie splądrowane. Ilekroć jakiś wszechświat umiera, gdzie indziej rodzi się następny, a jego narodziny wysysają z poprzednika energie, siły oraz membrany materio-macierzy, tak że wszystko to ulega przemieszaniu we wspaniałym wybuchu nowości i tworzenia. Trup starego wszechświata tonie, by dołączyć do sprasowanych warstw jeszcze starszych wszechświatów, gdzie ocalałe istoty z trudem wiodą dziwną i zawikłaną egzystencję. Na przestrzeni wieków dochodziło do wielu wojen, lecz w ostatnim czasie miały miejsce dziwne wydarzenia: zniknięcie pewnych ras, które przetrwały dawne katastrofy, pojawienie się innych, od dawna uważanych za wymarłe, zbrojne najazdy na spokojne tereny, a w tle nieustające, coraz częstsze, pozbawione przyczyny i niemal losowe akty przemocy. Mam swoje podejrzania, związane głównie z niedobitkami Legionu Awatarów, bezlitosnego wroga, który najechał galaktykę Przodków sto tysięcy ludzkich lat temu, nawet jeśli głębokość, na jakiej zostali uwięzieni, powinna im uniemożliwić jakiegokolwiek próby powrotu na wyższe poziomy. Pragnę zatem wysłać emisariusza, który podjąłby pertraktacje ze starożytną i potężną istotą rozumną znaną jako Bożyglów, rezydującą we własnym ustronnym zakątku hiperprzestrzeni, głębszym niż więzienie Legionu, lecz położonym w zupełnie innym rejonie. Istota ta prawie na pewno będzie w posiadaniu kluczowych informacji na temat innych mieszkańców oraz szczątkowych gatunków zamieszkujących niższe poziomy, lecz nie zgodzi się nawiązać dialogu z jakąkolwiek sztuczną formą życia, a jedynie z organicznymi, i właśnie dlatego znalazłeś się tutaj - poprosiłem Strażnika krzywstudni, by przysłał mi Uvovo lub Człowieka, Strażnik zaś wybrał ciebie. Niestety, gdy wysyła się kogoś w podróż przez krzywstudnię w kierunku pionowym, trudno jest oszacować odległość, dlatego wyłoniłeś się w pobliżu litosfery Abfagul w kamiennej warstwie Teziyi.

Robert miał poczucie, że powinien być rozgniewany w związku z tym, że go porwano, wiedział jednak, iż alternatywa byłaby nadzwyczaj nieprzyjemna. Obecna sytuacja, łącznie z nieoczekiwanym odmłodzeniem, bezsprzecznie miała swoje pozytywne strony, więc postanowił, że poważnie rozważy propozycję, którą złożył mu proksymal.

- Co się stało z moją SI towarzyszącą? - zapytał. - Mam implant...

- Przykro mi, Robercie Horst, ale usunęliśmy twojego towarzysza. Te sfabrykowane byty są ściśle powiązane z hiperrdzeniem SI Hegemonii, który rezyduje na pierwszym poziomie hiperprzestrzeni - są z samej swej natury niegodne zaufania. Jednakże

zrestrukturyzowałem jego imperatywy, nałożyłem nowe ograniczenia, a potem puściłem go wolno w głąb hipernetu.

Proksymal płynnie ruszył w stronę drzwi.

- Zdaję sobie sprawę, że to bardzo duża liczba informacji do przetrawienia, dlatego też postarałem się o nowego towarzysza dla ciebie, a dokładniej towarzyszkę. Będzie ona w stanie odpowiedzieć na twoje pytania oraz dopomóc ci w przystosowaniu się do sytuacji.

Proksymal wyszedł z pomieszczenia, zanim Robert zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Westchnął, zastanawiając się, kim jest ta „ona”, i zagapił się na swoje odbicie w lustrze. Potem usłyszał zbliżające się kroki i, podniósłszy wzrok, ujrzał, że do pokoju wchodzi Rosa.

- Ojej, tato, nie otworzył okna? Pozwól, że ja to zrobię - musisz zobaczyć Ogród.

- Rosa, ty jesteś... jakim cudem...

Potem doznał olśnienia. Jeśli Konstruktor ofiarował wolność Harry'emu, jego SI, to czyż nie mógł zrobić tego samego dla Rosy z intersymu?

- Czy jesteś... symulacją? - spytał lekko zawstydzony.

Uśmiechnęła się.

- Zgadza się. Konstruktor kazał sporządzić dla mnie tę syntetyczną formę i ofiarował mi pełną autonomię, jak również subimperatywy empatii i ciekawości. - Otworzyła okiennice na oścież. - Tato, patrz! Czyż to nie wspaniałe?

Wyjrzał i zobaczył w dole niewiarygodnie skomplikowane, obniżające się poziomy kamienne oraz metalowe tarasów i dachów, a wśród nich ulokowane w niszach ogrody, małe sady, wiele pojedynczych drzew, nawet kilka szklarni. Wystające na zewnątrz w nieregularnych odstępach metalowe wiadukty oraz kładki prowadziły do skupisk podobnych budynków, które po prostu wisiały w powietrzu, a szersze, niżej położone arterie wiodły do większych aglomeracji mieszkalnych. Gdziekolwiek Robert spoglądał, wszędzie widział maszyny o najróżniejszych funkcjach i typach konstrukcji, tak że zaczął się zastanawiać, czy te budynki są może nie tyle mieszkaniami, ile krytymi parkingami lub warsztatami napraw.

- Masz rację, Rosa - rzekł. - To wspaniałe i przedziwne miejsce.

- To jest Ogród Maszyn, coś w rodzaju sanktuarium, przystań dla SI i dla rozumnych maszyn, miejsce odnowy i napraw. Jest to także siedziba Konstruktoru oraz domostwo wszystkich jego wyznawców i sług. Gdybyś mógł obejrzeć to miejsce od zewnątrz, stojąc tam z tyłu, wyglądałoby jak wielka góra na zawieszanej w powietrzu wysepce, mającej budynki i chodniki również po spodniej stronie... och, ale kiedy wrócimy, będziemy mieć mnóstwo czasu na zwiedzanie.

- Kiedy wrócimy?

- Z twojej misji mającej na celu podjęcie dialogu z Bożyglówem, tato!

- Ale ja nie... no cóż, wciąż jeszcze rozmyślam nad szczegółami.

- Och, ale Konstrukt wyjaśnił mi to wszystko i sprawa jest bardzo prosta. Jeśli ty się nie zgodzisz, Konstrukt będzie musiał wysłać zamiast ciebie jedną ze swoich istot semiorganicznych, którą Bożyglów może całkowicie zignorować. Proszę, tato, powiedz, że wyruszysz na tę misję. Proszę.

Wiedział, kiedy ustąpić, zwłaszcza wobec podejrzenia, że osobą, która zostanie poproszona o wyruszenie zamiast niego, może być Rosa. Ten cały Konstrukt wie, jak zmusić kogoś do czegoś, nie wywierając jawnego nacisku.

- W porządku - powiedział. - Wyruszę.

Uszczęśliwiona, mocno ścisnęła jego ramię.

- To będzie ekscytujące, tato; ekscytująca przygoda!

Julia

Na pokładzie *Deukaliona*, szalupy *Heraklesa*, aktualnie lecącej do Wolnego Portu Baramu, Julia Bryce wstała od stacji danych, podziękowała operatorowi systemów - który pełnił na małym statku również funkcję oficera komunikacji - i opuściła maleńkie stanowisko konsol, kierując się w stronę dziobu. Przejście było wąskie i dwukrotnie musiała przepychać się obok członków załogi zmierzających w przeciwną stronę - nieprzyjemne doświadczenie, ale zaczynała się do niego przyzwyczajać, w każdym razie na tyle, żeby nie wzdrygać się w widoczny sposób.

W ich ciasnej kabinie Irena, Thorold i Arkady grali w szachy naprzemienne na dwóch szachownicach, a Konstantin wylegiwał się na jednej ze środkowych koi, obserwując grę z góry i robiąc notatki. Oczy zwróciły się ku niej i odwzajemniła wszystkie spojrzenia.

- Znaleźliście jakieś? - spytała.

Arkady, nadal studiujący rozmieszczenie figur na szachownicach, uniósł kciuk.

- Łatwy do wypatrzenia w kinkiecie... - Do kciuka dołączył drugi palec. - Mniej oczywisty w zegarze ściennym. Oba... - Arkady pstryknął palcami.

Irena uniosła wzrok. Była wysoką, smukłą blondynką, która zawsze pierwsza zadawała pytania.

- Co odkryłaś?

- To samo, co poprzednio - odrzekła Julia, siadając przy stoliku. O grze zapomniano, cała uwaga skupiła się na niej. - Łącze hipernetowe szalupy potwierdza to, co

podejrzewaliśmy: nikt prócz nas nie wie, jak się wytwarza ciemną antymaterię.

- Czy naprawdę możemy być tego pewni? Nie ma możliwości, by hipernety zawierały całą sumę dostępnej wiedzy. - To był Thorold, niedowiarek, sceptyk i niezbędny czynnik irytujący, jak również znakomity fizyk cząsteczkowy.

- Nie ma żadnych trafnych teorii ani danych eksperymentalnych, ani też artykułów z odwołaniami do takowych - odparła. - Nie ma też ani jednej wzmianki o tym, by ktoś gdzieś wykrywał promieniowanie T-triadyczne.

- Chyba że jakiś naukowiec megaloman ma ukryte laboratorium ciemnej materii gdzieś w innej strefie głębinowej - powiedział Thorold.

- Pytanie brzmi: co mamy powiedzieć, kiedy będzie nas przesłuchiwać wywiad Ziemiosfery? - kontynuowała Julia. - Sundstrom desperacko starał się nas uchronić przed wpadnięciem w ręce Hegemonii i patrzcie, gdzie ostatecznie wyładowaliśmy.

- Jeśli powiemy Ziemiosferze, Hegemonia będzie o tym wiedzieć w ciągu kilku godzin - powiedział Konstantin, nadal rozwalony na koi. - Ich SI komunikują się ze sobą.

- Tu, na pokładzie, jest kilku ludzi z implantowanymi SI - dodała Irena. - Budzą mój niepokój.

- Wywiad Ziemiosfery będzie żądał wyjaśnienia - zauważył Arkady. - Powinniśmy im podrzucić jakieś alternatywne teorie; ostatecznie przez te wszystkie lata braliśmy udział w Bóg wie ilu lunatycznych wojskowych projektach badawczych.

Zebrani skinęli głowami.

- Dobry pomysł - stwierdziła Julia. - Powinniśmy wszyscy nad tym pomyśleć. - Przyglądała im się przez chwilę. - Inna sprawa, nad którą powinniśmy się zastanowić, to nasze długofalowe plany: czy chcemy prędzej czy później wrócić na Dariena, czy też wyruszyć gdzie indziej.

Irena wyglądała na zaskoczoną.

- Przez cały czas zakładałam, że wrócimy do domu.

Thorold prychnął.

- Dom! Czemu niby mielibyśmy preferencyjnie traktować to miejsce? Co oni kiedykolwiek dla nas zrobili? Wiemy za to, co zrobili nam...

- Istnieje mnóstwo innych kolonii Ludzi, zarówno w obrębie granic Ziemiosfery, jak i w Lidze Vox Humana - dodał Arkady. - Zakładając, że znajdziemy sposób pozwalający nam wyruszyć tam, dokąd będziemy chcieli, być może moglibyśmy polecieć na jedną z nich i rozpocząć tam nowe życie.

- Moglibyśmy też założyć gdzieś własną kolonię - powiedział Konstantin.

Nikt oprócz Julii na niego nie spojrział; dobitny komunikat, co sądzą na temat tego pomysłu.

- Powinniście pamiętać o jednej rzeczy - powiedziała Julia. - Gdzie indziej będziemy postrzegani jak dziwadła czy nawet kaleki; na Darienie mamy status.

- Pogardzano tam nami - rzekł Thorold. - Naszą egzystencję w tym układzie definiowały poczucie winy i strach.

Irena pokręciła głową.

- Przykro mi, Thoroldzie, ale to jest bardziej skomplikowane: mnóstwo normalni odczuwa wstyd i pragnie wyciągnąć do nas rękę.

- Sentymentalne wyobrażenia - odparł Thorold. - Może to ty odczuwasz wstyd...

Julia nachyliła się, zanim sprzeczka zdążyła się rozkręcić.

- Rozważcie wszystkie te aspekty; jeśli i kiedy pojawi się szansa na to, byśmy mogli ruszyć własną drogą, niezbędny będzie konsensus.

Rozległy się pomruki aprobaty, a Julia odsunęła krzesło od stolika, wyjęła notatki, które zrobiła przy stanowisku konsol, i zaczęła czytać. Jednakże jej myśli dalej krążyły wokół kwestii, na które zwróciła uwagę pozostałych.

Jesteśmy kiepsko zsocjalizowani, pomyślała. Wystarczy nas poprosić o podyskutowanie na tematy, które nie mają nic wspólnego z teorią ani z zagadnieniami technicznymi, a uciekamy w mentalność grupową i zaczynamy głosić powierzchowne komunały.

Przy tym Irena miała więcej niż trochę racji. Już od miesięcy Julia żywiła pewne podejrzenia dotyczące relacji między Ulepszonymi a „normalami”, normalnymi kolonistami; skrytykowały się one pod wpływem tego, co siostra majora Karlssona, Solvjeg, powiedziała do niej na farmie Akessona. Najpierw zapytała o Ulrike, którą Julia pamiętała bardzo dobrze - Ulrike była geniuszem we wszystkich dziedzinach, w tym również w kontaktach z ludźmi, lecz było w niej coś, co nie potrafiło znieść życia i co ostatecznie wygrało.

Potem, gdy Piatkow polecił Ulepszonym wrócić do krętobusu, Solvjeg powiedziała coś zaskakującego: „Wszyscy jesteście wyjątkowi, Julio. Być może jesteście pomyłką naszego społeczeństwa, ale tak czy inaczej pochodzicie od nas; nasze społeczeństwo jest waszym rodzicem, a to czyni was dziećmi nas wszystkich. Potrzebujecie nas, a my potrzebujemy was, i nie tylko dlatego, że chcemy, żebyście nam wybaczyli”.

Te słowa poraziły Julię, wstrząsnęły nią do głębi. Zaraz potem trzeba było już iść, więc - nie wiedząc, co powiedzieć - z powagą uściśniła dłoń starszej kobiety i wsiadła do krętobusu. Od tamtej pory słowa Solvjeg raz po raz rozbrzmiewały w jej pamięci, każąc Julii żałować, że nic nie odpowiedziała.

A z drugiej strony, są też rzeczy, których wypowiedzenia żałuję, pomyślała, przypominając sobie swoje spotkanie z Catrioną na Niewieście zaledwie kilka dni wcześniej. Może to dlatego powinniśmy wrócić do domu: żebyśmy mogli powiedzieć to, co trzeba.

Legion

Na Yndyeri Tetro, w najciemniejszych, zimnych głębinach wielkiego zachodniego oceanu, na dnie pozbawionej światła rozpadliny, zmęczony bólem umysł rozważał fakty porażki. Jeden z jego nadzwyczaj cennych potomków zginął, nie wykonawszy zadania. Informację tę przekazały mu pozostałe dwa, które zapewniły go, że niestrudzenie pracują nad osiągnięciem celu, nad zdobyciem nagrody, choć obrały oddzielne drogi.

Zalewał go żal, smutek z powodu straty, zarówno strategicznej, jak i fizycznej. Był osłabiony, umniejszony, lecz mimo to, z determinacją zachowywał wierność swojemu celowi oraz doktrynom konwergencji, które dawały mu siłę, by znosić cierpienie i snuć plany. Regeneracja substratu nerwowego była możliwa, lecz tylko niektóre zakony rycerzy Legionu miały tę zdolność. Dopóki ci, którzy przeżyli karę wymierzoną przez Przodków, nie zostaną uwolnieni z miażdżących, piekielnych głębin hiperprzestrzeni, będzie musiał sobie radzić bez wsparcia, wiodąc czarną, milczącą egzystencję w swoim grobowcu na dnie otchłani wód.

Mimo zapewnień dwóch ocalałych potomków, gryzły go wątpliwości - co, jeśli pogardzane maszyno-umysły Hegemonii odkryją, jak złamać władzę Strażnika nad krzywstudnią? Lub jeszcze gorzej, jeśli ta nakręcana zabawka znana jako Konstrukt wynajdzie jakiś sposób, żeby całkowicie zamknąć studnię?

Konkluzja nasuwała się sama - nie mógł tu pozostać. Choć czekająca go podróż miała być trudna i niebezpieczna, musiał się podzwignąć ze schronienia, gdzie spoczywał przez tysiąclecia, i odbyć długi lot hiperprzestrzenny na skolonizowaną przez Ludzi planetę Darien. Płyty pancerza musiały zostać połatane, moduły suspensorów naładowane, biozasilanie naprawione, okablowanie, a może nawet obsady czujników wymienione, a pojemniki żywiące ponownie napełnione. Konieczne będzie podjęcie ryzyka, spenetrowanie dna oceanu oraz pobliskiego wybrzeża, aby zdobyć surowce, nie wspominając już o poszukiwaniu świeżych, nienaruszonych zasobów w dalszej odległości. Oznaczało to wysiłek, ryzyko i ból.

Tej nocy nieznani sprawcy włamali się do instalacji odsalającej na słabo zamieszkanym odcinku zachodniego wybrzeża i splądrowali jej magazyn. Nazajutrz, prawie pięćdziesiąt kilometrów na południe, właściciele fabryki chemicznej również odkryli, że ich zakład padł ofiarą rabusiów. Kolejnego dnia, jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północ, załamał się most

nad szerokim ujściem rzeki i pociąg towarowy wyładowany stałą prosto z huty z hukiem zwałił się do wody.

Trzydzieści godzin później potężny sztorm nadciągnął z rykiem znad zachodniego oceanu, zaciemniając niebo, atakując wybrzeże wysokimi falami, posyłając w głąb lądu wyjące podmuchy wichury wraz z ulewą. W szczytowym momencie furii żywiołów w dziko wzburzonym morzu zatoniły trzy statki: stumetrowy frachtowiec o podwójnym kadłubie, z czterdziestoosobową załogą złożoną głównie z Henkayan i Gomedran, do połowy załadowana drewnem barka, która zerwała się z cum, oraz prom pasażerski, który usiłował dotrzeć do portu na jednej z większych przybrzeżnych wysp, ale nie zdążył. Jednostki ratownictwa morskiego stacjonujące wzdłuż wybrzeża odebrały kilka sygnałów wezwania pomocy, a później zapanowała cisza. Powszechnie wiadano, że statki tonące w takich niezbadanych głębinach zazwyczaj uznawano za niemożliwe do odzyskania.

Kiedy pogoda się uspokoiła, statki ratownicze dokładnie i z poświęceniem przeszukały ten obszar, ale znalazły bardzo niewiele pływających na powierzchni szczątków, tylko strzaskane pozostałości desek oraz belek, i żadnych ciał. Na przestrzeni następnego kilku dni poszukiwania stopniowo odwołano, w mediach coraz rzadziej pojawiały się nowe informacje, wzdłuż wybrzeża zakończono działania związane z uprzątnięciem skutków sztormu i już tylko garstka małych statków oraz łodzi wynajętych przez pogrążonych w żalu krewnych nadal przeczesywała wody. A czwartej nocy po tym, jak sztorm ucichł, bargalilska marynarz na pokładzie lugiera zauważyła, że w dole, w głębinie coś świeci jaskrawoniebieskim blaskiem. Podniosła alarm i reszta załogi wybiegła na pokład akurat w porę, żeby zobaczyć, jak długi, nieregularny kształt gwałtownie wyłania się z morza i wznosi na kolumnie energii plazmowych. Z krateru utworzonego w wodzie przez gazy odrzutowe wzbija się przegrzana para w białych kłębach, które rozprzestrzeniały się, wirując, podczas gdy za wznoszącym się statkiem opadały sieci i kurtyny wody. Niektórzy z obecnych na pokładzie lugiera doznali oparzeń spowodowanych parą, a wszyscy rozpląszczyli się na pokładzie, odwracając głowy, by gapić się z przestrachem w górę, gdy dziwny obiekt z rykiem wzniósł się w nocne niebo i znikł.

Podziękowania

Jak większość pisarzy z pewnością dobrze wie, prawdziwie wyczerpująca strona podziękowań wymagałaby ukłonów w stronę różnorodnych osób jak świat długi i szeroki. Jednakże gwoli zwięzłości, klarowności, a może nawet humoru będę musiał tu pominąć połowę gatunku ludzkiego (wszyscy wicie, kim jesteście), a imiennie podziękować w pierwszej kolejności tym, których własne dzieła zainspirowały mnie do zmierzenia się na poważnie z potężnym zadaniem, jakim jest napisanie space opery, a są to: Erie Brown, Bill King, David Brin, Dave Wingrove, Iain Banks, Ken Macleod, Gary Gibson, Ian McDonald, Vernor Vinge, Dan Simmons, wielka trójca - Asimov, Heinlein i Clarke, Ian Watson, Neal Asher, Jack Vance, Andre Norton oraz, bez wątpienia, cała rzesza innych, których nazwisk moja wielce zawodna pamięć nie jest w stanie przywołać. Suma kontrolna nie zgadza się, nie ma co do tego wątpliwości.

Poza tym trzeba tu wymienić także niezłomnych pionierów szkockiego spec-fic, członków Glasgow SF Writers Circle, jak również naszych odpowiedników z Edynburga, a także szacownego Andrew J. Wilsona. Szczodre podziękowania należą się też Johnowi Parkerowi z agencji literackiej MBA Literary Agency, a także - o czym nie można zapomnieć - mojemu redaktorowi, Darrenowi Nashowi, którego krytyczne sokole oko (jakiś redaktorski szósty zmysł) oraz przyjazna, pełna entuzjazmu wytrwałość utrzymały zarówno mnie, jak i książkę na właściwym torze. Doping oraz zachęty do ponownego rozważania koncepcji płynęły także od innych osób w różnych momentach w trakcie powstawania książki - zasługi na tym polu położyli między innymi John Jarrold, Joshua Bilmes, Stewart Robinson, John Marks, Eddie Black oraz adiustatorzy z Orbitu.

Podkładu muzycznego dostarczyli tacy artyści, jak Pallas, Fish, Eisbrecher, Colony 5, Robert Schroeder, Klaus Schulze, Racer X, Ozric Tentacles, Opeth, niezwykle Mustasch, jak również tacy mistrzowie doom metalu, jak Penance, Novembre, Candlemass, Paradise Lost i Krux, a także kaznodzieja progresywności z Paisley, Graeme Fleming, i misjonarz metalu z Sheffield, Ian Sales. KDI!